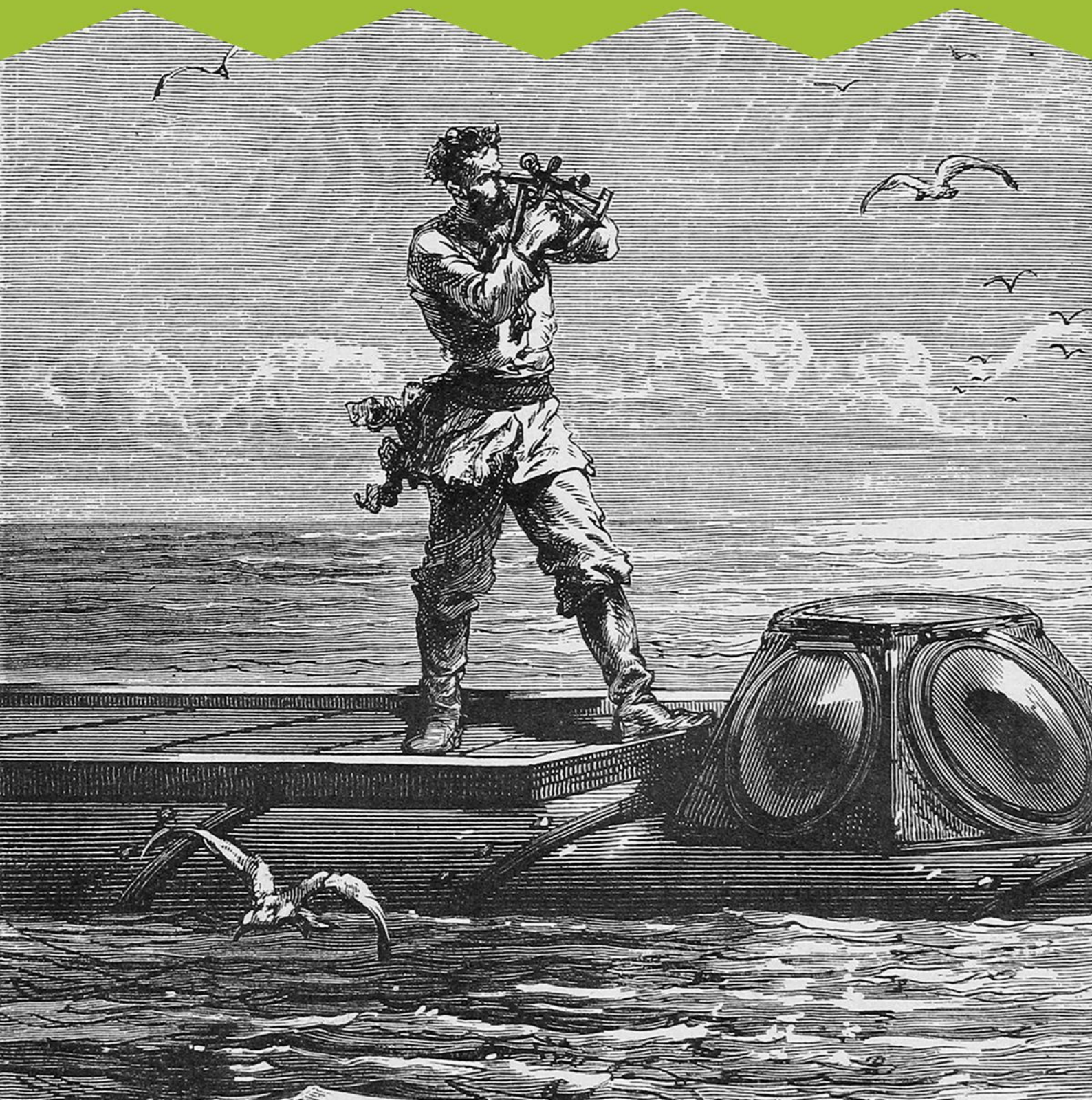


# 20 000 mil podmorskiej żeglugi



JULES VERNE

# 20 000 mil podmorskiej żeglugi

TŁUM. TŁUMACZ NIEZNANY

## SKAŁA UCIEKAJĄCA

Nie zapomniano zapewne dotąd wypadku dziwnego, niepojętego i trudnego do objaśnienia zjawiska, jakim się odznaczył rok 1866. Nie mówiąc już o pogłoskach niepokojących ludność portów i zajmujących ogół na wszystkich lądach, dodać wypada, że marynarze byli najmocniej zaniepokojeni. Kupcy, armatorzy<sup>1</sup>, dowódcy okrętów, szyprowie<sup>2</sup> i sternicy statków europejskich i amerykańskich, oficerowie marynarki wojennej wszystkich krajów, a nawet rządy różnych państw obu lądów do najwyższego stopnia zajęci byli tym wydarzeniem.

Od niejakiego czasu okręty napotykały na morzu „jakąś rzecz ogromną”, przedmiot długi, kształtu wrzecionowatego, niekiedy świecący, nieskończenie większy i szybszy od wieloryba.

Fakty dotyczące się tego zjawiska, notowane w dziennikach okrętowych, zgadzały się zupełnie w szczegółach o budowie przedmiotu, czy też jestestwa, o którym mowa, również jak o szybkości niesłychanej jego ruchów, zadziwiającej sile posuwania się, o żywotności nareszcie szczególnej, jaką zdawał się być obdarzony. Jeśli to był wieloryb, to wielkością przewyższał wszystkie gatunki, jakie nauka dotąd określiła. Ani Cuvier, ani Lacépède, ani Dumeril, ani de Quatrefages nigdzie dotąd nie wspomnieli o istnieniu takiego potwora — a więc zapewne i nie widzieli go na własne oczy, czy uczonych.

Wziąwszy pod uwagę średni wynik spostrzeżeń wielokrotnych, odrzucając wątpliwe oznaczenie długości tego przedmiotu na dwieście stóp<sup>3</sup>, równie jak i przesadzone opisy dające mu milę<sup>4</sup> szerokości, a trzy mile długości, można jednakże utrzymywać, że ta istota fenomenalna (jeśli tylko istniała rzeczywiście) przewyższała o wiele rozmiary dotąd przez ichtiologów<sup>5</sup> stwierdzone.

Istnieniu jej jednak zaprzeczyć było niepodobna, bo fakt sam w sobie był niezaprzeczalny; wzięwszy zaś pod uwagę skłonność mózgu ludzkiego do cudowności<sup>6</sup>, zrozumimy, jakie wrażenie na całym świecie sprawiło to nadzwyczajne zjawisko. Stanowczo trzeba się wyrzec zaliczenia go do rzędu bajek.

I w rzeczy samej, dnia 20 lipca 1866 roku parowiec „Governor Higginson” należący do towarzystwa Calcutta and Burmah Steam Navigation Company, spotkał tę masę poruszającą się w odległości pięciu mil<sup>7</sup> na wschód od wybrzeży Australii. Kapitan Beker sądził zrazu<sup>8</sup>, że trafił na skałę nieznaną; już nawet zabierał się do oznaczenia dokładnego jej położenia, gdy nagle dwa słupy wody ze świstem tryskać zaczęły z tego niepojętego przedmiotu na wysokość stu pięćdziesięciu stóp. Jeśli zatem we wnętrzu tej skały nie istniało ukryte źródło gorące wybuchające periodycznie<sup>9</sup>, to okręt widocznie miał do czy-

<sup>1</sup>armator — właściciel okrętu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>szyper — kapitan małego statku. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>stopa — jednostka miary długości, równa ok. 30,48 cm. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>mila — jednostka miary długości; daw. mila ang. wynosiła ponad 1600 m. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>ichtiologia — nauka zajmująca się badaniem ryb. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>skłonność (...) do cudowności — skłonność do wiary w cuda. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>mila morska — jednostka miary długości (odległości), wynosząca ok. 1850 m. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>zrazu — początkowo, w pierwszej chwili. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>periodycznie — okresowo, co jakiś czas. [przypis edytorski]

nienia z jakimś ssącym wodnym zwierzęciem, nieznanym dotąd, wyrzucającym przez swe nozdrza słupy wody zmieszanej z powietrzem i parą.

Takiż sam fakt zauważył dnia 23 lipca tego samego roku na morzach Oceanu Spokojnego „Cristobal Colon”, statek należący do West India and Pacific Steam Navigation Company. Tak więc ten nadzwyczajny wieloryb mógł się przenosić z miejsca na miejsce z szybkością zadziwiającą, bo w przerwie trzech dni tylko „Governor Higginson” i „Cristobal Colon” widziały go na dwóch punktach, o siedemset mil morskich od siebie oddalonych.

W piętnaście dni później, a o dwa tysiące mil stamtąd, „Helvetia”, okręt należący do Compagnie Nationale, i „Shannon” należący do Royal Mail, płynące z różnych stron po Oceanie Atlantyckim pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonymi, przy spotkaniu się zakomunikowały sobie nawzajem wiadomość o dostrzeżeniu potwora pod 42° 15' szerokości północnej, a 60° 35' długości na zachód od południka Greenwich. Z tych relacji obustronnych można było oznaczyć długość zwierzęcia co najmniej na trzysta pięćdziesiąt stóp angielskich<sup>10</sup>, gdyż „Shannon” i „Helvetia” były mniejsze od niego, jakkolwiek każdy z tych statków miał sto metrów długości. Największe wieloryby napotymane w okolicach Wysp Aleuckich, Kulammok i Umgullil nigdy nie miały więcej niż pięćdziesiąt sześć metrów długości, a i tej rzadko kiedy dochodziły.

Takie wieści nadchodzące jedne po drugich, nowe spostrzeżenia czynione na pokładzie zaatlantyckiego statku „Pereire”, protokół sporządzony przez oficerów francuskiej fregaty „La Normandie”, bardzo gruntowne spostrzeżenia zebrane przez sztab komandora Fitz-James na statku „Lord Clyde” poruszyły i zaniepokoiły opinię publiczną. W krajach lekkiego humoru żartowano ze zjawiska, ale kraje poważne i praktyczne jak Anglia, Ameryka, Niemcy, żywo się tym zajęły.

Potwór stał się modnym przedmiotem rozmowy we wszystkich wielkich miastach. Śpiewano o nim w kawiarniach, szydzono zeń w dziennikach, grano o nim sztuki w teatrze. Plotek różnorodnych było co niemiara. Gazety jedne za drugimi powtarzały baśnie o istotach urojonych i olbrzymich, poczynawszy od białego wieloryba, straszego „Moby Dicka” z krańcowych stref północy, aż do bezmiernego krakena<sup>11</sup>, którego macki mogły w głębiach oceanu zanurzyć statek o pięciuset tonach pojemności. Twierdzenie swe popierano powagą czasów starożytnych, zdaniem Arystotelesa i Pliniusza, którzy przypuszczali istnienie takich potworów; potem przytaczano norweskie powieści o biskupie Pontoppidan, relacje Pawła Heggede i nareszcie raporty pana Rarington, którego dobra wiara nie może być podejrzana, gdy twierdzi, że w 1857 roku, będąc na pokładzie okrętu „Castillan”, własnymi oczyma widział tego ogromnego węża, który do owego czasu przebywał tylko w morzach gazeciarskich dawnego „Constitutionnela”.

Wybuchła nieskończona polemika pomiędzy wierzącymi i niedowiarkami, w zgromadzeniach uczonych i dziennikach naukowych. „Kwestia potwora” zapalała umysły; dziennikarze bawiący się w naukę w walce ze swymi kolegami bawiącymi się w dowcip wylali morze atramentu podczas tej pamiętnej kampanii, a niektórzy nawet i kilka kropli krwi, bo od węża morskiego doszli do napaści osobistych, najbardziej znieważających.

Przez sześć miesięcy walka trwała zawzięcie. Na poważne artykuły Brazylijskiego Instytutu Geograficznego, berlińskiej Królewskiej Akademii Nauk, Brytyjskiego Towarzystwa Naukowego, Instytutu im. Smitha w Waszyngtonie, na dyskusje pism: „The Indian Archipelago”, „Cosmos” księdza Moignona, „Mitteilungen” Petermanna, na kroniki naukowe wielkich dzienników francuskich i zagranicznych drobna prasa odpowiadała z wprawą niewyczerpaną. Dowcipni jej pisarze, parodiując zdanie Linneusza przytoczone przez przeciwników potwora, utrzymywali, że istotnie „przyroda nie tworzyła głupców” i zaklinali swych współczesnych, aby jej nie krzywdzili, przypuszczając istnienie jakichś krakenów, węży morskich, Moby Dicków i innych mozolnie splodzonych niedorzeczności morskich. Nareszcie w artykule pewnego z najmniejbezpiecznych dzienników satyrycznych, jeden z jego redaktorów rzucił się na potwora jak Hipolit, zadał mu cios ostatni i dobił wśród głośnych wybuchów śmiechu ogólnego. Dowcip pokonał naukę!

<sup>10</sup>trzysta pięćdziesiąt stóp angielskich — około 106 metrów, licząc stopę angielską na 30,40 centymetrów. [przypis redakcyjny]

<sup>11</sup>kraken — legendarny stwór morski przypominający kałamarnicę, znany również jako Triangul. [przypis edytorski]

W pierwszych miesiącach 1867 roku kwestia zdawała się stanowczo pogrzebana raz na zawsze, gdy oto nowe fakty podane zostały do wiadomości publicznej. Nie chodziło już o rozwiązanie zagadnienia naukowego, ale o uniknięcie<sup>12</sup> rzeczywistego i bardzo groźnego niebezpieczeństwa. Potwór stał się teraz wysepką czy skałą podwodną, ale skałą uciekającą, nieuchwytną, nieokreśloną.

Dnia 5 marca 1867 roku okręt „Moravian” należący do Montreal Ocean Company, znajdując się nocną porą pod 27° 30' szerokości i 72° 15' długości, uderzył prawym bokiem swej rufy o skałę, której w tym miejscu żadna karta<sup>13</sup> nie oznaczała. Party siłą wiatru i swoich czterechset<sup>14</sup> koni parowych, pędził z szybkością trzynastu węzłów na godzinę<sup>15</sup>. Doskonalej więc tylko budowy spód „Moraviana”, jakkolwiek przedziurawiony przy tym wypadku, ocalił okręt od zatonięcia, wraz z 237 podróżnymi, których wioził do Kanady.

Wypadek ten zdarzył się około piątej godziny z rana, właśnie gdy dzień poczynało. Oficerowie służbowi rzucili się ku rufie i z największą uwagą badali powierzchnię oceanu, lecz nic nie dojrzeli, prócz silnego wiru jakby gwałtownie poruszonej wody, w odległości około 400 sążni<sup>16</sup>. Zapisano jak najdokładniej położenie tego miejsca i „Moravian” popłynął spokojnie w dalszą drogę. Czy uderzył o skałę podmorską, czy też o ogromny szczątek rozbitego statku — nie wiadomo. Gdy jednak zbadano spód parowca, okazało się, że kil jest częściowo strzaskany.

Zdarzenie to, jakkolwiek bardzo ważne, byłoby zapomniane jak tyle innych, gdyby się nie powtórzyło w trzy tygodnie później i nabrało ogromnego rozgłosu z powodu wziętości<sup>17</sup> towarzystwa, którego statek był własnością.

Komuż jest nieznane nazwisko sławnego armatora angielskiego, Cunarda? Ten rozumny i zręczny przemysłowiec zaprowadził w 1840 roku komunikację pocztową pomiędzy Liverpooliem a Halifaxem obsługiwaną przez trzy drewniane okręty, których koła miały po 400 koni siły, a pojemność wynosiła po 1162 tony. W osiem lat potem tabor kompanii powiększył się o cztery okręty, każdy o sile 650 koni i 1820 tonach pojemności, a jeszcze w dwa lata potem przybyły znowu dwa statki, jeszcze większej siły i większej pojemności. W roku 1853 kompania Cunard, której odnowiono przywilej przywożenia depeusz, powiększyła kolejno swój tabor okrętami: „Arabia”, „Persia”, „China”, „Scotia”, „Java”, „Russia” — wszystkie największego kalibru, tak że oprócz słynnego „Great Eastern”, żaden większy od nich statek nie pruł fal oceanu. Tak więc w 1867 roku kompania posiadała już dwanaście okrętów, to jest osiem kołowych i cztery śrubowce.

Podaję te krótkie i pobieżne szczegóły dlatego, aby każdy wiedział, jak ważne jest znaczenie tej kompanii transportów morskich znanej światu całemu ze swej rozumnej i pożytecznej działalności. Nigdy przedsiębiorstwo żeglugi zaoceanicznej nie było jeszcze z większą poprowadzone zręcznością, nigdy interes lepszym nie był uwieńczony powodzeniem. Od dwudziestu sześciu lat okręty kompanii Cunard dwa tysiące razy przepłynęły Atlantyk, a jednak ani jedna z tych podróży nie chybiła; opóźnienia nawet nigdy nie było. Nie tylko człowiek lub statek, ale nawet list żaden nigdy nie został zatracony. Dlatego też, pomimo potężnego współzawodnictwa Francji, podróżni przekładają linię kompanii Cunard nad inne, jak to się okazuje z urzędowych dokumentów lat ostatnich. Po tym wszystkim nikt nie zadziwi się, że takiego rozgłosu nabrał wypadek jednego z najpiękniejszych parowców do tej kompanii należących.

Dnia 13 kwietnia 1867 roku, przy spokojnym stanie morza i wietrze sprzyjającym, okręt „Scotia” znajdował się pod 15° 12' długości i 45° 27' szerokości. Płynął on z szybkością trzynastu węzłów, popychany siłą swych tysiąca koni parowych. Koła jego rozbijały wodę morską z nadzwyczajną regularnością; zanurzał się na 6 metrów 70 centymetrów, a wypychał wody 6624 metry sześciennie.

O godzinie 4 minut 18 wieczorem, gdy podróżni zebrani byli w wielkim salonie, lekkie wstrząśnienie dało się uczuć od spodu, przy kole, z lewej strony okrętu.

<sup>12</sup>uniknięcie — dziś popr.: uniknięcie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>karta — tu: mapa. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>czterechset — dziś popr.: czterystu. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>z szybkością trzynastu węzłów na godzinę — węzeł: jednostka prędkości morskiej, wynosząca milę morską (ok. 1,8 km) na godzinę. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>sążeń — ok. 1,8 m. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>wziętość — popularność. [przypis edytorski]

Okręt nie uderzył, ale był uderzony przez coś ostrego i dziurawiącego. Potrącenie tak zdawało się lekkie, że nikt by na nie uwagi nawet nie zwrócił, gdyby nie krzyk palaczy okrętowych, którzy wpadli na pomost wołając: „Toniemy! Toniemy!”.

W pierwszej chwili podróżni bardzo się przejęli, ale uspokoił ich zaraz kapitan Anderson. I w rzeczy samej niebezpieczeństwo nie mogło być groźne, okręt bowiem podzielony był na siedem przedziałów szczelnymi przegrodami; w żadnym przeto wypadku woda nie mogła się wszędzie przedostać.

Kapitan Anderson udał się natychmiast na spód okrętu i stwierdził, że piąty przedział zalany był wodą, a gwałtowność jej przyływu dowodziła, że przedziurawienie musiało być dość znaczne. Na szczęście w tym przedziale nie było kotłów maszyny parowej, bo ogień byłby zalany bezzwłocznie.

Kapitan Anderson kazał jednemu z majtków nurkować dla rozpoznania uszkodzenia; po chwili dowiedziano się, że w zewnętrznym spodzie okrętu jest otwór szerokości dwóch metrów. Takiego otworu nie można było zatkać naprędce; parowiec przeto, z kołami do połowy zanurzonymi, musiał dalszą odbywać drogę.

Znajdował się on wtedy o trzysta mil od przylądka Clear, a po trzech dniach opóźnienia żywo niepokojącego Liverpool, wpłynął nareszcie do portu kompanii.

Wtedy inżynierowie przystąpili do obejrzenia okrętu wprowadzonego do doku i własnym nie wierzyli oczom. Na półtrzecia<sup>18</sup> metra głęboko pod linią wodną ujrzeli rozdarcie foremne w kształcie trójkąta równoramiennego, blacha żelazna była przekrajana tak czysto jak nożycami. Narzędzie więc, którego dziełem był ten otwór, musiało posiadać hart niezwykły, a przy tym musiało uderzyć z siłą ogromną, aby przedziurawić w ten sposób blachę grubości czterech centymetrów i cofnąć się gładko ruchem wstecznym — wprost niezrozumiałym.

Taki był ten ostatni fakt, pod którego wpływem zainteresowanie ogółu wzrosło znów do najwyższego stopnia. Od tej też chwili wszystkie wypadki na morzu niemające wyraźnie oznaczonej przyczyny szły na karb potwora. Fantastyczne to zwierzę musiało dźwigać odpowiedzialność za te wszystkie rozbicia, których liczba niestety jest bardzo znaczna, bo na trzy tysiące okrętów, o których zaginięciu corocznie donosi *Bureau Veritas*, liczba parowców i żaglowców uważanych za stracone z powodu zupełnego braku wiadomości o nich dochodzi do dwustu.

Odtąd tedy, słusznie czy niesłusznie, „potwora” obwiniano o ich zgubę; a ponieważ z tego powodu drogi pomiędzy różnymi lądami stawały się coraz mniej bezpieczne, głos przeto powszechny zaczął się stanowczo i kategorycznie domagać, aby nareszcie pomyślano o uwolnieniu mórz od tego straszego wieloryba.

## ZA I PRZECIW

W czasie, gdy zaszły te wypadki, powracałem z wycieczki naukowej do niezdrowych okolic Nebraski w Stanach Zjednoczonych, dokąd mnie rząd francuski wysłał razem z wyprawą jako nadetatowego profesora paryskiego Muzeum Historii Naturalnej. Po sześciu miesiącach spędzonych w Nebrasce, obładowany szacownymi zbiorami, przybyłem do Nowego Jorku pod koniec marca. A że odjazd mój do Francji oznaczony był dopiero na pierwsze dni maja, zająłem się więc uporządkowaniem moich bogactw mineralogicznych, botanicznych i zoologicznych, gdy oto zdarzył się wypadek z okrętem „Scotia”.

Znałem doskonale całą tę sprawę będącą na porządku dziennym i czy mogło być inaczej? Choć wertowałem wszystkie dzienniki europejskie i amerykańskie, to jednak nic mi one nie wyjaśniły. Tajemnica ta mocno mnie intrygowała. Nie mogąc sobie wyrobić żadnego zdania, bujałem myślą pomiędzy ostatecznościami. Że było coś, to najmniejszej nie ulegało wątpliwości, a niewierni mogli palcem dotknąć rany okrętu.

Gdy przybył do Nowego Jorku, kwestia ta była w fazie największego rozgorączkowania. Przypuszczenia o wyspie pływającej, o nieuchwytniej skale podmorskiej, przez nieudolne umysły podtrzymywane, stanowczo odrzucono. W rzeczy samej, jeśli ta skała we wnętrznościach swoich nie miała maszyny, to jakże mogła przenosić się z miejsca na miejsce i to z taką jeszcze szybkością nadzwyczajną?

Z tej samej przyczyny odrzucono myśl o jakimś pływającym szkielecie okrętu.

<sup>18</sup>półtrzecia — dwa i pół. [przypis edytorski]

Pozostawały więc dwa tylko możliwe rozwiązania tej kwestii i z nich też powstały dwa różne stronnictwa: jedno utrzymujące, że to był potwór siły kolosalnej — inne, że to była łódź podwodna o ogromnej sile poruszającej.

Ostatnie przypuszczenie, jakkolwiek prawdopodobne, nie zgadzało się z poszukiwaniami, jakie robiono na obu półkulach. Trudno przypuszczać, aby człowiek prywatny miał na swe rozkazy taki przyrząd mechaniczny. Gdzie i kiedy kazałby go zbudować i jakim sposobem budowę tę mógłby utrzymać w tajemnicy?

Tylko rząd jakiś mógłby posiadać podobną maszynę niszczącą, a w tych nieszczęśliwych czasach, kiedy geniusz człowieka wysiła się na pomnożenie środków wojowania, bardzo było do prawdy podobne<sup>19</sup>, że jedno z państw postarało się o taką ogromną maszynę. Po *chassepotach*<sup>20</sup> torpedy, po torpedach tarany podmorskie (monitory), po czym reakcja. Przynajmniej tak się spodziewam.

Lecz i to przypuszczenie maszyny wojennej upadło znowu wobec oświadczeń urzędowych. Ponieważ zaś cierpiały na tym komunikacje zaoceaniczne, nie można było wątpić o szczerości rządów. Zresztą jak przypuścić nawet, aby budowa takiego statku podmorskiego mogła ująć uwadze publicznej? W takich okolicznościach zachowanie tajemnicy jest bardzo trudne dla człowieka prywatnego; dla państwa zaś, którego wszystkie czynności śledzone są przez potęgę nieprzyjacień — niemożliwe.

Tak więc po poszukiwaniu w Anglii, Rosji, Prusach, Hiszpanii, Włoszech, Ameryce, a nawet i Turcji, przypuszczenie *monitora* podmorskiego całkiem upadło.

Wrócono więc do myśli o potworze, pomimo nieustannych żarcików, jakimi przesładowała tę myśl prasa brukowa i na tej drodze wyobraźnia zapuściła się w najniedorzeczniejsze marzenia ichtiologii fantastycznej.

Po moim przybyciu do Nowego Jorku wiele osób zaszczyciło mnie zapytaniem o to zjawisko. Ogłosiłem we Francji drukiem dzieło *in quarto*<sup>21</sup> w dwóch tomach pod tytułem: *Tajemnice wielkich głębin podmorskich*. Wobec tej książki, łaskawie przyjętej przez świat naukowy, uchodziłem za specjalistę w tej dość ciemnej części historii naturalnej. Zapytano mnie o zdanie. Dopóki mogłem, zaprzeczałem rzeczywistości faktu; lecz wkrótce przyparty, jak to mówią, do muru, musiałem wytłumaczyć się kategorycznie. Nawet „New York Herald” wezwał publicznie czcigodnego Piotra Aronnax’a, profesora Muzeum Paryskiego, do wydania jakiegokolwiek sądu w tej sprawie.

Ponieważ nie mogłem dłużej milczeć, rozważyłem przeto zagadnienie pod wszystkimi jego politycznymi i naukowymi względami i podaję tu zakończenie artykułu bardzo treściwego, jaki ogłosiłem w numerze z 30 kwietnia.

„Tak więc — pisałem — zbadawszy jeden po drugim wszystkie wnioski i odrzuciwszy wszelkie domniemania, wypada koniecznie przypuścić istnienie jakiegoś zwierzęcia morskiego z siłą nadzwyczajną.

Wielkie głębie Oceanu są nam całkowicie nieznanne. Co się dzieje w tych przepaściach bezdennych? Jakie istoty mieszkają i mogą mieszkać na głębokości dwunastu czy piętnastu mil (angielskich) pod powierzchnią wód! Jaki jest organizm tych zwierząt? Zaledwie domyślać się tego można.

Jednakże zadanie przedstawione mi do rozwiązania może przybrać formę dylematu.

Albo znamy całą różnorodność istot zamieszkujących naszą planetę, albo ich nie znamy.

Jeśli ich nie znamy, jeśli przyroda ma jeszcze dla nas tajemnice co do ichtiologii, nic łatwiejszego jak przypuścić istnienie ryb lub wielorybów, gatunków, albo nawet rodzajów nowych, z organizacją prawdziwie głębinową, zamieszkujących warstwy niedostępne ołowiance<sup>22</sup>, sprowadzanych na wyższy poziom oceanu w pewnych długich przerwach, czy to przypadkiem, czy przez fantazję jakąś tych zwierząt.

Przeciwnie, jeśli znamy wszystkie gatunki żyjące, wypada koniecznie szukać zwierzęcia tego pomiędzy istotami morskimi już opisanymi, a w takim razie gotów jestem

<sup>19</sup>do prawdy podobne — dziś: prawdopodobne. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*chassepot* — fr. jednostrzałowy karabin iglicowy z drugiej połowy XIX wieku. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*in quarto* — nazwa formatu arkusza papieru używanego do druku, odpowiadającego mniej więcej rozmiarom dzisiejszego A4 (210 na 297 mm). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*ołowianka* — sonda ręczna do pomiaru głębokości zbiornika; wyskalowana lina z ołowianym obciążnikiem na końcu [przypis edytorski]

przypuścić istnienie *narwala olbrzymiego*. Narwał pospolity<sup>23</sup>, czyli jednorożec morski, dochodzi często do sześćdziesięciu stóp długości.

Powiększcie pięć, dziesięć nawet razy rozmiary tego zwierzęcia, dajcie mu siłę odpowiednią i odpowiednią broń zaczepną, a będziecie mieli zwierzę żądane. Będzie ono miało rozmiary oznaczone przez oficerów statku „Shannon”, narzędzia odpowiednie zdolne do uszkodzeń takich jak przedziurawienie okrętu „Scotia” i siłę potrzebną do nadwyrężenia<sup>24</sup> steamera<sup>25</sup>.

W rzeczy samej narwał uzbrojony jest pewnym rodzajem miecza z kości, albo halabardą<sup>26</sup>, według wyrażenia niektórych przyrodników. Jest to ząb główny, jak stal twardy. Znalezione kilka takich zębów zagłębionych w ciałach wielorybów, z którymi narwał zwykle walczy. Niekiedy taki sam ząb narwala trudno bywało wyrwać ze spodniej części okrętu, którą wskroś takim zębem przeszył jak świdrem. Muzeum fakultetu medycznego w Paryżu posiada jeden taki ząb długości dwóch metrów i dwudziestu pięciu centymetrów, a szerokości czterdziestu ośmiu centymetrów w nasadzie.

Otóż wyobraźcie sobie broń dziesięćkroć<sup>27</sup> silniejszą, zwierzę dziesięćkroć potężniejsze; wypuśćcie je z szybkością dwudziestu mil na godzinę, pomnóżcie jego masę przez jego szybkość, a otrzymacie wstrząśnienie zdolne wywołać katastrofę żadaną.

Dopóki zatem nie poweźmę innego przekonania, obstawać będę przy jednorożcu morskim rozmiarów kolosalnych, uzbrojonym już nie halabardą, ale prawdziwą ostrogą jak fregaty opancerzone, których on i wielkość, i siłę poruszającą posiada.

Może być, że coś innego jeszcze się okaże, lecz póki to nie nastąpi, nie ma innego sposobu wytłumaczenia sobie tego niepojętego dotąd zjawiska”.

Przyznaję, że ostatnie słowa były tchórzostwem z mej strony, lecz chciałem, o ile się dało, osłonić swoją godność profesorską i nie dopuścić, aby Amerykanie śmiali się ze mnie — o co u nich nietrudno. Chciałem sobie zapewnić odwrót na wszelki wypadek, ale w gruncie rzeczy przypuszczałem istnienie „potwora”.

Artykuł mój gorące wywołał dyskusje, co zjednało mu wielki rozgłos; znalazła się pewna liczba stronników mego zdania, które zresztą, podając rozwiązanie zagadnienia, zostawiało obszerne i swobodne dla wyobraźni pole. Umysł ludzki lubi te imponujące wielkością pomysły o istotach nadprzyrodzonych, dla których w morzu najwłaściwsze zdaje się być miejsce — jedyne, w którym mogą rodzić się i wzrastać te olbrzymy, w porównaniu z którymi ziemskie słonie, nosorożce itd. są karłami. Wszak ogromna masa wód morskich unosi największe gatunki znanych zwierząt ssących<sup>28</sup> i może ukrywa mięczaki niezrównanej wielkości, skorupiaki przerażające powierzchownością, np. homary stu metrów długości lub kraby (raki morskie) ważące po dwieście ton! Dlaczegoż by nie? Niegdyś zwierzęta ziemskie współczesne epokom geologicznym, czworonożne i czwororęczne, gady, ptaki, miały olbrzymie rozmiary. Nadaną im przez Stwórcę formę kolosalną czas zmniejszył powoli; ale czemuż by morze w swych głębiach nieznanymi nie miało przechować tych okazów życia innego okresu, skoro samo nie ulega zmianom takim, jakim ulega jądro ziemi, ciągle się prawie zmieniające? Czemuż by morze nie miało przechować w swym łonie ostatnich odmian tych rodzajów tytanicznych, dla których wiek jest rokiem, tysiąc lat — wiekiem?

Otóż dałem się porwać marzeniom, których podtrzymywać nie powinienem. Precz z urojeniami, przez rozważanie czasów ubiegłych zmieniającymi się dla mnie w straszną rzeczywistość. Powtarzam raz jeszcze, ustaliła się była opinia co do natury owego zjawiska: przyjęto bez sporu naukę o istnieniu ogromnego stworzenia, niemającego nic wspólnego z bajecznymi węzami morskimi.

Lecz gdy jedni widzieli w tym tylko zagadnienie czysto naukowe, inni, pozytywniejsi<sup>29</sup>, mianowicie Amerykanie i Anglicy, byli zdania, że trzeba ocean oczyścić z tego nie-

<sup>23</sup>*narwał pospolity* — gatunek walenia żyjący w wodach strefy arktycznej. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*nadwyrężyć* a. *nadwierać* — osłabić, nadszarpanąć przez zbytni wysiłek; dziś tylko książk. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*steamer* (ang.) — parowiec. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*halabarda* — broń składająca się z siekiery, grotu i haka, umiejscowionych na długim drzewcu. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*dziesięćkroć* — dziś popr.: dziesięciokrotnie. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*zwierzęta ssące* — dziś: ssaki. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*pozytywny* — tu: o poglądach pozytywistycznych. [przypis edytorski]

bezpiecznego potwora i tym sposobem zapewnić swobodną żeglugę. Dzienniki przemysłowe i handlowe z tego głównie punktu kwestię traktowały. „Shipping and Mercantile Gazette”, „Lloyd”, „Paquebot”, „Revue Maritime et Coloniale” jako przychylnie towarzystwom ubezpieczeń, które groziły podwyższeniem opłat — jednomyślnie oświadczyły się za tym.

Wobec takiego zdania opinii publicznej, Stany Zjednoczone pierwsze się oświadczyły z chęcią uczynienia jej zadość. W Nowym Jorku gotowano się do ścigania narwala. „Abraham Lincoln”, fregata szybka i opatrzona ostrogą, sposobila się do rychłego wypłynięcia na morze, a dowódca jej, Farragut, zbroił się na gwałt, biorąc wszystko, co mu było potrzebne z arsenałów stojących dla niego otworem.

Od chwili właśnie, w której decydowano się ścigać potwora, potwór nie pokazał się więcej! Tak to bywa zwykle. Przez dwa miesiące nikt o nim ani slyszal, żaden go okręt nie spotkał. Zdawało się, że jednorożec wiedział o spisku, jaki się knuje przeciw niemu. Bo też tyle o nim gadano, nawet za pomocą kabla telegrafu transatlantyckiego! Żartownisie utrzymywali, że ten mądry szpaczek pochwycił w drodze telegram i skorzystał z niego.

Fregatę uzbrojono jak na daleką wyprawę, zaopatrzone w ogromne do połowu przyrządy, lecz nie wiedzano, w którą skierować ją stronę. Niecierpliwość wzrastała z dniem każdym — gdy wtem dnia z lipca dowiedziano się, że „Tampico”, parowiec krążący na linii z San Francisco w Kalifornii do Szanghaju, spostrzegł przed trzema tygodniami znowu potwora na północnych morzach Oceanu Spokojnego.

Wiadomość ta sprawiła nadzwyczajne wrażenie. Nie pozwolono Farragutowi na dwadzieścia cztery godziny zwłoki. Okręt jego zaopatrzony już był w żywność i węgiel. Z załogi nie brakowało ani jednego człowieka; pozostało tylko rozniecić ogień pod kotłami, wydobyć z nich parę i odpłynąć — czego też sam dowódca pragnął najgoręcej.

Na trzy godziny przed wyjściem „Abrahama Lincolna” z Brooklynu, otrzymałem list treści następującej:

Do pana Aronnax'a  
Profesora Muzeum Paryskiego  
*Fifth Avenue Hotel*  
*w Nowym Jorku.*

Panie!

Jeśli pan chcesz uczestniczyć w wyprawie, którą przedsięwzięje „Abraham Lincoln”, rząd Stanów Zjednoczonych z przyjemnością będzie widział Francję reprezentowaną przez pana w tym przedsięwzięciu. Kapitan Farragut zatrzymał kajutę do pańskiego rozporządzenia.

*Z głębokim szacunkiem*

*Sekretarz marynarki J. B. Hobson.*

## „JAK IM SIĘ PODOBA”

Na trzy sekundy przed nadejściem listu pana J. B. Hobsona tylem myślał o ściganiu jednorożca, co o poszukiwaniu północno-zachodniego przejścia podbiegunowego. W trzy sekundy po odczytaniu listu czcigodnego sekretarza marynarki byłem dostatecznie przekonany, że prawdziwym celem mojego życia było ściganie tego potwora i uwolnienie świata od niego.

A jednak powracałem z przykrej podróży, strudzony i spragniony wypoczynku. Tęskniłem za moim krajem, za moimi przyjaciółmi, za moim mieszkaniem w Ogrodzie Botanicznym, za moimi kasztanami i kochanymi zbiorami. Lecz nic nie mogło mnie zatrzymać. Zapomniałem o wszystkim: o trudach, przyjaciółach, zbiorach — i anim się zawałał przyjąć ofiarę rządu amerykańskiego.

Zresztą, myślałem sobie, wszystkie drogi prowadzą do Europy, jednorożec będzie zapewne tak grzeczny, że mnie doprowadzi do wybrzeży francuskich. Szlachetne to zwierzę da się złapać na morzach Europy dla mojej jedynie przyjemności — wskutek czego będę mógł złożyć w paryskim Muzeum Historii Naturalnej przynajmniej pół metra jego halabardy kościanej.



Tymczasem jednak wypadło szukać narwala w północnej stronie Oceanu Spokojnego, co równało się powrotowi do Francji drogą na antypody.

— Conseil! — zawołałem głosem niecierpliwym.

Conseil był to mój służący. Przywiązany ten chłopiec towarzyszył mi we wszystkich podróżach. Był to dzielny Flamandczyk, którego lubiłem i który mi się takim samym wywzajemniał uczuciem. Flegmatyk z natury, akuratywny<sup>30</sup> z zasady, gorliwy z nawyknięcia, nie dziwił się nadzwyczajnościom życia; bardzo był biegły w robocie ręcznej, sposobny do wszystkiego i na przekór swemu imieniu nigdy nie radził<sup>31</sup>, nawet gdy tego żądano od niego.

Ocierając się o uczonych naszego wielkiego światka w Ogrodzie Botanicznym, Conseil nabył niejakiach wiadomości. Miałem w nim bardzo biegłego specjalistę w klasyfikacjach przedmiotów należących do historii naturalnej, przebiegającego ze zręcznością akrobaty całą drabinę działów, grup, gromad, rządów, rodzin, rodzajów, podrodzajów, gatunków i odmian. Lecz tu był kres jego wiadomości. Klasyfikowanie było jego życiem, jego namiętnością, ale też nic więcej nie umiał. Bardzo biegły w teorii klasyfikacji, mało obeznany z praktyką, nie umiałby, jak sądzę, odróżnić potfiszka od wieloryba; mimo to był dzielnym i zacnym chłopcem.

Conseil od dziesięciu lat jeździł wciąż ze mną wszędzie, gdzie mnie ciągnęło pragnienie nauki. Nigdy najmniejszej nie pozwolił sobie poczynić uwagi nad długością albo trudami podróży; ohotnie pakował walizę do jakiego bądź kraju, do Chin czy Kongo, choćby najodleglej<sup>32</sup> położonego. Jechał wszędzie z jedną gotowością, a przy tym taki był zdrów, że mógł sobie żartować ze wszystkich chorób; muskuły miał tęgic, ani śladu nerwów — rozumie się w znaczeniu moralnym.

Miał lat trzydzieści — a wiek ten do wieku jego pana miał się jak piętnaście do dwudziestu. Proszę mi darować, że w taki sposób przyznaję się do mojej czterdziestki.

Jednakże Conseil miał jedną wadę. Formalista zaciekle, mówił do mnie zawsze w trzeciej osobie, co w końcu nawet drażniło.

— Conseil! — zawołałem powtórnie, zabierając się ręką drżącą z niecierpliwości do przygotowań podróży.

Byłem pewien gotowości mego chłopca i zazwyczaj nie pytałem go nigdy, czy chce lub nie chce jechać ze mną w podróż; teraz jednak chodziło o wyprawę, która mogła się przeciągnąć bardzo długo, o przedsięwzięcie zuchwałe, bo o ściganie zwierzęcia, które mogło zatopić fregatę jak łupinę orzecha! Było się nad czym zastanowić, nawet człowiekowi najobojętniejszemu w świecie. Co też powie Conseil?

— Conseil! — krzyknąłem po raz trzeci.

Conseil wszedł.

— Czy to mnie wołają? — zapytał.

— Tak, mój chłopcze. Przygotuj wszystko do podróży. Za dwie godziny pojedziemy.

— Jak im się podoba — spokojnie odpowiedział Conseil.

— Nie mamy ani chwili do stracenia. Zapakuj w moją walizę wszystkie moje przybory podróżne, suknie, koszule, obuwie itd., nie przebierając, byle jak najprędzej.

— A zbiory ich? — zauważył Conseil.

— Później się nimi zajmiemy.

— Jak to! A archioteria i hyracotheria<sup>33</sup>, oreodonty<sup>34</sup>, cheropotamy<sup>35</sup> i inne ich szkielety i kadłuby?

— Pozostaną w hotelu.

— A babirusa żywa<sup>36</sup>?

<sup>30</sup>akuratywny — dokładny. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>na przekór swemu imieniu nigdy nie radził — conseil po francusku znaczy: rada. [przypis redakcyjny]

<sup>32</sup>najodleglej — dziś popr.: najdalej. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>hyracotheria (łac. *Hyracotherium*) — daleki przodek konia. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>oreodonta — grupa przeżuwających ssaków kopytnych o krótkim pysku i kłach przypominających ciosy, tzw. przeżuwające świnię. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>cheropotamy — ssaki z rodziny świniowatych, zamieszkujące Afrykę i Madagaskar. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>babirusa — zwierzę z rodziny świniowatych żyjące dziko na wyspach Indonezji, wyróżniające się gęstą sierścią (czarną lub zlocistą) oraz pokaźnymi ciosami. [przypis edytorski]

— Żyć ją tu będą przez czas naszej nieobecności. Zresztą wydam rozporządzenia, aby nam do Francji wysłano całą naszą menażerię<sup>37</sup>.

— Więc nie powrócimy do Paryża? — zapytał Conseil.

— I owszem... Tak... Tak... — odpowiedziałem, wykręcając się — ale musimy trochę zboczyć z drogi.

— Jak im się podoba.

— Oh! To będzie drobnostka! Trochę zboczymy z drogi, nic więcej! Pojedziemy na fregacie „Abraham Lincoln”.

— Jak im będzie najwygodniej — spokojnie odpowiedział Conseil.

— Ty wiesz, mój przyjacielu, tu chodzi o potwora... O sławnego narwala... Pojedziemy, aby oczyścić z niego morza! Autor dzieła *in quarto* w dwóch tomach: *O tajemnicach wielkich głębin podmorskich* nie może odmówić uczestniczenia w tej wyprawie zaszczytnej... Lecz niebezpiecznej zarazem! Nie wiadomo, dokąd jedziemy! Te bestie mogą być bardzo kapryśne! Lecz pomimo to pojedziemy, tym bardziej z tak dzielnym jak Farragut dowódcą.

— Co zrobisz, to i ja uczynię — odpowiedział Conseil.

— Ale pomyśl dobrze, bo nie chcę nic ukryć przed tobą. Jest to jedna z tych podróży, z których się nie zawsze powraca.

— Jak im się podoba.

W kwadrans potem nasze pakunki były gotowe. Conseil tego się uwinął i pewien byłem, że nic nie brakowało, bo on koszule i suknie klasyfikował równie dobrze jak ptaki i zwierzęta ssące.

Windą hotelową zjechaliśmy do wielkiego przedsiönka w antresoli<sup>38</sup>, skąd kilka już na dół prowadziło tylko schodków. Zapłaciłem rachunek w kantorze zawsze napelnionym interesantami. Dałem zlecenie, aby wysłano do Paryża moje paki ze zwierzętami wypchanymi i zasuszonymi roślinami; zapewniłem otwarty kredyt dość znaczny dla barbarusy i wraz z Conseil'em wskoczyłem do powozu.

Za dwadzieścia franków powieziono nas z Broadway drogą na Union Square, Czwartą Avenue do rogu Bovery Street, skąd przez Katrine Street do 34 przystani. Tam powóz nasz wjechał na prom i dotarliśmy w ten sposób do Brooklynu, wielkiego przedmieścia Nowego Jorku rozłożonego na lewym brzegu rzeki Wschodniej<sup>39</sup>, a w kilka minut potem byliśmy w przystani, gdzie „Abraham Lincoln” otworami dwóch swoich kominów wyrzucał gęste kłęby czarnego dymu.

Bagażę nasze bezzwłocznie przeniesione zostały na pomost fregaty. Wskoczyłem na pokład i zapytałem o dowódcę Farraguta. Jeden z majtków zaprowadził mnie do dziarskiego oficera, który, wyciągając rękę, rzekł:

— Pan Piotr Aronnax?

— Ja sam — odpowiedziałem. — Dowódca Farragut?

— W swojej własnej osobie. Witam pożądanego gościa w osobie szanownego profesora. Kajuta pańska jest na pańskie usługi.

Nie chcąc kapitanowi przerywać zatrudnień jego przed odjazdem, poprosiłem, aby mnie zaprowadzono do przeznaczonej mi kajuty.

„Abraham Lincoln” i wybrany był doskonale, i bardzo dobrze zaopatrzony, odpowiednio do swego przeznaczenia. Była to fregata wielkich rozmiarów, z przyrządami przegrzewającymi parę, które dozwalały doprowadzić jej ciśnienie do siedmiu atmosfer. Pod takim ciśnieniem średnia szybkość fregaty wynosiła osiemnaście i trzy dziesiąte mili na godzinę; prędkość to bardzo znaczna, ale jeszcze niedostateczna do walki z olbrzymim potworem.

Urządzenie wewnętrzne fregaty odpowiadało jej przymiotom<sup>40</sup> żeglugowym. Byłem bardzo zadowolony z mojej kajuty, położonej na rufie w obrębie obwodu oficerskiego.

— Wygodnie nam tu będzie — rzekłem do Conseil'a.

— Tak wygodnie, z przeproszeniem pana — odpowiedział Conseil — jak rakowi pustelnikowi w ślimaczej skorupie.

<sup>37</sup>menażeria — dzikie zwierzęta w klatkach pokazywane publiczności. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>antresola — półpiętro, zwykle między parterem a pierwszym piętrem. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>rzeka Wschodnia — West River. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>przymioty — cechy; zalety. [przypis edytorski]

Pozostawiłem Conseil'a zajętego naszymi tłumokami<sup>41</sup>, a sam wyszedłem na pomost, aby się przypatrzeć przygotowaniom do podróży.

W tej chwili kapitan Farragut kazał odwiązać ostatnie łańcuchy przytrzymujące okręt w przystani Brooklynu. Tak więc, gdybym się był spóźnił o kwadrans, mniej może nawet, byłbym stracił sposobność odbycia tej wyprawy nadzwyczajnej, nadprzyrodzonej, nieprawdopodobnej, której opis, jakkolwiek rzetelny, może obudzić niedowierzanie.

Kapitan nie chciał tracić ani jednego dnia, ani jednej godziny, aby jak najprędzej dostać się na morza, na których spodziewano się spotkać potwora. Kazał zawołać głównego mechanika.

— Czy mamy dosyć pary? — zapytał.

— Tak jest — odpowiedział mechanik.

— *Go ahead*<sup>42</sup>! — zawołał kapitan.

Na ten rozkaz przesłany maszynie za pomocą ścieśnionego powietrza, maszyniści puścili parę, która ze świstem wpadła do szybrów<sup>43</sup> wół otwartych. Długie, poziome drągi tłoków jęknęły, ruszyły z miejsca tryby wału, a śmigi śruby poczęły uderzać o fale ze wzrastającą szybkością i „Abraham Lincoln” poważnie<sup>44</sup> wypłynął, otoczony mnóstwem małych statków parowych zapchanych ciekawymi, którzy go odprowadzali.

Przystań Brooklynu i cała część Nowego Jorku leżąca nad brzegiem rzeki Wschodniej, roily się od tłumów ludności. Pół miliona piersi wyrzuciło w powietrze trzykrotne „hurra!”. Tysiące chustek unoszących się ponad tym tłumem, powiewały ku fregacie aż do jej przybycia na wody Hudsonu, to jest do krańca tego przedłużonego półwyspu, który tworzy miasto Nowy Jork.

Wtedy fregata, płynąc od strony New Jersey wzdłuż prawego brzegu rzeki, cudnymi zasianego willami, przeszła pomiędzy fortami, które powitały ją wystrzałem swych dział największego kalibru. „Abraham Lincoln” odpowiedział trzykrotnym podniesieniem i opuszczeniem flagi amerykańskiej, której trzydzieści dziewięć gwiazd błyszczało na wierzchołku tylnego masztu. Potem, zwalniając bieg dla wypłynięcia na kanał zachodzący w zatokę utworzoną przez cypel Sandy Hook, przesunął się raz jeszcze około tej ławy piaszczystej, z której biegle pożegnanie tysiąca widzów.

Godzina trzecia wybiła. Pilot wskoczył do swego czółna i podpłynął do goletki<sup>45</sup> oczekującej nań pod wiatrem. Wówczas ogień podsycono, śruba uderzyła o fale jeszcze gwałtowniej; fregata popłynęła wzdłuż niskiego i żółtego brzegu Long Island, a o godzinie ósmej wieczorem całą siłą pary pędziła już po szarych wodach Atlantyku.

## NED LAND

Kapitan Farragut dzielny był marynarzem, godnym fregaty, którą dowodził; on i jego okręt — była to jedna całość, jedna dusza. O potworze nie wątpił ani na chwilę i na pokładzie swego statku najmniejszego nie dozwalał zaprzeczenia jego istnieniu. Pojmował potwora jak Żydzi Lewiatana, wiarą, a nie rozumem. Potwór istniał według niego, on więc przysięgł, że uwolni morza od potwora. Był to pewien rodzaj kawalera rodyjskiego<sup>46</sup>, jakiś Dieudonné de Gozon idący na spotkanie węża niszczącego jego wyspę. Albo kapitan Farragut zabije narwala, albo narwal zabije kapitana Farraguta. Inaczej być nie mogło według jego rozumienia.

Oficerowie załogi podzielali zdanie swego zwierzchnika. Trzeba ich było słyszeć jak rozmawiali, sprzeczali się, obliczali różne szanse spotkania z potworem; jak rozważali niezmierną oceanu rozległość. Niejeden z nich wchodził na maszt strażniczy, by pełnić tam z dobrej woli służbę, którą by przeklinał w każdym innym razie. Przez cały dzień majtkowie wdrapywali się na maszty, jakby im pomost okrętowy piekł nogi; nie mogli wytrzymać na miejscu. A jednak „Abraham Lincoln” nie prui jeszcze dotąd podejrzanych wód Oceanu Spokojnego.

<sup>41</sup>tłumok — tobotek; pakunek. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*go ahead* (ang.) — naprzód. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>szyber — zasuw służąca do regulacji ciągu powietrza w kanale kominowym. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>poważnie — tu: majestatycznie. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>goletka — mała żagłówka. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>kawaler rodyjski — członek zakonu rycerskiego powołanego do życia w XII w. w Jerozolimie. [przypis edytorski]

Co do załogi, ta z upragnieniem czekała na spotkanie jednoroźca, aby go ułowić, wciągnąć na pokład, obdrzeć ze skóry i poćwiartować. Z natężoną uwagą obserwowała morze. Zresztą kapitan Farragut przyrzekał 2 000 dolarów temu z chłopców okrętowych, majtków, podoficerów lub oficerów, który pierwszy dostrzeże i wskaże potwora. Łatwo zgadnąć jak się oczy wyteżały na pokładzie „Abrahama Lincolna”.

Co do mnie, przyznam się, że nie usępowałem innym i jak wszyscy codziennie czuwałem. Fregatę najwłaściwiej byłoby teraz nazwać „Argusem”. Sam tylko Conseil obojętnością swoją stanowił rażącą sprzeczność z zapalem ożywającym wszystkich.

Powiedziałem już, że kapitan Farragut starannie zaopatrzył swój okręt we wszystko, co było potrzebne do złowienia olbrzymiego wieloryba. Statek płynący umyślnie na połów wielorybów nie mógłby lepiej być uzbrojony. Posiadaliśmy wszystkie przyrządy znane, od harpuna rzucającego ręką, aż do działek wyrzucających strzały haczykowate i kule wybuchające. Na przednim pokładzie stało wielkie odcylkowe działo udoskonalone, o bardzo grubych ścianach a bardzo wąskim wylocie, którego model miał być wystawiony na Wystawie Powszechnej w 1867 r. Szacowne to narzędzie pochodzenia amerykańskiego wyrzucało pocisk stożkowy ważący cztery kilogramy na odległość szesnastu kilometrów.

A zatem „Abraham Lincoln” dobrze był zaopatrzony we wszystkie narzędzia niszczące: ale, co najważniejsza, na pokładzie jego znajdował się Ned Land, król oszczepników.

Ned Land miał lat około czterdziestu. Był to mężczyzna ogromnego wzrostu (przeszło sześć stóp angielskich<sup>47</sup>), silnie zbudowany, o twarzy poważnej; mało mówił, był niekiedy gwałtowny, a wpadał w szalony gniew, gdy mu się sprzeciwiano. Cała postać jego zwracała na siebie uwagę, a wejrzenie<sup>48</sup> jego dziwnie było przenikliwe.

Sądzę, że kapitan Farragut rozumnie postąpił, przyjmując tego człowieka na pokład swej fregaty. W obecnej wyprawie ręka jego i oko starczyły za całą załogę. Nie mógłbym go z niczym lepiej porównać jak z potężnym teleskopem będącym zarazem armatą, w każdej chwili gotową do strzału.

Kanadyjczyk znaczy toż samo prawie co Francuz i widać, że narodowość nęciła go ku mnie, bo pomimo swej małomówności Ned Land okazywał mi wyraźną sympatię. Rozmawiał ze mną często i wtedy słuchałem bacznie owego języka, którym mówił jeszcze Rabelais, a który dotąd jest w użyciu w niektórych prowincjach Kanady. Rodzina oszczepnika pochodziła z Quebecu i stanowiła pokolenie śmiałych rybaków w owej już epoce, gdy to miasto należało jeszcze do Francji.

Z wolna Ned zasmakował w rozmowie i lubiłem słuchać opowiadań jego o wypadkach, których doznał na morzach podbiegunowych. Z wdziękiem naturalnej poezji opisywał on swoje łowy i walki; opowiadania jego przybierały formę epiczną i zdawało mi się, że słyszę jakiegoś Homera kanadyjskiego śpiewającego *Iliadę* krain leżących na krańcu północy.

Opisuję tu śmiałego towarzysza takim, jakim go znałem rzeczywiście; bo chociażśmy się postarzeli, pozostaliśmy przyjaciółmi — przyjaźń zaś nasza zrodziła się i zawiązała wśród najstraszniejszych wypadków i okoliczności. Chciałbym żyć sto lat jeszcze, żeby cię dłużej wspominać, dzielny mój Nedzie!

Zobaczmyż, jakie było zdanie Neda Landa o potworze morskim. Nie bardzo on wierzył w jednoroźca i sam jeden ogólnej pod tym względem na statku nie podzielał opinii; unikał nawet starannie rozmowy o tym przedmiocie, w którym jednakże pragnąłem go wy badać.

Pewnego ślicznego wieczora, 30 lipca, to jest w trzy tygodnie po naszym wyjeździe, fregata znajdowała się na wysokości Przylądka Białego, o trzydzieści mil od wybrzeży patagońskich. Minęliśmy już Zwrotnik Kozioroźca, a Cieśnina Magellana była oddalona od nas tylko o 700 mil w kierunku południowym. Za tydzień „Abraham Lincoln” pruć będzie fale Oceanu Spokojnego. Ja i Ned Land siedzieliśmy na rufie, rozmawiając o tym i owym, spoglądając na to tajemnicze morze, którego głębin dotąd oko ludzkie zbadać nie zdołało. Naturalnie naprowadziłem rozmowę na olbrzymiego jednoroźca, zastanawiając się nad wszystkimi widokami powodzenia naszej wyprawy; widząc, że Ned pozwala mi mówić a sam uporczywie zachowuje milczenie, chciałem go zmusić do odpowiedzi.

<sup>47</sup>sześć stóp angielskich — ok. 180 cm. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>wejrzenie — spojrzenie. [przypis edytorski]

— Jak to być może, Ned — zapytałem — abyś nie był przekonany o istnieniu potwora, którego ścigamy? Czy masz jakieś własne powody do niewierzenia?

Wielorybnik patrzył na mnie przez chwilę, zanim odpowiedział; uderzył się ręką w szerokie czoło, co zresztą czynił dosyć często, przymrużył oczy, jakby dla zebrania myśli — i nareszcie rzekł:

— Być może, panie Aronnax.

— Jednakże, mój drogi, jako wielorybnik z rzemiosła, oswojony z wielkimi zwierzętami ssącymi żyjącymi w morzu — ty, którego wyobraźnia z łatwością powinna się zgodzić na przypuszczenie istnienia wielorybów niezmiernej wielkości, moim zdaniem, powinien być najmniej ze wszystkich okazywać niedowierzania i pod tym względem.

— W tym właśnie mylisz się, panie profesorze — odrzekł Ned. — Pospółstwo może wierzyć w komety nadzwyczajne przestwór przebiegające lub w istnienie potworów przedpotopowych zaludniających wnętrza kuli ziemskiej — lecz ani astronom, ani geolog nie uwierzy w takie chimery<sup>49</sup>. Tak samo i wielorybnik. Ścigałem już mnóstwo wielorybów wszelkiego gatunku; nachwytałem i nazabijałem ogromną liczbę; lecz jakkolwiek dzielnie były uzbrojone, nie spotkałem takiego, co by ogonem swym lub zębem mógł uszkodzić żelazne okucie okrętu.

— A jednakże wymieniają statki przebite na wskroś zębem narwała.

— Statki drewniane, być może — odpowiedział Kanadyjczyk — a i tych nawet nie widziałem jeszcze. Więc dopóki mieć nie będę dostatecznie przekonywającego dowodu, zaprzeczam, aby wieloryb, potfisz lub jednorożec morski mogły dokazać czegoś podobnego.

— Posłuchaj mnie, Ned...

— Nie, panie profesorze, nie! Zrobię co chcesz, wyjąwszy to. Czy czasem nie zechcesz mi pan mówić o ósmionogu<sup>50</sup> olbrzymim?

— Bynajmniej, ósmionóg jest mięczakiem, a sama już ta nazwa wskazuje wątłość jego ciała. Choćby miał pięćset stóp długości, ósmionóg nie należy do działu kręgowych, nie może być niebezpieczny dla takich okrętów jak „Scotia” lub „Abraham Lincoln”. Trzeba więc do rzędu bajek zaliczyć wszystkie świetne czyny krakenów i innych potworów tego rodzaju.

— A więc, panie przyrodniku — rzekł Ned Land tonem sarkastycznym — obstajesz pan przy swoim i przypuszczasz istnienie jakiegoś ogromnego wieloryba?

— Tak jest, Ned, powtarzam ci to z przekonaniem opartym na logice faktów. Wierzę w istnienie zwierzęcia ssącego potężnie zbudowanego, z rodzaju grzbietnych jak wieloryby, potfisz lub delfiny, uzbrojonego zębem czy rogiem, którego siła niszcząca jest straszna.

— Hm! — mruknął wielorybnik, potrząsając głową jak człowiek niedający się przekonać.

— Zgodzisz się na to, mój zacny Kanadyjczyku — mówiłem dalej — że jeśli takie zwierzę istnieje, jeśli zamieszkuje głębie oceanu, jeśli przebywa w płynnych warstwach o kilka mil pod powierzchnią wód, to zapewne musi posiadać organizm silny, z niczym porównać się niedający.

— A na cóż mu ten organizm? — zapytał Ned.

— Bo trzeba siły niezmiernej, aby się utrzymać w warstwach tak głębokich i oprzeć się ich ciśnieniu.

— Doprawdy? — rzekł Ned, patrząc na mnie przymrużonym okiem.

— Tak jest i bez trudności cyframi ci tego dowiodę.

— Cyframi! — zawołał Ned. — Wiem, że papier jest cierpliwy i cyfry na nim ustawiać można jak się komu spodoba.

— W interesach, mój drogi — ale nie w matematyce. Posłuchaj. Przypuśćmy, że ciśnienie jednej atmosfery wyrażać się będzie przez ciśnienie kolumny wody 32 stóp wysokości. W rzeczywistości kolumna wody byłaby mniej wysoka, ponieważ idzie tu o wodę morską, której gęstość, a więc i ciężar, jest większa, aniżeli wody słodkiej. Otóż, gdy się zanurzasz, to ile razy po trzydzieści dwie stopy wody jest nad twoim ciałem, tyle atmosfer

<sup>49</sup>chimera — urojenie; ułuda. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>ósmionóg — dziś: ośmiornica. [przypis edytorski]

ciało twoje wytrzyma ciśnienia; to jest jeden kilogram na każdy centymetr kwadratowy jego powierzchni. Stąd wynika, że przy zanurzeniu się na trzysta dwadzieścia stóp, ciśnienie dochodzi do dziesięciu atmosfer; przy trzech tysiącach dwustu stopach — stu atmosfer; a przy trzydziestu dwóch tysiącach stóp — tysiąca atmosfer. Inaczej tak by to można wyrazić: jeśli zdołasz dojść do takiej głębi oceanu, to wówczas każdy centymetr kwadratowy powierzchni twego ciała wytrzyma ciśnienie tysiąca kilogramów. A wiesz, mój drogi, ile powierzchnia twego ciała może mieć centymetrów kwadratowych?

— Ani się tego domyślam, panie Aronnax.

— Około siedemnastu tysięcy.

— Tylko tyle?

— A ponieważ ciśnienie atmosferyczne jest cokolwiek większe niż waga jednego kilograma na centymetr kwadratowy, więc twoje siedemnaście tysięcy centymetrów kwadratowych wytrzymują w tej chwili ciśnienie siedemnastu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu ośmiu kilogramów.

— I ja ani wiem o tym?

— A ty ani wiesz o tym. I jeśli nie jesteś zdruzgotany takim ciśnieniem to tylko dlatego, że powietrze z równym ciśnieniem przenika wewnątrz twego ciała. Stąd równowaga zupełna pomiędzy ciśnieniem wewnętrznym i zewnętrznym, które się zobojętniają i to ci dozwala wytrzymać je bez trudności. Lecz w wodzie rzecz całkiem inna.

— Tak jest, rozumiem — odpowiedział Ned, słuchając uważnie — bo woda otacza mnie, a nie przenika.

— Właśnie dlatego, Ned. Otóż o trzydzieści dwie stopy pod powierzchnią morza musiałbyś wytrzymać ciśnienie siedemnastu tysięcy pięciuset sześćdziesięciu ośmiu kilogramów; o trzysta dwadzieścia stóp — dziesięć razy większe ciśnienie, czyli sto siedemdziesiąt pięć tysięcy sześćset kilogramów, o trzy tysiące dwieście stóp — sto razy większe ciśnienie, czyli tysiąc siedemset pięćdziesiąt sześć tysięcy osiemset kilogramów; o trzydzieści dwa tysiące stóp nareszcie — tysiąc razy większe ciśnienie, czyli siedemnaście milionów pięćset sześćdziesiąt osiem tysięcy kilogramów. To jest, że byłbyś zgnieciony i spłaszczony jak gdyby cię wyciągnięto z prasy hydraulicznej.

— Do licha! — krzyknął Ned.

— Otóż, mój zacny wielorybniku, jeśli zwierzęta długości kilkuset stóp i odpowiedniej objętości przebywają w podobnych głębinach, to gdy powierzchnia ich ciała wynosi miliony centymetrów kwadratowych, wytrzymywać one muszą miliardy kilogramów ciśnienia. Oblicz więc, jaki musi być opór ich szkieletu kostnego i jaka potęga ich organizmu, aby takiemu ciśnieniu oprzeć się zdołały.

— Muszą chyba — odpowiedział Ned Land — być wyrobione z blach żelaznych ośmiocalowych jak fregaty opancerzone.

— Tak jest, mój kochany! Pomyśl zatem o zniszczeniu, jakie może wyrządzić taka masa rzucająca się na okręt z szybkością pociągu pośpiesznego.

— Tak... Rzeczywiście... Być może... — bąkał Kanadyjczyk zachwiany moim rachunkiem, ale nie chcąc się poddać.

— Więc cię przekonałem?

— Przekonałeś mnie o jednej rzeczy, panie przyrodniku; że jeśli podobne istoty istnieją w głębi mórz, to koniecznie muszą być tak silne jak mówisz.

— Ale jeśli nie istnieją, wielorybniku, to czymże usprawiedliwisz wypadek, jaki się zdarzył okrętowi „Scotia”?

— To może być... — odparł Ned wahająco.

— Cóż może być?

— Że... To nieprawda! — dokończył Kanadyjczyk, powtarzając mimowiednie słynną odpowiedź pana Arago.

Lecz ta odpowiedź dowodziła tylko uporu wielorybnika i nic więcej. Tęgo dnia nie nalegałem już więcej. Wypadek z okrętem „Scotia” nie ulegał najmniejszej wątpliwości; trudno bowiem zaprzeczyć istnieniu ogromnej dziury, którą zatkać było potrzeba. Otóż ta dziura nie powstała sama z siebie; a ponieważ ani skały podmorskie, ani pale podwodne nie przedziurawiły spodu tego okrętu, więc musiał go przedziurawić ostry ząb zwierzęcia.

Według mego zdania i z powodów wyżej przytoczonych, zwierzę to należało do działu kręgowych, do klasy ssących, do grupy rybokształtnych, a ostatecznie przeto do rzędu

wielorybów. Pod względem rodziny mógł to być wieloryb, potfisz lub delfin, co zaś do rodzaju i gatunku to się dopiero wyjaśni. Dla rozwiązania tej kwestii potrzeba pokrajać tego nieznanego potwora; aby zaś go pokrajać, trzeba go zabić, co już należy do naszego oszczepnika Neda Landa; aby zaś zabić potwora, trzeba go zobaczyć, a to już rzecz załogi; aby wreszcie zobaczyć go, trzeba go spotkać, a to już będzie rzeczą wypadku.

## NA LOS SZCZĘŚCIA

Przez pewien czas nic się w podróży naszej nie zdarzyło godnego uwagi, lecz nadeszła okoliczność, która dała nam poznać zadziwiającą zręczność Neda Landa i nauczyła nas, jaką ufność w nim pokładać można.

Na otwartym morzu, naprzeciwko Wysp Malwińskich, fregata napotkała wielorybników amerykańskich, którzy nas upewnili, że nic nie wiedzą o narwale. Lecz jeden z nich, kapitan okrętu „Monroe”, wiedząc, że Ned Land znajduje się na pokładzie naszego statku, prosił go o pomoc w złowieniu wieloryba, którego spostrzeżono z daleka. Kapitan Farragut, pragnąc dać oszczepnikowi sposobność do okazania swej sprawności, pozwolił mu udać się na pokład „Monroe”. Przypadek tak dobrze posłużył naszemu Kanadyjczykowi, że zamiast jednego wieloryba, w dwa wbił oszczepy — jednemu w samo serce, a drugiemu w bok, dopędziwszy go po kilku minutach pogoni.

Doprawdy, jeśli nasz potwór dostanie się kiedyś pod harpun Neda Landa, to nie ręczę za jego całość.

Fregata płynęła wzdłuż brzegu południowo-wschodniego Ameryki z wielką szybkością. Dnia 3 lipca byliśmy przy wejściu do Cieśniny Magellana, na wysokości Przylądka Dziewic. Lecz kapitan Farragut nie chciał płynąć przez to kręte przejście; kazał zawrócić tak, abyśmy opłynęli Przylądek Horn.

Cała załoga jednogłownie<sup>51</sup> uznała słuszność tego rozporządzenia. Bo w rzeczy samej, czyż podobna było przypuścić nawet, abyśmy spotkać mogli narwala w tej wąskiej cieśninie? Majtkowie utrzymywali, że nie przesunąłby się tamtędy, gdyż był „za wielki na to”.

Dnia 6 lipca około trzeciej po południu „Abraham Lincoln” opłynął o piętnaście mil na południe tę samotną wysepkę, tę skałę zapomnianą na krańcu lądu amerykańskiego, której marynarze holenderscy narzucili nazwę swego miasta rodzinnego, nazywając ją Przylądkiem Horn. Droga skierowana została na północo-zachód i następnego dnia śruba fregaty rozbijała już wody Oceanu Spokojnego.

— Baczność! Uwaga! — powtarzali majtkowie fregaty.

I rzeczywiście, wytężone oko całej ludności okrętowej nie spoczęło ani na chwilę, pomagając sobie jeszcze szklami lunet i perspektyw; obdarzeni darem widzenia w ciemności mieli tym więcej widoków pozyskania nagrody przyrzeczonej.

I ja także natężyłem wzrok i uwagę nie mniej od innych, chociaż nie nęcił mnie powab pieniędzy. Poświęcając zaledwie kilka minut na posiłek i kilka godzin na odpoczynek, obojętny na deszcz lub upał słoneczny, nie opuszczałem prawie pomostu okrętowego. Oparty o parapet dzioba lub na pomoście rufy fregaty, chciałem wzrokiem pożerałem białe smugi fal zaścieniające morze jak oko sięgało. Ileż to razy podzielałem wzruszenie sztabu lub załogi, gdy przypadkiem czarniawy grzbiet wieloryba wychylił się ponad fale! Pomost fregaty zapełniał się ludźmi; ze wszech stron tłumnie zbiegali się oficerowie i majtkowie; każdy zadyszany, okiem niespokojnym śledził wieloryba. Ja patrzyłem, jakbym oczy chciał wypatrzyć, a Conseil tymczasem, ze zwykłą sobie flegmą, powtarzał tonem spokojnym:

— Gdyby chcieli mniej trochę wytrzeszczać oczy, to lepiej i więcej widzieć by mogli.

Ale próżno to były wzruszenia! „Abraham Lincoln” zmienił kierunek, pędził na zwierrę wskazane i spotykał zwykłego wieloryba lub potfiszę uciekającego wśród potoków przekleństw.

Pogoda sprzyjała nam ciągle, podróż odbywała się w najlepszych warunkach. A choć była to zła pora roku półkuli południowej, bo lipiec tych stron odpowiada naszemu styczniowi — to jednak morze ciągle było spokojne i łatwo się dało ogarnąć okiem na znacznej przestrzeni wkoło okrętu.

<sup>51</sup>jednogłownie — jednomyślnie. [przypis edytorski]

Ned Land wciąż uporczywie nie wierzył w narwala; udawał nawet, że wcale nie pilnuje powierzchni morza, chyba że dostrzeżono wieloryba. A jednakże jego cudowna potęga wzroku mogła wyświadczyć wielkie usługi. Lecz zacięty Kanadyjczyk po osiem godzin na dzień spał lub czytał w swej kajucie. Wyrzucałem mu nieraz jego obojętność.

— Tam nie ma nic, panie Aronnax, a gdyby i było jakieś zwierzę, jakże dostrzec je mamy? Czy nie płyniemy na los szczęścia? Widziano, jak słycać, tego potwora na morzach Oceanu Spokojnego; gotowym temu wierzyć, ale dwa miesiące upłynęło już od tego spotkania, a wnosząc z temperamentu waszego narwala, nie lubi on długo przebywać w jednych okolicach. Posiada niezmierną łatwość przenoszenia się z miejsca na miejsce. Pan to lepiej ode mnie wiesz, panie profesorze; natura nic nie robi na opak i z pewnością zwierzęciu powolnemu z natury nie dałaby łatwości prędkiego poruszania się, gdyby mu to nie było koniecznie potrzebne. Jeżeli więc zwierzę istnieje nawet, to jest już bardzo daleko!

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. W rzeczy samej pędziliśmy na oślep. Ale cóż było robić? Dlatego też bardzo niepewne mieliśmy widoki powodzenia — a jednak nikt nie wątpił o dobrym skutku i każdy z majtków w zakład by poszedł, że niezadługo spotka się z narwalem.

Dnia 20 lipca pod 105 stopniem długości przerzaliśmy Zwrotnik Koziorożca, a 27 tego miesiąca przebyliśmy równik na 110 południku. Zanotowawszy to położenie, fregata zwróciła się bardziej na zachód i wplynęła na środek Oceanu Spokojnego. Kapitan Farragut myślał nie bez słuszności, że lepiej pilnować głębin, oddalając się od lądów i wysp, których i zwierzę unikało widocznie, „zapewne dlatego, że mało tam było wody”, jak mówił sternik. Fregata skręciła na pełny ocean i płynąc wzdłuż wysp Paumotu, Markizy i Sandwich (Hawajskich), przecięła Zwrotnik Raka pod 132 stopniem, po czym skierowała się ku Morzu Chińskiemu.

Byliśmy wreszcie w okolicy ostatnich igraszek potwora! Na pokładzie okrętu panował nadzwyczajny niepokój. Serca wszystkich były ogromnie, gotując sobie nieuniknione aneuryzm<sup>52</sup>. Cała załoga uległa nerwowej gorączce, której opisać nie zdołam. Nikt nie jadł, nikt o spaniu nie chciał myśleć. Lada pomyłka, przywidzenie, optyczne złudzenie majtka pełniącego straż na maszcie, wprawiały osadę w ruch, w szaleństwo, w jakiś stan drżenia; powtarzało się to ze dwadzieścia razy na dzień i zbyt gwałtownie oddziaływało na wszystkich, aby nie miała nastąpić wkrótce reakcja.

I rzeczywiście reakcja nastąpiła. Przez trzy miesiące — trzy miesiące, których dzień każdy był wiekiem — „Abraham Lincoln” przebiegł wszystkie północne wody Oceanu Spokojnego, goniąc za wszystkimi wskazanymi mu wielorybami, zbaczając często z drogi, przeskakując od jednego wybrzeża do drugiego, natężając parę nieraz z narażeniem maszyny — i tak spłądował wszystkie punkty na całej przestrzeni pomiędzy wybrzeżami Japonii i Ameryki. I nic, nic! Wszędzie tylko nieskończoność fal opustoszałych! Ani śladu czegoś, co by mogło być podobne do narwala olbrzymiego, do wysepki podwodnej, do szczątków rozbitego okrętu, do skały podwodnej lub czegokolwiek bądź nadprzyrodzonego!

Reakcja musiała nastąpić. Naprzód odwaga opuściła wszystkich, ustępując miejsca zwątpieniu. Na pokładzie okrętu zrodziło się nowe uczucie złożone w trzech dziesiątych ze wstydu, a w siedmiu dziesiątych ze wściekłości. Wszystkich gniewało to, że pozwolili się złapać na jakąś mrzonkę. Cały arsenał argumentów przez rok zbieranych posypał się jak grad i każdy myślał tylko o tym, jak powetować sobie godziny snu i posiłku tak głupio dotąd marnowane.

Ze zwykłą umysłowi ludzkiemu ruchliwością, z jednej ostateczności przerzucono się w drugą. Najgorętsi przedsięwzięcia stronnicy stali się teraz najzapaleńszymi<sup>53</sup> jego wrogami. Od najniższych warstw ludności okrętowej aż do sztabu, reakcja oświadczyła wszystkich; i gdyby nie szczególniejszy upór kapitana Farraguta, fregata z pewnością zawróciłaby ostatecznie na południe.

Bądź co bądź, to bezowocne poszukiwanie długo trwać nie mogło. „Abraham Lincoln” nic sobie nie miał do wyrzucenia, zrobiwszy wszystko, co było w jego mocy. Ni-

<sup>52</sup>aneuryzm — pulsujący guz powstały wskutek zwyrodnienia tętnicy. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>najzapaleńszy — najzarliwszy. [przypis edytorski]



gdy jeszcze załoga statku marynarki amerykańskiej nie dała więcej dowodów cierpliwości i gorliwości; nie ona winna była niepowodzeniu! Trzeba było powracać.

Przedstawiono to dowódcy statku — ale dowódca nie chciał nawet słuchać. Majtkowie nie ukrywali swego niezadowolenia, na czym służba ucierpieć musiała. Nie powiem, żeby to był bunt; ale przyszło do tego, że po dość długim oporze kapitan Farragut, jak niegdyś Kolumb, zażądał trzech dni zwłoki. Jeżeli w ciągu tych trzech dni potwór się nie ukáže, „Abraham Lincoln” powróci na morza europejskie.

Przyrzeczenie to dane dnia 2 listopada, dobry wywarło skutek, bo ożywiło upadającą odwagę załogi. Ze świeżą bacznością obserwowano ocean. Lunety znajdowały się w ciągłym ruchu gorączkowym. Było to wyzwanie ostateczne rzucone olbrzymiemu narwałowi, który, biorąc rzeczy logicznie, powinien był to wezwanie „stawienia się” wziąć do serca.

Dwa dni upłynęły. Fregata krążyła pod małą parą. Tysiącnych używano sposobów dla zwrócenia uwagi zwierzęcia lub wydobycia go ze stanu apatii, jeśli się znajdowało w tych okolicach. Między innymi zakładano ogromne kawały słoniny na przynętę, chociaż to tylko rekinom na pożytek poszło. We wszystkich kierunkach wysyłano łodzie na poszukiwania jak najdrobiazowsze, lecz i wieczór 4 listopada nadszedł, a nie wyjaśniła się tajemnica podmorska.

Nazajutrz, 5 listopada w południe, kończył się termin zwłoki żądanej. Po oznaczeniu pozycji, kapitan Farragut, wierny swemu przyrzeczeniu, miał zawrócić na południowy-wschód i opuścić stanowczo północne okolice Oceanu Spokojnego.

Fregata znajdowała się naówczas pod 31° 15' szerokości północnej i 136° 42' długości wschodniej. Od wybrzeży japońskich byliśmy o dwieście mil oddaleni. Noc się zbliżała, gęste chmury zakrywały tarczę Księżyca wchodzącego w pierwszą swą kwadrę<sup>54</sup>. Morze lekko bałwanilo się, rozbijając swe fale o przód fregaty.

W tej chwili stałem oparty o parapet z prawego boku okrętu, Conseil, spokojny i zimny, patrzył obojętnie przed siebie. Cała prawie załoga zawieszona na drabinkach sznurowych i linach, badała uważnie zaciemniający się coraz bardziej widnokrąg. Oficerowie, uzbrojeni wzrok lunetami, chcieli dojrzeć coś wśród zmroku. Niekiedy ponury ocean rozjaśnił się promykiem światła księżycowego przedzierającego się spoza chmur, po czym ślad światła rychło ginął w ciemnościach.

Przekonywałem się coraz więcej, że Conseil uległ wrażeniu ogólnemu i może po raz pierwszy w życiu nerwy tego zucha poruszyły się pod wpływem uczucia ciekawości.

— No, Conseil — odezwałem się — oto jeszcze ostatnia sposobność zarobienia dwóch tysięcy dolarów.

— Niech mi pozwolą powiedzieć — odrzekł Conseil — że nigdy nie liczyłem na tę nagrodę; choćby rząd Stanów Zjednoczonych przyrzekł i sto tysięcy dolarów nagrody, to ani bym o niej pomyślał.

— Masz słuszość, Conseil. Jest to głupia sprawa, w którą wdaliśmy się zbyt lekomyślnie. Straciliśmy wiele czasu i daremnie ulegaliśmy wzruszeniom. Od sześciu już miesięcy mogliśmy byli być we Francji...

— Do ślicznego ich mieszkanka, do ich muzeum. I byłbym już poklasyfikował ich szkielety! I babirusa byłaby już umieszczona w swojej klatce w Ogrodzie Botanicznym, ściągając tłumy ciekawych.

— Masz słuszość, Conseil, a jeszcze będą ludzie z nas żartowali, gdy powrócimy.

— W rzeczy samej — spokojnie odrzekł Conseil — sądzę, że będą żartowali z nich i wyznać muszę...

— Co wyznać musisz?

— Że będą mieli tylko to, na co zasłużyli.

— To prawda!

— Kiedy się ma zaszczyt być uczonym, jak my, nie wystawia się na...

Conseil nie mógł dokończyć swego komplementu: ogólną ciszę przerwał w tej chwili głos gromki. Był to głos Neda Landa, który wołał:

— Oho! Potwór, tam, pod wiatr... przerzyna nam drogę w poprzek!

<sup>54</sup>kwadra — faza Księżyca, podczas której widoczna jest połowa jego tarczy. [przypis edytorski]

## CAŁĄ SIŁĄ PARY

Na ten okrzyk cała załoga rzuciła się w stronę oszczepnika: dowódca, oficerowie, sternicy, majtkowie, chłopcy okrętowi, nawet maszyniści i palacze opuścili swe obowiązki; wydano rozkaz zatrzymania statku i fregata posuwała się już tylko siłą rozpędu.

Ciemność głęboka otaczała wszystko, a jakkolwiek Kanadyjczyk dobre miał oczy, pytałem sam siebie, jak i co mógł widzieć. Serce mi biło jak młotem.

Lecz Ned Land nie omylił się i wkrótce wszyscyśmy zobaczyli przedmiot, który on ręką wskazywał.

W odległości 240 sążni od fregaty, z prawego boku morze zdawało się jakby oświetlone po wierzchu. Nie było to proste zjawisko fosforescencji<sup>55</sup>. Potwór, zanurzony na kilka sążni pod powierzchnią wód, rzucał ten silny a niepojęty blask, o którym jednak wspominały raporty wielu dowódców okrętowych. Wspaniałe te promienie musiał wytwarzać czynnik wielkiej siły oświetlającej. Plama świetlna opisywała na morzu ogromny owal mocno wydłużony, w którego środku zbierało się ognisko rzucające blask olśniewający, zmniejszający się jednak stopniowo.

— Jest to nagromadzenie molekuł fosforycznych<sup>56</sup> — zawołał jeden z oficerów.

— Nie, panie — odpowiedziałem z przekonaniem. — Nigdy folady<sup>57</sup> ani salpy<sup>58</sup> nie wydają tak potężnego blasku. To światło jest wyraźnie natury elektrycznej... Zresztą patrz pan, patrz! Ono się porusza! Posuwa się naprzód, w tył! Rzuca się na nas!

Na fregacie dał się słyszeć jeden okrzyk ogólny.

— Milczenie! — zawołał kapitan Farragut. — Zwrócić okręt do wiatru! Ruch w tył!

Majtkowie rzucili się do steru, maszyniści do maszyn. Parę odwrócono natychmiast i „Abraham Lincoln”, zawracając od lewego boku, zakreślił sobą półkole.

— Ster na prawo! Maszyna naprzód! — krzyknął kapitan Farragut.

Rozkazy spełniono z szybkością; fregata nagle odsunęła się od świetlnego ogniska.

Mylę się. Chciałem powiedzieć, że chciała się odsunąć, lecz zwierzę nadprzyrodzone zbliżyło się do niej z szybkością dwa razy większą.

Oddychaliśmy zaledwie, oniemieliśmy i osłupieliśmy bardziej z zadziwienia, aniżeli z obawy. Zwierzę dopędzało nas jakby przez igraszkę.

Okrążyło fregatę pędzącą z szybkością czternastu węzłów i otoczyło ją warstwą elektryczności jak pyłem świetlnym. Potem odsunęło się na dwie lub trzy mile, pozostawiając za sobą smugę fosforyczną podobną do kłębow pary, jakie wyrzuca w tył lokomotywa pociągu pośpiesznego. Nagle od ciemnych krańców widnokregu, do których doszedł, potwór zawrócił się znowu ku fregacie z przerażającą szybkością i w odległości dwudziestu może stóp od niej zatrzymał się, przygasił nagle swój blask, nie zanurzając się jednak w wodzie, bo światło nie ulegało stopniowemu zmniejszaniu się, tylko nagle znikło. Potem ukazał się z drugiej strony okrętu, lecz nie wiadomo, jakim sposobem? Czy opłynął go, czy też przesunął się pod jego spodem. Niebezpieczeństwo zetknięcia z nim groziło nam klęską.

Dziwiły mnie obroty fregaty. Uciekała, zamiast nacierać. Powinna była ścigać, a tymczasem sama była ścigana; zrobiłem tę uwagę kapitanowi. Na twarzy jego, spokojnej zwykle, czytałem nieopisane zdziwienie.

— Panie Aronnax — odpowiedział — nie wiem, z jaką straszną istotą mam do czynienia i nie chcę nierozważnie narażać mojej fregaty wśród takiej ciemności. Zresztą jakże zaczepiać, gdy nie wiemy kogo? Jakże się bronić przeciw nieznanemu? Poczekajmy do dnia, a wtedy role się odmienną.

— Ale już teraz nie wątpisz, kapitanie, o istnieniu zwierzęcia? — zapytałem.

— Nie, panie; jest to oczywiście narwał olbrzymi, ale zarazem elektryczny.

— Może być — dodałem — że nie można się do niego zbliżyć, tak samo jak do węgorza elektrycznego lub do drętwicka (Raja elektryczna).

<sup>55</sup>*fosforescencja* — zjawisko świecenia niektórych substancji światłem własnym, po uprzednim naświetleniu. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>*molekuła* — inaczej cząsteczka. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>*folady* (łac. *Pholas*) — rodzaj jadalnych małży morskich. [przypis redakcyjny]

<sup>58</sup>*salpy* — drobne zwierzęta morskie należące do podtypu osłonnic. [przypis redakcyjny]

— W rzeczy samej — odrzekł kapitan — i jeśli posiada on w sobie jeszcze siłę piorunującą to jest niezaprzeczenie najstraszniejszym zwierzęciem, jakie wyszło kiedykolwiek z rąk Stwórcy. Dlatego też, panie, mam się na ostrożności.

Przez całą noc załoga okrętowa była na nogach i nikt nie pomyślał o spaniu. „Abraham Lincoln”, nie mogąc walczyć szybkością, zwolnił swój bieg; utrzymywano na nim niewielką tylko parę. Narwał, idąc za przykładem fregaty, pozwalał się kołysać falom — i zdawało się, że postanowił nie opuszczać placu bitwy.

Jednakże około północy znikł albo, lepiej powiedziawszy, „przygasł” jak ogromny robak świecący. Czy uciekł? Należało się i tego lękać, ale nie spodziewać. Lecz na siedem minut przed pierwszą z rana dało się słyszeć ogłuszające gwizdnięcie podobne do tego, jakie wydaje strumień wody z nadzwyczajną wyrzucony gwałtownością.

Kapitan Farragut, Ned Land i ja staliśmy wówczas na pomoście rufy, usiłując stamtąd przedrzeć ciekawym wzrokiem grube ciemności.

— Nedzie Landzie — rzekł kapitan — wszak często słyszałeś wieloryby ryczące?

— Często, panie, ale nigdy takich wielorybów, których wypatrzenie przyniosłoby mi dwa tysiące dolarów zysku.

— To prawda, że masz prawo do nagrody. Ale powiedz mi, czy ten odgłos nie jest podobny do tego, jaki wydają wieloryby, wyrzucając wodę przez nozdrza?

— Taki sam odgłos, panie, lecz ten, jaki przed chwilą słyszeliśmy, jest bez porównania silniejszy. Nie ulega wątpliwości, że wieloryba mamy pod bokiem. Jeśli pan pozwoli — dodał oszczepnik — jutro przy świetle dziennym powiemy mu słówko.

— Jeśli będzie w humorze słuchania cię, mości Landzie — wtrącił tonem powątpiewania.

— Niech ja się tylko zbliżę do niego na cztery długości harpuna — odparł Kanadyjczyk — a musi mnie słuchać!

— Abyś jednak się zbliżył — rzekł dowódca — na to trzeba by dać łódź wielorybniczą?

— Bez wątpienia, kapitanie.

— A to byłoby narażać życie moich ludzi...

— I moje! — krótko dodał oszczepnik.

Około drugiej godziny z rana znowu ukazał się silny blask w odległości pięciu mil pod wiatr od fregaty. Pomimo szmeru wiatru i morza, słyhać było wyraźnie ogromne uderzenia ogona i silny oddech zwierzęcia. Zdawało się, gdy narwał wychylał się na powierzchnię dla odetchnięcia, że powietrze wpadało do jego płuc jak para w przestronnych maszynach o sile dwóch tysięcy koni.

„Hm! — pomyślałem sobie — piękny mi wieloryb, co posiada siłę pułku kawalerii”.

Czuwano bezustannie, aż do dnia i sposobiono się do walki. Wszystkie narzędzia i przyrządy do łowów wydobyto i rozłożono. Porucznik kazał nabić działka wyrzucające harpun na odległość mili i długie strzelby z kulami pękającymi, które zadają rany śmiertelne. Ned Land przysposobił tylko swój harpun, broń straszną w jego rękę.

O szóstej poczęło świtać i wraz z pierwszym brzaskiem zorzy zniknęło światło elektryczne narwala. O siódmej było już całkiem widno, lecz mgła poranna bardzo gęsta zaciemniała widnokrag i najlepsze lunety nic nie pomogły. Stąd ogólny gniew i niezadowolienie.

Ja przysiadłem się do steru; kilku oficerów wdrapało się na wierzchołki masztów.

O ósmej mgła opadła na fale. Widnokrag oczyścił się i rozwidnił. I znowu, jak dnia poprzedzającego, nagle rozległ się głos Neda Landa:

— Jest, oto tam... Z lewego boku od rufy! — wołał oszczepnik.

Wszystkie oczy zwróciły się na punkt wskazany.

W odległości półtorej mili od fregaty, długie ciało czarniawe wystawało na wysokość jednego metra ponad fale. Ogon jego poruszał się z ogromną gwałtownością. Nigdy jeszcze nie widziano wody morskiej tak silnie rozbijanej. Ogromna bruźda świetnej białości znaczyła pochod zwierzęcia i zakreślała linię krzywą, przedłużoną.

Fregata zbliżyła się do wieloryba. Mogłem mu się doskonale przypatrzeć. Raporty okrętów „Shannon” i *Helvetia* przesadziły nieco jego rozmiary; liczyłem, że długość jego nie mogła wynosić więcej nad dwieście pięćdziesiąt stóp. Co do jego objętości, trudno było ją oznaczyć, lecz w ogóle zwierzę wydało mi się bardzo proporcjonalnie zbudowane.

Gdym się przypatrywał temu dziwnemu stworzeniu, wyrzuciło ono ze swych nozdrzy dwa wielkie strumienie pary i wody na wysokość czterdziestu metrów, co mnie już stanowczo upewniło o sposobie jego oddychania. Wniosłem już z tego, że zwierzę to należało do działów kręgowych, do klasy ssących, do gromady rybokształtnych, do rzędu wielorybów, do rodziny... Tu nie mogłem jeszcze nic wyrzec. Rząd wielorybów obejmuje trzy rodziny: wieloryby, potfisz i delfiny — w tej ostatniej właśnie pomieszczone są narwale. Każda z tych rodzin dzieli się na kilka rodzajów, każdy rodzaj na odmiany. Nie wątpiłem, że zdołam uzupełnić mą klasyfikację przy pomocy nieba i kapitana Farraguta.

Załoga z niecierpliwością oczekiwała na rozkazy swego dowódcy. Ten, przypatrzawszy się uważnie zwierzęciu, kazał wezwać maszynistę i zapytał go, czy ma dość pary.

— Mamy, kapitanie — odpowiedział maszynista.

— Dobrze. Każ pan podniecić jeszcze ogień i ruszamy całą siłą pary!

Przeciągłe „hurra” powitało ten rozkaz. Wybiła godzina walki. W kilka chwil potem dwa kominy fregaty buchały gęstymi kłęбами czarnego dymu, a pomost drżał pod wstrząśnieniami kotłów parowych.

„Abraham Lincoln” popychany siłą potężnej swej śruby, pędził prosto na zwierzę; ten czekał obojętnie i pozwolił okrętowi zbliżyć się na 60 sążni, po czym, nie zanurzając się bynajmniej, usuwał się z wolna, utrzymując się w tej samej odległości.

Taka pogoń trwała około trzech kwadransów, a fregata w tym czasie nie zdołała przysunąć się do potwora ani o jeden sążeń. W taki sposób można go było nigdy nie doścignąć.

Kapitan Farragut niecierpliwie szarpał swą gęstą brodę. Nareszcie przywołał do siebie Neda Landa; Kanadyjczyk stawił się na wezwanie.

— I cóż, panie Land — zapytał dowódca — czy radzisz mi jeszcze spuszczać czołna na morze?

— Nie, panie — odrzekł Ned Land — bo widzę, że to bydlę nie da się złapać, jeżeli nie zechce.

— Cóż zatem robić?

— Powiększyć jeszcze siłę pary, jeśli to być może. Co do mnie, to, rozumie się z pozwoleniem pańskim, stanę przy maszynie przednim całkiem w pogotowiu i cisnę oszczep, jeśli na stosowną odległość zbliżyć się zdołamy.

— Dobrze, Ned — odpowiedział kapitan Farragut. — Panie maszynisto! — krzyknął — każ zwiększyć ciśnienie pary.

Ned Land poszedł na swoje stanowisko. Ogień pod kotłami powiększono: śruba robiła czterdzieści trzy poruszenia na minutę, a para wydobywała się gwałtownie przez klapy. „Abraham Lincoln” pędził z szybkością osiemnastu i pół mili na godzinę.

Lecz z tą samą szybkością pędziło i przeklęte zwierzę.

Jeszcze przez godzinę fregata pędziła w ten sposób, nie mogąc się przybliżyć ani o jeden sążeń. Było to wielce upokarzające dla jednego z najszybszych statków marynarki amerykańskiej. Załoga okrętu mocno była niezadowolona. Majtkowie przeklinali potwora, który nie raczył im nawet odpowiedzieć. Kapitan Farragut gryzł i szarpał swą brodę.

Przywołał on raz jeszcze maszynistę i zapytał, czy nie może już zwiększyć ciśnienia pary.

— Nie mogę, kapitanie — odpowiedział maszynista.

— A klapy bezpieczeństwa czy są obciążone?

— Do sześciu i pół atmosfer.

— Obciąż je pan do dziesięciu atmosfer.

Rozkaz był prawdziwie amerykański. Nie lepiej by postąpiono na Missisipi, dla prześcignięcia „współzawodnika”.

— Conseil — rzekłem do mego dzielnego chłopca stojącego przy mnie — czy wiesz, że możemy w powietrze wylecieć?

— Jak im się podoba! — spokojnie odrzekł Conseil.

Przyznam się, że tym razem wcale mi się podobać nie mogła tego rodzaju przyjemność.

Klapy bezpieczeństwa zostały obciążone. Dosypano węgla do pieców. Wentylatory dostarczyły ogromnej ilości powietrza do palenisk. Szybkość fregaty jeszcze się zwiększyła.

szyla. Maszty jej trzęsły się w osadzie, a kłęby dymu zaledwie przecisnąć się mogły przez zbyt wąskie kominy.

Niecierpliwy dowódca zapytał sternika o prędkość.

— Dziewiętnaście mil i trzy dziesiąte — odpowiedział zagadnięty.

— Powiększyć jeszcze ognie!

Maszynista spełnił rozkaz. Manometr wskazywał dziesięć atmosfer. Lecz widać, że wieloryb „powiększył także swą parę”, bo bez najmniejszej trudności płynął też z szybkością dziewiętnastu i trzech dziesiątych mili.

Okropna pogoń! Nie mogę opisać wzruszenia, jakie przejmowało całą mą istotę. Ned Land stał na swym stanowisku z harpunem w ręku. Kilkakrotnie zwierz pozwalał zbliżyć się do siebie.

— Dopędzamy go, dopędzamy! — wołał Kanadyjczyk.

Lecz ile razy gotów już był ugodzić oszczepem, wieloryb odsuwał się z szybkością, którą by ocenić wypadło na trzydzieści mil na godzinę, a nawet podczas największej naszej szybkości, jakby żartując sobie z naszej fregaty, opłynął ją dookoła. Okropny krzyk przerażenia wydarł się ze wszystkich piersi.

W południe nie bliżej byliśmy od potwora jak o ósmej godzinie z rana.

Kapitan Farragut zdecydował się wtedy użyć środków bardziej stanowczych.

— Ach! — zawołał z gorączkową niecierpliwością — to zwierzę płynie prędzej niż „Abraham Lincoln”, ale zobaczymy, czy prześcignąć zdoła jego kule stożkowe!

Armata na przodzie okrętu została nabita i wycelowana. Wystrzelono — lecz kula przeszła o kilka stóp nad wielorybem oddalonym o pół mili.

— Niech strzela ktoś zręczniejszy! — krzyknął kapitan — pięćset dolarów nagrody temu, kto przesyje to bydlę piekielne!

Stary, siwobrody kanonier — jakbym go widział dotąd — z okiem spokojnym, twarzą zimną, zbliżył się do armaty, nastawił ją i długo celował; w powietrzu rozległ się silny huk pomieszany z okrzykami radości całej załogi.

Kula nie chybiła celu: trafiła zwierzę, lecz nie przeszła go na wskroś, zsunęła się tylko po jego powierzchni zaokrąglonej i w odległości dwóch mil wpadła do morza.

— Aha! — zawołał stary kanonier z gniewem — ten łotr opancerzony jest, jak widzę, blachą sześciocalową.

— Przekleństwo! — krzyczał kapitan Farragut.

Polowanie na nowo się rozpoczęło, a kapitan, nachylając się do mnie, rzekł:

— Będę go ścigał, choćby moja fregata miała rozbryznąć się na najdrobniejsze szczątki.

— Masz pan słuszność zupełną! — odpowiedziałem.

Można się było spodziewać, że zwierzęciu sił zabraknie prędzej niż maszynie parowej. Ale tak nie było. Godziny upływały, a na nim ani znać było zmęczenia.

Na pochwałę „Abrahama Lincolna” przyznać trzeba, że walczył z niestrudzoną wytrwałością.

W tym niefortunnym dniu, 6 listopada, przebiegł on do pięciuset kilometrów. Lecz noc nadeszła i ciemnościami pokryła ocean wzburzony. Sądziłem, że wyprawa nasza skończona i że już więcej nigdy nie zobaczymy zwierzęcia fantastycznego. Omyliłem się.

Dziesięć minut przed jedenastą wieczorem światło elektryczne znowu się ukazało w odległości trzech mil od fregaty, a tak samo było czyste i mocne jak nocy poprzedniej.

Narwał zdawał się być nieruchomym. Może spał strudzony, pozwalając się kołysać falom. Kapitan Farragut postanowił skorzystać z tej sposobności.

Wydał rozkazy. Fregata zwołniła biegu, posuwając się ostrożnie, aby nie zbudzić czujności swego przeciwnika. Często się zdarza spotkać na pełnym oceanie wieloryby uśpione głęboko i wtedy łatwo napaść można na nie; Ned Land niejednego ubił w taki sposób. Kanadyjczyk stał jak posąg niewzruszony na swym stanowisku, gotów do działania w każdej chwili.

W tej chwili, oparty na poręczy przedniego pomostu, zobaczyłem przed sobą Neda Landa groźnie wstrząsającego swym niebezpiecznym oszczepem. Dwadzieścia stóp zaledwie dzieliło go od zwierzęcia nieruchomego.

Jednym szybkim ruchem wyciągnął on nagle rękę i wyrzucił oszczep. Słyszałem uderzenie oręża trafiającego, jak się zdawało, na jakieś ciało twarde.

Światłość elektryczna przygasła naraz; dwa potężne słupy wody spadły na pomost fregaty, a lejąc się jak potok wzburzony, z przodu na tył okrętu, przewracały ludzi i porywały wszystko, co napotkały na drodze.

Dało się czuć gwałtowne wstrząśnienie — a ja przerzucony przez barierę, nie mając czasu uczepić się czegokolwiek, wtrącony zostałem do morza.

## WIELORYB GATUNKU NIEZNANEGO

Jakkolwiek niespodzianie całkiem upadłem w morze, nie straciłem jednak przytomności.

Zapadłem zrazu na przeszło dwadzieścia stóp głębokości. Jestem dobrym pływakiem — a choć nie mam pretensji równać się z Byronem i Edgarem Poe, którzy byli mistrzami w tej sztuce, jednak dwoma silnymi ruchami wydobyłem się na powierzchnię.

Naprzód oczyma szukałem fregaty. Czy spostrzeżono, że mnie brakuje? Czy kapitan kazał spuścić łódkę na morze? Czy mogłem spodziewać się ocalenia?

Ciemność głęboka pokrywała wszystko dokoła. Widziałem, jak przez mgłę, ogromną czarną masę uciekającą na wschód, a ogień jej niknął w oddali. Była to fregata. Czulem, że jestem zgubiony.

— Ratunku! — wołałem, płynąc z rozpaczliwym wysiłkiem za okrętem.

Suknie<sup>59</sup> mi przeszkadzały w pływaniu; przemokły i przyłgnęły mocno do mego ciała, paraliżując wszystkie moje ruchy. Tonąłem, krztusiłem się...

— Ratunku!

Był to ostatni mój krzyk; usta napęliła mi woda; ciężar bezwładnego ciała ciągnął mnie w przepaść...

Nagle silna dłoń pochwyciła mnie za suknie i szybko wyciągnęła na wierzch; usłyszałem, tak, usłyszałem następujące wyrazy:

— Niech wesprą się na moim ramieniu to będzie im daleko wygodniej płynąć.

Uchwyciłem za rękę mego wiernego Conseil'a.

— To ty! — zawołałem — Ty!

— Ja sam — odpowiedział Conseil — na rozkazy.

— Wstrząśnienie wyrzuciło cię razem ze mną do morza?

— Bynajmniej. Lecz ponieważ jestem u nich w służbie, poszedłem za nimi.

Pocziwy chłopiec uważał to za rzecz bardzo naturalną.

— A fregata? — zapytałem.

— Fregata! — odrzekł Conseil, wykręcając się na grzbiecie. — Zdaje mi się, że nie warto liczyć na nią.

— Co ty mówisz?

— Mówię, że w chwili, kiedyś za nimi wskoczył w wodę, słyszałem jak na pokładzie wołano: „śruba i ster są strzaskane!”

— Strzaskane?

— Tak! Strzaskane zębem potwora. Innego uszkodzenia „Abraham Lincoln” nie doznał. W każdym razie, na nieszczęście nasze, nie ma steru i nie może się zwrócić, gdzie zechce.

— Więc jesteśmy zgubieni.

— Być może — spokojnie odpowiedział Conseil. — Jednakże mamy jeszcze kilka godzin czasu, a przez kilka godzin wiele zrobić można.

Zimna krew Conseil'a i ufność jego dodały mi odwagi. Płynąłem z większą siłą, lecz wkrótce osłabłem — suknie ciążyły mi jak ołów. Spostrzegł to Conseil.

— Z przeproszeniem, muszę zrobić cięcie.

To mówiąc, wsunął nóż otwarty pod moje suknie, jednym pociągnięciem rozpruł je od góry do dołu, po czym ściągał je ze mnie, gdy ja płynąłem za nas obu.

Z kolei oddałem tę samą przysługę Conseil'owi i wtedy już swobodnie „żeglowaliśmy” jeden obok drugiego.

Pomimo to, położenie nasze było okropne. Może nawet nie dostrzeżono naszej nieobecności na statku! A gdyby i nie to, fregata bez steru nie mogła pod wiatr płynąć na nasz ratunek. Można więc było liczyć tylko na łodzie.

<sup>59</sup>suknie (daw.) — ubranie. [przypis edytorski]

Conseil, biorąc rzeczy rozważnie, ułożył plan odpowiedni. Zdziwiająca natura! Ten flegmatyczny chłopiec czuł się tu jak u siebie.

Ponieważ jedyna szansa naszego zbawienia była w doczekaniu się łodzi wysłanych z fregaty, więc wypadło się tak urządzić, abyśmy na nie jak najdłużej czekać mogli. Postanowiłem przeto rozdzielić nasze siły tak, abyśmy ich wyczerpywać jednocześnie nie potrzebowali — i oto, cośmy uradzili: jeden położy się na grzbiecie nieporuszony, z rękoma na piersiach skrzyżowanymi, a drugi, płynąc, popychać go będzie przed sobą. Tak, zmieniając się co dziesięć minut, mogliśmy płynąć jeszcze kilka godzin, a może nawet i do rana.

Wątpa to wprawdzie szansa, ale nadzieja tak głęboko zakorzeniona jest w sercu człowieka! Zresztą było nas dwóch; a nadto, jakkolwiek to zdawać się może nieprawdopodobnym, nie mogłem stracić wszelkich iluzji, nie mogłem „rozpaczać”.

Spotkanie fregaty z wielorybem zdarzyło się około jedenastej wieczorem. Do dnia brakowało jeszcze osiem godzin, ale, zmieniając się kolejno, mogliśmy płynąć przez ten czas — tym więcej, że morze było bardzo spokojne. Niekiedy usiłowałem przeniknąć wzrokiem te ponure ciemności, wśród których błyszczała tylko fosforescencja wywołana poruszeniami naszymi. Patrzyłem na falę świetlną rozbijającą się o moją rękę. Wyglądało to, jakbyśmy byli zanurzeni w kąpieli z merkuriuszu<sup>60</sup>.

Okolo pierwszej po północy czułem się mocno strudzony. Napadały mnie odrętwienia i kurcze we wszystkich częściach ciała. Conseil musiał mnie podtrzymywać; na nim więc jednym polegało teraz ocalenie nas obu. Niezadługo usłyszałem mocno przyspieszony i krótki oddech biednego chłopca wyczerpującego ostatnie swe siły.

— Puść mnie, puść mnie! — zawołałem.

— Opuścić ich? Nigdy! Chyba ja sam wprzód utonę!

W tej chwili wśród rozstępującej się chmury, jaką wiatr pędził na wschód, ukazał się księżyc i blaskiem swych promieni rozjaśnił powierzchnię morza. Dobroczyenne to światło orzeźwiło nasze siły. Podniosłem głowę, rzuciłem ciekawym wzrokiem na wszystkie strony. Spozrzegłem fregatę w odległości pięciu mil od nas; wyglądała jak wielka czarna masa, trudna do rozeznania. Lecz nie mogłem dojrzeć nigdzie łodzi.

Chciałem krzyknąć, lecz na cóż by się to przydało z takiej odległości? Wargi moje napuchnięte żadnego nie mogły wydać głosu. Conseil, silniejszy ode mnie, usiłował wołać i słyszałem go powtarzającego kilkakrotnie:

— Ratunku! Ratunku!

Odpoczywaliśmy przez chwilę, słuchając bacznie i może to było złudzenie wskutek napływu krwi do ucha — ale zdawało mi się, że głos jakiś odpowiedział na wołanie Conseil'a.

— Czy słyszałeś? — wyszeptałem z cicha.

— Słyszałem!

Conseil zrozpaczonym głosem jeszcze raz zawołał o ratunek.

Tym razem już się nie omyliliśmy. Głos ludzki odpowiedział na nasze wołanie. Byłże to zapewne głos nieszczęśliwego, równie jak my opuszczonego wśród oceanu, jeszcze jednej ofiary wstrząśnienia okrętu? A może to łódź z fregaty wysłana nie mogła znaleźć nas w ciemności?

Conseil zrobił ostatni wysiłek, oparł się na moim osłabionym ramieniu, podniósł się na pół z wody i nagle opadł z sił wyczerpany.

— Cóż widziałeś?

— Widziałem... — szeptał — Widziałem... Ale nie mówmy o tym... Zbierzmy siły!

Co widział? Nie wiem. Lecz nie pojmuję, dlaczego w tej chwili przyszedł mi na myśl potwór! Ależ ten głos? Minęły już czasy, w których Jonasze szukali schronienia w brzuchu wielorybów!

Conseil tymczasem ciągnął mnie ze sobą; podnosił biedak niekiedy głowę, patrzył przed siebie i wydawał krzyk, na który z coraz bliższej odległości odpowiadał głos jakiś. Zaledwie wszystko to słyszeć mogłem. Siły moje wyczerpywały się zupełnie; palce mi posztywniały, ręka obezwładniała; usta moje konwulsyjnie otwarte napęłniły się wodą

<sup>60</sup>merkuriusz (daw.) — rtęć. [przypis edytorski]

słoną; zimno dreszczem na wskroś mnie przejmowało. Podniosłem głowę po raz ostatni, po czym zanurzyłem się...

W tej chwili uderzyłem o jakieś twarde ciało, za które się uchwyciłem. Dalej czułem, że mnie wyciągano z wody, że pierś moja swobodniej oddycha i zemdlałem...

Lecz wkrótce wróciłem do przytomności, dzięki silnemu tarcu mego ciała. Otworzyłem oczy.

W tej chwili, przy słabym blasku księżycy zachodzącego za widnokrąg, dojrzałem twarz nie Conseil'a wprawdzie, lecz twarz, którą zaraz rozpoznałem.

— Ned! — zawołałem.

— W swojej własnej osobie! Ned, panie, pędzący za swą nagrodą! — odrzekł Kanadyjczyk.

— Tyś także wpadł do morza przy wstrząśnięciu fregaty?

— Tak jest, panie profesorze, lecz, szczęśliwszy od was, zaraz prawie zdołałem się dostać na wysepkę pływającą.

— Wysepkę?

— Albo raczej na waszego narwala olbrzymiego.

— Nie rozumiem cię, Ned.

— Zaraz też zrozumiałem, czemu mój oszczep nie mógł w nim ugrząźć i zsunął się po jego skórze.

— Dlaczegoż, Ned, dlaczego?

— Oto dlatego, panie profesorze, że ta bestia ukuta jest z blach stalowych.

Muszę tu zebrać moje myśli i odświeżyć wspomnienia, policzyć się z moimi wrażeniami.

Ostatnie wyrazy Kanadyjczyka sprawiły nagłą w moim mózgu zmianę. Siedziałem na zwierzęciu, czy też przedmiocie na wpół zanurzone w wodzie, który nam służył za schronienie; czułem go pod moimi stopami. Było to w rzeczy samej ciało twarde, nieprzeniknione, a bynajmniej nie owa substancja miękka, z jakiej się składa ciało wielkich morskich zwierząt ssących.

Lecz to ciało twarde mogło być kościstą skorupą zwierząt przedpotopowych — i w takim razie miałbym słuszność, mieszcząc potwora między płazami ziemnowodnymi jak żółwie i aligatory<sup>61</sup>.

Otóż nie! Czarniawy grzbiet, na którym siedziałem, był śliski, gładki, nie chropowaty; za dotknięciem wydawał dźwięk metaliczny, jakby — rzecz trudna do wiary — zrobiony był z blachy stalowej.

Nie było żadnej wątpliwości, że zwierzę, potwór, zjawisko przyrody, które tak intrygowało cały świat uczony, rozpałało wyobraźnię i niepokój budziło w sercach marynarzy obu półkul ziemskich — było zjawiskiem bardziej jeszcze zadziwiającym, bo dziełem ręki ludzkiej.

Odkrycie istoty najbajeczniejszej, najbardziej mitologicznej, nie zdziwiłoby mnie do takiego stopnia i obłąkało tak mego rozumu. Wszystko co wielkie i nadzwyczajne pochodzi od Stwórcy i to rzecz bardzo prosta; lecz nagłe odkrycie czegoś, tak po ludzku a tajemniczo urzeczywistnionego, doprowadzić mogło do szaleństwa.

Bądź co bądź, znajdowaliśmy się na grzbiecie jakiegoś statku podwodnego, kształtu, o ile wnosić mogłem, ogromnej ryby stalowej. Ned Land dał już poznać swoje pod tym względem zdanie — a ja i Conseil zgodzić się na nie musieliśmy.

— Lecz w takim razie — mówiłem — przyrząd ten posiada w sobie mechanizm pozwalający mu przenosić się z miejsca na miejsce i jakąś załogę mechanizmem tym kierującą.

— Tak się zdaje — odrzekł oszczepnik — a jednak od trzech godzin, jak przebywam na tej wyspie pływającej, nie dała ona jeszcze żadnego znaku życia.

— Czy ten statek nie płynie?

— Nie, panie Aronnax, kołysze się na falach, ale się nie porusza.

<sup>61</sup>między płazami ziemnowodnymi jak żółwie i aligatory — dziś żółwie i aligatory zaliczane są do gadów. [przypis edytorski]



— Wiemy wszakże z pewnością, bo z doświadczenia, że obdarzony jest ogromną szybkością; a ponieważ dla wytworzenia tej szybkości potrzebna jest maszyna i maszynista, wnoszę więc z tego... że jesteście ocaleni.

— Hm! — mruknął Ned Land tonem niedowodzącym zupełnego przekonania.

W tej chwili i jakby dla usprawiedliwienia moich dowodzeń, w tylnej części tego dziwnego przyrządu, którego motorem widocznie była śruba, powstało jakby jakieś wrzenie i masa poruszać się zaczęła. Zaledwie mieliśmy czas przesunąć się na część jego przednią wystającą nad wodę na osiemdziesiąt może centymetrów. Na szczęście szybkość jego nie była zbyt wielka.

— Dopóki płynie poziomo — mruczał Ned Land — nie mam nic przeciwko temu; ale jeżeli mu przyjdzie ochota zanurzyć się, to i dwóch dolarów nie dałbym za mą skórę! I to byłoby za wiele!

Było więc rzeczą niezbędną porozumieć się z istotami zamkniętymi w tej maszynie. Szukałem tedy pod stopami naszymi otworu, klapy, „dziury wejściowej”, wyrażając się technicznie, ale szeregi nitów mocno wiążących z sobą blachy pancerza, ciągnęły się wyraźnie i jednostajnie.

Przy tym i księżyc skrył się już za chmury, a więc zostaliśmy pogrążeni w ciemności. Trzeba było czekać dnia, aby wynaleźć środek przeniknięcia do wnętrza tego statku podmorskiego.

Tak więc ocalenie nasze zależało jedynie od kaprysu tajemniczych sterników kierujących tym przyrządem, który gdyby się zanurzył, zginęlibyśmy bez ratunku. Jeśli ten wypadek nie zajdzie, to ani wątpię, że wejdziemy z nimi w stosunki. Bo i w rzeczy samej, jeśli sobie sami nie wytwarzali powietrza, to musieli od czasu do czasu powracać na powierzchnię oceanu dla odświeżenia go i łatwiejszego oddychania — co musi się dziać za pomocą jakiegoś otworu, który by wewnątrz statku łączył z atmosferą.

Co zaś do nadziei ocalenia nas przez kapitana Farraguta, tej wypadło wyrzec się zupełnie. Płynęliśmy na zachód, a szybkość nasza, względnie bardzo niewielka, wynosić mogła ze dwanaście mil na godzinę. Śruba rozbijała fale z matematyczną jednostajnością, wychylając się niekiedy i wyrzucając wodę fosforyzującą do znacznej wysokości.

Okolo czwartej godziny z rana szybkość przyrządu wzrosła tak, że fale silnie nas potraçały; z trudnością przyszło nam się utrzymać. Na szczęście Ned namacał wypadkiem szeroką obręcz otaczającą górną część grzbietu i do tej mocnośmy się przyczepili.

Przeszła nareszcie ta długa noc. Zawodna moja pamięć nie dochowała wszystkich doznanych naówczas wrażeń. Jeden tylko przypominam sobie szczegół. Mianowicie podczas spokoju na morzu i przy cichym wietrze niejednokrotnie słyszałem jakieś tony niewyraźne, jakby przelotną harmonię oddalonymi wywołaną akordami. Jakaż więc była tajemnica tej żeglugi podmorskiej, której wyjaśnienia świat cały szukał na próżno? Jakież istoty przebywały w tym dziwnym statku? Jakież mechaniczne czynniki przenosiły go z miejsca na miejsce z szybkością tak nadzwyczajną?

Dzień się robił; jeszcze poranne mgły otaczały nas, ale wkrótce rozwiąć się miały. Chciałem przystąpić do uważnego zbadania kadłuba, który w górnej swej części tworzył pewien rodzaj platformy poziomej, kiedy poczułem, że się statek poczyna z wolna zanurzać.

— Eh! Do tysiąca diabłów! — wrzasnął Ned Land, tupnąwszy nogą w blachę — otwórzcie nam, żeglarze niegościnni!

Lecz trudno, aby nas usłyszano wśród ogłuszających uderzeń śruby. Na szczęście udało zanurzenie się statku.

Nagle dał się słyszeć wewnątrz odgłos gwałtownie odsuwanych zawiasów. Spod klapy podniesionej wyjrzał człowiek, dziwnie krzyknął i zniknął natychmiast.

W kilka minut potem ośmiu tęgich zuchów z twarzami zakrytymi ukazało się w milczeniu i wciągnęli nas do wnętrza swej strasznej maszyny.

## MOBILIS IN MOBILI

Tego gwałtownego porwania nas dokonano z szybkością błyskawicy. Nie mieliśmy czasu obejrzeć się, jak to powiadają; nie wiem, czego doświadczyli moi towarzysze, czując się wciągani do tego więzienia pływającego, lecz mnie dreszcz przebiegł po całym ciele. Z kim

mieliśmy do czynienia? Zapewne z jakimiś rozbójnikami nowego rodzaju wyzyskującymi morze w swój sposób.

Zaledwie zamknął się za mną ciasny otwór, znalazłem się w ciemności zupełnej; nagle przeniesiony ze światła w ciemnicę, nic w pierwszej chwili dostrzec nie mogłem. Czułem, że moje nogi nagie wlokły się po stopniach żelaznej drabiny. Ned Land i Conseil, silnie pochwyleni, wleczeni byli za mną. U spodu drabiny drzwi uchyliły się i natychmiast za nami zamknęły z ponurym odgłosem.

Byliśmy sami. Gdzie? Wówczas nie wiedziałem jeszcze. Wszystko było czarne, ale to tak czarne, że po upływie kilku minut oczy moje nie mogły jeszcze pochwycić tej jasności nieokreślonej, jaka wydobywa się spośród najgłębszej nawet ciemności.

Ned Land, rozgniewany takim sposobem postępowania, nie powściągał swego oburzenia.

— Do miliona diabłów! — wołał — oto ludzie, którzy przypominają gościnnością Kaledończyków! Brakuje tylko, aby byli ludożercami. Nie dziwiłoby mnie to wcale; doprawdy, nie dałbym się zjeść tak łatwo.

— Uspokój się przyjacielu, uspokój się — rzekł spokojnie Conseil. — Nie unos się przedwcześnie. Jeszcze przecież nie jesteśmy na rożnie.

— To prawda, że nie na rożnie — odparł Kanadyjczyk — ale z pewnością w piecu. Tak tu ciemno. Na szczęście mam mój *bowie knife*<sup>62</sup> przy sobie, a widzę jeszcze tyle, że użyć go potrafię w potrzebie. Pierwszy z tych zbójów, który się zbliży do mnie...

— Nie gniewaj się niepotrzebnie, Ned, i nie narażaj nas wszystkich tą przedwczesną gwałtownością. Kto wie, czy nas nie podsłuchują. Lepiej starajmy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy.

Szedłem po omacku. Wkrótce napotkałem ścianę z blach spajanych. Zwracając się w przeciwną stronę, znalazłem stół drewniany obstawiony stołkami bez poręczy. Podłoga tego więzienia zasłana była dość grubą matą z formium<sup>63</sup>, co przygłuszało odgłos kroków. Na gołych ścianach nigdzie nie było śladów drzwi ani okien. Conseil, idąc z przeciwnej strony, spotkał się ze mną — i powróciliśmy do środka tej kajuty mającej, jak się zdawało, dwadzieścia stóp długości, a dziesięć szerokości; wysoka zaś była tak, że Ned Land, pomimo swego ogromnego wzrostu, swobodnie się w niej mieścił.

Pół godziny upłynęło tak bez żadnej zmiany, gdy nagle z zupełnej ciemności wzrok nasz przeszedł do światła bardzo natężonego. Więzienie nasze rozwidniło się od razu, to jest napełniło się światłem tak mocnym i żywym, że z początku znieść tego blasku nie było można. Po białości i natężeniu poznałem światło elektryczne wywołujące wkoło statku podmorskiego owo zjawisko fosforescencji. W pierwszej chwili zamknąłem oczy mimowolnie, a otworzywszy je, spostrzegłem, że światło wydobywało się z matowej półkuli umieszczonej w górnej części kajuty.

— Nareszcie widać coś przecie! — zawołał Ned Land, który ze swym nożem w rękę stał w postawie obronnej.

— Niemniej jednak — zauważyłem — położenie nasze ciągle jest ciemne.

— Cierpliwości! — odezwał się powolny i spokojny Conseil.

Oświetlenie kajuty pozwoliło obejrzeć ją w najdrobniejszych szczegółach. Nic w niej nie było prócz stołu i pięciu stołków. Drzwi ukryte musiały być hermetycznie zamknięte. Żaden szmer nie dochodził do naszych uszu. Wszystko zdawało się martwym wewnątrz tego statku. Czy posuwał się on naprzód, czy był na powierzchni oceanu, czy też zanurzył się w jego głębiach — odgadnąć tego nie mogłem.

Jednakże światło nie bez przyczyny się ukazało. Sądziłem, że w ślad za nim przyjdą i ludzie. Nie oświetla się miejsca, jeżeli się chce zapomnieć o istotach tam zamkniętych.

Nie omyliłem się. Wkrótce posłyszeliśmy hałas odsuwanych rygli; drzwi się uchyliły, weszło dwoje ludzi.

Jeden był małego wzrostu, muskularny, barczysty, z członkami silnie rozrośniętymi, z głową dużą, obficie pokrytą czarnymi włosami, z wąsem gęstym, wzrokiem żywym i przenikliwym — w całej swej postawie nacechowany tą południową żywością, która charakteryzuje we Francji ludność prowansalską. Diderot słusznie utrzymywał, że gest

<sup>62</sup>*bowie knife* — duży nóż, jaki Amerykanie zwykle noszą przy sobie. [przypis redakcyjny]

<sup>63</sup>*formium* — rodzaj szerokolistnej trzciny; len nowozelandzki. [przypis edytorski]

człowieka jest metaforyczny. Ten mały człowieczek żywym był zdania tego potwierdzeniem. Czuć było od razu, że w zwykłej swej mowie musiał on hojnie używać prozopopei<sup>64</sup>, metonimii<sup>65</sup> lub innych tego rodzaju postaci mowy — czego zresztą nigdy sprawdzić nie mogłem, gdyż w obecności mojej używał zawsze jakiegoś szczególnego i całkiem dla mnie niezrozumiałego języka.

Drugi nieznamy zasługuje na bardziej szczegółowe opisanie. Uczeń Gratioleta lub Engela czytałby w jego twarzy jak w otwartej księdze. Ja poznałem w nim od razu najważniejsze jego przymioty: pewność siebie, bo głowa jego wspaniale odbijała na łuku linii ramion, a czarne oczy z chłodną spoglądały pewnością; spokój, bo skóra jego, blada raczej niż kolorowa, stwierdzała krew zimną; energię, którą poznać było można z nagłego marszczenia brwi; odwagę nareszcie, bo jego silny i pełny oddech zapowiadał znaczny zasób sił żywotnych.

Dodam jeszcze, że ten człowiek miał minę wyniosłą, że pewny i spokojny wzrok jego odbijał wielkie myśli; a wszystko to razem w ruchach ciała i twarzy składało się, wedle fizjonomistów, na wytworzenie szczerości niezaprzeczonej.

Czułem się wobec niego mimowolnie uspokojony, stąd wróżyłem dobrze o naszym spotkaniu.

Czy ten człowiek miał trzydzieści pięć lat, czy też pięćdziesiąt, tego dokładnie oznaczyć bym nie umiał. Wzrost miał wysoki, czoło szerokie, nos prosty, usta czysto narysowane, zęby śliczne, ręce delikatne.

Miał to szczególnie, że oczy jego, nieco oddalone jedno od drugiego, mogły jednocześnie ogarnąć prawie czwartą część widnokregu. Własność ta, sprawdziłem później, wzmagala się jeszcze bystrością wzroku, większą, niż ją posiadał Ned Land. Gdy ten nieznamy patrzył na jakiś przedmiot, wówczas marszczył brwi, przymrużał szerokie swe powieki, jakby chciał tym sposobem zmniejszyć dla źrenicy rozległość przestrzeni, na którą spoglądał. A cóż to był za wzrok! Jakże on zwiększał przedmioty zmalale przez oddalenie! Jak przenikał te masy wodne i czytał w głębi oceanów!

Dwaj nieznamy mieli na głowach berety z futra wydry morskiej; odzież zaś z jakiejś tkaniny szczególnej, która dobrze odznaczała ich postać i pozwalała na wielką swobodę ruchów.

Wyższy z nich, widocznie dowódca statku, przypatrywał nam się z nadzwyczajną uwagą, nie mówiąc ani słowa. Potem, zwracając się do swego towarzysza, rozmawiał z nim niezrozumiałym dla mnie językiem. Był to język dźwięczny, harmonijny, giętki, którego samogłoski zdawały się ulegać bardzo niejednostajnemu akcentowaniu.

Drugi odpowiedział poruszeniem głowy i dodał dwa lub trzy wyrazy całkiem niezrozumiałe; po czym wzrokiem wyraźnie mnie badał.

Odpowiedziałem mu po francusku, że nie rozumiem jego języka, lecz on nie zdawał się rozumieć tego, co mówię; położenie więc stawało się coraz kłopotliwsze.

— Niech opowiedzą naszą historię — rzekł do mnie Conseil. — Może ci panowie pochwyć choć niektóre wyrazy z tego.

Rozpocząłem więc opowiadanie naszych przygód, bardzo pomału i dobitnie, nie opuszczając najmniejszego szczegółu; wymieniłem nasze nazwiska i stan każdego, a potem formalnie przedstawiłem siebie jako profesora Aronnax'a, Conseil'a jako mego służącego i Neda Landa jako oszczepnika.

Człowiek z oczyma łagodnymi i spokojnymi słuchał mnie cierpliwie, grzecznie nawet i z widoczną uwagą. Lecz z twarzy jego nie można było wnosić, czy rozumiał moje opowiadanie. Gdy skończyłem, nie wyrzekł ani słowa.

Wypadałoby spróbować języka angielskiego. Może damy się zrozumieć w tej mowie, która dziś stała się prawie powszechną. Umiałem po angielsku tak dobrze jak i po niemiecku, ale do czytania tylko a nie do rozmowy, a tu chodziło głównie o zrozumienie się obopólne.

<sup>64</sup>prozopopeja — zabieg retoryczny polegający na wprowadzeniu w obręb wypowiedzi pozornych cytatów słów tych, którzy nie mogą rzeczywiście wypowiedzieć się: zmarłych, nieobecnych, a nawet (poprzez personifikację) przedmiotów, zwierząt, zjawisk i pojęć. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>metonimia — zastępnia; odmiana metafory; figura retoryczna mająca na celu zastąpienie nazwy jakiegoś przedmiotu lub zjawiska nazwą innego, pozostającego z nim w uchwytnej zależności; np. lubię czytać Miłosza (zam. utwory Miłosza). [przypis edytorski]

— No, teraz na ciebie kolej, mości Landzie; zdobądź się na najlepszą angielszczyznę, jaką kiedykolwiek mówił czystej krwi Anglo-Sakson, a może będziesz ode mnie szczęśliwszy.

Ned prosić się nie dał i powtórzył moje opowiadanie. Rzecz była ta sama, lecz opowiadanie różniło się formą. Kanadyjczyk ożywił je bardzo wskutek porywczowości swego charakteru. Skarżył się gwałtownie na uwięzienie go z pogwałceniem wszelkich praw ludzkich; zapytywał, na mocy czego był zatrzymany, powoływał się na *habeas corpus*<sup>66</sup>, groził, że będzie dochodzić swej krzywdy, rzucał się, gestykułował, a w końcu znakiem bardzo wyraźnym dał do zrozumienia, że umieramy z głodu.

Tak było w istocie, choć prawieśmy o tym zapomnieli.

Wielce się zdziwił oszczepnik, widząc, że go nie lepiej ode mnie zrozumiano. Nasi goście zdawali się nic nie pojmować: ani w mowie Araga, ani w języku Faraday'a.

Mocno zakłopotani, wyczerpawszy na próżno nasze zasoby filologiczne, nie wiedzieliśmy, co dalej czynić, kiedy Conseil szepnął mi do ucha:

— Gdyby pozwolili, to ja opowiedziałbym rzecz całą po niemiecku.

— Jak to! Ty umiesz po niemiecku? — zawołałem.

— Jak Flamandczyk, z przeproszeniem.

— Nie masz za co przepraszać. I owszem, mój chłopcze, i owszem, zaczynaj.

Conseil spokojnym głosem po raz trzeci opowiedział nasze przygody. Lecz pomimo eleganckich zwrotów i silenia się na jak najlepsze wymawianie, niemczyzna także została bezskuteczna.

Na koniec, potrzebą przynaglony, przypominając sobie wszystko, co mi w pamięci pozostało ze szkolnych mych czasów, chciałem rzecz przedstawić po łacinie. Cyceron byłby sobie zatkał uszy i wypędził mnie do kuchni. Bądź co bądź wybrnąłem z przedsięwzięcia, lecz... Bez skutku!

Po tej ostatniej próbie dwaj nieznajomi, zamieniwszy ze sobą kilka wyrazów w swej mowie niezrozumiałej, wyszli, nie pożegnawszy nas nawet jednym z owych uspokajających gestów rozumianych w całym świecie.

Gdy się drzwi za nimi zamknęły, Ned Land gwałtownie zawołał:

— To niegodziwość! Jak to! Mówi się do tych lotrów po francusku, po angielsku, po niemiecku, po łacinie, a żaden z nich nie chce odpowiedzieć.

— Uspokój się, Ned — rzekłem do wrzącego oszczepnika — gniew do niczego nie doprowadzi.

— Ale czy wiesz, panie profesorze — odpowiedział nasz gniewliwy towarzysz — że można by śmiało z głodu umrzeć w tej klatce żelaznej.

— Och! — odparł filozoficznie Conseil — jeszcze dość długo można wytrzymać.

— Moi przyjaciele — rzekłem — nie trzeba tracić nadziei. Znajdujemy się wprawdzie w nie najlepszych warunkach, ależ czekajmy, aż sobie będziemy mogli wyrobić opinię o dowódcy i załodze tego statku.

— Ja mam już o nich dokładną opinię — odpowiedział Ned Land. — Są to lotry...

— Dobrze, ale z jakiego kraju?

— Z kraju lotrów!

— Mój pocziwcz, ten kraj nie jest jeszcze dokładnie oznaczony na mapie, a tu właśnie narodowość tych dwóch nieznajomych najtrudniejsza jest do oznaczenia! Wiemy tylko, że to nie Francuzi, nie Anglicy i nie Niemcy. Jednakże nie wiem dlaczego, ale tak mi się zdaje, że obaj oni zrodzeni są niedaleko równika. Jest w nich coś południowego. Ale czy to Hiszpanie, Turcy, Arabowie, czy Indianie, tego z ich typu fizycznego poznać nie można. Co do ich mowy, tej stanowczo nie rozumiem.

— Co to za nieprzyjemności spotykają człowieka, gdy nie posiada wszystkich języków — wtrącił Conseil — jak to źle, że nie ma jednego, dla wszystkich wspólnego, języka!

— I to by się na nic nie zdało — odpowiedział Ned Land. — Czyż nie widzisz, że ci ludzie mają swój odrębny język, język wymyślony na to, aby do rozpacz przywołać biednych ludzi żądających obiadu? Przecież we wszystkich krajach na świecie zrozumiano by mnie, skoro bym otworzył usta, poruszył szczękami, kłapnął zębami i wargami! Czy

<sup>66</sup>*habeas corpus* — ustawa angielska, na mocy której zabronione było aresztowanie obywatela bez nakazu sędziego, jednocześnie zapewniała postępowanie przed właściwym sędzią. [przypis edytorski]

to nie znaczy, tak dobrze w Quebecu jak i w Paumotu, w Paryżu jak i na antypodach: „Głodny jestem, dajcie mi jeść”?

— O! — rzekł Conseil. — Są natury tak niedomyślne!

Gdy domawiał te słowa, drzwi się otworzyły. Wszedł posługacz niosący dla nas odzież: koszulki i spodnie do żeglugi morskiej przydatne, zrobione z materii, której gatunku rozpoznać nie mogłem. Z pośpiechem ubraliśmy się, a posługacz tymczasem niemy, może i głuchy nawet, ustawił stół i położył na nim trzy nakrycia.

— A, to już coś na serio — rzekł Conseil — i wcale się nieźle zaczyna.

— Eh! Do diabła! — mruknął gniewliwy oszczepnik — cóż my tu jeść możemy? Wątróbkę żółwią, polędwicę z rekina i befszytk z psa morskiego<sup>67</sup>!

— Zobaczymy — odpowiedział Conseil.

Półmiski przykryte srebrnymi pokrywami, symetrycznie ustawione na stole czekały na nas. Usiadłszy, poznaliśmy, że mamy do czynienia z ludźmi ucywilizowanymi — i gdyby nie zalewające nas światło elektryczne, sądziłbym, że się znajduję w jadalnej sali hotelu Adelphi w Liverpoolu albo Grand Hôtel w Paryżu. Jednakże dodać muszę, że chleba i wina brakowało zupełnie. Woda była czysta, świeża, ale to zawsze woda tylko — co wcale nie przypadło do smaku Ned Landowi. Pomiedzy potrawami, jakie nam podano, poznałem różne ryby delikatnie przyrządzone, lecz o niektórych daniach nic nie umiałem powiedzieć, a to tak dalece, że nie umiałbym oznaczyć, czy one należą do królestwa zwierzęcego, czy też roślinnego. Co do nakrycia, to było i wytworne, i gustowne. Łyżki, widelce, noże, talerze — miały na sobie literę otoczoną wyrazami dewizy, co się tak przedstawiało:

*Mobilis*  
N.  
*In mobili*

„Ruchome w ruchomym”! Dewiza ta stosowała się do tego statku podmorskiego — i dlatego właśnie przyimek *in* tłumaczy się przez *w* a nie przez *na*. Litera N. była zapewne początkową głoską imienia zagadkowej osoby rozkazującej w głębinach morskich.

Ned i Conseil, nie wdając się w żadne uwagi lub roztrząsania, zabrali się do jedzenia, a ja wkrótce poszedłem za ich przykładem. Zresztą byłem spokojny o nasz los i wiedziałem tyle przynajmniej, że nasi gospodarze nie mieli zamiaru zamorzyć nas głodem.

Wszystko jednakże ma swój koniec na tym padole; wszystko mija, nawet głód ludzi, którzy nie jedli od piętnastu godzin. Zaspokoiwszy apetyt, uczuliśmy gwałtowną potrzebę snu. Reakcja bardzo naturalna po nieskończeniu długiej nocy, podczas której walczyliśmy ze śmiercią.

— Pewien jestem, że będę spał wybornie — rzekł Conseil.

— A ja już śpię! — odpowiedział Ned Land.

Dwaj moi towarzysze wyciągnęli się na dywanie i wkrótce zapadli w najgłębszy sen.

Ja nie tak łatwo uległem gwałtownej potrzebie snu. Zbyt wiele cisnęło mi się myśli do głowy, zbyt wiele przedstawiało mi się pytań i zagadnień nierozwiązanych, abym tak łatwo mógł zmrużyć powieki. Gdzie byliśmy? Jakaż dziwna i niepojęta siła nas niosła? Czulem, a przynajmniej zdawało mi się, że czuję, jak przyrząd zanurzał się w najgłębsze warstwy morza. Widma mnie jakieś ścigały. W tym tajemniczym schronieniu dostrzegalem cały świat zwierząt nieznanymi, których bratem rodzonym, żywym, poruszającym się i jak one wielkim był ten statek podmorski... Wkrótce jednak mózg mój uspokoił się; wyobrażenia rozplynęła się w niewyraźnej jakiejś, błędnej senności i zapomniałem o wszystkim, pogrążony w śnie głębokim.

## GNIEWY NEDA LANDA

Nie wiem, jak długo trwał ten sen, ale musiał być długi, bo, przebudziwszy się, czulem, żem zupełnie wycapał. Obudziłem się pierwszy; towarzysze moi spoczywali jeszcze głęboko uśpieni, każdy w swoim kącie.

<sup>67</sup> *pies morski* — inaczej foka pospolita. [przypis edytorski]

Zaledwem powstał z tego posłania dość twardego, czułem się rzeźwym na umyśle i rozpocząłem zaraz przegląd baczny naszej celki.

Nic się nie zmieniło w jej urządzeniu wewnętrznym. Więzienie pozostało więzieniem, a więźniowie więźniami. Służący tylko podczas naszego snu zdjął ze stołu nakrycie. Nic przeto nie zapowiadało bliskiej zmiany w naszym położeniu i na serio zapytywałem sam siebie, czy przeznaczeniem naszym było na zawsze pozostać w tej klatce.

Byłoby mi to tym przykrzejsze, że o ile głowę miałem swobodniejszą, o tyle piersi czułem przytłoczone. Oddychałem z trudnością i ciężkie powietrze nie wystarczało dla płuc moich. Jakkolwiek cela była dość przestronna, widocznie jednak zużyliśmy w większej części tlen w niej zawarty. Wiadomo, że każdy człowiek zużywa na godzinę tlen zawarty w stu litrach powietrza, a powietrze nasycone w tym czasie prawie taką samą ilością kwasu węglowego, staje się niezdatne do oddychania.

Trzeba więc było koniecznie odświeżyć je w naszej kajucie, a zapewne i na całym statku podmorskim.

Tu mi się nastęrczało pytanie, jak sobie radził w takim razie dowódca tego budynku pływającego? Jeśli otrzymywał powietrze sposobami chemicznymi, to jest wywiązując tlen za pomocą gorąca z chloranu potażu — a wchłaniając kwas węglowy wodanem potażu, to musiał utrzymywać stosunki z lądem, aby sobie zapewnić materiały potrzebne do tego. Może poprzestawał na nagromadzeniu powietrza pod wysokim ciśnieniem w zbiornikach i wypuszczaniu go następnie odpowiednio do potrzeby swojej załogi? Być może. Albo też używał sposobu najprostszego, najwygodniejszego, najtańszego, a przeto najpraktyczniejszego i wypływał jak wieloryb na powierzchnię wód dla oddychania i odświeżania swego zapasu powietrza na dwadzieścia cztery godziny? Jakiejkolwiek używał metody, to użyć jej powinien co prędzej.

Już coraz częściej i trudniej oddychałem dla wciągnięcia w siebie niewielkiej ilości tlenu, jaki się jeszcze w celi naszej znajdował — gdy nagle orzeźwił mnie prąd powietrza czystego i przesiąkniętego słonymi wyziewami. Był to powiew morski, orzeźwiający i nasycony jodem. Otworzyłem szeroko usta, wciągając do płuc świeże powietrze. W tejsze samej chwili uczulem kołysanie, niegwałtowne wprawdzie, ale bardzo wyraźne. Statek, potwór żelazny, wypływał widocznie na powierzchnię oceanu, aby tam odetchnąć jak wieloryb. Poznałem więc sposób odświeżania powietrza na okręcie.

Gdy się już pełną piersią nalykał świeżego powietrza, szukałem komunikacji z powietrzem zewnętrznym, czyli *aerifera*, jak go nazywają, który nam go dostarczał, i znalazłem go bez trudności. Nad drzwiami widniał otwór wentylacyjny wpuszczający słup świeżego powietrza zastępującego powietrze zepsute naszej celi.

Gdy się tymi spostrzeżeniami zajmował, Conseil i Ned zbudzili się razem prawie, pod wpływem wietrzyka orzeźwiającego. Przetarli oczy, przeciągnęli ramiona i zerwali się na równe nogi.

— Czy pan dobrze spał? — zapytał Conseil ze zwykłą sobie grzecznością.

— Bardzo dobrze, mój kochany — odpowiedziałem — a ty, panie Nedzie Landzie?

— Smacznie i głęboko, panie profesorze; ale czy nie jestem w błędzie, bo zdaje mi się, jakbym oddychał morskim powietrzem.

Marynarz nie mógł się omylić w tym względzie. Opowiedziałem Kanadyjczykowi, co zaszło podczas snu jego.

— Wybornie — rzekł — to nam właśnie objaśnia te ryki, jakie słyszeliśmy, gdy mniemany narwał znajdował się w takiej od „Abrahama Lincolna” odległości, że widzieć go stamtąd było można.

— Tak jest, mości Landzie, to było jego oddychanie.

— Panie Aronnax, nie mogę zmiarkować, która godzina, lecz zdaje mi się, że to już pora obiadu!

— Obiadu? Powiedz raczej śniadania, mój zacny przyjacielu, bo o ile miarkuję, wczoraj już minęło.

— Co by nas przekonywało — wtrącił Conseil — że spaliśmy dwadzieścia cztery godziny.

— I mnie się tak zdaje — odpowiedziałem.

— O to się spierać nie myślę — odrzekł Ned Land. — Wszystko jedno, czy obiad, czy też śniadanie... Mógłby je już przynieść sługa okrętowy.

— Mógłby przynieść jedno i drugie razem — dodał Conseil.

— Tak jest — wtrącił Kanadyjczyk — mamy prawo do dwóch jedzeń i co do mnie, zaręczam, że dam im radę.

— Czekajmy — odpowiedziałem. — Widocznie nie mają tu zamiaru głodem nas zamorzyć, bo po co by nam dawali wczoraj obiad.

— Czy tylko nie mają zamiaru nas utuczyć — zauważył Ned.

— Ale gdzie tam — odrzekłem — nie wpadliśmy przecież w ręce ludożercy.

— Z jednego zdarzenia sądzić nie można — rzekł Kanadyjczyk całkiem serio. — Kto wie, czy ci ludzie nie są od dawna pozbawieni świeżego mięsa; a w takim razie trzy zdrowe i dobrze zbudowane indywidua jak pan profesor, jego służący i ja...

— Pozbądź się tych myśli, panie Landzie — rzekłem do oszczepnika — a co najważniejsze, nie bierz tego za punkt wyjścia do wystąpienia przeciwko naszym gospodarzom, co mogłoby tylko pogorszyć nasze położenie.

— W każdym razie — wrzasnął oszczepnik — jeść mi się chce jak sto diabłów, a tu nie przynoszą ani śniadania, ani obiadu!

— Trzeba się zastosować do przepisów na pokładzie przyjętych, a zdaje mi się, że nasz żołądek idzie wcześniej niż zegar tutejszy.

— To trzeba jeden zatrzymać lub posunąć drugi — spokojnie dodał Conseil.

— Poznając cię, przyjacielu Conseil — odpowiedział niecierpliwym Kanadyjczyk. — Niewiele zużywasz żółci i nerwów! Zawsze spokojny! Wolałbyś z głodu umrzeć, aniżeli narzekać.

— Bo i na cóż by się to przydało? — odpowiedział Conseil.

— I to coś znaczy! I gdyby ci rozbójnicy, a nazywam ich tak przez wzgląd na pana profesora, który ich zabrania nazywać kanibalami, wyobrażali sobie, że zatrzymają mnie w tej klatce zaduszanej, to grubo by się pomylili. Co myślisz, panie Aronnax, czy długo oni zamierzają nas trzymać w tym żelaznym pudle?

— Prawdę powiedziałszy, nie więcej wiem pod tym względem od ciebie, przyjacielu Landzie.

— Ale jak pan przypuszczasz?

— Przypuszczam, że przypadek uczynił nas panami ważnej tajemnicy. Otóż, jeżeli załoga tego podmorskiego statku ma interes w zachowaniu jej, a interes ten większy jest niż życie trzech ludzi, to życie nasze jest mocno narażone. W przeciwnym wypadku potwór wypuści nas na świat przy pierwszej lepszej sposobności.

— Czy tylko nie zechce zaliczyć nas do swej załogi i zatrzymać nas tym sposobem...

— Aż do chwili — wtrącił Ned Land — w której jakaś fregata szybsza lub zręczniejsza niż „Abraham Lincoln” opanuje to gniazdo łotrów i wyśle nas i jego załogę, abyśmy po raz ostatni odetchnęli na jej wielkiej rei.

— Wszystko to dobrze, panie Nedzie Landzie — dorzuciłem — lecz dotychczas nic jeszcze nam nie grozi. Po cóż mówić o rzeczach przypuszczalnych? Powtarzam, że wypada czekać, więc czekajmy; a nie róbmy nic, dopóki nie ma co robić.

— Przeciwnie, panie profesorze — odrzekł rozdrażniony oszczepnik — trzeba coś robić koniecznie.

— Cóż więc chcesz robić?

— Ocalić nas.

— Z więzienia ziemskiego umknąć zwykle bardzo już trudno, ale z podmorskiego zdaje mi się całkiem niepodobna.

— A cóż mości Ned powie na to? — wtrącił Conseil. — Przecież Amerykaninowi nigdy pomysłu zabraknąć nie powinno.

Oszczepnik, widocznie zakłopotany, milczał. Ucieczka w warunkach, w jakich nas wypadki postawiły, była całkiem niepodobna. Lecz Kanadyjczyk jest zawsze na pół Francuzem, jak tego Ned Land dowiódł swą odpowiedzią.

— Więc, panie Aronnax — rzekł po chwili zastanowienia — nie zgadujesz, co mają robić ludzie niemogący ująć ze swego więzienia?

— Nie, mój przyjacielu.

— Tak się urządź, aby w nim pozostać mogli.

— A w każdym razie — dodał Conseil — lepiej pozostać w środku, niż z wierzchu lub pod spodem.

— Wyrzuciwszy naprzód strażników i kluczników — dodał Ned Land.

— Jak to, Ned, więc myślisz na serio o opanowaniu tego statku?

— Bardzo na serio — odpowiedział Kanadyjczyk.

— To być nie może.

— Dlaczego nie? Możemy się przecie doczekać jakiejś przyjaznej sposobności i skorzystać z niej. Jeśli ich tu nie ma więcej niż dwudziestu ludzi, to sędzę, że się ich nie złączą dwaj Francuzi i jeden Kanadyjczyk.

Pomyślałem sobie, że lepiej będzie przyjąć propozycję oszczepnika, aniżeli się nad nią zastanawiać; dlatego też odpowiedziałem.

— Czekajmy wypadków, mości Nedzie Landzie, a zobaczymy; tymczasem błagam cię, powstrzymaj twą niecierpliwość. Tu działać można tylko podstępem, a więc oględnie i chłodno. Daj mi słowo, że cokolwiek bądź zajdzie, nie będziesz się gniewał.

— Daję słowo, panie profesorze — odpowiedział Ned Land, acz tonem nie bardzo upewniającym. — Ani jeden gwałtowny wyraz nie wyjdzie z ust moich; nie zdradzę się żadnym gestem, choćby nawet nie podawano nam do stołu z pożądaną dla mnie regularnością.

— Mamy więc twoje słowo — rzekłem do Kanadyjczyka.

Rozmowa umilkła, a każdy z nas rozważał położenie. Przyznam się, że co do mnie, pomimo zapewnień oszczepnika, nie ludziłem się bynajmniej i nie spodziewałem się tych szans przyjaznych, jakie się jego myśli nastroczały. Statek podmorski tak wybornie kierowany wymagał widocznie znacznej liczby ludzi do swej obsługi, a więc na wypadek walki mielibyśmy do czynienia z licznymi przeciwnikami. Zresztą trzeba było najpierw, abyśmy odzyskali wolność, a myśmy byli zamknięci i nie widziałem sposobu wyjścia z celi hermetycznej. Jeśli dziwny dowódca tego statku chciał zachować tajemnicę, co zdawało się prawdopodobnym, to nie pozwoli nam działać swobodnie na pokładzie swojego okrętu. Jeśli zaś gwałtem nas się pozbędzie, to gdzież nas wyrzuci, kiedy i na jaki kawałek ziemi? Wszystko można było przypuszczać i chyba tylko jeden oszczepnik mógł mieć nadzieję odzyskania wolności.

Widziałem, że Neda Landa myśl pracuje.

Zaczynał powoli kłąć, a ruchy jego coraz groźniejsze były. Wstawał, chodził jak zwierzę dziki w klatce, bił o ścianę pięściami i nogami, a czas płynął swoją drogą, głód coraz silniej uczuwać się dawał, sługa zaś okrętowy nie przybywał. Jeśli nie miano nic złego nam zrobić, to postępowanie takie z nami było bardzo niewłaściwe.

Ned Land, dręczony wymaganiami swego olbrzymiego żołądka, zapalał się coraz więcej i obawiał się, aby pomimo danego mi słowa nie wybuchnął przy zetknięciu się z ludźmi załogi.

Taki stan trwał jeszcze przez dwie godziny; gniew Neda Landa wzrósł do strasznych rozmiarów. Wołał, krzyczał, ale na próżno. Ściany żelazne były głuche. Nie słyszałem nawet najmniejszego szmeru z zewnątrz, jakby na statku wszyscy wymarli. Nie poruszał się on, bo czułbym drżenie jego szkieletu pod działaniem śruby; zapewne zanurzony w przepaści wód nie należał już do ziemi. Ponure to milczenie przerażało mnie.

Nie umiałem sobie zdać sprawy z czasu, przez jaki już byliśmy zamknięci. Traciłem nadzieję, jaką powziąłem po pierwszym ujrzeniu naszego dowódcy. Słodycz spojrzenia tego człowieka, łagodny wyraz jego fizjonomii, jego szlachetna postawa — wszystko to zacierało się w mych wspomnieniach. Zagadkowa ta postać ukazywała mi się teraz taką, jaką koniecznie być musiała: niewzruszoną, okrutną. Czułem, że człowiek ten zerwał z ludzkością, zabronił do siebie przystępu wszelkiemu uczuciu litości, stał się wrogiem swych bliźnich, którym musiał wypowiedzieć wieczną wojnę!

Chciałże nas zamorzyć<sup>68</sup> głodem w tym ciasnym więzieniu?

Ta straszna myśl ogarnęła mnie całego, a rozdrażniony jeszcze głodem, zapadłem w straszne przerażenie. Conseil stał spokojny, Ned Land ryczał z wściekłości.

W tej chwili dał się słyszeć szmer z zewnątrz. Kroki rozległy się po metalowej podłodze. Odsunięto wrzeciadze<sup>69</sup>, drzwi otworzono i ukazał się sługa okrętowy.

<sup>68</sup>chciałże zamorzyć — konstrukcja z partykulą -że; znaczenie: czy chciał zamorzyć. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>wrzeciadz — urządzenie do zamykania drzwi lub bramy. [przypis edytorski]



Zanim zdążyłem przeszkodzić, Kanadyjczyk rzucił się już na niego, powalił na ziemię i ścisnął za gardło. Sługa dusił się pod uściskiem.

Conseil poskoczył na pomoc biedakowi na pół już uduszonemu — a i ja zabierałem się poprzec mego służącego, gdy nagle, jak przybity do ziemi, wstrzymałem się słysząc te wyrazy po francusku:

— Uspokój się, mości Land, a pan, panie profesorze, chciej mnie posłuchać.

## PAN WÓD

Mówił to dowódca statku.

Na te wyrazy Ned Land podniósł się nagle. Służący okrętowy, o mało co nie zduszony, wyszedł, chwając się, na znak swego pana, a taka była władza dowódcy na jego okręcie, że pokrzywdzony najmniejszym ruchem nie śmiał zdradzić swej niechęci do Kanadyjczyka. Conseil zaciekawiony mimowolnie, a ja oniemiały, czekaliśmy w milczeniu na rozwiązanie tej sceny. Dowódca oparty o róg stołu, z rękoma na piersi skrzyżowanymi, przypatrywał się nam z głęboką uwagą. Czy wahał się mówić? Czy żałował tych kilku wyrazów wymówionych po francusku? Tak można było sądzić.

Po kilku chwilach milczenia, którego nikt z nas przerywać nie miał zamiaru, rzekł głosem spokojnym i przejmującym:

— Panowie, umiem zarówno dobrze po francusku, po angielsku, po niemiecku i po łacinie. Mogłem więc odpowiedzieć wam przy pierwszym zaraz widzeniu się z wami, lecz chciałem was najpierw poznać, a potem zastanowić się. Wasze czterokrotne, zupełnie zgodne opowiadanie wczorajsze upewniło mnie co do tożsamości osób waszych. Wiem teraz, że przypadek postawił wobec mnie pana Piotra Aronnax'a, profesora historii naturalnej w muzeum paryskim mającego misję naukową zagraniczną, Conseil'a, jego służącego, i Neda Landa, Kanadyjczyka z pochodzenia, oszczepnika na pokładzie fregaty „Abraham Lincoln” z marynarki narodowej Zjednoczonych Stanów Ameryki.

Ukloniłem się przytakująco. Komendant pytań mi nie robił, więc odpowiadać nie było na co. Wyrażał się z wielką łatwością i bez zatrącania jakimkolwiek akcentem. Frazesy jego płynęły jasno, wyrazy dobierał właściwe, łatwość jego w wypowiedzaniu się była zadziwiająca. A jednak „nie czułem” w nim rodaka.

Rozmowę wiódł dalej w sposób następujący:

— Zapewne zdawało się panu, że się zbyt ociągał z odwiedzeniem was powtórnym. Uczyniłem to dlatego, że sprawdziwszy tożsamość osób, chciałem dobrze rozważyć, co mam z wami zrobić. Długo się wahałem. Najprzykrzejsze okoliczności postawiły was wobec człowieka, który zerwał z ludzkością. Przyszłście zakłócić moje istnienie...

— Mimowolnie — wtrąciłem.

— Mimowolnie? — odrzekł nieznanomy silniejszym nieco głosem. — A więc „Abraham Lincoln” ścigał mnie mimowolnie po wszystkich morzach? Czyż mimowolnie wsiedliście na pokład tej fregaty? A kule wasze, czy także mimowolnie odskakiwały od mego okrętu, a jegomość pan Ned Land mimowolnie uderzył w niego swoim oszczepem?

W tych wyrazach widoczny był dla mnie powściągliwy gniew. Lecz na wszystkie te zarzuty miałem bardzo naturalną odpowiedź i dałem ją.

— Panie — rzekłem — nie są ci zapewne obce wszystkie dyskusje, jakie wywołałeś w Europie i Ameryce. Pan nie wiesz o tym, że różne wypadki wywołane uderzeniem o pański statek podmerski wstrząsnęły opinią publiczną na obu półkulach. Nie mówię już o licznych przypuszczeniach czynionych dla wyjaśnienia trudnego do wytłumaczenia zjawiska, którego tajemnicę pan sam tylko posiadałeś; lecz wiedz pan o tym, że ścigając cię po morzach Oceanu Spokojnego, „Abraham Lincoln” był przekonany, że poluje na potężnego potwora, od którego za jaką bądź cenę wypadało ocean uwolnić.

Półśmiech rozjaśnił usta dowódcy, który rzekł tonem już spokojniejszym:

— Panie Aronnax, śmiałyś twierdzić, że wasza fregata nie ścigałaby usilnie statku podmerskiego jak potwora i nie strzelała do niego?

Pytanie to mocno mnie zakłopotало; byłem pewien, że dowódca Farragut nie wahałby się ani na chwilę. Niezawodnie miałby sobie za obowiązek zniszczyć przyrząd tego rodzaju, tak samo jak narwala olbrzymiego.

— Pojmujesz więc pan — ciągnął dalej nieznajomy — że mam prawo traktować was jako mych nieprzyjaciół.

Nie było co na to odpowiedzieć, a zresztą po co rozważać położenie, gdy siła może zniweczyć wszelkie rozumowania.

— Długo się wahałem — mówił dalej dowódca. — Nic mnie do gościnności dla was nie zobowiązywało. Jeśli miałem rozstać się z wami, to nie miałem po co widzieć was powtórnie. Dostyc byłoby wywieść was na platformę tego statku, który wam służył za schronienie, zanurzyć się w głębokościach morza i już by się zapomniało, żeście na świecie istnieli. Nie miałebym prawa tak uczynić?

— Dziki mógłby dać sobie to prawo — odpowiedziałem — ale nie człowiek cywilizowany.

— Panie profesorze — żywo odpowiedział dowódca — ja nie jestem tym, co pan nazywasz człowiekiem cywilizowanym! Zerwałem ze społeczeństwem z przyczyn, które roztrząsać ja sam tylko mam prawo. Nie podlegam więc społecznym przepisom, proszę pana nigdy się na nie w mojej obecności nie powoływać.

Było to wypowiedziane bardzo dobitnie. Gniew i pogarda płonęły w oczach nieznajomego; w życiu tego człowieka straszną dopatrywałem przeszłość. Nie tylko usunął się spod praw ludzkich, ale jeszcze uczynił się niezależnym, wolnym w najściślejszym znaczeniu tego wyrazu, niedosiężnym. Kto śmiałyby ścigać go w głębie morskie, skoro na ich powierzchni żartował sobie z usiłowań przeciw niemu skierowanych? Jaki okręt oparłby się uderzeniu tego monitora podmorskiego? Jakiej grubości pancernik wytrzymałby uderzenie ostrogi jego statku? Nikt z ludzi nie mógł od niego żądać rachunku ze spraw jego. Bóg tylko, jeśli wierzył w niego — sumienie tylko, jeśli je miał, jedynymi, którym by mógł ulec, sędziami jego być mogli.

Takie uwagi szybko przebiegły mój umysł, a nieznajomy tymczasem milczał zamysłony, jakby zamknięty w sobie. Patrzyłem na niego z przestachem i podziwem.

Po dość długim milczeniu dowódca znowu mówić zaczął:

— Wahałem się więc, ale pomyślałem, że interes mój da się pogodzić z tą litością przyrodzoną, do jakiej każda istota ludzka ma prawo. Zostaniecie na moim statku, ponieważ fatalność na niego was rzuciła; będziecie na nim swobodni, a za tę swobodę, względną zresztą, jeden wam tylko postawię warunek, który mi słowem waszym poręczycie.

— Mów pan — odpowiedziałem — sądzę, że warunek będzie taki, jaki każdy uczciwy człowiek przyjąć może.

— Tak jest, panie. Być może, że wypadki nieprzewidziane zmuszą mnie zatrzymać panów w ich kajucie przez kilka godzin, a może nawet i przez kilka dni. Nie chcąc nigdy użyć gwałtu, w tej okoliczności, więcej jeszcze niż w każdej innej, wymagam od panów biernego posłuszeństwa. Tak działając, usuwam od was wszelką odpowiedzialność, bo ode mnie już wtedy będzie zależało nie dać wam widzieć tego, czegoście widzieć nie powinni. Czy przyjmujecie ten warunek?

Musiały więc odbywać się tam rzeczy co najmniej dziwne, skoro nie mogli ich widzieć ludzie, którzy się nie wyrzekli praw społecznych. Nie najmniejsza to była z niespodzianek, jakimi nas przyszłość miała obdarzyć.

— Przyjmujemy — odpowiedziałem — jednakże ośmielę się uczynić panu jedno tylko pytanie.

— Słucham pana.

— Powiedziałeś, że będziemy zupełnie swobodni na twym statku?

— Najzupełniej.

— Zapytuję więc pana, jak rozumiesz tę swobodę?

— Ależ swobodę chodzenia, patrzenia, przyglądania się nawet wszystkiemu, co się tu dzieje, tak samo jak i moi towarzysze, wyjąwszy w niektórych okolicznościach.

Widocznieśmy się nie rozumieli.

— Daruj pan — rzekłem — ale to swoboda więźnia mającego prawo chodzić po swojej celi... Tego nam za mało.

— A jednak musi to wam wystarczyć.

— Jak to, więc mamy się wyrzec ujrzenia kiedyś naszej ojczyzny, naszych przyjaciół, naszych krewnych!

— Tak jest, panie. Lecz wyrzec się tego nieznośnego jarzma na ziemi, które ludzie nazywają wolnością, nie tak jest trudno, jak się zdaje!

— A to pięknie! — zawołał Ned Land — ja nigdy nie dam słowa na to, że nie będę chciał umknąć.

— Nie żądam słowa, mości Nedzie Landzie — rzekł zimno dowódca.

— Panie — wtrąciłem, unosząc się mimowolnie — pan nadużywasz swego względem nas położenia. To jest okrucieństwo!

— Nie, panie, to jest łaskawość. Jesteście moimi jeńcami wojennymi. Ocaliłem was, choć mógłbym jednym słowem zanurzyć was w przepaść oceanu! Wyście mnie napadli! Wyście mi przyszli wydrzeć tajemnicę, której żaden człowiek znać nie powinien, tajemnicę mojego bytu! I mniemacie, że ja was odeślę na tę ziemię, która już więcej znać mnie nie powinna! Nigdy! Zatrzymując was, nie was, ale siebie samego ochraniam.

Te wyrazy okazywały stanowcze dowódcy postanowienie, przeciwko któremu nie pomogłyby żadne argumenty.

— Tak więc — rzekłem — dajesz nam pan po prostu wybór pomiędzy życiem a śmiercią!

— Nie inaczej.

— Moi przyjaciele — rzekłem — na tak postawione twierdzenie nie ma co odpowiedzieć. Ale żadne słowo nie wiąże nas względem dowódcy tego statku.

— Żadne, panie — odpowiedział nieznajomy.

I dodał głosem łagodniejszym:

— Teraz pozwólcie mi skończyć, co miałem powiedzieć. Znam pana, panie Aronnax. Jeśli nie pańscy towarzysze, to pan nie masz powodu tak bardzo się uskarżać na wypadek wiążący cię z moim losem. Między ulubionymi książkami, do których się w moich studiach uciekam, znajdziesz pan i swoje dzieło *O wielkich głębiach morskich*. Czytałem je często. Posunąłeś się pan w nim tak daleko, jak ci na to pozwalała nauka ziemską. Lecz nie wiesz pan wszystkiego, nie wszystko widziałeś. Pozwól sobie powiedzieć, panie profesorze, że nie pożałujesz czasu spędzonego u mnie. Odbędziesz pan podróż po krainie cudów. Będziesz pan prawdopodobnie w ciągłym zdziwieniu, nie tak łatwo się nasycisz widokiem, jaki ci się ciągle nastroczać będzie. W tej nowej podróży podmorskiej, którą odbędę, a która być może ostatnią już będzie, ujrzę na nowo wszystko, com badał w głębi tych mórz tyle razy przeze mnie przebieganych, a pan będziesz moim w studiach towarzyszem. Od dnia dzisiejszego wchodzisz pan w nowy całkiem żywioł, zobaczysz pan to, czego nie widział żaden jeszcze człowiek, bo ja z moimi<sup>70</sup> nie liczymy się wcale, a nasza planeta, dzięki moim staraniom, panu ostatnie ujawni swoje tajemnice.

Nie mogę zaprzeczyć, że wyrazy te bardzo dobry na mnie wywarły skutek; dotknięto mej słabej strony i zapomniałem na chwilę, że rozpatrywanie tych rzeczy wzniosłych nie mogło zastąpić wolności straconej. Zresztą liczyłem nieco i na przyszłość dla załatwienia tej ważnej kwestii. Dlatego też poprzestałem na odpowiedzi:

— Panie, jeżeli zerwałeś z ludzkością, przecież nie wyparłeś się uczuć ludzkich. Jesteśmy rozbitkami przyjętymi z litości na twój pokład, nie zapomnimy o tym. Ja z mej strony pojmuję, że jeśli dla nauki można się wyrzec wolności, to w towarzystwie pańskim będę miał czym ją zastąpić.

Sądziłem, że dowódca poda mi rękę na stwierdzenie naszego porozumienia się, ale tego nie uczynił. Żałowałem tego nie dla siebie, ale dla niego.

— Ostatnie jeszcze pytanie — rzekłem w chwili, gdy niepojęty ten człowiek zdawał się chcieć oddalić.

— Słucham cię, panie profesorze.

— Jak mam pana nazywać?

— Dla pana — odpowiedział dowódca — jestem kapitanem Nemo; pan zaś i pańscy towarzysze jesteście dla mnie podróżnymi na „Nautilusie”<sup>71</sup>.

Na zawołanie kapitana Nemo wszedł służący. Kapitan wydał mu rozkazy w tym dziwnym języku, którego nie mogłem rozeznąć; potem, zwracając się do Kanadyjczyka i Conseil’a, rzekł:

<sup>70</sup>z moimi — ludźmi; załogą. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Nemo (...) Nautilusie — nemo [łac.; red. WL] znaczy „nikt”, nautilus znaczy „plywak”. [przypis redakcyjny]

— Znajdziecie posiłek w waszej kajucie, udajcie się za tym człowiekiem.

— Tego się nie odmawia — zamruczał oszczepnik.

Wyszli nareszcie z tej celi, w której siedzieli zamknięci od trzydziestu przeszło godzin.

— A teraz, panie Aronnax, pójdziemy i my na śniadanie. Pozwól mi pan służyć sobie.

— Jestem do usług pańskich, kapitanie.

Poszedłem za kapitanem Nemo i zaraz po przejściu drzwi weszliśmy w korytarz elektrycznie oświetlony, podobny do tych przejść, jakie zwykle bywają wewnątrz okrętów. Po przejściu jakichś dziesięciu metrów, drugie drzwi otworzyły się przed nami. Weszliśmy do sali jadalnej przybranej i umeblowanej z pewną prostotą smaku. W dwóch krańcach sali wznosiły się wysokie dębowe kredensy hebanem inkrustowane, wypełnione na półkach fajansami, szkłem, porcelaną wysokiej wartości. Naczynia srebrne i złote ciskały świetny blask w oświetleniu promieniącym, złagodzony wytwornym na suficie malowaniem.

Na środku sali stał stół bogato zastawiony. Kapitan Nemo wskazał mi miejsce, które zająć miałem.

— Siadaj pan — rzekł do mnie — i jedz, jakbyś już nigdy w życiu jeść nie miał.

Śniadanie składało się z kilku potraw dostarczonych przez morze i kilku takich, których nie znałem natury ani pochodzenia. Przyznam, że było to dobre, ale miało swój smak zupełnie odrębny, do którego nietrudno mi się było przyzwyczać. Różne te pokarmy zdawały mi się obfitować w fosfor i sądziłem, że ich pochodzenie musiało być morskie.

Kapitan Nemo patrzył na mnie. Nie pytałem go o nic, ale on sam zgadywał moje myśli i sam odpowiadał na pytania, które rad bym mu zadać.

— Większej części tych potraw nie znasz pan wcale — rzekł do mnie — jednakże możesz ich pan używać bez obawy. Zdrowe są i pożywne. Od dawna wyrzekłem się pokarmów na ziemi używanych i nie cierpię na tym bynajmniej. Ludzie stanowiący załogę mego statku są silni, a żyją tym samym co i ja.

— Zatem wszystkie te pokarmy pochodzą z morza? — zapytałem.

— Tak, panie profesorze, morze zaspokaja wszystkie nasze potrzeby. To zakładam sieci i wydobywam je pełne; to znowu poluję wśród tego żywiołu, który zdaje się być nieprzystępnym dla człowieka; zdobywam zwierzynę kryjącą się w moich lasach podmorskich. Moje trzody, jak trzody starego pasterza Neptuna, pasą się bez obawy na rozległych łąkach oceanu. Mam ja tam obszerną posiadłość, z której wciąż czerpię i którą wciąż zasiewa ręka Stwórcy wszechrzeczy.

Patrzyłem na kapitana Nemo z pewnym zdziwieniem i odrzekłem:

— Bardzo to pojmuję, panie kapitanie, że pańskie sieci dostarczają ci ryb wybornych; mniej pojmuję polowanie na zwierzynę wodną, lecz zupełnie nie widzę, skąd byś pan mógł mieć choćby kawałek mięsa.

— Ja też, panie — odpowiedział kapitan Nemo — nie używam nigdy mięsa zwierząt lądowych.

— A cóż to jest takiego? — rzekłem, wskazując półmisek, na którym pozostało jeszcze kilka kawałków polędwicy.

— To, co się tobie wydaje mięsem, panie profesorze, jest po prostu polędwicą z żółwia morskiego. Patrz, oto tu wątróbka z delfina, którą byś wziął za potrawkę z wieprzowiny. Mój kucharz jest mistrzem w przyrządzaniu tych przeróżnych płodów oceanu. Kosztuj wszystkich tych potraw. Oto konserwa z holoturii, którą Malajczyk ogłosiłby za niezrównaną, to znów krem, do którego wymię wieloryba dostarczyło mleka, a cukru porosty z Morza Północnego; wreszcie pozwól pan sobie zalecić konfitury z anemonów morskich<sup>72</sup>, bo nie ustępują w niczym konfiturom z najsmaczniejszych owoców.

I kosztowałem wszystkiego, wprawdzie raczej jako ciekawy niż jako smakosz, a tymczasem kapitan Nemo zdumiewał mnie nieprawdopodobnymi swymi opowiadaniem.

— Ale co jeszcze, panie Aronnax, to morze, niewyczerpane źródło pożywienia, nie tylko że mnie karmi, ale jeszcze i odziewa. Tkaniny, które cię okrywają, robione są z włókien pewnych muszli, a ten odcień fioletowy otrzymują z aplyzji<sup>73</sup>, mięczaka żyjącego

<sup>72</sup>anemony morskie — osiadłe koralowce należące do rzędu ukwiałów. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>aplyzja — tzw. zając morski, rodzaj ślimaka o muszli zredukowanej do niewielkiej płytki. [przypis edytorski]

w Morzu Śródziemnym. Perfumy, które stoją na toalecie w twojej kajucie, są wydestylowane z roślin morskich. Pościel twoja jest z najmniejszej zostery, rośliny morskiej zwanej włosiem roślinnym. Pióro, którym pisać będziesz, jest z fiszbinu<sup>74</sup>, atrament cieczą wydzieloną przez sepie<sup>75</sup>. Wszystko teraz mam z morza, jak kiedyś wszystko wróci do niego!

— Zakochany jesteś w morzu, kapitanie!

— Tak, kocham morze! Morze jest wszystkim! Pokrywa ono siedem dziesiątych powierzchni naszego globu. Jego tchnienie jest czyste i zdrowe. Jest to niezmierna pustynia, gdzie jednak człowiek nie jest nigdy sam, bo wszędzie czuje wokoło siebie życie drgające. Morze, dźwignia potężnego i cudownego istnienia, całe jest ruchem i miłością. Jest to żyjąca nieskończoność, jak się jeden z waszych poetów wyraził. Tak jest, panie profesorze, natura objawia się tu w każdym ze swoich trzech królestw: mineralnym, roślinnym i zwierzęcym. To ostatnie przedstawiają cztery gromady zwierzoekrzewów<sup>76</sup>, trzy gromady zwierząt stawowatych, pięć gromad mięczaków, trzy gromady kręgowych, ssące, płazy i te nieprzeliczone legiony ryb, zastęp bez końca obejmujący więcej niż trzysta tysięcy gatunków, z których zaledwie część dziesiąta żyje w wodach słodkich. Morze to niezmiernie zbiorowisko natury! Morzem, że się tak wyrażę, glob się nasz począł i kto wie, czy morzem się nie zakończy. Tu jest najwyższy spokój. Morze nie da się podbić. Na jego powierzchni mogą jeszcze ludzie wykonywać swoje niegodziwe prawa: bić się na niej, pożerać się, przenieść na nią wszystkie okropności ziemskie. Ale już o trzydzieści stóp pod jego powierzchnią kończy się ich władza — wpływ ich ustaje, potęga niknie! Ach, panie! Żyć, żyć tylko w łonie morza! Tu tylko jest niepodległość! Tu nie znam nad sobą pana! Tu jestem wolny!

Kapitan Nemo umilkł nagle. Byłże to skutek niezwykłego wybuchu, mówiłże zbyt wiele? Przez czas pewien chodził bardzo wzruszony, lecz wkrótce nerwy jego uspokoiły się, fizjonomia wróciła do zwykłego swego chłodu; zwracając się do mnie, rzekł:

— Teraz, panie profesorze, jeśli chcesz zwiedzić „Nautilus”, jestem na twoje rozkazy!

## NAUTILUS

Kapitan Nemo powstał, a ja poszedłszy za nim przez podwójne drzwi w głębi sali, wszedłem do pokoju takiej samej rozległości jak ten, który opuściłem.

Była to biblioteka. Wysokie, z czarnego palisandru<sup>77</sup> szafy inkrustowane miedzią na szerokich swych półkach dźwigały znaczną liczbę książek jednostajnie oprawionych. Szafy te stały naokoło sali, odpowiednio do jej kształtu, a u stóp ich rozścielały się obszerne sofy pokryte ciemną skórą, powyginane bardzo wygodnie i ruchome pulpity w miarę potrzeby dające się zbliżyć lub oddalić. Na środku stał stół, a na nim mnóstwo broszur, pomiędzy którymi widać było kilka starych już dzienników. Światło elektryczne oblewało całość tę harmonijną, a padało z trzech kul na wpół wpuszczonych w ozdoby architektoniczne sufitu. Z prawdziwym zdziwieniem patrzyłem na tę salę tak dowcipnie urządzoną i zaledwie uwierzyłbym oczom.

— Kapitanie Nemo — rzekłem do mego gospodarza, który rozsiadł się na sofie — ta biblioteka przyniosłaby zaszczyt niejednemu z pałaców na lądzie stałym i prawdziwie jestem zachwycony, gdy pomyślę, że ona towarzyszy ci w największych głębiach oceanu.

— Gdzież można znaleźć większą samotność, głębsze milczenie, panie profesorze? — odpowiedział kapitan Nemo. — Czy pański gabinet w muzeum może ci zupełnie zapewnić wypoczynek?

— Nie, panie i muszę dodać, że mój gabinet jest bardzo ubogi w porównaniu z pańskim. Pan tu posiadasz sześć do siedmiu tysięcy tomów...

— Dwanaście tysięcy, panie Aronnax. Są to jedyne węzły, jakie mnie jeszcze łączą z ziemią. Lecz świat skończył się dla mnie w dniu, w którym mój „Nautilus” po raz pierwszy zanurzył się pod wodę. W tym dniu zakupiłem ostatnie tomy dzieł, ostatnie

<sup>74</sup>fiszbin — płyta rogowa w jamie gębowej wieloryba, służąca do filtrowania wody morskiej, w celu odzyskania z niej pożywienia w postaci planktonu. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>sepie — inaczej mątwy; dziesięcioramienne głowonogi drapieżne. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>zwierzoekrzewy — nazwa przypisywana niegdyś bezkręgowcom przypominającym krzaczaste rośliny; uznawane dawniej za formę pośrednią pomiędzy zwierzętami, a roślinami. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>palisander — drewno z tropikalnych drzew, należących do rodzaju *Dalbergia*. [przypis edytorski]

broszury, ostatnie dzienniki i od tej chwili pragnę wierzyć, że ludzkość ani myśleć, ani pisać nie umie. Te książki, panie profesorze, są na twoje usługi; możesz z nich korzystać, ile ci się podoba.

Podziękowałem kapitanowi i zbliżyłem się dla przejrzania biblioteki. Obfitowała ona w książki traktujące we wszystkich językach o nauce, moralności i literaturze — lecz nie dostrzegłem nigdzie ani jednego dzieła o ekonomii politycznej, która, jak się zdawało, nie została dopuszczona. Na uwagę zasługuje ten ciekawy szczegół, że wszystkie te książki ustawione były bez względu na języki, w których je napisano, a ta mieszanina dowodziła, że kapitan „Nautilusa” musiał czytać zarówno biegle wszystko, co mu popadło w ręce.

Pomiędzy tymi dziełami zauważyłem arcydzieła mistrzów, starożytnych i nowoczesnych, to jest wszystko, co ludzkość najpiękniejszego stworzyła w historii, poezji, romanse i nauce, od Homera do Wiktora Hugo, od Ksenofonta do Micheleta, od Rabelais’ego aż do pani Sand. Nauka jednak przeważała; dzieła o mechanice, balistyce, hydrografii, meteorologii, geografii, geologii itp., zajmowały nie mniej miejsca niż dzieła dotyczące historii naturalnej; zrozumiałem, że się nimi głównie kapitan zajmował. Widziałem tam kompletne dzieła takich pisarzy jak Humboldt, Arago, Foucault, Henryk Sainte-Clair-Deville, Chasles, Milne Edwards, Quatrefages, Tyndall, Faraday, Berthelot, książdz Secchi, Petermann, kapitan Maury, Agassis itd., pamiętniki akademii nauk, biuletyny różnych towarzystw geograficznych itp. Pomiędzy dziełami Józefa Bertranda jego książka *Założyciele astronomii* wskazała mi jedną datę bardzo pewną. Ponieważ widziałem, że wyszła w ciągu 1865 roku, mogłem stąd wnosić, że instalacja „Nautilusa” nie dalszej sięgała epoki. Tak więc od trzech lat dopiero najwyżej kapitan Nemo zaczął swój byt podwodny. Spodziewałem się zresztą, że jeszcze inne dzieła pozwolą bardziej stanowczo określić tę epokę; lecz miałem mieć dość czasu na to poszukiwanie, a nie chciałem opóźnić dalszej przechadzki po cudownym „Nautilusie”.

— Dziękuję panu — rzekłem do kapitana — że mi pozwalasz używać tej biblioteki. Są to skarby wiedzy, a ja nie zaniedbam z nich korzystać.

— Ta sala nie samą jest tylko biblioteką; służy ona także i do palenia — rzekł kapitan.

— Do palenia? — zawołałem — więc można palić na tym okręcie?

— A naturalnie!

— To mnie skłania do mniemania, że pan zachowałeś stosunki z Hawaną.

— Bynajmniej — odparł kapitan — przyjmij pan to cygaro, panie Aronnax, a chociaż ono nie pochodzi z Hawany, będziesz z niego zadowolony, jeśli jesteś znawcą.

Przyjąłem podane mi cygaro, kształtem przypominające londressy; ale zdawało się być wyrobione z liści złotych. Zapaliłem je i wciągałem w siebie pierwsze jego dymki z namiętnością amatora, który nie palił od dwu dni.

— To wyborne — rzekłem — ale to nie tytoń.

— Nie — odpowiedział kapitan — ten tytoń nie pochodzi ani z Hawany ani ze Wschodu. Jest to rodzaj porostu wodnego bogatego w nikotynę, którego mi trochę skąpo morze udziela. Ale nie zatęsknisz Pan za swoimi londressami.

— O kapitanie! Gardzę nimi od dnia dzisiejszego.

— Pali więc do woli i nie myśl o pochodzeniu tych cygar. Choć ich monopol państwowy nie kontrolował, nie mniej przeto są dobre, jak mi się zdaje.

— Tym lepsze.

W tej chwili kapitan Nemo otworzył drzwi znajdujące się naprzeciw tych, którymi wszedłem do biblioteki i weszliśmy do salonu bardzo dużego i oświetlonego wspaniale. Był to obszerny czworobok długości dziesięciu, szerokości sześciu, a wysokości pięciu metrów. Świetlny sufit, lekkimi przyozdobiony arabeskami, rozrzucał jasne i łagodne światło na wszystkie cuda nagromadzone w tym muzeum. Było to rzeczywiście muzeum, w którym ręka rozumna, hojna zgromadziła wszystkie skarby natury i sztuki z tym nieładem artystycznym, jakim się odznaczają pracownice malarzy.

Z trzydzieści obrazów mistrzowskich w ramach jednostajnych, przedzielonych tylko połyskującymi tarczami z okazami broni, zdobiło ściany okryte tkaniną, mającą deseń w stylu surowym. Były tam płótna co najwyższej wartości, które po większej części podziwiałem już dawniej w zbiorach prywatnych europejskich i na wystawach obrazów. Różne szkoły malarskie dawnych mistrzów były tu reprezentowane taką na przykład „Ma-

donną” Rafaela, „Dziewicą” Leonarda da Vinci, „Nimfą” Correggia, „Kobietą” Tycjana, „Adoracją” Veronese’a, „Wniebowzięciem” Murilla, „Portretem” Holbeina, „Mnichem” Velasqueza, „Męczeństwem” Ribeiry, „Jarmarkiem” Rubensa. Były jeszcze dwa krajobrazy flamandzkie Teniersa, trzy niewielkie obrazki rodzajowe Gérarda Dow, Metsua, Pawła Pottera; dwa płótna Géricault i Prudhona, kilka widoków morskich Backuysena i Verнета. Z dzieł młodszego malarstwa odznaczały się obrazy podpisane przez Delacroix, Ingres, Decamp, Troyon, Meissonnier etc. Kilka zmniejszonych posągów z marmuru lub brązu, skopiowanych z najpiękniejszych wzorów starożytności wznosiło się na piedestałach po rogach tego wspaniałego muzeum. Oszołomienie, które mi przepowiedział dowódca „Nautilusa”, zaczęło już ogarniać mój umysł.

— Panie profesorze — rzekł wtedy ten niepojęty człowiek — wybac mi pan, że tak bez ceremonii pana przyjmuję, i nieporządek, jaki panuje w tym salonie.

— Panie — odpowiedziałem — nie badając, kto jesteś, czy nie wolno mi w panu odgadnąć artystę?

— Co najwięcej, to amatora. Lubilem kiedyś zbierać te piękne dzieła ręki ludzkiej; chciwie poszukiwałem, szperałem niestrudzony i zdołałem zgromadzić nieco przedmiotów wysokiej wartości. Są to ostatnie moje wspomnienia z tej ziemi, która umarła dla mnie. W moich oczach wasi artyści tegocześni są już starożytni, jakby istnieli przed dwoma lub trzema tysiącami lat. Mistrze nie mają wieku.

— A ci muzycy? — rzekłem, wskazując na partycje Webera, Rossiniego, Mozarta, Beethovena, Haydna, Meyerbeera, Herolda, Wagnera, Aubera, Gounoda i wielu innych rozrzuconych na wielkim rozmiarach fortepianie i organie zarazem, zajmującym jedną ścianę salonu.

— Ci muzycy — odpowiedział kapitan — są to współcześni Orfeusze, bo różnice chronologiczne zacierają się we wspomnieniu zmarłych, a ja zamarłem, panie profesorze, tak samo jak twoi przyjaciele, którzy spoczywają na sześć stóp pod ziemią.

Kapitan Nemo zamilkł i zdawał się głęboko pogrążony w zadumie; żywo wzruszony patrzyłem na niego, rozważając w milczeniu dziwne zmiany jego fizjonomii. Wsparty na łokciach o kosztowny stół mozaikowy nie widział mnie albo też zapomniał o mojej obecności; szanowałem tę zadumę i przepatrywałem zbiór ciekawostek zdobiących salon.

Obok dzieł sztuki rzadkości przyrody zajmowały ważne miejsce. Były to głównie rośliny, muszle i inne produkcje oceanu, które zapewne poznajdywał kapitan osobiście. W środku salonu wodotrysk oświetlony światłem elektrycznym spadał do zbiornika utworzonego z olbrzymiej trydakny<sup>78</sup>. Muszla ta, należąca do największego z mięczaków bezgłowych, miała brzegi ślicznie ufalowane, a obwód jej wynosił około sześciu metrów, była większa niż piękne trydakny, które Rzeczpospolita Wenecka darowała Franciszkowi I, a które ten monarcha złożył w kościele świętego Sulpicjusza w Paryżu, gdzie z nich zrobiono dwie olbrzymie chrzcielnice.

Wokoło tego zbiornika, za szybami oprawnymi w okucie mosiężne były ustawione i opatrzone napisami najrzadsze płody morskie, jakie kiedykolwiek naturalista oglądał. Można pojąć mój profesorski zachwyty.

Dział zwierzokrzewów przedstawiał nadzwyczaj ciekawe okazy polipów i jeżokorów<sup>79</sup>. Z pierwszych tubipory<sup>80</sup> (organki), wachlarzowate gorgonie<sup>81</sup>, miękkie gąbki syryjskie, członkowaty izys molucki, pannatula<sup>82</sup> zwana piórem morskim, dziwna wirgularia<sup>83</sup> z morza norweskiego; dalej przeróżne madrepery<sup>84</sup>, które mistrz mój, Milne Edwards, tak umiejętnie rozklasyfikował na sekcje, a pomiędzy którymi dostrzegłem śliczne flabeli-

<sup>78</sup>trydakna — inaczej tridakna lub przydacznica; rodzaj dużych małży morskich. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>jeżokory — obecna nazwa to szkarłupnie; typ wtóroustych zwierząt bezkręgowych, wykazujących promienistą symetrię ciała. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>tubipora — gatunek miękkiego koralowca, występującego w Oceanie Indyjskim i Spokojnym. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>gorgonie — rodzaj ośmiopromiennych koralowców. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>pannatula — inaczej piórowka lub pióro morskie; rodzaj półosiadłych koralowców, których kolonie przypominają pokrojem pióra. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>wirgularia (łac. *Virgularia*) — ośmiopromienny koralowiec, którego kolonie przypominają wyglądem pióra. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>madrepery — inaczej koral madreporewe; wytwarzają masywny szkielet wapienny. [przypis edytorski]

ny<sup>85</sup>, oczkowce<sup>86</sup> zwane korałem białym, wreszcie wszystkie te ciekawe gatunki polipów, których nagromadzenie tworzy wyspy i z których znowu kiedyś powstaną całe lądy. Z jeżokorów, odznaczających się kolczastą swą powłoką, gwiazdy morskie<sup>87</sup>, pentakryny<sup>88</sup>, komatule<sup>89</sup>, jeżowce<sup>90</sup>, holaturie<sup>91</sup> itd. tworzyły bogatą kolekcję tego działu gatunków.

Konchyliolog<sup>92</sup> nieco nerwowo stanąłby niewątpliwie jak wryty przed liczniejszymi jeszcze okazami z działu mięczaków. Brakłoby mi czasu, gdybym chciał opisywać zbiór ten nieoszacowany. Wymienię tylko dla pamięci ozdobny młot królewski z Oceanu Indyjskiego, w regularne plamy, tak żywo odbijające od tła czerwono-brunatnego; spondylus cesarski<sup>93</sup> świetnej barwy, cały najeżony długimi kolcami, rzadkość niesłychana w zbiorach europejskich. Ceniłem go na dwadzieścia tysięcy franków. Młot pospolity<sup>94</sup> z móżdżku Nowej Holandii, o który także niełatwo; podzwrotnikową, senegalską skruszelkę — delikatną, białą muszlę dwuskorupną, co jak bańka mydlana od dmuchnięcia zdaje się prysnąć; kilka jawajskich gatunków kropidel sitkowych w kształcie rurki wapiennej o wywinętym fryzowanym brzegu, zasklepionej wypukłym denkiem poprzebijanym dziurkami jak w koneweczce ogrodniczej. Dalej cały szereg wartołków (Trosus), to zielonawo-żółtych, z móżdżku amerykańskich, to różowo-brunatnych, z wód Nowej Holandii; to o skrętach dachówkowatych z Zatoki Meksykańskiej, to jeszcze inne australijskie. Wreszcie ze wszystkich najrzadszy wartołek ostrogowaty z Nowej Zelandii. Innych nawet rodzajów nie sposób wyliczyć; owe turbanki, littoryny, delfinule, jantyny, owuła, olinsy, woluty, porcelanki<sup>95</sup> używane za monetę w Afryce i Indiach, mitry, purpury, harfy, murezy, wieżyczki, wrzecionki, skrzydlacze, patelki, trąby Trytona, owe prześliczne wzorzyste stożki jak ów mało komu znany *Cocnodulli* i wszystkie odmiany porcelanowatych, a między nimi najdroższa z muszel Oceanu Indyjskiego *Gloria maris* (chwała morza).

Obok w osobnych przedziałach rozwijały się sznury najpiękniejszych pereł w świetle elektrycznym ognistymi migocącymi iskrami; pereł różowych, znajdujących w skrzelicy (pinna) z Morza Czarnego, pereł zielonych ze ślimaka *haliotis inis*, pereł żółtych, niebieskich, czarnych — rzadkości dostarczanych przez różne mięczaki wszystkich oceanów; na koniec kilka okazów pereł nieocenionej wartości, wysączanych przez najrzadsze muszle perłowe. Niektóre były większe od gołębiego jaja i warte były tyleż, a może więcej niż ta, którą podróżnik Tavernier sprzedał szachowi perskiemu za trzy miliony — a miały pierwszeństwo przed ową perłą Imana Maskatu, którą uważałem dotąd za niezrównaną.

Tak więc niepodobna było oznaczyć cyfrą wartości tego zbioru. Kapitan Nemo musiał wydać miliony na nabycie tych różnych okazów i pytałem się sam siebie, skąd on czerpał możliwość zadowalania swej fantazji zbieracza, gdy nagle przerwały mi te jego wyrazy:

— Rozpatrujesz się pan w moich muszlach, panie profesorze; rzeczywiście mogą one zainteresować naturalistę. Lecz dla mnie mają one jeden powab więcej, bom je zebrał wszystkie własną ręką, a nie ma morza na kuli ziemskiej, w którym bym nie czynił poszukiwań.

— Rozumiem, kapitanie, rozumiem tę rozkosz przebywania wespół z tylu bogactw. Jesteś pan z liczby tych, którzy sami swoje skarby zgromadzili. Żadne muzeum w Europie nie posiada podobnego zbioru stworzeń oceanu. Ale jeśli wyczerpię mój cały podziw dla tych zbiorów, to nie pozostanie mi sił do podziwiania okrętu, który je unosi! Nie chcę bynajmniej przenikać tajemnic pańskich; przyznam się jednak, że jestem ciekawy niezmiernie

<sup>85</sup>flabeliny — rodzaj wielobarwnych ślimaków morskich. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>oczkowiec — koralowiec sześciopromienny. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>gwiazdy morskie — szkarłupnie należące do gromady rozgwiazd; przypominają gwiazdy. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>pentakryny — rodzaj liliowców należących do szkarłupni. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>komatule — rodzaj morskich bezkręgowców należących do szkarłupni, pokrojem przypominających gwiazdy. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>jeżowce — rodzaj morskich bezkręgowców należących do szkarłupni; charakteryzują się kulistym kształtem i wapiennymi kolcami pokrywającymi ciało. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>holaturie — rodzaj morskich zwierząt bezkręgowych o miękkim, wydłużonym ciele. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>konchyliologia — inaczej konchiologia; nauka badająca muszle mięczaków. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>spondylus cesarski — gatunek małży charakteryzujący się długimi kolcami. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>młot pospolity — obecnie głowomłot pospolity, inaczej rekin młot; ryba z charakterystyczną budową głowy, przypominającą młot. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>porcelanki — ślimaki morskie, charakteryzujące się muszlami przypominającymi porcelanowy wyrób; wbrew pozorom nazwa nie pochodzi od porcelany, a wywodzi się od słowa *porceletta* (mała świnka), gdyż wygląd głowy ślimaka przypomina świński ryjek; porcelana wzięła nazwę od porcelanek. [przypis edytorski]



poznać siłę poruszającą „Nautilusa”, przyrządy pozwalające nim kierować, potężny czynnik, który go ożywia. Na ścianach tego salonu widzę porozwieszane narzędzia, których przeznaczenia nie znam jeszcze: czy mogę wiedzieć?...

— Panie Aronnax — odrzekł kapitan Nemo — mówiłem panu, że będziesz zupełnie swobodny na moim okręcie, żadna przeto część „Nautilusa” nie jest panu wzbroniona. Możesz go więc rozpatrywać we wszystkich szczegółach, a ja chętnie dam panu wszelkie objaśnienia.

— Nie wiem, jak mam panu podziękować, ale nie myślę nadużywać grzeczności pańskiej. Chciałbym tylko wiedzieć, do czego służą te narzędzia fizyczne.

— Takie same narzędzia znajdują się w moim pokoju i tam to właśnie będę miał zaszczyt wyjaśnić panu ich użycie. Lecz najpierw chodź pan obejrzeć przygotowaną dla siebie kajutę; powinieneś pan przecie wiedzieć, jak będziesz mieszkał na „Nautilusie”.

Poszedłem za kapitanem przez jedne z drzwi, w każdej ścianie salonu będących, na korytarz okrętowy. W stronie przodu okrętowego znalazłem nie kajutę, ale pokoić elegancki z łóżkiem, toaletą i różnymi innymi meblami. Było za co podziękować mojemu gospodarzowi.

— Pański pokój przytyka do mojego — rzekł, otwierając drzwi — a mój prowadzi do salonu, któryśmy tylko co opuścili.

Wszedłem do pokoju kapitana. Miał on pozór bardzo surowy, prawie klasztorny. Stało tam łóżko żelazne, stolik do pracy, kilka sprzętów toaletowych — wszystko oświetlone półświatłem. Nic, co by ku wygodzie służyło. Tylko co koniecznie potrzebne.

Kapitan Nemo wskazał mi krzesło.

— Racz pan usiąść — rzekł do mnie.

## WSZYSTKO ZA POMOCĄ ELEKTRYCZNOŚCI

— Panie — rzekł kapitan, wskazując narzędzia porozwieszane na ścianach swojego pokoju — oto przyrządy niezbędne „Nautilusowi” do żeglugi. Tu, jak i w salonie, mam je zawsze pod okiem; wskazują mi one dokładnie położenie moje i kierunek wśród oceanu. Jedne są panu znane, jak termometr, wskazujący temperaturę wewnętrzną „Nautilusa”, barometr, który wskazuje ciśnienie powietrza i przepowiada zmianę pogody, higrometr, pokazujący stopień suchości atmosfery, *stormglass*, którego mieszanina, rozkładając się, zapowiada nadejście burzy, busola, wedle której kieruję mą drogę, sekstant, który wedle wysokości słońca na niebie uczy mnie poznawać, pod jaką jestem szerokością, chronometry, pozwalające mi obliczyć długość geograficzną, i na koniec lunety dzienne i nocne, które mi służą do sprawdzenia wszystkich punktów widnokregu, gdy „Nautilus” wypłynie na powierzchnię wód.

— To są narzędzia zwyczajne, każdemu żeglarzowi potrzebne — odpowiedziałem — a znam zarówno ich potrzebę, jak i pożytek. Lecz tu są inne, odpowiadające zapewne szczególnym potrzebom „Nautilusa”. Ten kompas oto, po którym przebiegła igła ruchoma, nie jestże to<sup>96</sup> manometr?

— Jest to rzeczywiście manometr. Gdy wprowadzę go w związek z wodą, której wskazuje ciśnienie zewnętrzne, pokazuje mi tym samym głębokość, w jakiej się mój statek znajduje.

— A te sondy nowego gatunku?

— To sondy termometryczne wskazujące temperaturę różnych warstw wody.

— Ale inne narzędzia, których użyciu nie pojmuję?

— Tutaj, panie profesorze, muszę ci dać kilka objaśnień — rzekł Nemo — racz mię pan posłuchać.

Milczał przez chwilę, potem mówił.

— Jest czynnik potężny, posłuszny, szybki, łatwy do dyrygowania, który nadaje się do wszystkich użytków i który panuje na moim statku. Wszystko się tu robi przez niego. On mnie oświeca i ogrzewa. On jest duszą moich przyrządów mechanicznych. Czynnikiem tym jest elektryczność.

— Elektryczność! — zawołałem dość zdziwiony.

— Tak jest, panie.

<sup>96</sup>nie jestże to — konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy nie jest to. [przypis edytorski]

— Jednakże, kapitanie, pański statek posiada nadzwyczajną szybkość ruchu, która nie zgadza się z siłą elektryczności. Dotychczas siła jej dynamiczna (podtrzymująca ruch) okazała się niewielka i mogła wywierać bardzo małe skutki.

— Panie profesorze — odpowiedział kapitan Nemo — moja elektryczność nie jest elektrycznością pospolitą; ale otóż i wszystko, co w tym przedmiocie powiedzieć mogę.

— Nie będąc zatem nastawał na odkrycie mi przyczyn; dosyć mi będzie podziwiać skutki. Jedno tylko pytanie zadam panu, na które możesz mi pan nie odpowiedzieć, jeśli jest niedyskretne. Pierwiastki, których pan używasz do wywoływania tego czynnika cudownego, muszą się zużywać bardzo prędko. Cynk na przykład czymże pan zastąpisz, nie mając żadnych z ziemią stosunków?

— Pańskie pytanie nie pozostanie bez odpowiedzi — odrzekł kapitan. — Powiem panu na pewno, że w głębi mórz są kopalnie cynku, żelaza, srebra, złota, których eksploatacja byłaby może korzystna. Ale nic nie biorę od tych metali; morze tylko samo dostarcza mi środków wyprodukowania mojej elektryczności.

— Morze?

— Tak, panie Aronnax, morze; a środków mi nie zabrakło. Mógłbym przecież przez zetknięcie drutów zanurzonych w różnych głębokościach otrzymać prąd elektryczny wywołany przez różnicę temperatur, jakiej te druty podlegają<sup>97</sup>. Wolałem jednak użyć systemu praktyczniejszego.

— Jakiegoż tedy?

— Pan znasz skład wody morskiej. Na tysiąc jej gramów znajduje się w niej 965 gramów wody a 27 gramów chlorku sodu; prócz tego mała ilość chlorków: magnezu i potasu, bromku magnezu, siarczanu magnezji, siarczanu i węglanu wapna. Widzisz pan więc, że chlorek sodu występuje w niej w znacznej ilości. Otóż ja wydobywam sól z wody morskiej i używam go do stosów.

— Jak to, sól?

— Tak, panie. Sól z rtęcią tworzą amalgamat, który zastępuje miejsce cynku w ogniwach stosu Bunsena. Tylko sól się zużywa, a morze samo dostarcza mi go. Przy tym dodać muszę, iż stopy sodowe muszą być uważane za najsilniejsze i że siła ich elektroporuszająca jest dwa razy większa niż stosów cynkowych.

— Pojmuję dobrze, panie kapitanie, wyższość sodu w warunkach, w jakich się pan znajdujesz. Morze zawiera go w sobie, to dobrze. Ale trzeba go wyrabiać, słowem, wytwarzać go. Jakże to pan robisz? Stopy pańskie widocznie służyć mogą do tego celu; lecz jeśli się nie mylę, to ilość sodu zużywanego przez przyrządy elektryczne przewyższa ilość sodu, jaką się otrzymuje z wody morskiej; a zatem więcej pan zużywa sodu dla otrzymania go, aniżeli go pan wydobywa z wody.

— Tak, panie profesorze, ale ja go nie otrzymuję za pomocą stosu, tylko w tym celu używam po prostu ciepła węgla ziemnego.

— Węgla ziemnego? — pytałem z naciskiem.

— Albo węgla morskiego, jeśli pan wolisz — odrzekł kapitan Nemo.

— Jak to! Więc pan możesz eksploatować kopalnie podmorskie węgla kamiennego?

— Będziesz mnie pan widział przy tej czynności, panie Aronnax. Proszę tylko o chwilę cierpliwości, ponieważ masz czas być cierpliwym. Pamiętaj pan to tylko, że winien wszystko oceanowi; on wydaje elektryczność, daje „Nautilusowi” ciepło, światło, ruch, życie jednym słowem.

— Ale nie powietrze, którym oddychacie?

— O! Mógłbym wyrabiać i powietrze potrzebne na moją konsumpcję, lecz mi to niepotrzebne, gdyż mogę wypłynąć na powierzchnię morza, kiedy mi się podoba. Jednakże, jeśli mi elektryczność nie daje powietrza do oddychania, to porusza pompy potężne, nagromadzające je w zbiornikach właściwych, co mi pozwala przedłużyć w potrzebie mój pobyt w głębi morza, a nawet pozostać tam, gdy chcę, bardzo długo.

— Kapitanie! — odpowiedziałem — Poprzestaję na dziwieniu się. Widocznie znalazłeś to, co ludzie znajdują kiedyś niezawodnie, Prawdziwą siłę dynamiczną elektryczności.

<sup>97</sup>przez zetknięcie drutów zanurzonych w różnych głębokościach (...) przez różnicę temperatur, jakiej te druty podlegają — słowa powyższe stanowią jedną z najciekawszych wizji przyszłości Juliusza Verne'a, wizji, która dopiero teraz zaczyna się urzeczywistniać. [przypis tłumacza]

— Nie wiem, czy ją znajdą — zimno odpowiedział kapitan Nemo — bądź co bądź, znasz pan już pierwsze zastosowania mego czynnika nieoszacowanego. On to nam daje ową jednostajną i ciągłą światłość, której nie daje światło słoneczne. Teraz przypatrz się pan temu zegarowi. Jest on elektryczny, a idzie tak dokładnie jakby najlepszy chronometr. Wskazuje mi on 24 godziny jak zegary włoskie, bo dla mnie nie ma nocy ani dnia, słońca ani księżyca, tylko światło sztuczne, które sprowadzam aż do głębi morza. Patrz pan, w tej chwili jest dziesiąta rano.

— Wybornie.

— A tu oto inne zastosowanie elektryczności. Ta tarcza, zawieszona przed naszymi oczyma, wskazuje prędkość „Nautilusa”. Drut elektryczny łączy ją ze śrubą, a igła wskazuje mi rzeczywisty pochod statku. Patrz pan, w tej chwili płyniemy z umiarkowaną prędkością piętnastu mil na godzinę.

— Ależ to cudowne, kapitanie! — odpowiedziałem. — Widzę, że miałeś pan słuszną, używając tego czynnika, który ma z czasem zastąpić wodę, wiatr i parę.

— Nie skończyliśmy jeszcze, panie Aronnax — rzekł kapitan, powstając — jeśli pan chcesz iść za mną, zwiedzimy tył „Nautilusa”.

W rzeczy samej znałem bardzo dobrze całą przednią część tego statku podmorskiego, którego części dokładnie tu powtarzam, w kierunku od środka do ostrogi: sala jadalna długości pięciu metrów, oddzielona od biblioteki nieprzepuszczalną przegrodą, przez którą woda przejść nie mogła; biblioteka pięć metrów; wielki salon dziesięć metrów, oddzielony od pokoju kapitana inną przegrodą nieprzepuszczalną; wspomniany pokój kapitana, pięć metrów; mój, dwa metry pięćdziesiąt centymetrów; nareszcie rezerwuwar powietrza mający siedem metrów pięćdziesiąt centymetrów, ciągnący się aż do belki środkowej. Wszystko razem miało trzydzieści pięć metrów długości. Przegrody nieprzepuszczalne opatrzone były drzwiami hermetycznie się zamykającymi na wyłogi kauczukowe, co zabezpieczało od zalania statek, na wypadek, gdyby się woda którąś przedostała.

Poszedłem za kapitanem przez boczne korytarze i doszliśmy do środka okrętu. Tam był rodzaj studni zawierającej dwie przegrody nieprzepuszczalne. Do wyższej jej części prowadziła drabinka żelazna, przyczepiona do ściany. Spytałem kapitana, do jakiego użytku służyła ta drabinka.

— Ona prowadzi do czółna — odpowiedział.

— A więc macie i czółno? — zapytałem zdziwiony.

— A jakże. Statek to wyborny, lekki, nietonący; służy nam do spaceru i do połowu.

— Więc gdy kto chce użyć czółna, to musi powrócić na powierzchnię morza?

— Bynajmniej. To czółno przylega szczelnie do wyższej części „Nautilusa” i zajmuje wklęsłość umyślnie tam dla niego przygotowaną. Jest ono zupełnie zamknięte i nie przepuszcza wody; przytwierdzone zaś jest mocno. Ta drabina prowadzi do otworu, którym się człowiek przecisnie, zrobionego w szkielecie „Nautilusa”. Otwór ten odpowiada podobnemu otworowi w boku czółna. Przez ten to podwójny otwór wchodzi do czółna. Zamykają za mną otwór w okręcie, ja zamykam otwór w czółnie za pomocą śruby naciskającej, uwalniam czółno od przytrzymujących je sztab i wypływam z nadzwyczajną szybkością na powierzchnię morza. Wtedy otwieram starannie aż dotąd zamknięty pomost, ustawiam maszt, zaciągam żagle lub biorę się do wiosła i płynę.

— Ale jakże pan powracasz?

— Ja już nie powracam, panie Aronnax, to „Nautilus” powraca.

— Na pańskie rozkazy?

— Na moje rozkazy. Drut elektryczny łączy mnie z nim. Telegrafuję i tyle.

— W rzeczy samej — rzekłem oszołomiony tymi cudami — nic prostszego i łatwiejszego.

Minąwszy klatkę ze schodami dotykającymi górnego pokładu, spostrzegłem kajutę długości dwu metrów, w której Conseil i Ned Land zachwyceni jadłem spożywali je ze smakiem. Następne drzwi wiodły do kuchni długości trzech metrów, a położone pomiędzy obszernymi spiżarniami.

Tam elektryczność, energiczniejsza i posłuszniejsza nawet od gazu, zastosowana była do gotowania. Druty dochodzące aż pod kociołki udzielały gąbkom platynowym ciepła, wszędzie jednakowo utrzymywanego i rozdzielanego. Elektryczność ogrzewała także przyrządy destylacyjne, które przez odparowanie dostarczały wody wybornej do picia.

Przy tej kuchni urządzono wygodną łazienkę, do której dowolna ilość wody ciepłej lub zimnej sphywała za odkręceniem kurków. Za kuchnią znajdowała się izba dla załogi długości pięć metrów; lecz że drzwi były zamknięte, nie mogłem widzieć jej urządzenia, z którego bym mógł wniesć o liczbie osób potrzebnych do obsłużenia „Nautilusa”. W głębi wznosiła się czwarta przegroda nieprzepuszczalna, oddzielająca tę izbę od komory maszyny. Otworzyły się drzwi i weszliśmy do tego przedziału, w którym kapitan Nemo — widocznie wyborny inżynier — ustawił swoje przyrządy ruchu. Izba ta, jasno oświetlona, miała najmniej dwadzieścia metrów długości. Jak to łatwo zrozumieć, dzieliła się ona na dwie części: w pierwszej były żywyoty wytwarzające elektryczność, w drugiej mechanizm nadający ruch śrubie.

Od razu uderzyła mnie szczególnego rodzaju woń zapelniająca ten przedział. Kapitan Nemo spostrzegł to moje wrażenie.

— To gaz wydobywający się z sodu; ale to mała niedogodność. Zresztą co rano czyścimy z tej woni okręt, otwierając go dostępowi świeżego powietrza.

Ciekawie przyglądałem się maszynie „Nautilusa”.

— Widzisz pan — rzekł kapitan — używam stosu Bunsena a nie cewki Ruhmkorffa, bo jest ona za słaba. Stosy Bunsena nie są liczne, ale wielkie i mocne, co jest lepsze, jak uczy doświadczenie. Elektryczność wydobyta przechodzi na tył, gdzie za pomocą elektromagnesów dużego rozmiaru działa na właściwy system drążków i trybów, które nadają ruch śrubie. Jej średnica wynosi sześć metrów, a *krok* siedem metrów i pół; może więc robić do stu dwudziestu obrotów na sekundę.

— Przy tylu obrotach można mieć szybkość?...

— Pięćdziesiąt mil na godzinę.

Była w tym jakaś tajemnica, ale nie chciałem żądać jej wyjaśnienia. Jakim sposobem elektryczność mogła działać z taką potęgą? Gdzie powstała ta siła prawie nieograniczona? Czy z nadzwyczajnego ciśnienia otrzymywanego za pomocą cewek nowego rodzaju? Czy leżała w transmisji, którą system drążków nieznan<sup>98</sup> mógł podnieść do nieskończoności? Tego nie mogłem rozstrzygnąć.

— Kapitanie Nemo, zgadzam się na rezultaty i nie szukam ich objaśnienia. Widziałem „Nautilusa” manewrującego wobec „Abrahama Lincolna”, wiem, co mam sądzić o jego szybkości. Lecz iść, to jeszcze nie dosyć, trzeba wiedzieć, dokąd się idzie! Trzeba mieć możliwość kierowania się na prawo, na lewo, do góry, na dół! Jakim sposobem zapuszczacie się do wielkich głębin, skoro spotykacie opór rosnący, znaczący tyle, co ciśnienie setek atmosfer? Jak powracacie na powierzchnię oceanu? Na koniec, jak utrzymujecie się na żądanej głębokości? Może to niedelikatnie z mej strony, że zadaję te pytania?

— Bynajmniej, panie profesorze — odpowiedział kapitan po krótkim wahaniu — bynajmniej, skoro pan nigdy już nie masz opuścić tego statku podmorskiego. Chodź pan do salonu. Tam jest nasza prawdziwa pracownia i tam dowiesz się pan wszystkiego, co możesz wiedzieć o „Nautilusie”.

## TROCZĘ LICZB

W chwilę potem siedzieliśmy w salonie na sofie, pałac cygara. Kapitan przedstawił mi rysunek zawierający plan, przecięcie i elewację „Nautilusa”, po czym zaczął opis statku tymi słowy:

— Masz pan przed oczami, panie Aronnax, rozmaite wymiary statku, który pana unosi. Jest to walec znacznie wydłużony, z zakończeniami ostrokągowymi. Zbliża się bardzo do kształtu cygara przyjętego już Londynie w kilku podobnego rodzaju budowach. Długość walca od jednego końca do drugiego, ściśle obliczona, wynosi siedemdziesiąt metrów, a belka poprzeczna w najszerszym jego miejscu mierzy osiem metrów długości. Nie ma więc na długość dziesięć razy tyle co na szerokość, jak wasze parowce o wielkiej prędkości, ale linia jego jest dostatecznie długa, a kształt dość smagły, ażeby woda wypierana przez niego z łatwością się usuwała i nie tamowała biegu statku. Z tych dwóch wymiarów możesz pan łatwo prostym wyrachowaniem otrzymać powierzchnię

<sup>98</sup>system drążków — w rzeczy samej mówiono o odkryciu tego rodzaju; nowa pomyslna gra drążków ma wytwarzać siłę bardzo znaczną. Może wynalazca trafił na to samo, co i kapitan Nemo. [przypis autorski]

i objętość „Nautilusa”. Powierzchnia jego wynosi tysiąc jedenaście metrów kwadratowych i czterdzieści pięć setnych; objętość tysiąc pięćset metrów sześciennych i dwie dziesiąte — czyli, inaczej się wyrażając, statek ten całkowicie zanurzony wypycha wody albo waży tysiąc pięćset metrów sześciennych lub ton. Kiedy kreśliłem plany tego statku przeznaczonego do żeglugi podmorskiej, chciałem, ażeby, znajdując się w wodzie w zupełnej równowadze, zanurzał się na dziewięć dziesiątych, wynurzał się zaś z wody tylko na jedną dziesiątą. Tym sposobem powinien był w takich warunkach wypychać wody tylko dziewięć dziesiątych swej objętości, tysiąc trzysta pięćdziesiąt sześć metrów sześciennych i czterdzieści osiem setnych, czyli musiał ważyć właśnie taką liczbę ton. Budując go zatem podług powyższych wymiarów, nie mogłem tej wagi przekroczyć. „Nautilus” składa się z dwóch pudeł: jednego zewnętrznego a drugiego wewnętrznego, połączonych z sobą żelazami w kształcie litery T, co mu daje niesłychaną wytrzymałość. W istocie, dzięki temu urządzeniu komórkowatemu statek stawia opór głazu, zupełnie jakby nie był pusty. Nie można wgnieść jego ściany, bo ona odpiera każdy nacisk swą wypukłością, która jest w konstrukcji, a nie jest skutkiem kłamrowania; jednolitość zaś budowy, którą statek zawdzięcza doskonałemu zespoleniu materiałów, pozwala mu stawić czoło najburzliwszemu morzu. Te dwie powłoki zrobione są z blachy stalowej, której ciężkość gatunkowa w stosunku do wody jest siedem i osiem dziesiątych. Pierwsza posiada grubość pięciu centymetrów i waży trzysta dziewięćdziesiąt cztery tony i dziewięćdziesiąt sześć setnych. Druga powłoka, belka podwalinowa wysokości pięćdziesięciu, a szerokości dwudziestu pięciu centymetrów i ważąca sześćdziesiąt dwie tony, maszyna, balast, różne akcesoria i przyrządy, przegrody i poprzeczne, podpierające belki, składają się na wagę dziewięćdziesiąt sześćdziesięciu jeden ton i sześćdziesiąt dwie setnych, które dodawszy do trzystu dziewięćdziesięciu czterech ton i dziewięćdziesięciu sześciu setnych, otrzymamy sumę żadaną tysiąca trzystu pięćdziesięciu sześciu ton i czterdziestu ośmiu setnych. Wszak zgoda na to?

— Zgoda — odpowiedziałem.

— Tak więc — mówił dalej kapitan — kiedy „Nautilus” płynie w takich warunkach, wynurza się z wody na jedną dziesiątą. Otóż, urządziwszy zbiorniki objętości, dorównującej tej jednej dziesiątej, czyli stu pięćdziesięciu tonom i siedemdziesięciu dwóm setnym, mogą je w potrzebie napełnić wodą i statek, wypychając wtedy tysiąc pięćset siedem ton, co równa się jego wadze, zanurzy się zupełnie w wodzie. I tak się też dzieje, panie profesorze. Zbiorniki te istnieją w niższych częściach „Nautilusa”. Za otwarciem kranów napełniają się wodą, a statek, zanurzony, górną powierzchnią dotyka poziomu morza.

— Dobrze, kapitanie; ale tu właśnie napotykaamy istotną trudność. Pojmuję, że w ten sposób możesz pan się ślizgać pod samą powierzchnią oceanu. Ale zagłębiając się coraz dalej od tego poziomu, pański podwodny przyrząd trafi na ciśnienie; czy zatem nie ulegnie sile parcia z dołu ku górze, dorównującej jednej atmosferze na trzydzieści stóp wody, czyli prawie jednemu kilogramowi na centymetr kwadratowy?

— Nic prawdziwszego, panie profesorze.

— Nie widzę więc innego sposobu zagłębienia „Nautilusa” w dalsze warstwy płynne, jak wypełnienie go wodą całkowicie.

— Panie profesorze — odpowiedział kapitan Nemo — nie należy nigdy mieszać statyki z dynamiką, bo można ważny błąd popełnić. Niewiele trzeba pracy, ażeby dostać się do niskich okolic oceanu, bo ciała posiadają skłonność do pogrążania się. Posłuchaj Pan mego rozumowania.

— Słucham cię, kapitanie.

— Kiedy chciałem oznaczyć, ile należy dodać wagi „Nautilusowi”, ażeby go zanurzyć całkowicie, potrzeba mi było mieć tylko na uwadze zmniejszenie objętości wody morskiej w miarę pogrążenia się w głębsze warstwy oceanu.

— To rzecz naturalna — odpowiedziałem.

— Woda nie jest wprawdzie zupełnie nieściśliwa, jednakże posiada bardzo małą ściśliwość. Istotnie, według najnowszych obliczeń, zmniejszenie, o którym mowa, równa się tylko czterystu trzydziestu sześciu dziesięciomilionowym na jedną atmosferę, to jest na każde trzydzieści stóp głębokości. Jeśli zatem trzeba pogrążyć się na tysiąc metrów, mam na względzie zmniejszenie objętości pod ciśnieniem, dorównującym słupowi wody wysokiemu na tysiąc metrów, to jest pod ciśnieniem stu atmosfer. Zmniejszenie to

wyniesie wtedy czterysta trzydzieści sześć sto tysięcy. Wagę więc należy powiększyć do tysiąca pięciuset trzynastu ton i siedemdziesiąt siedem setnych, zamiast zwykłej tysiąca pięciuset siedmiu ton i dwóch dziesiątych. Powiększenie zatem wyniesie sześć ton i pięćdziesiąt siedem setnych.

— Tylko?

— Tylko, panie Aronnax; obliczenie to bardzo łatwo sprawdzić. Otóż trzeba panu wiedzieć, że mam zbiorniki dodatkowe, mające sto beczek objętości. Mogę więc zanurzać się do dalekich głębin. Kiedy chcę podnieść się i wierzchem statku dotykać wód poziomu, potrzebuję tylko wypuścić tę wodę; a chcąc wynurzyć „Nautilusa” na jedną dziesiątą jego całej objętości, dość mi opróżnić wszystkie zbiorniki.

Nie mogłem nic zarzucić tym dowodzeniom popartym cyframi.

— Zgadzam się na wasze rachunki, kapitanie, i byłbym dziwakiem, zaprzeczając im, kiedy każdodziennie doświadczenie dowodzi ich nieomyślności. Ale w tym miejscu prze-czuwam trudność rzeczywistości.

— Jaką, panie profesorze?

— Kiedy się pan pogrążysz na tysiąc metrów głębokości, ściany „Nautilusa” poddane są ciśnieniu stu atmosfer. Jeśli więc wtedy chcesz opróżnić dodatkowe zbiorniki dla odjęcia wagi statkowi i podniesienia się ku poziomowi, każesz pompom przezwyciężać to ciśnienie stu atmosfer, które równa się stu kilogramom na każdy centymetr kwadratowy... To wymaga siły...

— Którą tylko elektryczność dać mi mogła — przerwał kapitan Nemo. — Powtarzam panu, że potęgą dynamiczną moich maszyn jest prawie nieskończona. Pompy na „Nautilusie” mają siłę cudowną; musiały to pan spostrzec, kiedy wyrzuciły słupy wody, które niby potok runęły na pokład „Abrahama Lincolna”. Zresztą używam zbiorników dodatkowych wtedy tylko, gdy zamierzam osiągnąć głębin na tysiąc pięćset lub dwa tysiące metrów i to zawsze w celu oszczędzenia przyrządów. Toteż kiedy mi przyjdzie chęć zwiedzenia głębin oceanu na dwie lub trzy mile pod jego poziomem, używam sposobów dłuższych, choć nie mniej skutecznych.

— Jakich, kapitanie? — zapytałem.

— Odpowiadając na to pytanie, muszę naturalnie przystąpić do objaśnień, jakim sposobem kieruje się „Nautilusem”.

— Oczekuję ich z niecierpliwością.

— Ażeby kierować statkiem na lewo, na prawo, słowem, aby robić obroty po płaszczyźnie poziomej, używam zwykłego steru o szerokim grzebieniu, przytwierdzonego do tylnego zaokrąglenia statku, a poruszanego za pomocą koła, bloków i lin. Ale mogę również kierować „Nautilusem” z dołu do góry i z góry na dół po płaszczyźnie pionowej za pomocą dwóch płaszczyzn nachylonych, przytwierdzonych zewnątrz<sup>99</sup>, w środku linii zagłębiania się; płaszczyzn ruchomych, mogących przyjmować wszelkie położenia i poruszanych z zewnątrz za pomocą potężnych dźwigni. Jeśli te płaszczyzny ustawione są równoległe do statku, ten porusza się poziomo! Jeśli zaś są w położeniu pochyłym, „Nautilus”, stosownie do tego pochylenia i pod siłą popychającą śruby, zanurza się w kierunku przekątnej, dłużej według mego upodobania, lub też podnosi się po tejże przekątnej. Jeśli chcę prędzej dostać się na powierzchnię wód, powściągam działanie śruby, a wtedy ciśnienie wody wypycha pionowo „Nautilusa” niby balon wydęty wodorem i wznoszący się w obłoki.

— Brawo, kapitanie! — zawołałem. — Ale jakimże sposobem sternik może wysledzić drogę, którą mu wśród wód zakresłasz?

— Sternik umieszczony jest w klatce oszklonej, która wystaje w wyższej części „Nautilusa” i opatrzona jest szybami soczewkowymi.

— Jakże szkła mogą się oprzeć takiemu ciśnieniu?

— Opierają się wybornie. Kryształ, kruchy przy uderzeniu, stawia jednak znaczny opór. W czasie doświadczeń połowu ryb przy świetle elektrycznym odbywanych w 1864 roku w morzach północnych szyby z kryształu grubości tylko siedmiu milimetrów zno-siły ciśnienie szesnastu atmosfer i przepuszczały przy tym potężne promienie ciepła,

<sup>99</sup>przytwierdzonych zewnątrz — dziś: na zewnątrz. [przypis edytorski]

które im nierówno ciepło rozdzielały. Szklą przeze mnie użyte mają dwadzieścia jeden centymetrów grubości w środku, tj. są trzydzieści razy grubsze od tamtych.

— Zgoda, kapitanie Nemo, ale przecież widzieć wtedy dopiero można, kiedy światło rozprasza otaczające ciemności; pytam się więc, jakim sposobem pośród ciemności wód...

— W klatce sternika z tyłu umieszczony jest potężny reflektor elektryczny, oświetlający swymi promieniami morze na przestrzeni pół mili.

— Ach, brawo! Po trzykroć brawo, kapitanie! Tłumaczę sobie teraz fosforescencję mniemanego narwała, która tak zaciekawała uczonych. Przy tej sposobności zapytam pana, czy starcie się „Nautilusa” i statku „Scotia”, które tyle miało rozgłosu, było wpływem przypadkowego spotkania?

— Najzupełniej przypadkowego. Płynąłem na głębokości dwu metrów pod powierzchnią wód, kiedy nastąpiło zderzenie. Zresztą widziałem, że to starcie nie pociągnęło za sobą żadnych złych skutków.

— To prawda. Co zaś do spotkania z „Abrahamem Lincolnem”?...

— Panie profesorze, żał mi jednego z najlepszych statków tej dzielnej marynarki amerykańskiej; ale zaczepiono mnie, musiałem się bronić! Ograniczyłem się zresztą na uczynieniu fregaty nieszkodliwą dla mnie i sądzę, że z łatwością naprawi wszystkie swoje uszkodzenia w najbliższym porcie.

— Ach, komendancie! — zawołałem z przekonaniem w głosie — „Nautilus” to prawdziwie cudowny statek!

— Tak, panie profesorze — odpowiedział z rzeczywistym wzruszeniem kapitan Nemo — kocham go też jak własną krew moją. Jeżeli na każdym z waszych okrętów, zależnych od kaprysu oceanu, wszystko grozi niebezpieczeństwem; jeżeli na morzu pierwsze wrażenie objawia się w poczuciu otchłani, jak dobrze powiedział Holender Jansen — tu w głębi, na pokładzie „Nautilusa” człowiek już niczego obawiać się nie może. Niemożliwe jest uszkodzenie statku przy podwójnej jego powłoce twardości żelaza; nie ma omasztowania podlegającego niebezpieczeństwu przy silnym kołysaniu lub nachyleniu statku; nie ma żagli wiatrem zdzieranych ani maszyn rozsadzanych parą. Pożar jest nieszkodliwy w przyrządzie z blachy a nie z drzewa; węgla nie może zabraknąć, bo elektryczność jest działaczem mechanicznym; o spotkaniu jakimkolwiek nie ma co myśleć, gdy statek sam jeden te głębiny przebywa i burzy nie ma się co lękać, bo na kilka metrów pod powierzchnią wód panuje spokój zupełny! Toteż, panie profesorze, jest to statek jedyny i jeżeli to prawda, że inżynier więcej ufa statkowi niż jego budowniczy, a budowniczy więcej niż dowódca, zważ pan, z jaką ufnością oddaję się memu „Nautilusowi” ja, który jestem zarazem kapitanem, budowniczym i inżynierem!

Kapitan Nemo mówił z porywającą wymową. Ogień w spojrzeniu, namiętność w gestykulacji przeobraziły go zupełnie.

Tak! On kochał swój statek jak ojciec własne dziecko!

Ja zaś nie mogłem się powstrzymać od zapytania, może niedyskretnego, które mi się naturalnie nastęczyło:

— Więc pan jesteście inżynierem, kapitanie Nemo?

— Tak, panie profesorze — odpowiedział — uczyłem się w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku, w owych czasach, kiedy zamieszkiwałem lądy kuli ziemskiej.

— Ale jakże pan mogliście w tajemnicy zbudować cudownego „Nautilusa”?

— Każda jego część, panie Aronnax, przysłana mi była z innego punktu kuli ziemskiej pod zmyślnym adresem. Belkę podwalinową wykuto w Creusot we Francji; oś śruby zrobiono u Pena i sp. w Londynie; blachy na powłoki u Scotta w Glasgow. Zbiorniki wykonano u Caila i sp. w Paryżu; maszynę u Kruppa w Prusach; ostrogię w warsztatach Motali w Szwecji; instrumenty precyzyjne u braci Hart w Nowym Jorku etc.; a każdy z tych dostawców otrzymywał plan innym podpisany nazwiskiem.

— Ależ — odrzekłem — trzeba było te wykończone części złożyć i dopasować.

— Panie profesorze, wiedz, że urządziłem własne warsztaty na bezludnej wysepce na pełnym morzu. Tam to moi robotnicy, a raczej moi dzielni towarzysze, przeze mnie wyuczeni i wykształceni, z moją pomocą wykończyli „Nautilusa”. Po skończonej operacji ogień zniszczył ślady naszego pobytu na tej wysepce, którą byłbym chętnie w powietrze wysadził, gdyby to było możliwe.

Okręt

— Tym sposobem wolno mi mniemać, że koszty wybudowania tego statku są niezmiernie.

— Panie Aronnax, cena okrętu żelaznego wynosi tysiąc sto dwadzieścia pięć franków na każdą tonę. „Nautilus”, jak wiadomo, ma tysiąc pięćset ton i kosztuje milion sześćset osiemdziesiąt siedem franków, czyli dwa miliony ze wszelkimi przyborami, czyli cztery do pięciu milionów, licząc dzieła sztuki i zbiory, które zawiera.

— Ostatnie pytanie, kapitanie Nemo.

— I owszem, panie profesorze.

— Jesteś pan bogaty?

— Bogaty nieskończenie, profesorze, i mógłbym bez uszczerbku zapłacić dwanaście miliardów długów ciężących na Francji.

Spojrzałem bystro na dziwaka, który tak się do mnie odzywał. Czyżby chciał nadużyć mojej łatwowierności? Przyszłość miała mnie pod tym względem oświecić.

## CZARNA RZEKA

Część kuli ziemskiej, przez wody zajęta, równa się trzem milionom ośmiuset trzydziestu dwóm tysiącom pięciuset pięćdziesięciu ośmiu miriametrom kwadratowym, czyli przeszło trzydziestu ośmiu milionom hektarów. Ta masa płynna ma objętości dwa miliardy dwieście pięćdziesiąt milionów mil sześciennych i tworzyłaby kulę o średnicy sześćdziesięciu mil, ważącą trzy kwintyliony ton. Ażeby mieć wyobrażenie o tej cyfrze, należy pamiętać, że kwintylion tak się ma do miliarda, jak miliard do jedność, to jest, że w kwintylionie tyle jest miliardów, ile jedność w miliardzie. Ta masa płynna da się jeszcze w przybliżeniu wyrazić ilością wody, którą by wylewały wszystkie rzeki na ziemi przez czterdzieści tysięcy lat.

W epokach geologicznych po okresie ogniowym nastąpił okres wodny. Ocean w początku całkowicie kulej ziemską pokrywał. Potem stopniowo w okresach syluryjskich ukazały się wierzchołki gór, wytworzyły się wyspy, znikły potem pod działaniem potopów cząstkowych, znowu się wyłoniły, ustaliły się, połączyły, tworząc lądy — dopóki nie przybrały tych zarysów geograficznych, które dziś widzimy. Masy stałe zdobyły na płynnym obszarze przestrzeni trzydziestu siedmiu milionów sześciuset pięćdziesięciu mil kwadratowych, czyli dwanaście tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt sześć milionów hektarów.

Kształt lądów pozwala podzielić wody na pięć części: Ocean Lodowaty Północny, Ocean Lodowaty Południowy, Ocean Indyjski, Ocean Atlantycki, Ocean Spokojny.

Ocean Spokojny rozciąga się od północy ku południowi między dwoma kołami biegunowymi i od zachodu na wschód pomiędzy Azją i Ameryką, na przestrzeni stu czterdziestu pięciu stopni długości geograficznej. Jest to najspokojniejsze z mórz; prądy ma szerokie i powolne, przypyływy średnie, deszcze obfite. Taki ocean miałem zrzędzeniem losu przepływać w najdziwniejszych warunkach.

— Panie profesorze — rzekł do mnie kapitan Nemo — jeśli pan chcesz, oznaczmy dokładnie naszą pozycję i punkt wyjścia naszej podróży. Jest teraz trzy kwadransy na dwunastą. Wybierzmy się na powierzchnię morza.

Kapitan przycisnął trzykrotnie dzwonek elektryczny. Pompy zaczęły wyrzucać wodę ze zbiorników; wskazówka manometru pokazywała stopniowo ruch „Nautilusa” z dołu do góry; nareszcie zatrzymała się.

— Przybyliśmy — rzekł kapitan.

Udałem się ku schodom środkowym, prowadzącym do platformy. Przeszedłszy po metalowych stopniach i przez otwory w ścianach, znalazłem się na górnej części „Nautilusa”.

Platforma wystawała nad wodę tylko na osiemdziesiąt centymetrów. Przód i tył „Nautilusa” przedstawiały te zarysy wrzecionowate, które go pozwalały porównać do długiego cygara. Zwróciłem tedy uwagę na blachę jego pokrywy, pokarbowaną niby w rzędy dachówek, podobne do łuski pokrywającej ciało wielkich ziemnych gadów. Teraz rozumiałem, dlaczego pomimo jak najlepszej lunety statek ten brano zawsze za morskiego potwora.

Ku środkowi platformy łódka, do połowy obsadzona w pudle statku, tworzyła niewielką wyniosłość. Z przodu i z tyłu wznosiły się dwie klatki średniej wysokości, o ścia-



nach nachylonych, w większej części zajętych przez grube szkła soczewkowe; jedna mieściła w sobie sternika, kierującego „Nautilusem”, w drugiej błyszczała potężna latarnia elektryczna, oświetlająca nam drogę. Morze było wspaniałe, niebo czyste bez chmurki. Szerokie falowania oceanu zaledwie uczuć się na statku dawały. Lekki wietrzyk wschodni marszczył powierzchnię wód. Widnokrąg, ze mgły oczyszczony, pozwalał na najdokładniejsze obserwacje.

Nic zgoła nie widzieliśmy koło siebie. Ani skały... ani wysepki... ani śladu „Abrahama Lincolna”... tylko pustynia... nieskończoność.

Kapitan, uzbroiwszy się w sekstant, zmierzył wysokość słońca, z której miał obliczyć szerokość geograficzną. Czekał w tym celu kilka minut. W czasie dokonywania obserwacji nie drgnął mu ani jeden mięsień; zdawało się, że instrument przymocowany jest do marmurowej ręki.

— Południe — rzekł — i jeśli pan chcesz, panie profesorze...

Rzuciłem okiem po raz ostatni na fale, trochę żółtawe, japońskich wybrzeży i zeszedłem do wielkiego salonu.

Kapitan naznaczył punkt na mapie, obliczył chronometrycznie długość geograficzną, którą skontrolowawszy z poprzednimi obserwacjami kątów godzinowych, rzekł do mnie:

— Panie Aronnax, jesteśmy pod sto trzydziestym siódmym stopniem i piętnastą minutą długości zachodniej.

— Od jakiego południka — zapytałem z żywością, spodziewając się, że odpowiedź kapitana posłuży mi za wskazówkę do określenia jego narodowości.

— Panie profesorze — odpowiedział — mam tu różne chronometry regulowane podług południków: paryskiego, Greenwich i waszyngtońskiego. Na intencję pańską użyję południka paryskiego.

Ta odpowiedź nic mnie nie nauczyła. Skłoniłem się, a dowódca mówił dalej:

— Sto trzydzieści siedem stopni i piętnaście minut długości na wschód od południka paryskiego i trzydzieści stopni siedem minut szerokości północnej, to jest prawie trzysta mil od wybrzeży japońskich. Dziś więc, 8 listopada w południe, zaczyna się nasza podróż podmorska!

— Niech Bóg ma nas w swej opiece — odrzekłem.

— A teraz, panie profesorze — dodał kapitan — pozostawiam pana przy jego studiach. Naznaczyłem drogę w kierunku wschodnio-północno-wschodnim, na pięćdziesiąt metrów głębokości. Oto mapy z wielką punktacją, na których będziesz pan mógł śledzić przebieg tej drogi. Salon jest do pańskiego rozporządzenia, a mnie pozwól pan oddalić się.

Kapitan Nemo uklonił się i wyszedł. Pozostałem sam, pogrążony w myślach o dowódcy „Nautilusa”. Czy miałem dowiedzieć się kiedykolwiek, do jakiego narodu należał ten dziwny człowiek, który się chełpił z tego, że do żadnego nie należy? Kto mógł obudzić w nim tę nienawiść do ludzkości, łaknącą może strasznej zemsty? Byłże to jeden z tych niezrozumiałych mędrców, jeden z tych geniuszów, „któremu narobiono nieprzyjemności”, jak mówił Conseil, jakiś nowożytny Galileusz — lub uczonego w rodzaju Amerykanina Maury, którego karierę zwichnęły polityczne przewroty? Nic jeszcze nie mogłem o tym wyrzec, ja, którego traf ślepy rzucił na pokład jego statku i którego życie było w rękach kapitana. Przyjęcie dowódcy było chłodne, choć gościnne; uważałem jednak, że nigdy nie dotknął się mojej wyciągniętej ręki, jak również swojej mi nigdy nie podał.

Godzinę całą oddawałem się tym rozmyśleniom, starając się odgadnąć tajemnicę, tak dla mnie zajmującą. Potem mimo woli zwróciłem oczy na wielką mapę rozłożoną na stole i zatrzymałem palec na punkcie przecięcia obserwowanych długości i szerokości.

Morze, tak jak lądy, ma też swoje rzeki. Są to szczególne prądy, łatwe do poznania po temperaturze i kolorze wody; najznaczniejszy z nich nosi nazwę Golf-Stream. Nauka oznaczała na kuli ziemskiej kierunek pięciu głównych prądów: jeden w północnym Atlantyku, drugi w Atlantyku południowym, trzeci w Oceanie Spokojnym północnym, czwarty w południowym i piąty w Oceanie Indyjskim południowym. Prawdopodobnie nawet szósty prąd istniał w Oceanie Indyjskim północnym, wtedy gdy morza Kaspijskie i Aralskie, połączone z jeziorami Azji, tworzyły tylko jeden obszar wód.

Od punktu wskazanego na mapie ciągnął się właśnie jeden z tych prądów, *Kuro Scivo* Japończyków, Rzeka Czarna, który, wychodząc z Zatoki Bengalskiej, gdzie go rozgrze-

wają pionowo padające promienie zwrotnikowego słońca — przepływa przez Cieśninę Malacca, przedłuża wybrzeże Azji, zaokrągla się w Oceanie Spokojnym północnym aż do Wysp Aleuckich, unosząc pnie drzewa kamforowego i inne miejscowe produkty i czystą barwą indygo swych ciepłych wód odróżniając się od fal oceanu. Ten właśnie prąd miał przebiegać „Nautilus”: śledziłem więc jego kierunek, widziałem, jak ginął w niezmiernym obszarze Oceanu Spokojnego; zdawało mi się, że mnie za sobą pociąga, kiedy Ned Land i Conseil we drzwiach się ukazali. Moi dwaj dzielni towarzysze stanęli jak skamieniały na widok tylu cudów nagromadzonych przed ich zdziwionym wzrokiem.

— Gdzież to jesteśmy? — spytał Kanadyjczyk. — Czy w muzeum w Quebecu?

— Chyba prędzej — mówił Conseil — w hotelu Sommerard.

— Moi przyjaciele — odpowiedziałem, dając im znak, aby weszli — nie jesteście ani w Kanadzie, ani we Francji, ale na pokładzie „Nautilusa”, na pięćdziesiąt metrów pod poziomem morza.

— Trzeba im wierzyć, kiedy tak twierdzą — odpowiedział Conseil — ale prawdziwie ten salon może zadziwić nawet takiego jak ja Flamandczyka.

— Podziwiał zatem, przyjacielu, i oglądaj, bo dla tak zdolnego klasyfikatora jest tu co do roboty.

Nie potrzebowałem zachęcać Conseila; pocziwiec, nachylony nad szklanymi szafkami, mruzczał wyrazy z języka przyrodników: klasa brzuchopełzów, rodzina buccinoidów, rodzaj porcelanowych, gatunek *Cypraea-Madagascariensis*<sup>100</sup> etc.

Ned Land tymczasem, nie należąc do konchyliologów, dopytywał się o moje widzenie się z kapitanem Nemo. Dowiadywał się, czy odkryłem, skąd dowódca pochodził, dokąd dążył, do jakich głębin ciągnął nas za sobą; słowem, zadawał mi tysiące pytań, na które nie mogłem nadażyć odpowiadać. Opowiedziałem mu wszystko, co o nieznanym wiedziałem, albo raczej czego nie wiedziałem, i zapytałem z kolei, co też on słyszał lub widział.

— Nic nie widziałem, nic nie słyszałem, — odpowiedział Kanadyjczyk. — Nie spostrzegłem nawet załogi na tym statku; czyżby ona miała być także elektryczna?

— Elektryczna!

— Doprawdy, tak by prawie można myśleć. Ale pan, panie Aronnax, któremu nigdy nie brak pomysłu, możesz mi powiedzieć, ilu też ludzi może być na statku: dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu, stu?

— Nie umiem ci odpowiedzieć, mości Land. Zresztą wierz mi, pozbadź się, przynajmniej na teraz, myśli opanowania „Nautilusa” lub ucieczki. Niejeden chętnie zgodziłby się na położenie, w którym się znajdujemy, aby tylko odbyć przejażdżkę wespół tych cudów. Toteż siedźmy spokojnie i starajmy się widzieć, co się wkoło nas dzieje.

— Widzieć! — zawołał oszczepnik — ależ właśnie nic nie widać i nigdy nie będzie nic widać w tej blaszanej kozie<sup>101</sup>! Płyniemy jak ślepi...

Zaledwie Ned Land wymówił te słowa, gdy ciemność nagle nas ogarnęła, ale to ciemność w całym znaczeniu tego wyrazu. Pułap świetlny zagasł z taką szybkością, że uczułem przy tym w oczach wrażenie bólu podobne do całkiem przeciwnego wrażenia, jakiego wzrok doznaje po przejściu z ciemności zupełnej do jarzącego światła.

Oniemiawszy z podziwu, nie ruszaliśmy się wcale, nie wiedząc, jaką przygotowano nam niespodziankę, przyjemną czy przykrą. Wtem dało się słyszeć tarcie, jak gdyby otwierały się boki „Nautilusa”.

— Teraz to już chyba koniec końca — wyrzekł Ned Land.

— Rząd hydromeduz — szepnął Conseil.

Nagle światło całą falą wdarło się do salonu z obu jego boków, przez dwa podłużne otwory. Masa płynna ukazała się jaskrawo oświetlona światłem elektrycznym. Dwie szyby kryształowe oddzielały nas od morza. W pierwszej chwili zadrzałem na myśl, że ta wążta przegroda mogła się rozprysnąć; ale spostrzegłem, że silne mosiężne okucia dozwoliły jej stawać opór prawie nieograniczony.

Widzieliśmy w morzu najdokładniej wszystko w promieniu milowym naokoło „Nautilusa”.

<sup>100</sup> *Cypraea-Madagascariensis* a. *Staphylaea nucleus madagascariensis* (łac.) — gatunek ślimaka morskiego. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *koza* — tu: areszt, więzienie. [przypis edytorski]

Co za widok! Jakież pióro zdołałoby go opisać. Któż by potrafił odmalować te efekty światła przenikające przezroczyste masy — łagodność w stopniowaniu jego siły słabnącej w warstwach oceanu poniżej lub powyżej statku położonych!

Wiadomo wszystkim, jaka jest przezroczystość morza, przewyższająca tym przymiotem nawet wodę źródlaną. Materie mineralne i organiczne, zawieszane w falach morskich, zwiększają nawet ich przezroczystość. W pewnych częściach oceanu, około Antyli, przez głębię stu czterdziestu pięciu metrów wody można dostrzec z zadziwiającą dokładnością piaszczyste łóżysko morza, a siła przenikliwości promieni słonecznych zdaje się słabnąć dopiero na głębokości trzystu metrów. Ale w tym płynnym żywiole otaczającym „Nautilusa” blask elektryczny rozlewał się w łonie samychże fal. Można by powiedzieć, że to nie była woda oświetlona, ale światło płynne.

Jeśli przyjmujemy hipotezę Ehrenberga, który wierzy w fosforyczne oświetlenie głębin morskich, musimy przyznać, że natura zachowała dla mieszkańców morza najcudowniejszy widok, o którym dopiero mogłem sądzić, patrząc na tysiączne gry tego światła. Z każdej strony statku miałem otwarte okno na te niezbadane dotąd otchłanie. Jasność zewnętrzna odbijała od ciemności salonu, a my patrzyliśmy przez ten czysty kryształ, niby przez szyby olbrzymiego akwarium. „Nautilus” zdawał się stać na miejscu. Powodem tego złudzenia był brak punktów stałych. Czasem jednakże smugi wody, prutej przez ostrogę statku, uciekały przed naszymi oczami z niesłychaną szybkością. Oczarowani ukłękliśmy przed szybami i nie ochłonęliśmy jeszcze ze zdziwienia, kiedy odezwał się Conseil.

— Chciałeś widzieć, przyjacielu Ned, patrzże teraz.

— Ciekawe! Ciekawe! — mówił Kanadyjczyk, który, zapominając o gniewie i o projektach ucieczki, poddawał się nieprzewartemu urokowi. — Opląciło się z daleka przywędrować, ażeby coś podobnego zobaczyć!

— Ach! — zawołałem — Pojmuję życie tego człowieka! Stworzył sobie świat oddzielny, który go darzy niezrównanymi cudami!

— A ryby? — zagadnął Kanadyjczyk. — Nie widzę jakoś ryb.

— I cóż cię one obchodzą, przyjacielu Ned — odrzekł Conseil — kiedy się na nich nie znasz.

— Jak to, ja, rybak!? — zawołał Ned Land.

Przedmiot ten dał powód do sporu między dwoma przyjaciółmi, gdyż obaj znali ryby, a każdy po swojemu.

Wiadomo, że ryby tworzą czwartą i ostatnią klasę kręgowych. Słusznie powiedziano o nich, że są to: „kręgowce o podwójnej cyrkulacji, mające krew zimną, oddychające za pomocą skrzelii i przeznaczone do życia w wodzie”. Ryby rozpadają się na dwie serie całkiem różne: na ryby ościste, których kolumna grzbietowa składa się z kręgów kościstych — i ryby chrząstkowate, których kolumna grzbietowa składa się z kręgów chrząstkowatych.

Kanadyjczyk wiedział może o tej różnicy, ale Conseil wiedział więcej, a połączywszy się węzłem przyjaźni z Nedom, nie mógł się nie uważać za większego uczonego niż oszczepnik. Toteż odezwał się do Kanadyjczyka:

— Przyjacielu Ned, wiem, że zabijasz ryby i łowisz je bardzo zręcznie. Złowiłeś mnóstwo tych zajmujących zwierząt. Ale założyłbym się, że nie wiesz, jak je klasyfikować należy.

— I owszem — odparł poważnie oszczepnik. — Ryby dzielą się na takie, które się je, i na inne, których się nie jada.

— Otóż to mi podział smakosza — odpowiedział Conseil. — Ale powiedz mi, czy znasz różnicę między rybami kościstymi i chrząstkowymi.

— Być może, mości Conseil.

— A podział tych dwu klas?

— Nie domyślam się go nawet — odrzekł Kanadyjczyk.

— Otóż, przyjacielu Ned, słuchaj mnie i uważaj. Ryby kościste dzielą się na sześć rzędów. *Primo*, acanthopterygie, których szczeka górna jest całkowita, ruchoma, a skrzela mają kształt grzebienia; ten rząd obejmuje piętnaście rodzin, to jest trzy czwarte ryb znanych. Typ: okoń zwyczajny.

— Dość smaczny do jedzenia — przerwał Ned.

— *Secundo* — mówił dalej Conseil — bruchopłetwe mające płetwy brzuszne zawieszane pod brzuchem, z tyłu za piersiowymi i niepołączone z kością łopatkową: ten

rząd dzieli znowu na pięć rodzin i obejmuje większą część ryb wód słodkich. Typ: karp, szczupak.

— Hm — mruknął Kanadyjczyk z pewną pogardą — ryby wód słodkich!

— *Tertio* — mówił Conseil — subrachie, których płetwy brzuszne przyczepione są pod piersiowymi i łączą się bezpośrednio z kością łopatkową. W rządzie tym mieszczą się cztery rodziny. Typy: flądry, skarpie<sup>102</sup>, sole.

— Wyborne, wyśmienite! — wołał oszczepnik, który zapatrywał się tylko na ryby z punktu jadalności.

— *Quarto* — ciągnął dalej Conseil, nie zważając na te uwagi — niedopłetwe, z ciałem wydłużonym, pozbawionym płetw brzusznych i pokryte grubą, często śliską skórą; do tego rzędu jedna tylko rodzina należy. Typ: węgorz, strętwa<sup>103</sup>.

— Nieszczególne, nieszczególne — odpowiedział Ned Land.

— *Quinto* — rzekł Conseil — wąskoskrzelne z całkowitymi i swobodnymi szczękami, ze skrzelami składającymi się z małych kitek ułożonych po parze wzdłuż łuków skrzelowych. I w tym to rządzie także mieści się jedna rodzina. Typ: konik morski, pegaz.

— Szkaradne, szkaradne — przerwał oszczepnik.

— Nareszcie *sexto*<sup>104</sup> — kończył Conseil — zrosłoszczękie, u których kość szczękowa przytwierdzona jest stale do części międzyszczękowej tworzącej szczękę i których sklepienie podniebienne łączy się szwem z czaszką, co jej daje nieruchomość. Temu rządowi brak istotnych płetw brzusznych; rozpada się on na dwie rodziny. Typ: rybojeź, kolcobrzuch<sup>105</sup> i ryby księżycowe<sup>106</sup>.

— Wszystkie ujmę kuchni przynoszą! — zawołał Kanadyjczyk.

— Czy rozumiałeś, przyjacielu Ned? — zapytał uczony Conseil.

— Ani trochę, przyjacielu Conseil — odparł oszczepnik. — Ale nie zważaj na to, mów dalej, bo to bardzo zajmujące.

— Co do ryb chrząstkowatych — mówił niewzruszony Conseil — te dzielą się tylko na trzy rzędy.

— Tym lepiej — rzekł Ned.

— *Primo*, okrągłouste, których szczęki mają kształt lejkowatego smoczka, a skrzela otwierają się przez liczne otworki; rząd obejmujący jedną rodzinę. Typ: minóg<sup>107</sup>.

— To cenna ryba — odpowiedział Ned Land.

— *Secundo*, poprzeczouste ze skrzelami jak u poprzednich, ale z niższą szczęką ruchomą. Ten rząd, najważniejszy w całej klasie, zawiera dwie rodziny. Typ: raja i żarłacz.

— Jak to! — zawołał Ned — raje i rekiny w jednym rządzie! No, mój przyjacielu, w interesie rai nie radzę ci umieszczać jej w jednym słoju z rekinem.

— *Tertio* — mówił dalej Conseil — jesiotrowe, z otwartymi skrzelami w sposób zwykły, to jest za pomocą szczeliny opatrzonej nakrywką. W tym rządzie mieszczą się cztery rodzaje. Typ: jesiotr.

— Ach, przyjacielu Conseil, najlepszą rzecz na koniec zachowałeś, przynajmniej mnie się tak zdaje. Czy to już wszystko?

— Już wszystko, mój pocziwco — odpowiedział Conseil — nie zapominaj jednak, że widząc, com wymienił, jeszcze się nic nie wie, bo rodziny dzielą się na rodzaje, podrodzaje, gatunki, odmiany...

— Otóż właśnie, przyjacielu Conseil — rzekł oszczepnik, nachylając się ku szybie w ścianie — różne gatunki i odmiany przed nami przepływają!

— Tak, to ryby! — zawołał Conseil. — Wyglądamy, jakbyśmy stali przed akwariem!

— Nie — odrzekłem — bo akwariem jest to zawsze tylko klatka, a tu ryby swobodne są jak ptaki w powietrzu.

— Dalej, przyjacielu Conseil, nazywajże je, nazywaj — mówił Ned Land.

<sup>102</sup>skarp — inaczej turbot; flądroskształtna (ciało bocznie spłaszczone) ryba morska. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>strętwa — węgorz elektryczny. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>primo, secundo (...) sexto (łac.) — po pierwsze, po drugie itd. po szóste. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>kolcobrzuch — ryba mórz tropikalnych posiadająca zdolność nadymania ciała, przez co przypomina kolczastą piłkę. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>ryby księżycowe — inaczej skalary; ryby słodkowodne. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>minóg — prymitywne zwierzę wodne zaliczane do bezzuchowców, będące pasożytem ryb; charakteryzuje go wydłużony kształt. [przypis edytorski]

— Ja tego nie potrafię — odparł Conseil. — To rzecz mego pana.

I w istocie, poczciwy chłopak, zaciekły klasyfikator, nie był przecież naturalistą i nie wiem, czy zdołałby odróżnić tuńczyka od bonito. Przedstawiał tym sposobem zupełną sprzeczność z Kanadyjczykiem, który znów bez wahania mógł nazwać każdą rybę.

— To rogatnica — rzekłem.

— I to chińska — dodał Ned Land.

— Rodzaj balistów, rodzina kolczasto-pancernych, rząd zrosłoszczękich — wyrecytował Conseil.

Nie było wątpliwości, że Ned i Conseil we dwóch złożyliby się na dobrego naturalistę. Kanadyjczyk się nie mylił. Gromada balistów z ciałem bez żeber, skórą chropowatą, uzbrojonych kolcami na grzbiecie, igrała około „Nautilusa”; poruszały one czterema rzędami kolców, w które z każdej strony mają zaopatrzone ogon. Trudno zobaczyć coś piękniejszego jak ich powłoka szara u góry, biała pod spodem, której złote plamki błyszczą wśród ciemnych fałd bałwanów. Między nimi pływały raje, wśród których, ku mej wielkiej radości, dostrzegłem chińską raję, żółtawą z wierzchniej części, a bladoróżową pod brzuchem, uzbrojoną trzema kolcami poza okiem: rzadki, a nawet wątpliwy gatunek za czasów Lacépèda, który go tylko widział w zbiorze rysunków japońskich.

W ciągu dwu godzin całe wojsko morskie eskortowało „Nautilusa”. Wśród ich igrania, skoków i współzawodnictwa o piękność, blask i szybkość, przemknęły przed nami: zielona labra, barwena<sup>108</sup> berberyjska znaczona podwójną czarną pręgą; kielbie wąsate z ogonem zaokrąglonym, barwy białej z fioletowymi plamami na grzbiecie; skarb japoński, cudowna makrela tych mórz z ciałem niebieskawym i srebrzystą głową; świetne lazurki, których nazwa sama zastępuje opis; leszczaki pręgowane z płetwami zabarwionymi na niebiesko i żółto — inne z pasami poprzecznymi i czarną pręgą na ogonie; leszczaki pasiaste wytwornie ściśnięte w swoich sześciu pasach; austolony kształtu flecikowego albo bekasy morskie, których pewne okazy dochodzą długości metra; salamandry japońskie, mureny<sup>109</sup>, węże długości sześciu stóp, z małymi żywymi oczkami, z pyskiem najeżonym zębami itd.

Zachwył nasz utrzymywał się ciągle na najwyższym punkcie. Wykrzykników było bez liku. Ned nazywał ryby, Conseil klasyfikował je, ja podziwiałem zwinność ich ruchów i piękność kształtów. Nigdy przedtem nie widziałem tych zwierząt żywych, swobodnych w ich właściwym żywiole.

Nie będę opisywał tej różnorodności karmiącej nasze oczarowane oczy, tego pełnego zbioru mórz japońskich i chińskich. Ryby zbierały się liczniej niż ptaki w powietrzu, przywabiane olśniewającą jasnością światła elektrycznego. Nagle zrobiło się widno w salonie. Metalowe ściany zasunęły się, czarujące widzenie znikło. Długo jeszcze o nim marzyłem, nareszcie wzrok mój napotkał narzędzia zawieszane na ścianach. Busola wskazywała zawsze kierunek północno-wschodni; manometr — ciśnienie pięciu atmosfer, odpowiadające głębokości pięćdziesięciu metrów, a loch elektryczny (szybkomierz) szybkość piętnastu mil na godzinę.

Oczekiwałem na kapitana Nemo, ale się wcale nie pokazał. Zegar wskazywał godzinę piątą.

Ned Land i Conseil powrócili do swej kajuty, ja do mego pokoju. Znalazłem tam przygotowany obiad. Składał się z zupy żółwiowej z najdelikatniejszych żółwi przyrządzonej, barwony o białym mięsie, której wątroba, oddzielnie przyrządzona, wyborną dała potrawę, i z mięsa cierniopłetwej holokanty cesarskiej, która delikatnością smaku według mnie lososia przewyższa.

Przepędziłem wieczór na czytaniu i rozmyślaniu. Potem, gdy sen mię zaczął morzyć, wyciągnąłem się na pościeli i usnąłem, a „Nautilus” tymczasem mknął bystrym prądem Rzeki Czarnej.

## ZAPROSZENIE LISTOWNE

Nazajutrz, 9 listopada, obudziłem się po przespaniu dwunastu godzin. Conseil przyszedł według zwyczaju dowiedzieć się, „jak pan przepędził noc” i ofiarować mi swe usługi. Zo-

<sup>108</sup>barwena — ryba morska żyjąca w wodach przybrzeżnych. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>murena — drapieżna ryba węgorzokształtna. [przypis edytorski]

stawił on swego przyjaciela, Kanadyjczyka, śpiącego tak smacznie jak człowiek, który całe życie nic innego nie robi.

Pozwoliłem zacnemu chłopcu wygadać się do woli, niewiele mu odpowiadając; zbyt bowiem zajmowała mnie nieobecność kapitana Nemo na wczorajszym naszym posiedzeniu i spodziewałem się zobaczyć go dzisiaj.

Wkrótce przywdziałem me suknie z bisioru<sup>110</sup>, nad którymi nieraz już zastanawiał się Conseil. Wy tłumaczyłem mu, że były zrobione z lśniących i miękkich włókien, za pomocą których czepiają się skał „szyneczki” — gatunek mięczaków przebywający w wielkiej obfitości na brzegach Morza Śródziemnego. Z włókien tych robiono dawniej piękne materie, pończochy, rękawiczki, gdyż są bardzo miękkie i ciepłe. Osada więc „Nautilusa” mogła ubierać się tanim kosztem, obywając się bez krzaka bawełny, bez owiec i jedwabników.

Ubrawszy się, poszedłem do dużego salonu. Był pusty.

Zagłębiłem się w badaniu skarbów konchylologii nagromadzonych w oszklonych szafach. Przeglądałem przy tym ogromne zielniki pełne najrzadszych roślin morskich, które, choć zasuszone, zachowały jednak swe cudne barwy. Wśród tych szacownych okazów flory wodnej znalazłem okółki pręgowate ziarnonośne, delikatne czeramie barwy szkarłatnej, bedłkę<sup>111</sup> wachlarzowatą, acetabule podobne bardzo do wklęsłych grzybów, które przez długi czas zaliczano do zwierokrzewów, i wreszcie cały szereg porostów morskich.

Upłynął cały dzień, a kapitan Nemo nie zaszczycił mnie swoją wizytą. Drzwi salonu nie uchyliły się. Chciano może przyzwyczaić nas do tych pięknych rzeczy.

„Nautilus” utrzymywał się w kierunku wschodnim przy dwunastomilowej szybkości i zanurzeniu na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów.

Na drugi dzień, 10 listopada, toż samo zaniedbanie, także samotność. Ned i Conseil spędzili większą część dnia ze mną. Dziwiła ich niewytłumaczona nieobecność kapitana. Czy ten szczególnie człowiek był chory? Czy zmienić chciał względem nas swe zamiary?

Z tym wszystkim, jak zauważył Conseil, używaliśmy zupełnej swobody i byliśmy dobrze żywieni. Gospodarz nasz dotrzymywał warunków swego układu. Nie mogliśmy się żalić: a zresztą sama niezwykłość naszego losu obiecywała tak sowite nagrody, żeśmy nie mieli jeszcze prawa go winić.

Tegoż dnia zacząłem dziennik mych przygód, co dało mi możliwość opowiedzenia ich z najściślejszą dokładnością i... by nie pominąć ciekawego szczegółu, pisałem go na papierze z włókna wodorostów.

Jedenastego listopada świeże powietrze rozchodzące się wewnątrz „Nautilusa” uprzedziło mnie, żeśmy wrócili na powierzchnię oceanu, żeby odnowić zapas tlenu. Zwróciłem się ku środkowym schodom i wyszedłem na platformę.

Dochodziła szósta rano. Powietrze było mgliste, morze szare, ale spokojne. Zaledwie kołysały się fale. Czy kapitan Nemo, którego spodziewałem się tu spotkać, nadejdzie? Ujrzałem tylko sternika, uwięzionego w swej szklanej klatce. Usiadłszy na krawędzi pudła statku, z rozkoszą wciągałem w płuca słone wyziewy.

Wschodzące słońce rozproszyło powoli mgłę. Promienna gwiazda wynurzała się ze wschodniego horyzontu. Morze zapłonęło od niej jak zapalona podsypka prochu. Rozwiane w górze chmury zabarwiły się żywymi, mieniającymi się w cudne odcienie kolorami; a mnóstwo „języków kocich<sup>112</sup>” zapowiadało całodzienny wiatr.

Ale co znaczył wiatr dla „Nautilusa”, którego burze nie mogły zastraszyć.

Podziwiałem ten rozkoszny wschód słońca, tak wesoły i ożywczy — gdy naraz usłyszałem, że ktoś wchodzi na platformę.

Gotowałem się powitać kapitana, ale to był jego porucznik. Przeszedł platformę, zając się nie spostrzegając mej obecności. Przyłożywszy potężną lunetę do oczu, zbadał z niezmierną uwagą wszystkie punkty horyzontu. Potem zbliżył się do klapy i wymówił zdanie, którego brzmienie dokładnie tu powtarzam. Zachowałem je dobrze w pamięci, bo każdego rana powtarzało się w jednakich okolicznościach. Oto są te wyrazy:

„*Nautron respoc lorni virch*”.

<sup>110</sup>bisior — jedwabiste nici powstające z szybko krzepnącej wydzieliny niektórych małży. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>bedłka — ludowe określenie dla różnych gatunków grzybów. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>języki kocie — małe białe chmurki, lekkie i nastrzępione po brzegach. [przypis redakcyjny]

Co one znaczyły — tego nigdy nie będę wiedział.

Po wymówieniu tych słów, porucznik zszedł na dół. Myślałem, że „Nautilus” wraca do swej podmorskiej żeglugi, pośpieszyłem więc do kłapy i przez podłużny korytarz dostałem się do mego pokoju.

Upłynęło tak pięć dni bez żadnej zmiany w naszym położeniu. Co rano wychodziłem na platformę. Co dzień to samo zdanie wychodziło z ust tej samej osoby. Kapitan Nemo nie zjawiał się.

Sądziłem już, że go nigdy nie zobaczę. Tymczasem 16 listopada, wróciwszy do swego pokoju z Nedom i Conseilem, zastałem na stole list pod moim adresem.

Zerwałem niecierpliwą ręką kopertę. Pismo było bujne, czyste, lecz zakrawało nieco na gotyckie, przypominając kształt liter niemieckich.

List ten zawierał następujące wyrazy:

„Do pana profesora Aronnax, na pokładzie  
„Nautilusa”, 17 listopada 1867 r.

Kapitan Nemo zaprasza profesora Aronnax na polowanie, które odbędzie jutrzejszego rana w lasach na wyspie Crespo. Spodziewa się, że profesorowi nic nie przeszkodzi w nim uczestniczyć, i z przyjemnością będzie widział z nim razem jego towarzyszków.

*Dowódca „Nautilusa”*

*Kapitan Nemo”.*

— Polowanie! — zawołał Ned.

— I to w lasach na wyspie Crespo — dodał Conseil.

— Zatem wysiadzie na ląd ten dziwak — zauważył Ned Land.

— Zdaje mi się, że to dość jasno wyrażone — odpowiedziałem, powtórnie odczytując list.

— A więc należy przyjąć — rzekł Kanadyjczyk. — Raz stanąwszy na ziemi, zobaczymy co począć dalej. Zresztą nie gniewa mnie to wcale, że sobie zjem parę kawałków świeżego mięsa.

Nie starając się pogodzić sprzeczności zachodzącej pomiędzy objawionym przez kapitana Nemo wstrętem do wysp i lądów a jego zaproszeniem na polowanie w lasach, przestałem na odpowiedzi:

— Zobaczymy przede wszystkim, co to jest ta wyspa Crespo.

Wziąłem mapę obu półkul i pod 32° 4' szerokości północnej a 167° 50' długości zachodniej znalazłem wysepkę rozpoznaną w roku 1801 przez kapitana Crespo, która na dawnych mapach hiszpańskich zwana była Roca de la Plata, to jest „Srebrna Skala”. Znajdowaliśmy się zatem blisko o tysiąc osiemset mil od miejsca naszego wyjazdu, a zmieniły nieco kierunek „Nautilusa” zmierzał ku południo-zachodowi.

Wskazałem mym towarzyszom tę drobną skalę rzuconą na północnym Oceanie Spokojnym.

— Jeżeli kapitan Nemo — rzekłem — wysiada niekiedy na ląd, to przynajmniej wybiera wyspy całkiem bezludne.

Ned Land, wzruszywszy tylko głową, nic nie odpowiedział, to samo zrobił i Conseil, po czym obaj odeszli. Po kolacji podanej mi przez milczącego i niewzruszonego kreden-cerza zasnąłem nie bez pewnego zajęcia się myślą o jutrze.

Nazajutrz, 17 listopada, zbudziwszy się, poczułem, że „Nautilus” stoi całkiem nieruchomy. Ubrałem się żywo i poszedłem do dużego salonu.

Zastałem kapitana Nemo, który tu na mnie czekał; powstał, uklonił się i zapytał, czy zechcę mu towarzyszyć.

Ponieważ nie napomknął ani słówka o naszym ósmiodniowym niewidzeniu się, więc i ja też, nie wspominając nic o tym, odpowiedziałem po prostu, że jestem gotów z towarzyszami na jego usługi.

— Ośmielę się tylko — dodałem — zadać panu jedno pytanie.

— Pytaj, panie Aronnax, a jeżeli będę mógł, to ci odpowiem.

— A więc kapitanie, jakim sposobem, zerwawszy wszelkie stosunki z ziemią, posiadasz pan lasy na wyspie Crespo?

— Panie profesorze — odrzekł kapitan — lasy, które posiadam, nie potrzebują od słońca ani światła, ani ciepła. Nie mieszkają w nich ani lwy, ani rysie, ani tygrysy, ani jakiegokolwiek zwierzęta czworonożne. Ja sam tylko je znam; dla mnie tylko jednego one rosną. Nie są to lasy ziemskie, ale podmorskie.

— Lasy podmorskie! — zawołałem.

— Tak, panie profesorze.

— I chcesz pan mnie do nich zaprowadzić?

— Właśnie.

— Pieszko?

— I suchą stopą.

— Polując?

— Polując.

— Z bronią w ręku?

— Z bronią w ręku.

Spojrzałem na dowódcę „Nautilusa” wzrokiem, który nie wyrażał dlań nic pochlebnego.

„Widocznie cierpi na mózg — pomyślałem. — Miał napad, który trwał osiem dni, i dotąd jeszcze nie ustał. Szkoda, wołałbym w nim widzieć oryginała niż wariata”.

Myśl ta dawała się wyraźnie wyczytać z mej twarzy — ale kapitan Nemo poprosił mnie z sobą i poszedłem za nim na wszystko zdecydowany.

Weszliśmy do sali jadalnej, gdzie zastawione było śniadanie.

— Panie Aronnax — rzekł kapitan — proszę podzielić ze mną bez ceremonii śniadanie. Porozmawiamy, jedząc. Przyrzekłem panu przechadzkę po lesie, lecz nie obiecywałem, że znajdziesz tam restaurację. Posilaj się pan jak człowiek, który prawdopodobnie będzie musiał długo czekać na obiad.

Zabrałem się ochoczo do biesiady złożonej z rozmaitych ryb i zrazów holoturii, wybornych zwierzozkrzewów, przyprawnych<sup>113</sup> silnie trawiącymi porostami, jak *Porphyra laciniata*<sup>114</sup> i *Laurencia prima fetida*<sup>115</sup>. Za napój służyła czysta woda, do której za przykładem kapitana dodawałem kilka kropel wysokowego likieru robionego na sposób Kamczadalów<sup>116</sup> z porostu znanego pod nazwą *Rhodymenia palmowata*<sup>117</sup>.

Kapitan Nemo jadł, z początku nie mówiąc ani słowa; potem odezwał się do mnie:

— Panie profesorze, kiedy zaproponowałem ci polowanie w mych lasach na wyspie Crespo, sądziłeś, że jestem sam z sobą w sprzeczności. Gdym cię objaśnił, że tu idzie o lasy podmorskie, myślałeś, że jestem wariat. Panie profesorze, nie trzeba nigdy sądzić o ludziach lekkomyślnie...

— Ależ kapitanie, wierzaj...

— Chciej pan posłuchać, a zobaczysz, czy wypada zarzucać mi sprzeczność lub obłąkanie.

— Słucham pana.

— Panie profesorze, wiesz pan tak dobrze jak ja, że człowiek może żyć pod wodą, byle tylko miał z sobą zapas powietrza do oddychania. W pracach podmorskich robotnik w nieprzemakającym odzieniu, z głową zamkniętą w metalowym hełmie otrzymuje powietrze za pomocą pomp tłoczących i regulatorów odprowadzających.

— To przyrząd nurków — przerwałem.

— W rzeczy samej, ale człowiek w takich warunkach nie ma dosyć swobody. Związany on jest z pompą dosyłającą mu powietrze kauczukową rurą, istnym łańcuchem przy-

<sup>113</sup>przyprawny — tu: przyprawiony, doprawiony. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*Porphyra laciniata* — szkarlatnica postrzępiona; gatunek glona należącego do krasnorostów. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*Laurencia prima fetida* — glon należący do krasnorostów. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*Kamczadalowie* — nazwa przypisywana paleoazjatyckim ludom zamieszkującym Kamczatkę. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*Rhodymenia palmowata* właśc. *Rhodymenia palmata* (lac.) — glon zaliczany do grupy alg czerwonych. [przypis edytorski]



kuwającym go do ziemi; będąc tak przyczepieni do „Nautilusa”, nie moglibyśmy daleko odejść.

— Lecz jakim sposobem możemy być wolni? — zapytałem.

— Za pomocą przyrządu Rouquayrol-Denayrouze wynalezionej przez dwóch pańskich rodaków, który udoskonalilem do swego użytku; pozwoli on panu bez najmniejszej obrazy organów przebywać w nowych warunkach fizjologicznych. Przyrząd ten składa się ze zbiornika z grubej blachy, który napełniam powietrzem pod ciśnieniem pięćdziesięciu atmosfer. Zbiornik zawieszony jest z tyłu na szelkach jak tornister żołnierski. Górna część jego tworzy pudełko, skąd powietrze utrzymywane przez odpowiedni przyrząd miechowy nie może uchodzić inaczej jak tylko pod normalnym ciśnieniem. W przyrządzie Rouquayrola takim, jak go powszechnie używają, wychodzące z pudełka dwie kauczukowe rurki łączą się z wypukłą pokrywą, zatykającą usta i nos; jedna z nich wprowadza powietrze do oddychania, drugą uchodzi zużyte — a język zatyka według potrzeby jedną lub drugą. Ja zaś, wystawiając się na wysokości w głębinach morskich ciśnienia, muszę zamykać sobie głowę w podobnej jak zwykli nurkowie miedzianej bani, do której przytykają owe dwie rurki do wdychania i wydychania.

— Wybornie, kapitanie Nemo. Jednakże powietrze, które pan z sobą zabierasz, musi się prędko zużywać; a gdy nie zawiera więcej nad piętnaście procent tlenu, staje się niezdatnym do oddychania.

— Bez wątpienia, panie Aronnax; ale, jak już mówiłem, pompy „Nautilusa” pozwalają mi wypełnić rezerwuar przyrządu przy bardzo wysokim ciśnieniu, który tym sposobem może dostarczyć powietrza do oddychania na dziewięć do dziesięciu godzin.

— Nie mogę nic temu zarzucić — odrzekłem. — Zapytam się pana tylko, jak sobie oświetlasz drogę na dnie oceanu?

— Przyrządem Ruhmkorffa, panie Aronnax. Pierwszy trzyma się na plecach, a drugi przywiązuje w pasie. Składa się on ze stosu Bunsena, który wprawiam w działanie nie za pomocą dwuchromianu potażu<sup>118</sup>, bo bym go sobie nie mógł dostarczyć, lecz sodu, którym przesycone jest morze. Cewka indukcyjna zbiera wytworzoną elektryczność i sprowadza do odpowiednio urządzonej latarni. W latarni tej znajduje się szklana wężownica zawierająca osad węglowodoru. Gdy przyrząd jest czynny, gaz ten staje się świetlnym, wydając białawe i ciągle światło. Opatrzony<sup>119</sup> tak, oddycham i widzę.

— Kapitanie Nemo, wszelkie moje zarzuty zbijasz tak przekonywającymi odpowiedziami, że nie śmiem już powątpiewać. Jednakże, jeżeli zmuszony jestem zgodzić się na przyrządy Rouquayrola i Ruhmkorffa, niech mi wolno będzie zrobić pewne zastrzeżenie co do strzelby, w którą mnie masz uzbroić.

— Ależ to nie jest broń palna — odpowiedział kapitan.

— A więc wiatrówka?

— Naturalnie. Jakże pan chcesz, bym robił proch na mym pokładzie, nie mając ani saletry, ani siarki, ani węgla drzewnego?

— Zresztą — dodałem — żeby strzelać skutecznie pod wodą, w tym żywiole osiemset pięćdziesiąt pięć razy gęstszym od powietrza, trzeba by pokonać znaczny opór.

— To by jeszcze nie przeszkadzało. Jest pewien rodzaj luf udoskonalonych po Fultonie przez Anglików: Filipa Colesa i Burleya, Francuza Furcy i Włocha Landi, ze szczególnym systemem zamkowym, z których można strzelać w takich warunkach. Ale, powtarzam panu, nie mając prochu, zastąpiłem go powietrzem pod wysokim ciśnieniem, którego dostarczają mi obficie pompy „Nautilusa”.

— Powietrze to musi się prędko zużywać.

— W istocie, ale czyż nie mam mego przyrządu Rouquayrola, który w potrzebie może mi go dostarczyć. Dość na to osobnej rurki. Zresztą, panie Aronnax, sam się przekonasz, że na podmorskich łowach niewiele wychodzi kul i powietrza.

— Zdaje mi się jednak, że w tym półświatle i wśród płynu tak gęstego w stosunku do atmosfery strzały nie mogą nieść daleko i rzadko bywają śmiertelne.

<sup>118</sup>potaż (ang. *potash*) — daw. nazwa węglanu potasu w postaci zanieczyszczonej (otrzymywano ten związek w wyniku spalania węgla drzewnego, z którego popiół jest częściowo rozpuszczalny w wodzie i zawiera węglan potasu wraz z innymi związkami potasu); również: każdy minerał zawierający potas. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>opatrzony — tu: zaopatrzony; wyposażony. [przypis edytorski]

— Owszem, panie, każdy strzał z tej broni jest śmiertelny i byle zwierzę zostało jak najlżej dotknięte pociskiem, pada nieżywe.

— Dlaczego?

— Bo moja broń nie nabija się zwykłymi kulami, ale drobnymi szklanymi kapsułkami wynalezionymi przez austriackiego chemika Leniebrocka, których znaczny zapas posiadam. Te szklane kapsułki pokryte stalową blaszką i obciążone ołowiem są to prawdziwe butelki lejdejskie naładowane elektrycznością pod bardzo wysokim ciśnieniem. Za najmniejszym uderzeniem pękają, a najsilniejsze zwierzę upada martwe. Dodam jeszcze, że nie są większe niż czwarty numer śrutu i że nabój zwykłej strzelby mógłby zawierać ich dziesięć.

— Nie rozprawiam dłużej — rzekłem, wstając od stołu. — Pozostaje mi tylko wziąć strzelbę. Zresztą gdzie bądź pan pójdziesz, i ja z tobą pójdę.

Kapitan zaprowadził mnie na tył „Nautilusa”. Przechodząc koło kajuty Neda i Conseil, zawołałem mych towarzyszków, którzy się zaraz za nami udali.

Weszliśmy do celki leżącej na samym skraju statku obok izby maszyn, żeby się ubrać w stroje spacerowe.

## PRZECHADZKA PO RÓWNINIE

Celka ta, właściwie mówiąc, była arsenałem i szatnią „Nautilusa”. Z tuzin przyrządów nurkowych, rozwieszonych na przepierzeniu, oczekiwał wybierających się na przechadzkę.

Ujrawszy je, Ned Land okazał widoczny wstręt do przywdziania tego ubioru.

— Ależ, mój dzielny Nedzie — rzekłem — lasy wyspy Crespo są to lasy podmorskie.

— Tak... — mruknął oszczepnik, widząc rozwiane swoje marzenia o świeżym mięsie.

— I pan się w to, panie Aronnax, ubierzesz?

— Trzeba, mości Nedzie.

— Wolno panu — odrzekł, wzruszając ramionami. — Ja zaś, jeżeli mnie gwałtem nie zmuszą, nie włożę tego za nic w świecie.

— Nie będę cię zmuszać, mości Nedzie — odezwał się kapitan Nemo.

— A Conseil czy się odważy? — zapytał Ned.

— Ja wszędzie pójdę za panem — odparł Conseil.

Na zawołanie kapitana przybyło dwu ludzi z załogi, żeby nam pomóc do przywdziania tych ciężkich, nieprzemakających sukien zrobionych bez szwu z kauczuku i przyrządzonych w ten sposób, żeby zdołały wytrzymać wysokie ciśnienie. Rzekłbyś, że to zbroja zarazem giętka i mocna. Składała się z kaftana i spodni zakończonych grubym obuwiem z ołowianymi podeszwami. Tkanina kaftana nasadzona była miedzianymi blaszkami, które opancerzały pierś, chroniły ją od parcia wód i dozwalały płucom swobodnie działać; rękawy kończyły się w kształcie giętkich rękawiczek niekrępujących bynajmniej poruszeń ręki.

Co za ogromna różnica pomiędzy tym udoskonalonym przyrządem a niekształtnymi przyborami nurkowymi, jak np. korkowe pancerze, kaftany bez rękawów, suknie morskie, skrzynie — wynalezionymi i używanymi w XVIII wieku.

Kapitan Nemo, jeden z jego towarzyszków, rodzaj olbrzymia posiadającego zapewne ogromną siłę, Conseil i ja — oblekliśmy się wkrótce w owe suknie nurkowe. Pozostawało już tylko wsunąć głowę w metalową banię. Poprosiłem jednak przedtem kapitana, by mi pozwolił obejrzyć nasze strzelby.

Jeden z załogi „Nautilusa” podał mi pojedynkę z dużą, a wewnątrz pustą kolbą ze stalowej blachy. Kolba ta służyła za zbiornik zgęszczonego powietrza, które klapka otwierająca się za pociągnięciem kurka wpuszczała do metalowej lufy. Pudełko na kule, wyłobione w kolbie, zawierało dwadzieścia pocisków elektrycznych, które za pomocą sprężyny same wsuwały się w lufę. Po każdym wystrzale broń była zaraz nabita.

— Kapitanie Nemo — rzekłem — jest to broń doskonała i łatwa w użyciu. Rad bym co żywo ją wypróbować. Lecz jakże dostaniemy się na dno morza?

— W tej chwili, panie profesorze, „Nautilus” spoczywa na dnie dziesięć metrów pod wodą i pozostaje nam tylko wyruszyć.

— Ale jak przyjdziemy?

— Zobaczysz pan.

Kapitan Nemo włożył głowę w metalową banię. Conseil i ja zrobiliśmy to samo, słysząc, jak Kanadyjczyk życzył szydlerczo „szczęśliwych łowów”. Górna część naszej odzieży zakończona była podziurkowanym miedzianym kołnierzem, do którego przyśrubowywano metalowy szyszak. Trzy wycięte w nim otwory opatrzone grubymi szklami dozwalały widzieć w każdym kierunku, przy obrocie głowy wewnątrz bani. Po przymocowaniu hełmu jak należy przyrządy Rouquayrola zaczęły natychmiast działać i, co do mnie, oddychałem zupełnie dobrze.

Z lampą Ruhmkorffa zawieszoną u pasa i z fuzją w ręku, gotów byłem do drogi. Wyznam jednak otwarcie, że w tym ciężkim odzieniu i przykuty do pomostu ołowianymi podeszwami nie zdołałbym postąpić kroku.

Ale wypadek ten był przewidziany, poczułem, że mnie popchnięto do małego, przyległego do szatni pokoiku. Towarzysze moi, również popychani, postępowali za mną. Usłyszałem, jak się zamknęły za nami drzwi opatrzone w szczelne zasuwki i ogarnęła nas głęboka ciemność.

Po kilku minutach obilo mi się o uszy przeraźliwe świnięcie. Oczywiście, wpuszczono za pomocą rury z zewnątrz statku wodę, która zalewając nas, napelniła wkrótce cały pokój. Wówczas otworzyły się drugie drzwi z boku „Nautilusa” i ujrzeliśmy blade półświatło. W chwilę potem stąpałem po dnie morskim.

A teraz jakże mam skreślić wrażenia pozostałe mi z tej podwodnej przechadzki! Wyrazy są bezsilne na opowiedzenie tylu cudownych zjawisk. Skoro pędzel nawet niezdolny jest oddać w zupełności właściwych płynnemu żywiołowi uroków, jakżeby pióro mogło temu podołać?

Kapitan Nemo szedł naprzód, a towarzysz jego postępował o kilka kroków za nami. Conseil i ja trzymaliśmy się obok siebie, jak gdyby wymiana słów przez nasze metalowe skorupy była możliwa. Nie czułem już ciężaru mej odzieży, obuwia, zbiornika z powietrzem, ani nawet tej grubej bani, w której głowa moja kołatała się jak migdał w lupinie. Wszystkie te przedmioty zanurzone w wodzie traciły część swej wagi równą wadze wypchanego przez nie płynu — i było mi bardzo wygodnie z tym prawem fizycznym odkrytym przez Archimedesesa. Przestałem być ociążaną masą i posiadałem swobodę ruchów względnie nawet dość znaczną.

Jasność oświetlająca grunt na trzydzieści stóp pod powierzchnią oceanu zadziwiła mnie swoją mocą. Promienie słoneczne z łatwością przenikały wskroś wodną masę, rozpraszając jej zabarwienie. Rozróżniałem wyraźnie przedmioty w odległości stu metrów. Dalej nieco tło ich nieznacznie i stopniowo zciemniało się ultramarynową barwą, błękitniało w oddali i zacierало w mglistej pomroce. Naprawdę otaczająca mnie woda zdawała się rodzajem powietrza gęstszego od naszej atmosfery ziemskiej, lecz niemal równie przezroczystego. Nad sobą widziałem spokojną powierzchnię morza.

Szliśmy po drobnutkim, gładkim piasku, niepomarszczonym, jak piasek wybrzeży noszący ślady kołysania się fali. Lśniący ten kobieriec, istny reflektor, z zadziwiającą siłą odbijał promienie słońca — i stąd to pochodził ów niezmierny blask przenikający wszystkie atomy płynu. Czy uwierzą mi, gdy powiem, że w tej trzydziestostopowej głębinie widziałem tak wyraźnie jak wśród jasnego dnia na ziemi?

Przez kwadrans stąpałem po tym iskrzącym się piasku, posianym nieujętych pyłkiem muszel. Pudło „Nautilusa” zarysowane w kształcie długiej skały powoli znikało nam z oczu — ale latarnia jego w razie, gdyby ciemność nastąpiła w wodzie, miała ułatwić nam powrót, roztaczając z niezmierną wyrazistością swoje promienie. Dla tych, którzy na lądzie tylko widzieli te żywe białawe smugi rysujące się wydatnie, efekt ten trudny jest do zrozumienia. Tam bowiem kurzawa nasycająca powietrze nadaje im pozór mgły świetlnej; ale na morzu i pod morzem rzuty elektrycznego światła rozchodzą się z niezrównaną czystością.

Szliśmy wciąż dalej, a rozległa, piaszczysta równina zdawała się nie mieć granic. Odgarniałem ręką zapadające za mną płynne zasłony, a ślad moich kroków zacierал się natychmiast pod ciśnieniem wody.

Wkrótce niektóre kształty przedmiotów zaledwie majaczących w oddali zarysowały się przed moimi oczyma. Ujrzałem na pierwszym planie skały zasłane najpiękniejszymi okazami zwierzkorzewów i stanąłem zdumiony zjawiskiem właściwym tylko podmorskiej otchłani...

Była wówczas godzina dziesiąta rano. Promienie słońca padały na powierzchnię fal pod kątem dosyć ukośnym i za dotknięciem ich światła, rozłożonego przez załamanie się jakby w pryzmacie, kwiaty, skały, odziomki, muszle mieniły się po brzegach siedmiu kolorami słonecznego widma. Był to cud, uroczystość dla oka — owa gra barwnych odcieni, istny kalejdoskop kolorów: zielonego, żółtego pomarańczowego, fioletowego, niebieskiego, błękitnego; słowem, cała paleta szalonego kolorysty. Czemuż nie mogłem podzielić się z Conseilem żywymi wrażeniami bijącymi mi do mózgu i współzawodniczyć z nim w okrzykach uwielbienia? Czemuż nie umiałem jak kapitan Nemo i jego towarzyszy wymieniać swych myśli za pomocą umówionych znaków? Toteż w braku czego lepszego mówiłem sam do siebie; krzychałem w miedzianym pudle zamykającym mi głowę, zużywając może na próżne wyrazy więcej powietrza, niż należało.

Na ten wspaniały widok Conseil również jak ja przystanął. Oczywiście wobec tylu rozlicznych okazów zwierzkorzewów i mięczaków dzielny chłopiec klasyfikował, wciąż klasyfikował. Polipy i jeżowce zalegały obficie grunt. Różne odmiany izyd, cornularie żyjące samotnie, pęki okulin dziewiczych oznaczanych dawniej nazwą białych koralu, gąbkowate najęzione w kształcie grzyba, anemony lgnące żylastą koroną tworzyły kwiecisty ogród ubarwiony jeszcze porpitemi strojnymi kryżką lazurowych macek, gwiazdami morskimi tworzącymi swe konstelacje na piasku i asteroptytami brodawkowymi mającymi pozór cieniuchnej koronki utkanej rękami najad, której festony kołysały się przy lekkim falowaniu wody sprawionym naszymi krokami. Z nieklamana przykrością deptałem nogami te świetne gatunki mięczaków zalegających grunt tysiącami; owe spiralne pogrzebyki, młotki, donaxy opatrzone krzewistymi mackami, prawdziwie skaczące muszle, wartolki gruszkowate, czerwone kassydy, stromby białoskrzydłe i tyle innych tworów oceanu. Ale trzeba było iść — i szliśmy dalej, a tymczasem przepływały nam nad głowami gromady żegawnic, ciągnąc za sobą rozkołysane ultramarzynowe macki; meduzy, których opalowe lub bladorożowe parasole osłaniały nas od promieni słonecznych, i pelagie ogonkowe, które w ciemności posiały nam drogę fosforycznymi światełkami.

Przejrzałem wszystkie te dziwy na ćwierćmilowej przestrzeni, zatrzymując się ledwie na chwilę i zdążając za kapitanem Nemo, który mnie przyzywał skinieniem. Niezadługo zmieniła się natura gruntu. Po piaszczystej równinie nastąpił pokład lekkiego iltu zwany przez Amerykanów „oazą”, złożony wyłącznie z krzemistych lub wapiennych muszel. Następnie przebiegliśmy łąkę wodorostów, podmorskich roślin niewyrwanych jeszcze przez wodę i rozradzających się z niezmierną bujnością. Te gęsto splecione trawniki miękkie w dotknięciu stopą mogłyby iść o lepsze z najdelikatniejszymi dywanami utkanymi ręką człowieka. Zieloność rozścielająca się nam pod stopami rozwijała się jednocześnie ponad głowami. Lekka altana z roślin morskich zaliczonych do obfitej rodziny wodorostów, z której poznano już dwa tysiące gatunków, spletała się na powierzchni wód. Widziałem kołyszące się długie wstęgi fukusów, jedne kuliste, inne rurkowate, rośliny z gatunków wawrzynowatych, gałęzistych, a z cieniutkim liściem, palmowate, podobne do kaktusowych wachlarzy. Zauważyłem, że rośliny zielone trzymały się najbliżej powierzchni morza, a czerwone pośredniej głębokości, pozostawiając szarym i czarnym tworzenie ogrodów i klombów w odleglejszych warstwach oceanu.

Wodorosty te są prawdziwym cudem stworzenia, jednym z dziwów flory ogólnej. Rodzina ta wydaje zarazem najdrobniejsze i najogromniejsze na kuli ziemskiej rośliny. Jak bowiem naliczono czterdzieści tysięcy owych niedostrzeżonych odziomków na przestrzeni pięciu kwadratowych milimetrów, tak znowu widziano fukusy, których długość przechodziła pięćset metrów.

Upłynęło półtorej godziny od chwili opuszczenia „Nautilusa”. Było blisko południa. Poznałem to po pionowym padaniu promieni słonecznych, które przestały już łamać się. Czarodziejskie zjawisko barw niknęło powoli; szmaragdowe i szafirowe odcienie zatarły się na naszym widnokręgu. Szliśmy miarowym krokiem rozlegającym się z dziwnym rozgłosem po gruncie. Najmniejszy szelest rozchodził się z szybkością, do której ucho nie przywykło na lądzie. W rzeczy samej woda jest lepszym przewodnikiem głosu niż powietrze i ten przebieg w niej z poczwórną prędkością.

W tym miejscu grunt zniżył się znaczną pochyłością. Światło przybrało ton jednostajny. Doszliśmy głębokości stu metrów, znosząc wtedy ciśnienie dziesięciu atmosfer. Ale

mój przybór nurkowy był tak wybornie urządzone, że nie doznałem żadnej dolegliwości. Uczulem tylko pewne stężenie stawów w palcach, lecz i to rychło minęło. Znużenie zaś po dwugodzinnej przechadźce w chomacie, do którego tak mało byłem przyzwyczajony, było żadne. Ruchy me z pomocą wody odbywały się z zadziwiającą łatwością.

Promień słońca dochodził jeszcze do tej głębokości, ale już słabo. Miejsce silnego blasku zajął zmrok czerwonawy, coś pośredniego pomiędzy dniem a nocą. Widzieliśmy jednak dostatecznie drogę przed sobą i nie było jeszcze potrzeby użyć przyrządu Rhumkorffa.

Naraz kapitan Nemo przystanął, czekając, aż się doń zbliżę — i wskazał mi ręką kilka brył czarnych, wystających w cieniu w niewielkiej odległości.

## LAS PODMORSKI

Przybiliśmy nareszcie do krańca tego lasu, niewątpliwie najpiękniejszego w niezmiernej posiadłości kapitana Nemo. Dowódca uważał las za swoją własność i przypisywał sobie do niego prawa podobne do tych, jakie mieli pierwsi ludzie w pierwszych dniach stworzenia. Któż by zresztą mógł mu zaprzeczyć prawa do posiadania tych podmorskich obszarów? Czy istniał śmielszy od niego pionier, co by z toporem w ręku przyszedł tu przerzedzać te ciemne gęstwiny?

Las podmorski tworzyły wielkie rośliny drzewne; gdyśmy się znaleźli pod jego szerokimi sklepieniami, uderzył mnie najpierw szczególnie układ rozgałęzień, którego do tychczas nigdy jeszcze nie widziałem.

Ani jedna trawka wyścielająca dno, ani jedna z gałązek sterzących na drzewkach nie leżała, nie zginała się, nie rozciągała się według płaszczyzny poziomej. Wszystkie wystrzeliwały ku powierzchni oceanu. Najcieńsze włókienka sterzały prosto niby druty żelazne. Fukusy i pnące rośliny rozrastały się wyprężone i prostopadłe, odpowiednio do gęstości żywiołu, z którego powstały. Roślinność ta zwykle nieruchoma, odchylona ręką powracała natychmiast do pierwotnego położenia. Było to prawdziwe królestwo prostopadłości.

Wkrótce przywykłem do tego dziwnego układu i do względnej, otaczającej nas ciemności. Grunt w lesie usiany był ostrymi głazami, które trudno było omijać.

Flora podmorska wydała mi się dość kompletna, a nawet bogatsza od znajdującej się w strefach północnych lub zwrotnikowych, gdzie jej twory nie są tak liczne. Mieszałem z początku mimowolnie dwa królestwa: zwierzkorzewy z wodnymi porostami, zwierzęta z roślinami. Któż zresztą nie byłby się omylił? Fauna i flora tak blisko się stykają w tym podmorskim świecie! Uważałem, że te wszystkie twory królestwa roślinnego trzymały się gruntu nader powierzchownie. Pozbawione korzeni, obojętnie się zachowując względem ciał stałych, piasku, muszli lub kamieni, które je podtrzymują — rośliny podmorskie potrzebują od tych ciał tylko punktu podpory, nie zaś warunków żywotności, podstawę istnienia mając w wodzie, która je odżywia. Większa część roślin wypuszcza zamiast liści płatki fantastycznych kształtów, zabarwione pewną określoną gamą kolorów obejmującą różowy, karmin, zielony, oliwkowy, płowy i brunatny.

Ujrzałem tam znowu, ale już nie zasuszone jak okazy „Nautilus”, bedłki rozwinięte jak wachlarz i niby wabiące do siebie wietrzyk ceramiczne szkarłatne, blaszeczki ze sterzącymi jadalnymi odrostkami, toiny nitkowate i wystrzelające na wysokość piętnastu metrów, bukiety acetabulów<sup>120</sup> z łodygami rozrastającymi się u wierzchołka i mnóstwo innych roślin morskich zupełnie kwiatu pozbawionych. „Ciekawa anomalia, dziwny żywioł (oświadczył pewien dowcipny przyrodnik), w którym królestwo zwierząt kwitnie, a królestwo roślinne kwiatów jest pozbawione”.

Wśród tej roślinności rozmiarami przypominającej drzewa umiarkowanej strefy i pod jej wilgotnym cieniem gromadziły się prawdziwe krzaki żywych kwiatów: żywe płoty ze zwierzkorzewów, na których rozkwitały meandryny pręgowane krętymi, wyłobionymi pasami, dzwonki żółtawe z przezroczystymi mackami, pęki zwierzo-kwiatów rozścielające się jak kępy traw, a dla dopełnienia złudzeń — ryby-muchy latające z gałązki na gałązkę jak rój kolibrów, żółte łuskoskrzele ze szczękami najeżonymi, z ostrą łuską, ryby latające jedno- i rozdzielnopłetwe zrywały nam się spod nóg niby stada bekasów.

<sup>120</sup>acetabule — prawdopodobnie nazwa potoczna dla rodzaju *Acetabularia* (łac.); rodzaj jednokomórkowych, jednojądrzastych glonów morskich. [przypis edytorski]

Okolo pierwszej kapitan Nemo dał hasło do wypoczynku. Co do mnie, byłem z tego bardzo zadowolony. Wyciągnęliśmy się wszyscy w rodzaju altanki z alarii, których długie i cienkie paski dążyły w górę prosto jak strzały. Ta chwila wytchnienia wydała mi się rozkoszną. Do zupełnego uroku brakło jeszcze tylko rozmowy. Ale niepodobna było ani pytać, ani odpowiadać. — Przybliżyłem tylko moją wielką mosiężną głowę do głowy Conseila. Spostrzegłem błyszczące zadowoleniem oczy tego dzielnego chłopca, który na znak radości poruszył się w swej skorupie w najpocieszniejszy sposób.

Dziwiło mnie to, że po czterogodzinnej przechadzce nie doświadczałem bynajmniej gwałtownego głodu. Nie umiem powiedzieć, co mianowicie było przyczyną tego usposobienia żołądka. Ale za to uczułem nieprzewyciężoną chęć do snu, co się zwykle zdarza wszystkim nurkom. Toteż wkrótce oczy mi się zamknęły za grubą szybą i wpadłem w głęboką senność, zwalczaną dotychczas tylko ruchem. Kapitan Nemo i dzielny jego towarzysz dali mi dobry przykład, wyciągnawszy się także w łonie tego płynnego, przejrzystego kryształu.

Jak długo byłem pogrążony w uspieniu?... Nie mógłbym ściśle oznaczyć — ale kiedy się obudziłem, zdawało mi się, że słońce nachyliło się ku widnokręgowi. Kapitan Nemo już wstał, a ja zacząłem się przeciągać, kiedy niespodziewane zjawisko postawiło mnie na nogi.

O kilka kroków od nas potworny pajak morski wysokości metra patrzył zezowatymi ślepiami i gotów był rzucić się na mnie. Jakkolwiek mój ubiór nurka był dość gruby i mógł mnie ochronić od ukąszeń tego zwierzęcia, nie mogłem przecież powściągnąć poruszenia zgrozy. Conseil i majtek „Nautilus” przebudził się w tej chwili. Kapitan Nemo wskazał swemu towarzyszowi obrzydłego skorupiaka, który został powalony uderzeniem kolby; widziałem, jak straszne łapy tego potwora wily się w ostatnich konwulsjach.

To spotkanie naprowadziło mnie na myśl, że inne zwierzęta, jeszcze straszniejsze, musiały nawiedzać te ciemne gęstwiny — i że mój ubiór nie zawsze by mnie zasłonił od ich napaści. Dotychczas o tym nie pomyślałem, postanowiłem zatem mieć się na baczności. Przypuszczałem zresztą, że ten wypoczynek był kresem naszej przechadzki: lecz omyliłem się, gdyż kapitan, zamiast powracać na statek, puścił się dalej jeszcze na tę zuchwałą wycieczkę.

Grunt obniżał się ciągle, ale po coraz wyraźniejszej jego pochyłości widocznie zmierzaliśmy do większych głębin. Była prawdopodobnie godzina trzecia, kiedyśmy doszli do doliny wyżłobionej między dwiema pionowymi, wysokimi opokami i leżącej na głębokości stu pięćdziesięciu metrów. Dzięki doskonałości naszych przyrządów przekroczyliśmy o dziewięćdziesiąt metrów granicę, którą natura zdawała się dotychczas zakreślić wycieczkom podmorskim człowieka.

Mówię sto pięćdziesiąt metrów, choć żadnym instrumentem nie mogłem oznaczyć tej głębokości. Ale wiedziałem, że nawet w najprzejrzystszych morzach promienie słoneczne dalej przeniknąć nie mogą. A tu właśnie zupełna otaczała nas ciemność. O dziesięć kroków nic niepodobna było dostrzec. Szedłem po omacku, gdy nagle spostrzegłem żywy blask białego światła. Kapitan Nemo zastosował tu swój przyrząd elektryczny; towarzysz jego naśladował go. Conseil i ja poszliśmy za ich przykładem. Zakręciwszy śrubki, połączyłem cewkę z węzłem szklanym, a światło czterech latarni rozjaśniło morze w promieniu dwudziestu pięciu metrów.

Kapitan Nemo zapuszczał się coraz dalej w ciemne głębie lasu, którego zarośla rzędziły coraz bardziej. Uważałem, że życie roślinne pręcej ustawało niż zwierzęce. Rośliny morskie opuszczały już grunt coraz niewdzięczniejszy, a jeszcze niesłychaną mnogość zwierząt, zwierzoekrzewów, stawowatych, mięczaków i ryb spotykaliśmy pod naszymi stopami.

Idąc, myślałem sobie, że światło przyrządu Ruhmkorffa przywabi niechybnie niektórych mieszkańców tych ciemnych otchłani. Ale jeśli się zbliżali, to zawsze na odległość dla myśliwych niedogodną. Parę razy nawet widziałem, jak kapitan Nemo zatrzymywał się i brał na cel, ale po chwili rozważał opuszczał broń i szedł dalej.

Nareszcie okolo godziny czwartej skończyła się ta cudowna wycieczka. Ściana wspaniałej opoki, imponującej masą, stała przed nami; było to nagromadzenie olbrzymich głazów, potworne urwisko granitowe, z ciemnymi pieczarami, ale bez śladu krawędzi, której by się można było uchwycić.

Dotarliśmy do wybrzeży wyspy Crespo. Ziemia była przed nami.

Kapitan Nemo zatrzymał się nagle. Gwałtem wstrzymał nas w pochodzie i, mimo że gorąco pragnął przebyć tę ścianę, trzeba było być posłusznym. Tu kończyły się posiadłości kapitana Nemo i granicy ich nie chciał przekroczyć. Z tamtej strony ciągnęła się ta część globu, po której nigdy już noga jego nie miała stąpać.

Zaczął się odwrót. Kapitan Nemo stanął znów na czele naszej gromadki i szedł zawsze bez wahania. Zdawało mi się dostrzegać, że inną drogą powracaliśmy do „Nautilusa”. Ta nowa droga, bardzo stroma, a zatem niezmiernie przykra, zbliżyła nas szybko do powierzchni morza. Jednakże ten powrót do warstw górnych nie był tak nagły, ażeby zmniejszenie się nacisku wody zbyt szybko nastąpiło, co by mogło nadwerężyć nasz organizm, dając powód do zaburzeń w nim, fatalnych w ogóle dla wszystkich nurków. Wkrótce światło się ukazało, stopniowo zwiększało się, a ponieważ słońce nisko już było na widnokręgu, łamiące się światło odbijało na brzegach różnych przedmiotów pierścien widmowy. Na głębokości dziesięciu metrów postępowaliśmy pośród mnóstwa małych rybek wszelkiego gatunku, liczniejszych i zwinniejszych niż ptaki w powietrzu; ale nie natrafiliśmy na żadną morską zwierzynę godną wystrzału. W tej chwili postrzegłem, jak broń kapitana, szybko do ramienia przyłożona, śledziła między krzakami ruchy jakiegoś przedmiotu. Nastąpił wystrzał, posłyszałem lekkie syknięcie, a potem zwierzę jakieś padło rażone strzałem o kilka kroków od nas.

Była to wspaniała wydra morska, enhydra, jedyny czworonóg wyłącznie morski. Wydra owa, długości metra i pięćdziesięciu centymetrów, musiała mieć ogromną wartość. Skóra jej, barwy brunatno-kasztanowatej z wierzchu, a srebrzysta pod spodem, daje to przepyszne futro, tyle poszukiwane na targach rosyjskich i chińskich: delikatność i połysk sierści nadawały jej cenę najmniej dwu tysięcy franków.

Podziwiałem to ciekawe zwierzątko ssące, z głową okrągłą, ozdobioną krótkimi uszami, z oczami okrągłymi i białymi wąsami jak u kota, a nogami płetwowatymi, uzbrojonymi w pazury, z puszystym ogonem. Ten mięsożerny czworonóg, ścigany z powodu swej cenności przez rybaków, staje się coraz rzadszy; obecnie schronił się do północnych okolic Oceanu Spokojnego, gdzie gatunek jego prawdopodobnie w zupełności z czasem wyginie.

Towarzysz pana kapitana Nemo podniósł zwierzę, przewiesił je przez ramię, następnie wszyscy znów ruszyli w drogę.

Godzinę całą szliśmy po piaszczystej płaszczyźnie, która często wznosiła się mniej niż na dwa metry od powierzchni morza. Widziałem wtedy własny obraz dokładnie odbity, rysujący się na odwrót, tak że ponad nami widać było taką samą gromadkę powtarzającą nasze ruchy i gesty z tą tylko różnicą, że postępowwała głową na dół, a nogami do góry.

Zauważyłem jeszcze jedno zjawisko: przechodzenie dużych obłoków, szybko się zbierających i jeszcze szybciej się rozpraszających. Ale zastanowiwszy się lepiej, pojąłem, że te mniemane obłoki pochodziły od nierównej gęstości długich fal spodnich, i widziałem białą pianę zdobiącą połamane wierzchołki bałwanów. Potrafiłem nawet wysledzić cienie wielkich ptaków przelatujących nad naszymi głowami; ślizgały się one szybko po powierzchni spienionego morza.

Przy tej sposobności byłem świadkiem jednego z najpiękniejszych strzałów, jaki kiedykolwiek wstrząsnął nerwami myśliwego. Wielki ptak o szerokich skrzydłach, wyraźnie z wody widzialny, szybując, zbliżał się do nas. Towarzysz kapitana Nemo wycelował i strzelił, kiedy ptak był już tylko o kilka metrów od powierzchni morza. Rażone zwierzę padło i ciężarem swym opuściło się aż do stanowiska myśliwego, który też zabrał zaraz swą zdobycz. Był to żagłość najpiękniejszego gatunku, wspaniały okaz ptaków morskich.

Ten wypadek nie zatrzymał naszego pochodu. Przez dwie godziny szliśmy to po płaszczyznach piaszczystych, to po łakach morskoczyzny nader przykrych do przebywania. Co prawda umierałem ze zmęczenia, kiedy spostrzegłem światło rozpraszające ciemność wód w promieniu pół mili. Była to latarnia „Nautilusa”. Nim upływie dwadzieścia minut, mieliśmy być na jego pokładzie, a tam spodziewałem się odetchnąć swobodnie, bo zdawało mi się, że mój zbiornik dostarcza mi powietrza bardzo już ubogiego w tlen. Ale nie czyłem na spotkanie, które opóźniło nieco nasze przybycie.

Pozostałem o jakie dwadzieścia kroków w tyle, kiedy spostrzegłem kapitana Nemo wracającego nagle ku mnie. Silnie nachylił mnie ręką ku ziemi, a jego towarzysz to samo

zrobił z Conseilem. Zrazu nie wiedziałem, co myśleć o tym niespodzianym napadzie, ale uspokoilem się, widząc, że kapitan kładł się koło mnie i nie poruszał się wcale.

Leżałem więc na ziemi osłonięty krzakiem morszczyzny, kiedy, podniósłszy trochę głowę, spostrzegłem niezmierne masy przemykające się nad nami i rzucające światło fosforyczne.

Krew zastygła mi w żyłach! Poznałem grożące nam olbrzymie ryby żarłoczne. Była to para strasznych rekinów o wielkich ogonach, o mętnych i szklistych ślepiach; wydawały one materię fosforyczną przez dziurki około pyska poumieszczane. Co za potworne „świecące robaczki”, które potrafią w swych żelaznych szczękach zetrzeć na miazgę całego człowieka! Nie wiem, czy Conseil zajmował się ich klasyfikacją; co do mnie, przypatrywałem się ich srebrzystemu brzuchowi, paszczy straszliwej, najeżonej zębami, niekoniecznie z punktu naukowego. Obserwowałem raczej w charakterze ofiary niżeli naturalisty.

Na szczęście te żarłoczne zwierzęta niedobrze widzą. Przepłynęły, nie spostrzegłszy nas i musnąwszy zaledwie brunatnymi płetwami; uniknęliśmy cudem prawie niebezpieczeństwa nierównie straszniejszego niż spotkanie tygrysa w lesie. W pół godziny potem, kierując się smugą elektryczną, doszliśmy do „Nautilusa”. Zewnętrzne drzwi stały otworem, a kapitan Nemo zamknął je natychmiast po naszym wejściu do pierwszego pudła. Potem przycisnął sprężynę; usłyszałem działanie pomp wewnątrz statku i w kilka chwil potem pudło całkiem było próżne. Wtedy otworzyły się drzwi wewnętrzne i weszliśmy do garderoby.

## CZTERY TYSIĄCE MIL POD OCEANEM SPOKOJNYM

Nazajutrz, 18 listopada, przyszedłem zupełnie do siebie po zmęczeniu dnia poprzedniego i wszedłem na platformę w chwili, kiedy porucznik „Nautilusa” wymawiał swój codzienny frazes. Przyszło mi potem na myśl, że formuła stosowała się zapewne do stanu morza, albo raczej miała znaczyć: „Nic nie widać”. W istocie ocean był pusty. Ani śladu żagla na widnokręgu. Wyspa Crespo zniknęła podczas nocy. Morze, pochłaniając wszystkie barwy pryzmatu z wyjątkiem niebieskich promieni, odbijało te ostatnie we wszystkich kierunkach, przybierając świetny kolor indygo. Rodzaj mory o szerokich pasach rysował się regularnie na falistej powierzchni.

Podziwiałem ten wspaniały widok oceanu, kiedy ukazał się kapitan Nemo. Zdawał się nie spostrzegać mojej obecności i zaczął cały szereg obserwacji astronomicznych. Ukończywszy je, oparł się o klatkę latarni i długo błędził wzrokiem po falach oceanu.

Tymczasem ze dwudziestu majtków z „Nautilusa”, tęgich i dobrze zbudowanych ludzi, weszło na platformę. Przyszli wyciągnąć sieci założone w nocy. Marynarze ci należeli widocznie do różnych narodowości, chociaż u wszystkich dostrzegłem typ europejski. Poznałem, nie myląc się wcale, Irlandczyków, Francuzów, kilku Słowian, Greka i Kandyotę<sup>121</sup>. Zresztą ci ludzie skąpili zwykle słów i używali między sobą tego dziwnego narzecza, którego pochodzenia nie mogłem się nawet domyślić. Musiałem więc powstrzymać się od zapytywania ich o cokolwiek.

Sieci wyciągnięto na pokład. Był to rodzaj sieci z matnią, podobnych do tych, jakich używa się na brzegach normandzkich: szerokie sakwy utrzymane otworem za pomocą pływającego drąga i łańcuszka przeciągniętego przez niższe oczka. Takie sakwy, w ten sposób ciągnięte na żelaznych podkładach, wymiatają dno oceanu i zabierają po drodze wszystkie jego twory. Tym razem dostarczyły ciekawych okazów z tych obfitych w ryby okolic. Żaboryby<sup>122</sup>, które pociesznym swym ruchom zawdzięczają także nazwę pajaców; czarne kommersony, uzbrojone w macki, rogatnice falowate opasane czerwonymi prążkami, kolcobrzuchy księżycowe wydzielające subtelną jad, kilka minogów oliwkowej barwy, długonosy pokryte srebrzystą łuską trichjary, których siła elektryczna równa się sile gymnotów (węgorzy elektrycznych) lub drętewika, grzbietowce łuskowate z brunatnymi poprzecznymi pręgami, zielonawe miętusy, kilka odmian kielbi etc. Nareszcie trochę ryb większych rozmiarów: makrele z wydatną głową, długości metra; kilka pięć-

<sup>121</sup> *Kandyota* — mieszkaniec Kandyi, regionu na Krecie (z miastem Heraklion). [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *Żaboryby* — inaczej batrachy; ryby morskie prowadzące przydenny tryb życia; nazwę żaboryby zawdzięczają wydawanym przez siebie odgłosom, przypominającym rechot żab. [przypis edytorski]



nych skarpów z pręgami niebieskimi i srebrzystymi i trzy wspaniałe tuńczyki, które mimo szybkości w pływaniu nie zdołały umknąć przed siecią.

Ocenilem ten połów na przeszło tysiąc funtów ryb. Ilość to była znaczna, ale nie zadziwiająca, mając na uwadze, że sieć zostaje w wodzie przez kilka godzin i zamyka do swego nicianego więzienia cały świat wodny. Nie miało więc nam zbraknąć żywności doskonałego gatunku, którą szybkość „Nautilusa” i przyciąganie jego światła mogło w każdej chwili odnowić.

Te różne produkty morskie zostały natychmiast przez otwory zrzucone do spiżarni i przeznaczone, stosownie do gatunku, do jedzenia na świeżo lub do zakonserwowania. Gdy się połów już skończył, kiedy odświeżono zapas powietrza, sądziłem, że „Nautilus” dalej będzie odbywał swoją podmorską wycieczkę, i chciałem wrócić do mego pokoju, kiedy kapitan Nemo, zwróciwszy się do mnie, rzekł bez żadnych wstępów:

— Patrz pan na ten ocean, profesorze. Czy nie jest on obdarzony prawdziwym życiem? Czy nie podlega gniewom i czułości? Wczoraj zasnął za naszym przykładem; dziś budzi się po spokojnej nocy.

Ani „dzień dobry”, ani „dobry wieczór”. Czy nie wyglądało to, jak gdyby ta dziwna osobistość prowadziła ze mną dawniej zaczęłą rozmowę?

— Patrz pan — mówił dalej — budzi się pod pieścizotami słońca! Odżyje znówu swoim dziennym życiem! Zajmujące to zaprawdę studium, śledzenie żywotności jego organizmu. Ocean ma puls, arterie, cierpi swoje spazmy i chętnie przyznam słuszność Mauremu, który w nim odkrył krążenie tak prawdziwe, jak krążenie krwi u zwierząt.

Widocznie kapitan Nemo nie żądał ode mnie żadnej odpowiedzi, a mnie wydało się niepotrzebnym częstować go takimi frazesami, jak „w istocie”, „zapewne” lub „masz pan słuszność”. Mówił do siebie, robiąc długie między okresami przestanki. Było to głośne rozmyślanie.

— Tak — mówił — ocean posiada istotne krążenie, dla wywołania którego dość było Stwórcy wszechrzeczy rozproszyć w nim ciepłik, sole i żyjątko. W istocie, ciepłik stwarza rozmaite gęstości, które są powodem prądów i przeciwprądów. Parowanie, nieistniejące w okolicach krańcowo-północnych, nader silne w sferach równikowych, wytwarza ciągłą zmianę wód zwrotnikowych. Prócz tego odkryłem prądy z góry na dół i z dołu do góry, stanowiące proces oddychania oceanu. Widziałem molekułę wody morskiej rozgraną u powierzchni, spadającą do głębin. Tam molekuła ta dochodziła do maksimum swej gęstości przy stopniach niżej zera — potem, oziębiwszy się jeszcze, stawała się lżejsza i wracała ku górze. Zobaczysz pan przy biegunach następstwo tego zjawiska i zrozumiesz pan dlaczego wedle prawa przewidującej natury zamarznięcie może tylko nastąpić na powierzchni wód.

Kiedy kapitan Nemo kończył te wyrazy, powtarzałem sobie: „Pod biegunem!”. Czyżby ten awanturńczyk wędrowiec aż tam chciał nas zaprowadzić?

Kapitan tymczasem milczał i spoglądał na ten żywioł tak dokładnie i tak bezustannie przez siebie badany. Potem mówił dalej:

— Sole, panie profesorze, znajdują się w morzu w znacznej ilości i gdybyś zebrał cały zapas rozpuszczony w wodzie morskiej, utworzyłbyś masę z czterech i pół milionów mil sześciennych, która rozpostarta na kuli ziemskiej pokryłaby ją warstwą przeszło dziesięć metrów wysoką. Nie sądzi pan, że obecność tych soli jest prostym kaprysem natury. Nie. Czynią one wody morskie mniej parującymi i nie pozwalają wiatrom unieść zbyt wielkiej ilości par, które, skraplając się, zalałyby strefy umiarkowane. Rola to niezmienna, rola regulatora równowagi w ogólnej ekonomii kuli ziemskiej.

Kapitan Nemo zatrzymał się, powstał, postąpił parę kroków po platformie i powrócił do mnie.

— Co do wymoczków — mówił dalej — tych miliardów żyjątek istniejących milionami w jednej kropelce, których osiemset tysięcy idzie na miligram wagi, odgrywają one nie mniej ważną rolę. Pochłaniają sole morskie, przyswajają sobie ciała stałe z wody i, istni twórcy wapiennych kontynentów, fabrykują korale i madrepory! Wtedy to kropla wody pozbawiona części mineralnych staje się lżejszą, wznosi się w górę, pochłania sole pozostawione po wyparowaniu, obciąża się, spada i przynosi żyjątkom nowy żywioł do pochłonięcia; stąd podwójny prąd do góry i na dół, a więc zawsze ruch, zawsze życie! Życie silniejsze niż na lądach, bujniejsze, nieograniczone, rozlewające się po wszystkich

częściach tego oceanu; żywioł śmiertelny dla człowieka, ale dający życie miliardom zwierząt i mnie!

Ilekroć kapitan Nemo przemawiał w ten sposób, przekształcał się cały i wywoływał we mnie niesłychane wzruszenie.

— Toteż — dodał — tu dopiero żyje się prawdziwie. Nie dziwiłbym się założeniu miast pływających, nagromadzeniu domów podmorskich, które by jak „Nautilus” wypływały co rano dla odetchnienia na powierzchnię wód; byłyby to miasta wolne, niezależne! I to jeszcze kto wie, czy jaki despota...

Kapitan Nemo zakończył to zdanie gwałtownym gestem. Potem, zwracając się wprost do mnie, jakby dla odpędzenia przykrej myśli:

— Panie Aronnax — zagadnął — czy wiesz pan, jaka jest głębokość oceanu?

— Znam przynajmniej, kapitanie, rezultaty głównych sondowań.

— Czy mógłbyś pan je przytoczyć dla skontrolowania w razie potrzeby?

— Oto niektóre cyfry — odrzekłem — które zachowałem w pamięci. Jeśli się nie mylę, znaleziono średnią głębokość ośmiu tysięcy dwustu metrów w północnym Atlantyku, pod trzydziestym piątym stopniem, które wykazały dwanaście tysięcy metrów, czternaście tysięcy dziewięćdziesiąt jeden metrów i piętnaście tysięcy sto czterdzieści dziewięć metrów. W rezultacie przypuszcza się, że gdyby dno morskie było zniwelowane, dałoby średnią głębokość około siedmiu kilometrów.

— Dobrze, panie profesorze — odpowiedział kapitan Nemo. — Mam nadzieję, że coś lepszego ci pokażę. Co do średniej głębokości tej części Oceanu Spokojnego, zapewniam pana, że nie jest większa nad cztery metry.

To mówiąc, kapitan postąpił ku drzwiom i zeszedł po drabinie. Poszedłem za nim i znalazłem się w wielkim salonie. Śruba w tejsze chwili została wprawiona w ruch, a loch wskazywał prędkość dwudziestu mil na godzinę.

\*

Upływały dnie, tygodnie, a kapitan Nemo bardzo mi skąpił swoich odwiedzin. Widziałem go tylko w rzadkich odstępach czasu. Porucznik statku jak najdokładniej oznaczał pozycję „Nautilusa” za pomocą punktów na mapie; tym sposobem mogłem ciągle śledzić kierunek, w którym się posuwaliśmy. Conseil i Land godzinami u mnie przesiadywali. Conseil opowiedział przyjacielowi cuda o swej wycieczce, a Kanadyjczyk żałował, że nam nie towarzyszył. Ja zaś nie traciłem nadziei, że jeszcze nastarczy się sposobność zwiedzenia lasów oceanowych. Prawie codziennie w ciągu kilku godzin ściany salonu stały otworem, karmiąc nasze niestrudzone oczy widokiem świata podmorskiego.

Ogólny kierunek „Nautilusa” był ku południo-wschodowi, w głębokości pomiędzy stoma i stoma czterdziestoma metrami. Pewnego dnia jednakże, wskutek nie wiem jakiego kaprysu, statek popchnięty po przekątnej za pomocą płaszczyzn pochylonych dotarł do warstw wodnych leżących o dwa tysiące metrów od powierzchni morza. Termometr stustopniowy wskazywał temperaturę 4,25° właściwą, jak się zdaje, podobnym głębinom.

Dnia 26 listopada o trzeciej z rana „Nautilus” przepłynął Zwrotnik Raka pod 172° długości; 27 przemknął koło wysp Sandwich, gdzie sławny Cook znalazł śmierć 14 lutego 1779 r. Zrobiliśmy cztery tysiące osiemset sześćdziesiąt mil od punktu, z któregośmy wypłynęli. Z rana, wszedłszy na platformę, spostrzegłem w odległości dwóch mil Hawaj, najznacniejszą z siedmiu wysp tego archipelagu. Odróżniłem wyraźnie jej brzegi uprawne, różne pasma gór ciągnące się równoległe od brzegów i wulkany, wśród których panuje Mouna-Kea wznoszący się na pięć tysięcy metrów nad poziom morza. Między innymi okazami tych okolic, sieć dostarczyła wachlarzówek, polipów zwiniętych w kłęby pięknych kształtów, które szczególnie znajdują się w tej części oceanu.

„Nautilus” utrzymywał się w kierunku południowo-wschodnim. Przepłynął równik 1 grudnia pod 142° długości, a 4 tegoż miesiąca, po podróży nienacechowanej żadnym ważniejszym wypadkiem, znaleźliśmy się w bliskości gromady wysp Markizów. O trzy mile odległości, pod 8° 57' szerokości i 139° 32' długości zachodniej, spostrzegłem cypel Marcina, wysepki Nuka Hiwa, najznacniejszej z tej gromady, należącej do Francji. Widziałem tylko w oddaleniu góry zarosłe lasami, rysujące się na widnokręgu, bo kapitan Nemo nie lubił zbliżać się do ziemi. W tych okolicach sieci dały nam piękne okazy ryb:

dorady<sup>123</sup> z lazurowymi płetwami i złocistymi ogonami, których mięso uważam za najlepsze między wszystkimi rybami, węgorzowate prawie zupełnie pozbawione łuski, ale nader smaczne, kościonosy, uzbrojone kościstą szczęką żółtawe thasardy, tyleż warte co i karpie, słowem, ryby godne zająć miejsce w kuchni naszego statku.

Opuściwszy piękne wyspy pozostające pod opieką flagi francuskiej, od 4 do 11 grudnia „Nautilus” zrobił blisko dwa tysiące mil. W ciągu tej drogi należy zapisać spotkanie niezmiernej gromady kalmarów<sup>124</sup>, ciekawych mięczaków podobnych do sepii. Rybacy francuscy dają im nazwę futerałów; należą one do klasy głowonogów, obejmującej sepie i argonauty. Te zwierzątka, szczególnie badane przez naturalistów starożytności, dostarczyły mnóstwa metafor mówcom Agory i dobrej potrawy na stół bogatych obywateli — jeśli mamy wierzyć Atheneuszowi, greckiemu lekarzowi, który żył przed Gallienem.

W nocy z 9 na 10 grudnia „Nautilus” spotkał całe zastępy mięczaków wyłącznie nocnych. Można było liczyć je na miliony. Emigrowały właśnie ze sfer umiarkowanych ku cieplejszym, dążąc tą samą drogą co śledzie i sardynki. Widzieliśmy przez grube szyby kryształowe, jak płynęły tyłem z niesłychaną szybkością, robiąc ruchy za pomocą rurki poruszającej, jak ścigały ryby i mięczaki, zjadając małe, zjadane przez większe, i poruszając w zamieszaniu nie do opisania dziesięcioma nóżkami, które natura umieściła im na głowie niby czupryny z węzłów pneumatycznych. „Nautilus” mimo swej szybkości płynął przez kilka godzin w pośród tej masy zwierzątek, a sieci jego nałowiły ich niezmierne mnóstwo; znalazłem tam między innymi dziewięć gatunków, które według klasyfikacji d’Orbigny’ego, miały się znajdować w Oceanie Spokojnym.

Tak więc w czasie tej podróży morze darzyło nas rozrzutnie i bez ustanku najpiękniejszymi swymi widokami. Zmieniało dekoracje i układ sceniczny dla dostarczenia przyjemności naszym oczom, dając nam możliwość nie tylko uwielbiania dzieł Stwórcy w łonie płynnego żywiołu, ale zbadania najstraszniejszych tajemnic oceanu.

W dniu 11 grudnia zajęty byłem czytaniem w wielkim salonie. Ned Land i Conseil przypatrywali się oświetlonym falom przez otwory w ścianach. „Nautilus” stał nieporuszony. Zbiorniki miał napelnione, statek więc płynął w głębokości tysiąca metrów, a zatem w okolicach oceanu, w których czasem tylko ukazywały się większe ryby.

Czytałem w tej chwili śliczną książkę Jana Macé *Sluźebnicy żołądka* i zachwycałem się jej dowcipnym sensem moralnym, kiedy Conseil przerwał mi czytanie.

— Czy nie zechce pan przyjść na chwilę — rzekł do mnie dziwnym głosem.

— Cóż takiego, Conseil?

— Niech pan patrzy.

Wstałem, usiadłem koło szyby i spojrzałem. W falach światła elektrycznego spostrzegłem w łonie wód zawieszoną wielką, czarniawą i nieporuszoną masę. Przyjrzałem się jej uważnie, pragnąc rozpoznać naturę tego olbrzymiego wieloryba. Nagle myśl straszna przeszła mi przez głowę.

— To okręt! — zawołałem.

— Tak — odparł Kanadyjczyk — okręt rozbity, który idzie na dno.

Ned Land nie mylił się. Mieliśmy przed oczami statek z linami poobcinanymi i wiszącymi jeszcze przy łańcuchach. Pudło zdawało się być w dobrym stanie; widocznie rozbicie zdarzyło się zaledwie przed kilku godzinami. Trzy pnie masztów zdruzgotanych w wysokości dwóch stóp ponad pomostem wskazywały, iż statek musiał postradać maszty; leżąc na boku, napelniał się wodą i przechylał się więcej na prawą stronę. Smutny zaiste widok tego szkieletu pograżonego w morskich głębinach, ale smutniejszy stokroć obraz pokładu, na którym leżało jeszcze kilka trupów zaplątanych między linami! Naliczyłem cztery — czterech mężczyzn, z których jeden stał jeszcze u steru, i kobietę na wpół wychyloną z okienka kajuty i trzymającą dziecko na ręku. Mogłem nawet rozpoznać jej rysy jasno oświetlone latarnią „Nautilusa” i uszkodzone przez wodę. W ostatnim wysiłku zdołała snadź podnieść jeszcze dziecko ponad swoją głowę; rączki biednego dziecięcia oplotły silnie szyję matki! Postawa czterech marynarzy wydała mi się straszliwa; wijąc się w konwulsyjnych ruchach, widocznie ostatnich sił dobywali dla wyrwania się pomiędzy lin przykuwających ich do statku. Jedna tylko postać spokojna, z twarzą surową i poważ-

<sup>123</sup>dorada — ryba morska o srebrzystym kolorze. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>kalmary — inaczej kalamarnice; głowonogi zaliczane do dziesięciornic. [przypis edytorski]

ną, z siwiejącymi włosami przylegającymi do czoła, z ręką jak przyrośniętą do koła steru — słowem, sternik zdawał się jeszcze kierować swoim trzymasztowcem w otchłaniach oceanu!

Co za scena! Staliśmy oniemiałi, z bijącym sercem wobec tego rozbicia widomego w stanowczej chwili, jakby odfotografowanego w ostatniej minucie. Widziałem już ogromne rekiny zbliżające się z palającymi ślepiami do tej przynęty z ciała ludzkiego!

Tymczasem „Nautilus” zręcznie kierowany opłynął zatopiony statek, na którego tablicy przytwierdzonej od tyłu mogłem wyczytać napis:

*Florida, Sunderland.*

## VANIKORO

Straszliwy ten widok rozpoczął szereg smutnych katastrof morskich, które „Nautilus” spotkać miał po swojej drodze. Od czasu, jak wypłynął na morza więcej uczęszczane, widzieliśmy nieraz gnijące w wodzie pudła okrętów, a głębiej nieco działa, kule, kotwice, łańcuchy i tysiące innych przedmiotów z żelaza, które rdza gryzła niemiłosiernie.

Unoszeni tak wciąż przez „Nautilusa”, żyjąc na nim jak samotnicy, poznaliśmy 11 grudnia Archipelag Pomotu, dawną „niebezpieczną gromadę” Bougainville’a, rozciągający się na przestrzeni pięciuset mil francuskich od wschodu-południo-wschodu ku zachodo-północo-zachodowi, pomiędzy 13° 30’ a 23° 50’ szerokości południowej i 125° 30’ a 151° 30’ długości północnej, od wyspy Ducie do wyspy Lazarew. Archipelag ten, zajmując powierzchnię trzystu mil kwadratowych francuskich, składa się z sześćdziesięciu gromad wysp, a między nimi odznacza się gromada Gambier, której Francja narzuciła swój protektorat. Wyspy te są formacji koralowej. Powolne, ale ciągle wznoszenie wywołane pracą polipów połączy je kiedyś razem. Potem ta nowa wyspa spoi się znowu z sąsiednimi archipelagami, od Nowej Zelandii i Nowej Kaledonii aż do Markizów — wystąpi piąty kontynent.

Kiedym powyższą teorię rozwinął kapitanowi Nemo, odpowiedział mi oziębło:

— Nie nowych to lądów potrzeba ziemi, lecz nowych ludzi!

Traf żegluga zawiódł właśnie „Nautilusa” ku wyspie Clermont-Tonnerre, jednej z najciekawszych archipelagu, odkrytej w 1822 r. przez kapitana Beil na okręcie „Minerwa”. Mogłem wówczas wystudiować ów układ madreporowy, z którego powstały wyspy tego oceanu.

Madreporę, których nie należy mieszać z koralami, mają tkankę powleczoną skorupą wapienną; różnice w jej budowie naprowadziły mego znakomitego mistrza, Milne-Edwardsa, do rozklasyfikowania ich na pięć działów. Drobne stworzonka, tworzące wydzielinami swymi tego polipniaka, żyją miliardami w głębi swych komórek. Ich to złoża wapienne budują z czasem skały, rafy, wysepki. Tu formują one okrągły pierścień otaczający lagunę, czyli mały wewnętrzny staw pozostający przez swe szczeliny w związku z morzem. Tam znowu wznoszą wały raf, na kształt istniejących na brzegach Nowej Kaledonii. Gdzie indziej, jak np. przy wyspie Reunion i Maurycygo, dźwigają poszarpane rafy, wysokie prostopadłe ściany, przy których głębokość oceanu bywa zazwyczaj bardzo wielka.

Płynąc równolegle do urwistych wybrzeży wyspy Clermont-Tonnerre, w odległości zaledwie kilkuset sążni podziwiałem ową olbrzymią pracę dokonaną przez mikroskopijnych robotników. Ściany te były wyłącznym dziełem madreporów znanych pod nazwą nakłutek, porytów, gwiazdeczki i meandryn. Polipy te rozwijają się szczególnie w wzburzonych warstwach powierzchni morza i tym sposobem zaczynają od góry swoje budowy zatapiające się powoli z resztkami utrzymujących je wydzielin. Taka jest przynajmniej teoria Darwina wyjaśniająca w ten sposób powstawanie atolów<sup>125</sup>, przewyższająca, moim zdaniem, teorię podającą za fundamenty prac polipowych góry lub wulkany zanurzone na kilka stóp pod poziomem morza.

<sup>125</sup>atol — tym wyrazem oznaczono zrazu gromadę wysp tworzących Archipelag Malediowski, potem wszelkie gromady wysp mające ten sam co i tamte charakter. Są to małe, niskie wyspy ugrupowane na wąskich podstwach madreporycznych, otaczające pewną przestrzeń morza albo większą wyspę i pomiędzy którymi przemknąć się można łodzią, a nawet okrętem. Takie są wyspy Archipelagu Pomotu czyli Niebezpiecznego, Archipelagu Centralnego czyli Mulgrawy. [przypis tłumacza]

Mogłem przypatrzeć się z bliska owym ciekawym murom, bo sonda wskazywała przy nich przeszło trzysta metrów głębokości, a lśniący wapien iskrzył się pod snopami naszego elektrycznego światła.

Conseil zapytał mnie, jak długo mogło trwać dźwiganie się owych wałów — i osłupiał niemal, gdy mu powiedział, że przyrost w ciągu jednego wieku uczeni podają na ósmą część cala.

— A zatem na wzniesienie ich potrzeba było?...

— Stu dziewięćdziesięciu dwóch tysięcy lat, mój Conseilu, co czyni dni biblijne dziwnie długimi. Zresztą formacja węgla, to jest zmineralizowanie lasów zamulonych przez potopy i oziębienie skał wymagały daleko dłuższego czasu. Należy jednak dodać, że dni biblijne oznaczają epoki, nie zaś czas, jaki upłynął od jednego wschodu słońca do drugiego; bo według samejże Biblii istnienie słońca nie sięga pierwszego dnia stworzenia.

Gdy „Nautilus” wrócił na powierzchnię oceanu, mogłem ogarnąć wzrokiem cały obszar wyspy Clermont-Tonnerre, niskiej a lesistej. Madreporowe jej skały zostały widocznie użyźnione przez trąby morskie i burze. Kiedyś zapewne kilka ziarn porwanych przez huragan z pobliskiego gruntu upadło na pokłady wapienia pomieszane ze szczątkami ryb i roślin morskich, co utworzyły urodzajną ziemię. Kokosowy orzech pchany falą zawitał do nowego brzegu. Ziarno wypuściło korzeń. Drzewo, wzrastając, zatrzymało swymi konarami parę wodną. Zrodził się strumień: roślinność powoli się wzmagala. Kilka zwierzątek, robaczków, owadów — przypłynęło na kłodach, które wichur wyrwał na sąsiedniej wyspie. Żółwie zaczęły znosić tu jaja, ptaki gnieździć się na młodych drzewach. Tym sposobem rozwinęło się życie zwierzęce; nareszcie znęcony zielenią i żywnością zjawiał się człowiek. W taki sposób powstały te wyspy, olbrzymie dzieła niedostrzegalnych żyjątek.

Ku wieczorowi Clermont-Tonnerre zniknęła w oddaleniu, a kierunek „Nautilusa” znacznie się zmienił. Dotknąwszy Zwrotnika Koziorożca pod sto trzydziestym piątym stopniem długości, zwrócił się ku zachodo-północo-zachodowi, przebywając całą strefę międzyzwrotnikową. Choć słońce letnie sypało szczerze swoje promienie, nie cierpieliśmy bynajmniej od gorąca — bo na trzydzięci do czterdziestu stóp pod wodą temperatura nie dochodziła wyżej nad dziesięć do dwunastu stopni.

Piętnastego grudnia pozostawiliśmy na wschód ponętny Archipeląg Towarzyski<sup>126</sup> i nadobną Tahiti, królową Oceanu Spokojnego. Spostrzegłem rano w odległości kilku mil pod wiatrem wyniosłe szczyty tej wyspy. Wody jej dostarczyły na stoły naszego pokładu wyborynych ryb: makrel, pewnego rodzaju stokfisa<sup>127</sup>, białoryb i kilku odmian węża morskiego zwanego murenową<sup>128</sup>.

„Nautilus” przebył osiemset mil. Loch wskazywał dziewięć tysięcy siedemset dwadzieścia mil, gdy płynął pomiędzy Archipelagiem Tonga-Tabou, gdzie zginęły osady okrętów „Argo”, „Port Książęcy” i „Książę Portlandzki” — a Archipelagiem Żeglarskim, gdzie poległ kapitan de Langle, przyjaciel La Perouse’a. Następnie zbliżyliśmy się do Archipelagu Viti, na którym dzicy wymordowali majtków „Unii” i kapitana Bureau z Nantes, dowódcę „Milej Józefiny”.

Archipeląg ten, rozciągający się na przestrzeni stu mil z północy na południe, a dziewięćdziesięciu od wschodu na zachód, leży pomiędzy 6 a 2° szerokości południowej i 174 a 179° długości zachodniej. Składa się z pewnej liczby wysp, wysepek i skał, z których godniejsze uwagi są wyspy Viti-Levou, Vanoua-Levou i Kandubon.

Powyższa gromada odkryta została przez Tasmana w 1643 r., tj. tym samym, w którym Toricelli wynalazł barometr, a Ludwik XIV wstąpił na tron. Pozostawiam czytelnikowi do namysłu, który z owych trzech faktów okazał się najpożyteczniejszy dla ludzkości. Następnie przybył Cook w 1714 r., d’Entrecasteaux w r. 1793 i wreszcie Dumont d’Urville w r. 1827; ostatni rozwikłał zupełnie zamęt panujący w geografii co do tego archipelagu. „Nautilus” zbliżył się do Zatoki Wailea, teatru straszliwych przygód kapitana Dillon, który pierwszy wyjaśnił tajemnicę rozbicia się La Perouse’a.

<sup>126</sup>Archipeląg Towarzyski — zapewne Polinezyjski. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>stokfisz — ryba wysuszona na wolnym powietrzu w niskiej temperaturze, uprzednio pozbawiona ogona i wnętrzości. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>murenową — prawdopodobnie określenie mureny, czyli drapieżnej ryby węgorzokształtnej. [przypis edytorski]

Zatoka ta, kilkakrotnie oczyszczana, dostarcza obficie wybornych ostryg. Najedliśmy się ich nad miarę, otwierając według przepisu Seneki dopiero na stole. Mięczaki owe należą do gatunku znanego pod nazwą *Ostrea lamellosa*, bardzo pospolitego na Korsyce. Ławica Wailea musiała być nader znaczna i gdyby nie liczne wpływy niszczące niezmiernie ich nagromadzenie zapelniloby niezawodnie wszystkie zatoki; każda bowiem sztuka zawiera do dwóch milionów jajek.

Jeżeli Ned Land nie żałował swego łakomstwa, to jedynie dlatego, że ze wszystkich pokarmów jedna tylko ostryga nie sprawia niestrawności. W rzeczy samej potrzeba nie mniej niż szesnaście tuzinów tych bezgłowych mięczaków na trzysta piętnaście gramów substancji azotowej niezbędnej na dzienne pożywienie człowieka.

Dwudziestego piątego grudnia „Nautilus” przepływał pośród Archipelagu Nowych Hebryd, odkrytego w r. 1606 przez Quirosa, a w 1768 rozpoznanych przez Bougainville’a — którym Cook nadał w r. 1773 dzisiejszą nazwę. Gromada ta składa się głównie z dziewięciu dużych wysp i zalega studwudziestomilową przestrzeń od północo-północno-zachodu ku południo-południo-wschodowi, pomiędzy 15 a 2° szerokości południowej i 164 a 168° długości.

Był to dzień Bożego Narodzenia i Ned Land zdawał się serdecznie tęsknić za obchodem *Christmas*, prawdziwym świętem rodzinnym, do którego protestanci tak bardzo są zapaleni.

Od ośmiu dni nie widziałem kapitana Nemo; 27 z rana zjawił się w dużym salonie z tą samą zawsze miną człowieka, który dopiero przed pięciu minutami cię opuścił. Zajęty byłem wyszukiwaniem na mapie drogi „Nautilusa”. Kapitan zbliżył się, położył w jednym miejscu palec na mapie i wyrzekł jeden tylko wyraz:

— Vanikoro.

Był to wyraz czarodziejski. Nazwisko wysepek, przy których zginęły okręty La Perouse’a.

— „Nautilus” płynie do Vanikoro? — zapytałem.

— Tak, panie profesorze — odpowiedział kapitan.

— Będę mógł zwiedzić te wyspy wslawione rozbiciem „Bussoli” i „Astrolaba”?

— I owszem, panie profesorze, jeżeli zechcesz.

— Kiedyż będziemy w Vanikoro?

— Jesteśmy już.

Wybiegłem na platformę; kapitan Nemo szedł za mną. Puściłem stąd badawczy wzrok po horyzoncie.

W północno-wschodniej stronie sterczały z wody dwie wyspy wulkaniczne nierównej wielkości, okrążone koralową rafą mającą czterdzieści mil obwodu. Mieliśmy przed sobą właściwą wyspę Vanikoro, której Dumont d’Urville nadał nazwę: „Poszukiwanie”, a mianowicie mały port Vanu leżący pod 10° 4’ szerokości południowej, a 164° 32’ długości wschodniej. Ziemia zdawała się być pokryta zielonością od brzegu aż do środkowych wierzchołków, nad którymi górował szczyt Kapogo wysokości czterystu siedemdziesięciu sześciu sążni.

„Nautilus”, przebywszy zewnętrzny wał raf wąskim przesmykiem, znalazł się pośród sterczących skał, gdzie głębokość morza wynosiła trzydzieści do czterdziestu sążni. W cieniu zielonych mangli spostrzegłem z tuzin dzikich, niezmiernie zdziwionych naszym zbliżeniem. W tej długiej, czarniawej bryle sunącej po wierzchu wody — upatrywali może straszliwego wieloryba, przeciw któremu wypadało mieć się na ostrożności.

Wówczas kapitan Nemo zapytał mnie, czy wiem co o rozbiciu się La Perouse’a.

— Wiem to, co wszyscy już wiedzą, kapitanie — odrzekłem.

— A nie mógłbyś mi pan powiedzieć tego, o czym wszyscy wiedzą? — zapytał znów nieco szyderczym tonem.

— Najchętniej.

Opowiedziałem mu to wszystko, co wyjaśniły ostatnie prace Dumont d’Urville’a, prace, których treść jest następująca:

La Perouse i porucznik jego, kapitan de Langle, wysłani zostali w roku 1785 przez Ludwika XVI w podróż morską naokoło świata. Odplynęli na korwetach, „Bussoli” i „Astrolabie”, które już nie wróciły.

W roku 1791 rząd francuski, słusznie zaniepokojony losem tych korwet, uzbroił dwa wielkie statki, „Poszukującą” i „Nadzieję”. Statki te wypłynęły z Brestu 28 września pod dowództwem Bruni d’Entrecasteaux. W dwa miesiące potem dowiedziano się z zeznania niejakiego Bowena, dowódcy „Albermala”, że na brzegach Nowej Georgii widziano jakieś szczątki okrętów. D’Entrecasteaux jednak, nie wiedząc nic o tej wieści, dość zresztą niepewnej, skierował się ku Wyspom Admiralskim wskazanym w raporcie kapitana Huntera jako miejsce rozbicia się La Perouse’a.

Poszukiwania jego były daremne. „Nadzieja” i „Poszukująca” przeszły około wyspy Vanikoro, nie zatrzymawszy się nawet przy niej. Cała wyprawa skończyła się bardzo nieszczęśliwie; kosztowała bowiem życie dowódcy, dwóch jego poruczników i kilkunastu marynarzy z załogi.

Stary bywalec na Oceanie Spokojnym, kapitan Dillon, wynalazł pierwszy niezaprzeczone ślady rozbitek. Okręt jego, „Święty Patrycy”, płynął 15 maja 1824 r. około jednej z wysp nowohebrzydzkich, zwanej Tikopia. Pewien laskar<sup>129</sup>, dopłynąwszy na pirodze, sprzedał mu srebrną rękojeść szpady, na której znajdowały się ślady liter pisanych rylcem. Laskar ten twierdził jeszcze, że bawiąc przed sześciu laty na Vanikoro, widział dwóch Europejczyków ze statków, co przed dawnymi czasy rozbiły się o rafy tej wyspy.

Dillon domyślił się, że tu idzie o okręty La Perouse’a, których zniknięcie wzruszyło cały świat. Chciał się dostać do Vanikoro, gdzie według laskara znajdowały się liczne szczątki rozbitych statków, ale przeszkodziły mu wichry i prądy.

## CIEŚNINA TORRESA

W nocy z 27 na 28 grudnia „Nautilus” opuścił brzegi Vanikoro z niezmierną szybkością w kierunku południowo-zachodnim i w ciągu trzech dni przebył odległość siedmiuset pięćdziesięciu mil francuskich, oddzielającą gromadę La Perouse od północno-wschodniego cypla Papuazji.

Pierwszego stycznia 1868 r. Conseil z samego rana przyszedł do mnie na platformę.

— Panie — rzekł pocziwy chłopiec — czy pan pozwoli życzyć sobie dobrego roku?

— I owszem, Conseil! Zupełnie tak samo, jak niegdyś w mym gabinecie w Ogrodzie Botanicznym. Przyjmuję twoje powinszowanie i dziękuję ci. Wytłumacz mi tylko, co w obecnych okolicznościach rozumiesz przez „dobry rok”. Czy rok mający położyć koniec naszej niewoli, czy też rok dalszego trwania tej dziwnej podróży?

— Dalibóg — odrzekł Conseil — nie wiem, co panu powiedzieć. To pewna, że widzujemy ciekawe rzeczy i że od dwóch miesięcy nie mieliśmy czasu się nudzić. Ostatnia osobliwość jest zawsze najgodniejsza podziwu i jeżeli ten postępowy stosunek dłużej potrwa, to nie wiem doprawdy, na czym się to skończy! Zdaniem moim, nie znajdziemy nigdy podobnej sposobności.

— Nigdy, Conseil.

— Prócz tego pan Nemo, który zupełnie usprawiedliwia swoje łacińskie nazwisko, nie więcej nam zawadza, niż gdyby go wcale nie było.

— To prawda, Conseil.

— Myślę tedy, z przeproszeniem pańskim, że dobrym rokiem byłby rok, który by nam pozwolił wszystko zobaczyć.

— Wszystko zobaczyć, Conseil? Może by to było trochę za długo. Ale co też Ned Land o tym myśli?

— Ned Land myśli wręcz przeciwnie niż ja — odpowiedział Conseil. — Jest to umysł pozytywny i żołądek wymagający. Patrząc na ryby i jeść ciągle same ryby to za mało dla niego. Brak wina, chleba, mięsa nie do smaku godnemu Saksonowi nawykłemu do befsztyków, którego whisky i jałowcówka, w miarę użyte, wcale nie straszą.

— Co do mnie, Conseil, to mi wcale nie robi przykrości i zupełnie godzę się z tutejszą kuchnią.

— I ja tak samo — odpowiedział Conseil — toteż równie rad bym tu zostać, jak jegomość Ned Land pragnąłby drapnąć. Zatem jeżeli zacząty rok będzie zły dla mnie,

<sup>129</sup>laskar — nazwa majtków indyjskich, którzy służyli na okrętach europejskich. Ludzie ci należą do kasty paria [tj. pariasów; red. WL]. [przypis tłumacza]

to będzie dobry dla niego i na odwrót. Wreszcie życzę panu tego, co może mu sprawić przyjemność i koniec.

— Dziękuję ci, Conseil. Poproszę cię tylko, żebyś rzecz o kolędzie<sup>130</sup> odłożył na później, a tymczasem przyjął serdeczny uścisk ręki. Na teraz nie mam nic więcej.

— Pan nigdy jeszcze nie był tak hojny jak dzisiaj — rzekł poczciwy chłopiec i odszedł.

Drugiego stycznia zrobiliśmy już jedenaście tysięcy trzysta czterdzieści mil, czyli pięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt mil od punktu wejścia na Morze Japońskie. Przed ostrogą „Nautilus” roztaczały się niebezpieczne obszary Morza Koralewego na północno-wschodnim brzegu Australii. Płynęliśmy w kilkumilowym oddaleniu wzdłuż groźnej ławicy, o którą 10 czerwca 1770 r. o mało nie rozbiły się okręty kapitana Cooka. Statek, na którym znajdował się sam Cook, uderzył o skałę i nie zatonął jedynie tylko wskutek szczęśliwej okoliczności, że kawał koralu oderwany siłą uderzenia pozostał w przedziurawionym pudle okrętu.

Byłbym chętnie zwiedził tę rafę długości trzystu sześćdziesięciu mil, o którą morze, ustawicznie w tym miejscu wzburzone, uderza wciąż z ogromną siłą i łoskotem podobnym do huku piorunów. Ale pochyłe płaszczyzny „Nautilus” pociągały nas w tej chwili w niezmierną głębinę i nie mogłem dojrzeć owych wyniosłych ścian koralowych. Musiałem tedy poprzestać na kilku okazach ryb, złowionych w nasze sieci. Zauważyłem między innymi gatunek skarpionów wielkości tuńczyka, z błękitnawym bokiem przegowanym w ukośne pasy, które znikaly wraz z życiem zwierzęcia. Ryby te towarzyszyły nam gromadnie i dostarczyły na stół niezmiernie delikatnego mięsa. Ujęto też znaczną ilość leszczaków długości pół decymetra, mających smak doradii — ostrolotek, prawdziwych podmorskich jaskółek kreslających w czasie ciemnej nocy, na przemian w powietrzu i w wodzie, fosforyczne światelka. Z mięczaków i zwierzoekrzewów znalazłem w oczkach sieci rozmaite gatunki korkowatych: morskie jeże<sup>131</sup>, młotki, ostrogi, kompasiki, teleskopy i skrzydłopławki. Florę przedstawiały piękne, pływające wodorosty, blaszecznicze i morszczyzny na wskroś przesycone klejowatym płynem sączącym się porami — oraz przesłiczną *nemastoma geliniaroides*<sup>132</sup>, która umieszczona została w muzeum pomiędzy osobliwościami.

W dwa dni po przejściu przez Morze Koralewe, 4 stycznia, ujrzelśmy brzegi Papuazji. Przy tej okoliczności kapitan Nemo uprzedził mnie, iż zamierzał dostać się na Ocean Indyjski przez cieśninę Torresa. Rozmowa nasza tym razem na tym się tylko ograniczyła. Ned widział z przyjemnością, że ta droga zbliżała go do mórz europejskich.

Cieśnina Torresa uważana jest jako podwójnie niebezpieczna: z powodu skał, które ją najeżają, i dzikich nawiedzających te brzegi. Oddziela ona od Nowej Holandii wielką wyspę Papuazję, zwaną także Nową Gwineą.

Papuazja ma czterysta mil długości na sto trzydzieści szerokości i czterdzieści tysięcy mil geograficznych powierzchni. Leży pomiędzy 0° 19' a 10° 2' szerokości południowej, 128° 23' a 146° 15' długości. W południe, w chwili kiedy porucznik mierzył wysokość słońca, dostrzegłem wierzchołki gór Arfaixs<sup>133</sup>, wznoszące się tarasami i zakończone spiczastymi szczytami.

Ziemia ta odkryta została w r. 1511 przez Portugalczyka, Franciszka Serrano. Potem zwiedził ją kolejno: don Jose de Meneses w r. 1526, Grijalva w r. 1527, generał hiszpański Alvar de Saavedra w r. 1528, Juigo Ortez w r. 1545, Holender Shouten w r. 1616, Mikołaj Sruic w r. 1753, Tasman, Dampier, Tumel, Carteret, Edwards, Bougainville, Cook, Forrest, Mac-Cluer, d'Entrecasteaux w r. 1792, Duperrey w r. 1823 i Dumont d'Urville w r. 1827. „Jest to ognisko Murzynów zajmujących całą Malinezję” — powiada Rienzi i nie przypuszczałem, że losy tej żeglugi postawią mnie wobec straszliwych Andamenów.

„Nautilus” stanął więc u wejścia najniebezpieczniejszej na kuli ziemskiej cieśniny, którą najśmielsi żeglarze zaledwie ważą się przebywać. Ludwik Paz z Torres przepłynął ją, wracając z Morza Południowego do Malinezji, a korwety Dumont d'Urville'a, osiadłszy w niej na mieliźnie, o mało nie zginęły. Sam nawet „Nautilus”, wyższy nad wszelkie niebezpieczeństwa morskie, chciał rozpoznać wprzód koralowe jej rafy.

<sup>130</sup>rzecz o kolędzie — prezent świąteczny. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>morski jeż — inaczej jeżowiec. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>nemastoma geliniaroides — gatunek zaliczany do grupy alg czerwonych, prawdopodobnie wymarły. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>góry Arfaixs — zapewne Góry Śnieżne. [przypis edytorski]



Cieśnina Torresa ma około trzydziestu czterech mil szerokości, ale zawałona jest niezliczoną ilością wysp, wysepek i skał, które żeglugę po niej czynią prawie niepodobną. Toteż kapitan Nemo przedsięwziął do jej przebycia wszelkie środki ostrożności. „Nautilus”, płynąc po wierzchu wody, posuwał się z umiarkowaną szybkością. Jego śruba uderzała z wolna, jak ogon wieloryba, o fale.

Korzystając z tego położenia, ja i dwaj moi towarzysze zasiedliśmy na pustej zawsze platformie. Przed nami sterczała klatka sternika i bardzo chyba się myślę, jeżeli nie siedział w niej Nemo, kierując sam „Nautilusem”.

Miałem przed sobą wyborne mapy zdjęte i ułożone przez inżyniera hydrografa, Vincendon Dumouline, i podporucznika marynarki, dziś admirała — Coupvent-Desbois należących do sztabu Dumont d’Urville’a podczas ostatniej jego podróży naokoło świata. Są to najlepsze mapy, posłużyć mogące wraz z mapami kapitana Kinga do rozwikłania gmatwaniny tego ciasnego przesmyku; badałem je też ze szczególną uwagą.

Dokoła „Nautilusa” morze burzyło się z nieopisaną wściekłością. Prąd fal, idący z południo-wschodu ku północo-zachodowi z szybkością półtrzeciej mili na godzinę, rozrzącał się o koralowe ściany sterczące tu i ówdzie z wody.

— To mi dopiero szkaradne morze! — rzekł Ned.

— W istocie niegodziwe — odpowiedziałem — i wcale nieodpowiednie dla takiego statku jak „Nautilus”.

— Ten potępieniec kapitan — mówił znowu Kanadyjczyk — musi być bardzo pewny swej drogi; bo oto widzę tam koralowe sterty, które by rozerwały na tysiąc sztuk jego pudło, gdyby się choć cokolwiek o nie otarło.

W rzeczy samej położenie było niebezpieczne; ale „Nautilus” zdawał się jak zaczarowany przemykać między straszliwymi skałami. Nie trzymał się ściśle drogi „Astrolaba” i „Gorliwej”, która fatalną się stała dla Dumont d’Urville’a. Skierował się bardziej na północ, ominąwszy wyspę Murraya i wrócił od południo-wschodu do przesmyku Cumberland. Myślałem, że go odważnie przebędzie; gdy tymczasem, zwracając na północo-zachód, udał się wśród mnóstwa mało znanych wysp i wysepek ku wyspie Tound i Złemu Kanałowi.

Zadawałem już sobie pytanie, czy by kapitan Nemo w nierozwadze posuniętej aż do szaleństwa chciał wprowadzić swój statek w to przejście, w którym osiadły korwety Dumont d’Urville’a, kiedy, zmieniając powtórnie kierunek i biorąc się raptem na prawo, zawrócił ku wyspie Gueboroar.

Była wtedy godzina trzecia po południu. Fale rozbijały się przy pełnym prawie przypływie. „Nautilus” zbliżył się do wyspy, której zielony brzeg pandanowy<sup>134</sup> dotąd jeszcze widzę w mojej pamięci. Oddaleni byliśmy od niej przynajmniej o jakie dwie mile.

Nagle wywrócony zostałem gwałtownym wstrząśnięciem, „Nautilus” uderzył o skałę i stanął nieruchomy, pochyliwszy się nieco na lewo.

Powstawszy, ujrzałem na platformie kapitana Nemo z jego porucznikiem. Badali położenie statku, wymieniając parę wyrazów w swoim niezrozumiałym języku.

Położenie było następujące. W odległości dwu mil z prawej strony leżała wyspa Gueboroar, zataczając z północy na zachód swoje wybrzeże na kształt ogromnego ramienia. Na południe i wschód sterczało już parę koralowych szczytów, które odpływ zaczynał odsłaniać. Osiedliśmy podczas pełnego morza i to na jednej z tych wód, gdzie przypływ i odpływ nie bardzo jest znaczny, co stanowiło okoliczność niesprzyjającą podniesieniu się „Nautilusa”. Statek wszakże nie doznał żadnego uszkodzenia, tak silnie bowiem spójone było jego pudło. Jeżeli jednak nie mógł ani zanurzyć się, ani posuwać, to cały ten przyrząd podmorski kapitana Nemo na nic się już nie przydał.

Rozmyślałem tak, gdy kapitan, spokojny i obojętny, panujący zawsze nad sobą, nie wydając się ani wzruszony, ani rozgniewany, przystąpił do mnie.

— Nieszczęście — rzekłem.

— Nie — odpowiedział — wypadek.

— Ale wypadek — odparłem — który może pana zniewolić do powrotu na ziemię, od której tak stronisz.

<sup>134</sup>*pandan* — rodzaj rośliny (drzewo lub krzew) posiadającej korzenie podporowe; występuje w tropikach Azji, Afryki, Australii i Polinezji. [przypis edytorski]

Kapitan Nemo spojrział na mnie ze szczególniejszym wyrazem i poruszył głową. Było to wyraźnym oświadczeniem, że nic go nie zmusi do powrotu kiedykolwiek na ląd. Potem rzekł:

— Zresztą, panie Aronnax, „Nautilus” nie jest zgubiony. Będzie on jeszcze pana unosił pośród dziwów oceanu. Nasza podróż dopiero się zaczęła i nie chciałbym pozbawić się tak prędko zaszczytu pańskiego towarzystwa.

— Jednakże, kapitanie Nemo — odpowiedziałem, pomijając ten szyderczy zwrot jego mowy — „Nautilus” osiadł w chwili pełnego przyływu. Przyływ i odpływ na Oceanie Spokojnym bywa słaby i jeżeli nie potrafisz pan zrobić „Nautilusa” lżejszym, co zdaje mi się niepodobnym, nie widzę, jakim sposobem zdoła się podnieść.

— Przyływ na Oceanie Spokojnym jest słaby; masz pan zupełną słuszność, panie profesorze — odpowiedział kapitan Nemo. — Ale w cieśninie Torresa trafia się jeszcze półtora metra różnicy między wysokim a niskim poziomem morza. Mamy dziś czwartego stycznia, a za pięć dni nadchodzi pełnia księżyca. Otóż byłbym bardzo zdziwiony, gdyby ten uprzejmy satelita nie podniósł dostatecznie masy wód i nie wyświadczył mi przysługi, którą jemu samemu tylko rad bym zawdzięczać.

To rzekłszy, kapitan Nemo odszedł ze swym porucznikiem wewnątrz „Nautilusa”. Statek nie ruszał się i stał tak niezachwiany, jakby koralowe polipy zamurowały go już swym niespożyтым cementem.

— I cóż, panie? — zapytał Ned Land, zbliżając się do mnie po odejściu kapitana.

— Nic, przyjacielu Nedzie, będziemy czekać spokojnie na przyływ morza 9. tego miesiąca, bo zdaje się, iż księżyc będzie tak grzeczny, że nas wyniesie na wierzch fali.

— I ten kapitan nie myśli zarzucić kotwic, założyć do swej maszyny łańcuchów i robić, co można, by się wydostać?

— Jeżeli przyływ wystarczy — wtrącił spokojnie Conseil.

Kanadyjczyk, spojrzawszy nań, wzruszył ramionami. Tym razem przemawiał w nim marynarz.

— Panie — rzekł do mnie — możesz mi pan zawierzyć, gdy mówię, że ten kawał żelaza nie będzie już nigdy pływał ani po morzu, ani pod morzem. Na nic on się już nie zda, chyba go tylko sprzedać na wagę. Mniemam przeto, iż nadeszła chwila, w której wypadaloby pożegnać kapitana Nemo.

— Przyjacielu Nedzie — odpowiedziałem — nie zwątpiłem jeszcze, tak jak ty, o dzielnym „Nautilusie” i za cztery dni będziemy wiedzieli, co mamy sądzić o przyptywach Oceanu Spokojnego. Zresztą pomysł ucieczki może byłby dobry przy brzegach Anglii albo Prowansji, ale na wodach Papuazji zawsze będzie dość czasu na taką ostateczność, jeżeli „Nautilus” nie zdoła się podnieść, co w każdym razie uważałbym za smutny wypadek.

— Ale czy by nie można choć wypróbować tego gruntu? — odparł Ned Land. — Oto wyspa. Na tej wyspie są drzewa. Pod tymi drzewami zwierzęta lądowe, zwiastuny kotletów i rostbefów, na których z ochotą poostrzyłbym trochę zęby.

— W tym punkcie przyjaciel Ned ma słuszność — odezwał się Conseil — i zupełnie podzielam jego zdanie. Czy by pan nie mógł wyjednać u swego przyjaciela, kapitana Nemo, aby nas kazał przewieźć na wyspę choćby tylko dlatego, żebyśmy nie zapomnieli chodzić po ziemi?

— Mogę go poprosić, ale odmówi.

— Niech pan spróbuje — rzekł Conseil — a dowiemy się, co trzymać o uprzejmości kapitana.

Z niemalym moim zdziwieniem kapitan Nemo udzielił zaraz pozwolenia. Zrobił to nawet z wielką grzecznością i chęcią, nie żądając obietnicy powrotu na pokład. Ucieczka jednak przez Nową Gwineę byłaby bardzo niebezpieczna i nie radziłbym Nedowi Landowi jej próbować. Lepiej było zostawać więźniem na pokładzie „Nautilusa” niżeli wpaść w ręce krajowców Papuazji.

Przeznaczono na następny ranek do naszego rozporządzenia czołno. Nie starałem się dowiedzieć, czy kapitan Nemo będzie nam towarzyszył. Myślałem nawet, że nie dadzą nam nikogo z załogi i że Ned Land będzie musiał zająć się sam jeden żegluga. Zresztą ziemia leżała nie dalej niż o dwie mile, a poprowadzenie lekkiej łodzi pomiędzy rzędami raf tak groźnych dla wielkich statków było dla Kanadyjczyka prawdziwą igraszką.

Nazajutrz, 5 stycznia, czółno, wyjęte ze swej osady na pomoście, spuszczone zostało z wysokości platformy na morze. Dwu ludzi dało radę całej tej sprawie. Wiosła leżały na statku i pozostało nam tylko zająć w nim miejsce.

O ósmej rano uzbrojeni w siekiery i strzelby elektryczne odbiliśmy od „Nautilusa”. Morze było dosyć spokojne; lekki wietrzyk powiewał od lądu. Conseil i ja robiliśmy dzielnie wiosłami, a Ned sterował w wąskich przejściach, pozostawionych między rafami. Czółno dawało się łatwo kierować i szybko płynęło.

Ned Land nie umiał pohamować swej radości. Był to więzień, co się wymknął spod klucza i nie myślał o tym, że będzie musiał powrócić.

— Mięso — powtarzał ustawicznie — będziemy więc jedli mięso, i to jakie mięso! Prawdziwą zwierzynę! Bez chleba, niestety! Nie powiadam, by ryba była złą rzeczą, ale nie trzeba jej nadużywać i kawał świeżego mięsa upieczonego na rozżarzonych węglach nader przyjemnie urozmaici naszą codzienną strawę.

— Żarliok! — odpowiedział Conseil — sprowadza mi ślinkę do ust.

— Trzeba by jeszcze wiedzieć — rzekłem — czy lasy te obfitują w zwierzynę i czy to czasem nie tak gruba zwierzyna, że sama raczej upoluje myśliwca.

— Zgoda, panie Aronnax — odrzekł Kanadyjczyk, który zdawał się mieć zęby tak ostre jak brzuszek siekiery — będę jadł tygrysa, krzyżówkę z tygrysa, jeżeli nie ma innych zwierząt na tej wyspie.

— Przyjaciel Ned jest niebezpieczny — odezwał się Conseil.

— Niech sobie będę — odpowiedział Ned Land — ale każde czworonożne stworzenie bez piór albo dwunożne z piórami pierwszy powitam wystrzałem z mej broni.

— Oho! — zawolałem — jegomość pan Ned zaczyna znowu szaleć.

— Nie lękaj się, panie Aronnax — odrzekł Kanadyjczyk — i płyn pan ostro! Potrzeba mi tylko dwudziestu pięciu minut, by poczęstować pana przyrządzoną na mój sposób potrawą.

O godzinie wpół do dziesiątej czółno „Nautilusa” zatrzymało się z wolna na piaszczystym brzegu, przebywszy szczęśliwie wał koralowy otaczający wyspę Gueboroar.

## PARĘ DNI NA LĄDZIE

Wysiadając na ląd, doznałem dosyć żywego wzruszenia. Ned próbował ziemi nogą, jakby jej nie ufał. A jednak, podług wyrażenia kapitana Nemo, dopiero od dwu miesięcy byliśmy „pasażerami” na „Nautilusie” — to jest, mówiąc otwarcie, w niewoli u jego dowódcy.

W kilka minut byliśmy już na strzał karabinowy oddaleni od brzegu. Grunt był, jak się zdawało, utworzony z samych tołpi (madrepory — rodzaj polipów), ale niektóre łożyska wyschłych strumieni, posiane granitowymi odłamkami, wskazywały na pierwotną formację gruntu. Wspaniałe lasy zakrywały nam widnokrąg: ogromne ich drzewa, niekiedy dwustu stóp wysokości, spojone się zdawały z sobą plecionkami lian wyglądającymi jak powietrzne wiszące łóżka kołyszące się za powiewem wiatru. Były tam mimozy<sup>135</sup>, fikusy, kazuaryny<sup>136</sup>, palmy, wszystko bujne i liczne, a pomieszane z sobą. Pod ich zieleniejącym sklepieniem i u stóp ich pni olbrzymich szerzyły się rośliny z rodzin storczykowatych i paproci.

Nasz Kanadyjczyk nie zważał na to bogactwo flory papuazyjskiej<sup>137</sup>, przenosząc pożyteczne nad przyjemne. Spostrzegłszy palmę kokosową, strącił z niej i rozłupł kilka owoców: mieliśmy więc mleko do picia i miąższ owocu do jedzenia — tym większa przyjemność, że na pokładzie „Nautilusa” nic podobnego nie miewaliśmy.

— To rzecz wyborna — mówił Ned Land.

— Przewyborna — odpowiedział Conseil.

— Myślę — dodał Kanadyjczyk — że jegomość pan Nemo nie obraziłby się, gdybyśmy mu przynieśli ładunek kokosowych owoców.

— Obrazić się, nie obrazi, ale nie skosztuje — odpowiedziałem.

<sup>135</sup>mimoza — rodzaj roślin tropikalnych szczególnie wrażliwych na dotyk; w momencie dotyku roślina zamyka (składa) gwałtownie liście. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>kazuaryna — inaczej rzewnia; rodzaj drzewa lub krzewu, charakteryzujący się bardzo twardymi liśćmi przypominającymi igły sosny; uznawane za najlepsze drewno opałowe na świecie. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>Papuazja — dwie wielkie wyspy stanowiące Oceanię oddzieloną od Australii na południe Cieśniną Torresa. Kilka mniejszych jeszcze liczy się także do Papuazji. [przypis redakcyjny]

— Tym gorzej dla niego — rzekł Conseil.

— A tym lepiej dla nas — odparł Ned — będziemy mieli więcej dla siebie.

— Poczekaj no, kochany Ned — rzekłem do oszczepnika zabierającego się już do strącania owoców z innej palmy kokosowej — dobry to jest owoc, ani słowa, ale zanim zawalimy nim czółno, zobaczmyż, czy nie ma na tej wyspie czegoś innego jeszcze, równie pożytecznego. Jarzyny świeże bardzo by się przydały naszej kuchni.

— To prawda — wtrącił Conseil — podzielmy zatem naszą łódź na trzy części: w jedną złożymy owoce, w drugą jarzyny, a w trzecią zwierzynę, której, co prawda, ani na próbkę nie widzieliśmy tu jeszcze.

— Powinna się i ona znaleźć — rzekł Kanadyjczyk.

— Więc idźmy dalej — mówiłem — ale pilnujmy się; bo choć wyspa nie zdaje się być zamieszkała, jednak może są na niej indywidua mniej niż my przebijające w zwierzynie.

— Aa! Rozumiem — wtrącił Ned Land, czyniąc znaczące poruszenie szczękami.

— Co ci się zdaje, Ned? — spytał Conseil.

— A cóż — odrzekł Kanadyjczyk — zaczynam pojmować przyjemności ludożerstwa.

— Co też ty gadasz, mój kochany! — zawołał Conseil — Ty ludożercą! To już dla mnie teraz niebezpiecznie będzie mieszkać razem z tobą w jednej kajucie; mógłbym się obudzić którego ranka na pół zjedzony!

— Mój przyjacielu — odparł Ned — lubię cię naprawdę, ale nie tyle, żebym cię miał zjeść bez potrzeby.

— Nie będę ci już ufał — mówił Conseil. — Idźmy na polowanie, bo trzeba koniecznie czegoś temu kanibalowi, żeby mnie mój pan całego miał na swe usługi.

I tak gawędząc dalej, weszliśmy pod ciemne lasu sklepienie, przebiegając je przez jakie dwie godziny w różnych kierunkach.

Przypadek niezłe nam posłużył; znaleźliśmy roślinę jadalną, jedną z najpotężniejszych w tych okolicach podzwrotnikowych, dającą to, czego brakowało na pokładzie. Było to drzewo chlebowe, bardzo obficie rosnące na wyspie Gueboroar; gatunek jego, któryśmy spotkali, nie ma pestek. Malaje nazywają je *rima*.

Drzewo to odróżniało się od innych swym pniem do czterdziestu stóp wysokim i prostym. Wierzchołek jego wdzięcznie zaokrąglony, złożony z wielkich liści mocno strzępiastych od razu dawał poznać naturalistcie jedno z tych drzew chlebowcowatych<sup>138</sup> (*artocarpus*), które tak szczęśliwie przyjęły się na wyspach maskareńskich na Archipelagu Indyjskim<sup>139</sup>. Spośród gęstej zieleni zwieszał się owoc okrągławy, szerokości decymetra, cały w zmarszczki ułożone w sześciokąty. Roślina ta stanowi prawdziwe dobrodziejstwo dla okolic nieuprawiających zboża; nie wymaga uprawy, a przez osiem miesięcy w roku rodzi owoce.

Ned Land znał je dobrze, bo jadał je nieraz w swoich poprzednich podróżach i umiał doskonale przyrządzać te owoce. Toteż gdy je zobaczył, nie mógł wytrzymać, żeby się nie rzucić na nie.

— Musimy, panie, skosztować tego ciasta z drzewa chlebowego; ja się prędko uwinę.

Za pomocą szkła palącego rozniecił ogień z suchych gałęzi, a ja i Conseil zbieraliśmy co najlepsze owoce chlebowe. Niektóre niezupełnie jeszcze były dojrzałe, a pod grubą ich skórą był mięksiz biały, ale nie bardzo włóknisty. Inne, żółtawe już i galaretowate, jakby czekały na głodnych.

— Zobaczysz pan, jaki to chleb wyborny — mówił Ned.

— Szczególniej dla tych, którzy dawno chleba nie jedli — odparł Conseil.

— To coś lepszego niż chleb, to ciasto delikatne. Czy pan tego nigdy nie jadł?

— Nigdy.

— To niech się pan spodziewa czegoś bardzo smacznego. Jeśli pan nie zażąda więcej, to niech będę najlichszym z oszczepników.

W kilka minut część owocu dotykająca ognia zupełnie się zwęgliła, a w środku było ciasto białe, rodzaj miękkiego ośrodka jak u karczocha.

Przyznam się, że jadłem to z wielką przyjemnością.

<sup>138</sup>*drzewa chlebowcowate* — inaczej chlebowce; drzewa wiecznie zielone, pochodzące z tropikalnej Azji; owoce chlebowca są bardzo pożywne. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>*wyspach maskareńskich na Archipelagu Indyjskim* — właśc. archipelag Maskareny na Oceanie Indyjskim. [przypis edytorski]

— Szkoda, że to ciasto — mówiłem — nie może być długo świeże; toteż nie warto zbierać owocu na zapas.

— Właśnie rzecz ma się inaczej. Pan mówi jak naturalista, a ja zrobię jak piekarz. Conseil, nazbieraj tych owoców, zabierzemy je z sobą, gdy będziemy wracać do czółna.

— A jakże je przyrządzić trzeba? — pytałem Kanadyjczyka.

— Trzeba ich środek zarobić w ciasto i niech przefermentuje; wówczas da się przechować bardzo długo niezepsute. Chcąc go użyć do jedzenia, piecze się je w piecu, a choć nieco kwaśniej, niemniej jednak będzie panu smakowało.

— Więc kiedy mamy już chleb, zatem nie mamy czego więcej szukać.

— I owszem, trzeba nam jeszcze owoców i jarzyn: szukajmyż ich.

Nazbierawszy owocu chlebowego, poszliśmy szukać czegoś więcej jeszcze do naszego obiadu „ładowego”. Najpierw znaleźliśmy banany, wyborny owoc, który w strefie gorącej dojrzewa przez cały rok; Malaje nazywają go *pisang*, a jedzą na surowo. Dalej znaleźliśmy mangi i ananasy nie do uwierzenia wielkie. Poszukiwania zabrały nam dosyć czasu, lubo<sup>140</sup> nie mieliśmy go co żałować.

Conseil zapatrywał się na Neda Landa, który idąc naprzód, wprawną ręką zbierał, co napotkał dobrego do jedzenia.

— To może już będziemy mieli dosyć — rzekł Conseil.

— Hm — chrząknął Kanadyjczyk.

— Czy ci mało jeszcze? — pytał Conseil.

— Te rośliny nie stanowią przecie obiadu — odpowiedział Ned — bo to dopiero jego koniec, wety; a gdzie zupa, gdzie pieczeń?

— To prawda — wtrąciłem — Ned obiecał nam kotlety, na które jakoś się nie zanoszą.

— Polowanie nasze — rzekł Ned — nieskończone jeszcze, bo się nawet nie zaczęło. Cierpliwości! Przecież spotkamy jakie zwierzę w pierzu lub sierści; nie w tym miejscu, to w innym.

— A nie dziś, to jutro — dodał Conseil — bo nie trzeba się bardzo oddalać od brzegu; ja bym nawet radził powrócić do łodzi.

— Jak to, już? — zawołał Ned.

— Mamy przecie wrócić, nim noc zapadnie — zauważyłem.

— A któraż teraz jest godzina? — zapytał Kanadyjczyk.

— Będzie najmniej druga — odpowiedział Conseil.

— Jak też to czas prędko ubiega na lądzie! — zawołał Ned, wzdychając.

— Ruszajmy! — mówił Conseil.

Zaczęliśmy więc wracać przez las, dopełniając nasze wiktuały: to kapustą palmową, którą trzeba było zbierać spod wierzchołków drzew, to groszkiem, który, o ile wiedziałem, Malaje nazywają *abru*, to ignamami przewybornego gatunku.

Nadźwignęliśmy się dobrze, nim żeśmy przybyli do łodzi! Ned Land nie był zadowolony z tych zapasów. Los mu jednak sprzyjał, bo prawie już na wsiadaniu spostrzegł gromadę drzew wysokich od dwudziestu pięciu do trzydziestu stóp, z rodzaju palm. Drzewa te, równie cenne jak chlebowe, uważane są za jedno z najpożyteczniejszych na wyspach malajskich. Były to drzewa wydające sago<sup>141</sup>; rosły one bez uprawiania, a mnożą się jak morwy, przez nasienie albo przez latorośle.

Ned Land umiał sobie radzić z tymi drzewami: ujął siekierę a, działając nią sprawnie i silnie, powalił wkrótce parę drzew sagowych. Że owoc był dojrzały, znać było po białym proszku pokrywającym drzewo. Patrzyłem na jego robotę okiem naturalisty raczej niż zgłodniałego. Zdejmował naprzód z każdego pnia pas kory grubej na cal, pod którą była tkanka długich włókien pokrywająca rodzaj mączki kleistej. Właśnie ta mączka jest sago, którym się głównie żywi ludność malajska.

Na razie musiał Ned Land poprzestać na porąbaniu pni, jakby na drzewo do palenia, na potem zostawiając sobie wydobycie mączki, oddzielenie jej od włókien przez wyciśnięcie w jakiej tkaninie, wysuszenie na słońcu, wreszcie stwardnienie jej w formach.

Nareszcie o piątej pod wieczór, wladowawszy do łodzi nasze bogactwo, popłynęliśmy ku naszej pływającej gospodzie, do której przybyliśmy w pół godziny. Nikt nie wyszedł na

<sup>140</sup>lubo (daw.) — choć. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>sago — rodzaj skrobi uzyskiwanej z wnętrza palmy sagowej. [przypis edytorski]

nasze przyjęcie — jakby ogromny cylinder z blachy żelaznej nikogo żywego nie zawierał w sobie. Po zniesieniu tego, cośmy przywieźli, poszedłem do mego pokoju, gdzie już zastałem posiłek przygotowany. Zjadłszy, co było, udałem się na spoczynek.

Nazajutrz, dnia 6 stycznia, nie dał się czuć na pokładzie żaden znak życia. Łódź nasza była tam, gdzieśmy ją przyczepili — postanowiliśmy więc nową zrobić wycieczkę na wyspę. Ned Land obiecywał sobie odbyć w innej stronie lasu szczęśliwsze niż wczoraj polowanie.

O wschodzie słońca już żeśmy płynęli; łódź nasza, niesiona falami bijącymi od morza ku lądowi, prędko przyniosła nas do brzegu.

Wysiadłszy, zdaliśmy się na instynkt Kanadyjczyka co do wyboru strony, w którą należało się udać — i poszliśmy za tym długonogim naszym przewodnikiem. Zwrócił się on ku zachodowi, przebywszy w bród kilka strumieni, dostał się na wyniosłą płaszczyznę, obrzeżoną wspaniałymi lasami. Kilka zimorodków krążyło około strumienia, ale nie można było podejść ich z bliska; ta ostrożność ich była mi wskazówką, że nie ufały takim jak my dwunożnym stworzeniom — że zatem, jeżeli wyspa nie była zamieszkana, to jednak ludzie bywają na niej.

Przebywszy dosyć bujną łąkę, podsunęliśmy się pod niewielki gaj, w którym mnóstwo ptactwa latało i śpiewało.

— Nic, tylko same ptaki — rzekł Conseil.

— Ale są i takie, które można jeść — odparł Ned Land.

— Ale gdzie tam! Toć to same papugi — zauważył Conseil.

— Mój kochany — odrzekł poważnie oszczepnik — dla tych, co nie mają nic innego, papuga będzie bażantem.

— Byle ją dobrze przyprawić — rzekłem — to ujdzie.

Śród gęstwiny tego gaju mnóstwo papug przelatywało z gałęzi na gałęzie. Ponieważ nie dano im starannego wychowania i nie nauczono ich używać mowy ludzkiej, więc wrzeszczały po swojemu. Jedne ich rodzaje zdawały się rozważać jakieś pytanie filozoficzne, inne, czerwonopióre, przelatywały jak kawał cienkiej tkaniny, uniesionej wietrzykiem; tamte hałaśliwie trzepotały skrzydłami, inne błyszczały najdelikatniejszymi lazurowymi odcieniami. Ale wszystko to nieosobliwe było do jedzenia.

Brakowało w tej rzeszy skrzydlatej jednego jeszcze ptaka, który nigdy nie opuszcza obrębu tamtych wysp; los nadarzył nam wkrótce sposobność do podziwiania go.

Przeszedłszy kawałek gaju nie bardzo gęstego, doszliśmy do płaszczyzny zasłanej krzewami. Ptaki prześliczne, zmuszone układem swych długich piór do latania pod wiatr, zerwały się przed nami. Lot ich falisty, wdzięczna forma ich skrzydeł, ułudność ich barw zachwycały nasze oczy. Poznałem je od razu.

— To rajskie ptaki — zawołałem — należą do wróblowatych. Zmiłuj się, Ned, dostaw nam choć jednego z tych pysznych stworzeń podzwrotnikowych.

— Spróbuję, lubo<sup>142</sup> przyznam się, że wolę używać oszczepu niż strzelby.

Małaje, którzy wiele tych ptaków sprzedają Chińczykom, umieją je chwycić różnymi sposobami, których myśmy użyć nie mogli. To rozciągają sidła na wierzchołkach najwyższych drzew, gdzie rajskie ptaki najchętniej przebywają; to chwytają je na lep odbierający im swobodę poruszeń; to wreszcie zatruwają wodę w miejscach przez te ptaki dla napoju uczęszczanych. Nam pozostawało tylko strzelać je w lot, co niełatwą było rzeczą. Toteż zepsuliśmy na darmo część naszych zapasów strzelniczych.

Około jedenastej z rana przebyliśmy pierwszy grzbiet wzgórz podnoszących się coraz wyżej ku środkowi wyspy. Nic żeśmy jeszcze nie upolowali, a byliśmy bardzo głodni. Szczęściem, Conseil ubił parę grzywaczy, oskubał je żywo, zatknął na rożen i upiekł przy ogniu roznieconym z suchych gałęzi. Mieliśmy wyborne śniadanie; szczególniej smakowały nam gołębie. Jedzą one muszkatołową galękę, od której ich mięso nabiera aromatycznej woni.

— To jak pulardy<sup>143</sup> żywione truflami — zauważył Conseil.

— Czyś zadowolony, Ned? — zapytałem Kanadyjczyka.

<sup>142</sup>lubo (daw.) — choć. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>pularda — młoda kura pozbawiona jajników w celu uzyskania z niej delikatnego i kruchej mięsa. [przypis edytorski]

— Trzeba mi czegoś czteronogiego, panie profesorze — odpowiedział — te gołąbki dobre są tylko na przekąskę do pobawienia zębów. Toteż dopóki nie będę miał z czego zrobić kotletów, nie powiem, żem zadowolony.

— A ja — odparłem — dopóki nie będę miał rajskiego ptaka.

— Szukajmy więc, czego nam trzeba, ale już w stronie morza. Tu, na pochyłościach gór, nie tak prędko co znajdziemy, jak w stronie lesistej.

Miał słuszość i poszliśmy za jego zdaniem. Idąc z godzinę, dostaliśmy się do prawdziwego lasu sagowego. Spłoszyliśmy kilka nieszkodliwych węzów; ptaki rajskie uciekały za zbliżeniem się naszym i doprawdy zwątpiłem już, żebym którego pochwycił — gdy nagle posłyszałem triumfalny okrzyk Conseila przybiegającego do mnie z rajskim ptakiem w ręku.

— A toś zuch, mój chłopcze! — zawołałem.

— Pan jest zbyt dobry.

— Bynajmniej, spisałeś się po mistrzowsku! Złapać takiego ptaka żywcem i to tylko ręką, sztuka nie lada.

— Niech mu się pan bliżej przypatrzy, a zobaczy, że niewielka to była sztuka złapać go. Toć on pijany.

— Co ty gadasz, pijany?

— A tak, pijany; upił się muszkatołową gałką, którą zbierał właśnie, gdy go pochwycił. Patrz, mości Ned, jakie to skutki niewstrzemięźliwości.

— Do stu diabłów — krzyknął Ned — nie można mi chyba wyrzucić tej wódki, której nie piłem od dwu miesięcy!

Przyglądałem się ptakowi i przekonałem się, że Conseil miał słuszość. Ptak zapadł w bezwładność od upajającego soku muszkatołowego; nie mógł podlecieć i ledwie posuwał się na nogach. Mało mnie to obchodziło — przecież wytrzeźwieje.

Był to egzemplarz najpiękniejszego z ośmiu gatunków znajdujących się w Papuazji i na wyspach sąsiednich, bardzo rzadki, zwany wielkim szmaragdem. Długi był na trzy decymetry; główkę miał małą stosunkowo, równie jak oczy umieszczone blisko nasady dzioba. Barwność jego godna jest podziwu: dziób ma żółty, szare nogi, skrzydła orzechowe z purpurowymi końcami piór, bładożółtawą głowę i wierzch szyi; szmaragdowy jest pod szyją, kasztanowaty na piersiach i na brzuchu. Dwa prątki rogowo-puszyste wyrastają mu nad ogonem, przedłużającym się bardzo w lekkie i delikatne pióra. Cudownego tego ptaka krajowcy nazywają ptakiem słońca. Bardzo byłbym chciał sprowadzić ten egzemplarz do Paryża i dać go do Ogrodu Botanicznego, bo nie ma tam ani jednego żywego okazu.

— Czy to taka rzadkość? — spytał Kanadyjczyk tonem myśliwca niedbającego o artystyczną wartość zwierzyny.

— Wielka i trudna do schwytania żywcem. A nawet nieżywe ptaki te są przedmiotem znacznego handlu; toteż krajowcy fabrykują je, jak inni robią perły i diamenty.

— Jak to? — zawołał Conseil — ptaki rajskie bywają fałszowane? A jakże to robią krajowcy?

— Podczas panowania wiatrów wschodnich, rajskie ptaki gubią swe pióra z ogonów, zwane przez przyrodników piórami podskrzydłowymi; te pióra zbierają fałszerze i ubierają w nie jaką papugę, odpowiednio przekształconą. Zakrywają miejsca, do których pióra rajskiego ptaka przychepione zostały — a takie wytwory przemysłu rozchodzą się po gabinetach.

— Masz tobie! Jak nie ptak, to jego pióra — rzekł Ned. — Dopóki nie idzie o mięso, to mniejsza o to.

Zadowolony byłem, bo miałem rajskiego ptaka; ale Kanadyjczyka to nie zaspokajało, bo nie miał kotletów. Ale i jemu posłużyło szczęście. Około drugiej godziny ubił dzika, zwanego przez miejscowych mieszkańców *bari-utang*. Ned, dumny ze swej zdobyczy, która w samą porę się zjawiła, by nam dostarczyć kotletów, oczyścił go szybko, wypatroszył i zrobił z pół tuzina kotletów, które miano usmażyć wieczorem. Po czym puściliśmy się na dalsze polowanie, w którym Ned i Conseil mieli się jeszcze odznaczyć.

Bobrując po krzakach, wystraszyli gromadę kangurów uciekających na swych sprężystych nogach. Ale kule śpieszniej lecą niż zwierzęta.

— A to mi dopiero zwierzyzna — wołał Ned, zapalając się powrotem myśliwskim — szczególnie gdy odpowiednio przyrządzona! „Nautilus” będzie zaopatrzone przyzwocie. Dwa, trzy, pięć! Otóż zjemy wszystko sami, a tamtym durniom figa!

Rozradowany Kanadyjczyk gotów był wybić całe stado, ale za wiele gadał. Toteż nie zdobył więcej niż dwanaście sztuk tych zwierząt „workowatych”. Były to małe zwierzątka w rodzaju „kanguro-królików” mieszkających zwykle w wydrążeniach drzew, a szpar-  
kich<sup>144</sup> nadzwyczajnie. Najlepsze do jedzenia są te, których wielkość jest średnia.

Zachwyceni byliśmy wynikiem swego polowania. Ned, rozradowany, zamierzał powrócić znów jutro na tę czarodziejską wyspę, bo chciał z niej zabrać wszystko, co miało cztery nogi, a dało się jeść. Ale nie liczył na wypadki.

O szóstej wieczorem powróciliśmy na brzeg; łódź nasza stała, gdzieś ją zostawili, a „Nautilus” jakby długa skała leżał na morzu o jakie dwie mile od brzegu. Ned wziął się do wielkiej sprawy przyrządzania obiadu — a znał się na tym wybornie. Upieczone na węglach kotlety wydawały rozkoszną woń rozchodzącą się w powietrzu.

Ale, jak widzę, podążam w ślady Kanadyjczyka i oto zachwycam się pieczoną wieprzowiną. Proszę mi to wybaczyć, jak ja wybaczyłem mistrzowi Landowi i z tych samych powodów.

Dość, że obiad był doskonały, a dwa grzywacze<sup>145</sup> uwieńczyły to menu nadzwyczajne. Chleb z chlebowca, kilka mang, z pół tuzina ananasów i sok sfermentowany pewnego rodzaju orzechów kokosowych usposobiły nas wesoło. Zdaje się nawet, że pod ich wpływem władze umysłowe towarzyszków moich zaciemniły się nieco.

— A gdybyśmy tak nie wrócili na noc do „Nautilusa” — mówił Conseil.

— To lepiej nigdy już tam nie wracać! — dodał Ned Land.

W tej chwili u stóp naszych padł kamień i przerwał propozycję oszczepnika.

## PIORUN KAPITANA NEMO

Spojrzelśmy w stronę lasu, nie podnosząc się.

— Kamień ten nie spadł z nieba — rzekł Conseil — chyba byłby aerolitem.

Poparł tę uwagę drugi kamień, starannie zaokrąglony, wytrącając Conseilowi z ręki soczyste udko grzywacza.

Zerwaliśmy się wszyscy, gotowi wystrzałami odpowiedzieć na wszelką zaczepkę.

— Czy to małpy? — zawołał Ned Land.

— Coś bardzo podobnego — odpowiedział Conseil — bo dzicy.

— Do łodzi! — zawołałem, zwracając się ku morzu.

Istotnie trzeba było się cofać, bo zaledwie o sto kroków od nas, na skraju gąszczy, zasłaniającego widnokrąg z prawej strony, pokazało się ze dwudziestu krajowców uzbrojonych w łuki i proce.

O jakie dziesięć sążni od nas stało nasze czołno. Dzicy zbliżali się, nie biegnąc, ale nie skąpiąc nam oznak zaczepnych: gradu strzał i kamieni.

W jakie dwie minuty byliśmy już na brzegu. Co prędzej znieśliśmy nasze zapasy i broń do czołna, zepchnęliśmy je na wodę i założyliśmy wiosła. Ledwieśmy nieco odpłynęli, gdy około stu dzikich weszło w wodę do pasa, wyjąc i grożąc nam gestami. Spojrzałem na „Nautilusa”, żeby zobaczyć, czy zbliżający się goście nie wywołają na pokładzie jakiego ruchu. Ale nie! Ogromna maszyna leżała na wodzie — nikt się na niej nie pokazał.

W mało co więcej niż kwadrans byliśmy już na pokładzie; wejście było otwarte. Przyczepiliśmy łódź i weszliśmy do środka. Udałem się do salonu, w którym brzmiała muzyka. Był tam kapitan Nemo schylony nad organami, zatopiony w zachwycie muzycznym.

— Kapitanie! — zawołałem.

Nie słyszał mnie.

— Kapitanie! — powtórzyłem, dotykając jego ramienia.

— Ach! To pan — rzekł, drgnąwszy i obracając się ku mnie. — No i cóż? Powiodło się polowanie, nazbieraliście roślin?

— Dobrze poszło wszystko — odparłem — ale na nieszczęście sprowadziliśmy za sobą gromadę dwunogich istot, których bliskość wydaje mi się niepokojąca.

<sup>144</sup>szparki — szybki, zwinny. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>grzywacze — prawdopodobnie gołębie grzywacze. [przypis edytorski]



— Istot dwunogich?  
— Dzikich.  
— Dzikich! — rzekł kapitan ironicznie. — I cóż się pan dziwisz, żeś spotkał dzikich, wstępując na łód kuli ziemskiej. A gdzież ich nie ma? A wreszcie, czy ci, których dzikimi pan nazywasz, gorsi od innych?  
— Ależ, kapitanie!...  
— Co do mnie, spotykałem ich wszędzie.  
— Więc jeśli pan nie chcesz przyjąć ich na pokładzie „Nautilusa”, to trzeba przedsięwziąć pewne środki ostrożności.  
— Uspokój się pan, panie profesorze, nie ma się o co kłopotać.  
— Ale jest ich porządna gromada.  
— A iluż mniej więcej?  
— Najmniej stu.  
— Panie Arronax — rzekł kapitan Nemo, kładąc znów palec na klawisze — niech się tu zbiegną wszyscy krajowcy Papuazji! „Nautilus” się ich nie obawia.

Palce kapitana zaczęły przebiegać klawisze, ale uważałem, że dotykał tylko czarnych, co dawało melodii bardzo wydatny charakter szkocki. Zapomniał o mojej obecności, a ja także nie miałem zamiaru rozpraszać jego marzeń.

Wyszedłem na pokład. Noc już zapadła, bo pod tą szerokością słońce zachodzi bez zmięzchu. Wyspa Gueboroar przedstawiała się jak za mgłą — a liczne ognie, rozpalone na brzegu, wskazywały, że dzicy nie myśleli się oddalić.

Spędziłem w tej samotności kilka godzin, to myśląc o krajowcach — ale nie lękając się ich, wobec niezachwianej pewności, którą natchnął mnie kapitan, to zapominając o nich wobec rozkosznej piękności nocy podzwrotnikowej. Wspomnienia moje pobiegły ku Francji, w ślad za tymi gwiazdami zodiaku, które zapewne przyświecają już jej od kilku godzin. Księżyc jaśniał pośród konstelacji na zenicie. I pomyślałem, że wierny ten ziemi towarzysz powróci znów jutro na to samo miejsce, by podnieść wody morza i wyrwać „Nautilusa” z jego koralowego łożyska. Widząc, że na pociemniałych falach wszystko jest spokojne, równie jak pod drzewami na wyspie, udałem się około północy do mej kajuty i zasnąłem spokojnie.

Noc minęła bez wypadku. Widocznie Papuasi trwożyli się samym widokiem potwora osiadłego w zatoce — bo gdyby nie to, mogliby łatwo dostać się do wnętrza „Nautilusa”, którego pomost nie był zamknięty. O szóstej z rana dnia 8 stycznia wyszedłem na pokład, rano się rozjaśniał, wkrótce dostrzegłem pośród mgły podnoszącej się — naprzód po brzeże a potem i szczyty wyspy.

Krajowcy byli tam ciągle, ale daleko liczniejsi niż wczoraj, było ich z pięciuset lub sześciuset może. Niektórzy, korzystając z niskiej wody, doszli po wierzchołkach koralowych na jakie dwa węzły od statku — i dobrze ich było widać. Byli to prawdziwi Papuasi, ludzie pięknej rasy, o czole szerokim i wysokim, grubym, ale niesplaszczonym nosie, zębach białych. Ich wełniste czupryny, zafarbowane na czerwono, odbijały wydatnie od czarnego ciała, błyszczącego jak u Nubijczyków; w uszach, przeciętych u dołu i rozciągniętych, wisały ozdoby z kości, a prawie wszyscy byli zupełnie nadszy. Tylko pewna liczba kobiet, znajdujących się między nimi, odznaczała się osłoną, od bioder aż do kolan spadającą, niby kryoliną z liści, podtrzymywaną przepaską także roślinną. Niektórzy z dzikich, pewnie naczelnicy, mieli naszyjniki ze szkiełek czerwonych i białych; wszyscy prawie uzbrojeni byli w łuki, strzały i tarcze, a na plecach mieli rodzaj sieci, zawierających pozaokrągłane kamienie, które zręcznie umieli z procy wyrzucać.

Jeden z naczelników najbliższych „Nautilusa” przypatrywał mu się bacznie. Musiał to być jaki *mado* wysokiej rangi, bo był udrapowany w tkaninę z liści banana, wycinaną w zęby u dołu i zabarwioną jaskrawymi kolorami.

Łatwo mógłbym być go powalić, bo był dość blisko, ale wolałem czekać zaczepki z jego strony. W zajściach Europejczyków z dzikimi tym pierwszym przystoi odpierać drugich, ale nie napadać.

Dopóki woda była niska, krajowcy krążyli w bliskości „Nautilusa”, ale spokojnie się zachowywali. Słyszałem, jak wymawiając często wyraz *assai*, zapraszali mnie gestami, bym przybył na łód; nie zdawało mi się jednak właściwym usłuchać tego zaproszenia. Ned Land bardzo był markotny, że nie mógł tego dnia udać się na wyspę dla dopełnienia

swych prowizji; za to bardzo zręcznie zajmował się przyrządzaniem mięs i mąki sprowadzonych z wyspy. Co do dzikich, to około jedenastej z rana powrócili na ląd, bo morze zaczęło się podnosić i pokrywać wierzchołki koralowe. Ale liczba ich na pobrzeżu wzrosła jeszcze. Zapewne poprzybywali z wysp sąsiednich, czyli z właściwej Papuazji. A jednak nie spostrzegłem ani jednej łodzi.

Nie mając nic lepszego do roboty, chciałem zbadać tę piękną, przejrzystą wodę, na której dnie widać było pełno muszli, zwierzokrzewów i wodorostów morskich. Zresztą ostatni to już dzień spędziliśmy w tym miejscu, skoro nazajutrz mieliśmy udać się w inne strony, gdyby oczywiście spełniła się obietnica kapitana Nemo.

Kazałem Conseilowi, by mi przyniósł małą dragę, taką, jaką się łączy ostrzygi.

— A dzicy? — zapytał Conseil — choć zdaje mi się, że nie są złośliwi.

— A jednak są to ludożercy, mój kochany.

— Można być ludożercą, a poczciwym człowiekiem, tak jak można być poczciwym, choć się lubi smaczne kąski; jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Zgadzam się z tobą; niechże sobie oni będą poczciwymi ludożercami, niech poczciwie pożerają tych, co im wpadną w ręce. Że jednak nie mam ochoty, żeby mnie pożarto, choć uczciwie, więc będę się miał na ostrożności, bo, jak mi się zdaje, dowódca nasz nie myśli o tym, a teraz do roboty.

Przez dwie godziny pilnej czynności nic nie znaleźliśmy osobliwego. Wydobywaliśmy aurikule, harty, melanie wieżyczkowate i najpiękniejsze, jakie dotąd widziałem, młoty. Dostało się też nam nieco zwierzokrzewów z gatunku holoturii, muszel perłowych i pół tuzina małych żółwi, któreśmy do kuchni ogólnej oddali.

Ale gdym się tego najmniej spodziewał, spotkałem coś cudownego, a właściwie mówiąc, kalectwo naturalne, rzadko spotykane. Conseil zdziwił się, gdy wyciągnąwszy dragę pełną muszli pospolitych, zobaczył, że ja nagle zapuściłem rękę w sieć i wydobyłem jakąś muszlę z okrzykiem najdonioślejszym, jaki wydać może gardło człowiecze, okrzykiem konchyliologa.

— Co się im stało? — zapytał zdziwiony — czy ich co ugryzło?

— Bynajmniej, mój drogi, ale dałbym palec za to, com znalazł!

— A cóż to takiego?

— Oto ta muszla — rzekłem, pokazując mu triumfalnie moją zdobycz.

— Ależ to po prostu ślimak, zwany oliwką porfirowaną. — I zaczął wymieniać swoje terminy klasyfikacyjne.

— Tak, tak, to oliwka, ale patrz, zamiast być skręcony z prawej strony ku lewej, skręcony jest od lewej ku prawej.

— Czy to być może?

— Tak, mój kochany, to muszla lewa.

— Lewa! — powtórzył Conseil z bijącym sercem.

— Patrz na jej skręty.

— Niech mi pan wierzy — mówił Conseil, biorąc muszlę do ręki — jeszcze się nigdy nie czułem tak wzruszony.

Rzeczywiście było się czym wzruszyć. Wiadomo to bowiem z postrzeżeń naturalistów, że podług prawa natury wszystko idzie od prawej do lewej strony (*dextrositas*). Planety i ich satelity krążą i obracają się około swej osi od prawej strony do lewej. Człowiek używa częściej prawej niż lewej ręki, z czego wynika, że jego wytwory, jak: schody, zamki, sprężyny w zegarkach itp., są urządzone tak, aby służyły z prawej ku lewej stronie. Natura w ogóle wierna jest temu samemu prawu w skręcaniu muszli — są one z małym wyjątkiem prawe; a takie, które przypadkiem zrobi lewymi, płacone są przez miłośników na wagę złota!

Zapatrzyliśmy się, ja i Conseil, na nasz skarb; obiecywałem sobie wzbogacić nim prawdziwie jakie muzeum — gdy wtem, jakby naumyślnie, kamień, ciśnięty przez jednego z dzikich, strzaskał muszlę w rękę Conseila.

Krzyknąłem rozpaczliwie. Conseil pochwycił moją strzelbę i wycelował do dzikiego, wywijającego swą procą, o jakie dziesięć metrów. Chciałem powściągnąć Conseila, ale strzał padł i strzaskał naramiennik z amuletów, który wisiał na ręku dzikiego.

— Conseil, co robisz? — zawołałem.

— A cóż! Alboż to nie ten nas zaczepił?

— Ależ muszla nie warta życia ludzkiego — rzekłem.

— Łotr jakiś — krzyknął Conseil — wolałbym, żeby mi rękę zgruchotał.

Conseil mówił szczerze, ale ja nie byłem jego zdania! Jednak położenie zmieniło się od niejakiego czasu, chociaż nie spostrzeżliśmy tego. Około dwudziestu łodzi otaczało „Nautilus”. Łodzie te, czyli pirogi, wyłobione z pni drzew, wąskie, dobre do pośpiesznej żeglugi, utrzymywały się w równowadze za pomocą dwu pływaków bambusowych, umieszczonych na powierzchni wody. Kierujący nimi na pół nadzy wiosłarze byli zręczni; toteż nie bez pewnego niepokoju patrzyłem na zbliżanie się łodzi.

Widocznie Papuasi ci znali się już z Europejczykami i ich statkami. Ale nasz długi cylinder żelazny leżący w zatoce, bez masztów, bez komina, powinien ich być zdziwić. Że mieli nieprzyjazne zamiary, dowód już w tym, że się zrazu trzymali z daleka; ale widząc nieruchomość statku, nabrali otuchy i chcieli się z nim oswoić. Właśnie do tego oswojenia się nie należało dopuścić.

Naszą bronią niewydającą odgłosu niewielkie mogliśmy na nich zrobić wrażenie, bo dzicy szanują głównie to, co robi łoskot. Piorun bez grzmotu nie przerażałby ludzi, choć niebezpieczna jest błyskawica, a nie jej odgłos.

W tej chwili pirogi posunęły się jeszcze bliżej ku naszemu statkowi, na który spadła chmura strzał.

— Do diabła, to prawdziwy grad! — krzyknął Conseil — a może jeszcze zatruty.

— Trzeba dać znać kapitanowi — rzekłem, wchodząc do wnętrza.

W salonie nie było nikogo; pozwoliłem sobie zapukać do drzwi prowadzących do pokoju kapitana. Wyraz „proszę” odpowiedział mi. Zastałem kapitana pogrążonego w jakimś rachunku, w którym pełno było iksów i innych algebraicznych znaków.

— Czy przeszkadzam? — zapytałem grzecznie.

— Rzeczywiście, zajęty jestem, panie profesorze; ale zapewne ważne pobudki sprowadziły tu pana.

— Bardzo ważne. Łodzie krajowców otoczyły nas i zapewne za kilka minut najdzie nas kilkuset tych napastników.

— Aa! — rzekł spokojnie kapitan Nemo — to oni przybyli na swoich pirogach?

— Na pirogach.

— A więc trzeba zamknąć wejście.

— Ja też to chciałem powiedzieć.

— To bardzo łatwo — rzekł kapitan i nacisnął guzik elektryczny mający ponieść odpowiedni rozkaz.

— Już zrobione — rzekł po chwili. — Nasza łódź jest w miejscu właściwym, a klapy zamknięte. Przecież się pan nie obawiasz, aby ci panicze rozwalili ściany, którym nie mogły dać rady kule waszej fregaty.

— Tego się nie obawiam, kapitanie; ale jest inne niebezpieczeństwo.

— A jakie, panie Aronnax?

— Jutro o tej samej godzinie trzeba będzie otworzyć klapy dla odświeżenia powietrza w „Nautilusie”.

— Ani słowa, skoro nasz statek oddycha jak wieloryb.

— Więc jeśli wówczas Papuasi będą na platformie, to nie wiem, jak pan wzbroni im wejścia.

— To pan przypuszczasz, że wejdą na statek?

— Pewny jestem tego.

— A więc niech wejdą, na co im przeszkadzać. W gruncie są to biedacy, ci Papuasi! I nie chcę, żeby moje nawiedzenie wyspy Gueboroar przyprawiło choć jednego z nich o stratę życia.

Powiedziawszy, co miałem do powiedzenia, chciałem odejść, ale kapitan zatrzymał mnie i zaprosił, bym usiadł przy nim. Rozpytywał się o naszą wycieczkę na wyspę, o nasze polowanie i nie okazywał tej potrzeby świeżego mięsa, jaka dokuczała Kanadyjczykowi. Rozmowa dotyczyła różnych przedmiotów i choć kapitan nie pozbył się swej tajemniczości, jednak uprzejmiejszy był niż zwykle.

Między innymi mówiliśmy o obecnym położeniu „Nautilusa”, który uwiązał właśnie w tym samym miejscu, gdzie o mało nie zginął Dumont d’Urville. Z tego powodu kapitan rzekł:

— Był to jeden z waszych najzdolniejszych żeglarzy. To wasz Cook francuski. Nie-szczęśliwy uczone! Ocalał wśród lodowców południowego Oceanu Lodowatego, wśród raf koralowych Oceanii, wśród ludożerców Pacyfiku po to, aby zginąć marnie w pociągu kole-i żelaznej<sup>146</sup>. Jeżeli energiczny ten człowiek miał jeszcze czas zastanowić się nad tym w ostatnich chwilach życia, można wyobrazić sobie, jak okropne były to myśli.

Mówiąc to, kapitan Nemo zdawał się być wzruszony, co zalecało go<sup>147</sup> w mym pojęciu.

Oglądaliśmy na mapie drogi, którymi żeglarz ów francuski świat wokoło opływał, rozważaliśmy dwukrotne jego usiłowania zbliżenia się do bieguna południowego, które spowodowały odkrycie ziem Amalii i Ludwika Filipa; wreszcie jego badania hydrogra-ficzne nad głównymi wyspami Oceanii.

— Co wasz d'Urville zrobił na powierzchni morza — mówił kapitan Nemo — to ja czynię wewnątrz oceanu, a łatwiej i zupełnie od niego. Jego okręty: „Astrolab” i „Gorli-wa”, tłuczone ciągle huraganami, nie mogą być porównane z „Nautilusem”, tym cichym gabinetem pracy, prawdziwie spokojnym wśród wód.

— A jednak — odparłem — jest niejaki podobieństwo między korwetami d'Urville'a i pańskim statkiem.

— A to jakie, panie Aronnax?

— Bo i „Nautilus” osiadł na mieliźnie.

— Nie osiadł na mieliźnie, panie profesorze — odrzekł zimno kapitan — bo „Na-utilus” jest do tego, aby osiadać na dnie morskim, a ja nie podejmuję prac niesłychanych i wysień, jakie podjąć musiał d'Urville, aby spłynąć na wodę. Jego okręty o mało co nie zginęły, mój nie jest nawet zagrożony. Jutro więc, w dniu naprzód wskazanym, w godzinie oznaczonej przyplływ podniesie nas i znów puścimy się na żeglugę przez morze.

— Ani wątpisz, kapitanie...

— Tak, jutro — dodał kapitan, powstając — jutro o godzinie drugiej minut czter-dzieści po południu „Nautilus” spłynie i bez uszkodzenia opuści cieśninę Torresa.

Wyrzekłszy sucho te słowa, uklonił mi się lekko, co znaczyło, że mam odejść; posze-dłem więc do mej kajuty. Zostałem tam Conseila ciekawego mej rozmowy z kapitanem.

— Mój kochany — powiedziałem mu — kapitan bardzo ironicznie przyjął moje zawiadomienie, że „Nautilus” jest niejako zagrożony przez dzikich Papuasów. Cóż więc-ciej mam ci powiedzieć? Zaufaj mu i idź spać.

— Nie potrzebują czego ode mnie?

— Nic nie potrzebuję. A co robi Ned Land?

— Ned Land robi pasztet z kangura i powiada, że to będzie wyborne.

Zostawszy sam, położyłem się, ale nie spałem, jak należy. Słyszałem kroki dzikich na pokładzie i ich ogłuszające krzyki. Tak przeszła noc, bo osada<sup>148</sup> ani się ruszyła. Tyle ją obchodzili kanibale, co obchodzą dobrze uzbrojoną fortecę mrówki chodzące po jej murach.

Wstałem o szóstej. Okrętu nie otworzono, więc powietrze świeże nie weszło do wną-trza; ale zbiorniki napełnione nim na wszelki wypadek zasilily kilku metrami sześcien-ny mi tlenu ogołoconą z niego atmosferę „Nautilusa”. Pozostałem u siebie aż do południa, nie widząc wcale kapitana Nemo. Nie zdawało się, żeby na statku czyniono jakie przy-gotowania do podróży.

Poczekawszy jeszcze trochę, udałem się do salonu. Zegar wskazywał wpół do trzeciej, więc za dziesięć minut przyplływ powinien był osiągnąć najwyższej wysokości i jeśli kapitan nie zanadto zuchwale obiecywał, to „Nautilus” spłynie. Inaczej całe miesiące może być uwięziony w swym łożu koralowym.

Dało się jednak już uczuć kilka drgnień w kadłubie statku, niby przepowiednia tego, co nastąpi; było słyhać, jak się kruszyły nierówności dna koralowego. Pięć minut po wpół do trzeciej zjawił się w salonie kapitan Nemo.

— Zabieramy się do drogi — rzekł.

— Ach! — wykrzyknąłem lekko.

— Kazałem otworzyć wejście na pokład.

<sup>146</sup> Dumont d'Urville (...) ocalał wśród lodowców (...) aby zginąć marnie w pociągu kolei żelaznej — w 1842 r., nie mogąc wydostać się z zamkniętego wagonu, w którym wybuchł pożar. [przypis redakcyjny]

<sup>147</sup>co zalecało go — dziś: co było jego zaletą. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>osada — tu: załoga. [przypis edytorski]

— A Papuasi?  
— Papuasi? — odpowiedział kapitan, wzruszając nieco ramionami.  
— Gotowi wejść do wnętrza statku.  
— A to jak?  
— Przez wejście, które pan każesz otwierać.  
— Panie Aronnax, niekoniecznie można wejść do „Nautilusa”, choć otwory nie są zamknięte.

Otworzyłem szeroko oczy.

— Pan mnie nie rozumie? — zapytał.

— Nie rozumiem — odpowiedziałem.

— No, to pan zobaczysz.

Poszedłem ku głównym schodom. Już tam byli Conseil i Ned Land i przyglądali się ciekawie, co to będzie, gdy wejście zostanie otwarte; z zewnątrz słychać było wrzaski przeraźliwe i nawoływania.

Gdy odsunięto pokrywy, pokazało się ze dwadzieścia strasznych postaci. Ale zaraz pierwszy krajowiec, który położył rękę na poręczy schodów, odrzucony został nie wiem jaką siłą i uciekł, krzycząc wniebogłosy, wyłamując się w kształty potworne. Dziesięciu innym, którzy wejść próbowali, to samo się stało.

Conseil był zachwycony. Gwałtowniejszej natury Ned Land nie mógł wytrzymać na miejscu i rzucił się ku schodom. Ale gdy chwycił się poręczy, wywróciło go coś natychmiast.

— Do tysiąca szatanów! — zawołał. — Piorun we mnie uderzył!

Te jego wyrazy objaśniły mi wszystko. To już nie była poręcz, ale sztaba metalowa naelektryzowana: kto się jej dotknął, musiał doznać strasznego wstrząśnienia — a byłoby ono śmiertelne, gdyby był kapitan Nemo puścił prąd elektryczny całą siłą. Śmiało można było powiedzieć, że kapitan odgradził się od napastników nieprzebytą siecią elektryczną.

Przeżęci Papuasi umknęli, a my, śmiejąc się na poły, uspakajaliśmy i tarliśmy biednego Ned Landa klnącego jak potępieniec.

Tymczasem „Nautilus”, wzniesiony ostatnimi przybierającymi falami, wzniósł się ze swego koralowego łoża właśnie o czterdziestej minucie na trzecią, jak kapitan zapowiedział. Śruba uderzyła wodę ze wspaniałą powagą. Szybkość statku zwiększała się stopniowo i płynąc po wierzchu wód, opuścił nieuszkodzony niebezpieczne mielizny cieśniny Torresa.

## *Aegri somnia* <sup>149</sup>

Nazajutrz, 10 stycznia, „Nautilus” zapaścił się pod powierzchnię morza i płynął z uderzającą szybkością, mogącą wynosić trzydzieści pięć mil na godzinę. Obroty śruby były tak śpieszne, że nie mogłem ich dojrzeć ni policzyć.

Kiedym sobie pomyślał, że ów cudowny czynnik elektryczny dawał statkowi nie tylko światło, ruch, ciepło, ale i bronił go jeszcze od napaści zewnętrznych, zamieniał go w świętą niejako arkę, której żaden bezcześnik<sup>150</sup> nie mógł dotknąć, żeby nie został piorunem rażony — podziwienie moje nie miało granic i przenosiło się z dzieła na jego twórcę.

Posuwaliśmy się prosto ku zachodowi i 11 stycznia minęliśmy Przylądek Wessla, położony pod 135° długości, a 10° szerokości północnej, tworzący wschodni cypel Zatoki Karpentaryjskiej. Skały podwodne były tu jeszcze liczne, ale rzadziej rozrzucone i wskazane na mapie z największą ścisłością. „Nautilus” ominął z łatwością ławicę Money, zawracając na prawo, a skały Wiktorii, biorąc się na lewo — jedno i drugie leżące pod 130° długości, a na tym samym dziesiątym równoleżniku, którego się starannie pilnowaliśmy.

Dnia 13 stycznia przybyliśmy na wody otaczające wyspę Timor leżącą pod 122° długości. Wyspą tą, mającą tysiąc sześćset dwadzieścia pięć mil powierzchni, rządzi radża, którego książęce plemię zowie się potomstwem krokodyłów — zaszczyt najwyższy, do jakiego istota ludzka może mieć pretensję. Toteż starożytni jego łuską pokryci przodkowie, których pełno w rzekach wyspy, otaczani są czcią szczególną. Protegowani, pieszczeni,

<sup>149</sup>*aegri somnia* (łac.) — ciężkie sny. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>*bezcześnik* — osoba niemająca czci a. bezczeszcząca coś. [przypis edytorski]

szanowani, żywieni, dostają w ofierze młode dziewczęta do pożarcia. Biada cudzoziemcowi, który by się powążył podnieść rękę na ten święty ród jaszczurczy.

Ale „Nautilus” nie miał nic do czynienia z tymi potworami. Toteż patrzyliśmy na wyspę tak długo tylko, dopóki pomocnik kapitana nie zdjął jej położenia. Równie przelotnie oglądaliśmy wysepkę Rotti do tej samej grupy należąca i której kobiety uchodzą za piękności bardzo cenione na targowiskach malajskich.

Z tych okolic zwróciliśmy się ku południo-zachodowi, płynąc w stronę Oceanu Indyjskiego. Gdzież nas prowadzi ten fantasta, kapitan Nemo? Czy zawróci ku brzegom Azji, czy też posunie się ku Europie? Jedno i drugie nie zdawało się prawdopodobne u człowieka, który uciekał od lądów zamieszkanymi. A więc może puści się na południe, okrąży Przylądek Dobrej Nadziei, potem Przylądek Horn i rzuci się ku biegunowi południowemu? A może będzie wolał udać się na Ocean Spokojny, po którym „Nautilus” żeglować może łatwo i niezależnie? Przyszłość miała nam to wyjaśnić.

Minąwszy skały Cartier, Hibernia, Seringapatam, Scotta, ostatnie te dowody walki lądu z morzem, byliśmy dnia 14 stycznia zdala od wszelkiej ziemi. „Nautilus” zwolnił niezmiernie swoją szybkość, płynąc kapryśnie to głębią wód, to na ich powierzchni.

Kapitan Nemo czynił zajmujące spostrzeżenia podczas tej podróży, co do temperatury rozmaitej morza w różnych jego warstwach. W zwyczajnych warunkach żeglarskich potrzeba narzędzi dosyć skomplikowanych do takich badań, których wyniki są przy tym wątpliwe — czy to będą sondy termometryczne, czy przyrządy zasadzające się na różnicy oporu metali stawianego prądom elektrycznym. Wyniki tymi przyrządami otrzymywane nie dadzą się dokładnie sprawdzić. Inaczej było z kapitanem Nemo; on sam zapuszczał się w głębie morza, by badać ich temperaturę — a wprowadzając swój termometr w związek z różnymi pokładami płynnymi, otrzymywał bezpośrednio i nieomylnie wskazówkę ciepłoty szukanej. I czy to napełniając swe zbiorniki, czy też zanurzając się ukośnie po płynnej pochyłości, sięgał „Nautilus” głębi trzech, czterech, pięciu, dziewięciu i dziesięciu tysięcy metrów — zawsze wynik doświadczeń był ten sam, a mianowicie: że temperatura morza w głębi tysiąca metrów wynosi pod każdą szerokością cztery i pół stopnia.

Mocno mnie zajmowały te badania, a kapitan Nemo brał się do nich z prawdziwym zapałem. Często sobie zadawałem pytanie: jaki on miał w tym cel? Nie zdawało się, by je chciał oddać na korzyść ludzi, bo prędzej czy później wynik jego dochodzeń zginie wraz z nim w nieznanach głębinach morskich. Chyba, że miał zamiar mnie powierzyć wyniki swych doświadczeń! Ale w takim razie należało przypuścić, że się raz skończy ta szczególna podróż moja — a nie zdawało mi się, żeby się na to zanosilo.

Bądź co bądź jednak, kapitan Nemo przedstawił mi również cały szereg liczb będących wynikiem jego badań osobistych, a tyjących się stosunku gęstości wód w głównych morzach świata. Liczby te doprowadziły mnie do wniosków, wprawdzie interesujących dla mnie, ale zgoła nienaukowych.

Było to dnia 15 stycznia. Przechadzałem się z kapitanem po platformie. Zapytał mnie, czy jest mi znana rozmaita gęstość wód morskich. Przyznałem się do mej pod tym względem nieświadomości, dodając, że nauka nie posiadała jeszcze badań ścisłych w tej sprawie.

— Dokonywałem tych badań — rzekł — i mogę zaręczyć za ich nieomyślność.

— Wierzę — odparłem — ale „Nautilus” jest światem dla siebie, a tajemnice zdobyte przez uczonych znajdujących się na jego pokładzie nie dojdą do ludzi zamieszkujących ziemię.

— To prawda, panie profesorze. „Nautilus” jest światem dla siebie — mówił kapitan po chwili milczenia. — Tym samym są dla ziemi planety towarzyszące jej w biegu nokoło słońca: i nigdy praca uczonych na Saturnie lub Jowiszu nie będzie znana uczonym na ziemi. Ale ponieważ przypadek zetknął moje istnienie z pańskim, to panu udzielię wyników mych badań.

— Słucham, panie kapitanie.

— Wiadomo panu, że woda morska gęstsza jest niż słodka; ale ta gęstość nie jest jednostajna. Oznaczając gęstość wody słodkiej przez jednostkę, trzeba do niej dolożyć dwadzieścia sześć tysięcznych (1,026) dla Oceanu Spokojnego, trzydzieści tysięcznych (1,030) dla Morza Śródziemnego...

„Aha! — pomyślałem sobie — to on i na Morze Śródziemne zagląda!”

— Osiemnaście tysięcy (1,018) dla Morza Jońskiego, a dwadzieścia osiem tysięcy (1,028) dla Adriatyku.

Widocznym było dla mnie, że „Nautilus” nie unikał mórz europejskich — z czego wniosłem, że nas kapitan zawiezie, może niedługo, ku łądom bardziej cywilizowanym. Zdawało mi się, że Ned Land dowie się o tym z zadowoleniem.

Kilka dni z rzędu zeszło nam na doświadczeniach wszelkiego rodzaju dotyczących się stopnia słoności wody morskiej w różnych głębokościach, ich elektryczności, zabarwienia, przejrzystości — a w każdej okoliczności kapitan Nemo rozwijał genialność, której dorównywała tylko uprzejmość jego dla mnie. I znów przez kilka dni nie widziałem go wcale, żyłem jak samotnik na statku.

Dnia 16 stycznia „Nautilus” zdawał się drzemać o kilka tylko metrów pod wodą. Przyrządy jego elektryczne stały nieczynne, śruba była nieruchoma — dawał się więc unosić prądom. Przypuszczałem, że osada zajmuje się wewnętrznymi reperacjami, które mogły być niezbędne z powodu gwałtownej działalności mechanicznej, do jakiej maszyna bywała zmuszona.

Wówczas to i ja, i moi towarzysze ujrzeliśmy ciekawe zjawisko. Ściany salonu były odsłonięte. Latarnia na „Nautilusie” nie płonęła, panował więc na statku pograżonym w wodę jakiś mrok nieokreślony. Niebo burzliwe i gęstymi pokryte chmurami dopuszczało do pierwszych warstw wody światło bardzo niedostateczne. W tym świetle najogromniejsze ryby wydawały się jak cienie ledwie nieco zarysowane — gdy nagle „Nautilus” wpłynął w mocną światłość. Zdawało mi się zrazu, że zapalono latarnię, w której światło elektryczne rozlewało się na wodę; myliłem się, a szybka obserwacja wykazała mi moją pomyłkę.

„Nautilus” pływał wśród pokładów wody nafosforyzowanych, a tym więcej błyszczących, że je otaczały pokłady ciemne. Fosforyzacja ta pochodziła od niezliczonych ciałek świetlnych, których blask wzmagał się przy tarcu o metalowy pancerz statku. Wówczas jakby błyskawice tryskały z tych błamów świetlnych niby strugi ołowiu roztopionego w piecu ognistym albo masy metaliczne rozżarzone do białości. To różne iskrzenie się czyniło dla oczu wrażenie tła świetlnego, przeszywanego ognistymi pociskami; światło zamieniało się w cień tam, gdzie żadnego cienia nie było. Nie było to już łagodne promieniowanie zwykłego naszego światła; była to potęga niezwykła i ruch niezwykajny! Widać było, że światło żyje.

Żyło istotnie, bo było to nagromadzenie niezliczonych wymoczków morskich wielkości ziarnka prosa; kuleczek materii przezroczystej opatrzonych mackami nitkowatymi, których naliczono aż dwadzieścia pięć tysięcy w trzydziestu centymetrach sześciennych wody. Światło ich zwiększało się jeszcze światłem właściwym meduzom, gwiazdom morskim, aureliom, pholadom i innym zwierzokrzewom fosforyzującym — migocącym w tłustości istot organicznych, rozłożonych wodą morską, a może w śluzie rybnym.

„Nautilus” długo płynął po tych błyszczących falach, a myśmy się dziwili, widząc wielkie zwierzęta morskie igrające w nich niby bajeczne salamandry. Patrzyliśmy na pograżone w tym nieparzącym płomieniu zwinne i zgrabne delfiny, te niestrudzone pajace morza — trzymetrowe żeglarki, te pewne zwiastuny burzy, których długie ramiona dotykały niejednokrotnie okien salonu. Pokazały się także ryby mniejsze, np.: rogatnice różnego rodzaju, makrele, likorny i pełno innych, kreślących przelotne rysy w rozświetlonych wodach.

Czarodziejski i olśniewający był to widok. Być może, że pewne warunki atmosferyczne powiększyły wydatność tego zjawiska — może burza się zbierała na powierzchni wód; ale w tej głębokości kilku metrów „Nautilus” nie czuł jej mocy i bujał łagodnie wśród spokojnej głębi.

I tak płynęliśmy, wciąż zachwycając się nowymi cudami. Conseil obserwował zwierzokrzewy, mięczaki, ryby. Dzień upływał tak szybko, że ani się człowiek obejrzał. Ned, podług swego zwyczaju, myślał o urozmaiceniu pożywienia. Każdy z nas był jak ślimak w swej własnej skorupie — i zdaje mi się, że nietrudno byłoby człowiekowi w prawdziwego zamienić się ślimaka.

Był taki zdawał się nam łatwy i naturalny; zapomnieliśmy niejako, że na powierzchni kuli ziemskiej istnieje jakieś życie inne niż nasze — gdy wypadek przypominał nam wyjątkowość naszego położenia.

Znajdowaliśmy się dnia 18 stycznia pod 105° długości a 15° szerokości geograficznej; pogoda była niepewna, morze się bałwanilo, wiatr wschodni dął dość silnie. Barometr stojący nisko od kilku dni zapowiadał teraz walkę żywiołów.

Wyszedłem na pokład właśnie w chwili, gdy porucznik okrętowy mierzył kąty godzinowe. Czekałem, jak to bywało moim zwyczajem, aż wypowie zwykłą swą relację. Ale tego dnia zamiast niej posłyszałem jakiś inny frazes, równie dla mnie niezrozumiały — i prawie natychmiast zobaczyłem kapitana Nemo, jak uzbrojony lunetą rozglądał się po widnokregu.

Stał tak kilka minut nieruchomy, nie spuszczać oka z przestrzeni szkłem lunety objętej; potem ją opuścił i zamienił kilka wyrazów z porucznikiem, który zdawał mi się być miotany jakimś wzruszeniem, daremnie powściąganym. Kapitan lepiej panował nad sobą i pozostał chłodny; zdawał się zresztą robić porucznikowi jakieś uwagi, na które ten odpowiadał zapewnieniem bardzo stanowczym. Tak przynajmniej wnosłem z różnicy w ich tonie i gestach.

I ja także starannie przepatrywałem przestrzeń w kierunku, w jakim tamci zwracali swą uwagę, ale nic nie dojrzałem. Woda i niebo zlewały się w jedną linię widnokregową, niczym nieprzerwaną.

Kapitan Nemo przechadzał się po pokładzie, nie patrząc na mnie a może i nie widząc mnie. Chód jego był pewny, choć nie tak regularny jak zwykle. Zatrzymywał się niekiedy, a skrzyżowawszy ręce na piersiach, przyglądał się morzu. Czego szukał w niezmierzonej przestrzeni? „Nautilus” był o jakie kilkaset mil od najbliższego lądu!

Porucznik wziął znów lunetę i uporczywie badał widnokrąg, to posuwając się naprzód, to cofając, niekiedy uderzając nogą o podłogę; nerwowe to jego usposobienie dziwnie odbijało wobec spokoju kapitana.

Powinno się było wszystko wkrótce wyjaśnić, bo na rozkaz kapitana śruba podniecona wzmacnioną działalnością maszyn zaczęła się szybciej obracać.

W tej samej chwili porucznik zwrócił znów na coś uwagę kapitana, który, wstrzymawszy swą przechadzkę, skierował lunetę na punkt wskazany i długo się przypatrywał. Zaintrygowany nie żartem<sup>151</sup> pobiegłem do salonu i przyniosłem doskonałą perspektywę, której zwykle używałem; oparłszy ją na wystającej klatce latarniowej, zabierałem się do zbadania całej linii zetknięcia się morza z niebem. Ale się jeszcze nie przyłożył, jak należało, gdy mi wyrwano perspektywę z ręki.

Obróciłem się. Przede mną stał kapitan Nemo zmieniony nie do poznania. Twarz jego przeobraziła się. Oczy, palające ogniem ponurym, kryły się pod brwiami ściągniętymi. Spod warg rozchylonych widniały zęby. Ciało sztywne, pięści zaciśnięte, głowa wtulona pomiędzy ramiona, zwiastowały nienawiść gwałtowną, którą zdawała się dyszeć cała jego postać. Stał nieruchomy; moja perspektywa wypadła mu z ręki i potoczyła się do stóp jego.

Czy to ja byłem mimowolnym powodem tej gniewnej demonstracji? Czyżby się zdawało temu niepojętemu człowiekowi, że odkryłem jakąś tajemnicę, której goście na „Nautilusie” nie powinni byli wiedzieć<sup>152</sup>?

Ale nie! Nie ja to byłem przedmiotem tej nienawiści kapitana, bo nie patrzył na mnie, a oko jego uporczywie zwrócone było na niezbadany przeze mnie punkt widnokregu.

Na koniec kapitan Nemo zapanował nad sobą. Twarz jego, tak niezmiernie przed chwilą zmieniona, przybrała zwykły spokój. Przemówił do porucznika kilka wyrazów w mowie mi nieznanej, a potem rzekł do mnie tonem prawie rozkazującym:

— Panie Aronnax, żądam, abys pan dotrzymał jednego z danych mi przyrzeczeń.

— O co idzie, kapitanie?

— Dasz się pan zamknąć ze swymi towarzyszami, dopóki nie uznam za stosowne uwolnić was.

<sup>151</sup>zaintrygowany nie żartem — dziś: zaintrygowany nie na żarty. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>tajemnicę, której (...) nie powinni byli wiedzieć — dziś: tajemnicę, której nie powinni znać; powinni byli: forma daw. czasu zaprzeczonego, dziś: powinni (przedtem, wcześniej). [przypis edytorski]



— Masz pan prawo rozkazywać — odpowiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. — Ale chciałbym się pana o jedną rzecz zapytać.

— O nic, panie profesorze.

Nie było co rozprawiać po takim powiedzeniu, tylko należało być posłusznym, bo wszelki opór byłby daremny. Zszedłem do kajuty zajmowanej przez Conseila i Ned Landa i opowiedziałem im o postanowieniu kapitana. Łatwo się domyślić, jak to przyjął Kanadyjczyk — a wreszcie nie pora była wdawać się w rozprawę. Czterech ludzi należących do załogi stało już u drzwi; zaprowadzili nas do tej samej celi, w której spędziliśmy pierwszą noc po wstąpieniu na pokład „Nautilusa”.

Ned Land począł protestować przeciw rozkazowi kapitana, ale za całą odpowiedź zamknęto drzwi za nami.

— Cóż na to powiedzą? — zapytał mnie Conseil.

Opowiedziałem mym towarzyszom, co zaszło; dziwili się równie jak ja, ale tyleż co i ja rozumieli.

Pogrążyłem się w myślach, a dziwny wyraz twarzy kapitana nie schodził mi z oczu. Niepodobna mi było skleić z sobą dwóch myśli rozsądnych; zapuszczałem się w najdorzeczniejsze<sup>153</sup> przypuszczenia, gdy następujące wyrazy Neda Landa wyrwały mnie z zadumy.

— Patrzcie państwo! Tu jest śniadanie!

Istotnie, śniadanie było zastawione. Widocznie kapitan wydał co do tego rozkaz równocześnie z przyspieszeniem ruchu statku.

— Niech pozwolą — rzekł Conseil — abym im dał jedną radę.

— Mów, mój chłopcze, mów.

— A to niech jedzą śniadanie; będzie to najroztropniej, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć.

— Masz słuszność, Conseil.

— Na nieszczęście — wtrącił Ned Land — dali nam tylko to, co zwykle jadają na statku.

— Mój bracie — odrzekł Conseil — czy wolałbyś, żeby wcale nic nie dali?

Ta uwaga położyła koniec wszelkim uwagom oszczepnika.

Zasiedliśmy do stołu i jedliśmy w milczeniu. Ja nie miałem apetytu, Conseil przymuszał się, jak mówił, żeby jeść przez prostą ostrożność; ale Ned Land posuwał się jak najdalej i nie darował ani kawałkowi. Podjadłszy, każdy z nas oparł się o ścianę w swoim kąciku.

W tej chwili zgasła kula świetlana oświetlająca kajutę i otoczyła nas ciemność najzupełniejsza. Ned Land usnął niebawem i Conseil także. Zacząłem rozważać, jakie mogą być powody, że ten czujny chłopiec zasnął, gdy i sam poczułem jakąś ociężałość mózgu. Chciałem mieć oczy otwarte, a zamykały mi się gwałtem. Ogarnęły mnie jakieś przykre widziadła. Niezawodnie dodano nam do śniadania czegoś usypiającego. Więc nie dosyć, że nas zamknęto, żebyśmy nie wiedzieli, co się dzieje, ale jeszcze zamierzano nas uspić.

Posłyszałem, jak zamykano okiennice; ustało lekkie kołysanie się statku na falach. Czyżby „Nautilus” opuścił powierzchnię oceanu i zapuścił się w warstwę wód spokojnych?

Chciałem walczyć z napadającą mnie sennością, ale daremnie. Oddech mi osłabł, śmiertelne dreszcze zaczęły przebiegać po ociężałych i jakby obezwładnionych członkach. Powieki jakby pokrywki z ołowiu zapadały mi na oczy. Senność chorobliwa zbudziła mi w mózgu jakieś widziadła; rozproszyły się one, ale dlatego tylko, że zapadł w zupełną nicość.

## PAŃSTWO KORALOWE

Nazajutrz zbudziłem się z głową bardzo lekką i zdziwiłem się niezmiernie, widząc się w mojej kajucie. Moi towarzysze zapewne zostali także do swojej przeniesieni, nie wiedząc o tym. Prawdopodobnie nie wiedzieli równie jak i ja, co zaszło owej nocy na okręcie. Chyba jaki wypadek w przyszłości odkryje nam tę tajemnicę.

Nie miałem co robić u siebie; trzeba było spróbować, czym jeszcze jeńcem czy wolnym. Pokazało się, że byłem wolny. Otworzyłem drzwi, przeszedłem korytarz i wszedłem

<sup>153</sup>najdorzeczniejszy — najprawdopodobniejszy. [przypis edytorski]

na schody główne. Okiennice, które zamknięto wczoraj, były teraz otwarte. Wyszedłem na platformę.

Już tam byli Conseil i Ned Land. Zapytywałem ich, czy nie wiedzą, co się działo, ale nic nie wiedzieli. Zasnąwszy snem ciężkim, w którym zatoneły wszystkie ich wspomnienia, rozbudzili się z niego bardzo zdziwieni, bo znaleźli się istotnie w swojej kajucie.

„Nautilus” wydawał się nam równie spokojny i tajemniczy jak zawsze; płynął po powierzchni z umiarkowaną szybkością — a zdawało się, że się nic na pokładzie nie zmieniło. Ned Land bystrym wzrokiem przepatrywał morze, ale nic nie dostrzegł: ani żagla, ani łądu. Wszędzie widniały tylko wydłużone i jakby czesane wiatrem fale, na których statek kołysał się dosyć silnie.

„Nautilus”, odświeżywszy swoje powietrze, pogrążył się znów na jakie piętnaście metrów, aby wkrótce szybko wrócić na powierzchnię fal — co się też niejednokrotnie powtarzało w tym dniu 19 stycznia i wbrew zwyczajowi. Za każdym razem porucznik okrętu wychodził na pokład, a potem zwykły frazes rozlegał się wewnątrz statku.

Kapitan Nemo nie pokazywał się wcale. Z ludzi do statku należących widziałem tylko milczącego służącego, który jak zwykle spełniał swoje względem mnie obowiązki służbowe.

Okolo drugiej byłem właśnie w salonie, porządkując moje notatki, gdy zjawił się kapitan. Ukłoniłem mu się, a on oddał mi ukłon gestem ledwie widzianym, ale nic nie mówił. Wróciłem do mej czynności, przypuszczając, że mi wyjaśni, co zaszło nocy poprzedniej — ale się omylił. Spojrzałem na niego; zdawał mi się zmęczony. Oczy miał zaczerwienione, jakby nie spał, a na twarzy jego widać było smutek, a nawet zmartwienie. Chodził tu i tam, siadał, wstawał, brał pierwszą lepszą książkę i kładł ją na powrót; przyglądał się narzędziom obserwacyjnym, nie notując, jak to czynił zwykle, swych spostrzeżeń. Zdawało się, że sobie miejsca znaleźć nie może.

Na koniec zbliżył się do mnie i rzekł:

— Czy jesteś pan lekarzem, panie Aronnax?

Nie takiego spodziewałem się pytania; toteż patrzyłem na niego przez chwilę, nie odpowiadając.

— Czy pan znasz się na leczeniu? — powtórzył — wielu z pańskich kolegów poświęca się medycynie, np. Gratiolet, Moquin-Tandon i inni.

— I ja jestem lekarzem — odpowiedziałem na koniec — i długo praktykowałem, nim przeszedłem do muzeum.

— To dobrze.

Wyraźnie zadowolony był z mej odpowiedzi; ponieważ jednak nie wiedziałem, do czego zmierza, czekałem na dalsze pytania, postanawiając odpowiadać według okoliczności.

— Panie Aronnax — rzekł wreszcie — czy byś pan nie zgodził się wziąć w opiekę jednego z moich ludzi?

— Ma pan chorego na statku?

— Tak.

— Gotów jestem iść za panem.

— Chodź pan.

Wyznaję, że serce mi biło. Nie wiem dlaczego, ale zdawało mi się, że choroba człowieka na pokładzie musiała być w związku z tym, co zaszło wczoraj — a ta tajemnica zajmowała mnie tyle przynajmniej, co i chory.

Kapitan poprowadził mnie na tył „Nautilusa” i zawiódł do kajuty położonej tuż obok izby majtków. Człowiek mogący mieć około czterdziestu lat leżał tam na łóżku; twarz jego oznaczała energię, a pochodzenie anglosaskie cechowało ją swym typem.

Schyliłem się nad nim. Nie był on właściwie chory, lecz ranny; głowa jego, owinięta w zakrwawioną bieliznę, spoczywała na dwu poduszkach. Gdym odwiązywał bandaż, chory patrzył na mnie wielkimi oczami, ale nawet nie jęknął.

Okropnie był zraniony; przez czaszkę zgruchotaną jakimś tępym narzędziem przegłądał mózg jakby starty głęboko. Gruczołki krwi skrzepłej poosadzały się na rozplywającej się masie mózgu podobnej z koloru do moszczu winnego. Chory oddychał z wolna, a spazmatyczne drgania mięśni poruszały twarz jego. Miałem przed oczyma najzupełniejszy paraliż mózgu, przy którym nie było ani czucia, ani ruchu.

Ująłem chorego za puls — był przerywany; kończyny ciała już stygły i śmierć się zbliżała, a niepodobieństwem było ją opóźnić. Opatrzyłem biedaka, uporządkowałem bandażę i zwróciłem się do kapitana.

— Czym był raniony? — zapytałem.

— O to mniejsza — była odpowiedź wymijająca — „Nautilus” uległ uderzeniu, które zgruchotało jeden z drągów maszyny, a ten człowiek został nim uderzony, osłaniając porucznika, który stał obok... Brat poświęcił się dla brata, przyjaciel dla przyjaciela, to rzecz bardzo prosta. Wszyscy na „Nautilusie” rządzą się tym prawem. Ale cóż pan mówisz o chorym?

Ociągałem się z odpowiedzią.

— Możesz pan mówić śmiało — rzekł kapitan — on nie rozumie po francusku.

Spojrzałem raz jeszcze na rannego i rzekłem:

— Za dwie godziny będzie już po nim.

— To już nie ma dla niego ratunku?

— Nie ma.

Dłonie kapitana zwarły się kurczowo, a kilka łez spłynęło z jego oczu. Nie myślałem, żeby ten człowiek umiał płakać.

Patrzyłem na umierającego. Życie uchodziło z niego widocznie; bladość jego większa się jeszcze zdawała przy blasku światła elektrycznego zalewającego jego łożo. Spoglądałem na tę inteligentną twarz przedwczesnymi pokrytą zmarszczkami może wskutek nieszczęść jakich albo nędzy. Czyhałem na kilka słów z jego ust mogących mi odkryć tajemnicę życia.

— Możesz się oddalić, panie Aronnax — rzekł kapitan.

Opuściłem kajutę umierającego i poszedłem do siebie wzruszony niezmiernie tą sceną. Cały dzień miały mną jakieś chmurne przeczucia. W nocy źle spałem, a w częstych przerwach snu zdawało mi się słyszeć coś niby westchnienia odległe, niby psalmodie pogrzebowe. Może to była modlitwa za umarłych wypowiedana w owym nieznanym mi języku.

Nazajutrz z rana, gdy wyszedłem na pokład, już tam był kapitan Nemo. Spostrzegłszy mnie, zwrócił się zaraz ku mnie, mówiąc:

— Panie profesorze, może pan zechcesz udać się dziś na podmorską wycieczkę?

— Czy z moimi towarzyszami? — zapytałem.

— Jeśli będą chcieli, to i owszem.

— Jesteśmy na pańskie usługi, kapitanie.

— Więc idźcie ubrać się w skafandry.

O umierającym, a może zmarłym, nie mówił kapitan ani słówka. Poszedłem poszukać Neda i Conseila, żeby im powiedzieć o propozycji kapitana. Conseil chętnie ją przyjął, a i Ned jakoś nie ociągał się tym razem.

Była ósma z rana; wespół do dziewiątej byliśmy już przebrani, jak należało, na czekającą nas przechadzkę i zaopatrzeni w dwa przyrządy: do oświetlenia i oddychania. Otworzono drzwi podwójne i wyszliśmy my trzej, kapitan i ze dwudziestu ludzi osady na grunt, na którym spoczywał „Nautilus” w głębokości dziesięciu metrów pod powierzchnią morza.

Lekka pochyłość powiodła nas głębiej jeszcze, na grunt falisty, zupełnie inny niż ów, który zwiedzałem podczas pierwszej mej podwodnej wycieczki na Oceanie Spokojnym. Nie było tu miążkiego piasku ani łąk lub lasów morskich. Rozpoznałem od razu, że okolica, do której nas wiódł kapitan Nemo, była państwem koralowym.

Korale należą do zwierzkorzewów drzewkowatych czyli krzaczastych. Ciekawy to wytwór polipa. Naturaliści długo się zdecydować nie mogli, czy go zaliczyć do mineralów, roślin lub zwierząt. Starożytni używali go na lekarstwo, dzisiejszym służy za ozdobę. Marsylczyk Peysonnel, uczoney z końca XVII wieku, zaliczył stanowczo koral do królestwa zwierzęcego.

Koral jest nagromadzeniem się żyjątek na polipniaku kamienistym i kruchym. Zwierzątka te rozradzają się przez pączkowanie, to jest przez odrastanie jednych z drugich — mają więc życie wspólne, ale niemniej i oddzielne. Jest to przykład socjalizmu naturalnego. Znane mi były ostatnie badania uczonych nad tym dziwnym zwierzkorzewem rozrastającym się w krzew, a zarazem zamieniającym się w kamień. Toteż niezmiernie byłem ciekawy zobaczyć te lasy skaliste, jakimi natura uposażyła dno niektórych mórz.

Oświetliwszy sobie drogę aparatem Ruhmkorffa, szliśmy obok tworzącej się dopiero lawicy koralowej; z czasem zapełni ona pewno tę część Oceanu Indyjskiego. Postępowaliśmy wzdłuż niezmiernie gęstych i poplątanych krzaków koralowych pokrytych jakby małymi kwiatkami prążkowanymi białą. Tylko że te krzaki nie rosły jak na ziemi, z dołu do góry, ale przeciwnie, przytwierdzone do skał, wszystkie rozrastały się od góry w dół.

Tysiące czarujących obrazów powstawało ze światła igrających w tych żywych koralami zalanych rozgałęzieniach. Zdawało mi się, że widzę, jak rurki te członkowate i cylindrowe drgają pod falowaniem wód. Pokusa mnie brała, żeby zbierać te świeże korony kwieciste, ozdobione delikatnymi szypułkami: jedne ledwie rozwinięte, drugie rodzące się dopiero, głaskane lekkim dotknięciem szybko poruszających płetwami rybek przeciągających jakby chmura plectwa. Ale za ledwie zbliżyłem rękę do tych żyjących kwiatków, do tych czulek ożywionych, a natychmiast uciekały; białe ich kielichy kryły się w czerwone rurki, kwiaty rozplywały się w moich oczach, a krzak zmieniał się w kawał kamiennego wzgórzka.

Przypadek nadarzył, że spotkałem najpiękniejsze okazy zwierzkorzewów. Korale tego miejsca dorównywały pięknnością tym, które się pojawiają w Morzu Śródziemnym na brzegach Francji, Włoch i Berberii. Żywe ich barwy usprawiedliwiały owe poetyczne nazwy: „kwiatów krwi”, „piany krwawej”, nadawane w handlu najpiękniejszym okazom. Cena koralu dochodzi niekiedy do 500 franków za kilogram; a w tym tu miejscu było go tyle pod falami morskimi, że wszyscy na świecie poławiacze koralu mieliby się czym wzbogacić. Kosztowny ten twór podmorski w połączeniu z innymi polipniakami tworzył lawice zbite i powikłane, zwane *macciota*, na których tu i ówdzie widzieć się dawały okazy koralu różowego.

Krzaki stawały się coraz gęstsze, wyrosty potężniały. Prawdziwe ulice i galerie skamieniałe, fantastyczną zdobną architekturą otwierały się przed naszymi oczami.

Kapitan Nemo wszedł w ciemną galerię, której łagodna pochyłość sprowadziła nas do głębokości stu metrów. Światło naszych latarni czarodziejski sprawiało widok, czepiając się chropowatych nierówności tych naturalnych arkad i sklepień, które się zdawały jakby pobryzgane ognistymi punktami. Pośród koralowych krzaków były inne niemniej ciekawe: melity, irydy o rozgałęzieniu stawowatym; kępami spotykane koraliny, to zielone, to czerwone, prawdziwe porosty inkrustowane w wapienie i które naturaliści po długich rozprawach zgodzili się na koniec uważać za poddanki roślinnego państwa. W nich to może, podług słów jednego z przyrodników, „tkwi może punkt, z którego wyłania się życie z kamiennego snu zbudzone, nie opuszczając przecież jeszcze swej kolebki nieorganicznej”.

Po dwugodzinnym pochodzie dosięgliśmy wreszcie głębokości trzystu blisko metrów, zatem ostatniej granicy porostów koralowych. Spotkaliśmy tam nie już krzaki pojedyncze lub krzewy skromnie wyrosłe, ale las niezmierny, potężną roślinność mineralną, ogromne drzewa skamieniałe, połączone girlandami wdzięcznych plumarii, tych lian morskich ubarwionych wszelkimi odcieniami kolorów. Pod wybujalnymi gałęziami tych drzew pokrytymi ciemnicą fal przeszliśmy swobodnie; u stóp naszych rurkokrzewy, gwiazdowce, meandryny kręte i bruzdowane, gąbki, dzwonki itd. tworzyły kwiecisty kobierzec usiany olśniewającymi klejnotami.

Nieopisany widok! Ach! Czemu nie mogliśmy udzielać sobie naszych wrażeń; czemu byliśmy więźniami tych masek z metalu i szkła? Czemu nie mogliśmy przemawiać do siebie; czemu nie dano nam takiego życia jak owym rybom zaludniającym płynny żywioł albo raczej życia tych stworzeń ziemnowodnych, które przez całe godziny przebiegać mogą według swej woli dwoiste państwo lądów i wód.

Ale oto kapitan Nemo przystanął. Ja i moi towarzysze zatrzymaliśmy się także, a gdy się odwrócił, ujrzałem, że ludzie kapitana stoją przy nim półkrygiem, czterech zaś dźwiga na ramionach przedmiot podługowaty.

Byliśmy w środku obszernej polany otoczonej bujnym drzewostanem podmorskiego lasu. Z naszych latarni płynęło na to miejsce światło przymierzchłe, od którego wydłużony cień padał na grunt. Na krańcach polany ciemność już była zupełna i tylko żywe zwierzątka w koralu iskrzyły się tu i ówdzie.

Ned Land i Conseil byli tuż przy mnie. Przypatrując się, uderzony zostałem myślą, że zapewne niezwykle będę miał widowisko. Grunt był ponadymany w niektórych miejscach

lekkimi wyniosłościami oprawionymi niejako w wapieni, jakby ręką ludzką w pewnym ułożonym porządku.

W środku polany na stosie z odłamów skalnych stał krzyż koralowy i wyciągał swe długie ramiona, jakby z krwi skamieniałej zrobione. Na znak kapitana jeden z towarzyszących nam ludzi odjął od pasa motykę i zaczął kopać otwór.

Zrozumiałem, o co chodziło! Ta polana to był cmentarz, a ten otwór miał być grobem; ten przedmiot podłużny przyniesiony przez ludzi osady, to ciało człowieka zmarłego tej nocy! Kapitan Nemo i jego towarzysze przyszli pogrzebać swego kolegę we wspólnym ostatnim mieszkaniu, na niedostępnym dnie oceanu.

Nie! Nigdy jeszcze nie doznałem takiego jak wówczas wzruszenia; nigdy myśli poważniejsze jak wtenczas nie nawiedziły mego umysłu. Nie wierzyłem, że widzę to, na co patrzyłem.

Kopanie grobu z wolna postępowało. Spłoszone ze swego schronienia ryby uciekały na wszystkie strony. Wapienny grunt dźwięczał pod uderzeniami motyki, spod której, gdy natrafiła na krzemień zarzucony tam na dnie oceanu, tryskały iskry. Otwór rósł wzdłuż i wszerz i nareszcie dosyć się stał obszerny, by objąć ciało człowieka.

Wówczas zbliżyli się ci, którzy je nieśli. Owinięte w tkaninę z białego bisioru ciała spuszczone do mokrego grobowca. Kapitan Nemo z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i wszyscy przyjaciele zmarłego uklękli w postaci modlących się. Ja i moi towarzysze pochyliliśmy się ze czcią... A potem przysypano otwór grobowca odłamkami oderwanymi z gruntu i powstał mały pagórek.

Wówczas kapitan i ludzie jego powstali, zbliżyli się do grobu i każdy z nich raz jeszcze ugiął kolano, i wszyscy wyciągnęli ręce na znak ostatecznego pożegnania.

Pogrzebowa drużyna zawróciła wówczas w stronę „Nautilusa”, przechodząc pod łukami kamienistymi lasu, przez ulice, wzdłuż krzaków koralowych i wstępując coraz wyżej.

Na koniec ukazały się ogniska na statku; świetlne ich smugi były nam przewodnikami. O pierwszej byliśmy już z powrotem.

Zmieniwszy odzienie, wyszedłem na platformę, a przygnieciony nawałem myśli usiadłem przy latarni oświetlającej statek. Wkrótce nadszedł kapitan Nemo. Podniosłem się i rzekłem:

— Tak więc, jak przewidziałem, człowiek ów umarł w nocy.

— Umarł, panie Aronnax — odpowiedział kapitan.

— A teraz spoczywa przy swych towarzyszach, na koralowym cmentarzu.

— Tak, zapomniany przez wszystkich, ale nie przez nas. My żłobimy groby, a polipy pieczętują w nich na całą wieczność naszych zmarłych!

A zasłoniwszy sobie nagle twarz rękoma zaciśniętymi, daremnie usiłował kapitan powściągnąć łkanie — po czym rzekł:

— Tam jest nasz cmentarz zaciszny, tam, o kilkaset stóp pod powierzchnią wód.

— Przynajmniej wasi zmarli bezpieczni tam są od rekinów.

— Tak — odparł poważnie kapitan — od rekinów i od ludzi!

## OCEAN INDYJSKI

Tu rozpoczyna się druga część tej podróży pod morzami. Pierwsza zakończyła się wzruszającą sceną cmentarza koralowego, która na długo wyryła głębokie wrażenie w mej duszy. Tak więc w łonie tego niezmiernego morza upływało całe życie kapitana Nemo; tam także w nieprzeniknionych przepaściach przygotował dla siebie mogiłę. Tam żaden potwór oceanu nie zakłóci ostatniego snu owych mieszkańców „Nautilusa”, owych przyjaciół na zawsze do siebie przykutych w śmierci zarówno jak w życiu! Tam są bezpieczni — „nawet od ludzi”! — jak dodał kapitan.

I zawsze taka dzika, nieubłagana nieufność ku społeczeństwu ludzkiemu!

Co do mnie, nie przestawałem już na przypuszczeniach, które zadowoliły Consejoila. Pocziwy chłopiec uparcie widział w dowódcy „Nautilusa” tylko jednego z owych wielkich a niecenionych należycie uczonych mężów, co wzgardą płacą ludzkości za jej obojętność. Dla niego był to jeszcze geniusz niezrozumiany, co sprzykrzywszy sobie doznane na ziemi zawody, schronił się w te pustynie niedostępne, gdzie jego wielka dusza żyła

zupełnie swobodnie. Moim zdaniem jednak, to przypuszczenie objaśniało tylko jedną stronę charakteru kapitana Nemo.

W istocie tajemnica owej ostatniej nocy, podczas której wrzucono nas do więzienia i pogrążono w śnie sztucznym, gwałtowna przezorność, z jaką kapitan wytrącił mi z rąk lunetę, gdym badał widnokrąg, i wreszcie śmiertelna rana, którą otrzymał jeden z jego ludzi przy niewytłumaczonym starciu „Nautilusa”, wszystko to naprowadzało mnie na nowe domysły. Nie! Kapitan Nemo nie poprzestawał na uciekaniu od ludzi! Jego straszny przyrząd służył nie samym tylko jego instyktom wolności — ale może jeszcze interesem jakiejś nieznaney, okropnej zemsty.

Wszelako nie mam jeszcze żadnych dowodów; w ciemnościach owych dostrzegam zaledwie blade światelka i muszę poprzestać na pisaniu, że tak powiem, za dyktandem wypadków.

Zresztą, nic nas nie wiąże z kapitanem Nemo. Wie on, że uciec z „Nautilusa” niepodobna. Nie jesteśmy nawet więźniami na słowo. Nie krępuje nas żadne zobowiązanie honorowe. Jesteśmy jeńcami, więźniami, których przez grzeczność nazywają gośćmi. Jednakże Ned Land nie zrzekł się nadziei odzyskania wolności. Pewne jest, że skorzysta z pierwszej okazji, jaką mu los nastreczy. Prawdopodobnie i ja tak samo uczynię. A przecież nie bez pewnego żalu uniosę część tajemnic „Nautilusa”, które wspaniałomyślność kapitana przeniknąć mi pozwoliła! Bo w końcu mamże nienawidzić, czy też podziwiać tego człowieka? Jestże on ofiarą czy też katem? A przy tym, jeśli mam otwarcie wyznać, nim opuszczę go na zawsze, rad bym dokończyć tej podróży podmorskiej dokoła świata, której początki tak są wspaniałe. Chciałbym zbadać cały szereg cudów nagromadzonych pod morzami kuli ziemskiej. Chciałbym widzieć to, czego jeszcze żaden człowiek nie widział, choćby tę nienasyconą żądzę wiedzy wypadło swym życiem przypłacić! Bo i cóż dotychczas odkryłem? Nic lub prawie nic; przepłynąłem tylko sześć tysięcy mil po Oceanie Spokojnym.

A jednak wiem, że „Nautilus” zbliża się do lądów zamieszkałych i że byłoby okrucieństwem poświęcać towarzyszy dla mej namiętności do badań naukowych, jeśliby zdarzyła się dobra sposobność do ucieczki. Trzeba będzie pójść z nimi, a może nawet być ich przewodnikiem. Czy jednak kiedykolwiek nadarzy się ta sposobność? Człowiek przemocą pozbawiony wolnej ręki łakomie pożąda tej sposobności — lecz uczony ciekawy poznać nowe zjawiska lęka się jej i unika.

W owym dniu 28 stycznia 1868 r. w południe porucznik wyszedł zmierzyć wysokość słońca. I ja wstąpiłem na platformę i, zapaliwszy cygaro, przypatrywałem się jego pomiarom. Wydało mi się rzeczą oczywistą, że ten człowiek nie rozumiał po francusku, gdyż kilkakrotnie robiłem na głos spostrzeżenia, które powinny by zwrócić jego uwagę, jeśli by je zrozumiał; pozostał jednak niemy i obojętny jak zwykle.

Gdy z pomocą sekstanta robił obserwacje, jeden z majtków „Nautilusa” — ten sam tęgi chłop, który nam towarzyszył w pierwszej wycieczce podmorskiej do wyspy Crespo — przyszedł czyścić szyby latarni. Wówczas przypatrzyłem się dokładnie temu przyrządowi, którego potęgę stokrotnie pomnażały ogniwa soczewkowe, ustawione jak w latarniach morskich utrzymujących światło w odpowiednim kierunku. Lampa elektryczna była tak urządzona, że wyzyskano całą jej siłę świetlną. Światło w istocie powstawało w próżni, co współcześnie zapewniało mu jednostajność i natężenie. Próżnia ta znacznie jeszcze oszczędzała ostre końce grafitu, między którymi roztacza się łuk płomienisty. Ważna to oszczędność dla kapitana Nemo, który niełatwo mógłby je nowymi zastąpić. W takich atoli warunkach zużywanie ich było prawie nic nieznaczące.

Gdy „Nautilus” zabierał się do nowej podmorskiej podróży, wróciłem do salonu. Okiennice ścian się zamknęły i statek sunął prosto na zachód.

Pruliśmy wówczas bałwany Oceanu Indyjskiego, rozległej płaszczyzny wód, zajmującej pięćset pięćdziesiąt milionów hektarów, a tak przezroczystej, że wywołuje zawrót głowy u pochylonego nad jej zwierciadłem. „Nautilus” płynął zwykle między stu a stu dwudziestu metrami głębokości. Tak było przez dni kilka. Dla kogo innego niż dla mnie, com się szalenie rozkochał w morzu, godziny z pewnością wydałyby się długimi i nudnymi; ale codzienne przechadzki po platformie, gdzie pokrępiałem się orzeźwiający powietrzem

oceanu, widok bogatych wód przez szyby salonu, czytanie książek w bibliotece i pisanie notatek i pamiętników zajmowały cały mój czas i nie zostawiały mi ani chwili na nudę.

Stan naszego zdrowia był zadowalający. Dieta na pokładzie nieźle nam służyła i, co do mnie, mógłbym się wygodnie obejść bez dodatków mięsnych, które Ned Land, protestując przeciw postnym potrawom, chętnie do nich dołączał. Nadto w tej niezmiennej temperaturze nie obawialiśmy się nawet katarów. A zresztą owa polipowa roślina *Dendrophylea*, znana w Prowansji pod nazwą „kopru morskiego” i której pewien zapas miano na pokładzie, z rozplywającą się w ustach miąższością swoich polipów, była doskonałym lekarstwem od kaszlu.

Przez kilka dni widywaliśmy znaczną liczbę ptaków wodnych pletwonogich, mewy lub petrele. Niektóre z nich zręcznie zastrzelone i stosownie przyrządzone dostarczały nam zwierzyny wodnej wcale smacznej. Między wielkim ptactwem daleko odlatującym na falach morskich spostrzegłem żagłościga<sup>154</sup>, którego wrzaskliwy głos przypomina ryczenie osła; widziałem także ptaki należące do rodziny długoskrzydłych. Rodzinę całopłetwych przedstawiały szparkie fregaty, które w lot chwytają ryby na powierzchni, oraz liczne faetony<sup>155</sup> — między innymi faeton czerwonawy wielkości gołębia, z białoróżowym pierzem, pięknie odbijającym od czarnych skrzydeł.

Sieci „Nautilusa” wyciągnęły kilka gatunków żółwi morskich z wypukłym grzbietem, których skorupa jest wysoko ceniona. Te płazy<sup>156</sup>, z łatwością się zanurzając, mogą długo przebywać pod wodą, zamknąwszy mięsistą kłapę przy zewnętrznym otworze kanału nosowego. Niektóre z tych żółwi, gdy je schwytano, spały jeszcze, skorupą zabezpieczone od żarłoczności zwierząt morskich. Mięso ich w ogóle nieszczególnie, ale jaja stanowią smakowitą potrawę.

Co do ryb, to zawsze budziły nasze podziwienie, ilekroć przez otwarte okiennice śledziliśmy tajemnice ich wodnego życia. Zauważyłem kilka gatunków, nad którymi dotychczas nie robiłem spostrzeżeń.

Głównie przytoczę ostrygowate, właściwe Morzu Czerwonemu, Morzu Indyjskiemu i tej części oceanu, która oblewa brzegi Ameryki równikowej. Ryby te, podobnie jak żółwie, jeżowce, pancerniki i skorupiaki, są osłonięte pancerzem, który jednak nie jest ani kredowaty ani kamienisty, lecz prawdziwie kościsty. Razem przybiera formę trójkątną, to znowu czworokątną. Między pancernikami trójkątnymi zauważyłem niektóre długości pół decymetra, ze zdrowym mięsem wyborowego smaku, z brunatnym ogonem i żółtymi płetwami; polecam ich przyswojenie na wodach słodkich, do których zresztą pewna liczba ryb morskich z łatwością przywyka. Przytoczę również pancerniki czworokątne, opatrzone na grzbiecie czterema dużymi brodawkami, pancerniki opatrzone białymi punkcikami na spodniej części ciała, przyswajające się jak ptaki, trójkątники z ostrogami utworzonymi przez przedłużenie ich skorupy kościstej, z powodu dziwnego chrząkania przezwane „prosiętami morskimi” — i wreszcie dromadery z jednym wielkim garbem w kształcie ostrosłupa, których mięso jest twarde i łykowane.

Wymienię jeszcze z notatek codziennych spisywanych przez mistrza Conseila pewne ryby w rodzaju kolcobrusznych rybojeżów właściwych tym morzom, spenglery z czerwonym grzbietem i białą pierśią odznaczającą się trzema rzędami podłużnych taśm i rybojeże elektryczne ozdobione najżywszymi barwami. Dalej na próbkę innych rodzajów przytoczę ryby jajowate bez ogona, podobne do ciemnobrunatnego jaja jak pisanka porysowanego białymi pręgami, diodony, prawdziwe jeże morskie, opatrzone kolcami i mogące się tak nadymać, że tworzą kulę najeżoną ostrymi dzidami, koniki morskie wspólne wszystkim oceanom, pegazy latające z podługowatym pyszczkiem, którym ich płetwy piersiowe, bardzo rozszerzone w kształcie skrzydeł, pozwalają jeśli nie latać, to przynajmniej wznosić się w powietrze, gołębie kopystkowate, których ogon pokryty jest licznymi luskowatymi ogniwami, długoszczękie, wysmienite do jedzenia ryby dwudziestu pięciu centymetrów długości, jaśniejące najmilszymi kolorami, kaliomory sine z głową pomarszczoną, miliardy rybek skaczących z czarnymi prążkami i długimi płetwami piersiowymi, z niesłychaną szybkością prześlizgujących się po powierzchni wód, rozkoszne żeglarki, które swoje ramiona niby żagle podnoszą i rozwijają według przyjaznych prądów

<sup>154</sup>żagłościg — inaczej albatros. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>faeton — ptak wodny, będący bardzo zwinnym lotnikiem. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>kilka gatunków żółwi (...) te płazy — obecnie żółwie należą do gromady gadów. [przypis edytorski]

wiatru, świetne kurty, które przyroda szczerze obdarzyła kolorem żółtym, błękitnym, srebrnym i złotym, skrzydłopłetwe, których płetwy w kształcie skrzydeł utworzone są z taśm, kolczugi zawsze powalane mulem i wydające pewien szelest, trygle, których wątroba uchodzi za truciznę, bodjany, mające nad oczyma ruchome klapy, na koniec mieszki z długim i rurkowanym pyszczkiem, istne mucholówki oceanu uzbrojone strzelbą, która, nieprzewidziana przez Chassepota ani Remingtona, jedną kropelką wody zabija owady.

W osiemdziesiątym dziewiątym rodzaju ryb rozklasyfikowanych przez Lacepède'a, a należących do drugiej podklasy ościstych, odznaczających się nakrywką i błoną dychawkową, zauważyłem okazy mające kolce na głowie i tylko jedną płetwę grzbietową; zwierzęta te mają łuskę lub są jej pozbawione, stosownie do podrodzaju, do którego należą. Drugi podrodzaj dały nam okazy dydaktyłów, trzy do czterech decymetrów długości, w żółte paski, z głową fantastycznych kształtów. Co do pierwszego podrodzaju, dostarcza on kilku okazów dziwnej ryby, słusznie przezwanej „ropuchą morską”, ryby z dużym łbem, to zorany głębokimi bruzdami i wklęsłościami, to nasadzonymi guzami. Najeżona kolcami i przyszczowata, ma szkaradne, nierówne rogi, ciało i ogon opatrzone są twardymi narostami, kolce zadają rany niebezpieczne; ryba to ohydna i obrzydliwa.

Od 21 do 23 stycznia „Nautilus” płynął dwadzieścia dwie mile na godzinę. Jeśli w tym szybkim pędzie mogliśmy rozpoznawać różne odmiany ryb, przypisać to trzeba okoliczności, iż zwabione światłem elektrycznym same towarzyszyć nam usiłowały. Większa część atoli nie mogła nadążyć i zaraz pozostawała w tyle. Kilka zaledwie zdołało przez czas pewien utrzymać się na wodach „Nautilusa”.

Dnia 23 z rana, pod 12° 5' szerokości południowej a 94° 33' długości, ujrzeliśmy wyspę Keeling<sup>157</sup>, formacji madreporycznej<sup>158</sup>, zarośniętą wspaniałymi palmami kokosowymi, a po raz pierwszy zwiedzoną przez Darwina i kapitana Fitz-Roy. „Nautilus” płynął w małej odległości, wzdłuż urwistych wybrzeży tej pustej wyspy. Drogą nasze wyciągnęły liczne okazy polipów i jeżokorów, i ciekawych skorupiaków z działu mięczaków. Szacowne ich okazy pomnożyły skarby kapitana Nemo — w tej liczbie rzadkie gwiazdowce, gatunek pasożyta polipowego często osiadającego na muszlach.

Wkrótce wyspa Keeling zniknęła z widnokągu i droga nasza obrała kierunek północno-zachodni, ku półwyspowi Indostanu.

— Zbliżamy się do krajów cywilizowanych — zauważył tego dnia Ned Land — lepsze to nierównie od owych wysp Papuazji, gdzie częściej spotykasz dzikich niż sarny! Na tej ziemi indyjskiej, panie profesorze, są drogi, koleje żelazne, miasta angielskie i francuskie. Nie ujdiesz pięciu mil, żeby nie spotkać ziomka. Cóż, panie profesorze, nie jestże to pora stosowna, aby porzucić do diabła kapitana Nemo?

— Nie, Ned, nie myśl jeszcze o tym — odpowiedziałem stanowczym tonem. — Sam widzisz, że „Nautilus” zbliża się do łądów zamieszkałych, że zawraca ku Europie i do niej nas wiezie. Gdy już wpłyniemy na nasze morza, wtedy obaczmy, co roztropnie da się przedsięwziąć. Zresztą nie sądzę, by kapitan Nemo pozwolił nam tak polować na brzegach Malabaru lub Koromandelu, jak w lasach Nowej Gwinei.

— Alboż to, panie, nie można się obyć bez jego pozwolenia?

Nie odpowiedziałem Kanadyjczykowi. Nie miałem ochoty się sprzeczać, a zresztą w duchu gorąco pragnąłem wyzyskać do reszty dziwny los, który nas rzucił na pokład „Nautilusa”.

Od czasu, jak minęliśmy wyspę Keeling, bieg naszego statku był coraz wolniejszy i kapryśniejszy; nieraz zapuszczaliśmy się w wielkie głębie, po dwa i trzy kilometry pod powierzchnię wody — nigdy jednak nie dotarliśmy do dna tego Morza Indyjskiego, którego nawet sondy długości trzynastu tysięcy metrów dosięgnąć nie mogły. Co do temperatury dolnych warstw wody, termometr niezmiennie wskazywał cztery stopnie wyżej zera.

Dnia 25 stycznia ocean był zupełnie pusty. „Nautilus” przepędził dzień cały na powierzchni; potężną śrubą rozbijał bałwany i wyrzucał je wysoko. Jak tu się dziwić, że w takich warunkach brano go za olbrzymiego wieloryba? Cały dzień prawie przesiadziałem na platformie, przypatrując się morzu. Nic nie ukazywało się na widnokągu. Do-

<sup>157</sup>wyspa Keeling — Wyspy Kelling, inaczej Wyspy Kokosowe. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>formacja madreporyczna — powstała na podłożu ze szkieletów koralu madreporowych. [przypis edytorski]



piero pod wieczór, około czwartej, zobaczyliśmy na zachodzie długi *steamer*, który pędził w przeciwnym od nas kierunku. Przez chwilę widać było jego maszty, lecz on nie mógł dostrzec „Nautilusa”, zbyt mało wynurzonego nad powierzchnią wody. Sądzę, że ten parowiec należał do poczty wschodniej i odbywał służbę między wyspą Cejlon i Sydney, zatrzymując się przy Cyplu Króla Jerzego i w Melbourne.

O piątej wieczorem, przed owym szybkim zmrokiem, który w strefie zwrotnikowej łączy dzień z nocą, Conseil i ja podziwialiśmy ciekawe widowisko.

Istnieje piękne zwierzątko, którego spotkanie zdaniem starożytnych jest dobrą wróżbą. Arystoteles, Ateneusz, Pliniusz i Oppienus badali jego upodobania i w tym względzie wyczerpali całą stronę poetyczną uczonych Grecji i Rzymu. Nazwali je *Nautilus* i *Pompilius*. Nauka nowoczesna jednak nie zatwierdziła tej nazwy i dziś mięczak ten znany jest pod nazwą argonauta.

Kto by się poradził Conseila, dowiedziałby się od tego zanego chłopca, że dział mięczaków dzieli się na pięć klas: że pierwsza klasa głowonogów, częścią nagich, częścią okrytych skorupą, obejmuje dwie rodziny: dwuskrzelnych i czworoskrzelnych, różniących się liczbą skrzelii; że rodzina dwuskrzelnych obejmuje trzy rodzaje: argonauta, kalmar i sepię, a rodzina czworoskrzelnych ma tylko jeden rodzaj — pływaka. Gdyby po tej nomenklaturze jaki niewierny Tomasz wziął za jedno argonauta i pływaka dlatego, że oba mają macki — herezja ta godna byłaby potępienia.

Otóż po powierzchni oceanu podróżowała wówczas gromada argonautów. Naliczyliśmy ich kilka setek. Należą one do gatunku argonautów brodawkowatych, właściwych Morzu Indyjskiemu.

Mile te mięczaki poruszały się, cofając za pomocą rurki, którą wyrzucają wciągniętą w siebie wodę. Z ośmiu ich macek, sześć przedłużonych i zwężonych poruszało się w wodzie, gdy dwie pozostałe, zaokrąglone pletwowato, rozcięte były na wietrze niby lekkie żagle. Doskonale widziałem ich muszlę śrubowatą, którą Cuvier trafnie porównuje do zgrabnej szalupy. W istocie prawdziwy to statek unoszący zwierzę, które go wydzieliło, a jednak do niego nieprzystający.

— Argonauta może opuścić swoją muszlę — powiedziałem do Conseila — ale nigdy jej nie opuszcza.

— Zupełnie tak samo jak kapitan Nemo — odpowiedział roztropny chłopiec. — Z tego powodu lepiej by zrobił, nazywając swój okręt „Argonautem”.

Przez całą prawie godzinę „Nautilus” płynął pośród tej gromady mięczaków. Potem, nie wiem dlaczego, zdjął je przestraszony ogromny. Jakby na dany znak, wszystkie żagle się zwinęły, ramiona opadły, ciała się skurczyły i cała flotyła zniknęła pod wodą. Stało się to w okamgnieniu i nigdy jeszcze okręty eskadry nie manewrowały z tak dokładną jednostajnością.

W tej chwili noc nagle zapadła i bałwany, z lekka poruszane wiatrem, spokojnie wydłużały się pod „Nautilusem”.

Nazajutrz, dnia 26 stycznia, przebyliśmy równik na osiemdziesiątym drugim południku i wplynęliśmy na półkulę północną.

Podczas tego dnia towarzyszyła nam potężna gromada żarłaczy. Strasznych tych zwierząt niezliczona jest moc na tych morzach, które z tego powodu są bardzo niebezpieczne. Z tych żarłaczy jedne, z grzbietami brunatnymi, a brzuchami białawymi, uzbrojone były jedenastoma rzędami zębów, drugie, oczkowate, miały na szyi czarne plamy, otoczone białym kółkiem, co czyniło je podobnymi do oczu, inne wreszcie żarłacze miały pyski zaokrąglone i usiane czarnymi cętkami. Często te straszne zwierzęta rzucały się ku szymbom salonu z dość niepokojącą gwałtownością. Ned Land nie posiadał się wówczas ze złości; chciał wypłynąć na powierzchnię wód i harpunem godzić w te potwory, zwłaszcza w pewne żarłacze z paszczą uzbrojoną zębami rozłożonymi jak mozaika lub w inne długości pięciu metrów, pstrokate jak tygrysy, uporczywie go wyzywające. Wkrótce jednak „Nautilus”, zdwoiwszy szybkość biegu, z łatwością pozostawił w tyle najszybsze z tych rekinów.

Dnia 27 stycznia na wodach rozległej Zatoki Bengalskiej spotkaliśmy kilkakrotnie — co za smutny widok — trupy unoszone przez fale morskie. Byli to nieboszczycy miast hinduskich, których rzucono do Gangesu, aby spłynęli z prądem tej świętej rzeki do morza.

Sępy, jedyni grabarze tego kraju, nie miały jeszcze czasu ich pożreć. Nie brakło jednak żarłaczy do pomocy im w tej pogrzebowej robocie.

Okolo siódmej wieczorem „Nautilus” na wpół zanurzony płynął po mlecznym morzu. Cały ocean, jak daleko sięgnąć wzrokiem, zdawał się być mleczny. Byłże to skutek promieni księżycowych? Nie, gdyż księżyc od dwu dni na nowiu niknął jeszcze pod widnokregiem w promieniach słońca. Całe niebo mimo promieni gwiazdzistych zdawało się być czarne w porównaniu z białością fal morza.

Conseil nie chciał wierzyć własnym oczom i rozpytywał mnie o przyczynę tego osobliwego zjawiska. Szczęściem, mogłem dać mu żądane objaśnienie.

— Morzem mlecznym — rzekłem — nazywa się rozległa przestrzeń białych bałwanów, często widywanych przy brzegach Amboise i w tych stronach.

— Jednakże, proszę mojego pana — odrzekł Conseil — czy mój pan nie raczyłby mnie objaśnić, jaka przyczyna sprawia ten skutek — gdyż, jak mi się zdaje, woda nie przemieniła się w mleko.

— W istocie, mój chłopcze, nie przemieniła się i tę zdumiewającą cię białość sprawia niezliczone mnóstwo wymoczków niby świętojańskich robaczek, galaretowatych, bezbarwnych, nie grubszych niż włos, a nie dłuższych nad piątą część milimetra. Niektóre z tych żyłatek łączą się w gromady na przestrzeni kilku mil.

— Kilku mil! — powtórzył zdziwiony Conseil.

— Tak, mój chłopcze, nie łam sobie głowy przy dodawaniu liczby tych wymoczków! Liczba to nieskończona, bo jeśli się nie mylę, byli już żeglarze, którzy na przestrzeni 40 mil płynęli po takim morzu mlecznym.

Nie wiem, czy Conseil usłuchał mojej rady, widocznie jednak pogрузił się w głębokich dumaniach, prawdopodobnie usiłując obliczyć, ile czterdzieści mil kwadratowych obejmuje piątych części milimetra. Co do mnie, ciekawie przypatrywałem się zjawisku. Przez kilka godzin „Nautilus” ostrogą swoją pruł te białe bałwany i, jak zauważyłem, bez szelestu ślizgał się po wodzie mydlanej, jakby płynął w pianistym wirze, w którym widniały czasami przerwy wytwarzane przez ścierające się prądy przeciwne.

Okolo północy morze nagle przybrało barwę zwyczajną, ale za nami, aż do granic widnokregu, niebo, odbijając białość bałwanów, zdawało się długo jeszcze zachowywać świetlane barwy zorzy północnej.

## NOWA PROPOZYCJA KAPITANA NEMO

Dnia 28 lutego okolo południa „Nautilus” wypłynął na powierzchnię morza pod 9° 4' szerokości północnej, na osiem mil od lądu leżącego w stronie zachodniej. Najprzód spostrzegłem gromadę gór wysokości okolo 2000 stóp, nader kapryśnych kształtów. Wkrótce po zrobieniu pomiarów i zaznaczeniu ich na mapie poznałem, że to była wyspa Cejlon, perła wisząca u dolnego krańca półwyspu Indostanu.

Poszedłem do biblioteki, aby poszukać książek traktujących o tej wyspie, jednej z najżyźniejszych na kuli ziemskiej. Jakoż zaraz znalazłem jednotomowe dzieło Sir H.C. pod tytułem: *Ceylon and the Cingalese*. Wróciwszy do salonu, zanotowałem najprzód położenie wyspy, którą starożytni tylu różnymi nazwami obdarzyli. Cejlon leży między 5° 56' i 9° 49' szerokości północnej, a między 79° 42' i 82° 47' długości na wschód od południka Greenwich. Długości ma dwieście siedemdziesiąt pięć mil; największa szerokość — sto pięćdziesiąt mil, obwodu mil dziewięćset, powierzchni — czterdzieści jeden tysięcy dwieście pięćdziesiąt mil (angielskich). A więc wyspa ta jest niewiele mniejsza od Irlandii.

Kapitan Nemo i jego porucznik ukazali się w tej chwili.

Kapitan rzucił spojrzenie na mapę i rzekł, obracając się do mnie:

— Wyspa Cejlon sławna jest z połowu pereł. Czy nie zechciałbyś, panie Aronnax, poznać jedno z miejsc tego połowu?

— I bardzo, kapitanie.

— To dobrze. Nic nad to łatwiejszego. Tylko, że nie zobaczymy tam poławiaczy pereł. Doroczna eksploatacja jeszcze się nie rozpoczęła. Mniejsza o to. Każę płynąć do zatoki Manaar, dziś w nocy tam staniemy.

Kapitan powiedział słów kilka do porucznika, który zaraz wyszedł. Wkrótce „Nautilus” zanurzył się w płynnym żywiole, a manometr wskazywał, że byliśmy w głębokości stóp trzydziestu.

Poszukałem na mapie owej zatoki Manaar. I znalazłem ją przy dziewiątym równoleżniku na północno-zachodnim brzegu Cejlonu. Tworzyła ją podłużna linia wysepki Manaar. Żeby się tam dostać, należało opłynąć cały brzeg zachodni Cejlonu.

— Panie profesorze — odezwał się wtedy kapitan Nemo — perły łowi się w Zatoce Bengalskiej, w Morzu Indyjskim, w morzach Chin i Japonii, w morzach Ameryki Południowej, w zatoce Panamskiej i w Zatoce Kalifornijskiej; najpiękniejsze atoli perły poławia się przy Cejlonie. Wprawdzie przybędziemy tam trochę za wcześnie. Dopiero w marcu zbierają się łowcy w zatoce Manaar i tam przez dni trzydzieści trzysta statków zajmuje się tą zyskowną eksploatacją skarbów morza. Na każdym statku jest dziesięciu łowców. Ostatni, podzieleni na dwie gromadki, zanurzają się kolejno i spuszcza się na dwanaście metrów w głąb morza za pomocą ciężkiego kamienia, który chwytają nogami i który sznurem przywiązany jest do statku.

— Tak więc — rzekłem — i teraz jeszcze używają tego pierwotnego sposobu?

— I teraz jeszcze — potwierdził kapitan Nemo — chociaż miejsce tych połowów należy do ludu najbardziej przemysłowego na kuli ziemskiej, do Anglików, którym w roku 1802 ustąpił je traktat zawarty w Amiens.

— A jednak — odrzekłem — skafander, jakiego używasz pan do zanurzania się w wodzie, świadczałby wielkie usługi w tej operacji.

— Zapewne, gdyż biedni ci łowcy nie mogą długo zostawać pod wodą. Anglik Perceval w swojej podróży do Cejlonu mówi wprawdzie o Kafrze, który całe pięć minut nie wypływał na powierzchnię wody; nie chce mi się jednak temu wierzyć. Zdarzają się tak wytrzymali nurkowie, że utrzymują się pod wodą przez pięćdziesiąt siedem sekund, a już do bardzo wprawnych należą tacy, co zdołają przedłużyć ten czas do osiemdziesięciu siedmiu sekund; są to jednak wyjątki dość rzadkie i nieszczęśliwi ci, wróciwszy na pokład statku, nosem i uszami wyrzucają wodę krwią zafarbowaną. Myślę, że średni czas, jaki nurkowie siedzą pod wodą, wynosi trzydzieści sekund, podczas których jak najspieszniej zbierają do małej siatki u pasa muszle perłowe oderwane od skał. W ogóle poławiacze pereł długo nie żyją. Wzrok ich słabnie, na gałkach ocznych tworzą się owrzodzenia, ciało pokrywa się ranami, a zdarza się także, iż umierają na apopleksję w głębi morza.

— W istocie — odpowiedziałem — smutne to rzemiosło służące tylko do zadowolenia kaprysów mody! Powiedz mi jednak, kapitanie, jaką ilość ostryg może w ciągu dnia wyłowić jeden statek?

— Około czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy. Powiadają nawet, że w r. 1814, gdy rząd angielski zarządził łowy na własny rachunek, jego nurkowie w ciągu dwudziestu dni pracy zebrali siedemdziesiąt sześć milionów ostryg.

— Czy przynajmniej poławiacze ci są należycie wynagradzani? — spytałem.

— Bardzo nędznie, panie profesorze. W Panamie zarabiają ledwie dolara na tydzień. Najczęściej dostają trzy grosze za ostrygę zawierającą perłę, a ileż to wyniosą z morza niemających żadnej!

— Trzy grosze dla biedaków, co wzbogacają swych panów! Ależ to haniebane!

— Tak więc, panie profesorze — mówił kapitan Nemo, nie zważając na moje słowa — pańscy towarzysze i pan zwiedzicie ławicę Manaar, a jeśli przypadkiem jaki przedwczesny nurek już się tam znajdzie, to przypatrzmy się jego łowom.

— Zgoda, kapitanie.

— Ale, ale, panie Aronnax, czy nie boisz się czasem rekinów?

— Rekinów? — zawołałem.

To pytanie wydało mi się co najmniej niewczesne.

— Boisz się? — nalegał kapitan Nemo.

— Przyznam się panu, że jeszcze nie poznałem się z bliska z tym rodzajem ryb.

— Co do nas, jesteśmy z nimi oswojeni — odrzekł kapitan Nemo — a z czasem i pan zapoznasz się z nimi bliżej. Zresztą będziemy uzbrojeni i po drodze upolujemy może jakiego żarłacza. Polowanie to nader zajmujące. Tak więc do jutra, panie profesorze; wyruszamy przed świtem.

To powiedziałszy tonem lekkim, kapitan Nemo wyszedł z salonu.

Czytelniku, gdyby ci zaproponowano polowanie na niedźwiedzia w górach szwajcarskich, może byś odpowiedział: „I owszem! Jutro polować będziemy na niedźwiedzia”. Gdyby cię zaproszono na polowanie na lwa w pustyni Atlasu lub na tygrysa w dżunglach indyjskich i wtedy może byś powiedział: „Paradnie! Będziemy podobno polowali na lwa lub tygrysa!”. Jeśliby jednak zaproszono cię na polowanie na rekina w jego naturalnym żywiole, prawdopodobnie zastrzegłbyś sobie chwilę namysłu, wprzód nimbyś przyjął to zaproszenie.

Co do mnie, podniosłem rękę do czoła, na które wystąpiły krople zimnego potu.

— Zastanówmy się — rzekłem do siebie — mamy czas do namysłu. Polować na wydry w lasach podmorskich, jak już polowaliśmy w lasach wyspy Crespo, ujdzie to jeszcze; ale włóczyć się po głębiach mórz, gdy się ma pewność spotkania żarłaczy, zabawka dalibóg niemiła! Wiem wprawdzie, że w pewnych krajach, a mianowicie na wyspach Andamańskich, Murzyni nie wahają się uderzać na rekina, mając sztylet w jednej a strycek w drugiej ręce; ale wiem także, iż ci junacy najczęściej nie wracają żywi z tej walki ze strasznymi zwierzętami! Zresztą nie jestem Murzynem, a choćbym był Murzynem, godziłoby się w tym razie troszeczkę zawahać.

I ciągle miałem przed oczami rekiny, ich szerokie szczęki uzbrojone licznymi rzędami zębów i zdolne przeciąć człowieka na pół jak nitkę. Czulem już pewne bóle w biodrach. A przy tym nie mogłem strawić flegmy, z jaką kapitan zaprosił mnie na to nieszczęsne polowanie. Tak jakby chodziło o szczwanie w lesie jakiego niewinnego lisa.

„No — pomyślałem — zaradzimy temu jakoś! Conseil za nic w świecie nie pójdzie na takie polowanie, a to uwolni mnie od towarzyszenia kapitanowi”.

Co do Neda Landa, przyznaję, że mniej byłem pewny jego roztropności. Niebezpieczeństwo, choćby największe, zawsze miało powab dla tej wojowniczej duszy.

Zabrałem się znowu do czytania książki Sirra, ale machinalnie tylko przewracałem stronice. Drukowane litery przybierały kształty ogromnych, strasznie rozwartych szczęk.

W tej chwili Conseil i Kanadyjczyk weszli z miną spokojną, a nawet wesołą. Szczęśliwi, nie wiedzieli, co ich oczekiwało.

— Dalibóg panie — odezwał się Ned Land — pański kapitan Nemo, niech go diabli porwą, zrobił nam w tej chwili bardzo miłą propozycję!

— A! — rzekłem — Więc już wiecie...

— Z przeproszeniem pana — odpowiedział Conseil — dowódca „Nautilusa” zaprosił nas, żebyśmy jutro w towarzystwie pana zwiedzili miejsce połowu wspaniałych pereł przy Cejlonie. Mówił bardzo grzecznie i obszedł się z nami jak prawdziwy gentleman.

— I nic więcej wam nie powiedział?

— Nic, panie — odrzekł Kanadyjczyk — chyba to jedno, że już mówił panu o tym spacerze.

— Mówił w istocie. Czy jednak nie dał wam jakich objaśnień o...?

— Żadnych, panie profesorze. Wszak pójdiesz pan z nami, nieprawdaż?

— Ja... a naturalnie! Jak widzę, nabierasz gustu do tych spacerów, panie Land.

— Ma się rozumieć! Toćże to ciekawe, nadzwyczajnie ciekawe.

— A może i niebezpieczne! — dodałem tonem przestrogi.

— Ba, niebezpieczne! Prosta przechadzka po ławicy ostrygowej! — odpowiedział Ned Land.

Widocznie kapitan Nemo nic nie wspomniął moim towarzyszom o rekinach. A ja patrzyłem na nich niespokojnie, jakby już brakło im ręki lub nogi. Miałbym otwarcie ich ostrzec? Niewątpliwie; nie wiedziałem jednak, jak się wziąć do tego.

— Proszę mojego pana — odezwał się Conseil — czy pan raczy dać nam jakie objaśnienia o łowieniu pereł?

— Czy o samym łowieniu — spytałem — czy też o niebezpiecznych przygodach, które...

— O łowieniu — odpowiedział Kanadyjczyk. — Dobrze jest wiedzieć coś o okolicy, po której się ma wędrować.

— Zgoda. Więc siadajcie, przyjaciele, a ja nauczę was tego, czegom się sam przed chwilą nauczył od Anglika Sirra.

Ned i Conseil siedli na kanapie, a Kanadyjczyk zaraz zagadnął:

— Przede wszystkim, panie, chciej objaśnić, co to jest perła?

— Mój poczciwy Nedzie — odpowiedziałem — dla poety perła jest łzą morza, dla ludów Wschodu jest stwardniałą kroplą rosy; dla elegantek jest klejnotem podługowatego kształtu i mlecznej barwy, który noszą na palcach, na szyi lub w uszach; dla chemika jest mieszaniną soli, kwasu fosforowego i węgla wapna z odrobiną pewnej masy galaretowatej; na koniec dla przyrodników jest to prosta chorobliwa wydzielina organu, wytwarzająca masę perłową u pewnych mięczaków dwuskorupnych.

— Dział mięczaków — dodał Conseil — klasa bezgłowych, rząd skorupiaków.

— Wybornie, uczony Conseilu. Owóż między tymi skorupiakami uszka morskie, trydakny, muszle włókniste i wszystkie inne, wydzielające perłową masę, to jest ową materię niebieską, fioletową lub białą, która zdobi wewnątrz ich skorupy, mogą wydawać perły.

— Czy i ślimaki? — spytał Kanadyjczyk.

— A jakże, ślimaki pewnych wód Szkocji, Walii, Saksonii, Czech i Francji.

— Wyśmienicie — rzekł Kanadyjczyk — będzie się teraz zwracało na nie uwagę.

— Wszelako — mówiłem dalej — najdoskonalszym mięczakiem wydzielającym perlę jest szacowna ostryga perłowa, tak zwana perliczka. Perła, zwykle kształtu kulistego, przystaje do muszli lub wpija się w ciało mięczaka. Przystająca do muszli jest nieruchoma, wolna zaś jest w ciele zwierzęcia. Zawiazkiem perły zawsze jest ciało twarde, bądź jajecznik niepłodny, bądź ziarnko piasku, dokoła którego osiada w ciągu lat kilku materia perłowa i z wolna twardnieje.

— A czy bywa po kilka pereł w jednej ostrzydze? — spytał Conseil.

— Bywa, mój chłopcze. Pewne perliczki tworzą prawdziwy naszyjnik. Przytaczają nawet ostrzygę, która miała, o czym jednak wątpię, przeszło sto pięćdziesiąt rekinów.

— Sto pięćdziesiąt rekinów! — zawołał Ned Land.

— Czy powiedziałem rekinów? — spytałem zmieszany. — Chciałem powiedzieć, sto pięćdziesiąt pereł. „Rekinów” nie miałyby żadnego sensu.

— To prawda — rzekł Conseil. — A teraz raczy mój pan objaśnić nas, w jaki sposób wyjmują się te perły?

— Są różne sposoby, a nawet często, gdy perły silnie przystają do muszli, trzeba odrywać je szczypcami. Zwykle jednak rozkłada się perliczki na kobiercu z traw morskich, zaścielającym wybrzeże. Tym sposobem mięczaki zamierają na świeżym powietrzu, a po dniach dziesięciu zaczynają gnić. Wtedy zanurza się je w zbiornikach wody słonej, a potem otwiera i obmywa. Wówczas to rozpoczyna się podwójna praca wyrzynających perły. Najprzód oddzielają warstwę perłowej masy, zwanej w handlu pod nazwą *srebrzanki* lub *mieszanki białej*, albo *mieszanki czarnej* i sprzedawanej skrzyniami, ważącymi po sto dwadzieścia pięć i sto pięćdziesiąt kilogramów. Tułów zaś, wyjęty z muszli, gotują i cedzą przez sito, aby wycisnąć z niego wszystkie, choćby najmniejsze perły.

— Zapewne cena tych pereł zależy od ich wielkości? — spytał Conseil.

— Nie tylko od wielkości — odpowiedziałem — ale także od kształtu, od *wody*, to jest barwy, i wreszcie od ich blasku, który im bardziej jest mieniący się i różnobarwny, tym perła jest szacowniejsza. Najpiękniejsze perły nazywają się dziewiczymi lub doskonałymi; tworzą się one samotnie w tkance mięczaka, są białe, często nieprzezroczyste, z blaskiem opalowym, okrągłe lub podługowate. Okrągłe używają się na naszyjniki i bransoletki, podługowate służą do kolczyków i jako cenniejsze sprzedają się na sztuki. Perły przylegające do muszli i mniej kształtnej formy sprzedaje się na wagę. Na koniec do ostatnich gatunków należą perły znane pod nazwą nasionek lub drobnych perełek; sprzedają się one na miarę i głównie służą do haftowania ornatów i kap kościelnych.

— To rozgatunkowanie pereł według ich wielkości musi być mozolne i zajmować dużo czasu — wtrącił Kanadyjczyk.

— Nie, przyjacielu. Dokonuje się tego za pomocą przetaków, czyli terek z różnej wielkości dziurkami. Perły pozostające w przetaku mającym od dwudziestu do osiemdziesięciu dziurek są pierwszorzędne. Te zaś, które nie przechodzą przez przetak mający od stu do osmiuset dziurek, są drugorzędne. Na koniec te, do których używają się przetaki z dziewięćset do tysiąca dziurek, stanowią nasionka czyli drobne perełki.

— Dowcipny sposób — rzekł Conseil — i, jak widzę, podział i klasyfikacja pereł odbywa się mechanicznie. A czy mój pan raczy nam powiedzieć, jaki dochód przynosi eksploatacja ławic ostryg perłowych?

— Według książki Sirra — odpowiedziałem — perłolówstwo pod Cejlonem wydierżawione jest za roczną opłatą trzech milionów żarłaczy.

— Chyba franków! — poprawił Conseil.

— Tak, chciałem powiedzieć franków. Sądzę jednak, że perłolówstwo nie przynosi już takich dochodów jak dawniej. Podobnie rzecz się ma z perłolówstwem amerykańskim, które za panowania Karola V przynosiło dochodu cztery miliony franków, a teraz nie daje i trzech milionów. W ogóle eksploatacja pereł daje rocznie około dziewięciu milionów franków.

— Czy jednak nie było sławnych pereł, wysoko cenionych? — spytał Conseil.

— Owszem, były, mój chłopcze. Powiadają, że Cezar darował Sewilli perełę cenioną na sto dwadzieścia tysięcy franków na naszą monetę.

— A ja słyszałem — wtrącił Kanadyjczyk — że pewna dama starożytna piła pereły roztopione w occie.

— To Kleopatra — objaśnił Conseil.

— Potrawa nie musiała być smaczna — dodał Ned Land.

— Nieznośna, przyjacielu Ned — odpowiedział Conseil — ale kieliszek octu kosztujący półtora miliona franków zawsze to osobliwość.

— Żałuję, że nie ożenił się z tą bogatą panią — rzekł Kanadyjczyk, machając ręką dość niebezpiecznie dla swoich sąsiadów.

— Ned Land mężem Kleopatry! — zawołał Conseil.

— A cóż ty myślisz? Już, już miałem się ożenić i nie moja w tym wina, jeśli małżeństwo się rozchwiało — poważnie odpowiedział Kanadyjczyk. — Kupiłem już naszyjnik perełowy dla Kasi Tender, mojej narzeczonej, która zresztą wyszła za innego. Owóż ten naszyjnik kosztował tylko półtora dolara, a przecież niech pan profesor mi wierzy, pereły te nie przecisnęłyby się przez przetak o dwudziestu dziurkach.

— Pocziwy mój Ned — odpowiedziałem, śmiejąc się — były to pereły sztuczne, kulki szklane, napełnione wewnątrz płynem wschodnim.

— Ba! — odrzekł Kanadyjczyk — I ten płyn wschodni musi drogo kosztować!

— Wcale nie. Jest to po prostu srebrzysta masa łuski płotkowej zebrana z wody i przechowana w amoniaku. Nie ma ona żadnej wartości.

— Rozumiem! Dlatego zapewne Kasia Tender poszła za innego — filozoficznie odpowiedział Ned Land.

— Wracając jednak do wysokiej wartości pereł — odezwałem się znowu — wątpię, czy kiedykolwiek jaki monarcha posiadał szacowniejszą od tej, którą ma kapitan Nemo.

— Czy tej? — spytał Conseil, wskazując na pyszny klejnot w oszklonej szafce.

— Tej samej i nie omył się, oceniając ją na dwa miliony...

— Franków! — żywo dodał Conseil.

— Tak, chciałem powiedzieć dwa miliony franków, a jednak kapitana nic ona nie kosztuje; po prostu poszedł i wziął.

— Ba! — zawołał Ned Land — My tak samo zrobimy podczas jutrzejszego spaceru. A może znajdziemy lepsze?

— Wątpię — rzekł Conseil.

— Czemużby nie?

— Przypuśćmy, że tak; lecz na co zdadzą ci się miliony na pokładzie „Nautilusa”?

— Na pokładzie na nic — odpowiedział Ned Land — ale gdzie indziej...

— Oho, gdzie indziej! — rzekł Conseil, kiwając głową.

— Bądź co bądź — wtrąciłem — Land ma słuszność. I jeśli kiedykolwiek zawieziemy do Europy lub Ameryki perełę wartości kilku milionów, wówczas zapewne chętniej uwierzą naszym opowiadaniom.

— I ja tak myślę — rzekł Kanadyjczyk.

— Wszystko to bardzo piękne — wtrącił Conseil, który zawsze zapatrywał się na rzeczy ze strony praktycznej — czy jednak te łowy pereł nie są niebezpieczne?

— Nie — żywo odpowiedziałem — zwłaszcza jeśli się przedsięwzięmie pewne środki ostrożności.

— A cóż się ryzykuje w tym rzemiośle? — spytał Ned Land. — Może połkniemy trochę wody morskiej?

— Kto wie, Ned. Może spotkać nas coś gorszego: na przykład, mój zuch — dodałem, naśladując flegmę kapitana Nemo — czy boisz się rekinów?

— Ja, oszczepnik z rzemiosła, miałbym się bać rekinów! Moją rzeczą jest drwić z nich sobie!

— Ale, mój drogi — dodałem — tu nie chodzi o łowienie ich za pomocą oszczepu lub harpuna, o wyciąganie na pomost okrętu, odcinanie toporem ogona, płatanie brzucha i wyrzucanie serca do morza!

— A o cóż chodzi?

— O prawdziwą walkę.

— W wodzie?

— Właśnie, w wodzie.

— E, panie profesorze, a od czego dobry harpun? Trzeba panu wiedzieć, że te rekiny są niezdarne bydlęta. Żeby cię capnąć, muszą się na grzbiet obrócić, a tymczasem...

Ned Land miał tak osobliwy sposób wymawiania tego wyrazu „capnąć”, że mnie dreszcze zimne przenikały, gdym go słyszał.

— A ty, Conseil, co myślisz o tych żarłaczach?

— Ja? — odrzekł Conseil — Ja otwarcie powiem mojemu panu, co myślę.

„Przecież!” — pomyślałem.

— Jeśli mój pan zamierza walczyć z rekinami — rzekł Conseil — nie rozumiem powodu, dla którego bym ja, wierny sługa mojego pana, nie miał także z nimi walczyć!

## PERŁA WARTOŚCI DZIESIĘCIU MILIONÓW FRANKÓW

Noc nadeszła. Udałem się na spoczynek, ale dość źle spałem. Ciągłe śniły mi się żarłaczki i wydawał mi się trafny ów źródłosłów, według którego *rekin* pochodzi od wyrazu łacińskiego *requiem*<sup>159</sup>.

Nazajutrz o czwartej z rana obudził mnie posługacz okrętowy, którego kapitan Nemo umyślnie przeznaczył do moich usług. Śpiesznie wstałem, ubrałem się i poszedłem do salonu.

Kapitan Nemo już mnie tam oczekiwał.

— Panie Aronnax — spytał — czy jesteś gotów do drogi?

— Jestem gotów.

— Więc proszę z sobą.

— A moi towarzysze, kapitanie?

— Są już zawiadomieni i czekają na nas.

— Czy nie włożymy na siebie naszych skafandrów? — spytałem.

— Jeszcze nie teraz. Nie dałem „Nautilusowi” zbliżyć się do brzegu i jesteśmy dość oddaleni od ławicy Manarskiej; kazałem jednak przygotować łódź, która nas powiezie na miejsce najstosowniejsze do wylądowania i tym sposobem oszczędzi nam dość długiej wędrówki. Nasze ubiory nurków są na tej łodzi; włożymy je w chwili, gdy się rozpocznie wycieczka podmorska.

Kapitan Nemo zaprowadził mnie do schodów środkowych, którymi się wchodzi na platformę. Tu zastałem już Neda i Conseila zachwyconych myślą o przygotowującym się „spacerze”. Pięciu majtków „Nautilusa” z wiosłami w ręku oczekiwało nas w łodzi linką przywiązanej do pokładu.

Noc była jeszcze dość ciemna. Gęste chmury okrywały niebo, na którym ledwie kilka gwiazd dostrzec było można. Zwróciłem oczy w stronę lądu; tu jednak widziałem tylko mgliste zarysy zamykające trzy czwarte widnokregu od południo-zachodu do północno-wschodu. „Nautilus” opłynął brzeg zachodni Cejlonu i był teraz na zachód od zatoki albo raczej cieśniny utworzonej przez ten ląd i wyspę Manar. Tu pod ciemnymi wodami rozciągała się ławica perlic, niewyczerpane pole pereł mające przeszło dwadzieścia mil morskich długości.

Kapitan Nemo, Conseil, Ned Land i ja usiedliśmy w tyle łodzi. Sternik stał u przodu, a jego czterej towarzysze wspierali się na wiosłach. Odwiązano linkę i odpłynęliśmy od „Nautilusa”.

<sup>159</sup>*requiem* (muz.) — utwór żałobny. [przypis edytorski]

Łódź skierowała się na południe. Marynarze nie kwapili się. Zauważyłem, że ich wiosła, głęboko zanurzone w wodzie, uderzały ją regularnie co dziesięć sekund, według metody ogólnie przyjętej w marynarce wojennej. Gdy łódź płynęła, rozpryskujące się kropelki wody padającej na czarne bałwany morza podobne były do roztopionego ołowiu; wietrzyk wiejący od otwartego morza lekko kołysał łódź, o której przód rozbijały się fale.

Siedzieliśmy w milczeniu. O czym myślał kapitan Nemo? Zapewne o ziemi, do której płynęliśmy, która wydawała mu się nazbyt blisko, gdy przeciwnie Kanadyjczyk sądził, że jest jeszcze zbyt oddalona. Co do Conseila, ten miał minę turysty, którym powoduje prosta ciekawość.

Około wpół do szóstej pierwsze brzaski na widnokręgu wyraźnie uwydatniły wyższą linię wybrzeży. Dość równa i płaska na wschodzie, podnosiła się kulisto ku południowi. Pięć mil oddzielało nas jeszcze od brzegów, które we mgle niknęły. Morze było puste na przestrzeni pomiędzy wybrzeżem a łodzią; ani statków, ani nurków. Głęboka cisza i samotność panowały w tym miejscu gromadzenia się poławiaczy pereł. Jak już objaśnił mnie kapitan Nemo, przybyliśmy w te strony o cały miesiąc za wcześnie.

O szóstej rozwidniło się nagle z szybkością właściwą strefom zwrotnikowym niemającym ani świtu, ani zmierzchu. Promienie słoneczne przebiły zasłonę z chmur nagromadzonych na widnokręgu wschodnim i gwiazda dzienna wznosiła się szybko.

Teraz wyraźnie widziałem ziemię i drzewa rosnące tu i ówdzie.

Łódź zmierzała do wyspy Manar, która się zaokrąglą w stronie południowej. Kapitan Nemo podniósł się z ławki i patrzył na morze.

Na dany przez niego znak zarzucono kotwicę, a łańcuch jej zaledwie się zanurzył; dno było już w głębokości nie większej niż jednego metra, w tym miejscu bowiem był jeden z najwyższych punktów ławicy perłowej. Łódź obróciła się zaraz popychana odpływem, który ją ciągnął na otwarte morze.

— Stanęliśmy tedy na miejscu, panie Aronnax — rzekł wówczas kapitan Nemo. — Widzisz pan tę ściśniętą zatokę. Tu właśnie za miesiąc zbiorą się liczne statki poławiaczy pereł i w tych wodach nurkowie będą robili śmiało poszukiwania. Położenie zatoki jest bardzo dogodnie do tego rodzaju łowów. Osłonięta jest od silniejszych wiatrów; morze nigdy tu nie jest bardzo burzliwe, a ta okoliczność wielce sprzyja pracy nurków. Teraz wdziejemy skafandry i rozpoczniemy przechadzkę.

Nic na to nie odpowiedziałem i, patrząc na te podejrzane wody, z pomocą marynarzy zacząłem wdziwać na siebie ciężkie ubranie morskie. Kapitan Nemo i dwaj moi towarzysze także się ubierali. Żaden z ludzi „Nautilusa” nie miał nam towarzyszyć w tej nowej wycieczce.

Wkrótce byliśmy aż po szyję uwieczni w kauczukowym odzieniu, a szelki przypięły nam na plecach przyrządy z powietrzem. Co do przyrządów Ruhmkorffa, nie było o nich mowy. Przed włożeniem głowy w miedziane pudło zwróciłem na to uwagę kapitana Nemo.

— Przyrządy te na nic by się nam nie przydały — odpowiedział kapitan. — Nie zapuścimy się głęboko, a promienie słoneczne dostatecznie rozjaśnią nam drogę. Zresztą nie byłoby roztropnym zabierać pod wodę latarnię elektryczną. Jej blask mógłby niespodzianie ściągnąć którego z niebezpiecznych mieszkańców tych wód.

Gdy kapitan domawiał tych słów, obróciłem się do Conseila i Neda Landa, ale obaj mieli już głowy zamknięte w pudle metalowym, nie mogli więc ani słyszeć, ani odpowiadać.

Jedno jeszcze pytanie miałem zadać kapitanowi Nemo.

— A broń nasza — spytałem — nasze strzelby?

— Strzelby? A to po co? Przecież wasi górale ze sztyletem w ręku walczą z niedźwiedziem, a czyż stal nie jest pewniejsza od ołowiu? Oto jest tęgi sztylet. Zatknij go pan za pas i ruszajmy w drogę.

Spojrzałem na mych towarzyszów. Byli uzbrojeni jak my, a nadto Ned Land wywijał potężnym harpunem, który przed opuszczeniem „Nautilusa” włożył do łodzi.

Wreszcie, idąc za przykładem kapitana, dałem sobie nakryć głowę ciężkim czerepem metalowym, a nasze zbiorniki powietrza natychmiast zostały wprawione w ruch.



Po chwili majtkowie z łodzi wysadzili nas jednego po drugim i w głębokości półtora metra wody zstąpiliśmy na gładki piasek. Kapitan Nemo skinął na nas ręką, żebyśmy szli za nim, i po lekkiej pochyłości zniknęliśmy pod falami.

Tu opuściły mnie niepokojące myśli. Stałem się zadziwiająco spokojny. Łatwość poruszeń wzmacniała pewność siebie, a osobliwość widowiska żywo zajmowała wyobraźnię.

Słońce przesyłało już dostateczną jasność pod wodę. Można było rozpoznawać najdrobniejsze przedmioty. Po dziesięciu minutach drogi byliśmy pięć metrów pod wodą, a grunt stawał się prawie płaski.

Na nasz widok niby stado bekasów na trzęsawisku zrywały się gromady ciekawych ryb z rodzaju jednopłetwych, opatrzonych jedyną płetwą przy ogonie. Poznałem zaraz jawańczyka, istnego węża osiem decymetrów długiego, z sinym brzuchem, którego zbyt łatwo można by wziąć za węgorza morskiego, gdyby nie miał złocistych pręg po bokach. Z rodzaju bezskrzelowych, których ciało owalne, równie długie jak szerokie i ściśnięte, widziałem okazy o najświetniejszych barwach, noszące swoją płetwę grzbietową jak kosę, ryby jadalne, które ususzone lub zamarynowane dają wyborną potrawę znaną pod nazwą *karawad*; widziałem także trankebary należące do rodzaju głowaczów, których ciało pokryte jest pancerzem łuskowatym o ośmiu podłużnych okach.

Tymczasem stopniowe podnoszenie się słońca coraz bardziej rozjaśniało masy wód. Grunt z wolna się zmieniał. Po drobnym piasku mieliśmy prawdziwą żwirówkę z zaokrąglonych kamieni, zasłaną kobiercem mięczaków i zwierozkrzewów. Pomiędzy okazami tych dwu działów zauważyłem placeny o skorupach wąskich i nierównych, gatunki ostrygowych właściwe Morzu Czerwonemu i Oceanowi Indyjskiemu, lucyny pomarańczowe o kręgowatej muszli, purpury perskie, które dostarczyły „Nautilusowi” przedziwnych farb, skały rogate, jedenaście centymetrów długie, a sterczące pod wodą niby ręce gotowe cię pochwycić, ślimaki śrubowce najeżone kolcami, jęczyczki bezgłowe dwuskorupne, muszle jadalne, zasilające targi Indostanu, mięczaki ogonkowe lekko świecące i na koniec przedziwne oczkowce wachlarzowate, wspaniałe wachlarze stanowiące jedną z najbogatszych roślinności tych mórz.

Pośród tych żywych roślin i pod altanami flory wodnej biegały niezgrabne legiony stawowatych: w szczególności żabieńce zębate, których skorupa tworzy trójkąt nieco zaokrąglony i ohydne partenopy, których widok wstręt budzi. Niemniej ohydny zwierzem, którego kilkakrotnie spotkałem, był ów krab potworny, obserwowany przez Darwina, któremu natura dała instynkt i siłę potrzebną do żywienia się orzechem kokosowym; wchodzi on na drzewa przybrzeżne, strząsa orzechy i otwiera je potężnymi nożycami. Tu, pod jasnymi falami krab ten biegł z nieporównaną chyżością, gdy raki morskie z gatunku napotykanego przy brzegach Malabaru z wolna i z trudnością poruszają się pomiędzy potłuczonymi skałami.

Okolo siódmej stąpaliśmy już po ławicy perlicowej, na której ostrygi perłowe odradzają się milionami.

Cenne te mięczaki przylegały do skał i były do nich silnie przytwierdzone owym bisiosem brunatnego koloru, który im nie pozwala przemieścić się z miejsca na miejsce — w czym ostrygi są niższe nawet od ślimaków, bo tym natura nie odmówiła możliwości chodzenia.

Perliczka *meleagrina*, rodzicielka pereł, której dwie skorupy są prawie równe, ma kształt muszli zaokrąglonej, z szerokimi ścianami wielce chropowatymi na zewnątrz. Niektóre z tych muszli były upstrzone zielonawymi paskami jaśniejącymi u wierzchu. Należały one do młodych ostryg.

Inne z powierzchnią szorstką i czarną, stare, liczące dziesięć lat i więcej, miały do piętnastu centymetrów szerokości.

Kapitan Nemo wskazał mi ręką na to obfite nagromadzenie perliczek i zaraz poznałem, że ta kopalnia była prawdziwie niewyczerpana, gdyż siła twórcza przyrody o wiele przewyższa niweczący instynkt człowieka. Ned Land, wierny temu instynktowi zniszczenia, skwapliwie zapełniał najpiękniejszymi mięczakami siatkę, którą miał u pasa. Grube skorupiaki, stojąc na wysokich łapach niby maszyny wojenne, z posępnych swych krętych kryjówek patrzyły na nas nieruchomymi oczyma, a pod nogami naszymi pęzły myriany, krwawniki i pierścieńce niepomierne wyciągające swoje różki i macki.

W tej chwili otworzyła się przed nami obszerna jaskinia wydrążona w malowniczej gromadzie skał ubarwionych najpiękniejszą florą podmorską. Zrazu jaskinia wydała mi się najzupełniej ciemna. Zdawało się, że promienie słoneczne stopniowo w niej gasły. Słabe jej przezrocze było już tylko zatopionym światłem.

Kapitan Nemo wszedł do jaskini, a my za nim. Oczy moje wkrótce przyzwyczyły się do tego mroku. Przypatrywałem się kapryśnym zagięciom sklepienia, które się wspierało na słupach naturalnych, szeroko osadzonych na granitowej podstawie niby ciężkie kolumny architektury tokańskiej. Dlaczego nasz niepojęty przewodnik zaprowadził nas w głąb tej katakumby podmorskiej? Niebawem miałem się o tym dowiedzieć.

Zstępując po dość spadzistej pochyłości, zeszliśmy na dno pewnego rodzaju studni okrągłej. Tu kapitan Nemo zatrzymał się i ręką wskazał przedmiot, któremu jeszcze był nie spostrzegł.

Była to ostryga nadzwyczajnych rozmiarów, trydakna olbrzymia, chrzcielnica, w której zmieściłoby się jezioro wody święconej; koncha, której szerokość przekraczała dwa metry, a przeto była większa od tej, jaka zdobiła salon „Nautilusa”.

Zbliżyłem się do tego fenomenalnego mięczaka. Bisiorem swoim przylegał do tablicy granitowej i na niej samotnie rozwijał się w cichych wodach jaskini. Trydakna ta mogła ważyć ze trzysta kilogramów. Owóż taka ostryga ma piętnaście kilogramów mięśni i potrzeba by mieć żołądek bajecznego olbrzymia, żeby ich połknąć z pół kopy.

Oczywiście kapitan Nemo wiedział o istnieniu tej muszli dwuskorupnej. Nie po raz pierwszy ją odwiedzał; sądziłem, że prowadząc nas do tego miejsca, chciał nam tylko pokazać osobliwość natury. Omyliłem się. Kapitan Nemo miał swój własny interes w poznaniu terazniejszego stanu tej trydakny (dosłownie: starczającej na trzy kęsy).

Skorupy mięczaka były na pół otwarte. Kapitan zbliżył się, wsunął sztylet między muszle, żeby się nie zamknęły, a potem ręką podniósł u brzegów tkanę błonowatą tworzącą osłonę zwierzęcia.

Tu, między liściowatymi zwojami, zobaczyłem wolną perłę, dochodzącą wielkości orzecha kokosowego. Jej kształt kulisty, doskonała przezroczystość i przedziwny blask tęczowy tworzyły z niej klejnot nieocenionej wartości. Ciekawością zdjęty, wyciągnąłem rękę, żeby ją wyjąć, zważyć, obejrzyć. Kapitan jednak zatrzymał mnie, zrobił znak przeczący i szybkim ruchem wyciągnąwszy sztylet, nagle zamknął obie skorupy muszli.

Zrozumiałem wówczas zamiar kapitana Nemo. Zostawiając tę perłę osloniętą ciałem trydakny, pozwalał jej nieznacznie wzrastać.

Z każdym rokiem wydzieliny mięczaka okrywały ją nowymi pokładami spółśrodkowymi. Sam tylko kapitan znał jaskinię, gdzie dojrzewał ten przedziwny owoc natury, sam hodował go niejako, aby z czasem przenieść do swego cennego muzeum. Może nawet, naśladując przykład Chińczyków i Indian, sam spowodował utworzenie tej perły, kładąc pod zwoje mięczaka kawałek szkła lub metalu, który potem z wolna okrył się materią perłową. W każdym razie, porównyując tę perłę z tą, którą już znałem, i z tymi, które jaśniały w zbiorze kapitana, oceniłem jej wartość co najmniej na dziesięć milionów franków. Pyszny okaz dziwów przyrody, a nie klejnot zbytkowny: bo nie wiem, jakie ucho niewieście mogłoby go udźwignąć.

Skończyła się wizyta u kosztownej trydakny. Kapitan Nemo wyszedł z jaskini i wspiealiśmy się na ławicę perlicową, pośród wód przezroczystych, których nie mąciła jeszcze praca nurków.

Szliśmy pojedynczo, jakby spacerem, zatrzymując się lub oddalając wedle fantazji. Co do mnie, wcale już nie troszczyłem się o niebezpieczeństwa, które wyobrażnia moja tak śmiesznie przesadziła. Dno widocznie podnosiło się do powierzchni morza i wkrótce z głębokości metra głowa moja wysunęła się na powietrze. Conseil przyłączył się do mnie i przyłożywszy swój hełm metalowy do mojego, mruganiem oczu powitał mnie przyjaźnie. Tak wysokie jednak dno morza mierzyło ledwie kilka sążni i znowu weszliśmy do swego żywiołu. Zdaje mi się, że teraz mam prawo tak go nazywać.

W dziesięć minut później kapitan Nemo nagle się zatrzymał. Myślałem, że się chce zawrócić; ale nie. Skinieniem ręki kazał nam skryć się przy nim w głębi szerokiego wydrążenia skały. Ręka jego była wyciągnięta i bacznie patrzyłem w jej kierunku.

O pięć metrów ode mnie ukazał się cień i zniżył aż do ziemi. Niepokojąca myśl o rekinach znowu przemknęła mi przez głowę, myliłem się jednak; i tym razem jeszcze nie mieliśmy do czynienia z potworami oceanu.

Był to człowiek, człowiek żywy, Indus, rybak, biedaczysko, który zapewne wyruszył na pokłosie przed żniwami. Zobaczyłem dno jego łodzi stojącej o kilka stóp nad jego głową. Zanurzał się i wypływał kolejno. Kamień ociosany w kształcie głowy cukru, który ścisnął nogami, gdy tymczasem sznur łączył go ze statkiem, służył mu do szybszego spuszczenia się na dno morza. Były to wszystkie jego narzędzia. Spuściwszy się na dno leżące na głębokości pięciu metrów, padał na kolana i napełniał swój worek perliczkami na chybił trafił zebranych. Potem wypływał na wierzch, wypróżniał worek, wyciągał z wody kamień i na nowo rozpoczynał operację, która nie trwała dłużej nad trzydzieści sekund za każdym razem.

Nurek ten nas nie widział, gdyż byliśmy zasłonięci cieniem skały. A zresztą, jak mógł ten biedny Indus przypuszczać, że istoty podobne do niego były pod wodą, śledziły jego poruszenia i nie traciły najmniejszego szczegółu jego łowów?

Tym sposobem kilkakrotnie wypłynął i zanurzył się znowu, a za każdym razem wyniósł nie więcej niż kilkanaście perliczek; musiał bowiem wydierać je z ławicy, do której przyczepiły się silnym bisiorem. A ile z tych ostryg nie posiadało owych pereł, dla których narażał swoje życie!

Patrzyłem na niego z natężoną uwagą. Manewry jego odbywały się regularnie i przez pół godziny żadne niebezpieczeństwo nie zdawało mu się zagrażać. Oswajałem się więc z widowiskiem tych zajmujących łowów, gdy nagle w chwili, gdy klęczał na dnie morza, zobaczyłem, jak się obrócił przerażony, podniósł i skoczył, żeby wypłynąć na powierzchnię wody.

Zrozumiałem jego przestroch. Olbrzymi cień ukazał się nad nieszczęśliwym nurkiem. Był to rekin niezwyklej wielkości spuszcający się po przekątnej, z rozpromienionym ślepiem i rozwartymi szczękami.

Oniemiałem ze zgrozy i nie byłem w możności się poruszyć.

Żarłoczne zwierzę silnym uderzeniem płetw rzuciło się ku Indusowi, który zręcznie odskoczył na bok i uniknął zębów rekina, lecz pchnięty ogonem w piersi padł na ziemię.

Scena trwała może parę sekund. Rekin powrócił i obracając się na grzbiecie, zabierał się do przecięcia Indusa na dwoje, gdy kapitan Nemo, który siedział przy mnie, nagle się zerwał na nogi i ze sztyletem w ręku pobiegł do potwora, gotów stoczyć z nim bój śmiertelny.

Żarłacz w chwili, gdy miał porwać nieszczęśliwego rybaka, spostrzegł nowego przeciwnika i obracając się brzuchem, szybko skierował się ku niemu.

Widzę jeszcze postawę kapitana Nemo. Spokojny, z przedziwnie zimną krwią czekał na strasznego żarłacza, a gdy ten rzucił się ku niemu, kapitan ze zdumiewającą zręcznością uniknął starcia i chwyciwszy zwierzę za płetwę przy dolnej szczęce, utopił mu w brzuch sztylet po rękojeść. Nie na tym koniec: teraz właśnie rozpoczęła się walka.

Rekin ryknął, że tak powiem. Krew strumieniami trysnęła z jego rany. Morze zabarwiło się na czerwono i przez ten ciemny płyn nic już nie widziałem.

Nie widziałem nic aż do chwili, gdy przy smudze światła ujrzałem znów zuchwałego kapitana, jak wciąż trzymając płetwę potwora, walczył zawzięcie, prując brzuch nieprzyjaciela, a jednak nie mogąc zadać mu stanowczego ciosu, to jest ugodzić w serce. Żarłacz, broniąc się wściekle, mącił wodę, której bałwany o mało mnie nie obaliły.

Chciałem biec na pomoc kapitanowi, ale zgrozą zdjęty nie mogłem się poruszyć.

Patrzyłem obłąkanym wzrokiem. Widziałem zmieniające się zwroty walki. Kapitan padł na ziemię powalony potwornym cielskiem, które na nim ciążyło, po czym szczęki rekina rozwarły się niepomierne jak ogromne nożyce i już byłoby po kapitanie, gdyby lotem błyskawicy nie nadbiegł Ned Land i harpunem nie zadał rekinowi śmiertelnego ciosu.

Masa krwi zabarwiła fale. Ned dzielnie uderzył. Ugodzony w samo serce, potwór rzucał się w strasznych konwulsjach i obalił Conseila.

Ned tymczasem oswobodził kapitana, który, nie odniósłszy żadnej rany, poszedł prosto do Indusa, żywo odciął kamień, wziął omdlałego na ręce i silnie odbiwszy się nogą, wypłynął na powierzchnię morza.

Wszyscy trzej poszliśmy za jego przykładem i po kilku chwilach cudownie ocaleni dostaliśmy się do łodzi rybaka.

Pierwszym staraniem kapitana Nemo było przywołać nieszczęśliwego do życia. Nie wiedziałem, czy się to uda. Wprawdzie zanurzenie biedaka niedługo trwało, ale rekin uderzeniem ogona mógł zabić go na miejscu.

Szczęściem, silnie nacierany przez Conseila i kapitana, topielec odzyskał przytomność i otworzył oczy. Proszę sobie wyobrazić jego zdziwienie, a nawet przestraszony widok czterech dużych głów miedzianych pochylonych nad nim.

A nade wszystko, gdy kapitan Nemo, wyjąwszy z kieszeni swego ubrania torebkę z perłami, wetknął mu ją do ręki! Ta szczodra jałmużna człowieka wód dana biednemu Indusowi Cejlonu przyjęta była ze drżeniem. Wytrzeszczone i wylękłe oczy nieboraka dostatecznie wskazywały, iż nie wiedział, jakim istotom nadludzkim zawdzięczał zarazem majątek i życie.

Na znak dany przez kapitana wróciliśmy do ławicy perłowej, idąc drogą już przebieżoną; po półgodzinnej wędrówce doszliśmy do kotwicy przytrzymującej łódź „Nautilus”.

Zasiadłszy w łodzi, każdy z nas przy pomocy marynarzy oswobodził się z ciężkiego miedzianego czerepu.

Pierwsze słowa kapitana Nemo zwrócone były do Kanadyjczyka.

— Dziękuję ci, mości Land — rzekł do niego.

— O, kapitanie — odpowiedział Ned Land — to tylko wet za wet. Należało się to panu ode mnie.

Blady uśmiech przemknął po ustach kapitana i na tym się skończyło.

— Do „Nautilusa” — rozkazał.

Łódź szybko przesuwała się po falach. W kilka minut później spotkaliśmy pływające cielsko zabitego rekina.

Z czarnej barwy końców jego płetw poznałem straszego czarnopłetwaka mórza Indyjskich z gatunku właściwych rekinów. Długość jego wynosiła przeszło dwadzieścia pięć stóp; niezmierna paszcza zajmowała trzecią część ciała. Był już dorosły, jak to wskazywało sześć rzędów zębów górnej szczęki ułożonych w trójkąt.

Conseil patrzył na potwora z zajęciem czysto naukowym — i jestem pewny, iż nie bez słuszności zaliczał go do klasy chrząstkowatych, do rzędu czarnopłetwych o stałych skrzelach, do rodziny poprzecznoustych, do rodzaju żarłaczy.

Kiedy się przypatrywał bezwładnemu cielsku, z kilkanaście takich samych czarnopłetwych żarłoków ukazało się nagle około łodzi; nie zajmując się jednak nami, rzuciły się na trupa i wydzierały sobie jego kawały.

O wpół do dziewiątej powróciliśmy na pokład „Nautilusa”.

Tu jałem rozważać przygody naszej wycieczki do ławicy Manarskiej. Dwie myśli przede wszystkim mnie zastanawiały: niesłychana, do zuchwalstwa posunięta odwaga kapitana Nemo i jego poświęcenie się dla istoty ludzkiej, dla jednego z przedstawicieli plemienia, od którego uciekał pod morza. Cokolwiek mówił ten dziwny człowiek, nie zdołał on przecież stłumić w sobie głosu serca i litości dla bliźnich.

Kiedy mu powtórzył to spostrzeżenie, odpowiedział mi głosem nieco wzruszonym:

— Ów Indus, panie profesorze, jest mieszkańcem kraju uciśnionych, a jeszcze należą i do ostatniej chwili życia należeć będą do tego kraju.

## MORZE CZERWONE

W ciągu dnia 29 stycznia wyspa Cejlon zniknęła pod widnokręgiem i „Nautilus” z szybkością dwudziestu mil na godzinę przesuwał się po labiryncie kanałów dzielących Maledywy od Lakedywów. Płynął nawet wzdłuż wyspy Kittan, ziemi pochodzenia polipowego, odkrytej w r. 1499 przez Vasco de Gamę i jednej z dziewiętnastu głównych wysp tego archipelagu Lakedywów położonego między 10° a 14° 30' szerokości północnej i 69° a 50° 72' długości wschodniej.

Tak więc przebyliśmy szesnaście tysięcy dwieście dwadzieścia mil morskich, czyli siedem tysięcy pięćset mil francuskich od rozpoczęcia naszej podróży po morzach Japonii.

Nazajutrz, 30 stycznia, gdy „Nautilus” wypłynął na powierzchnię Oceanu, nigdzie już nie widzieliśmy lądu. Statek nasz płynął w kierunku północno-zachodnim, posuwając się

ku owemu morzu Omańskiemu, kotlinie między Arabią i półwyspem Indyjskim, kędy się wpływa do Zatoki Perskiej.

Oczywiście, była to droga bez wyjścia. Dokąd nas prowadził kapitan Nemo? Nie mogłem odgadnąć. Nie zadowolilo to Kanadyjczyka, który w dniu tym pytał mnie, dokąd zmierzamy.

— Mości Ned — odpowiedziałem — zmierzamy tam, dokąd nas prowadzi fantazja kapitana.

— Ta fantazja — odparł Kanadyjczyk — niedaleko może nas zaprowadzić. Zatoka Perska nie ma wyjścia, a dostawszy się do niej, zmuszeni będziemy wkrótce się zawrócić.

— Ha, więc się zawrócimy, mości Land; a jeśli po Zatoce Perskiej „Nautilus” zechce zwiedzić morze Czerwone, cieśnina Babel-Mandeb nie omieszka otworzyć nam do niego drogi.

— Ależ, panie — odrzekł Ned Land — wiesz bardzo dobrze, że Morze Czerwone nie mniej jest zamknięte jak zatoka, skoro międzymorze Suez nie jest jeszcze przebite, a choćby było, statek tajemniczy jak nasz nie puszcza się na kanały przerywane śluzami. A więc Morze Czerwone nie jest drogą, którą powrócimy do Europy.

— Ja też nie mówiłem, że powrócimy do Europy.

— Cóż więc pan przypuszczasz?

— Przypuszczam, że po zwiedzeniu tych ciekawych okolic Arabii i Egiptu, „Nautilus” powróci na Ocean Indyjski i bądź przez kanał Mozambicki, bądź po otwartym morzu dostanie się do Przylądka Dobrej Nadziei.

— A dostawszy się do Przylądka Dobrej Nadziei? — spytał Land ze szczególnym naciskiem.

— Naturalnie, wpłyniemy na Atlantyk, którego jeszcze nie znamy. Jak widzę, przyjacielu Land, zaczyna cię nużyć ta podróż pod morzami? Więc już przesycałeś się wciąż urozmaiconym widokiem cudów morskich? Co do mnie, z największą niechęcią ujrzę koniec tej podróży, którą tak niewielu ludziom sążone jest odbyć.

— A czy wiesz, panie Aronnax — odpowiedział Kanadyjczyk — że wkrótce upłynie trzy miesiące od czasu, jak jesteśmy uwięzieni na pokładzie „Nautilusa”?

— Nie wiem o tym i wiedzieć nie chcę; nie liczę dni i godzin.

— Ależ jaki będzie jej koniec?

— Z czasem wszystko ma swój koniec. Zresztą nic nie poradzimy i daremnie się o to spierać. Gdybyś, pocziwy mój Nedzie, powiedział: „Zdarza się dobra sposobność do ucieczki”, mógłbym się nad tym zastanowić; ale tak nie jest i nie będzie, gdyż otwarcie ci wyznam, iż nie wierzę, aby kiedykolwiek kapitan Nemo odważył się wpłynąć na morza europejskie.

Z tej krótkiej rozmowy czytelnik pozna, że, rozkochany w „Nautilusie”, wlałem niejako w skórę jego dowódcy.

Co do Ned Landa, zakończył on dialog tymi słowy w formie monologu:

— Wszystko to bardzo piękne, ale, moim zdaniem, gdzie jest przymus, tam kwita z przyjemności.

Przez cztery dni, do 3 lutego, „Nautilus” zwiedzał morze Oman z różną szybkością i w różnych głębiach. Zdawało się, że idzie na chybił trafił, jakby się wahał co do kierunku drogi; nigdy jednak nie posuwał się poza Zwrotnik Raka.

Opuszczając to morze, poznaliśmy na chwilę Maskat, najważniejsze miasto kraju Oman. Podziwiałem jego niezwykły widok pośród otaczających je czarnych skał, od których jaskrawo odbijają jego białe domy i fortyfikacje. Zauważyłem zaokrąglone kopuły meczetów, wysmukłe wieżyczki minaretów, cieniste i umajone tarasy. Było to jednak jakby senne widzenie, które w mgnieniu oka znikło, bo „Nautilus” zaraz skrył się pod fale tego pośepnego morza.

Następnie płynął w odległości sześciu mil wzdłuż brzegów arabskich Mahrah i Hadramant, usianych górami i starożytnymi ruinami. Dnia 5 lutego wypłynęliśmy na koniec do Zatoki Adenu, istnego lejka, który przez cieśninę Bab-el-Mandeb przelewa wody indyjskie w Morze Czerwone.

Dnia 6 lutego „Nautilus” zbliżył się do Adenu, zbudowanego na przylądku, który wąskie międzymorze łączy z lądem. Jest to pewien rodzaj niedostępnego Gibraltaru, którego fortyfikacje naprawili Anglicy, opanowawszy je w roku 1839. Dostrzegłem ośmiograniaste

minarety tego miasta, które ongi, według historyka Edrisi, było najbogatszą i najbardziej handlową targowicą<sup>160</sup> wybrzeża.

Sądziłem, że dotarłszy do tego punktu, kapitan Nemo się zawróci — omyliłem się jednak; z wielkim moim zdziwieniem stało się inaczej.

Nazajutrz, 7 lutego, wpłynęliśmy do cieśniny Bab-el-Mandeb, której nazwa w języku arabskim znaczy: „Wrota leż”. Na dwadzieścia mil morskich szerokości ma tylko pięćdziesiąt dwa kilometry długości i „Nautilus” pędzący z największą szybkością przebiegł tę przestrzeń w niespełna godzinę. Nic też nie widziałem, ani nawet wyspy Perim, przez której zajęcie rząd angielski umocnił pozycję Adenu. Zbyt wiele pocztowych parowców angielskich i francuskich z Suezu do Bombaju, do Kalkuty, do Melbourne, do Burbon i Wysp Św. Maurycego snuło się w tym ciasnym przejściu, aby „Nautilus” odważył się pokazać na powierzchni. Roztropnie też ukrywał się pod wodą.

Na koniec w południe pruliśmy już fale Morza Czerwonego.

Morze Czerwone, owo morze słynne z podań biblijnych, którego deszcze nie odświeżają i którego żadna rzeka nie zasila, które wysysane jest przez nadmierne parowanie tak, że corocznie ubywa mu półtorametrowa warstwa wody. Dziwna zatoka zamknięta jak jezioro, która może byłaby już wyschła, gdyż upośledzona jest nawet więcej niż niedalekie Morze Martwe i Morze Kaspijskie, w których poziom wody obniżył się tylko do poziomu rzek zasilających je i wyrównujących stratę wywołaną przez parowanie.

Morze to liczy 2 600 kilometrów długości przy szerokości średniej 240 kilometrów. Za czasu Ptolemeuszów i cesarzów rzymskich było ono wielką arterią handlową świata, a przekopanie międzymorza wróci mu tę ważność dawną, którą w części już wskrzesiła kolej sueska.

Nie chciałem nawet dochodzić, jaki kaprys skłonił kapitana Nemo do wpłynięcia do tej zatoki — ale bezwarunkowo pochwalałem, że „Nautilus” obrał tę drogę. W istocie podczas jego wędrówki, bądź na powierzchni, bądź w głębi wód dla uniknięcia okrętów, mogłem badać bardzo zajmujące szczegóły ciekawego morza.

Dnia 8 lutego zaraz o świcie ukazała się nam Mokka, miasto dziś zniszczone, którego mury rozwalają się na sam huk armat, gdzie tu i ówdzie zielenieją palmy daktylowe. Miasto niegdyś bardzo ważne, miało sześć rynków publicznych, dwadzieścia meczetów, a jego mury bronione przez czternaście baszt tworzyły pas trzech kilometrów długości.

Później „Nautilus” zbliżył się do brzegów afrykańskich, gdzie głębokość morza była znaczniejsza. Tu, pod wodą przezroczystą jak kryształ, mogliśmy patrzeć przez ściany otwarte na przedziwne krzaki błyszczących koralu i na skały, odziane kobiercem zielonym porostów wodnych i morszczyzny. Nieopisane widowisko, cudna różnorodność miejscowości i krajobrazów wśród skał i wysepek przy tych brzegach libijskich! W całym jednak przepychu swojej piękności roślinność podmorska ujawniła się u wybrzeży wschodnich, do których „Nautilus” zbliżył się ponownie. Zwłaszcza w okolicy Tehama zwierzokrzewy nie tylko kwitły pod powierzchnią wysokości morza, ale nadto tworzyły malownicze szpaler i altany wysokości dziesięciu sążni, jedne kapryśniejsze i barwniejsze od drugich, a wiecznie świeże, dzięki wilgotnej żywotności wód.

Ileż rozkosznych godzin przepędziłem tak, patrząc przez szybę salonu! Ile nowych okazów flory i fauny podmorskiej podziwiałem przy blasku naszej latarni elektrycznej! Narosty grzybowate, gąbki ceglastego koloru, między innymi *Thalassianthus aster*, rurkokrzewy rozłożone jak piszczalki i czekające tylko na tchnienie bożka Pana, muszle właściwe temu morzu, rozsiadające się w wydrążeniach polipowych i skręcone w krótką węzownicę i wreszcie tysiące odmian polipa, którego jeszcze nie obserwowałem, gąbki pospolitej.

Klasa gąbczastych, pierwsza z gromady polipów, była właśnie utworzona przez tego ciekawego polipa, którego użyteczność jest niezaprzeczona. Gąbka wcale nie jest rośliną, jak utrzymują jeszcze niektórzy przyrodnicy; jest to zwierzę ostatniego rzędu, polip niższy od koralu. Zwierzęcość jego nie ulega wątpliwości; nie można nawet przyjąć opinii starożytnych, którzy uważali gąbkę jako istotę pośrednią między rośliną i zwierzęciem. Wszelako obowiązany jestem powiedzieć, że przyrodnicy nie zgadzają się co do organi-

<sup>160</sup>targowica — tu: targowisko. [przypis edytorski]

zacji gąbki. Dla jednych jest to polipniak, dla innych, jak np. dla Milne Edwardsa, jest to jednostka osobna i swobodna.

Klasa gąbczastych obejmuje około trzystu gatunków, które się spotyka prawie we wszystkich morzach, a nawet w pewnych wodach słodkich, gdzie otrzymały nazwę „rzecznych”; ulubionymi ich atoli wodami są fale Morza Śródziemnego, archipelag grecki, brzegi Syrii i Morza Czerwonego. Tu rodzą się i rozmnażają owe gąbki delikatne, których wartość dochodzi do stu pięćdziesięciu franków — gąbka biała syryjska, gąbka biała berberyjska itp. Skoro jednak nie miałem nadziei badania tych zwierzokrzewów w wodach Lepantu, od których oddzielało nas nieprzebyte międzymorze Suez, poprzestałem więc na studiowaniu ich w wodach Morza Czerwonego.

Zawolałem tedy Conseila, gdy tymczasem „Nautilus” z wolna płynął na głębokości dziewięciu metrów, przy pięknych skałach wybrzeży wschodnich.

Tu rosły gąbki wszelkich kształtów, gąbki szypułkowate, liściaste, palczaste. Usprawiedliwiały one najzupełniej nazwy: koszyków, kielichów, wrzecion, rogów losiowych, łap lwich, pawich ogonów, rękawiczki Neptuna — które im nadali rybacy, bardziej poeci niż uczeni. Z ich tkaniny włóknistej, powleczonej masą galaretową na wpół płynną nieustannie wypływa woda, która, zaciekwszy do komórek, wypędzana jest z nich odruchem ściągliwym. Ta masa galaretowata niknie po śmierci polipa i gnijąc, wydziela amoniak. Wówczas pozostają tylko włókna rogowe lub galaretowe, z których się składa gąbka domowa mająca barwę rudawą i rozmaicie używana wedle stopnia swej sprężystości, przepuszczalności lub oporu w przemakaniu.

Polipniaki te przylegają do skał, do muszli mięczaków, a nawet do łodyg roślin morskich. Zapelniają one najmniejsze wklęsłości skał, stercząc z nich lub wisząc niby wyrosty korkowe. Objaśniłem Conseila, że te gąbki poławia się dwojakim sposobem, bądź dragą, bądź ręką. Ostatnia metoda, wymagająca użycia nurków, jest lepsza — gdyż oszczędzając włókna polipniaka, zapewnia mu większą wartość.

Inne zwierzokrzewy, których mnóstwo było wśród gąbczastych, składały się głównie z meduz bardzo pięknego gatunku; mięczaki przedstawiały odmiany kalmara, według Orbigny’ego właściwe Morzu Czerwonemu; z płazów były żółwie zwane *Virgita*, które dostarczyły zdrowej i smacznej potrawy dla naszego stołu.

Co do ryb, były i liczne, i godne uwagi. Wymienię te, które sieci „Nautilusa” najczęściej na pokład wynosiły: raje, między którymi zalecają się szczególnie owalnego kształtu, barwy ceglastej, cętkowane niebieskimi plamami i dające się rozpoznać po podwójnym zębatym kolcu, raje srebrzyste, raje z ogonem śpiczastym, inne pozbawione zupełnie zębów, inne wreszcie chrząstkowate i zbliżone do żarłaczy, dromadery ostrygowate, których garb kończy się zakrzywionym kolcem, długim na półtorej stopy, mureny ze srebrzystym ogonem, modrawym grzbietem i brunatnymi skrzelami, niedopłetwe z rodzaju bezgłowych ze złotymi prążkami na okrągłym ciele, ozdobionym trzema kolorami narodowymi Francji, barweny złociste z łbem żółtym, pyszne makrele ozdobione siedmioma poprzecznymi taśmami czarnymi, o płetwach niebieskich i żółtych, z łuską żółtą i srebrną, rogatnice, kielbie i tysiące innych ryb wspólnych oceanom, któreśmy już zwiedzili.

Dnia 9 lutego „Nautilus” płynął w najszerszej części Morza Czerwonego, między Suakinem na brzegu zachodnim i Quonfodah na brzegu wschodnim, mierzącym sto dziewięćdziesiąt mil morskich.

W południe kapitan Nemo wyszedł na platformę, gdzie ja stałem. Postanowiłem sobie nie puścić go, dopóki nie poznam jego dalszych projektów. Zobaczywszy mnie, zbliżył się uprzejmie, ofiarował cygaro i rzekł:

— Cóż, panie profesorze, jak się podoba to Morze Czerwone? Czy dobrze zauważyłeś pan cuda, jakie ono zawiera, jego ryby, zwierzokrzewy, pokłady gąbek i lasy koralowe? A widziałeś pan miasta po brzegach?

— Wszystko widziałem, kapitanie Nemo, i „Nautilus” przedziwnie nam w tym pomagał. Ach, rozumny to statek!

— Tak, panie profesorze, rozumny, śmiały i nietykalny! Nie lęka się ani strasznych nawałnic Morza Czerwonego, ani bystrych jego prądów, ani skał podwodnych.

— W istocie — rzekłem — to morze uchodzi za najgorsze i jeśli się nie mylę, w czasach starożytnych miało szkaradną nazwę.

— Szkaradną, panie Aronnax. Historycy greccy i łacińscy nie mówią o nim korzystnie, a Strabon powiada, że jest jeszcze szczególnie niebezpieczne w porze dżdżystej. Arab Edrisi, który je opisał pod nazwą zatoki Kolzum, opowiada, że znaczna liczba okrętów ginęła na jego piaszczystych ławach i że nikt nie ośmielił się żeglować tu w nocy. Ma to być, według niego, morze huraganów, zasiane niegościnnymi wysepkami i „niemające nic dobrego” ani w swych głębinach, ani na powierzchni. Tę opinię znajdujemy także u Arriena, Agatharchidesa i Artemidora.

— Pokazuje się z tego — rzekłem — że ci historycy nie żeglowali na pokładzie „Nautilusa”.

— Niewątpliwie — z uśmiechem odpowiedział kapitan — i pod tym względem nowożytni posunęli się nie dalej od starożytnych. Potrzeba było całych wieków, żeby wykryć potęgę mechaniczną pary! Kto wie, czy za sto lat zobaczy świat drugiego „Nautilusa”? Postępy wynalazków są powolne, panie Aronnax.

— Zapewne — odrzekłem — pański okręt wyprzedza o sto, a może i o kilkaset lat swoją epokę. Co za nieszczęście, że tak ważna tajemnica umrze ze swoim wynalazcą!

Kapitan Nemo nic nie odpowiedział. Po kilku minutach odezwał się znowu:

— Mówiłeś mi pan o niebezpieczeństwach, z jakimi według opinii historyków starożytnych połączona jest żegluga na Morzu Czerwonym?

— W istocie — odpowiedziałem — czy jednak obawy ich nie były przesadzone?

— I tak, i nie, panie Aronnax — odrzekł kapitan Nemo, który zdawał się gruntownie znać „swoje Morze Czerwone”. — Co przestało być niebezpieczne dla okrętu nowoczesnego, dobrze zaopatrzonego we wszystkie przyrządy, mocno zbudowanego i dzięki posłusznej parze dowolnie kierującego swymi poruszeniami, to przedstawiało mnóstwo niebezpieczeństw dla statków starożytnych. Wyobraźmy sobie pierwszych żeglarzy płynących na łodziach spojonych sznurem palmowym, pozatykanych żywicą i pomazanych tłuszczem psów morskich. Nie mieli nawet narzędzi do oznaczenia swego kierunku i płynęli, zdając się na łaskę prądów, których wcale nie znali. W takich warunkach rozbicia okrętu były i musiały być liczne, ale za naszych czasów parowce odbywające służbę między Suezem i morzami południa, mimo przeciwnych wiatrów periodycznych w tej zatoce, nie lękają się już jej gniewów. Dowódcy i pasażerowie nie składają ofiar błagalnych, udając się w drogę; ani za powrotem nie idą ozdobieni wieńcami i złocistymi wstęgami, aby dziękować bogom w najbliższej świątyni.

— Przyznaję — rzekłem — że para niejako wygnała uczucie wdzięczności z serca marynarzy. Ale, kapitanie, zdaje się, żeś szczególnie studiował to morze; czy więc nie mógłbyś mnie objaśnić, skąd powstała jego nazwa?

— Różne są tłumaczenia, panie Aronnax. Chcesz poznać opinię jednego z kronikarzy XIV wieku?

— I owszem.

— Fantastyk ten utrzymuje, że morze otrzymało nazwę po przejściu Izraelitów, gdy Faraon zginął w falach, które się zamknęły na głos Mojżesza:

„Na pamiątkę tego cudu  
Morze czerwonym się stało;  
I odtąd już w ustach ludu  
Czerwonym będzie się zwało”.

— Objaśnienie poetyckie, kapitanie Nemo — odpowiedziałem — nie mogę jednak na nim poprzestać. Rad bym poznać twoją osobistą opinię.

— Dobrze, panie Aronnax. Według mnie nazwa Morza Czerwonego jest tłumaczeniem wyrazu hebrajskiego „Edrom” i jeśli starożytni dali mu tę nazwę, stało się to z powodu osobliwszego ubarwienia jego wód.

— Dotychczas jednak widziałem wody przezroczyste i bez żadnej szczególnej barwy.

— Tak, lecz posuwając się w głąb nieco, spostrzeżesz pan to osobliwsze zjawisko. Przypominam sobie, że widział Zatokę Tor zupełnie czerwoną jak krwawe jezioro.

— I barwę tę przypisujesz pan mikroskopowym porostom wodnym.

— Tak, jest to materia czerwona, klejowata, wydzielana przez drobne roślinki znane pod nazwą *Trichodesmium* (włoskowatych), których potrzeba sztuk czterdzieści tysięcy,



żeby zapłacić przestrzeń milimetra kwadratowego. Zapewne pan je spotkasz, gdy będziemy w Tor.

— Tak więc, kapitanie Nemo, nie pierwszy raz zwiedzasz Morze Czerwone na pokładzie „Nautilusa”.

— Nie pierwszy, panie profesorze.

— W takim razie, skoro pan wspomniałeś o przejściu Izraelitów i o katastrofie Egipcjan, zapytam pana, czy dostrzegłeś pod wodami ślady tego wielkiego faktu historycznego?

— Nie dostrzegłem, panie profesorze, z oczywistego powodu.

— Jakiego?

— Z tego, że miejsce, w którym Mojżesz przechodził z całym swoim ludem, jest dziś tak zasypane piaskiem, że wielbłądy zaledwie maczają tam swe nogi. Pojmujesz pan, że „Nautilus” nie miałby tam dość wody dla siebie.

— I gdzież to miejsce? — spytałem.

— Leży ono nieco powyżej Suez, gdyż w owym czasie Morze Czerwone rozciągało się do jezior słonych. I bez względu na to, czy ta przeprawa była cudowna, czy też po prostu była korzystaniem w porę z odpływu morza, Izraelici w owym miejscu przeszli przez Morze Czerwone, żeby się dostać do Ziemi Obiecanej, i armia faraona także w tym miejscu zginęła. Sądzę też, że przyszłe poszukiwania w tych piaskach pozwolą wykryć znaczną ilość broni i narzędzi pochodzenia egipskiego.

— Rzecz oczywista — odpowiedziałem — i spodziewać się należy dla dobra archeologów, że te poszukiwania prędzej czy później będą czynione, gdy po przekopaniu Kanału Sueskiego nowe miasta powstaną przy jego brzegach. Kanał to zgoła nieużyteczny dla okrętu takiego jak „Nautilus”.

— Tak, ale użyteczny dla całego świata — rzekł kapitan Nemo. — Starożytni dobrze zrozumieli tę użyteczność komunikacji między Morzem Czerwonym i Śródziemnym dla swoich interesów handlowych; nie myśleli jednak kopać bezpośredniego kanału i przedstawiali na pośrednictwie Nilu. Jest prawdopodobne, że kanał, który łączy Nil z Morzem Czerwonym, rozpoczęty został za Sezostrysa, tak przynajmniej niesie podanie. Pewnym jest, że na lat 615 przed Chrystusem Nechao przedsięwziął roboty kanału przez równinę Egiptu naprzeciw Arabii. Kanał ten przepływało się w ciągu czterech dni, a szerokość jego była taka, iż dwie galery o trzech rzędach wiosł mogły obok siebie płynąć. Dariusz, syn Histaspas, dalej prowadził te roboty, a Ptolomeusz II prawdopodobnie je ukończył. Strabon widział, jak używano go do żeglugi, mała jednak pochyłość jego między punktem wyjścia przy Bubaście a Morzem Czerwonym sprawiała, że tylko przez kilka miesięcy w roku przydatny był do żeglugi. Kanał ten służył handlowi do wieku Antoninów, zaniedbany, zaspami piasku uszkodzony, potem oczyszczony z rozkazu kalifa Omara, ostatecznie i stanowczo zasypany został w roku 761 lub 762 przez kalifa Al-Mansora, który nie chciał dopuścić dowozu żywności dla zbuntowanego przeciw niemu Mohameda ben Abdalla. Podczas wyprawy egipskiej nasz generał Bonaparte odszukał ślady tych prac w pustyni Suez i zaskoczony przypływem morza o mało nie zginął jak faraon pod Hadzarot, w tym samym miejscu, gdzie na trzy tysiące lat przed nim obozował Mojżesz.

— I cóż, kapitanie; tego połączenia dwu mórz, które o dziewięć tysięcy kilometrów skróci drogę z Kadyksu do Indii i którego nie odważyli się przedsięwziąć starożytni, dokonał pan Lesseps i on wkrótce przemieni Afrykę w ogromną wyspę.

— A tak, panie Aronnax, i masz prawo być dumnym ze swojego ziomka. Człowiek ten przynosi większy zaszczyt narodowi niż najznakomitsi wodzowie! Jak tylu innych rozpoczął dzieło od zawodów i przykrości; zwyciężył jednak to wszystko, ma bowiem geniusz silnej woli. I smutna rzecz pomyśleć, że to dzieło, które powinno być międzynarodowe i wystarczyć do oświetlenia swojej epoki, powiedzie się jedynie dzięki energii jednego człowieka. A przeto cześć i sława Lessepsowi!

— Tak, cześć i sława wielkiemu obywatelowi — potwierdziłem zdumiony zapałem, z jakim mówił kapitan Nemo.

— Na nieszczęście — dodał — nie mogę poprowadzić pana przez Kanał Sueski, ale będziesz mógł zobaczyć Port-Said pojutrze, gdy wpłyniemy na Morze Śródziemne.

— Na Śródziemne! — zawołałem.

— Tak, panie profesorze. Dziwi to pana?  
 — Dziwi mnie to, że mamy tam być pojutrze.  
 — Doprawdy?  
 — Ależ tak, kapitanie; chociaż nie powinien bym już dziwić się niczemu, od czasu jak jestem na twoim pokładzie!  
 — Z jakiego jednak powodu to zdziwienie?  
 — Z powodu przerażającej szybkości, jaką chcesz pan nadać „Nautilusowi”, jeśli w ciągu dwu dni ma opłynąć Afrykę, Przylądek Dobrej Nadziei i pojutrze być na Morzu Śródziemnym!  
 — Ależ, panie profesorze, któż ci mówił o obraniu drogi dokoła Przylądka Dobrej Nadziei?  
 — A przecież jeśli „Nautilus” nie ma żeglować po lądzie lub powietrzu i przesuwać się nad międzymorzem...  
 — Albo też pod nim, panie Aronnax.  
 — Pod nim?  
 — Niewątpliwie — spokojnie odpowiedział kapitan Nemo. — Od dawna przyroda zrobiła pod owym językiem ziemi to, co czynią dziś ludzie na jego powierzchni.  
 — Jak to! Miałoby istnieć przejście?  
 — Tak jest, przejście podziemne, które nazwałem Arabian Tunnel. Zaczyna się ono pod Suezem a kończy w Zatoce Peluzyjskiej.  
 — Ależ to międzymorze składa się z samych piasków ruchomych.  
 — Do pewnej tylko głębokości. Od pięćdziesięciu metrów napotyka się już grunt twardy, skalisty.  
 — I przypadkiem odkryłeś pan to przejście? — spytałem coraz bardziej zdziwiony.  
 — Przypadkiem i przez rozumowanie, panie profesorze; a nawet bardziej przez rozumowanie niż przypadkiem.  
 — Kapitanie, słucham cię, ale uszy nie chcą wierzyć temu, co słyszają.  
 — A, kochany panie! *Aures habent et non audient*<sup>161</sup>, tak bywa po wszystkie czasy. Nie tylko, że przejście to istnieje, ale nawet korzystałem z niego kilka razy. Inaczej nie puszczałbym się dziś na Morze Czerwone, nie mając wyjścia.  
 — A czy nie będzie niedyskrecją z mej strony, jeśli zapytam, jak pan wykryłeś ten tunel?  
 — Kochany panie — odpowiedział mi kapitan — niepotrzebne są sekrety między ludźmi, którzy nie mają się nigdy rozstać.  
 Nic nie odpowiedziawszy na to przypomnienie naszej niewoli, czekałem opowiadania kapitana Nemo.

— Panie profesorze — rzekł — proste rozumowanie przyrodnika naprowadziło mnie na wykrycie tego przejścia, które ja jeden znam tylko. Zauważyłem, że w Morzu Czerwonym i w Morzu Śródziemnym jest pewna liczba ryb najzupełniej jednakowego gatunku: tęczaki, płaszcze, okonie i różnobarwne węzoryby, pannicami zwane. Upewniwszy się o tym fakcie, zadałem sobie pytanie, czy nie ma komunikacji między tymi dwoma morzami? Jeśliby była, prąd podziemny musi iść z Morza Czerwonego do Śródziemnego z prostej przyczyny różnicy poziomów. Złowiłem przeto znaczną liczbę ryb w okolicach Suezu, włożyłem im na ogony obrączki miedziane i wrzuciłem je znów do morza. W kilka miesięcy później przy brzegach Syrii schwytałem kilka ryb ozdobionych moją obrączką. Miałem więc dowiedzione istnienie komunikacji między dwoma morzami. Szukałem jej z moim „Nautilusem”, wykryłem podziemną przeprawę, puściłem się tam, a wkrótce i ty, panie profesorze, przepłyniesz tunel arabski!

## ARABIAN TUNNEL

Tegoż dnia powtórzyłem Conseilowi i Ned Landowi część tej rozmowy, która ich najbliższej obchodziła. Gdy im powiedziałem, że za dwa dni będziemy na wodach Morza Śródziemnego, Conseil klasnął w dłonie, a Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

<sup>161</sup>*aures habent et non audient* (łac.) — mają uszy, a nie słyszają. [przypis redakcyjny]

— Tunel podmorski! — zawołał — komunikacja między dwoma morzami. Słyszał kto kiedy o takich rzeczach?

— Przyjacielu Ned — odpowiedział Conseil — a słyszałeś kiedy o „Nautilusie”? Nie! A przecież istnieje. Więc nie kwap się ze wzruszeniami ramion i nie odrzucaj dobrych rzeczy pod pozorem, żeś nigdy o nich nie słyszał.

— Obaczymy, obaczymy! — odparł Ned Land, potrząsając głową. — A zresztą i owszem, rad bym uwierzyć w tę sławną drogę diabelskiego kapitana, i dałyby nieba, żeby nas w rzeczy samej poprowadziła na Morze Śródziemne.

Wieczorem tego dnia, pod 21° 30' szerokości północnej „Nautilus”, płynąc na powierzchni morza, zbliżył się do brzegów arabskich. Ujrzałem Dżeddah, ważną targowicę Egiptu, Syrii, Turcji i Indii. Dość wyraźnie dostrzegłem ogół zabudowań, okręty przywiązane wzdłuż nadbrzeża portu i inne głębiej zanurzające się, które musiały zarzucić kotwicę w przystani. Słońce dość nisko na widnokręgu pełnym blaskiem zalewało domy miasta i uwydatniało ich białość. W dali kilka chatek drewnianych lub trzciniowych wskazywało dzielnicę zamieszkaną przez Beduinów.

Wkrótce miasto Dżeddah zniknęło w cieniach wieczoru i „Nautilus” wrócił pod wody połyskujące fosforycznym światłem.

Nazajutrz, 10 lutego, ukazało się kilka okrętów naprzeciw nam płynących; „Nautilus” znów zanurzył się pod wodę, ale w południe, gdy morze było puste, ukazał się na powierzchni fal.

Zabrawszy z sobą Neda i Conseila, wyszedłem na platformę. Przy mgle wilgotnej zaledwie można było dostrzec brzegi w stronie wschodniej.

Siadłszy na grzbiecie łodzi, gawędziliśmy o tym i owym, gdy Ned, wyciągnąwszy rękę ku morzu, zawołał:

— Panie profesorze, czy widzisz tam coś?

— Nie widzę — odpowiedziałem — wiadomo ci jednak, że nie mam twoich oczu.

— Patrz pan dobrze, tam, po prawej stronie „Nautilusa”, prawie na wprost latarni. Czy widzisz pan ciemną masę, która zdaje się poruszać?

— A prawda! — rzekłem, wzrok wyteżywszy — widzę na powierzchni wód jakieś długie czarniawe ciało.

— Może drugi „Nautilus”? — wtrącił Conseil.

— Nie — odpowiedział Kanadyjczyk — lecz, albo się grubo mylę, lub też jest to zwierzę morskie.

— Czy wieloryby są w Morzu Czerwonym? — spytał Conseil.

— Są, mój chłopcze — odrzekłem — napotyka się je czasami.

— To nie wieloryb — mówił Ned, nie spuszczać z oczu przedmiotu dostrzeżonego. — Wieloryby i ja jesteśmy starzy znajomi i poznałbym zaraz ich ruchy.

— Poczekajmy — rzekł Conseil. — „Nautilus” płynie w tamtą stronę i wkrótce zobaczymy, co się święci.

W rzeczy samej wkrótce byliśmy już tylko o milę morską od czarniawego przedmiotu. Podobny on był do dużego odłamu skały wyrzuconego na otwarte morze. Co to było, nie mogłem jeszcze na pewno wiedzieć.

— Aha! Porusza się, zanurza! — krzyknął Ned Land. — Do stu diabłów! Co to za zwierzę? Nie ma widłowego ogona jak wieloryby lub potfisz, a jego płetwy podobne są do nóg obciętych.

— W takim razie... — odezwałem się.

— Masz tobie! — mówił Kanadyjczyk — przewrócił się na grzbiet, wymiona wygrzewa na słońcu!

— To syrena! — zawołał Conseil — prawdziwa syrena, z przeproszeniem mojego pana.

Ta nazwa syrena wprowadziła mnie na dobrą drogę; poznałem zaraz, że zwierzę to należało do rzędu istot morskich, z których bajeczne podania utworzyły syreny, pół-kobiety, pół-ryby.

— Nie — rzekłem do Conseila — to nie syrena, lecz ciekawe zwierzę, którego zaledwie kilka okazów pozostało w Morzu Czerwonym. To diugon<sup>162</sup>.

<sup>162</sup>diugon a. dugong — piersioplawka (*Halicore*). [przypis redakcyjny]

— Rząd syrenowatych, gromada rybokształtnych, podklasa wielorybowatych, dział kręgowych — objaśnił Conseil.

A gdy Conseil tak mówił, to już nie można było nic więcej dodać.

Tymczasem Ned Land ciągle patrzył, a oczy jego pożądliwie połyskiwały na widok tego zwierzęcia. Ręka zdawała się być gotową do wyrzucenia harpuna. Rzekłbyś, iż czeka tylko chwili stosownej, by rzucić się w morze i uderzyć na zwierza w jego żywiole.

— Ach, panie — rzekł głosem drżącym ze wzruszenia — nigdy w życiu moim nie zabijałem jeszcze „tego”.

W tym wyrazie tkwił cały oszczepnik.

Kapitan Nemo ukazał się w tej chwili na platformie. I on spostrzegł diugonia, a zrozumiałszy postawę Kanadyjczyka, odezwał się wprost do niego:

— Mości Land, gdybyś teraz trzymał harpun, pewnie by ci palił rękę?

— Bez najmniejszej wątpliwości, panie kapitanie.

— I nie gniewałbyś się, gdybyś mógł na jeden dzień znowu zostać oszczepnikiem i dołączyć tego morskiego zwierza do tylu innych, któreś już zabił?

— Wcale bym się nie gniewał.

— To możesz spróbować.

— Dziękuję, panie kapitanie — odpowiedział Ned Land, któremu oczy zapały.

— Ale — dodał kapitan — we własnym twoim interesie ostrzegam cię, mości Land, żebyś nie chybił tego zwierzęcia.

— Czy tak niebezpiecznie jest polować na diugonia? — spytałem, nie zważając na wzruszenie ramionami Kanadyjczyka.

— Rzeczywiście, czasami — odpowiedział kapitan. — Zwierzę to napastowane rzuca się na łowców i przewraca ich statek. Ale co do mistrza Landa nie obawiam się tego niebezpieczeństwa. Ma bystre oko i pewną rękę. Jeśli zaś ostrzegam go, żeby nie chybił tego diugonia, to jedynie dlatego, iż uważany jest za doskonałą zwierzynę, a wiem, że mistrz Land nie pogardza smacznym kąskiem.

— A! — wtrącił Kanadyjczyk. — Więc to bydlę raczej być jeszcze dobre do jedzenia?

— Tak — mówił kapitan — jego mięso, notabene prawdziwe mięso, jest nadzwyczajnie cenione i w Malezji podają je tylko na książęcych stołach. Toteż tak zawzięcie polują na to wyśmienite zwierzę, że staje się coraz rzadsze, podobnie jak rękowiec (manatus).

— W takim razie, panie kapitanie — rzekł bardzo poważnie Conseil — jeśli przypadkiem ten, którego tu widzimy, jest ostatnim ze swojego plemienia, może wypadaloby go oszczędzić w interesie nauki?

— Może — odparł Kanadyjczyk — ale w interesie kuchni lepiej go upolować.

— Zróbże to, mości Land — odpowiedział kapitan Nemo.

W tej chwili siedmiu ludzi z osady „Nautilusa”, niemych i obojętnych jak zwykle, weszło na platformę. Jeden niósł harpun i sieć podobną do tej, jakiej się używa do łowienia wielorybów. Wyjęto łódź z osady i spuszczone na morze. Sześciu wiosłarzy siadło na ławach, a sternik u przodu. Ned, Conseil i ja usiedliśmy w tyle.

— A pan nie z nami, kapitanie? — spytałem.

— Nie, panie profesorze, ale życzę pomyślnych łowów.

Łódka odplynęła; popychana sześciu wiosłami szybko skierowała się do diugonia, który wówczas kołysał się na falach w odległości dwu mil od „Nautilusa”.

Zbliżywszy się na kilka węzłów do zwierza, łódź zwolniła biegu, a wiosła bez szmeru zanurzały się w spokojnych wodach. Ned z harpunem w ręku stanął na przodzie, przy sterniku. Harpun na wieloryby zwykle przywiązany jest do długiego sznura, który się szybko odkręca, gdy go ciągnie zranione zwierzę. Tym razem sznur miał tylko dziesięć sążni; jednym końcem przybity był do beczułki, która płynąc, miała wskazywać drogę diugonia pod wodą.

Podniosłem się z ławki i przypatrywałem przeciwnikowi Kanadyjczyka. Diugon, zwany także halikorem indyjskim, podobny jest bardzo do rękowca, pospolicie krową morską lub syreną zwanego. Ciało jego podługowate kończyło się długim ogonem, a boczne płetwy prawdziwymi palcami. Różnica jego od rękowca polegała na tym, że ma szczękę górną uzbrojoną dwoma długimi i śpiczastymi zębami, tworzącymi z obu stron kły, rozchodzące się szeroko.

Ten diugon, którego miał atakować Ned Land, był olbrzymich rozmiarów, długi przeszło siedem metrów<sup>163</sup>. Nie poruszał się i zdawał drzemać na powierzchni wód, co ułatwiło polowanie.

Łódź ostrożnie zbliżyła się na trzy sążnie do zwierza. Wiosłarze siedzieli nieruchomi, ja podniosłem się znowu. Ned Land, pochyliwszy się nieco w tył, wprawną ręką wywijał harpunem.

Nagle rozległ się świst i diugon zniknął. Harpun, silnie rzucony, widać tylko w wodę uderzył.

— Do stu diabłów! — wrzasnął wściekły Kanadyjczyk — chybiłem!

— Nie, mości Land — rzekłem — zwierzę jest ranione, oto jego krew, ale twój pocisk nie został w ciele.

— Mój harpun! Mój harpun! — krzyczał Ned Land.

Kilku majtków rzuciło się w pław, a sternik sterował łódź ku pływającej beczulce. Gdy wydobyto harpun, łódź sunęła w pogoń za zwierzęciem.

Diugon wracał czasami na powierzchnię, żeby odetchnąć. Rana nie osłabiła go, gdyż pędził z nadzwyczajną szybkością. Łódź dzielnie popychana wiosłami płynęła w ślad za nim. Kilkakrotnie zbliżyła się do zwierza o parę sążni i Kanadyjczyk gotów był znowu uderzyć, ale diugon wymykał się nagle, zanurzając, i niepodobna było go dosięgnąć.

Można sobie wyobrazić złość niecierpliwego Neda Landa. Klął biedne zwierzę najognistszymi przekleństwami, jakie język angielski posiada. Co do mnie, gniewałem się tylko, że diugon żartował sobie ze wszystkich naszych przebiegów.

Ścigaliśmy go nieustannie przez całą godzinę i zaczynałem już wątpić, czy go złowimy, gdy zwierzę wpadło na niefortunny dla siebie pomysł zemścić się na napastnikach. W istocie rzuciło się na łódź, napastując nas nawzajem.

Kanadyjczyk zawczasu spostrzegł ten manewr.

— Bacność! — zawołał.

Sternik szepnął słów kilka swoim dziwnym językiem, zapewne ostrzegając swoich ludzi, aby się mieli na ostrożności.

Diugon, dotarłszy na odległość dwudziestu stóp od łodzi, zatrzymał się i łapczywie wciągnął w siebie powietrze szerokimi, jakby przebitymi nozdrzami, które znajdują się nie na końcu, lecz na górnej części jego pyska. Potem z silnym zamachem rzucił się na nas.

Łódź nie mogła uniknąć tego starcia, na wół przewrócona, została zalana kilku beczkami wody, którą należało wylać, dzięki jednak zręczności sternika, uderzona z ukosa a nie wprost, nie zatonała. Ned Land uczepiony dziobu łodzi harpunem szpikował olbrzymiego zwierza, który, zębami schwyciwszy brzeg łodzi, podniósł ją nad wodę, niby lew schwytaną sarnę. Powaliliśmy się jeden na drugiego i nie wiem, jak by się ta przygoda skończyła, gdyby Kanadyjczyk, srodze zawzięty na napastnika, nie zakończył walki, uderzając diugonia w samo serce.

Usłyszawszy zgrzytanie zębów na blasze żelaznej, diugon zniknął, ciągnąc z sobą harpun. Wkrótce jednak baryłka wypłynęła na wierzch i po kilku sekundach ukazało się cielsko zwierza na grzbiet przewrócone. Łódź zbliżyła się do niego i ciągnąc za sznur, sprowadziła je do „Nautilusa”.

Trzeba było użyć potężnych bloków, żeby wciągnąć diugonia na platformę. Ważył nie mniej niż sto centnarów<sup>164</sup>. Rozplataną go w oczach Kanadyjczyka, który ciekawie śledził wszystkie szczegóły tej operacji. Tęgoż dnia sługa okrętowy podał mi na obiad kilka zrazów z mięsa diugonia, wybornie przyprawionych przez miejscowego kucharza. Były wyborne, lepsze nawet od połędwicy najtuczniejszego wołu.

Nazajutrz, 11 lutego, śpiżarnia „Nautilusa” wzbogaciła się jeszcze wytworną zwierzyną. Stado jaskółek morskich osiadło na „Nautilusie”. Był to gatunek *sterna nilotica*<sup>165</sup>, właściwy Egipcjom: dziób ma czarny, głowę szarą i kropkowaną, oczy otoczone białymi punkcikami, wierzch, skrzydła i ogon siwawe, brzuch i piersi białe, a nogi czerwone.

<sup>163</sup>długi przeszło siedem metrów — w rzeczywistości długość ciała diugoni nie przekracza 3,3 m. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>centnar — jednostka masy równa 112 funtom, tj. ok. 50 kg. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*sterna nilotica* — obecnie: *Gelochelidon nilotica* (łac.), rybitwa krótkodzioba; średni ptak wodny. [przypis edytorski]

Schwytano także kilka tuzinów kaczek nilowych, owych ptaków dzikich, bardzo smacznych; szyja ich i wierzch głowy są białe z czerwonymi plamkami.

Szybkość biegu „Nautilusa” znacznie wtedy zwolniła. Posuwał się niedbale, jakby włącząc się bez celu. Zauważyłem też, że w miarę, jak zbliżaliśmy się do Suez, woda stawała się coraz mniej słona.

Około piątej wieczorem dostrzeżliśmy na północy Przylądek Ras-Mahamed. Przylądek ten tworzy kraniec Arabii Skalistej, zawartej między Zatoką Sueską i Zatoką Akabah.

„Nautilus” wpłynął do Cieśniny Jubal, prowadzącej do Zatoki Sueskiej. Teraz wyraźnie dostrzeżłem wysoką górę panującą między dwiema zatokami nad Ras-Mohamedem. Jest to góra Oreb, owa Synaj, na której szczycie Mojżesz widział w błyskawicach oblicze Boga.

O szóstej „Nautilus”, bądź płynąc na powierzchni, bądź zanurzony, dostał się do Tor, miasta osadzonego przy zatoce, której wody zdają się być zafarbowane na czerwono, jak to już zauważył kapitan Nemo. Potem zrobiła się noc wśród głuchego milczenia, które czasami tylko przerywały krzyki pelikana i kilku ptaków nocnych, szum bałwanów gniewnie uderzających o skały lub dalekie warczenie kół parowca rozbijających wody zatoki.

Między ósmą i dziewiątą „Nautilus” pozostawał w głębokości kilku metrów pod wodą. Według mojego obliczenia musieliśmy już być blisko Suez. Przez ściany salonu widziałem osady skaliste jaskrawo oświetlone naszym światłem elektrycznym. Zdawało mi się, że cieśnina coraz bardziej się zwęża.

O kwadrans na dziewiątą statek wypłynął na powierzchnię. Wszedłem na platformę. Z wielką niecierpliwością oczekując podróży przez tunel kapitana Nemo, nie mogłem usiedzieć na miejscu i chciałem odetchnąć świeżym powietrzem nocy.

Wkrótce w cieniu spostrzeżłem bladawy ogień, mgłą nocną przyćmiony, ale dość wyraźnie błyszczący o milę od nas.

— Latarnia pływająca — odezwał się głos przy mnie.

Obróciłem się i poznałem kapitana.

— Jest to latarnia pływająca Suez — odezwał się znowu. — Niebawem dostaniemy się do otworu tunelu.

— Wejście nie musi być łatwe?

— Rzeczywiście bardzo trudne. Mam też zwyczaj siadać w klatce sternika i sam kierować ruchami statku. A teraz, panie Aronnax, jeśli raczysz zejść stąd, „Nautilus” zanurzy się pod wodą i nie wynurzy się z niej, dopóki nie przepłynie Arabian Tunnel.

Poszedłem za kapitanem Nemo. Ściana się zamknęła, zbiorniki napełniły się wodą i statek zanurzył się na głębokość dwunastu metrów.

Kiedym już chciał wracać do swego pokoju, kapitan mnie zatrzymał.

— Panie profesorze — rzekł — czy nie zechcesz pójść ze mną do klatki sternika?

— Nie śmiem o to prosić — odpowiedziałem.

— Więc chodź pan. Tym sposobem zobaczysz wszystko, co można widzieć w tej żegludze zarazem podziemnej i podmorskiej.

Kapitan zaprowadził mnie ku schodkom środkowym. Przeszedłszy połowę schodów, otworzył drzwi, ruszył wąskim korytarzem górnym wzdłuż statku i tak doszedł do klatki sternika, która, jak wiadomo, sterczała na końcu platformy.

Był to pokój, mający po sześć stóp z każdej strony, dość podobny do tych, jakie zajmują sternicy parowców Missisipi lub Hudsonu. Pośrodku obracało się koło prostopadle ustawione i przymocowane do steru, a na które nawinięta była lina ciągnąca się aż do tyłu „Nautilusa”. Cztery okienka z szybami soczewkowymi utkwionymi w czterech ścianach pozwalały sternikowi patrzeć we wszystkich kierunkach.

Pokój ten był ciemny — wkrótce jednak oczy moje oswoiły się z tym mrokiem i spostrzeżłem sternika, krzepkiego chłopca, którego ręce opierały się na wystających z kół kołkach. Przez okienka widać było morze, jasno oświetlone latarnią elektryczną, która promieniowała w tyle pokoju na drugim końcu platformy.

— A teraz — odezwał się kapitan Nemo — szukajmy naszej drogi.

Druty elektryczne łączyły klatkę sternika z izbą maszyn, z której kapitan mógł wspólnie<sup>166</sup> nadawać „Nautilusowi” ruch i kierunek. Nacisnął tylko guzik metalowy i zaraz szybkość śruby znacznie się zmniejszyła.

<sup>166</sup>współcześnie — tu: jednocześnie. [przypis edytorski]

W milczeniu przypatrywałem się wysokiej i nadzwyczajnie stromej skale, wzdłuż której płynęliśmy w tej chwili: była to niewzruszona podstawa piaszczystego gruntu wybrzeża. Tak posuwaliśmy się z godzinę, ledwie o kilka metrów oddaleni od tej ściany skalistej. Kapitan Nemo nie spuszczał oczu z busoli zawieszanej na dwóch współśrodkowych kołach. Na samo jego poruszenie ręki sternik co chwila zmieniał kierunek „Nautilusa”.

Stałem przy okienku na lewym boku okrętu i patrzyłem na wspaniałe pokłady koralu, zwierzkorzewów, porostów wodnych i skorupiaków poruszających ogromne łapy i wyciągających je ze szczelin skały.

Kwadrans na jedenastą<sup>167</sup> kapitan Nemo sam stanął przy sterze. Przed nami otworzyła się szeroka, ciemna i głęboka galeria. „Nautilus” śmiało rzucił się w tę przepaść. Po jego bokach dał się słyszeć niezwykły szum. To wody Morza Czerwonego pochyłością tunelu pędziły do Morza Śródziemnego. „Nautilus” płynął w tym prądzie z szybkością strzały, chociaż potężna śruba maszyny, żeby stawić opór prądowi, obracała się pod wodę, usiłując ciągnąć statek w tył.

Na ścianach niskiego sklepienia widziałem już tylko smugi światła, proste kresy i brzdędy ogniste, które tworzył blask elektryczny szybko pędzącego statku. Serce mi biło tak gwałtownie, że przyciskałem je ręką.

Trzydzieści pięć minut na jedenastą<sup>168</sup> kapitan Nemo odszedł od koła przy sterze i rzekł, obracając się do mnie:

— Morze Śródziemne.

Tak więc w niespełna dwadzieścia minut „Nautilus” porwany potokiem przebył między morze Suez.

## ARCHIPELAG GRECKI

Nazajutrz, 12 lutego, o wschodzie słońca „Nautilus” wypłynął na powierzchnię morza. Co żywo wybiegłem na platformę. Z odległości trzech mil widziałem w stronie południowej mgliste zarysy Peluzu. Potok przerzucił nas z jednego morza na drugie. Tunel ten jednak, tak łatwy do przebycia z góry na dół, musiał być nieprzebytą drogą, gdyby się chciało wpłynąć nim pod górę.

Około siódmej Ned i Conseil przyszli do mnie na platformę. Dwaj ci nieodłączni towarzysze spali sobie spokojnie, niewiele się troszcząc o „Nautilusa”.

— Cóż, panie przyrodniku — szyderczo wyzywającym tonem spytał mnie Kanadyjczyk — a owo Morze Śródziemne?

— Płyniemy po jego powierzchni, przyjacielu Ned.

— Czy to być może? — zawołał Conseil. — Więc tej jeszcze nocy?...

— A tak, tej jeszcze nocy, w ciągu kilkunastu minut przebyliśmy owo nieprzebyte między morze.

— Gadaj pan profesorze, nie uwierzę — odpowiedział Kanadyjczyk.

— I źle zrobisz, mości Land — rzekłem. — Te niskie brzegi zaokrąglające się ku południowi to brzegi Egiptu.

— Głupiemu to powiedz, panie profesorze — powtórzył uparty Kanadyjczyk.

— Ależ, mój kochany — reflektował go Conseil — skoro mój pan tak twierdzi, to trzeba mojemu panu wierzyć.

— Zresztą, Ned, kapitan Nemo był tak grzeczny, że osobiście pokazywał mi swój tunel i byłem przy nim w klatce sternika, podczas gdy sam kierował „Nautilusem” w tym wąskim przesmyku.

— A co, Ned, słyszysz, co mój pan mówi?

— Mając tak dobre oczy, mój Nedzie — dodałem — możesz zobaczyć bulwary Port-Saidu, ciągnące się wzdłuż morza.

Kanadyjczyk patrzył z uwagą.

— A niechże go nie znam, waszego kapitana! — zawołał nagle. — Masz słuszość, panie profesorze, jesteśmy na Morzu Śródziemnym. Niech go licho!... Tym ci lepiej zresztą. Pogadajmyż teraz, panie, o naszych drobnych interesach, ale tak, żeby nas nikt nie słyszał.

<sup>167</sup>kwadrans na jedenastą — tj. kwadrans po dziesiątej. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>trzydzieści pięć minut na jedenastą — tj. o dziesiątej trzydzieści pięć. [przypis edytorski]

Zrozumiałem zaraz, ku czemu zmierzał Kanadyjczyk. „W każdym razie — pomyślałem sobie — lepiej będzie pogadać z nim, skoro tego żąda” — i wszyscy trzej usiedliśmy przy latarni, gdzie byliśmy wystawieni na wilgotne bryzgi bałwanów.

— A teraz, Ned, słuchamy cię — rzekłem. — Cóżś nam miał powiedzieć?

— Rzecz bardzo prostą — odrzekł Kanadyjczyk. — Jesteśmy teraz w Europie i nie czekając, aż spodoba się kapitanowi Nemo zawlec nas na morza biegunowe lub zaciągnąć znów do Oceanii, wołę pożegnać się z „Nautilusem”.

Przyznam się, że takie rozmowy z Kanadyjczykiem zawsze nabawiały mię kłopotu. Bynajmniej nie myślałem ograniczać wolności moich towarzyszy, a jednak wcale nie miałem ochoty opuszczać kapitana Nemo. Dzięki temu dziwnemu człowiekowi i jego maszynie codziennie uzupełniałem moje studia podmerskie i poprawiałem me dzieło o głębinach morskich, żyjąc śród tego żywiołu. Czy kiedykolwiek zdarzy mi się podobna sposobność do badania cudów oceanu? Z pewnością nigdy! Nie mogłem więc oswoić się z myślą opuszczenia „Nautilusa”, zanim się skończy cykl mych badań.

— Przyjacielu Ned — rzekłem — powiedz mi otwarcie: nudzisz się na pokładzie? Żałujesz, że los rzucił cię w ręce kapitana Nemo?

Kanadyjczyk przez kilka sekund nic nie odpowiedział, potem, założywszy ręce na piersi, rzekł:

— Otwarcie powiem, że wcale nie żałuję tej podróży pod morzami. Rad będę, zem ją odbył, ale przecież raz powinna się skończyć. Takie jest moje zdanie.

— Bądź spokojny, Ned, skończy się.

— Gdzie i kiedy?

— Gdzie? Nic nie wiem. Kiedy? Także nie wiem albo raczej przypuszczam, iż się skończy, gdy te morza nie będą już miały nic nowego do pokazania nam. Wszystko, co się zaczęło, musi mieć swój koniec na tym świecie.

— Ja myślę tak samo, jak mój pan — wtrącił Conseil — i bardzo być może, że gdy przebiegniemy wszystkie morza kuli ziemskiej, kapitan Nemo wypuści nas wszystkich trzech na wolność.

— Wypuści na wolność! — zawołał Kanadyjczyk. — Chyba wyprawi na tamten świat. Czy to chciałeś powiedzieć?

— Nie przesadzajmy, mości Ned — odezwałem się. — Nie mamy powodu obawiać się kapitana Nemo, ale też nie podzielam opinii Conseila. Poznaliśmy tajemnicę „Nautilusa” i nie sądzę, żeby kiedy jego dowódca zdecydował się wykryć ją całemu światu, wypuszczając nas na wolność.

— Ale w takim razie na cóż pan liczysz? — spytał Kanadyjczyk.

— Na pomyślnie okoliczności, z których możemy skorzystać teraz tak dobrze, jak za pół roku.

— Bóg zapłać! — rzekł Ned Land. — A gdzie będziemy za pół roku? Jeśli łaska, proszę powiedzieć, panie przyrodniku.

— Może tu jeszcze, a może w Chinach. Wiadomo ci, Ned, że „Nautilus” jest szybki. Przebiega oceany jak jaskółka powietrze lub jak pociąg pośpieszny lądy. Nie obawia się mórz często zwiedzanych. Kto wie, może wkrótce zawinie do brzegów Francji, Anglii lub Ameryki, gdzie będzie można równie łatwo uciec jak tutaj.

— Panie Aronnax — odpowiedział Kanadyjczyk — pańskie dowodzenia mają tę zasadniczą wadę, że mówisz pan w czasie przyszłym: „będziemy tu, będziemy tam!”. A ja powiadam w czasie terażniejszym: jesteśmy tu i trzeba z tego korzystać.

Logika Neda Landa przycisnęła mnie do muru i czułem, że będę pobity na tym polu. Nie wiedziałem już, co powiedzieć w swojej obronie.

— Panie przyrodniku — odezwał się znów Ned — przypuśćmy rzecz niemożliwą, że kapitan Nemo dziś jeszcze ofiaruje panu wolność. Czy ją przyjmiesz?

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— A jeżeli doda, że propozycji, którą dziś czyni, już później nie ponowi, czy pan ją przyjmiesz?

Nic nie odpowiedziałem.

— A co sądzi o tym przyjaciel Conseil? — spytał Ned Land.

— Przyjaciel Conseil — spokojnie odpowiedział zacny chłopiec — przyjaciel Conseil nie ma nic do powiedzenia. Jest on najzupełniej bezinteresowny w tej sprawie. Jak



jego pan i jego towarzysz Ned, jest on kawalerem. Ani żona, ani dzieci, ani krewni nie czekają go w kraju. Jest w służbie u swojego pana, myśli jak jego pan, mówi jak jego pan i z wielkim żalem oświadcza, że na jego głos liczyć nie trzeba, żeby sobie zapewnić większość. Dwie tylko osoby stoją przeciw sobie: jego pan z jednej, a Ned Land z drugiej strony. To powiedziawszy, przyjaciel Conseil poprzestaje na słuchaniu i gotów jest notować argumenty za i przeciw.

Mimowolnie uśmiechnąłem się, widząc, że Conseil tak najzupełniej niweczył swoją osobistość. Kanadyjczyk jednak musiał być w duchu zadowolony, że nie miał go przeciw sobie.

— A więc, panie — odezwał się Ned Land — skoro Conseil nie istnieje, dysputujmyż z sobą. Ja już powiedziałem swoje, pan mnie słyszałeś: cóż więc na to odpowiesz?

Widocznie trzeba było dać stanowczą odpowiedź, gdyż wybiegi zaczynały już we mnie wstręt budzić.

— Przyjacielu Ned — rzekłem — moja odpowiedź jest taka: masz słuszność i moje dowodzenia nie ostoją się wobec twoich. Nie trzeba liczyć na dobrą wolę kapitana Nemo. Najpospolitsza roztropność zabrania mu wypuszczenia nas na wolność. Przeciwnie, nam roztropność nakazuje korzystać z pierwszej sposobności do ucieczki z „Nautilusa”.

— Ślicznie, panie Aronnax, to się zowie mądrze mówić.

— Zrobię tylko jedną uwagę, jedyną. Sposobność powinna być przyjazna. Nasza pierwsza próba ucieczki musi się powieść, bo gdy się nie powiedzie, nie znajdziemy już drugiej sposobności, a kapitan Nemo nigdy nam nie przebaczy.

— Uwaga bardzo sprawiedliwa — odpowiedział Kanadyjczyk — stosuje się jednak do wszelkiej próby ucieczki, czy za dwa dni, czy za dwa lata. Otóż kwestia pozostaje zawsze ta sama i taka: jeśli się zdarzy przyjazna sposobność, trzeba z niej korzystać.

— Zgoda. A teraz czy zechcesz mnie objaśnić, mości Land, co rozumiesz przez przyjazną sposobność.

— Rozumiem to: gdy w noc ciemną „Nautilus” zbliży się do brzegów europejskich...

— A wtedy zechcesz ratować się wpław?

— Tak, jeśli zbliżymy się do brzegu, a statek unosić się będzie na powierzchni. Nie, jeżeli będziemy oddaleni, a okręt zanurzy się pod wodę.

— Cóż w takim razie?

— W takim razie pomyślę o opanowaniu łodzi. Wiem, jak się to robi. Wleziemy wewnątrz, usuniemy nity i wypłyniemy na powierzchnię tak, iż nawet sternik nie spostrzeże naszej ucieczki.

— Bardzo dobrze, Ned. Wypatrujże tej sposobności, ale nie zapominaj, że niepowodzenie nas zgubi.

— Nie zapomnę, panie.

— A teraz, Ned, czy chcesz wiedzieć, co myślę o twoim projekcie?

— I owszem, panie Aronnax.

— Owóż myślę, że nie zdarzy się ta przyjazna sposobność.

— A to dlaczego?

— Bo kapitan Nemo wie doskonale, iż nie wyrzekliśmy się nadziei odzyskania wolności; będzie się więc strzegł, zwłaszcza w bliskości brzegów europejskich.

— Podzielałam zdanie mojego pana — rzekł Conseil.

— Zobaczymy to jeszcze — odpowiedział Ned, potrząsając głową z miną zdecydowanego człowieka.

— A teraz nie mówmy już o tym, Ned — dodałem. — Ani słowa więcej o tym przedmiocie. W dniu, w którym będziesz gotów, uprzedzisz nas, a my pójdziemy za tobą. Zdaję się zupełnie na ciebie.

Tak zakończyła się rozmowa, której późniejsze następstwa miały być bardzo poważne. Teraz muszę powiedzieć, że wypadki zdawały się potwierdzać moje przewidywania, ku wielkiemu niezadowoleniu Kanadyjczyka. Czy kapitan Nemo nie ufał nam na morzach uczęszczanych, czy też nie chciał się spotykać z licznymi okrętami wszelkich narodów prującymi wody Morza Śródziemnego? Nie wiem, ale najczęściej „Nautilus” płynął pod wodą i z dala od brzegów. Albo wynurzał się o tyle tylko, ile potrzeba było, aby klatka sternika sterczała nad powierzchnią morza, albo też zapuszczał się bardzo głęboko, na co

pozwalala mu głębokość Morza Śródziemnego pomiędzy archipelagiem greckim a Azją Mniejszą, sięgająca 2 000 metrów.

Toteż dowiedziałem się o wyspie Karpatos, jednej ze Sporad — tylko z tych wierszy Wirgiliusza, które kapitan Nemo zacytował mi, kładąc palec na mapie:

*Est in Carpathio Neptuni gurgite vates coeruleus Proteus*<sup>169</sup>...

W istocie wyspa ta była niegdyś miejscem pobytu Proteusza, pasterza trzód Neptuna; dziś nazywa się Scarpanto i leży między Rodos i Kretą. Widziałem tylko przez szyby salonu jej granitowe podmurowanie.

Nazajutrz, dnia 14 lutego, postanowiłem poświęcić kilka godzin zbadaniu ryb archipelagu; nie wiem jednak, z jakiego powodu ściany były przez cały czas hermetycznie zamknięte. Obliczając położenie „Nautilusa”, zauważyłem, że zbliżał się do Kandii, starożytnej wyspy Krety. W chwili gdy wsiadał na pokład „Abrahama Lincolna”, cała ta wyspa powstała przeciw jarzmu tureckiemu — co jednak później się stało z owym powstaniem, najzupełniej nie wiedziałem i zapewne nie dowiedziałbym się od kapitana Nemo, który nie miał żadnych stosunków z lądem.

Nic też nie wspomniałem o tym wypadku, gdy wieczorem siedziałem z nim sam w salonie. Zresztą wydawał mi się niezwykle mało mówny i zafrasowany. Później, sprzecznie ze swoimi zwyczajami, kazał otworzyć obie ściany salonu i bacznie przypatrywał się wodzie! W jakim celu? Nie mogłem odgadnąć i ze swej strony, korzystając ze sposobności, studiowałem ryby, które przesuwały się przed moimi oczyma.

Między innymi zauważyłem pewien gatunek kielbi cytowany przez Arystotelesa i popolicie znany pod nazwą ślizów morskich, który szczególnie spotyka się w słonych wodach przy delcie Nilu. Obok nich hasały ryby wydające światło fosforyczne, gatunek leszczaków, które Egipcjanie zaliczali do zwierząt świętych i obrzędami religijnymi czcili ich ukazanie się w Nilu jako zapowiedź żyznego wylewu rzeki. Zanotowałem również ryby ustowate (cheiliny) długości trzech decymetrów, kościste, z przezroczystymi łuskami, których sinawa barwa nakrapiana jest czerwonymi cętkami. Ryby te żywią się głównie roślinami morskimi i to im daje smak przedziwny, dlatego cheiliny były bardzo poszukiwane przez smakoszy starożytnego Rzymu, a ich wnętrzości zaprawione mleczem muren, mózgiem pawi i jęczyczkami czerwonych stanowią boską potrawę, która zachwycała Witeliusza.

Inny mieszkaniec tych mórz zwrócił moją uwagę i uprzytomnił wspomnienia starożytnych czasów. Był to trymonaw albo podnawka, który wędruje uczepiony do brzucha rekinów. Według twierdzenia starożytnych ta rybka, uczepiwszy się spodu okrętu, mogła bieg jego wstrzymać — a jedna z nich, zatrzymując okręt Antoniusza podczas bitwy pod Akcjum, ułatwiła tym sposobem zwycięstwo Augusta. Jak to nieraz od drobnostki zależą losy narodów! Studiowałem także podziwienia godne ryby kwieciste (antie), podobne do leszczaków, a należące do rzędu ciernioplętych, zwanych przez Malajów *lutianami* — ryby święte u Greków, którzy przypisywali im władzę wypędzania potworów morskich z wód, które odwiedzały. Nazwa ich znaczy *kwiat* i rzeczywiście usprawiedliwiały ją przeróżnymi mieniącymi się barwami, których odcienie przebiegają całą gamę koloru czerwonego, począwszy od blad różowego, aż do najjaskrawszego szkarłatu. Nie mogłem się dość napatrzeć na te cuda natury, gdy niespodziane zjawisko nagle zwróciło na się moje oczy.

Pośród wód ukazał się człowiek, nurek mający u pasa woreczek skórzany. Nie był to trup wydany na pastwę bałwanom — tylko człowiek żywy, który pływał zręcznie i szybko, niekiedy znikając, żeby odetchnąć na powierzchni, to znowu zanurzając się w morze.

Obróciłem się do kapitana Nemo i zawołałem głosem wzruszonym:

— Boże, rozbitek! Trzeba go ratować!

Kapitan nie odpowiedział i oparł się o szybę.

Człowiek ów zbliżył się, przytknął twarz do ściany i patrzył na nas.

Oslupiałem, spostrzegłszy, że kapitan Nemo dał mu jakiś znak. Nurek odpowiedział ręką, natychmiast powrócił na powierzchnię morza i już się nie pokazał.

<sup>169</sup>*Est in Carpathio Neptuni gurgite vates coeruleus Proteus* — jest na Morzu Karpackim wieszcz Neptuna, modrooki Proteusz. [przypis redakcyjny]

— Bądź pan o niego spokojny — rzekł do mnie kapitan. — To Mikołaj z Przylądka Matapan, przezwany Rybakiem. Znany on jest na wszystkich Cykladach. Śmiały nurek! Woda jest jego żywiołem i żyje w niej więcej niż na ziemi, nieustannie pływając z jednej wyspy do drugiej, nawet do Krety.

— Znasz go więc, panie kapitanie?

— Czemuż by nie, panie Aronnax?

To powiedziawszy, kapitan Nemo poszedł do szafy stojącej przy lewej ścianie salonu. Obok szafy stał kufer obity listwami żelaznymi, na którego wieku widniała blacha miedziana z cyfrą<sup>170</sup> „Nautilusa” i dewizą *Mobilis in mobile*.

Kapitan, nie zważając na moją obecność, otworzył szafę, w której była znaczna liczba sztab lanego metalu.

Były to sztaby złota. Skąd pochodził ten szacowny kruszec przedstawiający ogromne sumy? Gdzie kapitan zbierał to złoto i co zamierzał teraz z nim zrobić?

Nie rzekłem ani słowa, patrząc ciekawie. Kapitan Nemo brał sztaby jedna po drugiej, układał je metodycznie w kuferku i cały zappełnił. Ocenilem, że kuferek zawierał wtedy przeszło tysiąc kilogramów złota, to jest około pięciu milionów franków.

Kapitan szczelnie zamknął kuferek i na wieku napisał adres literami, jak mi się zdało, nowogreckimi.

To uczyniwszy, kapitan Nemo nacisnął guzik, od którego drut łączył się z posterunkiem załogi. Ukazało się czterech ludzi i nie bez trudności wysunęli z salonu ciężki kufer, potem słyszałem, jak z pomocą bloku windowali go na linie po żelaznych schodach.

W tej chwili kapitan Nemo obrócił się do mnie:

— Mówiłeś więc, panie profesorze? — zapytał.

— Ja nic nie mówiłem, kapitanie!

— W takim razie pozwolisz mi pan życzyć mu dobrej nocy.

Powiedziawszy to, kapitan Nemo wyszedł z salonu.

Łatwo pojąć, że wróciłem do swojego pokoju wielce zaintrygowany. Daremnie usiłowalem zasnąć. Umysł mój wciąż pracował, szukając związku między ukazaniem się owego nurka i tą szkatułą pełną złota. Wkrótce z pewnego kołysania się statku poznałem, że „Nautilus” opuścił dolne warstwy morza i wypłynął na powierzchnię.

Potem słyszałem kroki na platformie. Zrozumiałem, że odczepiano łódź i spuszczano ją na morze. Łódź uderzyła o bok „Nautilusa” i po chwili wszelki szmer ucichł.

We dwie godziny później usłyszałem znów ten sam szmer i te same stąpania po platformie. Łódź wciągnięta na pokład, przymocowana została do swojej osady i „Nautilus” zanurzył się w morzu.

Tak więc owe miliony odesłane zostały według adresu. Na jaki punkt lądu? Z kim korespondował kapitan Nemo?

Nazajutrz opowiedziałem Conseilowi i Kanadyjczykowi wypadki nocy, które tak ostrzyły moją ciekawość. Towarzysze niemniej byli zdziwieni.

— Skąd on jednak bierze te miliony? — spytał Ned Land.

Na to pytanie niepodobna było znaleźć odpowiedzi. Po śniadaniu poszedłem do salonu i zabrałem się do pracy. Do piątej popołudniu spisywałem swoje notatki. W tej chwili — mamże to przypisać osobistemu usposobieniu? — uczulem nieznośne gorąco i musiałem zrzucić z siebie bisiorowe odzienie. Gorąco niewytłumaczone, bo nie byliśmy pod wysokimi szerokościami; a zresztą „Nautilus” zanurzony nie poczułby podniesienia temperatury. Płynął w głębokości sześćdziesięciu stóp, a w takiej głębi nie mogło go dosięgnąć ciepło atmosferyczne.

Pracowałem, ale wkrótce temperatura tak się podniosła, że niepodobna już było wytrzymać.

„Chyba pożar na pokładzie?” — pomyślałem.

Chciałem opuścić salon, gdy wszedł kapitan Nemo. Zbliżył się do termometru, spojrzął z uwagą i rzekł, obracając się do mnie.

— Czterdzieści dwa stopnie.

— Czuję to na sobie, kapitanie — odpowiedziałem — i jeśli to gorąco trochę się powiększy, nie wytrzymamy dłużej.

<sup>170</sup>cyfra (daw.) — monogram. [przypis edytorski]

- O! Panie profesorze, gorąco się nie powiększy, jeśli nie zechcemy.
- Więc możesz pan łagodzić je według swego upodobania?
- Nie, lecz mogę oddalić się od ogniska, które je wydaje.
- Jest więc zewnątrz statku<sup>171</sup>?
- Rozumie się. Płyniemy w prądzie wody wrzącej.
- Czy być może! — zawołałem.
- Patrz pan.

Ściany otworzyły się i dokoła „Nautilusa” ujrzałem morze najzupelniej białe. Para siarkowa w kłębach dymu mieszała się z falami, które gotowały się jak woda w kotle. Dotknąłem ręką szyby, ale zaraz musiałem cofnąć, taka była gorąca.

— Gdzież więc jesteśmy? — spytałem.

— W bliskości wyspy Santoryny, panie profesorze — odpowiedział kapitan — właśnie w samym kanale, oddzielającym Nea-Kammeni od Palea-Kammeni. Chciałem dać panu ciekawe widowisko podmorskiego wulkanu.

— A ja myślałem, że tworzenie się tych nowych wysp już się skończyło.

— Nie i nigdy się nie skończy w okolicach wulkanicznych — odrzekł kapitan Nemo — ogień podziemne nieustannie nurtują i podważają ziemię. Już w roku dziewiętnastym naszej ery, według Kasjodora i Pliniusza, nowa wyspa, boska Theja ukazała się właśnie w miejscu, gdzie świeżo utworzyły się te wyspy. Później wpadła pod wodę jak w przepaść, wysunęła się powtórnie w roku sześćdziesiątym dziewiątym i znów zniknęła. Od owego czasu do dni naszych praca plutoniczna była zawieszona. Dopiero dnia 3 lutego 1866 roku nowa wysepka, którą nazwano Wyspą Jerzego, ukazała się wśród wyziewów siarkowych przy Nea-Kammeni i tam osiadła dnia 6 tegoż miesiąca. W tydzień później, dnia 13 lutego, wypłynęła wyspa Aphroessa, zostawiając między sobą i Nea-Kammeni kanał dziesięciu metrów szerokości. Byłem na tych morzach, gdy ukazało się owo zjawisko i mogłem śledzić wszystkie jego przemiany. Wysepka Aphroessa, okrągłego kształtu, miała trzysta stóp średnicy, a trzydzieści stóp wysokości. Składała się z lawy czarnej i szklistej, pomieszanej z odłami feldspatowymi. Na koniec 10 marca mniejsza wysepka, nazwana Reką, ukazała się w bliskości Nea-Kammeni i od tego czasu trzy te wysepki zlepione razem tworzą jedną i tę samą wyspę.

— A kanał, na którym w tej chwili jesteśmy? — spytałem.

— W tym miejscu — odpowiedział kapitan Nemo, palcem wskazując na mapie archipelagu. — Widzisz pan, że już umieściłem na niej nowe wysepki.

— Kanał ten jednak z czasem zapełni się ziemią?

— Prawdopodobnie, panie Aronnax, gdyż od roku 1866 osiem wyseppek z lawy ukazało się naprzeciw portu Świętego Mikołaja przy Palea-Kammeni. Jest to oczywiste, że w przyszłości niedalekiej Nea i Palea się połączą. Na Oceanie Spokojnym wymoczki tworzą lądy, tu zaś dokonywają tego zjawiska wulkaniczne. Patrz pan, czy widzisz, jak się ta robota dokonuje pod falami?

Powróciłem do szyby. „Nautilus” zatrzymał się w biegu. Gorąco stawało się nieznośne. Morze z białego stawało się czerwone, co przypisać należy obecności soli żelaznych. Pomimo szczelnego zamknięcia salonu, czułem nieznośną woń siarki i widziałem szkarlatne promienie, których żywość zaćmiewała blask elektryczności.

Byłem oblany potem, dusiłem się, myślałem już, że się ugotuję.

— Nie można dłużej zostawać w tej wrzącej wodzie — rzekłem do kapitana.

— W istocie, nie byłoby to roztropne — odpowiedział obojętnie.

Na dany rozkaz, „Nautilus” zmienił kierunek i oddalił się od ognistego pieca, w którym nie mógł bezkarnie zostawać. W kwadrans później odetchnęliśmy na powierzchni morza.

Przyszło mi wtedy na myśl, że jeśliby Ned Land wybrał te strony do wykonania naszej ucieczki, nie wyszlibyśmy żywi z tego morza płomieni.

Nazajutrz, szesnastego, opuściliśmy kotlinę, która między Rodos i Aleksandrią ma trzy tysiące metrów głębokości — i „Nautilus”, opłynąwszy Przylądek Matapan, opuścił archipeląg grecki.

<sup>171</sup>zewnątrz statku — dziś: na zewnątrz (...). [przypis edytorski]

## PRZEZ MORZE ŚRÓDZIEMNE W CZTERDZIEŚCI OSIEM GODZIN

Morze Śródziemne, morze błękitne *per excellentiam*<sup>172</sup>, „Morze Wielkie” Hebrajczyków, „morze” Greków, *mare nostrum*<sup>173</sup> Rzymian, otoczone drzewami pomarańczowymi, aloesami, kaktusami, sosnami morskimi, pachnące wonią mirtów, zamknięte wśród stromych gór, przesiąknięte przezroczystym, balsamicznym powietrzem, ale nieustannie nurtowane ogniem ziemi, jest prawdziwym polem bitwy, na którym Neptun i Pluton wdzierają sobie jeszcze panowanie nad światem. Tu właśnie, jak powiada Michelet, na brzegach i na wodach tego morza człowiek orzeźwia się w jednym z najprzyjemniejszych klimatów kuli ziemskiej.

Mimo wszystkie te zalety, tylko w przelocie widziałem ową kotlinę, której powierzchnia ma cztery miliony kilometrów kwadratowych. Nie mogłem nawet korzystać z osobistych wiadomości kapitana Nemo, gdyż zagadkowa ta istota ani razu nie ukazała się podczas całej drogi odbywanej z nadzwyczajną szybkością. Obliczyłem, że blisko sześćset mil „Nautilus” płynął pod wodą i że na całą podróż użył tylko dwie doby. Dnia 16 lutego z rana opuściliśmy wody Grecji i dnia 18 lutego o wschodzie słońca już przepłynęliśmy Cieśninę Gibraltarską.

Oczywiste było dla mnie, że to Morze Śródziemne nie podobało się kapitanowi Nemo, zapewne dlatego, że było otoczone lądami, od których uciekał. Jego fale i wichry przynosiły mu zbyt wiele wspomnień, jeśli nie zbyt wiele żalów. Nie miał już tutaj owej swobody ruchów, owej niepodległości, jaką mu dawały oceany — a jego „Nautilusowi” było za ciasno między zbliżonymi brzegami Afryki i Europy.

Toteż pędziliśmy z szybkością dwudziestu pięciu mil morskich na godzinę, czyli dwunastu mil czterokilometrowych. Zbyteczne byłoby nadmieniać, że Ned Land z wielkim żalem rzec się musiał swoich projektów ucieczki. Opuścić „Nautilus” w takich warunkach byłoby to wyskoczyć z pospiesznego pociągu kolei żelaznej. Zresztą nasza maszyna tylko w nocy wypływała na powierzchnię, żeby odnowić zapas powietrza, i kierowała się jedynie według wskazówek busoli i szybkościomierza.

Z wnętrza też Morza Śródziemnego widziałem zaledwie to, co podróżny siedzący w wagonie pociągu widzi z krajobrazów uciekających przed jego oczyma, to jest dalekie widnokreśli zamiast pierwszych planów, które migocą jak błyskawice. Wszelako Conseil i ja mogliśmy zauważyć kilka ryb śródziemnych, które niezmierną siłą płetw swoich przez pewien czas utrzymywały się na wodach „Nautilusa”. Czatując przy szybach salonu, dostrzegliśmy kilka ciekawych okazów — i dzięki naszym notatkom, możemy w krótkich słowach opowiedzieć historię naturalną ryb tego morza.

Z różnych ryb je zamieszkujących jedno dokładnie widziałem, inne zaledwie spostrzegłem, nie mówiąc o tych, które szybkość „Nautilusa” ukryła przed naszymi oczami. Niechże mi więc wolno będzie wyliczać je według tej przypadkowej klasyfikacji. Będzie to najdokładniejszym wyrazem moich dorywczych spostrzeżeń.

Pośród masy wód jaskrawo oświetlonych strugami elektrycznymi przesuwają się wężkowatym szlakiem niektóre z owych minogów metrowej długości, które są wspólnie wszystkim niemal klimatom. Ryby ostroryjkowate, różnobarwne, z gatunku raj, szerokości pięciu stóp, z białym brzuchem, z szaropopielatym i cętkowanym grzbietem — płynąc, zdawały się być kaszmirowymi chustkami, które wiatr unosi. Inne raje pędziły tak szybko, że prędzej zasługiwały na nazwę orłów, którą im dali starożytni Grecy, niż na wzgardliwe przewiska szczurów, ropuch i nietoperzy, którymi je częstują rybacy nowocześni. Niemniej szybko przebiegały żarłoczne tchórze, tak przewane od nieprzyjemnej woni, jaką wydają, długości dwunastu stóp, będące szczególniej postrachem nurków. Lisy morskie<sup>174</sup>, ośmiu stóp długości, obdarzone nader delikatnym węchem, ukazywały się jak duże niebieskawe cienie. Dorady z rodzaju leszczaków, niektóre długości przeszło trzynastu centymetrów, występowały w stroju srebrzysto-błękitnym, otoczonym jasnymi paskami, które jaskrawo odbijały od ziemnego koloru ich płetw; ryby poświęcone

<sup>172</sup>*per excellentiam* (łac.) — w pełnym tego słowa znaczeniu. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*mare nostrum* (łac.) — nasze morze. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>*lisy morskie* — inaczej kosogony; ryby zaliczane obecnie do rzędu rekinokształtnych, osiągające nawet ponad 6 metrów długości; zamieszkują morza i oceany strefy tropikalnej. [przypis edytorski]

Wenerze, z oczami osłoniętymi złocistą powieką. Gatunek to wielce ceniony, mieszka we wszystkich słonych i słodkich rzekach, jeziorach i oceanach, we wszelkich klimatach, znosi wszelkie temperatury, a starożytnością swego rodu sięga epok geologicznych stworzenia i zachował całą swoją piękność z owych czasów. Wspaniałe jesiotry długości dziewięciu do dziesięciu metrów, szybkobiegi, potężnym ogonem uderzały w szyby salonu, ukazując brzuch niebieskawy z brunatnymi plamkami. Podobne one są do żarłaczy, którym jednak siłą nie dorównują, i spotykają się na wszystkich morzach. Gdy się zbliży wiosna, lubią wpływać na wielkie rzeki, walczyć z prądami Wisły, Wołgi, Dunaju, Padu, Renu, Loary i Odry; żywią się śledziami, makrelami, łososiami i miętusami. Chociaż należą do chrząstkowatych, mają jednak mięso delikatne; mięso to jadane jest: świeże, suszone, marynowane i solone, a niegdyś wnoszono je triumfalnie na stół Lukullusa.

Z tych jednak przeróżnych mieszkańców Morza Śródziemnego najkorzystniej przy wypłynięciu „Nautilusa” na powierzchnię zbadać mogłem ryby należące do sześćdziesiątego trzeciego rodzaju kościstych. Były to tuńczyki o grzbiecie czarno-błękitnym, o brzuchu srebrzysto-pancernym, po bokach złotem połyskujące. Powiadają o nich, że płyną za okrętami, poszukując chłodnego cienia przed ogniem zwrotnikowego nieba; jakoż rzeczywiście biegły za „Nautilusem”, jak niegdyś towarzyszyły okrętowi Lapérouse’a. Przez długie godziny współzawodniczyły szybkością z naszym statkiem. Nie mogłem dość nadziwić się tym zwierzętom prawdziwie stworzonym do szybkiego pływania; małe mają główki, ciało gładkie i wrzecionowate, u niektórych dłuższe niż na trzy metry, skrzela piersiowe obdarzone znaczną siłą a ogonowe widłowego kształtu. Płyną zwykle trójkątem jak pewne stada ptaków, których szybkości dorównują — i z tego powodu starożytni mówili, że są obeznane z geometrią i strategią. A jednak nie umieją się wymknąć Prowansalczykom, którzy wysoko je cenią, jak niegdyś mieszkańcy Propontydy i Italii, i biedne te, a tak szacowne ryby na oślep tysiącami wpadają w sieci marsylskie.

Dla pamięci zanotuję jeszcze te ryby Morza Śródziemnego, które Conseil i ja zaledwie mogliśmy spostrzec. Były to białawe drętwy, które przepływały jak nieujęte wzywiewy pary, węgorzomureny, węże od trzech do czterech metrów długości, ozdobione barwą zieloną, niebieską i żółtą, miętusy-wittinki, których wątroba uchodzi za przedziwną potrawę, tasiemce, które pływają niby delikatne włókna porostów morskich, ryby-liry lub świstacze, których pyszczek ozdobiony jest trójkątnym i zębatym brzeszczotem. Były ryby-jaskółki płynące z szybkością ptaków, których otrzymały nazwę, ryby skrzelowate z czerwoną głową, których płetwy grzbietowe ozdobione są cienkimi prążkami,kozy-ryby z gatunku śledzi, upstrzone piętnami czarnymi, szarymi, brunatnymi, niebieskimi, żółtymi i zielonymi. Są one wrażliwe na srebrny dźwięk dzwonek. Były wreszcie pyszne płaszcze, istne bażanty morskie, z żółtymi płetwami, nacętkowanymi brunatno, i na koniec gromada przedziwnych barwen czerwonych, istnych ptaków rajskich oceanu, za które Rzymianie płacili po dziesięć tysięcy sestersów od sztuki i na których śmierć patrzyli przy stole biesiadnym, z okrucieństwem śledząc zmiany ich barw od czerwonego cynobru<sup>175</sup> aż do trupiej białości.

A jeżeli nie mogłem zauważyć ani rogatnic, ani kolcobrzuchów, ani rybojeżów, ani koników morskich, ani kołowców, ani barwen pospolitych, ani stynek, ani gładkoustych, ani sardeli, ani innych głównych przedstawicieli rzędu bokoplawków, fląder, skarpi wspólnych Atlantykowskiemu i Śródziemnemu Morzu, wina to szalonej szybkości, z jaką „Nautilus” pędził przez te bogate wody.

Co do ssących zwierząt morskich, zdaje mi się, że przy Adriatyku dostrzegłem dwa lub trzy potfiszce opatrzone płetwą grzbietową, z rodzaju wyrzucających wodę nozdrzem, pospolicie przez rybaków zwanych dmuchaczami, kilka delfinów z rodzaju kręogłowych, właściwych Morzu Śródziemnemu i mających liczne jasne prążki na przedniej części głowy — i wreszcie kilkanaście fok, czyli cieląt morskich, trzymetrowej długości, z białym brzuchem, a czarną na grzbiecie sierścią, znanych pod nazwą mnichów i rzeczywiście mających postać dominikanów.

<sup>175</sup>cynober — odcień koloru czerwonego, wpadający w pomarańczowy; nazwa pochodzi od siarczku rtęci, z którego pozyskiwano ten pigment. [przypis edytorski]

Conseil dostrzegł żółwia, mierzącego sześć stóp szerokości, z trzema podłużnymi i kanciastymi skorupami. Żałuję, że nie widział tego płazu<sup>176</sup>, z opisu bowiem Conseil'a wniosłem, że to musiała być lutnia, gatunek bardzo rzadki. Co do mnie, zauważyłem tylko kilka żółwi z podłużną skorupą.

Ze zwierzokrzewów podziwiałem przez kilka sekund wspaniałe badyle pomarańczowe, które czepiały się szyb salonu. Była to cieniutka tkanka, rozrastająca się w nieskończone gałęzie, zakończone delikatną koronką tak subtelną, że najbieglejsza prządka nic podobnego uprząść by nie mogła. Na nieszczęście nie mogłem złowić tego przedziwnego okazu i zapewne nie zobaczyłbym już ani jednego zwierzokrzewu śródziemnomorskiego, gdyby pod wieczór dnia 16 lutego „Nautilus” nie był zmuszony do znacznego zmniejszenia szybkości. Okoliczności były następujące:

Przebywaliśmy podówczas drogę między Sycylią a brzegami Tunisu. Na tej przestrzeni, ściśniętej między Przylądkiem Dobrym i Cieśniną Messyńską, dno morza podnosi się prawie nagle, tworząc prawdziwy wał forteczny, nad którym warstwa wody sięga zaledwie 17 metrów, gdy z każdej jego strony głębokość wody dochodzi do 170 metrów. „Nautilus” przeto musiał manewrować bardzo ostrożnie, żeby się nie potknąć o tę podmorską rogatkę.

Pokazałem Conseil'owi na mapie Morza Śródziemnego miejsce, które zajmowała ta długa rafa podwodna.

— Z przeproszeniem mojego pana — zauważył Conseil — ta rafa jest prawdziwym międzymorzem łączącym Europę z Afryką.

— Tak, mój chłopcze, — odpowiedziałem — zamyka ona w zupełności Cieśninę Libijską; sondowania Smitha dowiodły, że dwa lądy były niegdyś połączone między Przylądkiem Boco a Przylądkiem Furina.

— Bardzo wierzę — rzekł Conseil.

— Powiem ci jeszcze — dodałem — że podobne rogatki istnieją między Gibraltarem a Ceutą i w czasach geologicznych zupełnie zamykały Morze Śródziemne.

— Ach! — wtrącił Conseil — gdyby jaki wybuch wulkaniczny wysunął znów te rogatki ponad fale!

— Nie jest to prawdopodobne, Conseil.

— Niech jednak mój pan pozwoli mi dokończyć; jeśli to zjawisko rzeczywiście się ukáže, będzie to niemały kłopot dla pana Lessepsa, który z takim mozolem przebija swoje międzymorze.

— Przyznaję, ale powtarzam ci, że to zjawisko się nie ukáže. Gwałtowna potęga sił podziemnych nieustannie się zmniejsza. Wulkany, tak liczne w pierwszych dniach świata, z wolna gasną; ciepłik wewnętrzny słabnie, temperatura dolnych warstw kuli ziemskiej zniża się znacznie w ciągu wieków, a zniża ze szkodą naszego globu, gdyż ten ciepłik to jego życie.

— Jednakże słońce...

— Słońce nie wystarcza. Czy słońce może dać ciepłik trupowi?

— Prawda, że nie może.

— Owóż, mój przyjacielu, ziemia z czasem stanie się tym oziębionym trupem. Niepodobna będzie na niej mieszkać i w istocie będzie niezamieszкана jak księżyc, który od dawna stracił swoje ciepło żywotne.

— Za ileż to wieków? — spytał Conseil.

— Za kilkaset tysięcy lat, mój chłopcze.

— W takim razie — odpowiedział Conseil — będziemy jeszcze mieli dość czasu na ukończenie naszej podróży, byle tylko Ned Land nam nie bruździł.

I Conseil uspokojony zabrał się znów do studiowania głębin, których „Nautilus” dość blisko dotykał, płynąc z umiarkowaną szybkością.

Tu, na gruncie skalistym i wulkanicznym, rozwijała się cała flora żyjąca: gąbki, holoturie i cydypy ozdobione czerwonawymi mackami i wydające blade światło fosforyczne; beroesy<sup>177</sup> pospolicie znane pod nazwą ogórków morskich, oblane migotliwym blaskiem słonecznego widma; włosieńce dochodzące szerokości metra i zaczerwieniające

<sup>176</sup>płaz — obecnie żółwie zalicza się do gromady gadów, nie do płazów. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>beroesy — inaczej świętognice; rodzaj żebroplawa, posiadającego dzwonowate ciało. [przypis edytorski]

morze swoją purpurą; drzewiaste euriale; nadzwyczajnej piękności paprocie na długich łądogach; znaczna liczba jadalnych jeżowców najrozmaitszych odmian i wreszcie aktynie zielone na pniu szarawym i z brunatnymi krążkami, które niknęły w oliwkowych warkoczach ich macek.

Conseil szczególnie zajmował się badaniem mięczaków i stawowatych, a chociaż ich wyliczenie jest dość suche, nie chcę martwić poczciwego chłopca opuszczeniem jego osobistych spostrzeżeń.

W oddziale mięczaków wymienia liczne muszle złożone, piersiokształtne, spondyle ostrygowate zwane pospolicie osłą stopą i gromadzące się stosami jedne na drugich. A więc notuje tam muszle trójkątne, skrzydłopławki trójzębne, z żółtymi płetwami i przezroczystymi skorupami, bokoskrzelne pomarańczowe, jaja cętkowate czyli upstrzone zielonawymi cętkami. Dalej wymienia aplizje, znane pod nazwą zajęcy morskich, dolabelle, mięczaki mięsiste, umbrelki z klasy brzuchopelzów, uszka morskie, których muszla wydaje perłową masę nader poszukiwaną, petonkle, muszle złożone płomykowate, anomie, muszle skamieniałe, które mieszkańcy Langwedocji przekładają podobno nad ostrygi. Oprócz tego notuje muszle podwójne białe i tłuste, z gatunku tych, których jest wielka obfitość przy brzegach Ameryki północnej i których mnóstwo sprzedaje się w New Yorku, nagrzebyki pokrywkowe rozmaitych barw, ślimaki kamieniste kryjące się w szczelinach skał, mięczaki bardzo przyjemnego, pieprzykowatego smaku, muszle zwane sercem Wenery, owalne, dwuskorupne, wydęte u góry i kształt serca mające. Wreszcie wylicza cynlie nastrzępione bąbelkami szkarłatnymi, mięczaki mięsiste z zagiętym końcem muszli, podobne do lekkich gondoli, muszle koronowate, kariatydy z muszlą w kształcie wężownicy, szare tetydy z rodzaju miękkozwierzów, cętkowane białe i pokryte frędzlowatym płaszczkiem, solidy, podobne do małych ślimaczków mięczaki pelzające na grzbiecie, pacierzyczki z owalną muszlą płowej barwy, nadbrzeźniki, popielniki, skalniki, mieszkające w wnętrzu skał, blaszecznice, ćwieczki, pandory itd.

Co do stawowatych, Conseil w notatkach swoich bardzo słusznie podzielił je na sześć klas, z których trzy należą do świata morskiego. Są to klasy skorupiastych, śrubowatych i obrączkowatych.

Skorupiaste dzielą się na dziewięć rzędów, a pierwszy z tych rzędów obejmuje dziesięcionogie, zwierzęta, których głowa i jama piersiowa łączą się bezpośrednio, a przyrząd gębowy składa się z kilku par członków i które mają po cztery, pięć i sześć par nóg piersiowych, na których chodzą. Conseil trzyma się metody naszego mistrza, Milne Edwardsa, który dzieli dziesięcionogie na trzy sekcje: piersionogie, wielkonogie i bezogoniaste. Conseil wylicza między nimi amatie, których czoło uzbrojone jest rozwartymi różkami, niedźwiadki, które, nie wiem dlaczego, były u Greków symbolem mądrości, grzbietoreknie, prawdopodobnie zabłąkane w górnych warstwach wód, pospolicie bowiem zamieszkują największe głębie, przeróżne raki morskie, langusty pospolite, których mięso, zwłaszcza samic, jest wielce cenione, świerszcze morskie, homary i różne inne dobre do jedzenia, prócz tego pustelniki, bernardynki, porcelanki itp.

Tu kończyła się praca Conseil'a. Nie miał czasu uzupełnić klasy skorupiaków zbadaniem gębonogich, dwoistonogich, jednonogich, równonogich itd., aby przytoczyć klasy mackonogich obejmujących cyklopy, lub klasy obrączkowatych, których nie omieszkałby podzielić na rurkowe i grzbietoreknie. „Nautilus” jednak, przepłynąwszy górne warstwy wody Cieśniny Libijskiej, znowu z nadzwyczajną szybkością pędził po głębokach. Odtąd już bywajcie zdrowe, mięczaki, stawowate i zwierzokrzewy! Zaledwie kilka większych ryb przesunęło się jak cienie.

Podczas nocy z 16 na 17 lutego wpłynęliśmy do drugiej kotliny śródziemnej, której największe głębie wynoszą trzy tysiące metrów. „Nautilus” party swoją śrubą zagłębił się w najniższe warstwy morza.

Tu, w braku cudów przyrody, masy wód przedstawiały mym oczom wiele scen wzruszających i strasznych. W istocie przebywaliśmy wtedy część Morza Śródziemnego najpłodniejszą w nieszczęścia. Od brzegów Algierii do brzegów Prowansji ileż to okrętów się rozbiło, ile statków zniknęło pod morzem! Morze Śródziemne jest tylko jeziorem w porównaniu z niezmiernymi płaszczynami wód Oceanu Spokojnego; jest to jednak jezioro kapryśne, ze zmiennymi falami, dziś przyjazne dla wątej barki o trójkątnym żaglu, zda-



jącej się unosić pomiędzy dwoma błękitami wód i nieba, jutro gniewne, napiętrzone wichrami, druzgocące najsilniejsze okręty natarczywymi bałwanami, które nieustannie w nie uderzają.

Nie dziwota też, że w tej szybkiej przejażdżce po głębokich warstwach wód widzieliśmy na dnie mnóstwo szczątków okrętów; jedne już oplecione koralami, inne odziane tylko warstwą rdzy, jak kotwice, różne żelastwa, łańcuchy, śruby, kawałki maszyn, walce potłuczone, kotły pęknięte i pudła pływające, jedne prosto, inne przewrócone.

Z tych okrętów rozbitych jedne zatoneły, starszy się z sobą, inne, uderzając o podwodne rafy granitowe. Widziałem niektóre, co zatoneły prostopadle z masztami do góry, z linami, żaglami i innymi przyrządami zeszywniałymi w wodzie. Zdawały się stać na kotwicy w niezmiernej przystani i oczekiwać chwili odjazdu. Gdy „Nautilus” przesuwiał się między nimi, zalewając je światłem elektrycznym, zdawało się, że te okręty powitają go zatknięciem bander i armatnimi strzałami! Ale nie, nic prócz milczenia i śmierci na tym polu katastrof!

Zauważyłem, że dno śródziemne było gęściej zasłane tymi nieszczęsnymi dowodami rozbić, w miarę jak „Nautilus” zbliżał się do Cieśniny Gibraltarskiej. Brzegi Afryki i Europy zwązają się tutaj, a w tej ciasnej przestrzeni starcia bywają częstsze. Widziałem tu liczne pudła żelazne, fantastyczne ruiny parowców, jedne powalone, inne stojące, podobne do olbrzymich zwierząt. Jeden z tych statków z otwartymi bokami, przygiętym kominem, osadą kół, sterem oderwanym od kadłuba i przytrzymywanym tylko żelaznym łańcuchem — przedstawiał widok prawdziwie straszny! Ileż to istot żyjących zginęło w tym rozbiću, ile ofiar pograżyło się w bałwanach! Czy który z marynarzy przeżył tę straszną katastrofę, żeby ją opowiedzieć światu, czy też fale morza przechowują jedynie w tajemnicy ów złowrogi wypadek? Nie wiem dlaczego, ale przyszło mi na myśl, że tym statkiem pogrzebanym pod wodami jest może „Atlas”, który z osadą, pasażerami i towarami zniknął przed dwudziestu laty i do dziś dnia nic o nim nie słyhać! Ach! Jak okropną byłaby historia głębin kotliny śródziemnomorskiej, owej rozległej trupiarni, gdzie tyle skarbów przepadło, gdzie tyle ofiar grób znalazło!

Tymczasem „Nautilus”, obojętny i szybki, pędził całą siłą śruby pośród tych rumowisk. Dnia 18 lutego około trzeciej z rana stanął przy wejściu do Cieśniny Gibraltarskiej.

Tu są dwa prądy: jeden wyższy, od dawna znany, który wody oceanu sprowadza do kotliny Morza Śródziemnego, drugi niższy a przeciwny prąd, którego bytu dowiodło dziś rozumowanie. W istocie, masa wód Morza Śródziemnego, nieustannie wzrastając przez napływ fal Atlantyku i rzek w nie wpadających, musiałaby corocznie podnosić powierzchnię tego morza, albowiem jego parowanie nie wystarcza do przywrócenia równowagi. Owóż wcale tak nie jest i naturalnie musiano przypuścić istnienie prądu niższego, który przez Cieśninę Gibraltarską przelewa do kotliny Atlantyku nadmiar wód Morza Śródziemnego.

Istotnie tak jest. „Nautilus” właśnie skorzystał z tego prądu i szybko przemknął przez ciasne przejście. Przez chwilę mogłem patrzeć na przedziwne rumowiska świątyni Herkulesa, która, według zapewnień Pliniusza i Awienusa, zapadła się pod wodę wraz z niską wyspą, na której ją postawiono. W kilka minut później płynęliśmy już na falach Atlantyku.

## ZATOKA VIGO

Atlantyku! Rozległa przestrzeń wód, których powierzchnia zajmuje dwadzieścia pięć milionów mil kwadratowych, długość dziesięć tysięcy mil, a średnia szerokość dwa tysiące siedemset. Ważne to morze było prawie nieznanie starożytnym z wyjątkiem może Kartagińczyków, tych Holendrów starożytności, co w wędrówkach handlowych przebiegali wybrzeża zachodnie Europy i Afryki. Ocean, którego brzegi z równoległymi zakrętami obejmują niezmierny obwód, zasilają największe rzeki w świecie: Świętego Wawrzyńca, Missisipi, Amazonka, La Plata, Orinoko, Niger, Senegal, Elba, Loara i Ren, wnosząc mu wody z krajów najbardziej ucywilizowanych i z najdzikszych okolic! Wspaniała ta płaszczyna nieustannie przerywana jest okrętami wszystkich narodów, pod wszystkimi banderami świata i kończy się dwoma strasznymi cyplami, których najbardziej lękają się żeglarze: Przylądkiem Horn i Przylądkiem Burz!

„Nautilus”, prując wody ostrzem swej ostrogi, zawrócił na otwarte morze i wypłynął na powierzchnię. Tym sposobem przywrócono nam codzienne przechadzki po platformie.

Zaraz też wyszedłem z Nedom Landem i Conseil'em. W odległości dwunastu mil ukazywał się w mglistych zarysach Przylądek Świętego Wincentego tworzący cypel południowo-zachodni Półwyspu Hiszpańskiego. Silny wiatr dął od południa; morze było niespokojne, wzburzone i gwałtownymi uderzeniami bałwanów silnie kołysało „Nautilusa”. Niepodobna było prawie utrzymać się na platformie; zaczerpnąwszy więc trochę powietrza, powróciliśmy do wnętrza statku.

Zeszedłem do mojego pokoju, Conseil udał się do swej kajuty, a Kanadyjczyk, widocznie czymś mocno zajęty, poszedł za mną. Nasza szybka wędrówka przez Morze Śródziemne nie pozwoliła mu wykonać powziętych projektów, nie tań też wcale swego niezadowolonia.

Gdy zamknęły się drzwi mojego pokoju, Ned Land usiadł i spojrzał na mnie w milczeniu.

— Przyjacielu Ned — rzekłem — rozumiem cię wybornie, ale nie masz nic do rzucenia sobie. W warunkach, w jakich żeglował „Nautilus”, myśleć o ucieczce byłoby po prostu szaleństwem!

Ned Land nic nie odpowiedział. Zaciśnięte usta i namarszczone brwi wskazywały, że był zawzięcie jedną myślą zajęty.

— Posłuchaj, przyjacielu — dodałem — nic jeszcze nie ma straconego. Płyniemy ku brzegom Portugalii. Niedaleko od nich są Francja i Anglia, gdzie z łatwością znajdziemy schronienie. O! Jeśliby „Nautilus”, wypłynąwszy z Cieśniny Gibraltarskiej, skręcił na południe, gdyby nas ponióśł w okolice, gdzie brak jest lądów, wówczas podzielałbym twój niepokój. Teraz jednak wiemy, że kapitan Nemo nie stroni od mórz okolic ucywilizowanych i, jak sądzę, za dni kilka możesz działać z pewnym widokiem powodzenia.

Ned Land jeszcze bystrzej spojrzał mi w oczy i na koniec otworzył usta:

— Zrobi się to dziś wieczorem — rzekł.

Wyprostowałem się nagle. Przyznaję, iż mało byłem przygotowany na taką wiadomość. Chciałem odpowiedzieć Kanadyjczykowi, lecz słów mi zabrakło.

— Zgodziliśmy się, że czekać będziemy na przyjazną sposobność — dodał Ned Land. — Tę sposobność trzymam w ręku. Dziś wieczorem będziemy tylko o parę mil od brzegów hiszpańskich. Noc jest ciemna. Wiatr wieje od morza. Mam twoje słowo, panie Aronnax, i polegam na nim.

Gdy i teraz jeszcze milczałem, Kanadyjczyk wstał i rzekł, zbliżając się do mnie.

— Dziś wieczorem o dziewiątej. Zawiadomiłem już Conseil'a. O tej porze kapitan będzie zamknięty w swoim pokoiku i prawdopodobnie już w łóżku. Conseil i ja wejdziemy na schody środkowe, pan zaś, panie Aronnax, pozostanie w bibliotece o dwa kroki od nas i czekać będziesz na sygnał. Wiosła, maszt i żagle są w łodzi. Udało mi się złożyć tam już trochę zapasów żywności. Postarałem się także o klucz angielski do odkręcania śrub, które łączą łódź z pudłem „Nautilusa”. To więc wszystko jest gotowe. Do wieczora, panie Aronnax.

— Morze jest niespokojne — zarzuciłem.

— Prawda — odpowiedział Kanadyjczyk — trzeba jednak coś zaryzykować. Wolność warta jest narażenia się na trochę niebezpieczeństwa. Zresztą łódź jest mocna, a kilka mil przy popychającym nas wietrze, to fraszka. A kto wie, może jutro będziemy o sto mil na otwartym morzu? Jeśli nam okoliczności posłużą, między dziesiątą i jedenastą w nocy dostaniemy się na ląd stały lub zginiemy. Więc, przy bożej pomocy, dziś wieczorem.

To rzekłszy, Kanadyjczyk odszedł, zostawiając mnie prawie ogłuszonego. Wyobrażałem sobie, że w danym razie będę miał przynajmniej czas do namysłu i rozważenia projektu ucieczki. Uparty mój towarzysz nie pozwalał mi na to, a zresztą, cóż bym mógł mu powiedzieć? Ned Land miał najzupełniejszą słusność: sposobność była dość przyjazna i on z niej korzystał. Czyż mogłem cofać swoje słowo i w interesie czysto osobistym narażać przyszłość moich towarzyszy? Alboż jutro kapitan Nemo nie mógłby nas zawlec na otwarte morze, z dala od wszelkich lądów?

W tej chwili silny świst dał mi poznać, że napełniano zbiorniki i że „Nautilus” zanurzał się pod fale Atlantyku.

Pozostałem w moim pokoju. Chciałem unikać kapitana, żeby ukryć przed nim moje wzruszenie. Tak przepędziłem dzień dość smutny, walcząc z chęcią odzyskania wolności i z żalem na myśl o opuszczeniu tego cudownego „Nautilusa” przed ukończeniem moich studiów podmorskich! Porzucać tak ocean, „mój Atlantyk”, jak go już z upodobaniem nazywałem, a nie zbadać jego spodnich warstw i nie wydrzeć mu tajników, które odsłoniły mi już Morze Indyjskie i Ocean Spokojny! Romans mój wypada mi z rąk przy pierwszym tomie, moje marzenia przerywały się w chwili najpiękniejszej! Tak upłynęło kilka przykrych godzin, podczas których to mi się zdawało, że jestem bezpieczny na lądzie z moimi towarzyszami, to znowu, na przekorę rozumowi, pragnąłem w duchu, żeby jakie nieprzewidziane okoliczności stanęły na przeszkodzie w wykonaniu projektów Neda Landa.

Dwa razy wchodziłem do salonu. Chciałem zobaczyć na kompasie, czy „Nautilus” w istocie zbliżał się do brzegu lub też od niego oddalał. Ale nie, „Nautilus” wciąż pozostawał na wodach portugalskich, płynąc wzdłuż brzegów w kierunku północnym.

Wypadło tedy poddać się losowi i przygotować do ucieczki. Pakunek mój nie był ciężki. Trochę notatek i nic więcej.

Co do kapitana Nemo, zapytywałem się w duchu, co on pomyśli o naszej ucieczce: czy go zaniepokoi, czy wyrzuci mu jaką krzywdę? Co pocznie kapitan, jeśli ucieczka będzie wykryta lub chybiona? Niewątpliwie, dotychczas nie miałem powodu żalić się na niego; chyba przeciwnie. Gościnność jego zasługiwała na wszelkie pochwały; była otwarta i szczerą. Opuszczając go, nie mogłem jednak być posądzony o niewdzięczność. Żadna przysięga nie przykuwała nas do niego. Liczył on nie na nasze słowo, lecz jedynie na samą moc okoliczności, które miały nas połączyć na zawsze z jego losami. To właśnie roszczenie jawnie wypowiedziane, iż na zawsze uwięzi nas na swoim pokładzie, usprawiedliwiała nasze usiłowania ucieczki.

Od czasu, jak oglądaliśmy brzegi wyspy Santoryny, nie widziałem już kapitana. Czyżbym miał zobaczyć go jeszcze przed naszą ucieczką? Pragnąłem tego i lękałem się zarazem. Wytężyłem słuch, może usłyszę jego stąpania w przyległym pokoju. Nie. Cisza najzupełniejsza. Jego pokój musiał być pusty.

I przyszło mi na myśl, że może ten dziwny człowiek nie był na pokładzie. Od owej nocy, podczas której łódź odpłynęła od „Nautilusa”, udając się z jakąś tajemniczą misją, moje wyobrażenia o kapitanie nieco się zmieniły. Przypuszczać zacząłem, że zachował pewnego rodzaju stosunki z łądem. Czy nigdy nie opuszczał „Nautilusa”? Często upływały całe tygodnie, a nie zdarzyło mi się go spotkać. Co porabiał przez czas tak długi? Może gdym sądził, że siedzi zamknięty jak odludek, on tymczasem dokonywał na lądzie czynów tajemniczych, których natury odgadnąć nie mogłem.

Różne podobne domysły snuły mi się po głowie. W dziwnym naszym położeniu mieliśmy otwarte pole do wszelkich przypuszczeń. Był to dla mnie stan chorobliwy, nieznośny. Dzień oczekiwania zdawał się być długim jak wieczność. Godziny posuwały się zbyt powolnie dla mojej gorączkowej niecierpliwości.

Przyniesiono mi obiad do mojego pokoju. Jadłem bez apetytu, cały jedną myślą zajęty. O siódmej wstałem od stołu. Sto dwadzieścia minut — obliczałem — dzieli mnie jeszcze od chwili, w której mam zejść się z Nedom Landem. Niepokój i wzruszenie moje wzrastały. Puls bił gwałtownie. Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Przechadzałem się tu i ówdzie, spodziewając się, że ruchem fizycznym uspokoję wzburzenie umysłu. Myśl, że nie powiedzie się nasze zuchwałe przedsięwzięcie, była najmniejszą z moich przykrości; ale serce biło mi gwałtownie, gdym pomyślał, że nasz projekt będzie wykryty przed opuszczeniem „Nautilusa” i że przyprowadzą mnie przed kapitana Nemo rozjątrzonego lub co gorsza zasmuconego moim zbiegostwem.

Chciałem po raz ostatni wrócić do salonu. Zawróciłem kroki na korytarz podłużny i wszedłem do owego muzeum, gdzie przepędziłem tyle godzin miłych i użytecznych. I patrzyłem na wszystkie te bogactwa, na wszystkie te skarby jak człowiek w przededniu pójścia na wieczne wygnanie, z którego nie ma powrócić. Te cuda przyrody, te arcydzieła sztuki, pośród których od tyłu dni skupiało się całe moje życie — wkrótce miałem opuścić na zawsze. Rad bym był przez szyby salonu zanurzyć spojrzenia w wodach Atlantyku; ale ściany były szczelnie zamknięte. Płaszcz z blachy żelaznej oddzielał mnie od tego oceanu, którego jeszcze nie znałem.

Przebiegając salon, zbliżyłem się do drzwi w poprzecznej ścianie, którą się wchodziło do pokoju kapitana. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, drzwi te były na wpół otwarte. Mimowolnie cofnąłem się. Jeśli kapitan był w swoim pokoju, mógł mnie zobaczyć. Nie słysząc jednak żadnego szelestu, zbliżyłem się i zajrzałem. Pokój był pusty. Popchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Ten sam jak zawsze widok surowy, pustelniczy.

W tej chwili uderzyło mnie kilka trawionek<sup>178</sup> zawieszonych na ścianie, których nie spostrzegłem podczas pierwszych tutaj odwiedzin. Były to portrety wielkich mężów historycznych, których życie było nieustannym poświęcaniem się dla wielkich idei ludzkości: Kościuszki, który padł z okrzykiem: „*Finis Poloniae!*” na ustach, Botzarisa, tego Leonidasa Grecji nowożytniej, O’Connella, obrońcy Irlandii, Waszyngtona, założyciela Unii amerykańskiej, Manina, patrioty włoskiego, Lincolna, co zginął ugodzony kulą stronnika niewolnictwa — i wreszcie owego męczennika sprawy oswobodzenia Murzynów, Jana Browna, powieszzonego na szubienicy w postaci, którą tak strasznie narysowało potężne pióro Wiktora Hugo.

Jaki był związek między tymi bohaterskimi duszami i duszą kapitana Nemo? Czy ten zbiór portretów mógł naprowadzić mnie na ślad tajemnicy jego istnienia? Byłże on rycerzem ludów uciśnionych, oswobodzicielem plemion jęczących w niewoli? Czy brał udział w ostatnich wstrząśnieniach politycznych lub społecznych tego stulecia? Byłże on jednym z bohaterów strasznej wojny amerykańskiej, wojny oplakanej a wiekopomnej?

Nagle zegar wybił ósmą godzinę. Pierwsze uderzenia młotka wyrwały mnie z moich marzeń. Zadrżałem, jakby oko niewidzialne przeniknęło najskrytsze tajniki moich myśli, i wybiegłem z pokoju.

Tu oczy moje zatrzymały się na busoli. Nasz kierunek był ciągle północny. Szybko-  
mierz wskazywał bieg umiarkowany, manometr — głębokość stóp sześćdziesięciu. Okoliczności sprzyjały więc projektom Kanadyjczyka.

Wróciłem do mego pokoju. Ubrałem się ciepło: buty morskie, czapka wydrzana, kurtka z bisioru podszyta skórą cielęcą morską. Byłem gotów. Czekałem. Tylko szelest drgającej śruby przerywał głębokie milczenie panujące na pokładzie. Słuchałem, nadstawiałem uszu, czy krzyki nie ostrzegą mnie, że Ned Land został schwytany na gorącym uczynku wykonywania projektów ucieczki? Ogarnął mnie niepokój śmiertelny. Daremnie usiłowałem odzyskać krew zimną.

Gdy już kilka jedynie minut brakowało do dziewiątej, przyłożyłem ucho do drzwi pokoju kapitana. Żadnego szelestu. Wyszedłem z mego pokoju i powróciłem do salonu, który był pusty i pogrążony w półmroku.

Otworzyłem drzwi biblioteki. To samo światło przyćmione, ta sama samotność. Zbliżyłem się do drzwi, z których się wychodziło na schody środkowe, i czekałem na sygnał Neda Landa.

W tej chwili drgania śruby znacznie się zmniejszyły, a potem zupełnie ustały. Dlaczego ta zmiana w ruchach „Nautilusa”? Nie wiedziałem, czy to powstrzymanie ruchu miało sprzyjać lub przeszkadzać zamiarom Neda Landa.

Milczenie przerywało już tylko bicie mego serca.

Nagle dało się uczuć lekkie uderzenie. Poznałem, że „Nautilus” osiadł na dnie oceanu.

W tej chwili drzwi wielkiego salonu otworzyły się i wszedł kapitan Nemo. Zobaczył mnie zaraz i bez żadnych wstępów rzekł uprzejmym tonem:

— A! Panie profesorze, właśnie cię szukałem. Znasz pan dobrze dzieje Hiszpanii?

Można by było znać ją na palcach, a jednak w moim położeniu stracić głowę i nie być w stanie zacytowania ani słowa.

— Cóż — odezwał się znów kapitan Nemo — czy słyszałeś pan moje zapytanie? Znasz historię Hiszpanii?

— Zapomniałem już trochę — odpowiedziałem.

— Otóż to uczeni, co zapominają, czego się uczyli — rzekł kapitan. — Więc siadaj pan — dodał — a ja opowiem ci bardzo ciekawy ustęp z tych dziejów.

Kapitan wyciągnął się na kanapie, a ja machinalnie usiadłem przy nim w półcieniu.

<sup>178</sup>trawionka — litografia; rysunek naniesiony na kamień drukarski i wytrawiony kwasem azotowym. [przypis edytorski]

— Panie profesorze — rzekł — chciej mnie posłuchać z uwagą. Historia ta z pewnego względu zajmie pana, gdyż będzie odpowiedzią na kwestie, których zapewne nie mogłes pan rozwiązać.

— Słucham z największą uwagą, kapitanie — odpowiedziałem, nie wiedząc ku czemu właściwie zmierzał, zapytując się w duchu, czy zajście to nie jest w związku z naszymi projektami ucieczki.

— Panie profesorze — odezwał się znów kapitan Nemo — jeśli pozwolisz, cofniemy się do roku 1702. Wiadomo panu, że w owym czasie wasz król Ludwik XIV, sądząc, że może jednym skinieniem ręki usunąć Pireneje, narzucił Hiszpanom swego wnuka, księcia andegawieńskiego, na króla. Księżę ten, który mniej więcej licho panował pod imieniem Filipa V, musiał walczyć z silnymi nieprzyjaciółmi zewnętrznymi.

W istocie poprzedniego roku domy panujące w Holandii, Austrii i Anglii zawarły w Hadze traktat przymierza w celu wydarcia korony hiszpańskiej Filipowi V i włożenia jej na głowę jednego z arcyksiążąt, któremu przedwcześnie dano imię Karola III.

Hiszpania musiała stawiać opór tej koalicji. Była jednak prawie zupełnie pozbawiona żołnierzy i marynarzy. Za to nie brakło jej pieniędzy, pod warunkiem wszakże, iż jej galiony naładowane złotem i srebrem amerykańskim dopłyną do jej portów. Owóż pod koniec roku 1702 oczekiwała sutego dowozu, który Francja eskortowała flotą złożoną z dwudziestu trzech okrętów pod dowództwem admirała Chateau-Renaud, gdyż marynarki sprzymierzone przebiegały wówczas wody Atlantyku.

Transport ten miał zawinąć do Kadyksu; admirał jednak, dowiedziawszy się, że flota angielska krąży na tamtych wodach, postanowił zawinąć do jednego z portów francuskich.

Dowódcy konwoju hiszpańskiego zaprotestowali przeciw temu postanowieniu i zażądali, żeby ich zaprowadzono do portu hiszpańskiego, jeżeli nie do Kadyksu, to do zatoki Vigo leżącej na północno-zachodnim brzegu Hiszpanii i nieblokowanej.

Admirał Chateau-Renaud miał tyle słabości, że usłuchał tego nieroztropnego żądania, i galiony wpłynęły do zatoki Vigo.

Na nieszczęście zatoka ta nie posiada portów obronnych. Wypadało przeto śpiesznie znieść na ląd ładunki galionów przed przybyciem flot sprzymierzonych i byłby na to czas dostateczny, gdyby nagle nie podniesiono nędznej kwestii współzawodnictwa.

— Czy tylko z uwagą pan słuchasz? — spytał mnie kapitan Nemo.

— Najuważniej — odpowiedziałem, nie wiedząc jeszcze, z jakiego powodu dawano mi tę lekcję dziejów Hiszpanii.

— Opowiadam więc dalej. Rzecz tak się miała: kupcy Kadyksu posiadali przywilej, na którego mocy do nich należało przyjmowanie wszystkich towarów przybywających z Indii Zachodnich. W sprzeczności z tym przywilejem było wynoszenie w zatoce Vigo na ląd pieniędzy przywiezionych na galionach. Zanieśli więc skargę do Madrytu i wyjednali u słabego Filipa V, że konwój, nie wynosząc na ląd swego ładunku, pozostawać będzie pod sekwestrem w zatoce Vigo, dopóki floty angielskie się nie oddalą.

Owóż właśnie, gdy zapadło to postanowienie, dnia 22 października 1702 r. okręty angielskie wpłynęły do zatoki Vigo. Admirał Chateau-Renaud, mimo sił słabszych, mężnie walczył z przeważającym nieprzyjacielem: spostrzegłszy jednak, że skarby konwoju nieuchronnie wpadną w moc nieprzyjaciela, kazał podpalić i zatopić galiony, które też z niezmiernymi skarbami swymi zatonięły w morzu.

Kapitan Nemo umilkł. Przyznaję, iż nie wiedziałem jeszcze, z jakiego powodu miałaby mnie zajmować ta historia.

— Cóż dalej? — spytałem.

— To dalej, panie Aronnax — odpowiedział kapitan Nemo — że jesteśmy teraz w zatoce Vigo i jeśli pan chcesz, możemy poznać jej tajemnice.

Kapitan Nemo powstał, zapraszając, abym poszedł za nim. Posłuchałem. W salonie było ciemno, ale przez szyby przezroczyste połyskiwały fale morskie. Spojrzałem.

Dokoła „Nautilusa” w półmilowym promieniu wody zdawały się być zalane światłem elektrycznym. Widziałem najwyraźniej dno piaszczyste. Marynarze załogi statku w ubraniach nurkowych, czyli tak zwanych skafandrach, wypróżniali beczki na pół przegnite i rozbite skrzynie wśród czerniejących się jeszcze szczątków floty hiszpańskiej. Z tych skrzyń i beczulek sypały się sztaby złota i srebra i niezliczona liczba piaszków i klejno-

tów. Mnóstwo drogiego kruszcu leżało na dnie. Marynarze zbierali te lupy szacowne, przenosili do „Nautilusa” i znów powracali na te niewyczerpane łowy złota i srebra.

Teraz zrozumiałem. Tu była widownia bitwy 22 października 1702 r. W tym właśnie miejscu zatoneły galiony wylądowane na rachunek rządu hiszpańskiego. Tu kapitan Nemo w miarę swoich potrzeb zabierał miliony na pokład „Nautilusa”. Dla niego więc i tylko dla niego Ameryka dostarczyła tych szacownych kruszców. Był on bezpośrednim i wyłącznym dziedzicem owych skarbów wydartych Inkom i ludom zwyciężonym przez Ferdynanda Corteza.

— Cóż, panie profesorze — zapytał kapitan Nemo z uśmiechem — czy wiedziałeś, że morze tyle bogactw zawiera?

— Wiedziałem, że obliczają do dwu milionów ton pieniędzy pogrążonych w jego wodach.

— Tak, lecz żeby wydobyć te pieniądze, trzeba by ponosić wydatki większe od spodziewanych korzyści. Tu, przeciwnie, dość mi jest tylko podnieść to, co ludzie zgubili, i nie tylko w zatoce Vigo, ale i w tysiącach miejsc, które były widownią rozbicia okrętów i na mojej mapie podmorskiej są starannie zanotowane. Teraz zapewne pan pojmuje, dlaczego jestem niezmiernie bogaty?

— Pojmuję. Pozwól mi jednak powiedzieć sobie, panie kapitanie, że uprzętając skarby w zatoce Vigo, uprzędziłeś pan tylko prace stowarzyszenia, które się w tym samym celu zawiązało.

— Jakiegoż to?

— Stowarzyszenia, które otrzymało od rządu hiszpańskiego przywilej na poszukiwanie galionów zatopionych. Akcjonariuszów zwabiła ponęta ogromnych korzyści, gdyż owe skarby na dnie morza oceniane są na pięćset milionów.

— Pięćset milionów! — powtórzył kapitan Nemo — może tyle było, ale już nie ma.

— Bardzo wierzę, kapitanie. Byłoby też uczynkiem miłosiernym ostrzec tych akcjonariuszów. Kto wie zresztą, czy przestroga byłaby dobrze przyjęta. Zwykle gracze bardziej żałują nie tyle pieniędzy straconych, ile nadziei szalonych, które się nie ziściły. A zresztą, mniej mi żal tych spekulantów niż owych tysiąca nieszczęśliwych, którym bardzo by się przydały te bogactwa stosownie rozdzielone, gdy tymczasem teraz pozostaną nieużyteczne.

Zaledwie domówiłem tych słów, gdym uczuł, że musiały sprawić przykrość kapitanowi Nemo.

— Nieużyteczne! — powtórzył żywo. — Więc sądzisz, mój panie, że bogactwa są stracone dlatego, że ja je zabieram? Więc sądzisz, że dla siebie samego trudzę się gromadzeniem tych skarbów? Kto panu powiedział, że nie robię z nich dobrego użytku? Chyba ci się zdaje, że nie wiem, iż są na świecie istoty cierpiące, plemiona uciśnione, że są biedacy, którym trzeba nieść ulgę, ofiary, które pomścić należy? Czy pan mnie nie rozumiesz?...

Kapitan Nemo nagle umilkł, może żałując, że za wiele powiedział. Ja zaś odgadłem go teraz. Jakikolwiek pobudki skłoniły go do szukania niepodległości pod morzami, przede wszystkim pozostał człowiekiem! Jego serce biło jeszcze dla cierpień ludzkości, jego miłosierdzie niewyczerpane było na usługi zarówno plemion ujarzmionych, jak jednostek!

I zrozumiałem wówczas, dla kogo były przeznaczone owe miliony wyprawiane przez kapitana Nemo, gdy „Nautilus” płynął po wodach Krety, na której wrzało powstanie!

## ŁĄD ZAGINIONY

Nazajutrz, 19 lutego, przyszedł do mnie Kanadyjczyk. Spodziewałem się tych odwiedzin. Miał minę człowieka bardzo zawiedzionego.

— Cóż teraz będzie, panie?

— Cóż robić, kochany Nedzie, los przeszkodził nam wczoraj.

— Otóż to! Ten przeklęty kapitan musiał się zatrzymać właśnie w chwili, w której mieliśmy opuścić jego statek!

— Musiał wstąpić do swego bankiera.

— Swego bankiera!

— A raczej do swego banku. Chcę mówić o oceanie, w którym bogactwa kapitana są bezpieczniejsze, niżby były w kasie państwa.

Opowiedziałem Kanadyjczykowi, co zaszło wczoraj, w nadziei, że to może mu wybije z głowy chęć opuszczenia kapitana. Ale taki był skutek mego opowiadania, że Ned bardzo zaczął żałować, iż on także nie należał do wyprawy na pole bitwy pod Vigo.

— Zresztą — dodał — przecież nie wszystko jeszcze się skończyło! Jeśli oszczep chybił celu teraz, to trafi innym razem. Jeśli trzeba, to dziś jeszcze wieczorem...

— W jakim kierunku płynie „Nautilus”? — zapytałem.

— Nie wiem, panie — odpowiedział.

— Więc dowiemy się o tym w południe.

Kanadyjczyk wrócił do Conseil'a, a ja ubrałem się i poszedłem do salonu. Nie zadowolili mnie kompas; „Nautilus” płynął na południo-zachód. Więc odwróciliśmy się od Europy. Z pewną niecierpliwością czekałem chwili, w której położenie statku będzie oznaczone. Około wpół do dwunastej zbiorniki wypróżniono, a statek wypłynął na powierzchnię. Wybiegłem na platformę. Ned już mnie uprzedził.

Nie było już widać ziemi, tylko morze niezmierzone na wszystkie strony. Na widnokręgu słańało się kilka żagli; zapewne były to statki płynące aż do Przylądka San-Roque, by, znalazłszy tam wiatr przyjazny, okrążyć z jego pomocą Przylądek Dobrej Nadziei. Pochmurno było — zdawało się, że zbiera się na burzę.

Ned, pałający gniewem, usiłował przebić wzrokiem mglisty widnokrąg. Zdawało mu się ciągle, że za tą mgłą zobaczy upragnioną ziemię.

Słońce pokazało się w południe na chwilę. Skorzystał z tego porucznik statku, by oznaczyć położenie, po czym, ponieważ morze zaczynało się burzyć, zesłaliśmy pod pokład i wejście zamknęto.

W godzinę potem widziałem na mapie oznaczone położenie „Nautilusa”; znajdował się pod 16° 17' długości, a 33° 21' szerokości, o sto pięćdziesiąt mil od najbliższego lądu. Nie było co myśleć o ucieczce. Łatwo zgadnąć gniew Kanadyjczyka, gdy się dowiedział o naszym położeniu. Co do mnie, to nie martwiłem się zbytnio. Miałem nawet wrażenie, że mi kamień spadł w serca, mogłem więc stosunkowo spokojnie wrócić do zwykłej mej pracy.

Wieczorem około godziny 11 zaszedł do mnie zgoła niespodzianie kapitan Nemo, pytając, czy nie jestem zmęczony po nieprzespanej nocy.

— Jeśli tak, to może pan zechcesz zrobić wycieczkę arcyciekawą.

— Z całego serca, kapitanie.

— Bywałeś pan na dnie morskim za dnia i przy świetle słonecznym; nie zechciałbyś pan zobaczyć, jak też wygląda w nocy?

— I owszem.

— Będzie to męcząca przechadzka, uprzedzam pana. Trzeba będzie iść długo i wspinać się pod górę. Drogi są tam nieosobliwie utrzymane.

— Zaciekawiasz mnie, kapitanie, i tym chętniej pójdę.

— To chodźmy, profesorze, ubrać się w skafandry.

Przybywszy do szatni, zrozumiałem, że ani moi towarzysze, ani ludzie z załogi statku nie wybierają się z nami na tę wycieczkę. Kapitan Nemo nie proponował mi nawet, by zabrać z sobą Neda lub Conseil'a.

Szybko przywdzialiśmy ubiory nurków. Umieszczono nam na plecach zbiorniki obfite napełnione powietrzem, ale lampy elektryczne nie były przygotowane. Zwróciłem na to uwagę kapitana.

— Byłyby zbyt ciężkie — odpowiedział.

Myślałem, że źle słyszał, ale nie mogłem powtórzyć spostrzeżenia, bo kapitan miał już głowę w kuli metalowej. A gdy i moją przybrano podobne, uczułem, że mi włożono w rękę okuty kij, a w parę minut potem, po zwyczajnych zabiegach, stanęliśmy na dnie Oceanu Atlantyckiego, o trzysta metrów pod jego powierzchnią.

Nadchodziła północ. W wodzie było bardzo ciemno — ale kapitan pokazał mi w odległości czerwony punkt, jakąś szeroko rozlaną światłość, o dwie mile blisko od „Nautilusa”. Co to był za ogień, czym się zasilal, dlaczego i w jaki sposób istniał wśród płynnego żywiołu, nie umiałbym powiedzieć. Dostyc, że nam przyświecał, prawda, że trochę blade,

ale dostatecznie, by coś widzieć w ciemnościach. Pojąłem, że przyrząd Ruhmkorffa byłby nam rzeczywiście niepotrzebny.

Ja i kapitan Nemo szliśmy obok siebie, prosto na widziane światło. Grunt równy wznosił się nieznacznie. Z pomocą lasek tęgie dawaliśmy kroki; ale droga szła niesporo, bo nogi więzły nam często w rodzaju błota z przegniłych wodorostów, usianego płaskimi kamieniami.

Posuwając się naprzód, usłyszałem nad głową szmer wzmagający się niekiedy i podobny do uporczywego dreptania. Wkrótce zrozumiałem jego przyczynę. Był to deszcz gwałtowny, padający z pluskiem na powierzchnię fal. Mimo woli przyszło mi na myśl, że deszcz ten mnie przemoczy. Musiałem się roześmiać na to przypuszczenie dziwaczne, przypomniawszy sobie, że przecież jestem już w wodzie. Ale, powiedziawszy prawdę, gdy się jest w skafandrze, nie czuje się żywiołu płynnego i ma się wrażenie przebywania w atmosferze tylko nieco gęstszej od atmosfery na powierzchni ziemi. W tym rzecz.

Po półgodzinnym pochodzie, grunt się stał krzemienisty. Meduzy, skorupiaki mikroskopijne, pierze morskie oświecały go lekko swą fosforescencją. Stosy głazów pokryte były milionami zwierzkorzewów i gąszczem wodorostów. Nogi się ślizgały na mchu morskim i gdyby nie kij okuty, byłbym nieraz upadł. Gdym się oglądał, dostrzegłem ciągle błyszczącą latarnię na „Nautilusie”, ale coraz niewyraźniej.

Owe kamienie, którymi, jak wspomniałem, usiane było dno oceanu, leżały w pewnym porządku, niezrozumiałym dla mnie. Dostrzegłem jakieś olbrzymie bruzdy ginące w odległości, i których długości nie można było ocenić. Zastanawiał mnie też inny jeszcze niezrozumiały szczegół. Zdawało mi się, że moje ciężkie ołowiane podeszwy druzgocą jakąś ściółkę z kości głucho trzaskającą pod nogami. Po jakiejże szliśmy równinie? Byłbym się pytał o to kapitana, ale nie znałem jeszcze tego języka na migi, za pomocą którego rozmawiał ze swymi towarzyszami podczas podmorskich wycieczek.

Tymczasem blask czerwony, do którego dążyliśmy, wzrastał i zalewał przestrzenie. Obecność tego ogniska wśród wody zaciekała mnie mocno. Byłże to jakiś wpływ elektryczny, czy może zbliżałem się ku zjawisku przyrody nieznanemu jeszcze uczonym na ziemi? Albo może — bo i to przyszło mi na myśl — ludzie wpływali czymś na ten pożar? Może pod tymi warstwami wody spotkam towarzyszy, przyjaciół kapitana Nemo żyjących jak on w sposób niezwykły, i których chciał odwiedzić? Może tam spotkam całą kolonię wygnańców, którzy, nie mogąc znieść rządów ziemskich, szukali niepodległości na dnie oceanu i znaleźli ją tam? Wszystkie te myśli szalone, niedopuszczalne prześladowały mnie. W tym usposobieniu umysłu, podniecany ustawicznie szeregiem cudów ukazujących się moim oczom nie byłbym się zdziwił, odkrywając na dnie morskim jedno z tych miast podwodnych, o jakich marzył kapitan Nemo.

Droga nasza rozjaśniała się coraz więcej. Biaława światłość błyszcząca na szczycie góry wysokości jakichś 800 stóp. Ale był to tylko odbłask światła w kryształowych pokładach wodnych. Ognisko, niepojęte źródło tej jasności, znajdowało się z drugiej strony góry.

Kapitan Nemo szedł śmiało w tym labiryncie kamienistym na dnie Atlantyku; znał widać ponurą tę drogę i nie lękał się zabłąkać. Postępowałem za nim z niewzruszoną ufnością. Zdawał mi się być geniuszem morskim; a gdy postępował przede mną, podziwiałem rosną jego postać rysującą się ciemno na świetnym tle widnokregu.

Mogło być około pierwszej po północy. Przybyliśmy do pierwszych krawędzi góry; ale żeby na nią się dostać, trzeba było ruszyć ścieżkami gęstego lasu.

Tak jest! Lasu obumarłego, bez liści, bez soków, skamieniałego pod działaniem wód, z którego tu i ówdzie strzelały sosny olbrzymie. Jakbym widział niepowalony jeszcze węgiel kamienny, trzymający się korzeniami w pozapadanym gruncie. Gałęzie tych drzew niby delikatna koronka z czarnego papieru rysowały się wyraźnie na sklepieniu wód. Wyglądało to, jakby przyczepiony do stromych Gór Harcu las, ale las zatopiony. Ścieżki okryte były mchami i wodorostami, wśród których mrowił się świat skorupiaków. Szedłem, wspinając się na skały, przekraczając leżące pnie, rozrywając pnącze podmorskie, kołyszące się od drzewa do drzewa, przestraszając ryby sunące od gałęzi do gałęzi. Zaciekawiony, nie czulem zmęczenia. Kroczyłem za mym nieznużonym przewodnikiem. Dalej znów majaczyły wieże naturalne, wielkie ściany ścięte pionowo jak bastiony, a nachylone pod kątem, jakiego nie dopuszczałyby prawa ciężenia na powierzchni ziemi.



Ale cóż się dziwić! Czy ja sam nie odczuwałem skutków różnicy między gęstością powietrza i wody, dzięki której pomimo mego ciężkiego odzienia, bani metalowej otaczającej głowę, podeszew ołowianych przy obuwiu wdzierałem się na pochyłości niezwykle strome i przebiegałem je niemal ze zwinnością i lekkością kozła skalnego lub kozicy.

Czuję, że opis tej wycieczki podwodnej nie będzie się zdawał prawdopodobny. Opowiadam rzeczy na pozór niemożliwe, które przecież są istotne, niezaprzeczone. Nie marzyłem przecież — widziałem i czułem.

W dwie godziny po opuszczeniu „Nautilusa” przebyliśmy linię drzew; o sto stóp nad głowami naszymi sterczał szczyt góry zasłaniającej nam źródło świetlnego promieniowania znajdujące się z drugiej strony. Gdzieniedzie przesuwają się krzaki skamieniałe, pokrzywione dziwacznie. Ryby wysuwały się spod nóg naszych jak ptactwo wypłoszone z wysokiej trawy. Skalisty grunt poprzedzielany był nieprzebytymi załomami, głębokimi grotami, niezgłębionymi otworami, na dnie których słychać było poruszające się potężne ciała. Krew mi zbiegła do serca, gdym zobaczył macki olbrzymiego mięczaka zastępującego mi drogę albo jakieś kleszcze straszliwe, zwierające się ze zgrzytem w ciemnicy jam! Tysiące punktów świecących błyszczało wśród ciemności. Były to oczy ogromnych skorupiaków siedzących w swych kryjówkach, potężnych homarów powstających jak halabardziści, poruszających swe łapy z odgłosem przesuwanego żelastwa, krabów niezmiernych, spoczywających jak działa na lawetach, strasznych głowonogów, których splątane, długie macki wyglądały jak żyjący splot węzłów. Nie znałem jeszcze tego świata olbrzymiego; do jakiegoż rodzaju zaliczyć te stworzenia stawowate, dla których skała stanowiła drugi niejako pancerz? W jakiż sposób zagadkowy przyroda pozwala im tak wegetować, od ilu wieków żyją one w zapadłych warstwach oceanu?

Nie było czasu zatrzymywać się. Kapitan Nemo, oswojony z tymi strasznymi zwierzętami, nie zważał na nie. Nowe czekały nas niespodzianki zaraz na pierwszym tarasie góry, na którąś się wspinaliśmy. Zarzysowywały się przed nami malownicze ruiny, już wyraźnie pokazujące, że pochodziły z ręki człowieka, a nie Stwórcy. Nagromadzenia kamieni tworzące zarzysy zamków i świątyń rozciągały się szeroko; pokryte było to wszystko światem kwitnących zwierzokrzewów; mchy i wodorosty niby bluszcze pięły się około tych ruin i odziewały je jakby płaszczem roślinnym.

Cóż to była za część świata? Kto poustawił te skały i kamienie jakby na uroczyskach przedhistorycznych? Gdzież mnie przyprowadził ten fantasta, kapitan Nemo?

Byłbym się go pytał, ale nie mogłem tego zrobić — więc go zatrzymałem, chwytając za ramię. Ale on tylko wstrząsnął głową i, pokazując mi najwyższy szczyt góry, zdawał się mówić: „Chodź dalej, chodź jeszcze!”

Poszedłem. Jednym zamachem w kilka minut wspięliśmy się na szczyt wyższy od okolicznej masy skalistej o jakie dziesięć lub dwanaście metrów. Spojrzałem w stronę, którą przebyliśmy. Góra nie wyżej się wznosiła nad siedemset lub osiemset metrów nad płaszczyznę. Po drugiej jednak stronie góry równina znajdowała się i wiele razy niżej. Wzrok mój sięgał daleko i obejmował przestrzeń oświetloną gwałtownymi wytryskami rozżarzonej masy. Ta góra była wulkanem! O pięćdziesiąt stóp poniżej szczytu wypływała z krateru rzeka lawy rozlewającej się ognistymi kaskadami w otaczającym ją wodnym żywiole, a nad wszystkim wznosiła się ulewa z kamieni i żużli. Wulkan ten zdawał się być niezmierną pochodnią i oświetlał niższą płaszczyznę aż do granic widnokregu.

Powiadam, że krater podmorski wyrzucał lawę, a nie płomień. Płomieniom bowiem potrzeba tlenu z powietrza, a pod wodą go nie ma; potoki zaś lawy, mające same w sobie pierwiastki gorzenia, mogą się rozpalić do białej czerwoności, walczyć zwycięsko z otaczającym je płynnym żywiołem i ulatniać się w zetknięciu z nim. Gwałtowne prądy unosiły wywiązujące się gazy; potoki lawy spływały, aż do podstawy góry tak zupełnie, jak materie wyrzucane z Wezuwiusza na Torre del Greco.

Istotnie, patrzyłem na miasto zrujnowane, zapadłe w gruzy, zwalone, o dachach podruzgotanych, świątyniach zgniecionych, łukach i sklepieniach rozbitych, kolumnach powalonych na ziemię, a we wszystkim znać było proporcje pewnego rodzaju architektury tokańskiej. Tam oto widnieją resztki olbrzymiego wodociągu; tutaj wzniesienie

obmurowane akropolu, a wśród niego lekkie kształty Partenonu<sup>179</sup>; ówdzie ślady bulwaru jakby otaczającego niegdyś starożytny port na brzegach zanikłego morza — a w nim okręty handlowe i trójrzędowe statki wojenne. Dalej jeszcze rysowała się długa linia zwalonych murów; znać było opustoszałe ulice; niby pogrzebana pod wodą Pompeja, którą kapitan Nemo wskrzesił dla mnie.

Gdzie więc jestem, na co patrzę? Za jakąkolwiek cenę pragnąłbym się o tym dowiedzieć. Chciałem mówić i już brałem się do zerwania sobie z głowy otaczającej ją kuli metalowej. Ale powstrzymał mnie kapitan Nemo, a podniósłszy kawałek kamienia kredowego, podszedł do skały z czarnego bazaltu i nakreślił na niej jeden wyraz:

*ATLANTYDA.*

Błyskawica przeniknęła mój umysł. Atlantyda! Starożytna Meropida u Theopompa, Atlantyda Platona — ten ląd, którego istnieniu zaprzeczali: Orygenes, Porfiriusz, Jamblique, Anville, Malte-Brun, Humboldt, biorąc wieści o jego zniknięciu za legendę; ląd, którego istnienie kiedyś przypuszczali: Posidoniusz, Pliniusz, Ammianus Marcellinus, Tertulian, Engel, Sherer, Tournefort, Buffon, Averac — ląd ten miałem teraz przed sobą i widziałem na nim niezaprzeczone ślady jego niegdyś istnienia! Tu więc była ta ziemia, pochłonięta dziś, a istniejąca niegdyś zewnątrz Europy<sup>180</sup>, Azji i Libii (Afryka starożytna), zewnątrz kolumn Herkulesa (Gibraltar) — ląd, na którym żyło potężne plemię Atlantów, z którym starożytni Grecy pierwsze wiedli wojny!

To właśnie Platon zapisał w swych dziełach wielkie czyny z owych czasów bohater-skich. Jego dialog Timeosa z Kritiasem napisany był, można powiedzieć, pod natchnieniem Solona, poety i prawodawcy.

Pewnego dnia Solon rozmawiał z kilku mądrymi starcami z Saïs, miasta istniejącego już od ośmiuset lat, jak o tym świadczyły roczniki jego wyryte na poświęconych murach świątyni. Jeden z tych starców opowiadał dzieje innego miasta, o tysiąc lat starszego. Pierwsza owa osada ateńska, licząca dziewięćset wieków, napadnięta była i w części zniszczona przez Atlantów, którzy, jak mówił ów starzec, zamieszkiwali ląd obszerniejszy od Azji i Afryki razem wziętych, zalegający przestrzeń od 12 do 14 stopnia szerokości północnej. Panowanie tego ludu rozciągało się aż do Egiptu. Chciał też zawładnąć Grecją, ale musiał ustąpić przed nieugiętą obroną Hellenów. Od tego czasu wieki upływały. Nadeszła katastrofa żywiołowa; powódź, trzęsienie ziemi. Jednej doby starczyło, by zaprzepaścić się starożytna Atlantyda, której najwyższe szczyty: Madeira, wyspy Azorskie, Kanaryjskie i Przylądka Zielonego, widoczne są dziś jeszcze.

Historyczne te wspomnienia ocknęły się w mej pamięci na widok napisu skreślonego ręką kapitana Nemo. Dziwnym wiedziony przeznaczeniem, deptałem więc jedną z gór owego niegdyś lądu stałego, dotykałem ręką własną ruin tysiącowiecznych i współczesnych epokom geologicznym! Stąpałem tam, gdzie stąpali współcześni pierwszego człowieka; moim ciężkim obuwiem druzgotałem szkielety zwierząt z czasów bajecznych, resztki życia niegdyś osłanianego cieniem skamieniałych dziś lasów!

Czemuż dla braku czasu nie mogłem zstąpić z urwistych spadzistości tej góry, przebiec w całości ląd ten niezmierny, który zapewne łączył niegdyś Afrykę z Ameryką, odwiedzić potężne miasta przedpotopowe! Może bym jeszcze znalazł wojowniczej sławy pełen Makhimos, pobożny grób Eusebe, którego olbrzymi mieszkańcy żyli wieki, a tak byli mocni, że nagromadzili owe glazy opierające się dziś jeszcze działaniu wód. Być może, że nadejdzie dzień, w którym zjawisko jakie wybuchowe wywiedzie znów na jasne światło słońca pochłonięte zwałiska! Wszak wskazano miejsca licznych w tej okolicy wulkanów podmorskich; a nieraz okręty płynące po tych wodach doświadczały wstrząśnień od spodu idących. Słyszano głuche odgłosy walki żywiołów toczącej się w wód głębinach, znajdowano popioły wulkaniczne wyrzucane z łona morskiego. Dziś jeszcze grunt szarpany jest tam aż do równika siłami plutonicznymi! Któż zaręczy, że wierzchołki gór podwodnych wyrosłe z materii z łona ich wybuchającej, układającej się kolejno w coraz wyższe warstwy, nie wychylą w odległej przyszłości czoła swego z wód oceanu?

<sup>179</sup> *Partenon* — świątynia poświęcona Minerve dziewicy; najwspanialszy budynek w Atenach, stał w twierdzy ateńskiej, zwanej Akropolem. [przypis tłumacza]

<sup>180</sup> *zewnątrz Europy* — dziś: na zewnątrz (...). [przypis edytorski]

Gdym tak marzył i usiłował w pamięć sobie wrazić szczegóły tego podmorskiego krajobrazu, kapitan Nemo, oparty o omszały słup pomnikowy, stał nieruchomy — jakby skamieniał w niemym zachwycie. Czy i on myślał o zaginionych pokoleniach i pytał się ich o tajemnice istnienia ludzkiego? Może w tym to właśnie miejscu kąpał myśl swoją we wspomnieniach historycznych i tonął w życiu starożytnym, nie chcąc mieć nic wspólnego z nowożytnym. Cóż bym dał, by znać jego myśli, pojmować je i dzielić!

Całą godzinę pozostaliśmy na tym miejscu, rozpatrując się w szerokiej równinie przy świetle law, bardzo silnym niekiedy. Wrzenie wewnątrz góry wstrząsało jej zwierzchnią skorupę. Odgłosy z głębi, niesione wyraźnie przez ten żywioł płynny, z majestatyczną rozbrzmiewały pełnością. Księżyc ukazał się za chwilę, a promienie jego przenikające masę wód rzucały blade światło na ląd zatopiony. Nieopisany widok! Kapitan powstał, spojrzął raz jeszcze na niezmierną równinę i dał znak ręką, bym szedł za nim.

Szybko zesliśmy z góry. Przeszedłszy kamienny las, zobaczyliśmy znów światło „Nautilusa” błyszczące w oddaleniu jak gwiazda. Na nie prosto kapitan skierował swe kroki i przybyliśmy na pokład w chwili, gdy pierwsze barwy jutrzeńki zabieliły powierzchnię oceanu.

## PODMORSKIE KOPALNIE WĘGLA

Bardzo późno obudziłem się nazajutrz, dnia 20 lutego; strudzony wycieczką nocną spałem do jedenastej. Ubrałem się prędko, bo mi pilno było wiedzieć, w jakim kierunku posuwa się „Nautilus”. Z narzędzi astronomicznych dostrzegłem, że płynie wciąż ku południowi z szybkością dwudziestu mil na godzinę i w głębokości stu metrów.

Przyszedł Conseil. Opowiedziałem mu o naszej wycieczce nocnej, a że ściany były osłonięte, mogłem mu jeszcze pokazać część zatopionego lądu. „Nautilus” płynął nie dalej niż o dziesięć metrów od powierzchni równiny Atlantydy; byliśmy jakby w balonie pływającym w powietrzu ponad łąkami na ziemi albo jak w wagonie pośpiesznego pociągu. Przed naszymi oczyma rozciągały się skały fantastycznie powyszczerbiane, lasy ze stanu roślinnego w stan mineralny przeszłe i rysujące się w wodzie jak nieruchoma sylwetka wycięta z papieru. Masy kamieniste osłonięte były tu i ówdzie roślinnym kobiercem; potężne wylewy law, w różne formy urobione, świadczyły o gwałtownej wściekłości sił plutonicznych.

Oświetlone blaskiem światła elektrycznego przesuwają się przed naszymi oczyma dziwaczne miejscowości — a ja opowiadałem Conseilowi dzieje Atlantów, o których Bailly, snując tylko ze swej wyobraźni, tyle wdzięcznych kart napisał. Opowiadałem mu o wojnach tego bohaterskiego ludu — a mówiłem jak człowiek, który nie wątpi już o niczym. Ale Conseil słuchał mnie z jakimś roztargnieniem; zrozumiałem wkrótce powód tej jego obojętności na rzeczy historyczne.

Ujrzałem mnóstwo przepływających ryb, a w takim wypadku Conseil zapadał zawsze w przepaści klasyfikacji, schodził niejako ze świata rzeczywistego. Nie było co robić, tylko wziąć się z nim do studiów ichtiologicznych. Ryby te w Atlantyku nie bardzo się różniły od tych, któreśmy w niektórych innych morzach spotykali. Były między nimi olbrzymie raje długości pięciu metrów i obdarzone ogromną siłą masywną, pozwalającą im wyskakiwać nad wodę; były żarłaczki różnego gatunku, na przykład modre, długości piętnastu stóp, mające zęby trójkątne, ostre, a takie przezroczyste, że ich nie było widać wśród wody; były centryny<sup>181</sup> mające kształt pryzmatu, a skórę nasadzoną naroślami, jesiotry podobne do tych, które są w Morzu Śródziemnym, tak zwane węże morskie długości półtorej stopy, żółtawo-brunatne, mające małe płetwy, pozbawione zębów i języka, a smukłe i cienkie jak prawdziwe węże.

Z kościstych wymieniał Conseil: makairy czarniawe<sup>182</sup> mające trzy stopy długości, szczękę wyższą uzbrojoną ostrą szpadą, tak zwane za czasów Arystotelesa smoki morskie, których iglice grzbietowe bardzo je czynią niebezpiecznymi przy chwytaniu; wymieniał makrele z grzbietem brunatnym w pręgi niebieskie, oprawne niejako w złote brzeżki,

<sup>181</sup>centrina — inaczej brązosz (*Oxynotus centrina*); ryba rekinokształtna, której ciało w przekroju poprzecznym jest trójkątne, stąd porównanie do pryzmatu. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>makaira czarniawa — obecnie nazywana marlinem czarnym (*Makaira indica*); jedna z najszybciej pływających ryb (130 km/h), należąca do rodzaju żeglicowatych. [przypis edytorski]

śliczne dorady, tak zwane księżycy, wyglądające jak tarcze mieniące się lazurem, które w świetle słonecznym zdają się być plamami srebrnymi, na koniec szpady, długości ośmiu metrów, wędrujące gromadnie, mające płetwy żółtawe niby kosy i miecze sześciostopowe. Zwierzęta to nieustraszone, żyjące raczej wodorostami niż rybami; samce ich posłuszne są swym samicom jak najlepiej wytresowani mężowie.

Patrząc na te różne okazy fauny morskiej, nie spuszczałem z oczu długich równin dna Atlantyku. Niekiedy kapryśny układ gruntu zmusza „Nautilusa” do zwalniania biegu, do wciskania się jak ryba pomiędzy pagórki blisko siebie położone. Jeśli nie mógł się przebić przez ten labirynt, to wznosił się jak balon, mijał przeszkody, a potem znów się opuszczał, by płynąć o kilka metrów od dna. Rozkoszna to była podróż, zupełnie jak przejażdżka powietrzna, z tą tylko różnicą, że „Nautilus” posłuszny był woli człowieka.

Okolo czwartej po południu zmienił się grunt, dotąd będący gęstym mułem pomieszczonym tu i ówdzie ze skamieniałymi gałązkami, teraz skalisty, złożony z różnych części to bazaltów, to law, to odłamów obsydianu siarczanego. Zdawało się, że się teraz zaczął góry — i w istocie po kilku obrotach „Nautilusa” spostrzegłem, że ze strony południowej jest niby mur jakiś zagradzający nam zupełnie drogę. Szczyt jego sięgał niezawodnie nad powierzchnię oceanu; musiał to być jakiś ląd, a co najmniej wyspy Kanaryjskie, albo która z wysp Zielonego Przylądka. Nie oznaczono położenia statku, może i umyślnie — toteż nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. W każdym razie ściana ta zdawała się wskazywać, że tu się kończy Atlantyda, której mniejszą część przebyliśmy dotąd.

Noc nie przerwała mych badań. Byłem sam, bo Conseil poszedł do swej kajuty. „Nautilus”, zwolniwszy biegu, bujał ponad niewydatnymi masami gruntu, raz tuż nad nimi, jakby chciał osiąść na nich, to znów wznosząc się kapryśnie na powierzchnię wody. Wówczas dostrzegłem przez kryształ wodny kilka świetnych konstelacji i te właśnie pięć czy sześć gwiazd, które stanowią ogon Oriona.

Byłbym pewnie długo jeszcze przyglądał się pięknościom morza i niebios — ale ściany zasunęły się, bo w tej chwili statek dopłynął do lądu wznoszącego się prostopadle wysoko w górę. Ciekawa rzecz, jakie będą dalsze jego poruszenia! Poszedłem do siebie, a „Nautilus” się nie ruszał. Położyłem się z postanowieniem wstania za kilka godzin.

Tymczasem dopiero o ósmej rano przybyłem do salonu. Z manometru widziałem, że „Nautilus” był na powierzchni, a zewnątrz słychać było<sup>183</sup> chodzenie. Nie było jednak słyhać ani czuć kołysania się fal wodnych.

Podszedłem do okna. Było odsłonięte, ale zamiast jasnego dnia, jak się spodziewałem, ciemność otaczała statek. Co to znaczy? Czyżby to jeszcze była noc? Bynajmniej! Ani jednej gwiazdy nie mogłem dostrzec — a wreszcie noc nie bywa tak niezmiernie ciemna. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, gdy jakiś głos się odezwał:

— To pan, panie profesorze?

— A! To kapitan Nemo — odpowiedziałem. — Gdzie my jesteśmy?

— Pod ziemią, panie profesorze.

— Pod ziemią? A „Nautilus” jest na wodzie?

— Naturalnie, że na wodzie.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Poczekaj pan trochę; zaraz zapalę latarnię, a jeśli pan lubisz widzieć rzeczy jasno, to będziesz zadowolony.

Wyszedłem na platformę i czekałem. Tak było ciemno, że nie widział nawet kapitana. Jednak patrząc na zenit, tuż nad moją głową dostrzegłem coś jakby niepewną światłość szarą, rysującą się w jakimś otworze okrągłym. Gdy zapalono latarnię, ów cień jaśniejszy przestał być widzialny.

Olśniony zrazu nagłym błysnięciem światła elektrycznego, wkrótce zacząłem się rozglądać. „Nautilus” stał nieruchomy przy brzegu tworzącym jakby zatokę. Morze dźwigające go w tej chwili było właściwie jeziorem kolistym, mierzącym około dwu mil średnicy, a zatem sześć mil obwodu. Powierzchnia jego, co wskazywał manometr, musiała się znajdować na tej samej wysokości, co powierzchnia morza. Istniało tedy między nimi połączenie. Wysokie ściany, nachylając się od podstawy ku środkowi, tworzyły sklepienie

<sup>183</sup>zewnątrz słyhać było — dziś: na zewnątrz (...). [przypis edytorski]

olbrzymiej jakby pieczary, wysokości 500 do 600 metrów, uwieńczone otworem okrągłym, przez który spostrzegłem jasność widocznie światła dziennego.

Przed rozejrzeniem się w szczegółach wnętrza ogromnej jaskini, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, czy ona jest dziełem natury, czy też człowieka, zwróciłem się do kapitana.

— Gdzie jesteśmy? — spytałem.

— W samym środku wygasłego wulkanu — odpowiedział. — Do wnętrza tego wulkanu dostała się woda podczas któregoś z potężnych wstrząśnień ziemi. Kiedy pan spałeś, „Nautilus” wpłynął tutaj przez kanał naturalny, znajdujący się na głębokości dziesięciu stóp pod powierzchnią morza. Wygodną tu mamy przystań, zaciszną, tajemniczą. Czy pan znajdziesz na którymkolwiek wybrzeżu port równie zabezpieczony od huraganów?

— Rzeczywiście, kapitanie, niepodobna znaleźć miejsca równie bezpiecznego. Kto by mógł dosięgnąć pana we wnętrzu wulkanu! Zdaje mi się jednak, że jest otwór u wierzchołka.

— Istotnie, jest to krater, niegdyś pełen lawy, gazów i płomieni — a teraz otwór, odświeżający powietrze, którym tu oddychamy.

— A cóż to był za wulkan dawniej? — zapytałem.

— Jest to jedna z wysepek, licznych na tym oceanie. Zewnątrz wygląda, jak skała zwyczajna, a dla nas jest ogromną jaskinią; odkryłem ją przypadkiem i bardzo jestem wdzięczny temu przypadkowi.

— Ale przecież można by się tu dostać przez otwór, będący dawniej kraterem.

— Byłoby to tak trudno jak i wydostać się stąd na powierzchnię. Można by się wspiąć po ścianie na jakie sto stóp od powierzchni wody, ale dalej ściana tak się pochyła, że niepodobna utrzymać się na niej.

— Widzę, kapitanie, że przyroda pomaga panu wszędzie i zawsze. Na tym jeziorze jesteś pan zupełnie bezpieczny, bo nikt tu dostać się nie może, prócz pana. Ale na co się panu zdało to schronienie? „Nautilus” nie potrzebuje portu.

— Portu nie potrzebuje, panie profesorze — rzekł kapitan — ale potrzebuje elektryczności, która mu nadaje ruch; potrzebuje sodu i węgla kamiennych. A tutaj właśnie są pod wodą całe lasy, zamulone niegdyś w czasach geologicznych; skamieniałe, stanowią węgiel, którego mam tu nieprzebraną kopalnię.

— Tu więc pańska załoga zamienia się w górników.

— Nie inaczej. Te kopalnie ciągną się pod wodą zupełnie tak, jak w Newcastle. Przyodziani w skafandry, z motyką i szpadlem w ręku ludzie do załogi statku należący wydobywają tu węgiel, którego przeto nie potrzebuję szukać w kopalniach na lądzie. Gdy go palę, żeby z niego otrzymać sól, wówczas dym wydobywający się na zewnątrz przez krater daje skale pozór dymiącego wulkanu.

— A czy i teraz zabierzemy się do pracy?

— Nie, panie profesorze; pilno mi odbyć podróż podmorską naokoło ziemi. Toteż tylko wezmę zapas sodu, który mam już gotowy. Zabawimy tu tyle tylko, ile potrzeba na naładowanie go, co potrwa dzień jeden, a potem popłyniemy dalej. Korzystaj więc pan z tego czasu, jeśli chcesz obejrzyć jaskinię.

Podziękowawszy kapitanowi, poszedłem wezwać moich towarzyszy, którzy jeszcze nie opuścili swej kajuty. Nie mówiłem im nic, gdzie jesteśmy. Gdy wyszli na powierzchnię statku, zdawało się Conseil'owi, który się niczemu nie dziwił, bardzo naturalnym, że obudzili się w jaskini, usnąwszy pod wodą. Ale Ned Land zaraz zaczął przepatrywać jaskinię i szukać miejsca, przez które z niej można by się wydobyć.

Około dziewiątej, po śniadaniu, wstąpiliśmy na wybrzeże.

— Otóż znów jesteśmy na lądzie — rzekł Conseil.

— Ja tego nie nazwę lądem — rzekł Kanadyjczyk — wreszcie nie jesteśmy *na*, tylko *pod*.

Między ścianami góry a jeziorem znajdowało się piaszczyste wybrzeże mogące mieć 500 stóp w najszerszym miejscu. Tym wybrzeżem można było wygodnie obejść jezioro. Podstawa ścian była bardzo nierówna wskutek nagromadzenia się przy niej w malowniczym nieładzie głazów wulkanicznych i ogromnych brył kamienia pumeksowego. Porozrzucone te masy pokryte były polewą powstałą wskutek nadtopienia się ich powierzchni w żarze wewnętrznym wulkanu i błyszczały od elektrycznego światła latarni na statku. Gdyśmy po nich stąpali, powstawał z nich pył błyszczący jakby iskry.

Im dalej od brzegu, tym bardziej wznosił się grunt, tworząc zwały wzdłuż ułożone jakby skiby, po których można było wstępować coraz wyżej, byle ostrożnie, bo kawały trachytów<sup>184</sup> złożonych z kryształów feldspatu<sup>185</sup> i kwarcu<sup>186</sup>, lecz nieleżące jedne na drugich, usuwały się pod nogami. Wszędzie widniały dowody, że tę ogromną pieczęć wyzłobiła działalność wulkaniczna. Zwróciłem na to uwagę mych towarzyszków.

— Czy wyobrażacie sobie, co się działo w tym olbrzymim kotłisku, gdy pełno było lawy roztopionej i gdy płyn ten, do białości rozpalony, występował aż po brzegi otworu jak metal stopiony po brzegi formy?

— Ja to sobie doskonale wyobrażam — rzekł Conseil — ale czy powie mi pan, dlaczego ta fabryka ustała, a zamiast pieca topiącego ziemię i metale jest teraz pusta czeluść wodą od spodu zalana?

— Dlatego zapewne, że jakieś wstrząśnienie ziemi zrobiło w boku góry ten otwór, którym „Nautilus” tutaj się dostał. Tym otworem wody Atlantyku dostały się do wnętrza góry. Walka dwu żywiołów, wody i ognia, musiała być straszna i skończyła się triumfem Neptuna. Od tego czasu wiele zapewne wieków upłynęło; wulkan zaś zatopiony jest teraz spokojną grota.

— Wszystko to bardzo dobrze — wtrącił Ned — szkoda jednak, że ten otwór, o którym pan mówisz, nie powstał nad powierzchnią morza.

— Ależ, mój przyjacielu, „Nautilus” nie mógłby się tu dostać w takim razie. Woda też nie byłaby napłynęła do wulkanu, który zatem do dnia dzisiejszego może byłby jeszcze wulkanem.

Wstępowaliśmy coraz wyżej. Skiby były coraz przykrzejsze i węższe, a rozdzielały je głębokie jamy, przez które trzeba było przeskakiwać. Niejedno miejsce trzeba było okrążyć. W innych znów sunąć się na kolanach albo i na brzuchu czolgać. Ale przy zręczności ruchów Conseil’a i sile Kanadyjczyka pokonało się wszelkie te przeszkody.

Gdyśmy podeszli na jakie trzydzieści metrów w górę, natura gruntu zmieniła się, ale przebywanie jego nie stało się łatwiejsze. Po zwałach i trachytach nastąpiły czarne bazalty<sup>187</sup>. Miały one kształt albo ogromnych płyt o powierzchni gruzelkowej i pęczekowatej, albo regularnych złamów ustawionych jak sklepienia — rodzaj architektury naturalnej. Pomędzy tymi bazaltami wiły się skrzepte dziś potoki lawy, ponapuszczane rysami smoły ziemnej, a tu i ówdzie rozścielały się niby obrusy warstwy siarki. Światło dzienne dochodzące przez otwór krateru coraz jaśniej oświetlało te wulkaniczne wytwory nagromadzone na wieczne czasy wewnątrz tego wulkanu wygasłego.

Musieliśmy jednak zaniechać pięcia się pod górę, dosięgłszy jakich 250 stóp wysokości, gdyż natknęliśmy się na przeszkody nieprzewyciężone. Sklepienie zaczynało się zaokrąglać: dotąd wstępowało się prawie prosto, teraz trzeba było posuwać się po zaokrąglającej się powierzchni. Roślinność zaczęła tu mieszać się z minerałami. Krzaki, a nawet czasem drzewa występowały z załomów ściany. Poznałem wilczomlec (euphorbia), z którego sok wyciekał; heliotropy, tak nazwane od słońca (helios), nie usprawiedliwiały tu swego miana, bo promienie słoneczne nie dochodziły do nich nigdy — toteż gronka ich kwiatowe, pochylone, wyglądały jak zwiedle, a woniały jak zwietrzałe. Tu i ówdzie jastruny (chryzantemy) lęklawie wyglądały spod stóp aloesów, których długie liście smutny i chorowity miały pozór. Spostrzegłem też między fałdami lawy maleńkie fiołki mające jeszcze nieco woni, którą rozkosznie wdychałem. Woń to dusza kwiatu! A kwiaty morskie, jakkolwiek wspaniałe, nie mają woni!

Spotkaliśmy silne smokowce (dracena), rozpierające skałę żylastymi swymi korzeniami, gdy Ned Land zawołał:

— Panie, panie! Ul!

— Co, ul? — zawołałem z niedowierzaniem.

— Tak jest, ul. Pszczoły brzęczą naokoło.

<sup>184</sup>trachyt — inaczej trachit; obojętna, magmowa skała wylewna (wulkaniczna). [przypis edytorski]

<sup>185</sup>feldspat — polska nazwa to skałki; najpospolitsza grupa minerałów skorupy ziemskiej. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>kwarc — daw. również: kwarciec; minerał zbudowany głównie z dwutlenku krzemu. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>bazalt — zasadowa skała lita wylewna (wulkaniczna) o kolorze czarnym, szarym lub zielonym. [przypis edytorski]

Zbliżyłem się i przekonałem się, że tak jest istotnie. Przy otworze w pniu smokowca widniało kilka tysięcy tych przemyślnych owadów, znajdujących się wszędzie na Wyspach Kanaryjskich.

Ani wątpić należało, że Kanadyjczyk zapragnie zrobić sobie zapas miodu, a nie przystało mi opierać się temu. Zebrał więc nieco suchych liści, posypał je siarką, zapalił i jął podkurzać pszczoły. Brzęczenie ich ustało wkrótce, a Ned wydobył kilka funtów miodu i schował do sakwy.

— Zaprawię tym miodem ciasto z drzewa chlebowego, a zobaczycie, co to będzie za przysmak.

— Będzie to po prostu piernik — rzekł Conseil.

— Piernik nie piernik, a my idźmy dalej! — zawołałem.

Z niektórych załamów ścieżki, którą postępowaliśmy, można było widzieć całe jezioro: latarnia „Nautilusa” oświetlała całą tę przestrzeń wodną, na której ni fali, ni zmarszczki nawet nie było. Statek nasz stał najdoskonalej nieruchomo. Na jego powierzchni i na porbrzeżu poruszali się ludzie osady jak czarne cienie na tle świetlnej atmosfery.

W tej chwili kroczyliśmy po wyniosłej skarpie skalistej, podpierającej sklepienie jaskini. Drapieżne ptaki krążyły tu i ówdzie w zmroku przestrzeni albo uciekały z gniazd zawieszonych na skalistych urwiskach. Były to jastrzębie białe pod brzuchem i krzykliwe pustułki; piękne i tłuste dropie umykały po pochyłościach tak szybko, jak im tylko dozwalała tego zręczność ich szcudeł. Można sobie wyobrazić, jak Ned Land przyglądał się pożądliwie tej pysznej zwierzynie! A co się nażałował, że nie miał z sobą strzelby! Nie mogąc ołowiem poczęstować którego dropia, próbował dosięgnąć ich kamieniem i udało mu się nareszcie zranić jednego. Nie będzie to przesadą, gdy powiem, że aby go schwycić, narażał swoje życie ze dwadzieścia razy — ale schwycił nareszcie ptaka i wpakował też do sakwy.

Z powodu niemożności posuwania się dalej tą skarżą, potrzeba było zejść na brzeg. Nad naszymi głowami rozwarta paszcza krateru wyglądała jak wejście do olbrzymiej studni. Widzieć można było przez ten otwór niebo nad górą i sunące po nim chmury szarpane zachodnim wiatrem; widać było, jak wlokły za sobą po wierzchołku góry mgliste swe łachmany. Było to znakiem, że bardzo blisko płynęły, bo szczyt góry wznosił się nad poziom morza nie więcej nad osiemset stóp.

W pół godziny po ostatnim znakomitym czynie Kanadyjczyka dostaliśmy się na drugi brzeg jeziora. Jedynym okazem roślinności były tu szerokie łany małej rośliny baldaszkowej, wybornej do smażenia, nazywanej koprem morskim. Conseil nabierał tego kilka pęczków. Ze zwierząt widniały tysiące skorupiaków wszelkiego rodzaju: homary, kraby, kosarze, galateje i ogromna liczba muszli: porcelanek, rozkółców i czaszolek.

W miejscu tym znaleźliśmy wspaniałą groty, na której mialkim piasku ja i moi towarzysze rozciągnęliśmy się rozkosznie. Ściany tej groty, oczyszczone ogniem, wyglądały jak emalią pokryte, a iskrzyły się od drobnutkiego pyłku miki, którym hojnie były usypane. Ned Land macał po murach i chciał dociec, jakiej też są grubości. Uśmiechnąłem się mimo woli. Rozmowa zwróciła się na stary temat, na ucieczkę. Nic nie ryzykowałem, zapewniając mych towarzyszy, że przecież kiedyś wydostaniemy się z naszej dzisiejszej niewoli; bo przecież kapitan Nemo po to tylko przybył na południe, aby się zaopatrzyć w sól. Spodziewałem się więc, że teraz zawróci między Europę i Amerykę, co może podać sposobność do próbowania ucieczki, która się raz nie udała.

Spoczywaliśmy już od godziny w tej prześlicznej grocie. Rozmowa, bardzo żwawa zrazu, zaczęła słabnąć; jakaś senność nas ogarnęła. Czemuż nie mieliśmy sobie pozwolić na trochę drzemki? Zasnąłem też głęboko i zaczęło mi się snić, że z mego życia przeszedłem w życie mięczaka i że ta grotka tworzy drugą na mnie skorupę.

Nagle przebudziłem się na okrzyk Conseil'a:

— Uciekajmy! uciekajmy!

— Co się stało? — zawołałem, podniósłszy się do połowy.

— Woda nas zabiera!

Zerwałem się. Morze strumieniem wlewało się do naszego zacisza i rzeczywiście należało umykać, skoro nie byliśmy mięczakami. W parę minut byliśmy już na wierzchu grotki zupełnie bezpieczni.

— Co to jest? Czy znów jakie zjawisko? — pytał Conseil.

— Nic nowego, moi przyjaciele, — odparłem — to przypływ morza o mało nas nie pochwylił. Ocean wzbiera zewnątrz<sup>188</sup>, a z powodu prawa równowagi, powierzchnia jeziora wznosi się tak, jak i powierzchnia morza. Dobrze, że się skończyło na półkąpieli. Idźmy do „Nautilusa”, żeby się przebrać.

W trzy kwadranse dokończyliśmy naszego spaceru wokoło jeziora i weszliśmy na pokład. Załoga właśnie kończyła ładowanie zapasów sodu, a „Nautilus” mógłby zaraz ruszyć w drogę. Jednak kapitan Nemo nie wydał odpowiedniego rozkazu. Czy czekał nocy, żeby przebyć tajemne przejście? Być może.

Bądź co bądź, nazajutrz „Nautilus” płynął z daleka od wszelkiego lądu, kilka metrów pod powierzchnią Atlantyku.

## MORZE SARGASOWE

„Nautilus” nie zmienił kierunku. Na razie więc upadła cała nadzieja powrotu na morza europejskie. Płynęliśmy na południe, nie wiedząc, dokąd nas kapitan prowadzi.

Dnia tego przebyliśmy osobliwą część Oceanu Atlantyckiego. Wiadomo, że istnieje wielki prąd wody ciepłej, znany pod nazwą Golf-Stream. Wybiegłszy spod Florydy, zwraca się ku Szpicbergowi, ale nim dojdzie do Zatoki Meksykańskiej, dzieli się pod 44° szerokości północnej na dwa ramiona. Jedno, główne z nich, rzuca się ku wybrzeżom Irlandii i Norwegii, a drugie zwraca się ku południowi na wysokości Wysp Azorskich — i potraćwszy brzegi Afryki, opisując podłużny ował, wraca ku Antylom. To drugie ramię zdaje się być raczej naramiennikiem otaczającym swymi ogniwami wody ciepłej część morza zimną, spokojną, nieruchomą, która się nazywa Morzem Sargasowym. Jest to prawdziwe jezioro na otwartym Atlantyku; wody wielkiego prądu potrzebują trzech lat, by je obieć wokoło.

Właściwie mówiąc, Morze Sargasowe pokrywa całą zatopioną Atlantyde. Niektórzy autorowie utrzymują nawet, że liczne rośliny pokrywające to morze pochodzą z ziół zatopionego lądu. Prawdopodobniejsze jednak jest to, że te rośliny, porwane na brzegach Europy i Ameryki, niesione są aż w te strefy prądem Golf-Streamu. To właśnie była jedna ze wskazówek, na których Kolumb opierał swój domysł o istnieniu nieznanego świata. Gdy okręty śmiałego tego żeglarza przybyły na Morze Sargasowe, zaledwie mogły się posuwać wśród roślin tamujących ich bieg — co nie po mału<sup>189</sup> przerażało majtków. Dopiero w trzy tygodnie przebyły tę okolicę oceanu.

Tę to okolicę zwiedzał „Nautilus” w tej chwili. Prerię prawdziwą, kobierzec zwarty wodorostów pływających, jagód podzwrotnikowych, tak gęsto i tak zbito, że tułów okrętu nie bez wysilenia ją pruje. Kapitan Nemo nie chciał, żeby śrubę jego statku oplątały te zielska, płynął zatem o kilka metrów pod powierzchnią.

Nazwa morza tego pochodzi od wyrazu portugalskiego *Sargazzo*, znaczącego porost; porost zaś ten pływający stanowi ogromną ławicę. Maury, autor dzieła *Géographie physique du globe*, tak tłumaczy nagromadzenie tych porostów w zacisznej okolicy oceanu Atlantyckiego:

„Objaśnienie jedyne, jakie dać można co do pochodzenia tych porostów, wynika z doświadczenia znanego powszechnie. Narzuciwszy w naczynie zawierające płyn kawałek małych korka lub innego pływającego ciała i mieszając płyn po brzegach naczynia, spostrzeżemy, że rozproszone po powierzchni płynu kawałki zbiegną się do jego środka, to jest do punktu najmniej wzruszanego. Otóż naczynie z płynem to Atlantyck; Golf-Stream jest prądem biegnącym dokoła punktu środkowego, a tym punktem środkowym, do którego się zbiegają ciała pływające, jest owo jezioro na oceanie, czyli Morze Sargasowe”.

Podzielałam zdanie Maury’ego. Przypatrywałam się temu zjawisku z samego środka tej okolicy, do której okręty rzadko się zapuszczają. Nad nami pływały ciała różnego pochodzenia, nagromadzone między to zielsko brunatne; były tam pnie, wyrwane z Andów lub Gór Skalistych, a spławione do oceanu rzekami: Amazonką lub Missisipi; były kadłuby i spody okrętów i maszty z linami; wszystko tak okryte i obciążone muszlami i kaczenicami (rodzaj wąsonogich), że nie mogły się wydobyć na powierzchnię morza. Z czasem

<sup>188</sup>wzbiera zewnątrz — dziś: na zewnątrz (...). [przypis edytorski]

<sup>189</sup>nie po mału (daw.) — niemalo; por. konstrukcję: po trochu. [przypis edytorski]



świat się przekona o prawdziwości innego twierdzenia tegoż uczonego (Maury'ego), że przedmioty owe, gromadzące się tam przez długie wieki, skamieniają pod działaniem wody i utworzą z czasem pokłady węgla kamiennego. Oto zapasy, jakie przewidująca przyroda przygotowuje dla ludzi na wypadek, gdyby wyczerpali kopalnie węgla na stałym lądzie.

Między tą nierozplątaną tkaniną traw i wodorostów spostrzegłem korek morski, gwiaździsty i różowy, aktynię, czyli pokrzywę morską, za którą daleko jeszcze wlokły się jej macki, zdające się być jej czupryną; widziałem meduzy zielone, czerwone, niebieskie, a szczególnie *rhizostomy*, opisane przez Cuviera, których baldaszek niebieskawy otoczony jest fioletowym wieńcem.

Cały ten dzień 22 lutego spędziliśmy w Morzu Sargasowym; ryby lubiące rośliny morskie i skorupiaki obfite tam mają pożywienie. Nazajutrz już ocean wyglądał jak zwykłe.

Przez dziewiętnaście dni, od 23 lutego do 12 marca, „Nautilus”, trzymając się środkowej linii Atlantyku, unosił nas ze stałą szybkością stu mil na dobę. Widocznie kapitan Nemo chciał spełnić swój program podróży podmorskiej i ani wątpilem, że okrążywszy Przylądek Horn, zawita znów na wody południowe Oceanu Spokojnego.

Niedaremne więc były obawy Ned Landa. Ani myśleć można było o opuszczeniu pokładu na tych morzach rozległych, niemających wysp. Nie było też sposobu oprzeć się woli kapitana; należało się tedy poddać konieczności. Zdawało mi się jednak, że czego nie można osiągnąć podstępem lub siłą, da się zrobić perswazją. Gdy się ta podróż skończy, to zapewne kapitan Nemo zgodzi się na to, żeby nas uwolnić, jeśli mu przysięgniemy, że ani słówkiem nie zdradzimy tajemnicy jego istnienia — a przecież dotrzymalibyśmy słowa honoru. Tylko trzeba było pomówić z kapitanem o tej delikatnej sprawie. Pytanie jednak, jak by mnie przyjął, gdybym do niego przyszedł z tą propozycją. Wszak zaraz z początku oświadczył stanowczo, że tajemnica życia jego wymaga, byśmy nigdy pokładu nie opuścili — moje zaś milczenie czteromiesięczne przekonało go zapewne, żeśmy takie położenie przyjęli. Jeśli ten przedmiot wznowimy, to w umyśle kapitana wzbudzą się podejrzenia szkodliwe dla wykonania naszych zamiarów przy sposobności. Rozważałem nieraz wszystkie te względy, a nawet poddawałem je pod sąd Conseil'a, który równie jak i ja na nic zdecydować się nie mógł. Koniec końców, choć niełatwo się zniechęcałem, widziałem jednak, że nadzieja zobaczenia jeszcze kiedyś swoich stron więcej słabła we mnie — teraz szczególnie, gdy kapitan Nemo zuchwale się zapuszczał na południe Oceanu Atlantyckiego.

Ani jeden wypadek godny uwagi nie zdarzył się nam w ciągu tych dziewiętnastu dni, o których wyżej wspomniałem. Kapitana nie widywałem prawie, bywał zajęty w bibliotece; znajdowałem tam często pootwierane książki, szczególnie dotyczące się nauk przyrodniczych. Moje dzieło o „głębiach morskich” także miewał pod ręką i widać je przeglądał, bo na marginesach porobił notatki, zaprzeczające nieraz moim teoriom i zwalczające moje systematy. Kapitan Nemo, poprawiając w ten sposób moją pracę, rzadko wdawał się ze mną w rozprawy. Niestety, slyszalem brzmienie jego organów, na których grywał z wielkim uczuciem, ale tylko w nocy, wśród najgłębszych ciemności — gdy „Nautilus” drzemał w pustyniach oceanu.

W czasie tej naszej podróży płynęliśmy całymi dniami po powierzchni; morze było tam jakby opustoszałe. Czasem statek żaglowy w drodze do Indii płynął ku Przylądkowi Dobrej Nadziei. Pewnego dnia gonił nas statek wielorybiczny, sądząc, że pędzi za jakim ogromnym i drogocennym stworzeniem morskim. Kapitan Nemo nie chciał tych ludzi narażać na stratę czasu i skończył daremną ich pogoń, zapuszczając się w głębie morskie. Zdarzenie to zajęło mocno Ned Landa i ani wątpię, że żałował, iż ten wieloryb, w którym siedzieliśmy, nie może być zraniony śmiertelnie oszczepem rybaków.

Ryby, jakie widywaliśmy ja i Conseil w tych okolicach, mało się różniły od obserwowanych w innych szerokościach geograficznych. Najważniejsze ze spotykanych należały do rzędu chrząstkowatych, dzielących się na trzy rodzaje, liczące aż trzydzieści dwa gatunki; żarłaczki mające pięć metrów długości, o głowie płaskiej i szerszej niż ciało, o płetwach ogoniastych i zaokrąglonych, o siedmiu wielkich pręgach czarnych, ciągnących się na grzbiecie wzdłuż i równoległe, albo inne, szaro-popielate, mające siedem otworów

skrzelowych, a opatrzone jedną tylko płetwą grzbietową, umieszczoną prawie w środku ciała.

Pokazywały się też niekiedy tzw. psy morskie, najżarłocześniejsze podobno ryby ze wszystkich żarłocznych. Wolno nie wierzyć w to, co rybacy opowiadają o tych potworach, ale powiedzieć to można. Otóż powiadają, że znaleziono w jednym z takich zwierząt łeb bawołu i calutkie cielę; w drugim całą rybę zwaną tuńczykiem i majtką w zupełnym ubraniu, w innym znów żołnierza z pałaszem, a jeszcze w innym konia z jeźdźcem. Wszystko to, co prawda, nie należy do artykułów wiary; że zaś „Nautilus” nie zdołał schwytać w swe sieci żadnego z tych zwierząt — nie mogłem się zatem przekonać o ich żarłoczności.

Całymi dniami towarzyszyły nam wdzięcznie igrające gromady delfinów. Trzymały się one gromadkami po pięć lub sześć, urządzając wspólnie obławy jak wilki na polu. Bo też one są równie żarłoczne jak psy morskie, jeśli wierzyć pewnemu profesorowi z Kopenhagi, który utrzymywał, że wydobyl z jednego tylko delfina trzynaście sztuk delfinów mniejszego gatunku i piętnaście fok czyli cieląt morskich. Bo też to był największy z tego rodzaju, rzucający się nawet na wieloryby, a sięgający niekiedy długości 24 stóp. Rodzina delfinów liczy dziesięć gatunków; te, które tu spotykaliśmy, odznaczały się pyskiem niezmiernie wąskim, a cztery razy tak długim jak czaszka. Długości trzech metrów, ciała miały czarne z wierzchu, a od spodu białe-różowe z małymi, rzadkimi plamkami.

Wspomnę także o spotykanych na tych wodach ciekawych okazach kolczato-płetwych należących do gatunku pił. Niektórzy autorowie, poeci raczej niż naturaliści, utrzymują, że te ryby wydają głos bardzo melodyjny i że, gdy śpiewają razem, koncert ich czarowniejszy jest niż najpiękniejszy chór głosów ludzkich. Nie powiem, że tak nie jest, ale to powiem, że żałuję bardzo, iż te stworzenia nie zaszczyliły nas taką serenadą podczas naszej żeglugi.

Żeby już skończyć z rybami, wspomnę o w wielkiej ilości spotykanych przez nas rybach latających. Ciekawe to bardzo, jak zręcznie delfiny na nie polują. Niech taka ryba latająca rzuci się w powietrze, jak chce, i opisuje łuk dowolny, choćby przez taki statek jak „Nautilus” — spadając, spotka się zawsze z otwartą paszczą delfina. Wiele z tych ryb latających ma pysk błyszczący; gdy rzucają się nocą w powietrze i zapadają w wodę, zdaje się, jakoby gwiazdy spadające pogrążyły się w morzu.

Śród takich okoliczności płynęliśmy aż do 13 marca. Tego zaś dnia „Nautilus” był użyty do bardzo interesujących mnie prób mierzenia głębokości morskich.

Od czasu opuszczenia przez nas wód Oceanu Spokojnego, przepłynęliśmy tysiąc trzysta mil. Obecnie znajdowaliśmy się pod 45° 37' szerokości południowej i 37° 53' długości zachodniej. Było to właśnie to samo miejsce, w którym kapitan Denham na okręcie „Herald” zapuścił sondę na czternaście tysięcy metrów, a do dna nie sięgnął; tu i porucznik Parker ze statku amerykańskiego „Kongres” nie sięgnął dna nawet na głębokości piętnastu tysięcy metrów.

Kapitan Nemo postanowił opuścić się ze swym „Nautilusem” jak można najgłębiej. Przygotowałem się do spisania wszelkich wypadków naszego doświadczenia. Odślonięto ściany statku i rozpoczęto czynności mające nas doprowadzić do warstw niesłychanie głębokich.

Naturalnie, że teraz nie można było myśleć o zagłębieniu się za pomocą napełnienia rezerwuarów, bo nie zdołałyby podobno dostatecznie zwiększyć ciężkości gatunkowej statku. Zresztą, żeby się potem podnieść, trzeba by opróżnić zbiorniki, a pompy mogłyby być niedostateczne na zwalczenie parcia zewnętrznych wód.

Kapitan więc postanowił opuścić się na dno oceanu po przekątnej odpowiednio długiej i za pomocą swych płaszczyzn pochyłych, ustawionych na 45° w stosunku do poziomu wody. Gdy się odpowiednio urządzono, nadano śrubie szybkość obrotową najwyższą, do jakiej była zdolna, toteż cztery jej śmigły jęły uderzać o wodę z niewypowiedzianą gwałtownością.

Kadłub „Nautilusa” party tą potężną siłą drżał jak struna metalowa wyprężona i zagłębiał się wedle nadanego mu kierunku. Kapitan i ja przyglądaliśmy się w salonie szybko przesuwałej się wskazówce manometru. Minęliśmy niebawem strefę, w której mieszka większa część ryb. Wiele ich żyje tylko blisko powierzchni wód rzecznych lub morskich; mniej znacznie w wielkich głębokościach się trzyma. Do tych ostatnich należy

pewien rodzaj psa morskiego mający sześć szpar do oddychania, albo tak zwany teleskop o ogromnych oczach, albo wreszcie grenadier, ryba wcale niewielka, bo dochodząca tylko 40 centymetrów długości, a mająca formę głowy podobną do bermycy grenadiera, żyjąca w głębokości 1 200 metrów, a więc pod ciśnieniem 120 atmosfer.

Pytałem kapitana, czy zauważył ryby, żyjące w większych jeszcze głębokościach. Odpowiedział mi, że rzadko i zapytał nawzajem, co dzisiejsza nauka wie o tym.

— Wie tyle, kapitanie, że zapuszczając się w głębie oceanu, wcześniej przestajemy spotykać roślinność niż życie zwierzęce. Wiadomo, że tam, gdzie znajdujemy jeszcze istoty ożywione, nie ma już ani jednej wodnej rośliny. Wiadomo, że mięczaki zwane grzebieniami, ostrygi, mogą mieszkać na głębokości dwu tysięcy metrów i że Mac Clin-tock, ten bohater mórz północno-lodowatych, znalazł żywego mięczaka zwanego gwiazdą w głębokości 2 800 metrów. Wiadomo i to, że z okrętu „Bull-Dog” złowiono takie samo stworzenie w głębokości 2 600 metrów. Przecież pan nie powiesz, kapitanie, że nauka nic nie wie w tym przedmiocie?

— Nie będę tak niegrzeczny, panie profesorze. Ale zapytam się pana, czym wytłumaczyć możliwość życia w takiej głębokości?

— Dwa są tego powody — odpowiedziałem. — Pierwszym są prądy poprzeczne wody spowodowane różnym stopniem jej słoności, a więc gęstości; prądy te wystarczają na utrzymanie bardzo niewydatnego życia niektórych stworzeń, takich na przykład jak gwiazdowce.

— Zgoda na to — rzekł kapitan.

— Drugim zaś jest to, że ilość potrzebnego do oddychania istocie żywej tlenu rozpuszczonego w wodzie zwiększa się zamiast zmniejszać w miarę zwiększania się głębokości, a ciśnienie, pod którym znajdują się tam warstwy wody, nie pozwala tlenowi wydobyć się na wierzch.

— A więc i to jest znane? — rzekł kapitan Nemo tonem lekkiego zdziwienia. — To dobrze, bo tak jest w istocie. Jako dowód przytoczę, że w pęcherzu pomagającym rybom do pływania więcej jest azotu niż tlenu, gdy żyją w górnych warstwach wody; więcej tlenu niż azotu, gdy są w niższych warstwach złowione.

Zwróciłem oczy na manometr; wskazywał głębokość sześciu tysięcy metrów. Zagłębialiśmy się od godziny i ciągle jeszcze sunęliśmy coraz głębiej. Wody zdawały się być pustynią jasną, przezroczystą do najwyższego stopnia. W godzinę potem dosięgliśmy głębokości trzynastu tysięcy metrów — około trzech i ćwierci mil — a jeszcze z niczego nie można było domyślać się bliskości dna.

Jednak w głębokości czternastu tysięcy metrów dostrzegłem czarniawe szczyty, sterzące w wodzie. Ale któż wie, czy te wierzchołki nie należały do gór tak wysokich jak Himalaje albo Mont Blanc, może i wyższych jeszcze? W takim razie głębokość tych przepaści nie dałaby się obliczyć.

„Nautilus” zapuścił się głębiej jeszcze mimo ogromnego ciśnienia, na które był wystawiony. Czulem, jak drgają jego blachy na spojeniach; krokwie jego żelazne naginały się, żelazne ściany wewnętrzne trzeszczały, szkła w ścianach salonu zdawały się płaszczyc pod ciśnieniem wód. I ten przemożnie mocny statek nie wytrzymałby pewno, gdyby nie był zdolny stawiać oporu jak jedna bryła — jak to mówił kapitan.

Przesuwając się nad pochyłościami skał zatopionych tymi otchłaniami, dostrzegłem i w tej jeszcze głębokości niektóre muszle, jak rurówki — i niektóre gatunki gwiazd morskich. Wkrótce jednak, w większej niż trzymilowa głębokości, przestały się już pojawiać i te okazy życia zwierzęcego. „Nautilus” minął granice podmorskiego istnienia, jak balon wznoszący się w górę mija strefy, w których oddychać można. Dosięgliśmy głębokości szesnastu tysięcy metrów — czterech mil; statek nasz znosił wówczas ciśnienie tysiąca sześciuset atmosfer, to jest tysiąca sześciuset kilogramów na każdy centymetr powierzchni swojej.

— Co za chwila! — zawolałem. — Przebiegać głębokości, do których nigdy jeszcze człowiek się nie zapuścił? Patrz pan, kapitanie, co za wspaniałe skały i niemieszkalne groty! Ostatnie to zaułki globu ziemskiego, w których życie już nie istnieje. Jaka szkoda, że z tych okolic nieznanych nie zostanie nam nic prócz wspomnienia!

— Może pan chcesz, panie profesorze, mieć coś lepszego niż wspomnienie?

— Co pan chcesz przez to powiedzieć, kapitanie?

— To, że możemy sobie sfotografować widok tych zapadłych podmorskich okolic.

Nie zdołałem jeszcze wypowiedzieć kapitanowi mego zdziwienia na tę jego propozycję, a już na jego rozkaz przyniesiono aparat fotograficzny do salonu. Ściany, przestronnie odsłonięte, dozwalały pochwyć obraz ośrodka płynnego oświetlonego dokładnie światłem elektrycznym. Nie było ani cieniowania, ani stopniowania w naszym sztucznym świetle; słońce nie byłoby dogodniejsze do tej czynności. Zatrzymano statek, skierowano aparat na głębiny oceanu i w kilka sekund otrzymaliśmy negatyw bardzo czysty. Widzę teraz przed sobą te skały pierwotne, których nigdy nie dojrzało światło słoneczne, te grotty ogromne, wyżłobione w masach skalistych, te profile czystości niezrównanej, czarno się przedstawiające na wizerunku, jakby go dokonał jaki malarz flamandzki. A za tym wszystkim odległy widnokrąg gór, tę wspaniałą linię falistych kształtów, stanowiących krańce widnokregu.

Niepodobna opisać tych skał wygładzonych, czarnych, błyszczących, bez śladów mchu, bez plamki; tych kształtów osobliwych, a mocno ułożonych na podścielisku piaszczystym, błyszczącym w świetle elektrycznym padającym z naszej latarni.

Po zdjęciu wizerunku fotograficznego, kapitan Nemo rzekł:

— Czas już opuścić tę głębie, panie profesorze, nie trzeba nadużywać położenia i wystawiać naszego statku dłużej na tak niezmiernie ciśnienie.

— A więc płynmy do góry.

— Trzymajże się pan dobrze!

Jeszczem nie odgadł, dlaczego mi się każe dobrze trzymać, gdy mnie coś rzuciło na podłogę.

Na rozkaz kapitana zwrócono prostopadle płaszczyzny dotychczas pochyłe nastawione, działanie śruby odwrócono i „Nautilus” jakby balon porwany prądem gwałtownym powietrza wznosił się z błyskawiczną szybkością, przecinał wody, drgając i grząc cały. W tym lotnym przebiegu żadnego przedmiotu nie można było dojrzeć. W cztery minuty przebiegliśmy cztery mile przestrzeni oddalającej nas od powierzchni oceanu. Statek rozpędzony wyskoczył nad poziom wód jak ryba latająca — a spadając znów na fale, wyparł je dokoła siebie na niezmierną wysokość.

## POTWALE I WIELORYBY

Nocą z 13 na 14 marca „Nautilus” wrócił do kierunku południowego. Mniemałem, że dosięgłszy Przylądka Horn, zwróci się na zachód i puści na Ocean Spokojny, by tam zakończyć swą drogę naokoło Ziemi. Stało się inaczej; popłynęliśmy dalej na południe. Więc gdzież się udamy? Do bieguna? To szaleństwo! Zacząłem przypuszczać, że zuchwałość kapitana Nemo usprawiedliwia obawy Neda Landa.

Od niejakiego czasu nie opowiadał mi już Kanadyjczyk o swych projektach ucieczki; stał się małomówny, milczący prawie. Widziałem, że niewola ciążyła mu niezmiernie, że się w nim gromadziły burze gniewu. Jego oczy płonęły ciemnym ogniem, gdy spotkał kapitana — i obawiałem się ciągle, aby gwałtowność wrodzona Kanadyjczyka nie doprowadziła go do ostateczności.

Dnia 14 marca przyszedł z Conseil'em do mej kajuty; zapytałem ich, co mi powiedzą.

— Mam panu zadać jedno maleńkie pytanie — rzekł Ned Land.

— I owszem, słucham.

— Jak też pan myśli, ilu ludzi jest na pokładzie „Nautilusa”?

— Nie umiem na to odpowiedzieć, mój przyjacielu.

— Zdaje mi się, że obsługa tego statku niewielu potrzebuje ludzi.

— Zapewne — odpowiedziałem — zdaje mi się, według tego jak jest urządzony, że dwunastu ludzi powinno mu wystarczyć.

— Zapewne — rzekł Kanadyjczyk — dlaczego miałoby tutaj być ich więcej?

— Dlaczego? — odparłem, patrząc bystro w oczy Kanadyjczykowi i zgadując jego zamiary.

— Dlatego, że „Nautilus”, jak mi się zdaje, nie tylko jest statkiem, ale i schroniskiem dla tych, którzy jak kapitan Nemo zerwali ze światem.

— Być może — wtrącił Conseil — ale koniec końców „Nautilus” może pomieścić pewną tylko liczbę ludzi i może by pan potrafił ich obliczyć?

— A to jakim sposobem?

— Przez kombinację. Znając objętość statku, a więc i ilość powietrza, jaką zawiera; wiedząc z drugiej strony, ile go każdy człowiek zużywa przez oddychanie, można coś wnosić o konieczności, jakiej „Nautilus” ulega, wypływania co dwadzieścia cztery godziny na powierzchnię...

Conseil nie skończył, ale m odgadł resztę.

— Rozumiem — rzekłem — ale ten rachunek, łatwy zresztą do zrobienia, da cyfrę bardzo niepewną.

— Mniejsza o to — rzekł Ned Land z naciskiem.

— A więc rachujmy. Człowiek potrzebuje na godzinę tyle tlenu, ile go się zawiera w stu kwartach powietrza; a więc w ciągu dwudziestu czterech godzin zużywa dwa tysiące czterysta kwart powietrza. Poszukajmy teraz, ile razy w objętości „Nautilusa” zmieści się dwa tysiące czterysta kwart powietrza.

— Otóż to właśnie! — wtrącił Conseil.

— Objętość tego statku wynosi tysiąc pięćset ton, a jedna tona znaczy tysiąc kwart; zatem „Nautilus” zawiera milion pięćset tysięcy kwart, co podzieliwszy przez dwa tysiące czterysta... — policzyłem szybko za pomocą ołówka — otrzymamy na iloraz sześćset dwadzieścia pięć. Zatem powietrze zawarte w „Nautilusie” mogłoby wystarczyć dla sześciuset dwudziestu pięciu ludzi przez dwadzieścia cztery godziny.

— Sześćset dwudziestu pięciu! — wykrzyknął Ned.

— Z pewnością jednak załoga, kierownicy statku i my wreszcie nie stanowimy wszyscy razem ani dziesiątej części tej liczby.

— I to za wiele na trzech! — mruczał Conseil.

— Tak więc, mój kochany Nedzie, musisz być cierpliwym.

— Mało jest powiedzieć cierpliwym, trzeba być zrezygnowanym.

Conseil dobrze powiedział.

— Ale przecież — dodał Conseil — niepodobna, aby ten kapitan Nemo płynął ciągle na południe; będzie się musiał zatrzymać, choćby u samych lodów; wówczas wróci na cywilizowane morze. Wtenczas pomyślimy o spełnieniu naszych zamiarów.

Kanadyjczyk potrząsnął głową, potarł dłonią czoło i odszedł, nic nie mówiąc.

— Niech mi wolno będzie zrobić jedną uwagę — rzekł wówczas Conseil — ten biedny Ned ciągle myśli tylko o tym, czego mieć nie może. Dawniejsze jego życie ciągle mu przychodzi do głowy i żałuje wszystkiego, czego musi sobie odmówić. Gnębą go dawne wspomnienia i dlatego jest smutny. Co on tu ma do roboty? Ani on taki uczony jak pan, ani kocha się tak jak my w osobliwościach morza; poświęciłby wszystko, aby się dostać do jakiej knajpy w swym kraju.

Zapewne, że jednostajność życia na „Nautilusie” nieznośna musiała być dla Kanadyjczyka przywykłego do życia swobodnego i czynnego. Rzadkie były zdarzenia, które byłyby w stanie zająć go żywiej, ale właśnie dnia tego zaszło zdarzenie przypominające piękne jego dni oszczepnika.

Około jedenastej przed południem „Nautilus” płynący po powierzchni wpadł między stado wielorybów — co mnie bynajmniej nie zdziwiło, bom wiedział, że te zawzięcie przesładowane zwierzęta schroniły się w okolicy pod wysokimi szerokościami położone.

Wieloryb ważną odgrywa rolę w świecie morskim, a przy tym przyczynił się znacznie do odkryć geograficznych. Upędzający się za wielorybem, zrazu Baskowie, potem Asturyjczycy, dalej Anglicy i Holendrzy, ośmielili się do oceanu; wieloryby to prowadziły ich z jednego końca ziemi na drugi. Wieloryby lubią zamieszkiwać morza północne i południowe; stare legendy utrzymują nawet, że rybacy upędzali się za nimi aż o siedem mil od bieguna północnego. Być może, że tak nie było, ale zapewne będzie; polując na wieloryby, ludzie dotrą do bieguna północnego i południowego, punktów ziemi nieznanych dotąd<sup>190</sup>.

Siedzieliśmy na wierzchu statku podczas morza zupełnie spokojnego. Kanadyjczyk pierwszy dostrzegł, a nie mylił się pod tym względem, wieloryba na widnokręgu w stronie

<sup>190</sup>bieguna północnego i południowego, punktów ziemi nieznanych dotąd — to jest wówczas, gdy Jules Verne pisał tę powieść. [przypis redakcyjny]

wschodniej. Wpatrzywszy się pilnie, można było widzieć jego grzbiet czarniawy, wznoszący się i kryjący na przemian, o jakie pięć mil od „Nautilusa”.

— Ach! — zawołał Ned Land. — Gdybym był teraz na pokładzie jakiego statku wielorybniczego! Dopieroż miałbym rozkosz! Ogromny to jakiś egzemplarz! Patrzcie państwo, jak potężne biją z jego otworów strumienie wody. Niech diabli porwą, że człowiek siedzi tu jak przykuty na tym kawałku blachy!

— Widzę, żeś jeszcze nie zapomniał swoich dawnych nawyknień, przyjacielu!

— Alboż może łowca wielorybów zapomnieć swego zawodu? Czy się kiedykolwiek zdruzgał wruszenia, jakich się przy polowaniu na wieloryby doznaje?

— Pewnieś nigdy nie polował na tych wodach?

— Nigdy, panie profesorze; tylko na morzach północnych, tak w Cieśninie Beringa, jak i w Cieśninie Davisa.

— Zatem nie znasz się jeszcze z wielorybami południowymi. Północne nie odważyłyby się zapuścić na ciepłe wody równika.

— Co też pan mówi, panie profesorze! — rzekł Kanadyjczyk z niedowierzaniem.

— Mówię to, co jest.

— To mi się podoba! Przecież zabiłem ja sam nie dawniej niż półtrzecia roku temu blisko Grenlandii wieloryba mającego jeszcze w sobie oszczep jednego z wielorybników z Cieśniny Beringa. Pytam się pana, czy to być mogło, aby wieloryb uderzony oszczepem na zachodzie Ameryki dostał się na wschodnią jej stronę, jeśli nie przepłynął około Przylądka Horn lub Przylądka Dobrej Nadziei, a więc nie przebył równika?

— Ja myślę to samo, co i nasz przyjaciel Ned! — wtrącił Conseil — i ciekawym, co pan na to powie.

— Pan powie to — odparłem — że wieloryby trzymają się pewnych miejsc, a gatunki ich żyją tylko w pewnych właściwych im morzach, których nigdy nie opuszczają. Jeśli jeden z nich dostał się z Cieśniny Beringa do Cieśniny Davisa, to dlatego, że jest przejście północne między tymi dwoma morzami, czy to od strony Ameryki czy od strony Azji.

— Czy mam temu wierzyć? — zapytał Kanadyjczyk, przymrużając oko.

— Trzeba wierzyć, kiedy pan profesor mówi — odpowiedział Conseil.

— Ale czyż to zaraz znaczy, że jeśli nigdy nie polował w tych tu stronach, to już nie znam się z tutejszymi wielorybami?

— Ja tak utrzymuję, mój przyjacielu.

— To jedna racja więcej, żeby się z nimi zapoznać — zauważył Conseil.

— Patrz, patrz! — krzyknął Kanadyjczyk głosem wruszonym. — Zbliży się do nas! Płynie ku mnie, kpi sobie ze mnie! Wie, że mu nic zrobić nie mogę!

Ned tłukł nogą o pokład; ręka mu drżała, jak gdyby w istocie trzymał w niej oszczep.

— Czy te zwierzęta równie są wielkie — zapytał — jak te, co żyją w morzach północnych?

— Prawie równie wielkie — odpowiedziałem.

— O, bo ja, panie, widziałem ogromne wieloryby! Takie, które mierzyły blisko 100 stóp długości. A słyszałem, że są przy wyspach Aleuckich hullamoki i umgaliki długości 150 stóp.

— Przesadzono najpewniej, kochany Nedzie. Tamte zwierzęta nie są to prawdziwe wieloryby! Mają płetwy na grzbiecie i tak samo jak i potwale, czyli kaszaloty, mniejsze są od wielorybów grenlandzkich.

— Ach! Oto coraz bliżej podpływają — wołał Kanadyjczyk, nie spuszczać oka z morza. — Prosto na nas! Pan mówisz o potwale jakby o jakim drobnym stworzeniu, a jednak słyszałem, że i one bywają ogromne. A jakie mają być mądre! Podobno niektóre z nich okręcają się roślinami wodnymi, żeby ich nie wypatrzone, żeby myślano, że to wysepka. Ludzie wysiadają na nie jak na ląd, usadawiają się tam, rozpalają ogień...

— Budują domy — dorzucił Conseil.

— A ma się rozumieć! — odparł, śmiejąc się, Ned Land. — Aż nagle zwierzę zanurza się i zabiera z sobą mieszkańców na dno morza.

— Jak w podróży Sindbada żeglarza — rzekłem. — Widać, mój Nedzie Landzie, że lubisz historyjki o nadzwyczajnościach. Co to musiały być za olbrzymie potwale! Nie przypuszczam, abyś temu wierzył.

— Panie przyrodniku — odparł Ned Land — kiedy idzie o wieloryby, to wszystkiemu wierzyć można. Patrz pan, jak on sunie... a jak się ukrywa!... Mówią, że te zwierzęta mogą opłynąć świat w piętnaście dni.

— Nie powiem, że to być nie może.

— Ale tego pan pewnie nie wie, panie Aronnax, że zaraz po stworzeniu świata wieloryby mogły pływać jeszcze prędzej.

— Doprawdy? A to dlaczego?

— Bo wówczas ruszały ogonem w poprzek jak ryby, to jest, że ogon ich ustawiony pionowo, mógł uderzać w prawo i w lewo. Gdy jednak Stwórca zobaczył, że za prędko pływają, spłaszczył im ogon i teraz poruszają nim i biją wodę z góry na dół, ze szkodą dla swej szybkości.

— A to doskonale! — rzekłem, a naśladując pytanie Kanadyjczyka, dodałem: — Mamże temu wierzyć?

— Niekoniecznie — odpowiedział Ned — nie więcej niż w to, gdybym powiedział, że bywają wieloryby długości 300 stóp, a ważące 100 000 funtów.

— Byłoby to bardzo wiele — odparłem. — A jednak muszą być niektóre ogromne, skoro, jak utrzymują niektórzy, można mieć z jednego wieloryba sto dwadzieścia beczek tranu.

— Tyle już i ja wiedziałem — rzekł Ned Land.

— Wierzę temu jak i temu, że niekiedy wieloryb równa się stu słoniom. Pomyślcie tylko, co za potęga, taka machina rzucona z całą szybkością.

— A czy to prawda — zapytał Conseil — że wieloryb może zatopić okręt?

— Okręt, nie zdaje mi się, choć opowiadają, że w 1820 roku właśnie na tych samych morzach południowych, na których jesteśmy, wieloryb rzucił się na okręt „Essex” i odepchnął go z taką gwałtownością, że statek ten odskoczył z szybkością czterech metrów na sekundę. Woda dostała się do niego od tyłu i okręt zatonął prawie zaraz.

Ned spojrzął na mnie filuternie:

— Jam także poznał, co to jest uderzenie ogona wielorybiego — rzekł — rozumie się, że w moją łódź tylko. Ja i moi towarzysze wylecieliśmy w górę na sześć metrów. Ale to chyba był maleńki wielorybek przy tym wielorybie, o którym mówi pan profesor.

— Czy te zwierzęta długo żyją? — zapytał Conseil.

— Tysiąc lat — odpowiedział bez namysłu Kanadyjczyk.

— A skądże wiesz o tym?

— Bo tak mówią.

— Ale dlaczego tak mówią?

— Bo wiedzą.

— Nie, mój kochany, nie wiedzą, tylko przypuszczają, opierając się na rozumowaniu. Po raz pierwszy zaczęto polować na wieloryby lat temu czterysta. Zwierzęta te były większe wówczas niż dzisiaj. Dostyc więc naturalnie przypuszczać można, że mniejszy wzrost dzisiejszych pochodzi stąd, iż nie dają im czasu wyrosnąć jak należy. Dlatego Buffon powiedział, że mogą i powinny żyć tysiąc lat. Słyszycie?

Ned Land nie słyszał, bo nie słuchał; pożerał oczami wieloryba zbliżającego się ciągle.

— Ach! — zawołał — to nie jeden wieloryb! Jest ich tam dziesięć czy dwadzieścia, gromada cała! A ja nic nie mogę zrobić, jakbym miał ręce i nogi związane!

— Ależ — zauważył Conseil — trzeba iść do kapitana i poprosić, żeby pozwolił zapolować.

Jeszcze nie skończył, a już Ned zsunął się otworem do wnętrza statku i pobiegł szukać kapitana. Niebawem przybyli obaj na pokład zewnętrzny.

Kapitan przypatrywał się gromadzie wielorybów igrających może o milę od „Nautylusa”.

— To wieloryby południowe — rzekł. — Statki wielorybiczne majątek by tu znalazły.

— A więc, panie kapitanie — odezwał się Ned — czy nie mógłbym zapolować na nie, choćby dlatego tylko, abym nie zapomniał mego dawnego rzemiosła?

— Na co się zdało polować dla samego tylko zabijania? — rzekł kapitan — nie potrzebujemy tranu.

— A jednak pozwoliłeś pan upędzać się na Morzu Czerwonym za dugongiem!

— Bo chciałem dać mej załodze świeżego mięsa, tutaj zaś byłoby to zabijać dla zabijania tylko. Wiem dobrze, że ludzie przywłaszczają sobie ten przywilej, ale ja nie pozwalam na takie zabawki mordercze. Podobni tobie, mości Nedzie, zabijając wieloryby, stworzenia dobre i nieszkodliwe, spełniają czyn naganny; a już wypłeniono bardzo w Zatoce Baffińskiej te użyteczne zwierzęta. Daj pokój tym biedakom. Dostyc mają naturalnych nieprzyjaciół: kaszalotów, szpadników, piły, żebyś jeszcze i ty, mości Nedzie, chciał je mordować.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką miał minę Ned Land, słuchając tej lekcji moralności. Na co się zdały zapalonemu myśliwemu takie wyrazy? Ned patrzył na kapitana i widocznie go nie rozumiał. A jednak kapitan miał słusność — bo zacięte i nierozważne prześladowanie wielorybów sprawi, że nadejdzie czas, w którym nie będzie już ich w oceanie.

Ned Land gwizdał sobie z cicha piosnkę amerykańską „*Yankee Doodle*”, włożył ręce w kieszenie i odwrócił się tyłem do nas.

Kapitan przypatrywał się ciągle gromadzie wielorybów i rzekł do mnie:

— Miałem słusność, mówiąc, że nie licząc człowieka, wieloryby mają dostyc naturalnych nieprzyjaciół; te oto będą miały niezadługo do czynienia z groźnymi przeciwnikami. Widzisz pan, panie Aronnax, tam pod wiatr, o osiem mil może od nas, te czarne, poruszające się punkty?

— Widzę, kapitanie.

— Są to potwale, straszne zwierzęta! Spotykałem niekiedy ich gromady po dwieście lub trzysta sztuk liczące. O! Te należy tępić, bo to są okrutne i złośliwe stworzenia.

Na te słowa Kanadyjczyk obrócił się nagle.

— Więc, panie kapitanie — rzekłem — pozwól mu spróbować dla dobra samych wielorybów.

— Na co się narażać, panie profesorze? „*Nautilus*” sam im poradzi. Ma on ostrogę stalową, która, sądzę, dorówna harpunowi Neda Landa.

Ned Land, nie krępując się, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Kto to słyszał, żeby ostrogą statku uderzać na takie stworzenia, kiedy można oszczepem?”

— Czekajże, panie Aronnax — rzekł kapitan — zobaczysz pan polowanie, jakiego nie widziałeś jeszcze. Będę bez litości dla tych okrutnych istot, bo to tylko paszczęki i zęby!

„Paszczęki i zęby!” — nie można było lepiej określić potwala mięsożernego dochodzącego niekiedy dwudziestu pięciu metrów długości. Ogromna głowa tego potwora morskiego zajmuje około trzeciej części całego ciała. Lepiej jest on uzbrojony niż wieloryb mający tylko szczękę górną zaopatrzoną fiszbinem, kiedy tamten ma dwadzieścia pięć zębów grubych, wysokości dwudziestu centymetrów, okrągłych i zastrzonych, z których każdy waży dwa funty. W górnej części ogromnego tego łba i wielkich zakłęślościach poprzegradzanych ścianami chrząstkowatymi znajduje się trzysta do czterechset kilogramów bardzo cennego, białego tłuszczu zwanego olbrotem. Potwał czyli kaszalot jest zwierzęciem „ssącym raczej niż rybą”, jak się wyraził Frédol. Jest źle zbudowany, jakby „chybiony” w lewej połowie swego kadłuba i podobno widzi tylko prawem okiem (?).

Potworna gromada potwałów zbliżała się ciągle; dojrzała wieloryby i przygotowywała się, żeby rzucić się na nie. Z góry można było być pewnym, że kaszaloty zwyciężą, bo i lepiej są zbudowane do walki ze spokojnym nieprzyjacielem, i dłużej mogą wytrwać pod wodą bez wypływania na powierzchnię dla oddechu.

Czas było podążyć na pomoc wielorybom. „*Nautilus*” zanurzył się, ja, Ned i Conseil zasiedliśmy przy szklanych ścianach salonu. Kapitan Nemo poszedł do klatki sternika, by kierować swym statkiem jako narzędziem zniszczenia. Wkrótce poczuliśmy przyspieszone uderzenia śruby dla zwiększenia szybkości statku.

Walka potwali z wielorybami już się rozpoczęła, gdy „*Nautilus*” nadbiegł i zwrócił się tak, by rozdzielić gromadę napastników. Z początku zdawały się nie zwracać uwagi na nowego potwora wtrącającego się do walki; ale wkrótce musiały się strzec jego ciosów.

Co za spotkanie! Sam Ned Land wkrótce dał się porwać zapałowi i zaczął przyklaskiwać. „*Nautilus*” stał się straszliwym oszczepem miotanym ręką kapitana. Ciskał się na te masy mięsiste i przecinał je na pół, zostawiając za sobą drgające dwie części zwierzęcia. Nie czuł nawet potężnych uderzeń ogonów tłukących jego boki, ani tych, których sam dokonywał. Zabiwszy jednego potwala, rzucał się na drugiego, obracając się na miejscu,



żeby mu nieprzyjacieli nie umknął; posuwał się, cofał, zagłębiał za ściganym przeciwnikiem, wracając do góry, gdy potwał wracał, zadając mu cios w pól lub ukośnie, przecinając lub rozdzierając, przebijając swoją straszliwą ostrogą.

Co za rzeź, co za loskot na powierzchni fal! Słychać było szczególnie jakiś gwizd rozniewanych potworów i właściwe im w przerażeniu chrapanie. Wśród głębin, zwykle tak spokojnych, ogony tych zwierząt wywoływały istne fale.

Walka homeryczna, której kaszaloty nie mogły uniknąć, trwała z godzinę. Łączyły się one niejednokrotnie i uderzały razem na statek, jakby go własnym ciężarem zgnieść chciały. Przez szyby „Nautilusa” widać było ogromne ich paszcze wyłożone zębami i groźne ich spojrzenia. Ned Land nie mógł się powściągnąć, by im nie grozić i nie złorzeczyć. Czepiały się paszczami statku jak psy dopadające dzika pod lasem. Ale „Nautilus” porywał je z sobą, unosił w górę lub zatapiał, nie czując ich ciężaru, tym mniej ich potężnego nacisku.

Nareszcie przerzedziła się gromada potwałów, fale uspokoiły się. Wypłynęliśmy na powierzchnię, otworzono wyjście i weszliśmy na pokład.

Morze pokryte było pokaleczonymi trupami. Gwałtowny wybuch nie zdołałby bardziej porozdzierać, poszarpać tych mas mięsistych. Pływaliśmy wśród ciał olbrzymich, niebieskawych na grzbiecie, białawych pod brzuchem i jakby garbatych od ogromnych na nich narości. Na widnokręgu widać było kilka potwałów uciekających w popłochu. Na przestrzeni kilku metrów morze rumieniło się od krwi, wśród której pływał „Nautilus”.

— A cóż, mości Nedzie Landzie? — rzekł kapitan, podchodząc do nas.

— A cóż? Panie kapitanie — odrzekł Kanadyjczyk, który już ochłonął ze swego entuzjazmu — był to istotnie widok straszliwy! Ale ja nie jestem rzeźnikiem tylko myśliwym, a to była rzeź!

— Było to gładzenie zwierząt złoczynczych — odpowiedział kapitan — „Nautilus” to nie nóż rzeźniczy.

— Już ja wolę mój oszczep — odparł Kanadyjczyk.

— Każdy używa swej broni — rzekł kapitan, utkwivszy wzrok ostry w Neda Landa.

Obawiałem się już, aby Kanadyjczyk nie dopuścił się jakiej niedorzeczności, która mogłaby pociągnąć za sobą skutki smutne. Ale gniew jego osłabł na widok wieloryba, do którego się „Nautilus” właśnie zbliżał.

Zwierzę to nie uniknęło zębów kaszalota. Był to wieloryb południowy, z głową spłaszczoną, całkowicie czarną. Leżał na boku, nieżywy; jego brzuch popłatany był paszczką napastniczego nieprzyjaciela. U poszarpanych płetw trzymał się jeszcze mały wielorybek, także nieżywy. Przez jego otwarty pysk przelewała się woda, szemrząc wśród fiszbinów jak przy odpływie morza.

Kapitan kazał skierować statek tuż obok trupa wieloryba. Dwaj jego ludzie weszli na zwierzę i ku wielkiemu memu zdziwieniu wydobywali z rozplątanej piersi wszystko znajdujące się w niej mleko, którego było ze dwie albo trzy beczki.

Kapitan ofiarował mi filiżankę tego mleka, ciepłego jeszcze, zapewniając, że mleko to jest wyborne i że niczym się nie różni od krowiego.

Przyznałem, że tak jest, gdym skosztował. Była to więc pożyteczna zdobycz dla osady, bo można było mieć z tego mleka masło lub ser, urozmaicając pożywienie okrętowe.

Z niepokojem zauważyłem, że od tego dnia usposobienie Neda Landa dla kapitana stało się jeszcze gorsze, niż było dotąd. Postanowiłem z bliska czuwać nad mową i gestami Kanadyjczyka.

## ŁAWICA LODOWA

„Nautilus” płynął w dalszym ciągu niewzruszenie ku południowi, sunąc ze znakomitą szybkością po pięćdziesiątym południku. Czy chciał osiągnąć bieguna? Nie przypuszczałem, wiedząc, że dotąd wszelkie usiłowania dotarcia do tego punktu globu były daremne. Zresztą pora była bardzo już spóźniona, albowiem 13 marca przy biegunie południowym jest tym samym, czym 13 września przy północnym. Zaczyna się wówczas okres porównania dnia z nocą.

Dnia 14 marca pod 55° szerokości spotkaliśmy pływające lodowce, niewielkie kawały do dwudziestu pięciu stóp mające w przecięciu, tworzące jakby skały, o które morze ze

szmerem się ocierało. „Nautilus” płynął po powierzchni. Polujący już dawniej na morzach północnych Ned Land oswojony był z widokiem lodowych tych wysepek, ja i Conseil podziwialiśmy je po raz pierwszy dopiero.

Daleko na widnokręgu południowym rozciągała się biała, błyszcząca wstęga. Wielorybnicy nazwali ją *iceblink* (migotanie lodu). Nigdy chmury, choćby najgrubsze, nie zdołają jej zaciemnić. Zwiastuje ona tzw. przez Anglików *pack*, tj. ławicę lodową.

Wkrótce też spotkaliśmy większe kawały lodu, a blask ich zmieniał się odpowiednio do kapryśków atmosfery. Niektóre z tych mas wyglądały jakby żyłami zielonymi napuszczone, niby siarczanem miedzi (koperwas); inne zdawały się być ogromnymi ametystami, które światło przenika; te odbijały promienie dzienne na tysiącnych powierzchniach swych kryształów; tamte przybierały wszystkie odcienie i kolory wapieni, które by starczyły na zbudowanie ogromnego miasta z marmuru.

Im więcej posuwaliśmy się na południe, tym większe były rozmiary tych mas pływających, a one same coraz liczniejsze. Tysiące ptaków podbiegunowych, jak petrele północne, warcabnice, tak zwane od podobieństwa powierzchniowego do pola gry w warcaby, i inne — wszystko to głużyło nas swoim krzykiem. Niektóre brały nasz statek za ciało niezwygłego wieloryba; siadały na nim i usiłowały dziobać dźwięczną jego powierzchnię.

Kapitan często przesiadywał zewnątrz statku<sup>191</sup> podczas tej żeglugi między lodami, pilnie przyglądając się nieznanym tym przestrzeniom. Spokojne jego wejrzenie zapalało się niekiedy, że na tych morzach podbiegunowych, wzbronionych niejako ludziom, on sam jest tylko panem, sam może przebiegać niedostępne innym przestrzenie. Być może, ale milczał zagłębiony w dumaniu, z którego tylko wyrывała go niekiedy potrzeba pokierowania osobiście statkiem pomiędzy lodami. A wybornie umiał unikać uderzenia o lodowiska czasem bardzo rozległe, wysokości 70 do 80 metrów. Nieraz zdawało się, że już dalej posunąć się nie można, szczególnie od 60° stopnia szerokości. Ale kapitan tak troskliwie szukał przejścia, że zawsze znalazł jakąś ciasną szparę, w którą się śmiało zapuszczał, choć wiedział, że się ona za nim zamknie.

Wiedziony bieglą ręką „Nautilus” minął lodowiska różnego rodzaju i rozmaicie nazywane przez żeglarzy, stosownie do kształtu i wielkości: *ice berg*, to jest góry, *ice fields*, to jest lite i bezgraniczne na pozór pola lodowe, *drift ice*, czyli pływające lodowce, *packs*, to jest pola połamane, nazywane *palchs*, gdy są okrągłe, a *streams*, gdy się składają z kawałków podłużnych.

Temperatura powietrza dosyć była mroźna; termometr wystawiony na zewnątrz wskazywał dwa lub trzy stopnie poniżej zera. Aleśmy byli ciepło poubierani w futra z fok lub niedźwiedzi morskich. Wnętrze „Nautilusa” regularnie ogrzewane za pomocą elektrycznych przyrządów pozwalało nam nie lękać się mocniejszego daleko mrozu. Zresztą mogliśmy się zapuścić w głębie morza, a tam temperaturę znaleźlibyśmy znośniejszą.

Gdybyśmy byli przybyli o dwa miesiące wcześniej pod tę szerokość geograficzną, mielibyśmy ciągły dzień; ale o tej porze roku noc trwała już trzy do czterech godzin. Później zaś noc trwająca sześć miesięcy miała okryć cieniem te okolice podbiegunowe.

Dnia 15 marca minęliśmy wyspy Nowej Szetlandii i Orkady Południowe. Mówił mi kapitan, że w tych stronach i przy tych lądach istniało mnóstwo fok, ale że niepomierna chciwość wielorybników angielskich i amerykańskich niszczących młode foki i samice wytępiła te zwierzęta — i teraz milczenie zalega te strony, tak pełne dawniej życia.

Nazajutrz, dnia 16 marca, około ósmej z rana „Nautilus”, płynąc ciągle po pięćdziesiątym piątym południku, przebył południowe koło podbiegunowe. Lody otaczały nas zewsząd i zamykały widnokrąg. Jednak kapitan Nemo wślizgiwał się z przejścia w przejście i posuwał się ciągle.

— Ale dokąd on dąży? — pytałem.

— Przed siebie — odpowiedział Conseil. — I w końcu, gdy nie będzie mógł przedostać się dalej, stanie.

— Nie ręczyłbym za to.

Szczerze zaś mówiąc, wycieczka ta awanturnicza nie sprawiała mi zgoła przykrości. Trudno wyrazić mój zachwyt nad pięknnością tych okolic nieznanych. Lodowce miewały wspaniałe kształty. Tu wyglądały jak miasto wschodnie z niezliczonymi meczetami

<sup>191</sup>zewnątrz statku — dziś: na zewnątrz (...). [przypis edytorski]

i minaretami, tam znów jak miasto rozwalone przez trzęsienie ziemi. Widoki te przedstawiały się oku to w różnych barwach promieni słonecznych ukośnie padających, to w tumanach mgły szarej lub w huraganie śnieżystym. Ze wszech stron dawały się słyszeć potężne pęknięcia, łoskot walących się gór lodowych zmieniających charakter krajobrazu jak w dioramie.

Jeśli podczas tych łoskotów „Nautilus” był zanurzony, dochodziły nas odgłosy ich przerażające gwałtownością, a walenie się mas lodowych wruszało wodę do znacznej bardzo głębokości. Wówczas „Nautilus” zataczał się lub kołysał wzdłuż jak okręt rzucony w wir żywiołów rozjuszonych. Niejednokrotnie, nie widząc żadnego już przejścia, myślałem, żeśmy stanowczo zostali zamknięci między lodami — ale instynkt kapitana umiał z najłżejszej nawet wskazówki wnioskować o nowym przejściu i znajdować je. Nigdy się nie zawiódł, śledząc strumyki niebieskawej wody wijące się wśród pól lodowych. Toteż pewny byłem, że nie po raz pierwszy zagląda do okolic bieguna południowego.

Nadeszła jednak chwila, a stało się to tego samego dnia, że już niepodobna było dalej się posunąć. Nie była to jeszcze ławica, ale obszerne pola lodowe, które do siebie poprzymarzały. Ale i to nie zatrzymywało kapitana Nemo. Rzucił on swój statek na lody jakby klin w kruchą masę i rozciął je przy przerażającym trzasku. „Nautilus” zdawał mi się wówczas taranem, jakiego niegdyś używano do rozbijania murów obronnych. Kawały lodów wypierane gwałtownie w górę spadały wkoło nas pod postacią olbrzymiego gradu. Samą siłą rzutu statek otwierał sobie kanał i zapuszczał się w niego. Niekiedy, porwany sam swym rozmachem, wślizgiwał się na lód, druzgotał go swym ciężarem; albo jeśli się zakopał w lodowiska, kruszył je samym kołysaniem się od przodu do tyłu i szeroko je rozszczybiał.

W ciągu tych dni nawiedzał nas wicher porywisty, a mgły bywały tak gęste, że z jednego końca platformy nie było widać drugiego jej końca. Wiatr przerzucał się nagle z jednego kierunku w drugi. Śnieg spadający marzył w tak twarde warstwy, że trzeba było rozbijać ostrymi drągami. Gdy temperatura zewnętrzna dochodziła 5° poniżej zera, „Nautilus” obmarzał wokoło. Statek zwyczajny na nic by się tu nie przydał, bo zamarzyłyby wszystkie bloki, liny i przyrządy zewnętrzne. Tylko statek bez żagli i poruszany przyrządem elektrycznym, nie potrzebując zatem palenia pod kotłem, mógł sobie tutaj poradzić.

Barometr stał ciągle bardzo nisko; spadł nawet do 70° 5'. Co do busoli, ta już nic pewnego nie wskazywała; igła jej ciągle sprzeczne przybierała kierunki w tej bliskości bieguna magnetycznego południowego, który bynajmniej nie leży na geograficznym biegunie południowym ziemi. Istotnie, według Hanstena południowy biegun magnetyczny znajduje się prawie w punkcie skrzyżowania się 70° szerokości ze 130 długości; podług zaś obserwacji Duperreza — na punkcie skrzyżowania się 70° 30' szerokości, a 135° długości. Żeby dojść prawdy, należałoby liczne robić spostrzeżenia na busolach poumieszczanych w różnych miejscach statku i wziąć średnią wyników obserwacji. Tymczasem opierano się na przybliżonym oszacowaniu drogi przepłyniętej; ale ta metoda nie może być dokładna przy kręceniu się ciągłym po skręcających wciąż zaułkach przejść przedstawiających co chwila inne punkty obserwacyjne.

Na koniec, dnia 18 marca, przypuściwszy ze dwadzieścia szturmów daremnych, „Nautilus” został stanowczo zatrzymany. Przed nim znajdowały się już nie lodowiska okrągłe lub podłużne, pola lodowe lub góry, ale tama lodowa bezgraniczna i nieruchoma, zbudowana z gór przymarzłych do siebie.

— To ławica lodowa — rzekł Kanadyjczyk.

Pojąłem, że dla Ned Landa i dla każdego żeglarza, który nas w tych miejscach poprzedził, była to zaporą nieprzebyta. Słońce pokazało się jeszcze na krótki czas w południe; kapitan skorzystał z tego, żeby ocenić położenie astronomiczne miejsca, w którym się znajdował. Okazało się, że jesteśmy pod 51° 30' długości, 67° 39' szerokości południowej. Był to więc punkt bardzo wysunięty w stronę bieguna południowego.

Ani widać było śladu morza i płynnej powierzchni. Przed nami ciągnęła się równina najeżona, napiętrzona blokami lodowymi bezładnie nagromadzonymi tak zupełnie, jak to bywa na wielkich rzekach przed ich puszczeniem, tylko na daleko większą miarę. Tu i ówdzie szczyty ostre lub pojedyncze iglice wznosiły się do dwudziestu stóp wysokości;

tam znów szereg pagórków ostro zakończonych, obleczonych barwą szarą odbijał w sobie jak zwierciadło kilka promieni słonecznych na pół zatopionych we mgle. A nad tą pustynią zawisło milczenie ledwie niekiedy przerwane odgłosem skrzydeł przelatującego samotnie petrela lodowego. Wszystko tu zamarzło — nawet dźwięk!

„Nautilus” musiał się więc zatrzymać w swym biegu awanturycznym wśród pól lodowych.

— No! Jeżeli teraz jeszcze kapitan Nemo posunie się dalej — rzekł Ned Land — będzie mistrzem.

— A to dlaczego?

— Bo nikt nie zdoła przebyć ławicy lodowej. Ten pański kapitan może bardzo wiele, ale, do tysiąca diabłów, przecież nie przewycięży przyrody! A gdzie ona powie: „stój!”, tam już trzeba stanąć, choćby się nie chciało!

— To prawda. A jednak, jakżebym chciał wiedzieć, co jest za tą ławicą! Ten mur lodowy gniewa mnie niezmiernie.

— Słusznie pan mówi — rzekł Conseil — mury zostały wynalezione dla drażnienia uczonych. Nigdzie nie powinno być murów.

— Mniejsza o nie, boć przecie wiadomo, co jest za tą ławicą — wtrącił Kanadyjczyk.

— Co mianowicie? — zapytałem.

— Lód i ciągle lód, nic więcej.

— Takie jest twoje zdanie, mości Nedzie; ale ja nie jestem tego pewny i dlatego chciałbym się tam dostać.

— Niech się panu odechce, panie profesorze — rzekł Kanadyjczyk. — Już i tego niech panu będzie dosyć, żeś pan dotarł do ławicy; dalej pan nie pojedziesz ani pański kapitan Nemo, ani jego „Nautilus”. I będzie musiał, chce czy nie chce, wrócić ku północy, to jest w stronę, gdzie są porządni ludzie.

Nie ma co mówić, Ned Land miał słuszność. Dopóki okręty nie będą tak urządzone, żeby mogły pływać po lodach, będą się musiały zatrzymywać przy ławicy.

Toteż i „Nautilus”, mimo wysileni środków potężnych, którymi rozporządzał, nie mógł rozbić lodów i zmuszony został do nieruchomości.

Tak się dzieje zazwyczaj, że kto nie może iść naprzód, ten się wraca; ale tu inne było położenie. Wrócić było takim samym niepodobieństwem, jak iść naprzód, bo przejścia zamknęły się za nami. I gdyby tylko przez czas krótki „Nautilus” stał nieruchomy, zamarłby na dobre. Nawet mu się to zdarzyło około drugiej po południu; dokoła niego utworzył się lód niesłychanie prędko. Przyznaję, że postępowanie kapitana zdawało mi się co najmniej nierozsądne.

Wyszedłem na platformę i znalazłem tam kapitana rozglądającego się wokoło.

— I cóż, panie profesorze — rzekł do mnie — co pan myślisz o tym wszystkim?

— Myślę, kapitanie, żeśmy uwięźli, że jesteśmy zamknięci przez lody.

— Jak to zamknięci?

— Tak, że nie możemy iść ani naprzód, ani w tył, ani w żadną stronę. To się nazywa, że jesteśmy zamknięci; tak przynajmniej się mówi w stronach zamieszkałych przez ludzi.

— A więc pan myślisz, profesorze, że „Nautilus” się nie wydobędzie?

— Przynajmniej z wielką trudnością, bo pora roku już jest bardzo późna, żeby liczyć na puszczenie lodów.

— Ach! Panie profesorze — rzekł kapitan Nemo tonem ironicznym — więc pan zawsze będziesz ten sam! Wszędzie pan widzisz tylko zawody i przeszkody! A ja panu powiadam, że nie tylko „Nautilus” się wydobędzie, ale popłynie jeszcze dalej.

— Co, jeszcze dalej ku południowi? — zapytałem, patrząc w oczy kapitanowi.

— Tak, panie, popłynie do bieguna.

— Do bieguna! — zawołałem, nie mogąc powściągnąć ruchu niedowierzania.

— Tak jest — odpowiedział z zimną krwią kapitan — do bieguna południowego, do tego punktu nieznanego, w którym się krzyżują południki kuli ziemskiej. Wiesz pan przecie, że „Nautilus” robi, co ja mu każę.

Istotnie, wiedziałem o tym; wiedziałem, że ten człowiek śmiały jest aż do zuchwałstwa! Ale chcieć pokonać przeszkody nagromadzone przy biegunie południowym, nieprzystępniejszym jeszcze niż północny, do którego przecież dotąd nie zdołali dotrzeć naj-

zdolniejsi żeglarze, było to przedsięwzięcie szalone, na jakie chyba tylko umysł wariata mógł się zdobyć.

Więc wpadłem na myśl zapytania kapitana, czy już odkrył ten biegun, na którym jeszcze żaden śmiertelnik nie stanął?

— Nie, panie profesorze — odpowiedział — odkryjemy go wspólnie. Co się innym nie powiodło, mnie się uda. Jeszcze nigdy mego „Nautilusa” nie posunął tak daleko na morza południowe; ale powiadam panu, że popłynie dalej.

— Gotów jestem uwierzyć panu — odparłem tonem ironicznym. — Wierzę! Idźmyż naprzód, nie ma przeszkód dla nas. Skruszmy tę ławicę, wysadźmy ją w powietrze! A jeśli się będzie opierać, to przyczepmy „Nautilusowi” skrzydła, niech przeleci nad nią!

— Nad nią, panie profesorze? — odpowiedział spokojnie kapitan. — Jeżeli nie nad nią, to pod nią!

— Pod nią! — krzyknąłem.

Jakby pod wpływem nagłego objawienia rozjaśnił mi się umysł; zrozumiałem od razu myśl kapitana. Cudowne własności „Nautilusa” miały nam posłużyć i w tym przedsięwzięciu nadludzkim.

— Widzę, że zaczynamy się rozumieć, panie profesorze — rzekł, uśmiechając się, kapitan. — Pan nie przypuszczasz możliwości takiego przedsięwzięcia: ja mam pewność, że się powiedzie. Łatwe jest dla „Nautilusa”, co dla innego okrętu jest niepodobne. Jeśli przy biegunie jest ląd, statek mój zatrzyma się przy nim, ale jeśli tam jest morze wolne, to dotrze do samego bieguna.

— Istotnie — rzekłem porwany rozumowaniem kapitana — choć powierzchnia tego morza pokryta jest lodem, to jednak dolne jego warstwy są płynne. O ile się nie mylę, stosunek zagłębienia się tej ławicy do jej wysokości ma się jak cztery do jednego.

— Tak jest, mniej więcej. Na jedną stopę wysokości góry lodowej ponad powierzchnią morza, trzy stopy znajdują się pod powierzchnią; a ponieważ te góry nie są wyższe ponad sto metrów, przeto nie zagłębiają się ponad trzysta. A cóż to jest dla „Nautilusa” zanurzyć się na trzysta metrów?

— Bagatela, panie kapitanie.

— Może nawet zanurzyć się do takiej głębokości, w której temperatura wód morskich wszędzie jest jednakowa; będziemy sobie żartowali z trzydziestu lub czterdziestu stopni zimna na powierzchni.

— Tak jest, tak jest, kapitanie! — rzekłem, zapalając się.

— Jediną trudnością dla nas będzie zostawanie pod powierzchnią przez wiele dni odnawiania powietrza.

— Jeśli tylko o to idzie — odparłem — to przecież „Nautilus” ma obszerne zbiorniki, które napełnione dostarczą nam tyle tlenu, ile będziemy potrzebowali.

— Dobrze pomyślane, panie profesorze — rzekł, uśmiechając się ciągle, kapitan. — Przedstawiam tylko panu wszystkie trudności, żebyś mnie pan o zuchwalstwo nie pomawiał.

— Alboż pan widzisz jeszcze jakie trudności?

— Jeszcze jedną. Być może, że na biegunie południowym istnieje morze całkiem zamarzone; w takim razie nie będziemy mogli wydobyć się na powierzchnię.

— Zapominasz pan, kapitanie, że „Nautilus” ma potężną ostrogę! Przecież będzie można puścić statek prostopadle ku lodowi i przebić go potężnym uderzeniem.

— Ho, ho, profesorze! Co za pomysły masz pan dzisiaj!

— Zresztą — dodałem, zapalając się coraz bardziej — czemuż by na biegunie południowym morze nie miało być wolne od lodów, tak jak jest na północnym? Bieguny ziemi nie przypadają w tych samych punktach co bieguny zimna ani na półkuli północnej, ani na południowej; należy zatem przypuszczać, że spotkamy albo ląd, albo morze wolne od lodów; przynajmniej dopóki się nie przekonamy, że jest inaczej.

— I ja tak sądzę — rzekł kapitan. — Zwrócę panu tylko uwagę, że po tylu argumentach przeciwko mojemu projektowi, znajdujesz teraz tyle za nim.

Miał słuszość, bo doszło do tego, że go teraz przesadził w śmiałości; nie on mnie, ale ja jego namawiałem teraz do podróży do bieguna! Wyprzedzałem go, zostawiałem za sobą!... Tak by się zdawało, ale tak nie było. Nie, mój szaleńcze! Kapitan Nemo wiedział

lepiej niż ty wszystko, co za projektem tym i przeciw niemu przemawiało. Bawił się tylko lotnością twej wyobraźni.

Ale się już dłużej nie ociągał. Na dany znak przybył jego porucznik. Rozmówili się ze sobą krótko owym niezrozumiałym dla mnie językiem; i czy to, że porucznik już był uprzedzony o zamiarze kapitana, czy też mniemał, że zamiar ten jest całkiem wykonalny, dość, że nie zdziwił się wcale.

Ale obojętność porucznika nie przewyższała zgoła obojętności Conseil'a, gdym powiedział zacnemu chłopcu, co zamierzamy. Rzekł tylko: „Jak się panu podoba” — nic więcej. Co do Ned Landa, gdym mu zakomunikował nasze przedsięwzięcie, wzruszył ramionami tak, jak jeszcze nie widziałem.

— Lituje się nad tobą, panie profesorze, i nad twoim kapitanem! — zawołał.

— Ależ dotrzemy do bieguna, mości Ned!

— Być może, ale nie wrócimy stamtąd.

I poszedł do swojej kajuty, by, jak mówił, w niczym się nie przyczynić do mającego nas spotkać nieszczęścia.

Tymczasem rozpoczęły się przygotowania do spełnienia zuchwałego zamiaru. Potężne pompy „Nautilusa” tłoczyły do zbiorników powietrze i gromadziły je pod wysokim ciśnieniem. Około czwartej kapitan oznajmił, że otwory na pokładzie zostaną zamknięte. Ostatni więc raz spojrziałem na ławicę lodową, którąśmy przebyć zamierzali. Atmosfera była jasna, czysta, zimno bardzo dojmujące — 12° poniżej zera: ale temperatura ta nie była zbyt dokuczliwa, bo wiatr się uspokoił.

Z dziesięciu ludzi weszło na wierzch statku i rozbijali drągami lód, który się około niego utworzył; prędko się z tym załatwiono, bo lód nie był jeszcze gruby. Weszliśmy wszyscy do wnętrza. Zbiorniki wody napełniono, i „Nautilus” zaczął się zagłębiać.

Zasiadłem w salonie z Conseil'em. Patrzyliśmy przez odsłonięte okna w coraz niższe warstwy Oceanu Atlantyckiego. Termometr się podnosił, wskazówka manometru zmieniła położenie.

Na głębokości jakich trzystu metrów wplynęliśmy, jak to przewidział kapitan, pod spodnią powierzchnią ławicy, zamarzłą falisto. Ale „Nautilus” zapuścił się jeszcze głębiej — do ośmiuset metrów. Temperatura wody wynosząca na powierzchni 12° poniżej zera, tutaj o dwa stopnie była wyższa. Rozumie się, że wewnątrz statku było znacznie cieplej, dzięki przyrządom ogrzewającym. Obroty wszelkie statku odbywały się z nadzwyczajną dokładnością.

— Zdaje się — rzekł Conseil — że dojedziemy do bieguna.

— Jestem pewny tego — odpowiedziałem z głębokim przekonaniem.

„Nautilus” płynął wprost do bieguna po 52 południku. Byliśmy pod 67° 30' i 90, więc jeszcze dwadzieścia dwa i pół stopnia należało przebyć, a zatem nieco więcej niż pięćset mil. „Nautilus” płynął z szybkością dwudziestu sześciu mil na godzinę, taką samą, z jaką biegnie pociąg kurierski. Gdyby więc ją utrzymał, powinniśmy być u bieguna za czterdzieści godzin.

Pewną część nocy ja i Conseil spędziliśmy z ciekawości przy szybach salonu. Morze błyszczało od elektrycznego światła naszej latarni, ale puste było najzupełniej. Ryby nie mieszkają w tej wodzie zamkniętej lodami, przepływają tylko tamtędy z południowego Oceanu Lodowatego na wolne morze przybiegunowe. Szybki nasz pęd dawał się odczuwać w dygotaniu długiego stalowego kadłuba naszego statku.

Około drugiej po północy udałem się na spoczynek, Conseil zrobił to samo. W korytarzu nie spotkałem się z kapitanem; widocznie siedział w izdebce sternika.

Nazajutrz, dnia 19 marca, o piątej z rana znów byłem w salonie. *Loch* elektryczny wskazywał, że pęd „Nautilusa” był umiarkowany. Statek wznosił się ku powierzchni, ale ostrożnie. Zbiorniki opróżniano bardzo wolno.

Serce mi biło. Czy też wypłyniemy i odetchniemy powietrzem bieguna?

Nie. „Nautilus” uderzył o spód ławicy, a po głuchym tego uderzenia odgłosie można było wnosić, że lód niezmiernie jest gruby. Było to w głębokości tysiąca stóp, zatem nad nami istniała warstwa lodu grubości 2000 stóp, z których około 1000 stóp sterczało nad powierzchnią morza. Ławica zatem była w tym miejscu znacznie grubsza niż tam, gdzieśmy się pod nią zapuścili. Nie bardzo to było pocieszające.

Niejednokrotnie dnia tego ponawiał „Nautilus” tę próbę, ale zawsze uderzał o pułap lodowy. Czasami płynęliśmy na głębokości 900 metrów, wobec czego mieliśmy nad sobą warstwę lodu grubości 1200 metrów, z których około 300 wynurzało się z morza.

Notowałem skrzętnie te rozmaite głębokości i otrzymałem w ten sposób profil dna ławicy.

Wieczorem nie zaszła żadna zmiana w naszym położeniu. Wprawdzie głębokość wynosiła już tylko od 400 do 500 metrów, jakże jednak gruba warstwa lodu dzieliła nas jeszcze od powierzchni oceanu!

Była wówczas godzina ósma. Od czterech godzin powietrze powinno być odmienione w „Nautilusie”, według zwyczaju przyjętego. Nie bardzo jednak jeszcze ciężko było oddychać, choć kapitan nie użył dotąd zapasów powietrza.

Źle spałem w nocy. Obawa i nadzieja wzruszały mnie na przemian. Około trzeciej z rana spostrzegłem, że spodnia powierzchnia ławicy znajduje się już tylko na głębokości 50 metrów. Zaledwie 150 stóp dzieliło nas od powierzchni morza. Góry lodowe zamieniały się w pole lodowe, w równinę.

Od tej chwili nie odrywałem wzroku od manometru. Płynęliśmy w głębokości coraz mniejszej, pod błyszczącą od światła naszej latarni spodnią powierzchnią lodu. Co miła grubość ławicy zmniejszała się ukośnie w górę. Nareszcie o szóstej z rana w pamiętnym dla mnie zawsze dniu 19 marca otworzyły się drzwi salonu i wszedł kapitan Nemo.

— Wolne morze! — zawołał.

## BIEGUN POŁUDNIOWY

Tak, morze wolne! Zaledwie gdzieś kilka kawałków kry, kilka ruchomych lodowców, w dali rozległe morze, świat ptasząt w powietrzu, krocie ryb w wodzie przybierającej stosownie do dnia mocno błękitny lub oliwkowozielony kolor. Termometr Celsjusza wskazywał trzy stopnie powyżej zera. Było to jakby względną wiosną zapartą poza tym lodowiskiem, którego kształty rysowały się na północnym widnokręgu.

— Jesteśmy przy biegunie? — zapytałem kapitana z bijącym sercem.

— Nie wiem — odpowiedział. — W południe oznaczę położenie statku.

— Czy słońce pokaże się przez te mgły? — rzekłem, spoglądając na szarawe niebo.

— Wystarczy mi, jeżeli ukaże się choć cokolwiek — odpowiedział kapitan.

W odległości dziesięciu mil morskich od „Nautilusa” wznosiła się w południowej stronie samotna wysepka na wysokości dwustu metrów. Zmierzaaliśmy ku niej, lecz ostrożnie, bo morze to mogło być usiane skałami.

W godzinę potem dotarliśmy do wysepki; w dwie godziny później okrążyliśmy już całą. Wąski kanał oddzielał ją od znacznego obszaru ziemi, może stałego lądu, którego końca nie mogliśmy dojrzeć. Istnienie tej ziemi zdawało się usprawiedliwiać hipotezę pana de Maury. Bystry Amerykanin zauważył w rzeczy samej, że między biegunem południowym a sześćdziesiątym równoleżnikiem morze pokryte jest pływającymi lodami ogromnych rozmiarów, których nie spotyka się nigdy na północnym Atlantyku. Z tego faktu wyprowadził wniosek, że koło południowe zawiera obszerne lądy; bo lodowce nie mogą się tworzyć na pełnym morzu, lecz tylko przy brzegach. Według jego obliczeń masa lodów otaczających biegun południowy tworzy ogromną półkulistą bryłę, której szerokość powinna dochodzić czterech tysięcy kilometrów.

Wszelako „Nautilus” z obawy, aby nie osiąść na mieliźnie, zatrzymał się w odległości trzech węzłów od płaskiego wybrzeża, nad którym górowały piętrzące się wspaniałe skały. Spuszczono łódź na morze. Kapitan, dwaj ludzie z narzędziami, Conseil i ja — wsiedliśmy do niej. Była godzina dziesiąta z rana. Nie widziałem Neda Landa. Kanadyjczyk nie chciał zapewne zdradzić się wobec południowego bieguna.

Kilka poruszeń wiosłem doprowadziło łódź na piasek, na którym osiadła. W chwili, gdy Conseil chciał z niej wyskoczyć, zatrzymałem go.

— Panie — rzekłem do kapitana Nemo — panu należy się zaszczyt, byś pierwszy wstąpił na tę ziemię.

— Tak, panie — odparł kapitan — i nie waham się dotknąć stopą tej ziemi biegunowej, bo dotychczas żadna istota ludzka nie zostawiła na niej śladu swych kroków.

Rzekłszy to, wyskoczył lekko na piasek. Silne wzruszenie przyśpieszało mu bicie serca. Wdrapał się na skałę sterczącą na pochyłości małego przylądka i ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, pałającym wejrzeniem, nieruchomy, milczący — zdawał się obejmować w swe posiadanie te kraje południowe. Po pięciu minutach takiego zachwyty zwrócił się ku nam.

— Proszę! — zawołał na mnie.

Wyszedłem na brzeg z Conseil'em; dwaj marynarze zostali w łodzi.

Grunt na znacznej przestrzeni składał się z czerwonego tufu jakby powstałego ze starej cegły i pokryty był żużlem, kawałami lawy i pumeksem. Niepodobna było nie poznać jego pochodzenia wulkanicznego. Miejscami lekkie dymnice wydzielające woń siarki świadczyły, że ogień wewnętrzny zachował jeszcze swą siłę wybuchową. Wdrapawszy się jednak na wysokie urwisko, nie spostrzegłem w kilkumilowym promieniu żadnego wulkanu. Wiadomo, że w tych okolicach południowych James Ross odkrył w pełnym działaniu kraterę Erebusa i Terroru, pod 167° długości i 77° 32' szerokości.

Roślinność na tym pustym lądzie wydawała się nader ograniczona. Kilka mchów z gatunku *Unsnea melanoxantha* rozpościerało się po czarnych skałach. Pewne mikroskopijne, zarodkowe roślinki, rodzaj komórek rozłożonych pomiędzy kwarcowymi skorupkami; długie, purpurowe i karmazynowe fukusy unoszone na drobnych, pływających pęcherzykach, które wylew fali odrzucał na wybrzeże — stanowiły całą ubogą florę tej krainy.

Brzeg usiany był mięczakami, małymi omułkami, czaszolkami, gładkimi, sercowatymi bukardami, a zwłaszcza skrzydłopławkami o podłużnym i członkowatym ciele i głowie złożonej z dwóch okrągławych kłapek. Widziałem także krocie północnych skrzydłopławek długości trzech centymetrów, których wieloryb polyka całe światy na jeden kąsek. Prześliczne te skrzydłopławy, prawdziwe motyle morskie, ożywiały wolne przy brzegu wody.

Pomiędzy innymi zwierzkorzewami widniało na głębszym dnie kilka koralowych roślin z rodzaju tych, które według Jamesa Rossa żyją w południowych morzach w głębokości dochodzącej tysiąca metrów; dalej małe korki morskie z gatunku *Procellaria pelagica*<sup>192</sup>, jak również znaczna ilość właściwych owemu klimatowi gwiazd morskich układających na ziemi swe konstelacje.

Ale szczególnie przepelnione życiem było powietrze. Tutaj latały i podlatywały tysiące rozmaitego gatunku ptaków, ogłuszając nas swoim wrzaskiem. Inne posiadały na skałach, przyglądając się nam bez obawy i tłocząc się poufale za nami. Były to tłuszczale o tyle lekkie i zwinne w wodzie, gdzie pomieszano je z rączymi bonitami, o ile są niezgrabne i ciężkie na ziemi. Wydając dziwaczne głosy, tworzyły liczne gromady skąpe w ruchach, lecz szczodre w krzykach.

Pośród ptaków zauważyłem chionisy z rodziny czaplowatych, białe, wielkości gołębia, z krótkim, stożkowatym dziobem i otoczonym czerwoną obwódką okiem. Conseil zabił ich sporo, bo stosownie przyrządzone dają smaczną potrawę. W powietrzu przeciągały czarne jak sadze żagłości, których rozwinięte skrzydła mierzyły do czterech metrów — słusznie nazwane sępami; olbrzymie petrele, między innymi *Quebranta huesos*<sup>193</sup>, z łukowatymi skrzydłami, wielce chciwe na foki; ogorzałki, rodzaj małych kaczek, białych i czarnych pod spodem ciała — wreszcie cały szereg burzyków, to białawych o skrzydłach z brunatną obwódką, to niebieskich, właściwych wyłącznie morzom południowym. Powiedziałem Conseil'owi, że ostatnie tak są oleiste, iż mieszkańcy wyspy Feroe, nie trudząc się wytapianiem tłuszczu, poprzestają na przyczepieniu do nich knota.

— Niewiele zatem brakuje — odrzekł — żeby z nich były zupełne lampy! Trudno zresztą wymagać, by sama przyroda opatrywała je w knoty.

O pół mili dalej grunt był całkiem usiany gniazdami bezłotków, pewnego rodzaju norami przysposobionymi do niesienia jaj, z których wylatywało mnóstwo ptaków. Kapitan Nemo kazał później upolować ich kilka setek, bo czarne ich mięso jest bardzo dobre. Wydawały krzyk podobny do ryku osła. Stworzenia te, wielkości gęsi, siwe po

<sup>192</sup>*Procellaria pelagica* — gatunek najmniejszych ptaków morskich; żywią się małymi rybami i drobnymi skorupiakami morskimi. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>*Quebranta huesos* — rybolów; gatunek drapieżnego ptaka wędrownego. [przypis edytorski]



wierzchu, a białe pod spodem, z cytrynową obwódką na szyi, pozwalały, nie uciekając, zabijać się kamieniami.

Mgła jednak wcale się nie rozchodziła i o godzinie jedenastej nie pokazało się jeszcze słońce. Bez słońca niepodobna było robić żadnych spostrzeżeń; a w takim razie, jakim sposobem przekonać się, czy rzeczywiście dotarliśmy do bieguna?

Powróciwszy do kapitana Nemo, zastałem go opartego w milczeniu na odłamie skały i patrzącego w niebo. Wydawał się zniecierpliwiony, rozdrażniony. Cóż począć? Zuchwały ten człowiek nie mógł tak władać słońcem jak morzem.

Nadeszło południe, a gwiazda dzienna nie zjawiała się ani na chwilę. Nie można było nawet rozpoznać miejsca, jakie zajmowała poza mglistą zasłoną. Mgła ta rozsypała się wkrótce w śnieg.

— Do jutra — rzekł po prostu kapitan — i wróciliśmy do „Nautilusa” wśród śnieżnej zamieci.

Podczas naszej nieobecności zarzucono sieci, przyglądałem się więc z zajęciem wyciągniętym na pokład rybom. Morza południowe służą za schronienie wielkiej ilości wędrownych ryb uchodzących przed burzami stref niższych — wprawdzie po to tylko, żeby się dostać na zęby delfinów i fok. Zauważyłem kilka południowych głowaczy długości jednego decymetra, gatunek chrząstkowatych, białawych, sino pręgowanych i uzbrojonych kolcami, dalej chimery południowe długości trzech stóp, z ciałem mocno podługowatym, białą, srebrzysto lśniącą skórą, grzbietem opatrzonym trzema płetwami i pyskiem zakończonym trąbą, zakrzywioną przy paszczęce. Skosztowałem ich mięsa, ale było niesmaczne, pomimo zdania Conseil'a, któremu się bardzo podobało.

Nawałnica śniegowa trwała do następnego dnia. Niepodobna było utrzymać się na platformie. W salonie, gdzie zajęty byłem zapisywaniem wypadków owej wycieczki na ląd biegunowy, słyszałem krzyk petreli i żagłościgów igrających sobie wśród burzy. „Nautilus” nie pozostał nieruchomy i płynąc równoległe do brzegu, posunął się jeszcze o jakie dziesięć mil ku południowi, przy półświatle, jakie dawało słońce — strychujące brzegi widnokregu.

Nazajutrz, 20 marca, śnieg ustał. Zimno było cokolwiek dotkliwsze. Termometr wskazywał dwa stopnie poniżej zera. Rozeszły się chmury i miałem nadzieję, że tego dnia będziemy mogli dokonać spostrzeżeń.

Ponieważ kapitan Nemo jeszcze się nie pokazał, łódź zabrała tylko mnie i Conseil'a i wysadziła na ląd. Grunt był tej samej natury wulkanicznej. Wszędzie ślady lawy, żużli, bazaltu — lubo<sup>194</sup> nie mogłem nigdzie dostrzec krateru, co je wyrzucił. I tu również, jak wczoraj, miriady ptaków ożywiały część biegunowego lądu; dzieliły jednak to panowanie z ogromnymi trzodami ssaków morskich, patrzących na nas łagodnymi oczyma. Były to różnego gatunku foki, jedne wyciągnięte na ziemi, drugie leżące na rozkołysanej krze; inne znów wychodziły z wody lub wracały do morza. Nie uciekały za naszym zbliżeniem, bo dotąd nie miały nic do czynienia z człowiekiem; naliczyłem ich tyle, że to wystarczyłoby na zaopatrzenie kilkuset okrętów.

— Dalibóg — rzekł Conseil — szczęście, że nie ma z nami Neda Landa.

— Dłaczegóż to, Conseil?

— Bo zacięty myśliwy byłby to wszystko pozabijał.

— Wszystko, to za wiele, lubo sądzę, iż w rzeczy samej nie moglibyśmy przeszkodzić przyjacielowi Kanadyjczykowi, by nie ugodził oszczepem kilku tych pysznych rybokształtnych, co by obraziło kapitana Nemo, bo nie lubi przelewać bezużytecznie krwi niewinnych stworzeń.

— Ma słuszność.

— Zapewne; ale powiedz mi, Conseil, czyś jeszcze nie poklasyfikował tych wspaniałych okazów fauny morskiej?

— Pan dobrze wie — odparł Conseil — żem nie bardzo biegły w praktyce. Gdyby pan chciał mi powiedzieć ich nazwy.

— Są to foki i morsy.

<sup>194</sup>lubo (daw.) — choć. [przypis edytorski]

— Dwa rodzaje, należące do rodziny płetwonogich, rząd mięsożernych grupa pazurowanych, podgromada ssących doskonałych, gromada ssących, dział kręgowych — wyrecytował szybko mój uczone Conseil.

— Dobrze Conseil — odpowiedziałem — ale te dwa rodzaje: foki i morsy, dzielą się jeszcze na gatunki i, jeśli się nie mylę, będziemy tu mieli sposobność je poznać. Chodźmy dalej.

Była godzina ósma z rana. Zostawało nam jeszcze cztery godziny do chwili, w której słońce mogło być obserwowane. Zwróciłem się ku obszernej zatoce zachodzącej półkolem w granitowe skały wybrzeża.

Tutaj, śmiało rzec mogę, jak okiem zasięgnąć dokoła ziemia i kry natłoczone były ssakami morskimi — i mimo woli szukałem wzrokiem starożytnego Proteusza, mitologicznego pasterza strzegącego tych niezliczonych trzód Neptuna. Były to głównie foki. Tworzyły one oddzielne grupy; tu samiec i samica, tam ojciec czuwający nad rodziną, matka karmiąca piersią małe, kilkoro młodych urosłych już w siłę, używających swobody o parę kroków. Żeby się przenieść z miejsca na miejsce, robiły drobne podskoki, kurcząc się i rozciągając, przy czym pomagały sobie dosyć niezręcznie płetwami, które u manata z tegoż samego rodzaju tworzą prawdziwe przedramię. Winienem dodać, że w wodzie, właściwym ich żywiole, stworzenia te o ruchomej kości pacierzowej, wąskiej miednicy, krótkiej a zbitej sierści i płetwowych nogach — wybornie pływają. Spoczywając na ziemi, zachowywały nader wdzięczne postawy. Toteż starożytni ze względu na ich łagodną postać, głębokość i wyrazistość wzroku, której by nie zdołało przewyższyć wejrzenie najpiękniejszej kobiety, ciemne i przezroczyste oczy oraz czarujący układ — poetyzując je po swojemu, zamienili samce w trytony, a samice w syreny.

Zwróciłem naprzód uwagę Conseil'a na znakomity rozwój półkul mózgowych u tych rozumnych rybokształtnych. Żadne z ssących, z wyjątkiem tylko człowieka, nie jest bogatsze w substancję mózgową. Foki też zdolne są zdobyć pewien stopień wykształcenia; łatwo się oswiają i podzielam zdanie niektórych przyrodników, że odpowiednio ułożone mogłyby oddawać wielkie usługi jako psy rybołówcze.

Większa ich część spała na skałach lub piasku. Pomiedzy właściwymi fokami niemającymi zewnętrznych uszu, czym się różnią od otarii (kotów i lwów morskich), z wydatnym uchem, dostrzegłem odmianę ryjowatek, długości trzech metrów, z białą sierścią, głową na kształt buldoga, dziesięciu zębami w każdej szczęce, czterema kłami u góry i dołu i dwoma trzonowymi wyciętymi w formie kwiatu lilii. Wpółśród nich przesuwaly się słonie morskie, rodzaj fok z krótką i ruchomą trąbą; olbrzymi gatunku, mające dwadzieścia stóp obwodu, a dziesięć metrów długości. Nie ruszały się z miejsca za naszym zbliżeniem.

— Czy te zwierzęta są drapieżne? — zapytał Conseil.

— Nie — odpowiedziałem — byleby ich nie zaczepiać. Ale, broniąc swych małych, foka wpada w straszliwą wściekłość i często się zdarza, że rozbija na sztuki statek rybacki.

— Jest w swoim prawie.

— Nie przeczę.

O dwie mile dalej przeciął nam drogę przyładek osłaniający zatokę od południowych wiatrów. Schodził prostopadłe w morze i okryty był pianą fal rozbijających się o niego. Poza nim rozlegały się straszliwe ryki, jakby stada przeżuujących.

— Brawo — odezwał się Conseil — koncert byków.

— Nie — odrzekłem — to koncert morsów.

— Biją się?

— Biją się albo igrają.

— Jeżeli pan pozwoli, trzeba by to zobaczyć.

— Trzeba zobaczyć, Conseil.

I zaczęliśmy wdzierać się na czarniawe skały, wśród nieprzewidzianych zawałów, po kamieniach oślizgłych od lodu. Nieraz staczałem się, tłukąc sobie boki. Conseil, ostrożniejszy i mocniejszy w nogach, ani się zachwiał — i podnosił mnie, mówiąc: „Gdyby pan był łaskaw szerzej stąpać, to by pan mógł utrzymać lepszą równowagę”.

Stanąwszy na szczycie przyłodka, spostrzegłem obszerną białą równinę napełnioną morsami. Zwierzęta te igrały z sobą. Były to ryki radości, nie gniewu.

Morsy podobne są do fok kształtem ciała i układem członków. Ale w dolnej szczęce nie mają kłów ani trzonowych zębów; a górne kły długości osiemdziesięciu centymetrów

mają w osadzie trzydzieści trzy centymetry obwodu. Zęby te, ze ściślej, nieprążkowanej kości, twardsze niż u słoni i nie tak prędko żółknące, są bardzo poszukiwane. Z tego powodu morsy, ściągane zawzięcie i nieoględnie tępione, wyginą wkrótce do ostatniego; bo myśliwi, mordując bez różnicy ciężarne samice i młode, zabijają ich co rok przeszło cztery tysiące.

Przechodząc koło tych ciekawych zwierząt, mogłem przypatrzeć się im do woli; albowiem wcale się nie płoszyły. Skóra ich była gruba i pomarszczona, płowego, wpadającego w rudy koloru; sierść krótka i rzadka. Niektóre miały do czterech metrów długości. Spokojniejsze i mniej łęklive od swych północnych współbraci, nie rozstawiają jak tamte placówek strzegących przystępu do ich obozowiska.

Obejrawszy ową osadę morsów, pomyślałem o powrocie. W razie bowiem, gdyby kapitan Nemo znalazł warunki sprzyjające obserwacji, chciałem być przy niej obecny. Nie spodziewałem się jednak, by tego dnia pokazało się słońce. Zdawałoby się, że zazdrosna gwiazda nie chce odsłonić ludzkim istotom tego nieprzystępnego punktu na globie.

Pomimo to postanowiłem już wrócić na „Nautilus”. Szliśmy wąskim wzgórkami ciągnącym się wzdłuż urwistego wybrzeża. O wpół do dwunastej przybyliśmy do miejsca wylądowania. Łódź zatrzymana na piasku wysadziła już na brzeg kapitana. Spostrzegłem go stojącego na bazaltowej skale; obok leżały narzędzia. Wzrok jego utkwiony był w widnokrąg północny, w którego bliskości słońce opisywało teraz swoją wydłużoną krzywiznę.

Stałem przy nim w milczeniu. Nadeszło południe i słońce podobnie jak wczoraj nie pokazało się.

Była to fatalność. Obserwacja znowu nie mogła być dokonana. Gdyby i jutro nie doszła do skutku, wypadało pożegnać się stanowczo z oznaczeniem naszego położenia.

W istocie mieliśmy właśnie 20 marca. Nazajutrz, 21 marca, przypadło porównanie dnia z nocą; nie licząc refrakcji, słońce zniknęłoby pod widnokretem na sześć miesięcy, a z jego zejściem rozpoczęłaby się długa noc biegunowa. W czasie równonocy jesiennej ukazało się ono w północnej stronie widnokretem i wznosiło coraz wyżej po wydłużonych liniach spiralnych do 21 grudnia. Od owej chwili zaczęło coraz bardziej się zniżać, a nazajutrz miało przesłać tym stronom ostatnie promienie.

Zakomunikowałem te spostrzeżenia i obawy kapitanowi Nemo.

— Masz pan słuszność, panie Aronnax — odpowiedział — jeżeli jutro nie zmierzę wysokości słońca, nie będę mógł tego dokonać przed upływem sześciu miesięcy. Lecz jeśli zablysznie nam w południe, to właśnie dlatego, że losy żeglugi sprowadziły mnie na 21 marca na te morza, tym więc łatwiej mi przyjdzie oznaczyć nasze położenie.

— Dlaczego, kapitanie?

— Bo kiedy gwiazda dzienna opisuje tak wydłużone spirale, trudno dokładnie zmierzyć wysokość jej nad widnokretem i narzędzia narażone są na poważne zboczenia.

— Jak pan tedy postąpi?

— Użyję po prostu mego chronometru. Jeżeli jutro, 21 marca, o południu tarcza słoneczna, biorąc w rachubę załamanie światła, zostanie przecięta na dwie równe części — będzie to znakiem, że jesteśmy przy biegunie południowym.

— W rzeczy samej — rzekłem. — Jednakże twierdzenie to nie jest matematycznie ściśle, ponieważ porównanie dnia z nocą niekoniecznie przypada w południe.

— Zapewne, panie; ale pomyłka nie wyniesie nawet stu metrów, a więcej nam nie potrzeba. Do jutra więc!

Kapitan Nemo wrócił na statek. Conseil i ja pozostaliśmy do piątej na brzegu, chodząc tu i ówdzie, badając i studiując. Nie znalazłem nic godnego uwagi oprócz jednego jaja tłuściela, odznaczającego się niezwykłą wielkością, za które zbieracz jaj byłby zapłacił więcej niż tysiąc franków. Izabelowy kolor, pręgi i znaki zdobiące je jakby hieroglifami nadawały mu niepospolitą rzadkość. Złożyłem je w ręce Conseil'a, a roztropny i pewny w nogach chłopiec, obchodząc się z nim tak ostrożnie, jakby z kosztowną sztuką chińskiej porcelany, zaniósł je bez uszkodzenia do „Nautilus”.

Zachowałem to rzadkie jajo w oszklonej szafie muzeum. Zjadłem z apetytem na wyczucie wyborny kawał wątroby foki, podobnej w smaku do wieprzowiny. Potem położyłem się spać, nie zaniechawszy, jak Hindus, odwołać się do względów promiennej gwiazdy.

Nazajutrz, 21 marca, wyszedłszy o piątej z rana na platformę, zastałem już kapitana Nemo.

— Wypogadza się trochę — zauważył — dodaje mi to otuchy. Po śniadaniu wybieremy się na łód dla wyszukania dogodnego miejsca do obserwacji.

Gdy na tym stało, poszedłem zobaczyć się z Nedom Landem. Chciałem go wziąć z sobą. Uparty Kanadyjczyk odmówił i przekonałem się, że jego posępna małomówność i zły humor z każdym dniem wzrastały. Tym razem jednak zaciętość owa nie bardzo mnie gniewała. W rzeczy samej za wiele było fok na łądzie i nie należało wystawiać niebacznego myśliwca na taką pokusę.

Po śniadaniu udałem się na łód. „Nautilus” posunął się przez noc jeszcze o parę mil. Znajdował się teraz na pełnym morzu, o dobrą milę od brzegu, nad którym górował spiczasty cypel czterystu do pięciuset metrów wysokości. Łódź niosła wraz ze mną kapitana Nemo, dwu ludzi z osady i narzędzia: to jest chronometr, lunetę i barometr.

Przez drogę widziałem znaczną liczbę wielorybów należących do trzech gatunków właściwych morzom południowym, jako to: wieloryb wolny, czyli angielski *right whale* niemający grzbietnej płetwy, *mumpback*, wieloryb płetwiasty z pomarszczonym brzuchem, z szerokimi białawymi płetwami — i *finback*, ciemno-żółtawy, najzwinniejszy z wielorybowych. Potężny ten zwierz daje się słyszeć z daleka, wyrzucając na znaczną wysokość słupy wody i pary na kształt kłębow dymu. Różne gatunki tych ssących igrały gromadnie w spokojnych wodach i przekonałem się, że ta kotlina bieguna południowego służyła za schronienie rybokształtnym ściganym zbyt zawzięcie przez myśliwych<sup>195</sup>.

Zauważyłem także długie, białawe sznury salp, pewnego rodzaju skupionych mięczaków, oraz duże meduzy kołyszące się na falach.

O godzinie dziewiątej przybiliśmy do brzegu. Niebo wyjaśniło się. Chmury zbiegały na południe. Mgły pierchały znad chłodnej powierzchni wód. Kapitan Nemo zwrócił się ku cypłowi, chcąc go zapewne użyć na obserwatorium. Wejście nań było trudne, po ostrych kawałach lawy i pumeksu, wśród atmosfery przesyconej częstokroć siarkowymi wyziewami dymnic. Kapitan, jak na człowieka odwykłego od stąpania po ziemi, wdzierał się na najspadziście pochyłości ze zwinnością i lekkością, której nie mogłem sprostać, a której by pozazdrościł mu nawet strzelec kozic.

Potrzebowaliśmy dwu godzin, by wejść na szczyt tego cypla w połowie porfirowego, w połowie bazaltowego. Stamtąd wzrok nasz ogarnął rozległe morze, ku północy wyraźnie rysując na tle nieba krańcową swą linię. U stóp naszych pola olśniewającej białości; nad głowami błady błękit oczyszczony z chmur. W północnej stronie tarcza słoneczna jak kula ognista, przecięta już ostrzem widnokręgu. Z łona wód wzbijały się setki wspaniałych wytrysków. W dali „Nautilus” niby uśpiony wieloryb. Za nami, na południe i wschód niezmierny obszar ziemi, chaotyczne nagromadzenie skał i lodów, których końca nie można było dojrzeć.

Kapitan Nemo, przybywszy na wierzchołek cypla, oznaczył starannie jego wysokość za pomocą barometru — gdyż należało uwzględnić ją przy obserwacji.

Trzy kwadransy na dwunastą<sup>196</sup> słońce, widziane wtedy tylko przez załamanie się światła, ukazało się jak tarcza złocista, rzucając ostatnie promienie na ten łód opuszczony, na morza, na których człowiek nigdy jeszcze nie powstał.

Kapitan Nemo zaopatrzony w lunetę z mikrometrem nitkowym, który za pomocą zwierciadła usuwał wpływ refrakcji, obserwował gwiazdę zachodzącą z wolna pod widnokrąg, po wydłużonej bardzo spiralnej. Trzymałem chronometr. Serce gwałtownie mi biło. Jeżeli zniknięcie połowy tarczy słonecznej przypadnie jednocześnie z południem na chronometrze, jesteście u samego bieguna.

— Południe! — zawołałem.

— Biegun południowy! — odpowiedział kapitan Nemo poważnym głosem, podając mi lunetę, która pokazywała gwiazdę dzienną przeciętą przez poziom na dwie równe części.

Widziałem, jak ostatnie jej promienie uwieńczyły cypel, a potem ciemność zaczęła z wolna wstępować na jego pochyłości.

<sup>195</sup>*right whale* (...) *finback* — *right whale*: wieloryb prawdziwy; *humpback*: garbaty; *finback*: z płetwą grzbietową. [przypis redakcyjny]

<sup>196</sup>trzy kwadransy na dwunastą — o jedenastej czterdzieści pięć; za kwadrans dwunasta. [przypis edytorski]

W tej chwili kapitan Nemo, kładąc mi rękę na ramieniu, rzekł:

— Panie, w 1600 r. Holender Gheritk uniesiony przez prądy i burze dotarł do 64° szerokości południowej i odkrył Nową Szetlandię. W r. 1773, dnia 17 stycznia, sławny Cook, posuwając się po trzydziestym ósmym stopniu długości, przybył pod 67° 30' szerokości, a 30 stycznia 1774 r. dosięgnął po sto dziesiątym stopniu długości 71° 15' szerokości. W roku 1819 Rosjanin Bellinghausen znalazł się na sześćdziesiątym dziewiątym równoleżniku, a w r. 1821 na sześćdziesiątym szóstym pod 111° długości zachodniej. W r. 1820 Anglik Brunsfield zatrzymany został na sześćdziesiątym piątym stopniu. Tegoż roku Amerykanin Morrel, którego sprawozdania są wątpliwe, posuwając się w górę po czterdziestym drugim stopniu długości, odkrył wolne morze pod 70° 14' szerokości. W r. 1825 Anglik Powell nie mógł przedostać się poza sześćdziesiąty drugi stopień. W tymże roku prosty poławiacz fok, Anglik Weddel, dotarł do 72° 14' szerokości pod trzydziestym piątym stopniem długości i aż do 74° 15' pod trzydziestym szóstym długości. W roku 1829 Anglik Forster, dowódca „Chanticleera” objął w posiadanie kontynent południowy pod 63° 26' szerokości i 66° 26' długości. W roku 1831 Anglik Bischoff odkrył 1 stycznia ziemię Enderby pod 68° 50' szerokości; 5 lutego 1832 Ziemię Adelajdy pod 67° szerokości, a 21 lutego Ziemię Grahama pod 64° 45' szerokości. W roku 1838 Francuz Dumont d'Urville zatrzymany przez kry pod 62° 57' szerokości, oznaczył Ziemię Ludwika Filipa; w dwa lata później, przy nowym zbieżeniu na południe, nadał nazwę Ziemi Adeli, a w osiem lat potem pod 64° 40' Wybrzeżu Klary. W roku 1838 Anglik Wilkes posunął się do sześćdziesiątego dziewiątego równoleżnika pod setnym stopniem długości. W roku 1839 Anglik Balleny odkrył Ziemię Sabryna na granicy koła biegunowego. Na koniec w roku 1842 Anglik James Ross na statkach „Erebus” i „Terror” odkrył 12 stycznia pod 76° 56' szerokości 171° 8' długości wschodniej Ziemię Wiktorii; 23 tegoż miesiąca oznaczył siedemdziesiąty czwarty równoleżnik, najwyższy z osiągniętych dotąd punktów; 27 stycznia był pod 76° 8', a 28 pod 77° 32', 2 lutego pod 78° 4'; a w 1842 roku wrócił pod siedemdziesiąty pierwszy stopień, przez który nie mógł przejść. Ja zaś, kapitan Nemo, 21 marca 1868 roku dotarłem do bieguna południowego pod dziewięćdziesiątym stopniem i obejmuję w posiadanie te strony globu, dorównyujące szóstej części znanych lądów.

— W czym imieniu, kapitanie?

— W moim własnym, panie Aronnax.

To mówiąc, kapitan Nemo rozwinął czarną flagę z wyhaftowaną złotem literą N. Potem, zwróciwszy się ku dziennej gwiazdzie, której ostatnie promienie muskały widnokrąg morza — zawołał:

— Żegnaj mi, słońce! Zniknij, promienna gwiazdo! Zajdź pod to wolne morze i niechaj noc sześciomiesięczna roztoczy swe cienie nad moją nową dziedziną.

## NIESZCZĘŚCIE CZY WYPADEK?

Nazajutrz, 22 marca, o szóstej z rana zaczęto przygotowania do odjazdu. Ostatnie światelka zmiernych rozplywały się w ciemnościach nocy. Zimno było dotkliwie. Konstelacje błyszczwały nadzwyczaj świetnie. Na zenicie jaśniał ów przecudny Krzyż Południowy, gwiazda biegunowa stref południowych.

Termometr wskazywał dwanaście stopni poniżej zera, a powiew wiatru ostro dojmował. Kry były coraz gęstsze na wolnych wodach. Morze zdawało się zewsząd zamarzać. Liczne czarniawe płyty rozpostarte po jego powierzchni zapowiadały rychłe tworzenie się nowych lodów. Widocznie kotlina południowa zamarznięta w ciągu sześciomiesięcznej zimy, była całkiem niedostępna. Co się działo w tym czasie z wielorybami? Bez wątpienia, wędrując pod lodem, szukały znośniejszych mórz. Foki i morsy, przywykłe żyć w najostrzejszych klimatach, pozostawały w owych zlodowaciałych przestworzach. Wiedzione instynktem ryją sobie w polach lodowych otwory i podpływają do nich, aby odetchnąć powietrzem. Gdy ptaństwo wygnane zimą odleci na północ, wtedy te ssaki wodne zostają same jedne panami łąd biegunowego.

Wszelako zbiorniki wody zostały wypełnione i „Nautilus” powoli się zanurzał. W głębokości tysiąca stóp stanął; śruba jego zaczęła rozbijać wodę i posuwał się prosto na północ z prędkością piętnastu mil morskich na godzinę. Ku wieczorowi płynął już pod niezmierną skorupą lodowiska.

Oslony na szybach salonu były przez ostrożność zamknięte, bo pudło „Nautilusa” mogło uderzyć o jaką zatopioną bryłę lodu. Toteż spędziłem ten dzień na porządkowaniu notatek. Umysł mój zajęty był całkiem wspomnieniami bieguna. Dotarliśmy do tego niedostępnego punktu bez niebezpieczeństw, jak gdyby nasz pływający wagon sunął po szynach kolei żelaznej. A teraz naprawdę zaczynał się powrót. Czy i on także gotuje mi podobne niespodzianki? Mniemałem, że tak będzie, albowiem szereg cudów morskich jest nieskończony! Wszakże od półszosta<sup>197</sup> miesiąca, jak trwała nasza podróż, przebyliśmy czternaście tysięcy mil francuskich — a na przestrzeni tej, dłuższej od ziemskiego równika, ileż to ciekawych lub strasznych zdarzeń zachwycało nas w drodze: polowanie w lasach Crespo, osiądnięcie na mieliźnie w Cieśninie Torresa, cmentarz koralowy, półów pereł na Cejlonie, Arabian Tunnel, ognie Santorynu, miliony zatoki Vigo, Atlantyda, biegun południowy! Podczas nocy wszystkie te wspomnienia, przechodząc z marzenia w marzenie, nie pozwoliły mózgowi memu zdrzemnąć się ani na chwilę.

O trzeciej z rana zbudziło mnie gwałtowne wstrząśnięcie. Podniósłszy się na łóżku, przysłuchiwałem się wśród ciemności, gdy nagle zostałem rzucony na środek pokoju. Oczywiście „Nautilus”, uderzywszy o dno morza, znacznie pochylił się na bok.

Trzymając się przepierzenia, powlokłem się przez podłużne korytarze do salonu z oświetlonym sufitem. Sprzęty były powywracane. Szczęściem, oszklone szafy silnie przymocowane do podłogi pozostały nieuszkodzone. Obrazy na prawej ścianie skutkiem zmiany położenia statku przyległy szczelnie do obicia, na lewej zaś odstawały przy dolnej ramie o całą stopę. „Nautilus” był więc pochylony na prawy bok, a co więcej zupełnie nieruchomy.

Wewnątrz słyszałem szelest kroków i pomieszane głosy; ale kapitan Nemo nie pokazał się. W chwili, gdy miał opuścić salon, weszli Ned Land i Conseil.

— Co się stało? — żywo zawołałem.

— Chciałem się właśnie pana o to zapytać — odpowiedział Conseil.

— Do tysiąca diabłów! — krzyknął Kanadyjczyk — wiem ja dobrze, co się stało. „Nautilus” uderzył o dno morskie, a wnosząc z jego położenia, nie sądzę, żeby się teraz tak łatwo wywinął jak pierwszym razem w Cieśninie Torresa.

— Ale przynajmniej — zapytałem — czy powróci na powierzchnię morza?

— Nie wiemy — odparł Conseil.

— Łatwo się o tym przekonać — rzekłem.

Poradziłem się manometru. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, wskazywał głębokość trzystu sześćdziesięciu metrów.

— Co to ma znaczyć? — zawołałem.

— Trzeba się spytać kapitana Nemo — doradzał Conseil.

— Ale gdzie go szukać? — wtrącił Ned Land.

— Chodźcie za mną — rzekłem.

Wyszliśmy z salonu. W bibliotece nie było nikogo. Przypuszczałem, że kapitan Nemo musi się znajdować w klatce sternika. Najlepiej więc było zaczekać. Wróciliśmy wszyscy trzej do salonu.

Pominę milczeniem złorzeczenia Kanadyjczyka. Zaiste, wyborny miał powód do uniesień. Pozwoliłem mu wyładowywać gniew swój do woli, nic nie odpowiadając.

Znajdowaliśmy się w tym stanie ze dwadzieścia minut, usiłując pochwycić najmniejszy szelest, rozchodzący się wewnątrz „Nautilusa”, gdy wszedł kapitan Nemo. Zdawał się nas nie widzieć. Twarz jego, zwykle tak obojętna, zdradzała pewien niepokój. Popatrzywszy uważnie na busołą i manometr, dotknął palcem punktu mapy półkuli ziemi w tym miejscu, które wyobrażało morza południowe. Nie chciałem mu przerywać. Dopiero po kilku chwilach, kiedy odwrócił się do mnie — rzekłem, zwracając teraz przeciw niemu wyrażenie, którego użył w Cieśninie Torresa.

— Wypadek, kapitanie?

— Nie, panie — odpowiedział — tym razem nieszczęście.

— Poważne?

— Może.

— Czy w tej chwili grozi nam niebezpieczeństwo?

<sup>197</sup>półszosta (daw.) — pięć i pół. [przypis edytorski]

— Nie.

— „Nautilus” osiadł na dnie?

— Tak.

— A to z powodu?...

— Kaprysu natury, nie zaś nieświadomości ludzi. Ani jeden błąd nie został popełniony w naszych obrotach. Zresztą trudno przeszkodzić skutkom prawa równowagi. Można walczyć z prawami ludzkimi, lecz nie opierać się prawom przyrodzonym.

Dziwną doprawdy chwilę wybrał kapitan Nemo na te uwagi filozoficzne. W rezultacie — odpowiedź jego nic mi nie objaśniła.

— Czy mógłbym wiedzieć, panie — zapytałem — jaka jest przyczyna tej przygody?

— Przewróciła się — odparł — ogromna bryła, cała góra lodu. Gdy lodowce topnieją od dołu pod wpływem cieplejszych warstw wody lub kruszą się tam, uderzając jedno o drugie, wówczas podnosi się ich środek ciężkości, wobec czego przechylają się i w końcu wywracają koziółka. Oto, co się teraz przytrafiło. Jedna z takich brył, wywracając się, uderzyła w „Nautilusa” płynącego pod wodą. Potem, wślizgnąwszy się pod pudło, unosząc go w górę z nieprzewartą siłą, wprowadziła na mniej zwarte pokłady, gdzie obecnie leży na prawym boku.

— A czy nie można wyswobodzić „Nautilusa”, wypróżniając zbiorniki, by tym sposobem przywrócić mu równowagę?

— To właśnie w tej chwili się robi. Może pan słyszeć działanie pomp. Spójrz pan na wskazówkę manometru: widać na niej, że „Nautilus” się podnosi, ale razem z nim podnosi się i lodowiec — i jeżeli jaka przeszkoda nie powstrzyma jego ruchu do góry, to położenie nasze się nie zmieni.

W istocie „Nautilus” pochylony był ciągle na prawy bok. Wyprostowałby się bez wątpienia, gdyby lodowiec się zatrzymał. W takim razie jednak, kto wie, czybyśmy nie uderzyli o spodnią powierzchnię lodowiska; czybyśmy nie zostali straszliwie ściśnięci pomiędzy dwiema warstwami lodów?

Rozmyślałem nad wszelkimi następstwami tego położenia. Kapitan Nemo nie przestawał obserwować manometru. „Nautilus” od chwili uderzenia lodowca podniósł się blisko o sto pięćdziesiąt stóp, ale zachowywał ciągle jednakowy kąt nachylenia.

Nagle lekki ruch dał się uczuć w pudle. Znać było, że „Nautilus” z wolna się prostuje. Przedmioty zawieszane w salonie nabierały widocznie normalnego położenia. Ściany zbliżały się do pionu. Żaden z nas nie wyrzekł słowa. Z bijącym sercem uważaliśmy, czuliśmy to podnoszenie się statku. Podłoga wracała pod naszymi stopami do poziomu. Upłynęło tak z dziesięć minut.

— Wyprostowaliśmy się wreszcie! — zawołałem.

— Tak — rzekł kapitan Nemo, zwracając się ku drzwiom salonu.

— Lecz czy będziemy mogli płynąć?

— Zapewne — odpowiedział — gdyż zbiorniki nie są jeszcze wypróżnione, a po zupełnym ich wypróżnieniu „Nautilus” powinien wrócić na powierzchnię morza.

Kapitan wyszedł i wkrótce poznałem, że powstrzymano z jego rozkazu podnoszenie się „Nautilusa”. W rzeczy samej byłby niedługo uderzył o spód lodowiska; lepiej więc było utrzymać go między dwoma lodami.

— Ślicznieśmy się z tego wywinęli! — rzekł Conseil.

— Tak — odparłem. — Mogliśmy zostać zgnieceni lub co najmniej uwięzieni przez lody. Wówczas z braku powietrza do oddychania... Tak, ślicznieśmy się wywinęli!

— Jeżeli tylko na tym się skończy — mruknął Ned Land.

Nie chciałem zaczynać z Kanadyjczykiem bezużytecznego sporu i nic mu nie odpowiedziałem. Zresztą w tejsze chwili otworzyły się kłapy i światło z zewnątrz rozlało się po salonie przez odsłonięte szyby.

Byliśmy, jak już powiedziałem, otoczeni zewsząd wodą. Ale po obu bokach „Nautilusa” sterczała w odległości dziesięciu metrów olśniewająca ściana lodu. W górze i pod spodem podobna ściana. W górze, bo spodnia powierzchnia lodowiska rozpościerała się jak niezmierny pulap; pod spodem, bo wywrócony lodowiec, osuwając się z wolna, znalazł po bokach dwa punkty oparcia, które utrzymywały go w tym położeniu. „Nautilus” został tedy uwięziony w istotnym tunelu lodowym szerokości około dwudziestu

metrów i wypełnionym spokojną wodą. Łatwo mu więc było wyjść z niego, posuwając się albo naprzód albo w tył i odzyskać o kilkaset metrów poniżej wolne przejście pod lodowiskiem.

Świetlny pułap zagasł, a jednak salon oświetlony był silną jasnością; potężny bowiem odbłask ścian lodowych odbijał gwałtownie snopy światła pochodzące z latarni! Nie zdołam opisać efektu promieni Volty na te ogromne bryły o dziwacznych kształtach, których każdy załom, każdy kant, każda ścianka rzucały odmienne światło, stosownie do słoju lodu. Olśniewająca kopalnia drogich kamieni! A szczególnie szafirów krzyżujących niebieski swój połysk z zielonym połyskiem szmaragdów. Tu i ówdzie opalowe odcienie niezrównanej delikatności przesuwały się wśród iskrzących punktów, jakby ognistych diamentów, których blasku nie mogło znieść oko. Światło latarni „Nautilusa” było sto razy zwiększone, jak światło lampy wśród soczewkowych blaszek pierwszorzędnej latarni morskiej.

— Jakie to piękne, jakie piękne! — zawołał Conseil.

— Tak! — rzekłem. — Cudowny to widok. Nieprawdaż, Nedzie?

— O tak! Do tysiąca diabłów! — krzyknął Ned Land. — To wspaniałe! Wściekam się ze złości, że muszę to przyznać. Nie widziałem nigdy nic podobnego. Ale to widowisko może nas drogo kosztować i jeżeli mam wszystko powiedzieć, zdaje mi się, że widzimy tu rzeczy, które Bóg chciał zakryć przed okiem człowieka.

Ned miał słuszną rację: to było za piękne. Nagle odwróciłem się na krzyk Conseil’a.

— Co się stało? — zapytałem.

— Niech pan zamknie oczy! Niech pan nie patrzy!

Mówiąc to, Conseil przyciskał silnie dłonią powieki.

— Ale co ci jest, mój chłopcze?

— Jestem olśniony, oślepiiony!

Oczy moje zwróciły się mimowolnie na szybko, ale nie mogłem znieść pałającego w niej ognia.

Zrozumiałem, co zaszło. „Nautilus” zaczął posuwać się z wielką szybkością. Wszystkie spokojne blaski ścian lodowych zmieniły się wówczas w płonące pręgi. Ognie tych niezliczonych diamentów zlewały się w jedno. „Nautilus” pędzony swą śrubą płynął wpośród błyskawic.

Wówczas klapy na szybach salonu zamknęły się. Trzymaliśmy wciąż dłonie na oczach przenikniętych zupełnie tymi współśrodkowymi światelkami, które krążą przed siatkówką, gdy promienie słoneczne zbyt silnie w nią uderzą. Potrzeba było pewnego czasu, by uśmierzyć wzburzenie naszego wzroku.

Na koniec opuściliśmy ręce.

— Dalibóg, nie byłbym nigdy temu uwierzył — rzekł Conseil.

— A ja dotąd nie wierzę — odparł Kanadyjczyk.

— Gdy powrócimy na ziemię — dodał Conseil — rozpieszczeni tylu cudami natury, cóż wtedy pomyślimy o tych nędznych łąkach i drobnych dziełach, które wyszły z ręki człowieka? Nie, świat zamieszkały nie jest nas godzien.

Podobne wyrazy w ustach obojętnego Flamandczyka wskazują, do jakiego stopnia doszedł nasz zapal. Ale Kanadyjczyk nie zaniedbał rzucić nań kroplę zimnej wody.

— Świat zamieszkały! — rzekł, wstrząsając głową. — Bądź spokojny, przyjacielu Conseil, nie wróćmy do niego.

Była wówczas godzina piąta rano. W tej chwili na przodzie „Nautilusa” nastąpiło nowe wstrząśnienie. Domyśliłem się, że ostroga jego musiała uderzyć o bryłę lodu, wskutek zapewne fałszywego obrotu, albowiem ten tunel podmorski zawałony krami niełatwy był do żeglugi. Sądziłem więc, że kapitan Nemo, zmieniając kierunek, okrąży owe zawady albo przesuwać się będzie krętymi przesmykami tunelu. W każdym razie pochód naprzód nie mógł być całkiem zatamowany. Tymczasem wbrew memu oczekiwaniu „Nautilus” zrobił silny ruch wsteczny.

— Cofamy się? — rzekł Conseil.

— Tak — odpowiedziałem — zapewne z tej strony tunel jest bez wyjścia.

— A wtedy?...



— Wtedy — rzekłem — zwrot będzie bardzo prosty. Cofniemy się i wypłyniemy przez otwór południowy.

Mówiąc to, starałem się okazać większą pewność, niż miałem w istocie. Wszakże wsteczny ruch „Nautilusa” stawał się coraz szybszy i w tym kierunku unosił nas z wielką prędkością.

— Będzie stąd opóźnienie — rzekł Ned.

— Co znaczy parę godzin mniej lub więcej, byleby tylko się wydostać.

Przechadzałem się przez kilka minut z salonu do biblioteki. Towarzysze moi, siedząc, milczeli. Po chwili, rzuciwszy się na sofę, wziąłem do ręki książkę i przebiegałem ją machinalnie oczyma.

Po kwadransie Conseil, zbliżywszy się do mnie, zapytał:

— Czy to bardzo zajmujące, co pan czyta?

— Bardzo! — odpowiedziałem.

— Wierzę, bo pan czyta swoją własną książkę.

— Moją książkę?

W rzeczy samej, trzymałem w ręku dzieło *O wielkich głębiach morskich*. Nawet nie zauważyłem tego. Zamknąłem książkę i zacząłem się znowu przechadzać. Ned i Conseil wstali, by odejść.

— Zostańcie, przyjaciele — rzekłem, zatrzymując ich. — Bądźmy razem, dopóki nie wydostaniemy się z tej matni.

— Jak się panu podoba — odpowiedział Conseil.

Upłynęło kilka godzin. Spoglądałem często na narzędzia wiszące na ścianach salonu. Manometr wskazywał, że „Nautilus” trzymał się w jednostajnej głębokości trzystu metrów; busola, że się kierował ciągle ku południowi; log, że się posuwał po dwadzieścia mil na godzinę — szybkość niezmierna w tak ciasnej przestrzeni. Ale kapitan Nemo wiedział, że nie może się ociągać, bo w takim położeniu minuty ważyły tyle co wieki.

O godzinie ósmej minut dwadzieścia pięć nastąpiło powtórne wstrząśnienie. Tym razem z tyłu statku. Towarzysze moi zbliżyli się do mnie. Pochwyciłem Conseil’a za rękę. Pytaliśmy się nawzajem spojrzeniem nierównie wymowniej, niż gdybyśmy wyrażali myśli nasze ustami.

W tej chwili kapitan wszedł do salonu. Podeszliśmy do niego.

— Droga jest zatarasowana od południa? — zapytałem.

— Tak panie, lodowiec, wywracając się, zatamował wszelkie wyjścia.

— Jesteśmy zamknięci?

— Tak.

## BRAK POWIETRZA

Tak więc dokoła „Nautilusa”, z wierzchu, pod spodem, nieprzebyta ściana lodu. Byliśmy więźniami lodowiska. Kanadyjczyk uderzył w stół swoją olbrzymią pięścią. Conseil milczał, ja patrzyłem na kapitana. Oblicze jego przybrało wyraz zwykłej obojętności. Skrzyżował ręce na piersiach, rozmyślał. „Nautilus” już się nie ruszał. Wówczas kapitan przemówił:

— Panowie — rzekł spokojnym głosem — w takich warunkach, w jakich się znajdujemy, istnieją dwa sposoby śmierci.

Niepojęty ten człowiek miał minę profesora matematyki rozwiązującego uczniom zagadnienie.

— Pierwszy — mówił dalej — jest umrzeć zmiażdżonym, drugi — umrzeć z uduszenia. Nie wspominam o możliwości śmierci z głodu, bo zapasy „Nautilusa” przetrwają nas zapewne. Zajmijmy się zatem wyborem zmiażdżenia lub uduszenia.

— Co do uduszenia, kapitanie — odparłem — nie potrzebujemy się go obawiać, bo nasze zbiorniki są pełne.

— Prawda — rzekł kapitan Nemo — ale nie dadzą nam więcej niż na dwa dni powietrza. Otóż dopiero trzydzieści sześć godzin jesteśmy zanurzeni w wodzie, a już zgęszczona atmosfera „Nautilusa” wymaga odświeżenia. Za czterdzieści osiem godzin nasz zapas zupełnie się wyczerpie.

— A zatem, kapitanie, wyswobodźmy się przed upływem czterdziestu ośmiu godzin.

— Spróbujemy przynajmniej, przebijając otaczającą nas ścianę.  
— Z której strony? — zapytałem.  
— To nam sonda pokaże. Każę opuścić „Nautilusa” na dno lodowca, a moi ludzie opatrzeni w przyrządy nurkowe rozbijać go będą z najcieńszego boku.

— Czy można odsunąć osłony okien?

— Bezpiecznie; wszak już nie płyniemy.

Kapitan Nemo wyszedł. Wkrótce rozlegający się świst dał mi poznać, że woda nappełniała zbiorniki. „Nautilus” opuszczał się powoli i osiadł na lodzie w głębokości trzystu pięćdziesięciu metrów.

— Moi przyjaciele — rzekłem — położenie nasze jest niebezpieczne, ale liczę na waszą odwagę i energię.

— Panie — odparł Kanadyjczyk — nie pora na to, żebym miał pana nudzić moimi skargami. Gotów jestem zrobić wszystko dla wspólnego ocalenia.

— Tak należy, Ned! — zawołałem, podając mu rękę.

— Dodam jeszcze — mówił dalej — zem równie wprawny do oskarda jak do oszczerstwa; jeżeli mogę się na co przydać kapitanowi Nemo, to niechaj mną rozporządza do woli.

— Nie odrzuci zapewne twojej pomocy. Chodź, Ned!

Zaprowadziłem Kanadyjczyka do pokoju, w którym majtkowie „Nautilusa” przywdziewali przybory nurkowe. Oznajmiłem kapitanowi propozycję Neda i została przyjęta. Kanadyjczyk włożył odzież podwodną i jednocześnie z innymi gotów był do pracy. Każdy z nich miał na plecach przyrząd Rouquayrola, któremu zbiorniki dostarczały obfitą ilość świeżego powietrza. Lampy Ruhmkorffa stawały się zbyteczne wśród tych wód świetlnych i przeniknionych promieniami elektrycznymi.

Gdy Ned Land był już ubrany, wróciłem do salonu i stanąwszy obok Conseil’a, przypatrywałem się przez odsłonięte szyby pokładom, na których spoczywał „Nautilus”.

Po kilku minutach ujrzeliśmy tuzin majtków, wychodzących na lodową ławicę, a pośród nich Neda Landa odznaczającego się wysokim wzrostem. Kapitan Nemo był z nimi.

Przed rozpoczęciem rąbania zarządził on sondowanie, żeby zapewnić dobry kierunek robót. Zapuszczono długie świdry z boków, ale choć świdry zagłębiły się tu na 15 metrów w ściany lodowe, to jednak nie zdołały ich przebić. Bezcelowe też byłoby atakowanie warstwy stanowiącej pułap, gdyż tworzył ją lodowiec grubości 400 metrów. Kapitan Nemo kazał więc sondować warstwę spodnią. Tam dziesięć metrów dzieliło nas tylko od wody; taka bowiem była grubość owej kry. Należało więc wyciąć kawał lodu odpowiedni wielkością i kształtem poziomemu przecięciu „Nautilusa”. Chodziło tedy o wyrąbanie sześciu tysięcy pięciuset metrów sześciennych, by zrobić otwór, przez który moglibyśmy dostać się pod spód lodowego obszaru.

Zabrano się natychmiast do roboty, prowadząc ją z niewysłownym zapałem i wytrwałością. Zamiast wyrąbywać lód dokoła „Nautilusa”, co by niemałą przedstawiało trudność, kapitan Nemo kazał w odległości ośmiu metrów od lewego boku zakreślić ogromny dół; po czym zaczęto świdrować jednocześnie w kilku punktach jego obwodu. Niezadługo oskard ugodził dzielnie w tę zbitą masę i grube kawały lodu oderwane zostały od całej bryły. Ujrzałem wtedy ciekawe zjawisko: wskutek ciężkości gatunkowej kawały lodu lżejsze od wody ulatywały, że tak powiem, pod sklepienie tunelu, którego grubość o tyle zwiększała się w górze, o ile traciła na spodzie. Ale mniejsza o to, skoro spodnia warstwa stawała się o tyle cieńsza.

Po dwóch godzinach energicznej pracy Ned Land powrócił zmęczony. On i jego towarzysze zastąpieni zostali przez świeżych robotników, do których przyłączyłem się teraz z Conseil’em. Kierunek<sup>198</sup> nad nami objął porucznik „Nautilusa”.

Woda wydała mi się szczególnie zimna; ale rozgrzałem się rychło, robiąc oskardem. Ruchy moje były bardzo swobodne, lubo<sup>199</sup> odbywały się pod ciśnieniem trzydziestu atmosfer.

Kiedym powrócił po dwugodzinnej pracy, żeby się nieco posilić i odpocząć, znalazłem znaczną różnicę pomiędzy czystym powietrzem dostarczonym mi przez przyrząd

<sup>198</sup>kierunek — tu: kierownictwo. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>lubo (daw.) — choć. [przypis edytorski]

Rouquayrola, a atmosferą „Nautilusa” nasyconą już gazem węglowym. Powietrze nie było odświeżane od czterdziestu ośmiu godzin i ożywcze jego własności bardzo osłabły. A jednak w przeciągu dwunastu godzin wyrąbaliśmy dopiero na zarysowanej przestrzeni warstwę lodu grubości jednego metra, czyli około sześciuset metrów sześciennych. Przypuszczając, że tyleż zrobimy co każde dwanaście godzin, potrzeba było jeszcze pięciu nocy i czterech dni na dokonanie tego przedsięwzięcia.

— Pięć nocy i cztery dni! — rzekłem do moich towarzyszków. — A mamy już tylko na dwa dni powietrza w zbiornikach.

— Nie licząc — odparł Ned — że wyszedłszy z tej piekielnej matni, będziemy jeszcze uwięzieni pod lodowiskiem bez możliwości zetknięcia się z atmosferą.

Słuszna uwaga. Któż wtedy mógłby przewidzieć minimum czasu potrzebnego do naszego wyswobodzenia? Czy brak powietrza nie udusi nas wprzód jeszcze, nim „Nautilus” zdoła wypłynąć na wierzch fali? Czy przeznaczono mu zginąć w tym grobie lodowym wraz z wszystkim, co w sobie zawiera? Położenie zdawało się straszne. Każdy z nas jednak śmiało patrzył mu w oczy i wszyscy postanowili do ostatka spełniać swoją powinność.

Jak przewidziałem, nowa warstwa grubości jednego metra wycięta została przez noc w ogromnym korycie. Ale z rana, przebiegając w przyrządzie nurkowym wśród płynnego żywiołu przy temperaturze sześciu do siedmiu stopni poniżej zera, spostrzegłem, iż boczne ściany powoli zbliżają się ku sobie. Warstwy wody oddalone od wyrąbanego zagłębienia, nieogrzewane pracą ludzi ani działaniem narzędzi, okazały widoczną dążność do zakrzepnięcia. Wobec tego nowego a strasznego niebezpieczeństwa, czymże się stawały nasze usiłowania ratunku? Jakim sposobem przeszkodzić stężeniu tego płynu, które by strzaskało jak szklankę ściany „Nautilusa”?

Nie wspominałem nic o tym mym towarzyszkowi. Na cóż bowiem zdołoby się odbierać im energię, z jaką prowadzili uciążliwą pracę ocalenia! Ale, wróciwszy na statek, ostrzegłem kapitana Nemo o tym ważnym powikłaniu.

— Wiem — odrzekł mi owym spokojnym tonem, którego nie mogły zakłócić najgroźniejsze okoliczności. — Jest to jedno więcej niebezpieczeństwo, ale nie widzę żadnego sposobu, by mu zapobiec. Jedynym środkiem ratunku jest działać szybciej niż zamrażanie. Trzeba je wyprzedzić. Oto wszystko.

Wyprzedzić! Powiniennem być już przywyknąć do tego rodzaju wyrażen.

W ciągu tego dnia robiłem gorliwie przez wiele godzin oskardem. Ta praca mnie podtrzymywała. Zresztą pracować było to opuścić „Nautilusa”, oddychać bezpośrednio powietrzem pochodzącym ze zbiorników i dostarczonym przez przyrządy; było to porzucić zubożałą i zepsutą atmosferę.

Do wieczora rów pogłębił się znowu o jeden metr. Wróciwszy na statek, o mało nie zostałem uduszony gazem węglanym przesycającym powietrze. Ach! Czemuż nie posiadaliśmy odczynników chemicznych, które by usunęły ten gaz zabójczy! Nie brakło nam tlenu. Wszystka ta woda zawierała go w znacznej ilości, a rozłożona przez nasze potężne stopy, byłaby go nam obficie dostarczyła. Pomyślałem o tym; lecz na co to się zdało, skoro kwas węglowy wytwarzany ustawicznie przy naszym oddychaniu ogarnął wszystkie części statku? Chcąc go pochłoniąć, należało wypełnić naczynia potażem i ciągle nimi poruszać. Otóż nie mieliśmy na statku tego ciała i nic go nie mogło zastąpić.

Tegoż wieczora kapitan Nemo musiał otworzyć kurki zbiornika i wpuścić wewnątrz „Nautilusa” strumień świeżego powietrza. Bez tej przeczności, nie byłibyśmy się już zbudzili.

Nazajutrz, 26 marca, wziąłem się do roboty górniczej, zaczynając piąty metr. Ściany boczne i spodnia powierzchnia lodowiska widocznie grubiały. Oczywiście było rzeczą, że zejść się, zanim „Nautilus” zdoła się wyswobodzić. Na chwilę owładnęła mną rozpacz. Oskard o mało nie wypadł mi z ręki. Na co się zdało rąbać, skoro miałem zginąć zduszony, zmiażdżony przez tę wodę, co się stawała kamieniem; skoro czekały mnie męczarnie, jakich nawet okrucieństwo dzikich nie potrafiłoby wymyślić! Zdawało mi się, że między znajdował pomiędzy dwiema szczękami straszliwej paszczy potwora, które się nieodparcie przymykały.

W tej chwili kapitan Nemo, kierujący robotą i pracujący razem z innymi, przeszedł koło mnie. Trąciłem go z lekka i wskazałem ściany naszego więzienia. Ściana z prawego boku zbliżyła się przynajmniej o cztery metry do pudła „Nautilusa”.

Kapitan zrozumiał mnie i dał mi znak, bym za nim poszedł. Wróciliśmy na statek. Zdjąwszy przyrząd nurkowy, udałem się do salonu.

— Panie Aronnax — powiedział — trzeba się chwycić jakiego heroicznego środka albo zostaniemy zamurowani w tej wodzie tężejącej jak cement.

— Tak — rzekłem — ale co począć?

— Ach! — zawołał — Gdyby mój „Nautilus” był tak silny, żeby mógł znieść to ciśnienie i nie zostać zgruchotany!

— Więc cóż? — zapytałem, nie pojmując myśli kapitana.

— Nie domyślasz się pan — odparł — że to marznięcie wody byłoby nam właśnie pomocą! Nie widzisz pan, że przez swoje stężenie rozsadałoby więzące nas obszary lodu, jak rozsada, marznąc, najtwardsze kamienie? Nie czujesz pan, że zamiast być przyczyną zguby, stałoby się czynnikiem ocalenia?

— Tak, kapitanie, może. Ale jakkolwiek „Nautilus” posiada wielką siłę oporu, nie zdołałby wytrzymać tak niezmiernego ciśnienia i splaszczylby się na listek blachy.

— Wiem, panie. Nie należy więc liczyć na pomoc przyrody, lecz na nas samych. Trzeba się oprzeć temu stężeniu, trzeba je pohamować. Nie tylko przybliżają się boczne ściany, ale z przodu i z tyłu „Nautilusa” nie pozostaje już nawet dziesięciu stóp wody. Zamarzanie ze wszech stron nas ogarnia.

— Jak długo jeszcze — zapytałem — powietrze zbiorników pozwoli nam oddychać na statku?

— Pojutrze — odrzekł — zbiorniki będą już próżne.

Zimny pot wystąpił mi na czoło. A jednak, czy odpowiedź ta powinna była mnie zdziwić? Dwudziestego drugiego marca „Nautilus” zanurzył się w wolnych wodach bieguna. Mieliśmy teraz dwudziesty szósty. Od pięciu dni żyliśmy zapasami statku! A co zostało jeszcze czystego powietrza, to należało zachować dla pracujących w wodzie. W chwili, gdy piszę te wyrazy, doznaję jeszcze tak silnego wrażenia, że ogarnia mnie mimowolna trwoga i czuję niemal, iż braknie mi w piersiach oddechu.

Tymczasem kapitan Nemo, milczący, nieruchomy — rozmyślał. Widocznie myśl jakaś cisnęła mu się do głowy. Ale zdawał się ją odpychać; odpowiadał sam sobie przecząco. Nareszcie wybiegły mu z ust te wyrazy:

— Woda wrząca.

— Woda wrząca! — zawołałem.

— Tak, panie. Jesteśmy zamknięci w dość ciasnej względnie przestrzeni. Czyżby strumienie wrzącej wody wyrzucane ciągle z pomp „Nautilusa” nie podniosły temperatury tej przestrzeni i nie opóźniły zamarznięcia?

— Trzeba spróbować — rzekłem stanowczo.

— Spróbujemy, panie profesorze.

Termometr wskazywał wówczas zewnątrz statku<sup>200</sup> siedem stopni zimna. Kapitan Nemo zaprowadził mnie do kuchen, gdzie działały obszerne przyrządy dostarczające przez parowanie wody do picia. Napelniano je wodą i całkowite ciepło stosów puszczone zostało przez zanurzone w niej węzownice. Po kilku minutach woda ta dosięgała stu stopni! Zwrócono ją do pomp, a w miarę ubywania zastępowano wciąż świeżą. Gorąco wywiązane ze stosów było tak wielkie, że zimna woda czerpana z morza, przeszedłszy zaledwie przez przyrząd, wpływała wrząca do pompy.

Zaczęło się pompowanie i po upływie trzech godzin termometr zewnątrz statku wskazywał sześć stopni poniżej zera. W dwie godziny potem wskazywał już tylko cztery.

— Powiedzie się nam — rzekłem do kapitana po zbadaniu i skontrolowaniu przez liczne spostrzeżenia postępu tej operacji.

— Tak myślę — odpowiedział. — Nie zostaniemy zmiażdżeni, pozostaje nam tylko lękać się uduszenia.

<sup>200</sup>zewnątrz statku — dziś: na zewnątrz (...). [przypis edytorski]

— Przez noc temperatura wody podniosła się do jednego stopnia nad zero. Wrzące wytryski nie zdołały posunąć jej wyżej. Ale ponieważ zamarzanie morza następuje dopiero przy dwóch stopniach zimna, byłem więc pod tym względem zupełnie spokojny.

Nazajutrz, dwudziestego siódmego, rów wydrążony był do głębokości sześciu metrów. Pozostawało zatem do wyrąbania tylko cztery metry, to jest na czterdzieści osiem godzin pracy. Powietrze nie mogło już być odnawiane wewnątrz „Nautilusa”. Toteż dzień ten stawał się co chwila przykrzejszym.

Przygniotła mnie nieznośna ciężkość. Około godziny trzeciej po południu męczące to uczucie wzrosło do wysokiego stopnia. Ziewanie rozciągało mi szczęki. Płuca moje dyszały, szukając tego utleniającego płynu, który stawał się coraz rzadszy. Umysł mój zaczął bezwładnieć. Leżałem rozciągnięty bez sił, prawie bez przytomności. Poczciwy mój Conseil, nawiedzony tymiż samymi objawami, doznając tych samych cierpień, nie opuszczał mnie ani na chwilę. Brał mnie za rękę, dodawał odwagi, szeptał:

— Ach! Gdybym mógł nie oddychać, żeby zostawić panu więcej powietrza.

Słyszając to, czułem, że łyzy cisnęły mi się do oczu.

Przy tak nieznośnym położeniu wewnątrz statku, z jakimż pośpiechem, z jaką radością wdzwiewaliśmy przyrządy nurkowe, gdy przyszła na nas kolej do pracy! Oskardy dudniły po lodzie, męczyły się ręce, kaleczyły dłonie. Lecz cóż znaczyło znużenie i rany? Ożywcze powietrze płynęło w płuca! Oddychaliśmy! Oddychaliśmy!

A jednak nikt nie przedłużał swojej podwodnej pracy nad czas oznaczony. Po skończeniu roboty, każdy oddawał ciężko dyszącym towarzyszom ów życiodajny zbiornik. Kapitan Nemo dawał przykład i pierwszy ulegał tej surowej karności. Gdy przyszła pora, ustępował swój przyrząd innemu i wracał do zepsutej atmosfery statku, zawsze spokojny, bez śladu zniechęcenia, bez skargi.

Tegoż dnia robota wykonywana była z większą jeszcze dokładnością. Pozostały już tylko dwa metry do wyrąbania na całej przestrzeni rowu. Dwa metry tylko dzieliły nas od wolnego morza. Ale zbiorniki powietrza były już prawie wyczerpane. Niewielką pozostałość należało zachować dla robotników. Ani jednego atomu dla „Nautilusa”.

Wróciwszy na statek, zostałem na wpół zaduszony. Co za noc! Nie zdołam jej opisać. Takie cierpienia nie dają się wyrazić. Nazajutrz mój oddech stał się jeszcze cięższy. Do bólu głowy przyłączył się odurzający zawrót, wskutek czego byłem jak pijany. Towarzysze moi doznawali takich samych objawów, kilku ludzi załogi prawie konało.

W tym dniu, szóstym naszego uwięzienia, kapitan Nemo, uważając działanie motyk i oskardów za zbyt powolne, postanowił zgnieść warstwę lodu dzielącą nas jeszcze od morskiej głębin. Ten człowiek zachował całą swą zimną krew i energię. Siłą moralną pokonywał cierpienia fizyczne. Myślał, obliczał, działał.

Na rozkaz jego ulżono statkowi, który wskutek zmiany ciężkości gatunkowej uniósł się z lodowego łożyska. Sprowadzono go wtedy nad ów ogromny rów zakreślony odpowiednio do rozmiarów statku i napełniono zbiorniki wodne: „Nautilus” opuścił się i osiadł w rowie.

Wówczas cała załoga wróciła na statek i podwójne drzwi szczelnie zamknięto. „Nautilus” leżał na warstwie lodu niemającej nawet całego metra grubości i podziurawionej świrdrami w tysiącu punktów.

Otworzono zupełnie kurki zbiorników, w które wpadło sto sześciennych metrów wody, zwiększając ciężar „Nautilusa” o sto tysięcy kilogramów.

Czekaliśmy, nasłuchując i zapominając o swych cierpieniach, żywiąc jeszcze nadzieję. Była to ostatnia stawka w grze ocalenia!

Pomimo szumu napełniającego mi głowę usłyszałem drżenie pod pudłem „Nautilusa” zaczynającego się poruszać. Lód pękał ze szczególnym trzaskiem podobnym do darcia papieru i „Nautilus” opuścił się.

— Przedzieramy się! — szepnął mi Conseil do ucha.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Porwałem go tylko za rękę i mimo woli konwulsyjnie ścisnąłem.

Nagle party olbrzymim obciążeniem „Nautilus” wpadł w wodę jak kula, to jest wleciał jakby w próżnię.

Natenczas całą siłą elektryczną zwrócono na pompy, które zaczęły natychmiast wyrzucać wodę ze zbiorników. Po kilku minutach spadanie nasze zostało pohamowane.

Niezdługo nawet manometr pokazał ruch do góry. Śruba, wirując z całą szybkością, sprawiała, że żelazne pudło drżało w samych nawet nitach, i unosiła nas ku północy.

Ale jak długo miała trwać żegluga pod lodowiskiem do miejsca wolnego na morzu? Może cały dzień jeszcze? Byłbym wprzód umarł!

Na wół rozciągnięty na sofie w bibliotece, dusiłem się. Twarz moja zrobiła się fioletowa, usta sine; wszystkie władze życiowe zostały w zawieszeniu. Nie widziałem już, nie słyszałem. Pojęcie czasu zatarło się w mym umyśle. Muskuly nie mogły się ściągać.

Nie mógłbym oznaczyć liczby przebytych w tym stanie godzin. Miałem jednak poczucie zaczynającego się konania. Wiedziałem, że umieram...

Nagle odzyskałem przytomność. Kilka tchnień powietrza przeniknęło me płuca. Czy wypłynęliśmy na powierzchnię fali? Czyśmy przebyli już lodowisko?

Nie! To Ned i Conseil, dwaj zacni przyjaciele, poświęcali się, aby mnie ocalić. Pozostało jeszcze w jednym przyrządzie parę atomów powietrza. Zamiast odetchnąć nim sami, zachowali je dla mnie i dusząc się, sączyli mi życie kropla po kropli. Chciałem odepchnąć przyrząd, zatrzymali mi rękę i oddychałem kilka chwil z rozkoszą...

Spojrzałem na zegar: była godzina jedenasta z rana. Mieliśmy więc 28 marca. „Nautilus” pędził z przerażającą szybkością czterdziestu mil na godzinę!

Gdzież był kapitan Nemo? Czy już nie żył? Czy towarzysze jego pomarli z nim razem?

W tej chwili manometr wskazywał, żeśmy się znajdowali tylko o dwadzieścia metrów pod powierzchnią morza. Zwyczajna kra dzieliła nas od atmosfery. Czy by nie dało się jej przebić?

Może! W każdym razie „Nautilus” miał spróbować. Czulem, że w rzeczy samej przybierał prostopadle położenie, opuszczając tył i podnosząc do góry ostrogę. Wprowadzenie wody starczyło na zmianę równowagi. Potem pchnięty potężnym ruchem swej śruby uderzył w spód kry jakby olbrzymim taranem. Rozbijał ją po trochu, cofał się i godząc znów z całą szybkością, coraz to bardziej rozrywał; aż w końcu wypadł w największym pędzie na wierzch lodowej płyty, druzgocąc ją swym ciężarem.

Otworzono, rzec można oderwano, kłapę — i strumień świeżego powietrza ogarnął wszystkie części „Nautilusa”.

## Z PRZYŁĄDKA HORN DO AMAZONKI

Nie wiem, jak się dostałem na platformę; może mnie Kanadyjczyk zaniósł. Alem oddychał, tykałem ożywcze powietrze morskie. Dwaj moi towarzysze napawali się świeżymi jego atomami. Nieszczęśliwi pozbawieni przez długi czas pożywienia nie mogą bez szkody dla zdrowia zaspokoić od razu głodu pierwszym, jaki im wpadnie, pokarmem. My przeciwnie; nie potrzebując się wcale miarkować, mogliśmy wciągać pełnymi płucami atomy tej atmosfery i wietrzyk, sam wietrzyk wlewał nam w usta rozkoszny ów nektar.

— Ach! — powtarzał Conseil. — Cóż to za dobra rzecz ten tlen. Niech pan śmiało oddycha. Wystarczy go dla wszystkich.

Ned Land nic nie mówił, ale otworzył usta tak szeroko, że przestraszyć mógłby nawet rekina! A co za oddech potężny! Kanadyjczyk „ciągnął” jak piec, w którym się dobrze pali.

Wkrótce odzyskaliśmy siły i kiedym spojrzał dokoła, spostrzegłem, że byliśmy sami na platformie. Nikogo z osady, ani nawet kapitana Nemo. Dziwni marynarze „Nautilusa” poprzestawali na krążącym wewnątrz powietrzu. Żaden nie przyszedł rozkoszować się pełną atmosferą.

Pierwsze wyrazy, którym wymówił, były wyrazami wdzięczności i dziękczynienia dwóm moim towarzyszom. Ned i Conseil przedłużyli me istnienie w ostatnich godzinach tego długiego konania. Cała wdzięczność moja nie mogła wynagrodzić ich za poświęcenie.

— Ba, panie profesorze — odpowiedział Ned Land — nie ma o czym mówić. Jakąż mieliśmy w tym zasługę? Żadnej. Było to rzeczą prostego rachunku. Pańskie życie było więcej warte niż nasze, należało je przeto zachować.

— Nie, Nedzie — odparłem — wcale nie było więcej warte. Nikt bowiem nie jest wyższy nad człowieka dobrego i szlachetnego, a ty nim jesteś.

— No dobrze, dobrze — powtarzał zakłopotany Kanadyjczyk.

— A ty, pocziwy mój Conseilu, dużoś wycierpiał?

— Niewiele, krótko mówiąc. Brakło mi wprawdzie parę łyków powietrza, ale się jakoś bez niego obywał. Zresztą widziałem, jak pan omdlewał, a to nie dawało mi najmniejszej ochoty do oddychania. Zamykało mi to, jak mówią, gę...

Conseil, zmieszany swą paplaniną, nie dokończył.

— Moi przyjaciele — rzekłem żywo wzruszony — jesteśmy na zawsze z sobą związani. Nabyliście do mnie prawa...

— Którego nadużyję — odparł Kanadyjczyk.

— Hę? — mruknął Conseil.

— Tak — mówił Ned Land — prawa zabrania pana z sobą, kiedy opuszczę tego piekielnego „Nautilusa”.

— Ale — wtrącił Conseil — czy płyniemy w dobrym kierunku?

— Tak — odpowiedziałem — ponieważ płyniemy ku słońcu, a słońcem tu jest północ.

— Zapewne — rzekł Ned Land — ale idzie mi o to, żeby wiedzieć, czy się zbliżamy do Oceanu Spokojnego czy też Atlantyckiego, to jest do mórz uczęszczanych czy pustych.

Nie byłem w stanie na to odpowiedzieć i obawiałem się, aby kapitan Nemo nie zechciał nas raczej zaprowadzić na ów bezmierny ocean oblewający zarazem brzegi Azji i Ameryki. Wprawdzie tym sposobem uzupełniłby swą podróż podmorską naokoło świata i powrócił na morza, na których „Nautilus” odzyskiwał najzupełniejszą niezależność. Gdybyśmy wszakże mieli wrócić na wody Pacyfiku, z dala od wszelkich lądów zaludnionych, to cóż się stanie z projektami Neda Landa?

Wątpliwość ta jednak musiała się rychło wyjaśnić. „Nautilus” płynął szybko. Koło biegunowe zostało rychło przebyte; przód statku zwrócony był do Przylądka Horn. Trzydziestego pierwszego marca o siódmej wieczorem znajdowaliśmy się naprzeciw tego południowego cypla Ameryki.

Wówczas to zapomniane zostały wszystkie minione cierpienia. Wspomnienie uwięzienia przez lody zatarło się w naszym umyśle. Myśleliśmy już tylko o przyszłości. Kapitan Nemo nie zjawiał się ani w salonie, ani na platformie. Punkt położenia naszego, oznaczany codziennie na mapie porucznika, pozwalał mi rozpoznawać dokładnie kierunek „Nautilusa”. Otóż tego wieczora widoczne było, ku wielkiemu mojemu zadowoleniu, żeśmy wracali na północ przez Atlantyck.

Zawiadomiłem Kanadyjczyka i Conseila o rezultacie mych spostrzeżeń.

— Dobra nowina — rzekł Kanadyjczyk — lecz dokąd „Nautilus” zmierza?

— Nie umiem ci tego powiedzieć.

— Czyżby się zachciało kapitanowi, spróbować biegun południowego, rzucić się na biegun północny i wrócić na Ocean Spokojny przez słynne przejście północno-zachodnie?

— Nie trzeba by poddawać mu tej myśli — wtrącił Conseil.

— A więc — rzekł Kanadyjczyk — wprzód jeszcze wymówimy mu nasze towarzystwo.

— W każdym razie — dodał Conseil — ten kapitan Nemo to mistrz w swoim rodzaju i nie będziemy żalowali, żeśmy go poznali.

— Zwłaszcza kiedy go pożegnamy — odparł Ned Land.

Nazajutrz, 1 kwietnia, gdy „Nautilus” na parę minut przed południem wypłynął na wierzch, ujrzeliśmy ląd na zachodzie. Była to Ziemia Ognista, której pierwsi żeglarze nadali to miano, widząc gęste dymy wznoszące się z szałasów krajowców. Ta Ziemia Ognista tworzy znaczną gromadę wysp rozciągającą się na trzydzieści mil francuskich wzdłuż, a osiemdziesiąt wszcz, pomiędzy 53° i 56° szerokości południowej, a 67° 50' i 77° 15' długości zachodniej. Wybrzeże wydało mi się niskie, lecz w dali piętrzyły się wysokie góry. Dostrzegłem nawet górę Sarmiento wznoszącą się na dwa tysiące siedemdziesiąt metrów nad poziom morza — piramidalną bryłę łupku, z nader śpiczastym szczytem, który, jak mnie zapewniał Ned Land, „wróży pogodę lub niepogodę” stosownie do tego, czy osłonięty jest mgłą, czy też widzialny.

— Doskonały barometr, mój przyjacielu.

— Tak, panie, barometr naturalny, który mnie nigdy nie zwiódł, gdym żeglował pomiędzy rafami Cieśniny Magellańskiej.

W tej chwili szczyt ów rysował się czysto na tle nieba. Była to przepowiednia pogody i sprawdziła się.

„Nautilus”, wróciwszy pod wodę, zbliżył się do brzegu, płynąc wzdłuż niego w odległości kilku mil tylko. Przez szyby salonu widziałem długie wodorosty i olbrzymie fukusy. Te pęcherzowate morszczyzny, których wolne morze biegunowe zawierało parę okazów o lepkiem i lśniącym włóknie, miały do trzystu metrów długości. Istne powrozy, grubsze niż wielki palec u ręki i bardzo mocne; służą też nieraz marynarzom do cumowania statków. Inny znów porost znany pod nazwą webła, z liściem czterostopowym, oblepionym kolorową skamieniałością zaścielał dno morskie, służąc za gniazdo i pożywienie miriadom skorupiaków, krabów, sepii. Tam to foki i wydry znajdowały obfitą ucztę, mieszając na sposób angielski mięso ryb z jarzynami morskimi.

Nad tym żyznym i bujnym dnem morza „Nautilus” sunął z niezmierną szybkością. Ku wieczorowi zbliżył się do Archipelagu Malwińskiego, którego chropowate wierzchołki mogłem nazajutrz rozpoznać. Głębokość morza w tym miejscu była niewielka. Sądziłem więc nie bez przyczyny, że te dwie wyspy otoczone wielką liczbą wysepek tworzyły niegdyś część Ziemi Magellańskiej. Malwiny zostały prawdopodobnie odkryte przez sławnego Johna Davisa, który nadał im miano Davis Southern Islands. Później Richard Hawkins nazwał je Maiden Islands — Wyspami Panieńskimi. Następnie w początkach osiemnastego wieku nazwane zostały przez rybaków z Saint-Malo Malwinami, a na koniec Angliacy, do których obecnie należą, dali im nazwę Wysp Falklandzkich.

Zapuszczane w tych wodach sieci dostarczyły pięknych okazów wodorostów, a zwłaszcza pewnego rodzaju fukusu<sup>201</sup>, którego korzenie obciążone były najsmaczniejszymi z jadalnych ślimaków. Gęsi i kaczkę osiadły tuzinami na platformie i przeszły wnet do spiżarni statku. Z ryb zauważyłem głównie kościste z rodzaju babek, a zwłaszcza diodomy długości dwu centymetrów, usiane na całym ciele białawymi i żółtymi plamami.

Podziwiałem także liczne meduzy i najpiękniejsze z tego rodzaju chryzaory, właściwe wodom malwińskim. Jedne miały kształt półkulistego parasolika w ciemnoczerwone pręgi, zakończonego dwunastoma foremnymi festonami, inne znowu koszyczka, z którego wysuwały się szerokie liście i długie czerwone prątki. Pływały, poruszając swymi czterema liściowatymi ramionami i kołysząc w wodzie obfite zwoje macek. Chciałem zachować kilka okazów tych delikatnych zwierzokrzewów — ale to są mgły, cienie, widma, które po wyjęciu ich z rodzimego żywiołu rozplywają się zaraz i ulatniają.

Gdy ostatnie wyżyny Malwinów zniknęły z widnokregu, „Nautilus” zanurzył się na dwadzieścia do dwudziestu pięciu metrów, sunąc wzdłuż brzegów amerykańskich. Kapitan Nemo nie pokazywał się.

Do 3 kwietnia nie opuszczaliśmy wód patagońskich, płynąc już to po wierzchu, już w głębi oceanu. „Nautilus” przebył szeroki prąd utworzony przez ujście La Platy i znalazł się 4 kwietnia naprzeciw Urugwaju, lecz w odległości pięćdziesięciu mil od brzegu. Kierunek utrzymywał stale na północ i posuwał się prawie równoległe do długich zakrętów wybrzeża Ameryki Południowej. Zrobiliśmy do tego czasu szesnaście tysięcy mil od chwili dostania się na „Nautilusa” na Morzu Japońskim.

Około jedenastej z rana minęliśmy Zwrotnik Koziorożca pod trzydziestym siódmym stopniem długości i opłynęliśmy z daleka Przylądek Frio. Kapitan Nemo, ku wielkiemu nieukontentowaniu Neda Landa, nie lubił widać sąsiedztwa zamieszkałych brzegów Brazylii, bo śpieszył z szaloną szybkością. Żadna ryba, żaden ptak najbystrzejszy nie mógł za nami podążyć i wszystkie przyrodzone osobliwości tych mórz uszły moich spostrzeżeń.

Szybkość ta trwała przez kilka dni; 9 kwietnia wieczorem ujrzeliśmy zachodni cypel Ameryki Południowej, utworzony przez Przylądek San-Roque. Ale wtedy „Nautilus” oddalił się znowu od brzegu, szukając na większych głębiach podmorskich doliny ciągnącej się od tego przylądka do Sierra Leone na brzegu afrykańskim. Dolina ta rozdważyła się na wysokości Antyli i kończy olbrzymią wklęsłością głębokości dziewięciu tysięcy metrów. W tym miejscu pokład geologiczny oceanu przedstawia aż do Małych Antyli skalistą, mierzącą sześć kilometrów wysokości i spiczasto zakończoną ławicę, a na wysokości wysp Przylądka Zielonego drugą taką, nie mniej znaczną ścianę, zamykającą cały roztopiony łąd Atlantydy. Dno owej niezmiernej doliny najeżone jest kilku górami na-

<sup>201</sup>*fikus* (łac. *ficus*) — morszczyzn. [przypis edytorski]



dającymi tym gruntom podmorskim malowniczy widok. Mówię to głównie na zasadzie map znajdujących się w rękopisie w bibliotece „Nautilusa”, wykonanych oczywiście ręką samego kapitana Nemo i według osobistych jego spostrzeżeń.

Przez kilka dni głębokie te i puste wody zwiedzane były za pomocą pochylonych płaszczyzn. „Nautilus” robił długie przekątne zygzaki, unosząc się do rozmaitej wysokości. Ale 11 kwietnia wypłynął raptem na wierzch i ziemia ukazała się znowu przy ujściu rzeki Amazonki, stanowiącym bystry i szeroki prąd, którego wylew do morza jest tak znaczny, że woda w nim na przestrzeni kilku mil traci słoność.

Przebyliśmy równik. O dwadzieścia mil na zachód leżała Gujana, ziemia francuska, na której łatwo znaleźlibyśmy schronienie. Ale wiatr dął gwałtownie i prosta łódź nie mogłaby się utrzymać na rozchukanych falach. Zrozumiał to pewnie Ned Land, bo nic nie mówił. Ja zaś unikałem z mej strony wszelkiej przymówki do jego projektu ucieczki, nie chcąc popychać do przedsięwzięcia, które by się niewątpliwie nie powiodło.

Wynagrodziłem sobie łatwo tę zwłokę, robiąc zajmujące studia. Przez te dwa dni, 11 i 12 kwietnia, „Nautilus” nie opuszczał powierzchni morza i sieci jego dały nam prawdziwie cudowny połów zwierzokrzewów, ryb i płazów.

Kilka zwierzokrzewów zaczepiło się o łańcuchy sieci. Były to po większej części phyc-taliny należące do rodziny anemonów morskich, a między innymi gatunek *Phyctalis prote-xta*, rodem głównie z tej części oceanu — niewielki krążek zdobny prostopadłymi paskami i nakrapiany w czerwone punkciki zakończone prześlicznie rozwiniętymi mackami. Co się tyczy mięczaków, znalazłem same tylko widziane już dawniej okazy, jako to: wieżyczki, purpurowe oliwy z regularnie krzyżującymi się paskami, których rudawe plamki odbijały się żywo na tle cielistym; fantastyczne pterocery, podobne do skamieniałych niedźwiadków; przezroczyste hiale; żeglarki; wyborne do jedzenia sepie i pewne gatunki kałamarnic, które starożytni przyrodnicy mieścili w rzędzie ryb latających, używane głównie na przynętę przy połowie dorszów.

Pomiędzy rybami tych wód, których nie miałem jeszcze sposobności poznać, zauważyłem rozmaite gatunki. Z chrząstkowatych: minogi podobne do węgorza, długości piętnastu cali, z zielonawą głową, fioletowymi płetwami, szaro-niebieskawym grzbietem, brunatno-srebrzystym brzuchem usianym żywego koloru plamami i złotawą tęczęwką. Ciekawe te stworzenia unieść musiał do morza prąd Amazonki, gdyż żyją one w wodach słodkich. Dalej brodawkowate raje z długim i cienkim ogonem, uzbrojone długim, zębatym żądłem; małe, długości jednego metra żarłaczce, o szarej i białawej skórze, których zęby, umieszczone kilku rzędami, ściągają się w tył, znane pospolicie pod nazwą pantoflarzy; żaboryby, rodzaj czerwonawych, równoramiennych trójkątów pół metra długości, których piersiowe płetwy, trzymając się za pomocą mięsistych wydłużeń, nadają im pozór nietoperzy — a z powodu rogowej narośli koło nozdrzy nazwane jednorożcami morskimi; nareszcie kilka gatunków rogatnic, kurasawczyka, którego nakrapiane boki połyskują złotem, i jasnofioletowego kapryśka z mieniącymi się jak gardło gołębie odcieniami.

Zakończę tę nieco za suchą, choć jeszcze bardzo niedokładną nomenklaturę szeregiem ryb ościstych, jako to: passany z rodzaju gołogrzbietów, z nader krótkim, śnieżnej białości pyszczkiem, ciałem pięknego czarnego koloru, opatrzone mięsistym, bardzo długim i cienkim ogonem i dochodzące trzech decymetrów długości sardynki błyszczące żywym, srebrzystym połyskiem, skombry z dwiema podogonowymi płetwami, kolco-grzbiety czarne poławiane za pomocą pochodni długości dwu metrów, z tłustym, białym i twardym mięsem mającym, gdy świeże, smak węgorza, a po wyschnięciu wędzonego lososia. Wymienię jeszcze labroidy na pół czerwone, okryte łuską tylko przy obsadzie grzbietowych płetw, złotopełtwe, na których blask złota i srebra miesza się z połyskiem rubinu i topazu; złotoogoniaste skwary z niezmiernie delikatnym mięsem, posiadające własność świecenia, zdradzającą je w głębi wód, wreszcie pomarańczowe z ostrym językiem tęczaki, ścienice ze złocistą ogonową płetwą, cyruliki morskie, dwuoczki surynamskie itd.

To „itd.” nie przeszkodzi mi wspomnieć jeszcze o pewnej rybie, którą Conseil długo i nie bez racji popamięta.

W jednej z sieci znaleźliśmy rodzaj bardzo płaskiej rai, która po ucięciu ogona miała kształt foremnego koła, ważącej około dwudziestu kilogramów. Była z wierzchu biała, pod spodem czerwona z dużymi, okrągłymi, ciemnoniebieskimi z czarną obwódką plamami;

skórę miała bardzo lśniąca i kończyła się podwójną płetwą. Rozciągnięta na platformie szamotała się, próbowała konwulsyjnymi ruchami obrócić się i robiła tyle wysilen, że za ostatnim podskokiem byłaby już wpadła do wody. Ale Conseil, któremu chodziło o rybę, rzucił się na nią i zanim zdołałem mu przeszkodzić, pochwycił obiema rękoma.

Lecz w mgnieniu oka padł na platformę i wywijając w górze nogami, sparaliżowany w połowie ciała, krzyczał:

— Ach! Panie, panie! Ratuj mnie pan!

Podnieśliśmy go z Kanadyjczykiem i natarliśmy pokurczone ramiona, po czym, odzyskawszy zmysły, ustawiczny ten klasyfikator wyszeptał przerywanym głosem:

— Gromada chrząstkowatych, rząd chrząstkopłetwych ze stałymi skrzelami, podrząd żarłaczy, rodzina rajów, rodzaj drętwek.

— Tak, mój przyjacielu — odpowiedziałem — to drętwek wprawił cię w stan tak smutny.

— Ach! Niech mi pan wierzy — odparł — zemszczę ja się na tym stworzeniu.

— A to jak?

— Zjem je.

Nieborak Conseil trafił na najniebezpieczniejszy gatunek drętwek — kumanę. Dziwne to zwierzę pośród takiego przewodnika jak woda powala ryby w odległości wielu metrów; taką siłę posiada jego organ elektryczny, którego obie główne powierzchnie wynoszą nie mniej niż dwadzieścia siedem stóp kwadratowych.

Nazajutrz, 12 kwietnia, „Nautilus” zbliżył się w ciągu dnia do wybrzeży Gujany holenderskiej około ujścia Maroni. Żyły tam rodzinami liczne gromady manatów<sup>202</sup>, należących jak dugonie i stellery do rzędu syreneidów. Piękne te zwierzęta, spokojne i niedrapieżne, długości sześciu do siedmiu metrów, musiały ważyć przynajmniej po cztery tysiące kilogramów. Powiedziałem Nedowi Landowi, że przezorna przyroda wyznaczyła tym ssącym ważną rolę. One to bowiem, pasąc się również jak foki na podmorskich łąkach, niszczą zbyteczny rozrost traw, zawałających ujścia rzek zwrotnikowych.

— A wiecież<sup>203</sup> — dodałem — co się stało, odkąd człowiek wytepił prawie do szczytu te użyteczne stworzenia? Oto zgnile trawy zatruiły powietrze, a zgnile powietrze to żółta gorączka pustosząca te precudne krainy. Trująca roślinność wzmogła się pod morzami gorącej strefy i kłęska rozwinęła się nieodparcie od ujścia Rio de la Plata aż do Florydy.

Jeżeli wierzyć Toussenelowi, to owa kłęska jest jeszcze niczym w porównaniu z tą, jaka czeka naszych potomków po wytepieniu w morzach fok i wielorybów. Wówczas to przepelnione mątwami, meduzami, kałamarnicami morza te staną się niezmiernym ogniskiem zarazy, bo fale nie będą już posiadały szerokich żołądków, którym Bóg poruczył zbierać szumowiska<sup>204</sup> morskich obszarów.

Na przekór jednak tym teoriom, osada „Nautilusa” upolowała z pół tuzina manatów; chodziło bowiem o zaopatrzenie spiżarni w wyborne mięso, daleko lepsze od wołowego i cielęcego. Polowanie to nie było wcale zajmujące. Manaty dawały się zabijać, nie broniąc się. Zapakowano na statek kilka tysięcy kilogramów mięsa przeznaczonego do suszenia.

Tegoż dnia także niezwykle obfity połów ryb powiększył zapasy „Nautilusa” — gdyż morza te okazały się pełnymi żyjących stworzeń. W oczkach sieci znaleźliśmy pewną ilość ryb z głową zakończoną owalną tarczą o mięsistych brzegach. Były to trzymonawy z trzeciej rodziny miękkipromiennych gardłopłetwych. Płaska na głowie ich tarcza składa się z ruchomych, ukośnych, chrząstkowatych listewek, pomiędzy którymi zwierzę może wytwarzać próżnię, co mu pozwala przylegać do przedmiotów jak bańka.

Trzymonaw (podnawka), którego zauważyłem w Morzu Śródziemnym, należy także do tego gatunku. Ryba jednak, o której mowa, był to trzymonaw kostogłowy właściwy tym morzom. Marynarze nasi, wybierając je z sieci, składali w cebry napełnione wodą.

Ukończywszy połów, „Nautilus” zbliżył się do brzegu. W tym miejscu pewna ilość żółwi morskich spała na powierzchni fali. Trudno byłoby zagarnąć te szacowne płazy, bo najmniejszy szelest je budzi, a twardy pancerz broni od oszczepu. Ale trzymonaw dokonać miał tego pojmania z nadzwyczajną pewnością i dokładnością. Zwierzę to jest w istocie

<sup>202</sup>manaty — ssaki wodne, należące do rzędu syren; osiągają do 4 metrów długości, a ich płetwy zakończone są szczytkowymi kopytkami. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>wiecież — konstrukcja z partykułą -że (skróconą do -ż); znaczenie: czy wiecie. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>szumowiska — dziś: szumowiny. [przypis edytorski]

żywym haczykiem, który by stał się szczęściem i majątkiem naiwnego rybaka łowiącego na wędkę.

Majtkowie „Nautilus” założyli tym rybom na ogon obrączki dosyć szerokie, by nie przeszkadzać im w ruchach — i uwiązali je do długiego sznura przymocowanego drugim końcem do statku. Rzucone w morze trzymonawy rozpoczęły natychmiast swą czynność, czepiając się skorupy żółwi tak zawzięcie, że dałyby się raczej rozszarpać niż oderwać od swej zdobyczy. Ściągnięto tedy je na statek, a z nimi i żółwie, do których przylgnęły.

Tym sposobem złowiono mnóstwo żółwi szylkretowych szerokości jednego metra, ważących po dwieście kilogramów. Pancierz ich, pokryty dwiema cienkimi, przezroczystymi, rogowymi łuskami brunatnego koloru, biało i żółto nakrapianych czynił je wielce szacownymi. Prócz tego dały one wyborne mięso nieustępujące właściwym żółwiom jadalnym mającym, jak wiadomo, smak wyśmienity.

Połowem tym zakończył się nasz pobyt w okolicach Amazonki i z nadejściem nocy „Nautilus” powrócił na pełne morze.

## MĄTWY

W ciągu kilku dni „Nautilus” oddalił się znacznie od brzegów amerykańskich. Nie chciał widocznie nawiedzać fal Zatoki Meksykańskiej lub morza Antyli. Jednakże nie zabrakłoby mu tam wody, bo średnia głębokość owych mórz wynosi tysiąc osiemset metrów; prawdopodobnie atoli<sup>205</sup> obszary te, usiane wyspami i uczęszczane przez liczne parowce, nie przypadają do smaku kapitanowi Nemo.

Szesnastego kwietnia ujrzeliśmy Martynikę i Gwadelupę w odległości około trzydziestu mil. Dostrzegłem ledwie na chwilę wyniosłe ich cyple.

Kanadyjczyk, który zamierzał urzeczywistnić swe projekty w tej zatoce, bądź to dostając się na ląd, bądź też na który z przewozowych krążących pomiędzy jedną wyspą a drugą, doznał tym sposobem wielkiego zawodu. Ucieczka byłaby nader łatwa, gdyby Ned Land zdołał zawładnąć łodzią bez wiedzy kapitana; ale na pełnym oceanie nie było nawet co o tym myśleć.

Kanadyjczyk, Conseil i ja mieliśmy w tym przedmiocie dość długą rozmowę. Od sześciu miesięcy byliśmy więźniami na „Nautilusie”, zrobiliśmy siedemnaście tysięcy mil i, jak mówił Ned Land, nie zanosilo się na to, aby wędrówka ta miała się już skończyć. Chodziło tedy o postawienie kapitanowi Nemo kategoriycznego pytania: czy myślał bez końca trzymać nas na statku?

Miałem wstręt do tego kroku, gdyż, według mojego zdania, nie mógł on do niczego doprowadzić. Nie należało spodziewać się niczego od dowódcy „Nautilusa”, ale liczyć tylko na nas samych. Zresztą od pewnego czasu człowiek ten stawał się coraz bardziej ponury, odosobniony, coraz mniej towarzyski. Zdawał się unikać mnie. Spotykałem go bardzo rzadko. Dawniej znajdował przyjemność w tłumaczeniu mi cudów podmorskich; obecnie pozostawił mnie własnym badaniom i nie przychodził do salonu.

Jaka zmiana w nim zaszła? Z jakiej przyczyny? Nie miałem sobie nic do wyrzucenia. Może zawadzała mu nasza obecność na statku? W każdym razie nie mogłem przypuszczać, żeby się zgodził na przywrócenie nam wolności.

Prosiłem więc Neda, aby pozwolił mi zastanowić się, nim zacznę działać. Gdyby ten krok miał pozostać bez skutku, w takim razie mógłbym tylko wzbudzić podejrzenie kapitana, pogorszyć nasze położenie i zaszkodzić projektom Kanadyjczyka. Dodam tu jeszcze, że nie mogłem powołać się żadną miarą na nasze zdrowie. Z wyjątkiem owej ciężkiej biedy w lodowisku południowego bieguna, ani Ned, ani Conseil, ani ja nigdy nie mieliśmy się lepiej. To zdrowe pożywienie, zdrowe powietrze, ta regularność życia, jednostajność temperatury nie dawały wcale powodu do chorób i w zupełności mogły wystarczać takiemu człowiekowi jak kapitan Nemo, w którym wspomnienie ziemi nie budziło żadnego żalu, który był u siebie, udawał się, dokąd chciał, który drogami skrytymi dla innych, lecz wiadomymi sobie, dążył do swego celu. My jednak nie zerwaliśmy z ludzkością. Co do mnie, nie chciałem zagrzebać wraz z sobą tych nowych i ciekawych studiów. Miałem

<sup>205</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

teraz prawo napisać prawdziwą książkę o morzu i pragnąłem, żeby ta książka rychlej<sup>206</sup> czy później wyjrzała na świat.

Tam nawet, w tych wodach antylskich, gdym zanurzony o dziesięć metrów pod falą patrzył przez odsłonięte szyby, ileż ciekawych okazów wzbogaciło moje codzienne notatki! Były tam, pośród innych zwierzokrzewów: galery znane pod nazwą bąbelnic morskich, rodzaj podłużnych pęcherzy z odblaskiem perłowej muszli, z błoną wydętą wiatrem i rozpuszczonymi jak nitki jedwabne niebieskimi mackami oraz meduzy śliczne dla oka, a w dotknięciu prawdziwe pokrzywy wydzielające gryzącą ciecz. Były tam pomiędzy stawowymi pierścienicami półtora metra długości, uzbrojone różową trąbą i opatrzone tysiącem siedmuset organami ruchu, wijące się w wodach i rzucające przy swym ruchu wszystkie blaski słonecznego widma. Były w gromadzie ryb raje malabarskie, ogromne chrząstkowate dziesięć stóp długości i ważące sześćset funtów, z trójkątną piersiową płetwą, grzbietem w pośrodku nieco wypukłym, oczami umieszczonymi w końcu przedniej części głowy. Raje te, blakając się jak szczątki rozbitego statku, zasłaniały niekiedy niby ciemną okiennicą szyby salonu. Były rogatnice amerykańskie, dla których przyroda miała tylko biały i czarny kolor, płetwiaste babki mięsiste i wydłużone, z wydatną paszczką i żółtymi płetwami, skombry długości szesnastu centymetrów, o krótkich, ostrych zębach, pokryte drobną łuską. Dalej zjawily się chmarami barwny strojne od głowy do ogona złotymi prążkami, poruszając błyszczącymi płetwami, prawdziwe arcydzieła jubilerstwa, poświęcone niegdyś Dianie i poszukiwane szczególnie przez bogatych Rzymian, u których przysłowie o nich mówiło: „Niech ten je jada, kto łowi”. Na koniec kolcolice złociste, zdobne szmaragdowymi opaskami, odziane w aksamit i jedwab, przesuwaly się nam przed okiem jak paziowie z portretów Veronese’a; tęczaki kolczaste kryły się pod swą zwinną piersiową płetwą; piętnastocalowe zębatki tonęły w fosforycznym świetle; mugile<sup>207</sup> rozbiły wodę grubym, mięsistym ogonem; czerwone głębiele zdawały się kosić fale ostrymi płetwami, a godne swej nazwy srebrzyste miesięczniki połyskiwały na poziomie wód jak księżycy z białawym odblaskiem.

Ileż to jeszcze przecudnych a nieznanych okazów byłbym mógł zauważyć, gdyby „Nautilus” nie opuścił się z wolna w głębokie warstwy! Pochylone jego płaszczyzny zanurzały go na dwa do półtrzecia<sup>208</sup> tysiąca metrów. Wtedy cały świat zwierzęcy przedstawiał już tylko lilie morskie, gwiazdy morskie, prześliczne pentakryny, głowy meduz, których prosta łodyga unosiła maleńki kielich, stożki i wreszcie fisurrelle — duży gatunek nadbrzeżnych mięczaków.

Dwudziestego kwietnia podnieśliśmy się do średniej wysokości tysiąca pięciuset metrów. Najbliższą wówczas ziemią były Wyspy Lukajskie<sup>209</sup> rozsiane na powierzchni wód jak gromada brukowców. Sterczały tam wysokie, podmorskie ławice, prostopadłe ściany utworzone z wygładzonych brył rozstawionych na obszernych podwalinach; a pośród nich czerniały głębokie szczeliny, do których dna nasze promienie elektryczne nie mogły dotrzeć.

Skąły te pokryte były dużymi trawami; ogromne blaszecznicze, olbrzymie fukusy tworzyły prawdziwy szpaler wodorosli godzin światła Tytanów.

Rozmawiając z Conseilem i Nedom o tych olbrzymich roślinach, przeszliśmy naturalnym porządkiem do olbrzymich zwierząt morskich. Pierwsze widocznie są przeznaczone na pokarm dla drugich. Dotąd jednakże przez szyby „Nautilusa” stojącego prawie nieruchomo dostrzegałem tylko wśród owych długich porostów głównejsze stawowe z oddziału krótkoogonowych, długonogie lambry, fioletowe kraby i właściwe antylskim morzom skrzydłopławki.

Było około jedenastej, kiedy Ned Land zwrócił moją uwagę na jakiś gwałtowny ruch w gęstwinie wielkich wodorostów.

— Wodorosty te — rzekłem — są prawdziwymi jaskiniami mątw i nie zdziwiłbym się, ujrzawszy kilka tych potworów.

— Jak to! — zawołał Conseil. — Kałamarnice, proste kałamarnice z gromady głonogich?

<sup>206</sup>rychlej — szybciej. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>mugil — inaczej cefal; ryba morska. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>półtrzecia (daw.) — dwa i pół. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>Wyspy Lukajskie — Wyspy Bahama. [przypis redakcyjny]

— Nie — odparłem — lecz mątwy potężnych rozmiarów. Ale przyjaciel Land musiał się omylić, bo nic nie widzę.

— Szkoda — odezwał się Conseil — bo rad bym przypatrzeć się z bliska jednej z owych mątw, o których słyszałem, że zdolne są nawet pociągnąć okręt na dno otchłani. Zwierzęta te nazywają się krak...

— *Krak* będzie dosyć — wtrącił szyderczo Kanadyjczyk.

— Krakeny — dokończył Conseil, nie zważając na żart towarzysza.

— Nigdy nie uwierzę — rzekł Ned Land — żeby istniały takie zwierzęta.

— Czemu nie — odparł Conseil. — Wszak wierzyliśmy w pańskiego narwala.

— Byliśmy w błędzie, panie Conseil.

— Zapewne, lecz tylu innych dotychczas jeszcze w niego wierzy.

— To prawda. Ale co do mnie, postanowiłem nie przypuszczać istnienia tych potworów, chyba wtedy, gdy sam je wezmę pod skalpel.

— A więc — zapytał Conseil — pan nie wierzy w olbrzymie mątwy?

— A któż u diabła kiedy w nie wierzył! — krzyknął Kanadyjczyk.

— Bardzo wielu, przyjacielu Nedzie.

— Ale nie rybacy. Uczeni... może.

— Przepraszam, Nedzie, rybacy i uczeni.

— Ależ ja, który teraz do ciebie mówię — rzekł Conseil z najpoważniejszą w świecie miną — pamiętam doskonale, że widział duży okręt ściągnięty pod fale ramionami głowonoga.

— Widziałeś to? — zapytał Kanadyjczyk.

— Tak, Nedzie.

— Własnymi oczami?

— Na własne oczy.

— I gdzież to, jeśli łaska?

— W Saint-Malo — odpowiedział bez zmieszania się Conseil.

— W porcie? — rzekł szyderczo Ned Land.

— Nie, w kościele — odparł Conseil.

— W kościele! — krzyknął Kanadyjczyk.

— Tak, przyjacielu Nedzie. Był to obraz wyobrażający właśnie taką mątwę.

— Brawo! — zawołał Ned Land, wybuchając śmiechem. — Wybornyś, Conseil'u!

— W istocie, Conseil ma słuszność — rzekłem. — Słyszałem o tym obrazie; ale przedmiot jego wzięty jest z legendy, a wiecie, co trzymać należy o legendach ze stanowiska historii naturalnej. Zresztą gdy idzie o potwory, imaginacja tak łatwo się błąka! Utrzymywano niekiedy, że te mątwy zdolne są pociągnąć okręt, ale niejaki Olaus Magnus mówi o głowonogu długości mili, podobnym raczej do wyspy niż do zwierzęcia. Opowiadają także, że biskup z Nidrosu wystawił raz ołtarz na ogromnej skale; po skończeniu mszy skala zaczęła się ruszać i wróciła do morza. Tą skałą była mątwą.

— I to już wszystko? — zapytał Kanadyjczyk.

— Nie — odrzekłem. — Inny biskup, Pontoppidam z Berghem, mówi również o mątwie, po której cały pułk kawalerii mógł defilować.

— Nieźle jednak przesadzali ci dawni biskupi — mruknął Ned Land.

— W końcu przyrodnicy starożytni wspominają o potworach z paszczą podobną do zatoki, a tak wielkich, że się nie mogły przesunąć przez Cieśninę Gibraltarską.

— Ślicznie! — zawołał Kanadyjczyk.

— Ale cóż właściwie jest prawdą w tych wszystkich opowiadaniach? — zapytał Conseil.

— Nic, moi przyjaciele; nic przynajmniej, co by nie przekraczało granic prawdopodobieństwa, stając się dziedziną legendy lub bajki. W każdym razie imaginacja bazarzy potrzebuje jeżeli nie przyczyny, to choć pozorów. Nie można zaprzeczać, że istnieją bardzo wielkie gatunki kałamarnic, zawsze jednakże mniejsze od wielorybowych. Arystoteles podaje długość jednej kałamarnicy na pięć łokci, to jest przeszło trzy metry i dziesięć centymetrów. Nasi rybacy spotykają często dłuższe nad jeden metr i osiemdziesiąt centymetrów. Muzea w Trieście i Montpellier posiadają szkielety mątw wynoszące dwa

metry. Zresztą według obliczenia przyrodników zwierzę to sześciostopowej tylko długości miałyby macki dochodzące dwudziestu siedmiu stóp, co wystarcza na zrobienie żeń straszliwego potwora.

— Czy poławia się je w naszych czasach? — zapytał Conseil.

— Jeżeli się nie poławia, to przynajmniej żeglarze często je widują. Jeden z moich przyjaciół, kapitan Paweł Bos z Hawru, opowiadał mi kilkakrotnie, iż spotkał takiego ogromnego potwora na Morzu Indyjskim. Ale najbardziej zadziwiające i niedozwalające wątpić o istnieniu tych olbrzymich stworzeń jest wydarzenie z 1861 r.

— Cóż to za wydarzenie? — zapytał Ned Land.

— Oto takie: W roku 1861 na północo-wschodzie Teneryfy, pod tą samą prawie szerokością, pod którą się obecnie znajdujemy, osada awiza „Alektion” spostrzegła pływającą olbrzymią kałamarnicę. Dowódca statku, Bouguer, przybliżywszy się do potwora, natarł nań oszczepem i strzałami, co nie na wiele się zdało, bo kule i oszczepy przechodziły przez to miękkie jak galareta ciało. Po wielu daremnych usiłowaniach udało się w końcu załodze zarzucić na niego pętlicę, która, zsunąwszy się do płetwy ogonowej, zatrzymała się przy niej. Spróbowano wtedy wciągnąć potwora na pokład, lecz ciężar jego był tak wielki, że pod ciśnieniem powroza oderwał się od ogona i pozbawiony tej ozdoby znikł pod wodą.

— To mi przynajmniej fakt! — rzekł Ned Land.

— Fakt niezaprzeczony, mój dzielny Nedzie. Toteż postanowiono nazwać tę mątwę kałamarnicą Bouguera.

— A jakiej też ona mogła być długości? — zapytał Kanadyjczyk.

— Czy nie mierzyła czasem około sześciu metrów? — wtrącił Conseil, który, stanąwszy przy szybie, przyglądał się znowu wklęsłościom i zakrętom ławicy.

— Być może — odrzekłem.

— Czy jej głowa — mówił Conseil — nie była uwieńczona ośmiu mackami wijącymi się w wodzie jak gniazdo węży?

— Właśnie.

— Czy oczy umieszczone na przodzie głowy nie były bardzo wyłupiaste?

— Tak, istotnie.

— A jego paszczeka, czy nie wyglądała zupełnie jak dziób papugi, ale dziób straszny?

— W rzeczy samej.

— A więc, z przeproszeniem pana — rzekł Conseil — oto jeżeli nie kałamarnica Bouguera, to przynajmniej jedna z jej sióstr.

Spojrzałem na Conseila. Ned Land poskoczył ku szybie.

— Straszliwa bestia! — krzyknął.

Zwróciłem się także do okna i mimo woli cofnąłem ze wstrętem. Przed oczami moimi poruszał się okropny potwór godzien figurować w legendach teratologicznych.

Była to ogromnej wielkości kałamarnica, długości ośmiu metrów. Posuwała się tyłem niezmiernie szybko w kierunku „Nautilusa”. Jej osiem ramion, a raczej nóg wyrastających z głowy, które zjednały tym zwierzętom nazwę głowonogich, było dwa razy większych od ciała i kręciło się jak włosy na głowie furii. Można było dokładnie widzieć na powierzchni macek dwieście pięćdziesiąt baniek różnorodnych, w kształcie półkulistych woreczków. Bańki te przylegały czasami do szyb „Nautilusa”, wytwarzając w sobie próżnię. Paszcza tego potwora — dziób rogowy w kształcie dzioba papugi — otwierała się i zamykała prostopadłe. Język z substancji rogowej, uzbrojony kilku rzędami ostrych zębów, wysuwał się, drgając, z tych istnych nożyc. Co za fantazja natury! Ptasi dziób u mięczaka! Ciało jego, wrzecionowate i napęczniałe w środkowej części, tworzyło mięsistą bryłę, która musiała ważyć dwadzieścia do dwudziestu pięciu tysięcy kilogramów. Niestała barwa, zmieniająca się z niezmierną prędkością w miarę podrażnienia zwierza, przechodziła kolejno z szaro-sinej w brunatno-różową.

Co tak drażniło tego mięczaka? Zapewne obecność „Nautilusa”, straszniejszego niż on — przeciw któremu ssące jego ramiona i szczęki były całkiem bezsilne. A jednak, coż to za potwory te mątwy, jak silnym życiem obdarzył je Stwórca; jaka musi być moc ich ruchów, skoro mają aż trzy serca!

Przypadek postawił nas wobec owej kałamarnicy i nie chciałem stracić sposobności starannego zbadania tego okazu głowonoga. Przewyciężyłem wstręt, jaki budził we mnie jego widok i wzięwszy ołówek, zacząłem go rysować.

— Może to ten sam, z którym borykał się „Alektion” — rzekł Conseil.  
— Nie — zauważył Kanadyjczyk — bo ten jest cały a tamten stracił ogon.  
— To by nic nie znaczyło — odpowiedziałem. — Ramiona i ogon tych zwierząt odtwarzają się przez narastanie; a od siedmiu lat ogon kałamarnicy Bouguera miał dosyć czasu, aby odrosnąć.

— Zresztą — odezwał się Ned — jeżeli to nie ten, to może który z tamtych.

W rzeczy samej inne mątwy zjawily się przy szybie z prawego boku. Ciągnęły za „Nautilusem” i słyszałem zgrzyt ich dziobów o żelazne pudło. Mieliśmy ich aż nadto.

Nie przestawałem rysować. Potwory te zachowały w naszych wodach tak jednostajną postawę, że mógłbym je skopiować w skróceniu na szybie. Zresztą posuwaliśmy się z umiarkowaną szybkością.

Nagle „Nautilus” stanął. Raptowne uderzenie wstrząsnęło całym jego szkieletem.

— Musieliśmy o coś uderzyć! — zawołałem.

— W każdym razie — odrzekł Kanadyjczyk — nie ugrzęźliśmy, bo czuję kołysanie.

„Nautilus” w istocie kołysał się, lecz nie posuwał. Ramiona jego śruby nie biły o fale. Po chwili wszedł kapitan Nemo ze swym porucznikiem.

Nie widziałem go już od dawna. Wydawał się bardzo ponury. Nie przemówiwszy do nas, nie widząc nas może, poszedł do szyby i powiedział coś porucznikowi.

Porucznik wyszedł. Wkrótce zamknęły się klapy; pułap zajaśniał. Zbliżyłem się do kapitana.

— Ciekawa kolekcja mątów — rzekłem swobodnym tonem amatora stojącego przed szklaną ścianą akwarium.

— W istocie, panie przyrodniku — odparł — zaraz też weźmiemy się z nimi za bary.

Spojrzałem na kapitana, sądziłem, że go nie zrozumiał.

— Za bary? — powtórzyłem.

— Tak, panie. Śruba stanęła. Myślę, że rogowe szczęki jednej z tych kałamarnic uwięzły w śmigach śruby, co nam przeszkadza płynąć.

— I cóż pan zamierza uczynić?

— Wzniesć się na powierzchnię wody i wymordować to całe robactwo.

— Nielatwe przedsięwzięcie!

— W rzeczy samej. Kule elektryczne bezsilne są wobec tych miękkich ciał, w których nie znajdują dostatecznego oporu do wybuchu. Ale uderzymy na nie siekierami.

— I oszczepem, panie — rzekł Kanadyjczyk — jeśli pan nie odrzucisz mojej pomocy.

— Przyjmuję ją, mości Land.

— Będziemy ci towarzyszyli — rzekłem i postępując za kapitanem Nemo, zwróciliśmy się ku głównym schodom.

Tam z dziesiątek ludzi uzbrojonych w okrętowe siekiery stał gotów do walki. Conseil i ja wzięliśmy siekiery; Ned Land chwycił za oszczep.

„Nautilus” znajdował się wówczas na powierzchni fali. Jeden z marynarzy, stojąc na ostatnich stopniach, odkręcił śruby od klapy. Ale zaledwie mutry zostały zdjęte, kłapa podniosła się z niezmierną gwałtownością, oczywiście pociągnięta bańkami macki mątwy.

Natychmiast jedno z tych długich ramion wślizgnęło się jak wąż do otworu, a dwadzieścia innych zatrzepotało w górze. Cięciem siekiery kapitan Nemo odrąbał ową straszliwą mackę, która wijąc się, stoczyła się po stopniach.

Ale w chwili, gdy tłocząc się jedni na drugich, zdążyliśmy na platformę, dwa drugie ramiona, mignawszy w powietrzu, powaliły stojącego przed kapitanem Nemo majtka i z nieprzpartą siłą porwały go do góry.

Kapitan z okrzykiem zgrozy rzucił się na platformę. Poskoczyliśmy tuż za nim.

Co za okropna scena! Nieszczęsny pochwycony macką i przylgnięty do jej baniek kołysał się w powietrzu za wolą tej ogromnej trąby. Chrapał, dusił, wołał: „Ratunku!”. Wyrazy te wymówione po francusku wprawiły mnie w głębokie osłupienie! Miałem więc na statku rodaka, może kilku...

Ach! To rozdzierające wołanie! Będę je słyszał przez całe życie.

Nieszczęśliwy był zgubiony. Cóż mogło wyzwolić go z tego silnego uścisku. Jednakże kapitan Nemo rzucił się na mątwę i cięciem siekiery odrąbał jeszcze jedno ramię. Porucznik walczył zaciekle przeciw potworom pełzającym po bokach „Nautilusa”. Załoga sypała

razami siekier. Kanadyjczyk, Conseil i ja wtłaczaliśmy żelaza w te mięsiste bryły. Silna woń piżma przenikała powietrze. Było to okropne.

Przez chwilę myślałem, że nieszczęsny oplątany przez mątwę zostanie oswobodzony od potężnych jej ssawek. Z ośmiu ramion siedem już było odciętych. Ostatnie, wstrząsając ofiarą jak piórkiem, wilo się w powietrzu. Lecz w chwili, gdy kapitan Nemo i porucznik rzucili się na nie, zwierzę wypuściło słup czarniawej cieczy wydzielającej się z worka umieszczonego w brzuchu. Byliśmy przez nią oślepieni; a gdy rozwiła się ta chmura, kałamarnica już znikła, z nią zaś i nieszczęśliwy mój rodak.

Z jakąż wściekłością rzuciliśmy się wówczas na potwory! Byliśmy jak opętani. Dzieśięć do dwunastu mątw wdarło się na platformę i boki „Nautilusa”. Zataczaliśmy się w zamieszaniu wśród tych przeciętych kadłubów węzowych, podskakujących w falach krwi i czarnego atramentu. Zdawało się, że owe lepkie macki odrastały jak głowy hydry. Oszczep Neda Landa, tonąc za każdym zamachem w niebieskich oczach kałamarnic, wylupiał je. Ale odważny mój towarzysz powalony został nagle mackami potwora, przed którym nie zdołał się uchylić.

Omiał że mi serce nie pękło ze wzruszenia i zgrozy! Straszny dziób kałamarnicy rozwarł się nad Nedom Landem. Nieszczęśliwy miał być przecięty na dwoje. Skoczyłem mu na ratunek, ale kapitan Nemo mnie wyprzedził. Siekiera jego zniknęła pomiędzy dwiema ogromnymi szczękami, a Kanadyjczyk cudownie ocalony zerwał się i zanurzył swój oszczep w potrójnym sercu mątwy.

— Należało mi się panu odplacić — rzekł kapitan Nemo do Kanadyjczyka.

Ned skłonił się i nic nie odpowiedział.

Walka trwała przez kwadrans. Pokonane, porąbane, pozabijane potwory ustąpiły nam wreszcie z placu i znikły pod wodą.

Kapitan Nemo zbroszony krwią, stojąc nieruchomo przy latarni statku, spoglądał na morze, które pochłonęło mu jednego z towarzyszków, i grube łzy spływały mu z oczu.

## GOLF-STREAM<sup>210</sup>

Tej strasznej sceny 20 kwietnia żaden z nas nigdy nie zapomni. Opisałem ją pod wpływem gwałtownego wzruszenia. Później przejrzałem mój opis i przeczytałem Conseil'owi i Kanadyjczykowi. Obaj przyznali, że jest wierny, ale błady. Do kreślenia podobnych obrazów potrzeba by pióra najznakomitszego naszego poety, autora *Pracowników morza*<sup>211</sup>.

Powiedziałem, że kapitan Nemo płakał, patrząc na fale. Bolesć jego była niezmierna. Od czasu naszego przybycia na statek utracił już drugiego towarzysza. A jakaż to śmierć okropna! Przyjaciel ten, zgnieciony, zduszony, zgruchotany strasznym ramieniem mątwy, starty na miazgę w żelaznych jej szczękach, nie miał już spocząć razem z towarzyszami w cichych wodach koralowego cmentarza.

Co do mnie, to ów krzyk rozpaczny nieszczęśliwego w czasie tej walki głęboko rozdarł mi serce. Biedny Francuz, zapominając umówionego języka, w ojczyściej mowie rzucił ostatnie wezwanie! Tak więc wśród owej załogi „Nautilusa” zespolonej duszą i ciałem z kapitanem Nemo, uciekającej jak on od wszelkiego stosunku z ludźmi, miałem rodaka. Lecz czy on jeden tylko przedstawiał Francję w tym tajemniczym stowarzyszeniu złożonym oczywiście z indywidualów różnej narodowości? Była to jedna więcej z tylu niedocieczonych zagadek powstających ustawicznie w mym umyśle.

Kapitan Nemo wrócił do swego pokoju i znowu go nie widziałem przez pewien czas. Ale jakże musiał być smutny, zrozpaczony, niezdecydowany, wnosząc po ruchach tego statku, którego był duszą, w którym odbijały się wszelkie jego wzruszenia. „Nautilus” nie trzymał się określonego kierunku. Posuwał się, wracał, kołysał jak trup na łasce fali. Śruba jego była oswobodzona, a jednak zaledwie jej używał. Płynął na traf. Nie mógł się oderwać od pola tej walki, od tego morza, które pożarło mu jednego z członków osady<sup>212</sup>.

Upłynęło tak dni dziesięć. Dopiero pierwszego maja „Nautilus” przybrał stanowczo kierunek ku północy, dotarłszy wprzód do Wysp Lukajskich przy ujściu Kanału Bahama.

<sup>210</sup>*Golf-stream* — dziś: Golfstrom a. Golsztrom. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>autor „*Pracowników morza*” — Victor Hugo (1802–1885); powieść o tym tytule wydał w 1866 r. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*osada* — tu: załoga. [przypis edytorski]



Płynęliśmy wówczas z prądem największego ze strumieni morskich mającego swe brzegi, właściwe sobie ryby i temperaturę. Mówię o Golf-Streamie.

Jest to w rzeczy samej rzeka płynąca swobodnie wśród Atlantyku, której wody nie mieszają się z wodą oceanu; rzeka słona, bardziej słona niż otaczające ją morze. Średnia jej głębokość wynosi trzy tysiące stóp; średnia szerokość sześćdziesiąt mil. W niektórych miejscach szybkość prądu sięga czterech kilometrów na godzinę. Stała masa jej wód jest większa od wszystkich rzek na kuli ziemskiej.

Prawdziwe źródło Golf-Streamu, rozpoznane przez komendanta Maury, jego punkt wyjścia, jeżeli kto woli, leży w Zatoce Gaskońskiej. Tam wody jego, słabo jeszcze różniące się kolorem i temperaturą, zaczynają dopiero się tworzyć. Stąd zmierza na południe, biegnie wzdłuż brzegów Afryki równikowej, rozgrzewa swe fale promieniami strefy gorącej, przebywa Atlantyck, dochodzi Przylądka San-Roque na wybrzeżu brazylijskim i rozdziela się na dwa ramiona, z których jedno dąży nasycić się jeszcze gorącymi atomami Morza Atlantyckiego. Wówczas Golf-Stream, którego przeznaczeniem jest przywrócić równowagę między temperaturami i zmieszać wody równikowe z północnymi, zaczyna swą rolę. Rozgrzany do gorącości w Zatoce Meksykańskiej, posuwa się na północ ku brzegom Ameryki, dochodzi do Newfoundlandu, zbacza pod parciem zimnego prądu Cieśniny Davisa, zawraca na ocean, dążąc po jednym z wielkich kół globu w linii krzywej i rozdziela się pod czterdziestym trzecim stopniem na dwa ramiona, z których jedno, zasilone jeszcze południowo-wschodnim prądem wiatru, powraca do Zatoki Gaskońskiej i Wysp Azorskich; a drugie, okrążywszy brzegi Irlandii i Norwegii, dąży aż za Spitsbergen, gdzie temperatura jego spada do czterech stopni, by tam utworzyć wolne morze biegunowe.

Po tej to rzece oceanu żeglował teraz „Nautilus”. Opuściwszy Kanał Bahama, Golf-Stream, przy czternastomilowej szerokości i trzystu pięćdziesięciu metrach głębokości, płynie z szybkością ośmiu kilometrów na godzinę. Prędkość ta zmniejsza się stale, w miarę posuwania się na północ — i pragnąc należy, aby ten stosunek ciągle się utrzymywał, bo gdyby, co zdaje się nie ulegać wątpliwości, szybkość jego i kierunek uległy zmianie, wówczas klimaty europejskie doznałyby przewrotów, których następstw niepodobna nawet obliczyć.

Około południa byłem z Conseil'em na platformie. Tłumaczyłem mu rozmaite szczegóły dotyczące się Golf-Streamu. Skończywszy, kazałem mu zanurzyć ręce w prądzie.

Conseil usłuchał i bardzo się zdziwił, nie czując żadnego wrażenia gorąca ani zimna.

— Pochodzi to stąd — rzekłem — że temperatura wód Golf-Streamu przy wyjściu z Zatoki Meksykańskiej niewiele się różni od temperatury krwi. Jest on ogromnym kaloryferem, dzięki któremu brzegi Europy pokryte są wiekuiącą zielenią. A jeśli wierzyć Maury'emu, gorąco tego prądu całkowicie zużyte dostarczyłoby tyle ciepłika, że można by nim utrzymać w stanie płynnym rzekę roztopionego żelaza wielkości Amazonki albo Missouri.

W tej chwili szybkość Golf-Streamu wynosiła dwa metry dwadzieścia pięć centymetrów na minutę. Nurt jego tak znacznie się różni od otaczającego go morza, że ściśnięte wody jego tworzą wypukłość wśród wód oceanu, że istnieje różnica poziomu pomiędzy nimi, a wodami zimnymi. Zresztą ciemne i obfite w materię słone odznaczają się czystym swoim błękitem od zielonych fal morskich. Taka jest przy tym wyrazistość ich linii demarkacyjnej, że „Nautilus”, będąc na wysokości stanów Południowej i Północnej Karoliny, przeciął ostrogą swoją fale Golf-Streamu, podczas gdy śruba jego rozbijała jeszcze bałwany oceanu.

Nurt ten unosił cały świat żyjący. Żeglarki, tak pospolite w Morzu Śródziemnym, ciągnęły tu w licznych gromadach. Pomiedzy chrząstkowatymi odznaczały się szczególnie raje, których wysmukły ogon zajmował prawie trzecią część ciała, tworząc długie na dwadzieścia pięć stóp rombusy, dalej małe, jednometrowe żarłaczki, z dużą głową, krótkim i zaokrąglonym pyskiem, z kilku rzędami śpiczastych zębów; ciało ich wyglądało jakby pokryte łuską.

Pośród ryb kościstych zauważyłem właściwe tym morzom szare wargacze, tęczaki ze świecą jak ogień tęczątką, metrowe ścienice z szerokim pyskiem najeżonym drobnymi ząbkami, wydające lekki odgłos. Zauważyłem też kolcogrzbiety czarne, o których

poprzednio już mówiłem, błękitne dorady błyszczące złotem i srebrem, papugi morskie, istne tęcze oceanu mogące świetnością kolorów iść w zawody z najpiękniejszymi ptakami zwrotnikowymi, szlamówki z trójkątną głową, niebieskawe bez łusek skarpie, żaboryby z żółtą poprzeczną przepaską w kształcie greckiego *t*. Widziałem tam mrowiska małych, brunatno nakrapianych bobek-byczków, dwuząbki z srebrzystą głową i żółtym ogonem, różne odmiany łososi, smągłe mugilomory błyszczące łagodnym blaskiem, które Lacepedes poświęcił milęj towarzysze życia — i na koniec piękną rybę zwaną rycerzem amerykańskim, co zdobny we wszystkie ordery i opięty wszelkimi wstęgami nawiedza wybrzeża potężnego kraju, w którym wstęgi i ordery tak mało są cenione.

Dodam także, że w nocy fosforyczne wody Golf-Streamu współzawodniczyły z elektrycznym blaskiem naszej latarni, zwłaszcza podczas grożącej nam burzy.

Ósmego maja znajdowaliśmy się jeszcze naprzeciw przylądka Hatteras, na wysokości Północnej Karoliny. Szerokość Golf-Streamu wynosi w tym miejscu siedemdziesiąt pięć mil, a głębokość dwieście dziesięć metrów. „Nautilus” błąkał się bez celu. Zdawało się, że wszelki dozór i czujność wygnane zostały ze statku. Przyznaję, że w takich warunkach ucieczka mogłaby się udać. W rzeczy samej zamieszkane brzegi przedstawiały wszędzie łatwe schronienie. Po morzu uwijały się ustawicznie parowce krążące pomiędzy New-Yorkiem lub Bostonem a Zatoką Meksykańską i płynęło mnóstwo goelet pełniących służbę przewozową w różnych punktach brzegów amerykańskich. Można było spodziewać się chętnego na nich przyjęcia. Sposobność zatem sprzyjała pomimo trzydziestu mil oddzielających „Nautilusa” od wybrzeży Stanów Zjednoczonych.

Jedna atoli niepomyślna okoliczność krzyżowała stanowczo plany Kanadyjczyka. Czas bardzo był niepogodny. Zbliżaliśmy się ku szlakom często nawiedzanym przez burze, ku krainie trąb i huraganów powstających właśnie z nurtu Golf-Streamu. Puścić się w wątlej łodzi na morze, częstokroć rozhuwane, było narażeniem się na pewną zgubę. Sam Ned Land na to się zgadzał. Tłumił też w sobie gniew, dręczony okrutną tęsknotą do ziemi, którą jedna tylko ucieczka mogła uleczyć.

— Panie — odezwał się dnia tego — trzeba, żeby się to już raz skończyło. Chcę wiedzieć, jak się rzecz ma w istocie. Pański Nemo oddała się od lądów i zmierza na północ. Ale oświadczam panu, że wystarcza mi już biegun południowy i nie pójdę z nim do bieguna północnego.

— Cóż robić, Nedzie, skoro ucieczka jest w tej chwili niemożliwa.

— Wracam do mojej myśli. Trzeba rozmówić się z kapitanem. Nie wspomniałeś pan nic, kiedyśmy byli na morzach pańskiego kraju. Otóż teraz, gdy jesteśmy na morzach mojego, ja sam z nim będę mówił. Kiedy pomyślę, że za kilka dni „Nautilus” będzie się znajdował na wysokości Nowej Szkocji, że tam, w kierunku Nowej Fundlandii otwiera się zatoka, w którą wpada Święty Wawrzyniec, i że Święty Wawrzyniec to moja rzeka, rzeka Quebecu, mego rodzinnego miasta; kiedy pomyślę o tym wszystkim, to ogarnia mnie wściekłość i włosy powstają na głowie. Wierz mi pan, raczej skoczę w morze, niż tu zostanę! Duszę się tutaj!

Kanadyjczyk tracił widocznie resztę cierpliwości. Dzielną jego natura nie mogła pogodzić się z tak długim uwięzieniem. Z każdym dniem mizerniał. Charakter jego stawał się coraz bardziej ponury. Czulem, co musiał cierpieć, bo i mnie także ogarniała tęsknota. Upłynęło już blisko siedem miesięcy, jak pozbawieni byliśmy wszelkiej wiadomości z lądu. Zresztą odosobnienie się kapitana Nemo, jego zmieniony humor, zwłaszcza od czasu walki z mątwami, jego małowówność — wszystko to przedstawiało mi rzeczy w innych kolorach. Nie czulem już tego co pierwszych dni zapału. Należało być chyba jak Conseil Flamandczykiem, żeby się zgodzić z takim istnieniem wśród żywiołu przeznaczanego dla wielorybów i innych mieszkańców morza. W istocie, gdyby ten zacny chłopiec zamiast płuc miał skrzela, to sądzę, że byłaby z niego wspaniała ryba.

— I cóż, panie? — odezwał się Ned, widząc, że mu nie odpowiadam.

— Chcesz zatem, Nedzie, żebym zapytał kapitana Nemo, jakie ma względem nas zamiary?

— Tak, panie.

— I to pomimo to, że już raz nam je oznajmił.

— Tak; pragnę ostatecznie się zapewnić. Mów pan wreszcie za mnie jednego, w moim imieniu tylko, jeżeli pan zechcesz.

— Ale ja go tak rzadko spotykam. Unika mnie nawet.

— Tym większy powód, żeby go poszukać.

— Pomówię z nim, Nedzie.

— Kiedy? — pytał, nalegając, Kanadyjczyk.

— Jak go spotkam.

— Panie Aronnax, czy chcesz pan, żebym ja sam do niego poszedł?

— Nie, spuść się z tym na mnie. Jutro...

— Dzisiaj — rzekł Ned Land.

— Zgoda. Dziś jeszcze z nim się zobaczę — odparłem Kanadyjczykowi, który działając na swoją rękę, byłby niezawodnie popsuł całą sprawę.

Zostałem sam jeden. Postanowiwszy rozmówić się z kapitanem, chciałem to niezwłocznie załatwić. Wolę bowiem sprawę załatwioną niż do załatwienia.

Wróciłem do mego pokoju. Stąd usłyszałem stąpanie w gabinecie kapitana Nemo. Nie należało opuszczać tej sposobności zobaczenia się z nim. Zapukałem do drzwi, ale nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Zapukawszy powtórnie, nacisnąłem klamkę. Drzwi się otworzyły.

Wszedłem. Kapitan znajdował się w gabinecie. Pochylony nad stołem do pracy, nie słyszał mnie. Powziąwszy mocny zamiar nie odejścia stąd, dopóki nie wybadam kapitana, podszedłem do stołu. Nagle kapitan podniósł głowę, zmarszczył brwi i zapytał tonem dość ostrym:

— Pan tutaj? Czego pan żądasz ode mnie?

— Pomówić z panem, kapitanie.

— Ależ, panie, jestem zajęty, pracuję. Czyż tej swobody samotności, jaką panu zostawiam, nie mogę mieć także dla siebie?

Przyjęcie było nie bardzo ośmielające. Postanowiłem jednak wszystkiego wysłuchać, żeby na wszystko odpowiedzieć.

— Panie — odrzekłem chłodno — mam z panem mówić o sprawie, z którą nie wolno mi zwlekać.

— O czymże to, panie? — zapytał szyderczo. — Czyś pan zrobił jakie odkrycie, które uszło mojej uwagi? Czy morze zwierzyło panu nowe tajniki?

Nie rozumieliśmy się. Zanim jednak zdążyłem mu odpowiedzieć, dodał poważniejszym już tonem, wskazując na rozłożony na stole rękopis.

— Oto, panie Aronnax, rękopis w kilku językach. Zawiera on streszczenie moich studiów nad morzem i jeśli podoba się Bogu, nie zginie wraz ze mną. Rękopis ten, podpisany moim nazwiskiem, uzupełniony historią mego życia, zostanie umieszczony w małym, niezatapiającym się naczyniu. Ostatni z nas, ten, który przeżyje nas wszystkich na „Nautilusie”, rzuci ten przyrząd do morza, rękopis powędruje, gdzie go fale poniosą.

Nazwisko tego człowieka! Historia życia spisana własnoręcznie! Więc tajemnica jego zostanie kiedyś odkryta. W tej chwili jednak widziałem tylko w owym wyznaniu środek przystąpienia do rzeczy.

— Kapitanie — odparłem — muszę pochwalić myśl twoją. Nie godzi się, aby owoc twych badań zaginął. Lecz sposób, jakiego chcesz użyć, wydaje mi się nazbyt niepewny. Kto wie, gdzie wiatry zapędzą ten przyrząd, w czyje ręce on wpadnie? Czyżby nie można obmyślić czegoś lepszego? Czyż pan lub który z ludzi pańskich nie może?...

— Nigdy, panie — rzekł kapitan, żywo mi przerywając.

— Ale ja, moi towarzysze, gotowiśmy przechować<sup>213</sup> starannie ten rękopis i gdybyś pan wrócił nam wolność...

— Wolność! — zawołał kapitan, powstając.

— Tak, panie, i właśnie w tym przedmiocie miałem się z panem rozmówić. Od siedmiu już miesięcy jesteśmy na pańskim statku i dziś w imieniu mych towarzyszy i własnym zapytuję pana, czy zamierzasz na zawsze nas tu zatrzymać?

<sup>213</sup>gotowiśmy przechować — gotowi jesteśmy przechować. [przypis edytorski]

— Panie Aronnax — rzekł kapitan Nemo — odpowiem dziś panu to, com ci odpowiedział przed siedmiu miesiącami. Kto raz wstąpi na „Nautilus”, ten już nie może go opuścić.

— Ależ pan okrutną narzucasz nam niewolę.

— Nazywaj pan to, jak się panu podoba.

— Lecz niewolnik zachowuje wszędzie prawo odzyskania wolności! Jakiegokolwiek narzuczą mu się sposoby, może je zawsze poczytać za dobre.

— Alboż wam tego prawa — odpowiedział kapitan Nemo — kto zaprzecza? Czym pomyślał kiedy wiązać was przysięgą? — I skrzyżowawszy ręce na piersiach, patrzył mi w oczy.

— Panie — rzekłem — powracać drugi raz do tego przedmiotu nie byłoby przyjemne ani dla pana, ani dla mnie. Skoro jednak już jest zaczęty, niech mi go wolno będzie wyczerpać. Powtarzam panu, nie idzie tu tylko o moją osobę. Dla mnie nauka jest podporą, dzielną rozrywką, pociągami, namiętnością, dla której mogę o wszystkim zapomnieć. Jak pan, zdolny jestem żyć w ukryciu i nieznanym, ze znikomą nadzieją pozostawienia kiedyś przyszłości rezultatu mej pracy za pomocą wątpliwego przyrządu powierzonego fali i wichrom. Słowem, mogę podziwiać pana i bez przykrości towarzyszyć mu w roli, którą poniekąd pojmuję, lubo pod wielu innymi względami życie pańskie otoczone jest dla mnie chmurą zagadek i tajemnic, w których my tylko, ja i moi towarzysze, nie mamy żadnego udziału. A i wtedy nawet, gdy serca nasze mogły uderzyć dla pana wzruszone widokiem twojej boleści lub zachwycone dziełami geniuszu i męstwa, musieliśmy tłumić w sobie choćby najmniejsze oznaki owej sympatii, którą wzbudza wszystko, co dobre i piękne, bez względu na to, czy pochodzi od przyjaciela czy wroga. Owóż to uczucie, że jesteśmy obcy wszystkiemu, co pana się tyczy, czyni położenie nasze nieznośnym, niemożliwym nawet dla mnie; ale szczególnie nieznośnym dla Neda Landa. Każdy człowiek już przez to samo, że jest człowiekiem, wart, aby o nim myślano! Czyż pan zadałeś sobie pytanie, ile to mściwych projektów zrodzić mogła miłość wolności i nienawiść niewoli w takiej naturze jak Kanadyjczyka; o czym mógł myśleć, co zamierzać, czego próbować?

Zamilkłem. Kapitan Nemo powstał.

— Niech Ned Land myśli, zamierza, próbuje, co mu się podoba: mniejsza o to. Nie ja go szukałem. Nie dla mojej przyjemności trzymam go na statku. Co zaś do pana, panie Aronnax, należysz pan do tych ludzi, co zdolni są wszystko zrozumieć, nawet milczenie. Nie mam nic więcej panu do powiedzenia. Niechaj rozmowa nasza w tym przedmiocie będzie zarazem ostatnia, bo drugi raz nie mógłbym nawet pana wysłuchać.

Wyszedłem. Począwszy od tego dnia położenie nasze stało się bardzo drażliwe. Powtórzyłem moją rozmowę towarzyszom.

— Wiemy teraz — rzekł Ned — że nie możemy się niczego spodziewać od tego człowieka. „Nautilus” zbliża się do Long Island. Uciekniemy bez względu na pogodę.

Niebo atoli stawało się coraz groźniejsze. Objawiały się oznaki huraganu. Atmosfera robiła się biaława i mleczna. Po rozpostartych na niebie chmurach pierzastych wysuwały się od poziomu kłęby chmur deszczowych. Inne znów chmury mknęły niżej z niezwykłą szybkością. Morze rosło i wzdymało się w podłużne bałwany. Ptaki znikły, z wyjątkiem petreli, zwolenników burzy. Barometr znacznie opadał i wskazywał w powietrzu niezmiernie ciśnienie pary. Mieszanka *stormglasu* rozkładała się pod wpływem przesycającej powietrze elektryczności. Zbliżała się walka żywiołów.

Burza wybuchła w dniu 18 maja, właśnie kiedy „Nautilus” płynął na wysokości Long Island, o kilka mil od przesmyków Nowego Jorku. Mogę opisać tę walkę żywiołów, bo zamiast schronić się przed nią w głębinie, kapitan Nemo przez niepojęty kaprys zaprzagnął stawić jej czoło na powierzchni morza. Wiatr dął z południo-zachodu, zrazu z szybkością piętnastu metrów na sekundę, która około trzeciej z wieczora wzmogła się do dwudziestu pięciu metrów. Jest to szybkość nawalnic.

Kapitan Nemo, niewzruszony pod uderzeniami wiatru, zajął miejsce na platformie. Kazał przywiązać się do niej wpół ciała, żeby go nie porwały rozhukane, olbrzymie bałwany. Poszedłem za nim i kazałem się także przywiązać, podziwiając jednocześnie i ową burzę, i tego niezrównanego człowieka, co jej urągał.

Ogromne szmaty chmur zamiatały wzdęte morze, nurzając się w wodzie. Nie widziałem już ani jednej z owych małych, pośrednich fal, tworzących się w głębi wielkich

wklęsłości. Nic oprócz długich, czarnych bałwanów, których grzbiet nawet się nie rozpryskiwał, tak były gęste i zbite. Wysokość ich co chwila wzrastała. „Nautilus”, raz leżąc na boku, to znowu stercząc jak maszt do góry, zataczał się i kołysał straszliwie.

Około piątej spadł ulewny deszcz, nie uśmierzywszy ani wichru, ani morza. Huragan rozpasał się z szybkością czterdziestu pięciu metrów na sekundę, tj. blisko czterdziestu mil na godzinę. Przy takiej sile wywraca on domy, wtlacza drzwi, zrywa dachówki, łamie żelazne kraty, demontuje dwudziestoczworofuntowe działa. A jednak „Nautilus” wśród owej nawałnicy usprawiedliwiał zdanie uczonego inżyniera, że „dobrze zbudowane pudło statku nie potrzebuje nigdy obawiać się morza”. Nie była to opierająca się skała, którą by bałwany te wyrwały z posady — ale stalowe wrzeciono; uległe i ruchliwe, bez żagli i masztów, urągające bezkarnie wściekłości nawałnicy.

Badałem pilnie rozkiełznane bałwany. Wysokość ich wynosiła do piętnastu metrów na sto pięćdziesiąt do stu sześćdziesięciu metrów długości — a szybkość pędu równająca się połowie szybkości wiatru, piętnaście metrów na sekundę. Objętość ich i siła wzrastały w stosunku do głębokości wód. Zrozumiałem wówczas przeznaczenie tych fal, które, wiążąc w sobie powietrze i wtlaczając je na dno morskie, niosą tam życie wraz z tlenem. Olbrzymia ich siła ciśnienia może dochodzić, jak obliczono, do trzech tysięcy kilogramów na stopę kwadratową partej powierzchni. One to podczas burzy 23 grudnia 1864 roku, rozwalivszy część miasta Jeddo w Japonii i przebiegając siedemset kilometrów na godzinę, rozbijały się tegoż samego jeszcze dnia na brzegach Ameryki.

Potęga burzy wzrosła z nadejściem nocy. Barometr, podobnie jak w r. 1860 podczas huraganu przy wyspie Réunion, spadł do 710 milimetrów. Ze schyłkiem dnia dostrzegłem na widnokregu duży statek opierający się z trudnością bałwanom. Posuwał się przy małej parze, żeby się utrzymać na fali. Musiał to być jeden z parowców kursujących z Nowego Jorku do Liverpoolu lub Hawru. Niezadługo zniknął w ciemnościach.

O dziesiątej wieczorem całe niebo było w ogniu. Atmosferę przerywały wciąż gwałtowne błyskawice. Nie mogłem znieść ich blasku, gdy tymczasem kapitan Nemo, wpatrując się w nie z upodobaniem, zdawał się wciągać w siebie ducha burzy. Straszliwy łoskot napęniał powietrze, łoskot złożony z ryku druzgotanych bałwanów, szumu wichru, huku piorunów. Wiatr szalał na wszystkich punktach widnokregu, bo huragan ciągnący ze wschodu powracał tam, przechodząc przez północ, zachód i południe w kierunku odwrotnym burz wirowych półkuli południowej.

Ach! Ten Golf-Stream! Usprawiedliwiał zupełnie swą nazwę króla burz! On to tworzy owe straszliwe huragany wynikające wskutek różnicy temperatury warstw powietrza ułożonych nad jego nurtami.

Po deszczu nastąpiła ulewa ognista. Krople wody zamieniły się w piorunujące kiście. Rzekłbyś, że kapitan Nemo, szukając godnej siebie śmierci, pragnął być rażony gromem. Przy gwałtownym przechyleniu się z tyłu na przód „Nautilus” podniósł w powietrze swoją stalową ostrogę niby strzałę piorunochronu i widziałem, jak z niej tryskały błyskawice niezliczone.

Rozbity, wycieńczony, przyczołgałem się do kłapy. Otworzyłem ją i zeszedłem do salonu. Burza dosięgła wówczas najwyższego stopnia nateżenia. Niepodobna było utrzymać się na pokładzie „Nautilusa”.

Kapitan Nemo wrócił około północy. Słyszałem, jak zbiorniki zaczęły napęniać się wodą i „Nautilus” zanurzał się z wolna pod fale.

Przez odsłonięte szyby salonu widziałem popłoszone wielkie ryby przesuwające się jak cienie w gorącej wodzie. Niektóre z nich zostały w mych oczach rażone piorunem.

„Nautilus” opuszczał się ciągle. Myślałem, że znajdzie spokojność w głębokości piętnastu metrów. Nie. Górne warstwy były zbyt gwałtownie wzburzone. Trzeba było szukać spoczynku aż na głębokości pięćdziesięciu metrów w otchłani morza.

Ale tam, co za spokój, co za cisza, co za środowisko bezpieczne! Kto by powiedział, że straszliwy huragan szalał podówczas na powierzchni oceanu?

## POD 47° 24' SZEROKOŚCI I 17° 28' DŁUGOŚCI

Wskutek tej burzy zostaliśmy odrzuceni na wschód. Wszelka nadzieja ucieczki do przystani Nowego Jorku lub Św. Wawrzyńca zniknęła. Biedny Ned, zrozpaczony, oddał się, jak kapitan Nemo, zupełnej samotności. Conseil i ja nie rozłączaliśmy się ani na chwilę.

Powiedziałem już, że „Nautilus” odsunął się na wschód. Powinienem być ściślej powiedzieć: na północo-wschód. Przez kilka dni błąkał się to na powierzchni, to pod falami — wśród ustawicznej mgły, tak strasznej dla żeglarzy. Mgły owe pochodzą głównie z tania lodów, co utrzymują niezmierną wilgoć w atmosferze. Ileż to statków zginęło na tych przestworzach, chcąc rozpoznać niepewne ognie na brzegu! Ilu nieszczęść przyczyną stały się te mgły nieprzejrzane! Ileż to rozbić o skały! Ile okrętów wpadło na siebie, pomimo owych przybrzeżnych ogni ostrzegających świstawek i dzwonów na alarm!

Toteż dno tych mórz przedstawiało obraz pola walki, na którym spoczywali wszyscy zwyciężeni przez ocean: jedni starzy, już zamuleni, drudzy młodzi i odbijający światło naszej latarni w swoich żelaznych okuciach i miedzianych spodach. Pomiędzy nimi ileż to statków do szczytu przepadłych z całą załogą swoją i tłumami wychodźców, w owych niebezpiecznych miejscach, tak smutnie zapisanych w statystyce Przylądka Race, wyspy Św. Pawła, Cieśniny Belle-Ile, ujścia Św. Wawrzyńca. A ileż to ofiar od kilku lat dostarczały tym żalobnym kronikom towarzystwa okrętowe: Royal-Mail, Inmann, Montreal! „Solway”, „Paramatta”, „Hungarian”, „Kanadyjczyk”, „Anglo-Saxon”, „Humboldt”, „Stany Zjednoczone” — osiadłe na mieliźnie; „Arctic”, „Liończyk” — rozbite jeden o drugi; „Prezydent”, „Pacyfik”, „City-of-Glasgow” — zaginione z niewiadomych przyczyn. Smutne szczątki, wśród których „Nautilus”, przepływając, odbywał jakby przegląd umarłych.

Piętnastego maja byliśmy na południowym krańcu ławicy nowofundlandzkiej. Ławica ta jest wytworem odsepów morskich, ogromnym stosem organicznych szczątków przyniesionych bądź to od równika prądem Golf-Streamu, bądź od bieguna północnego tym przeciwprądem wody zimnej idącym wzdłuż brzegu amerykańskiego. Tam także gromadzą się błędne głazy (bloki erratyczne<sup>214</sup>), sprowadzane pękaniem lodów. Tam się utworzyła ogromna kostnica ryb, mięczaków i zwierzoekrzewów, ginących tu miliardami.

Głębokość morza nad ławicą nowofundlandzką nie jest zbyt wielka; co najwięcej kilkakaset sążni. Ale ku południowi wyźlabia się nagle znaczna wklęsłość, jama głębokości trzech tysięcy metrów. Tutaj rozszerza się Golf-Stream. Jest to rozlew jego wód. Traci na bystrości i temperaturze, lecz za to staje się morzem.

Z ryb, które „Nautilus” spłoszył swym przejściem, wymienię krążkopletwa długości jednego metra, z czarniawym grzbietem, pomarańczowym brzuchem, dającego zbyt mało naśladowany przykład wierności małżeńskiej, dużego unernaka, rodzaj szmaragdowej mureny wyborowego smaku, karraka z wielkimi oczyma, głową nieco do psiej podobną, szlamówki żyworodne, jak węże, babki pękate albo czarne kielbie wielkości dwóch decymetrów, na koniec długoogonice, zwane tak od długiego ogona z srebrzystym połyskiem — szparkie<sup>215</sup> ryby zapuszczające się daleko od mórz północnych.

Dostała się także w sieci śmiała, zuchwała, silna, muskularna ryba uzbrojona kolcami przy głowie i płetwach; prawdziwy niedźwiadek wielkości dwóch do trzech metrów, zacięty wróg szlamówek, miętusów i łososi; był to północny głowacz z szarym, gruczołkowatym ciałem i czerwonymi płetwami. Rybacy „Nautilusa” mieli niejaką trudność w opanowaniu tego stworzenia, które dzięki układowi swych nakrywek, chroniących organa oddechowe od osuszającego zetknięcia z atmosferą, może przez pewien czas żyć bez wody.

Wspomnę teraz dla pamięci boskiny, drobne rybki towarzyszące długo okrętom na morzach północnych, ostropyszczki właściwe wyłącznie północnemu Atlantykowi i raszki; zwracam też uwagę na miętusy, zwłaszcza na gatunek dorszów na tej niewyczerpanej ławicy nowofundlandzkiej.

<sup>214</sup>bloki erratyczne — inaczej głazy erratyczne, czyli narzutowe; głazy przyniesione i pozostawione przez lodowiec. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>szparki — szybki, zwinni. [przypis edytorski]

Można by nazwać te dorsze górskimi rybami, bo Nowa Fundlandia jest w rzeczy samej podmorską górą. Gdy „Nautilus” utorował sobie drogę przez ich zbite gromady, Conseil nie mógł wstrzymać się od następującej uwagi:

— Ot! Dorsze — rzekł — a ja myślałem, że dorsze są płaskie jak fładry lub pode-szwice.

— Jesteś naiwny! — zawołałem. — Dorsze są płaskie tylko w sklepie korzennym, gdyż widzisz je rozplatanie i wysuszone. Ale w wodzie są to ryby wrzecionowate jak mulety i kształt ich czyni je zdolnymi do wielkiej chyżości.

— Chcę panu wierzyć — odparł Conseil. — Co za chmara! Co za mrowisko!

— Eh! Mój przyjacielu, byłoby ich daleko więcej, gdyby nie ich wrogowie: raszki i ludzie... Wiesz ty, ile naliczono jajek z jednej samicy?

— Pozwólmy sobie — odpowiedział Conseil. — Pięćkroć sto tysięcy.

— Jedenaście milionów, przyjacielu!

— Jedenaście milionów! Nie, temu nigdy nie uwierzę, chyba bym je sam obrachował.

— Rachuj, Conseil, ale łatwiej ci pójdzie uwierzyć na słowo. Zresztą Francuzi, Anglicy, Amerykanie, Duńczycy, Norwegowie łowią dorsze krociami i gdyby nie zdumiewająca płodność tych ryb, zabrakłoby ich niezadługo w morzach. W samej tylko Anglii i Ameryce pięć tysięcy okrętów z osadą<sup>216</sup> siedemdziesięciu pięciu tysięcy marynarzy użytych jest do połowu dorszów. Każdy okręt przywozi średnio czterdzieści tysięcy sztuk, co czyni dwadzieścia pięć milionów. Na brzegach Norwegii takiz sam rezultat.

— Zgoda — rzekł Conseil — zdaję się na pana. Nie będę już liczył.

— Czego?

— Jedenastu milionów jaj. Zrobię jednak jedną uwagę.

— Jaką?

— Oto gdyby się wszystkie jajka wykluwały, dość byłoby czterech dorszów na zaopatrzenie Anglii, Ameryki i Norwegii.

Gdyśmy płynęli nad ławicą, widziałem dokładnie te długie linki opatrzone dwustu haczykami, które każda łódź tuzinami zapuszcza. Każda linka, zanurzona jednym końcem za pomocą małej kotwiczki, utrzymywała się drugim na powierzchni przymocowana do korka. „Nautilus” musiał przemykać się zręcznie wśród tej podwodnej sieci.

Zresztą niedługo gościł w tych uczęszczanych stronach. Posunął się do czterdziestego drugiego stopnia szerokości. Było to na wysokości portu St. John na Nowej Fundlandii i Hearts Content, gdzie kończy się kabel podatlantyczny.

„Nautilus”, zamiast płynąć dalej na północ, zwrócił się ku wschodowi, jakby w kierunku toru telegraficznego, na którym spoczywa lina i którego częste sondowania dały niezmiernie dokładny profil.

Było to 17 maja, kiedy w odległości około pięciuset mil od Hearts Content i głębokości dwóch tysięcy ośmiuset metrów spostrzegłem leżącą na dnie oceanu linę. Conseil, nieuprzedzony o tym, wziął ją za ogromnego węża morskiego i gotował się według zwyczaju swego klasyfikować. Wyprowadziłem z błędu i chcąc go pocieszyć po tym zawodzie, opowiedziałem mu rozmaite szczegóły jej założenia.

Pierwszą linę zapuszczono między rokiem 1857 a 1858; po przesłaniu jednak około czterystu telegramów, przestała działać. W roku 1863 inżynierowie sporządzili nową, wynoszącą trzy tysiące czterysta kilometrów i ważącą cztery tysiące pięćset ton, która odpłynęła na słynnym „Great-Eastern”. Zamiar ten powtórnie się nie powiódł.

Otóż 25 maja „Nautilus”, zanurzony w głębokości trzech tysięcy ośmiuset trzydziestu sześciu metrów, znajdował się właśnie w tym miejscu, gdzie nastąpiło zerwanie, które zniweczyło całe przedsięwzięcie. Stało się to w odległości sześciuset trzydziestu ośmiu mil od brzegów Irlandii. O godzinie drugiej po południu spostrzeżono, że komunikacja z Europą ustała. Inżynierowie na statku postanowili przed wyciągnięciem z wody przeciąć linę i o jedenastej w nocy uszkodzona część została wydobyta. Nawiązano i spojono końce, po czym na powrót ją zatopiono. Po kilku dniach jednak zerwała się znowu i nie zdołano już wydobyc jej z głębin oceanu.

Amerykanie nie dali się jednak zniechęcić. Śmiały Cyrus Field, promotor przedsięwzięcia, ryzykujący na nie cały swój majątek, ogłosił nowe zapisy, które niezwłocznie zo-

<sup>216</sup>osada — tu: załoga. [przypis edytorski]

stały pokryte. Urządzono nową linię w lepszych warunkach. Wiązka drutów przewodnich owinięta w gutaperkę, osłonięta została materacykiem z materii włókienniczej, zawartym w metalowym okuciu. Do dnia 13 lipca 1866 roku „Great-Eastern” wypłynął znowu na morze.

Zakładanie dokonywało się pomyślnie. Zdarzył się jednak następujący wypadek. Spostrzeżono parę razy przy rozwijaniu liny świeżo powbijane w nią gwoździe, widocznie w celu uszkodzenia jej rdzenia. Kapitan Anderson, oficerowie okrętu, inżynierowie — zebrali się i ogłosili, że jeśli winny schwytany zostanie na pokładzie, bez sądu wrzucony będzie do morza. Odtąd zbrodnicze to pokuszenie już się nie powtórzyło.

Dwudziestego trzeciego lipca „Great-Eastern” znajdował się już tylko o osiemset kilometrów od Nowej Fundlandii, gdy zatelegrafowano mu z Irlandii wiadomość o zawartym między Austrią i Prusami rozejmie, po bitwie pod Sadową. W dniu 27 dostrzegł wśród mgły port Hearts Content. Przedsięwzięcie zostało szczęśliwie dokonane, a pierwszą depeszą młoda Ameryka przesłała starej Europie te mądre, tak rzadko zrozumiane wyrazy: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Nie spodziewałem się zastać linię elektryczną w pierwotnym stanie, w takim, jak wyszła z warsztatów. Długi wąż pokryty szczątkami muszli, najeżony dziurkowcami, oblepiony był kamienistym osadem chroniącym go od dziurawiących mięczaków. Spoczywał spokojnie, wolny od morskich wstrząśnień, pod ciśnieniem sprzyjającym przebiegowi iskry elektrycznej, dochodzącej z Ameryki do Europy w trzydzieści dwie sekundy. Trwałość tej liny będzie zapewne wieczysta; zauważono bowiem, że gutaperkowa powłoka umacnia się w wodzie morskiej.

Zresztą w łożysku tym, tak szczęśliwie wybranym, lina nie zatapia się nigdy tak głęboko, aby zagrażała jej pęknięcie. „Nautilus” zapuszczał się za nią na najgłębsze dno, tj. na cztery tysiące czterysta trzydzieści jeden metrów pod wodą, a i tam leżała bez nazbyt silnego wyprężenia. Potem zbliżyliśmy się do miejsca wspomnianego już wypadku w 1863 r.

Dno oceanu tworzyło tu wąwóz szerokości 120 kilometrów, a tak głęboki, że gdyby osadzić w nim górę Mont-Blanc, to by wierzchołek jej nie wystawał z wody. Wąwóz ten zamyka na wschód pionowa ściana wysokości dwu tysięcy metrów. Przybyliśmy tam 28 maja i „Nautilus” znajdował się właśnie o sto pięćdziesiąt kilometrów od brzegów Irlandii.

Czy kapitan Nemo posunie się w górę, aby przybić do Wysp Brytyjskich? Nie. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu opuścił się na południe i zwrócił ku morzom europejskim. Okrążając Wyspę Szmaragdową, spostrzegłem na chwilę przylądek Clear i ogień latarni Fastenetu oświetlającej tysiące statków, które wypłynęły z Glasgow lub Liverpoolu.

Wówczas zastanowiło mnie ważne pytanie. Czy „Nautilus” poważy się wpłynąć na kanał La Manche? Ned Land, który zjawił się znowu od czasu, jak się zbliżano do ziemi, nie przestawał mnie wypytywać. Cóż miałem mu odpowiedzieć? Kapitan Nemo był niewidzialny. Pozwoliwszy Kanadyjczykowi ujrzeć brzegi Ameryki — czyżby chciał teraz pokazać mu brzegi Francji?

Wszelako „Nautilus” opuszczał się ciągle ku południowi. Trzydziestego maja przeszedł na wprost Lands End pomiędzy najdalej wysuniętym cyplem Anglii i wyspami Scilly, pozostawiając je z prawego boku.

Gdyby zamierzał wejść do La Manche, musiałby skrócić stanowczo na wschód. Nie zrobił tego.

Przez cały dzień 31 maja „Nautilus” zataczał na morzu wciąż koła, które mnie mocno intrygowały. Zdawał się szukać jakiegoś miejsca, nie mogąc go bez pewnej trudności wynaleźć. W południe kapitan Nemo wyszedł sam na platformę, aby oznaczyć położenie statku. Nie przemówił do mnie ani słowa. Wyglądał posepniej niż kiedykolwiek. Cóż mogło tak go zasmucić? Czy bliskość brzegów europejskich? Czy przypomniał sobie porzuconą ojczyznę? Jakiegoż uczucia w takim razie doznawał — wyrzutów czy żalu? Ta myśl zalegała mi długo w głowie i miałem jakby przecucie, że wkrótce przypadek zdradzi tajemnicę kapitana.

Nazajutrz, 1 czerwca, „Nautilus” odbywał też same ruchy. Widocznie szukał na oceanie pewnego punktu. Kapitan Nemo wyszedł jak dnia poprzedniego zmierzyć wysokość słońca. Morze było ciche, niebo czyste. W odległości ośmiu mil na wschód duży paro-



wiec rysował się na linii widnokregu. Nie powiewała za nim żadna flaga, nie mogłem więc rozpoznać jego narodowości.

Na parę minut przed przejściem słońca przez południk, kapitan Nemo wziął sekstant i obserwował z niezmierną ścisłością. Zupełnie spokojne fale ułatwiały mu to zajęcie. „Nautilus”, nieruchomy, nie kołysał się ani z przodu w tył, ani z boku na bok.

Byłem wówczas na platformie. Skończywszy swą obserwację, kapitan wyrzekł tylko jeden wyraz:

— Tutaj.

Po czym opuścił platformę. Czy widział ów parowiec, który zmienił swój kierunek i zdawał się do nas zbliżać? Nie wiem.

Wróciłem do salonu. Kłapa się zamknęła i usłyszałem świst wody w zbiorniku. „Nautilus” zaczął zanurzać się po linii pionowej, bo zatrzymana śruba nie dawała mu żadnego ruchu.

W parę minut potem stanął w głębokości ośmiuset trzydziestu trzech metrów i spoczął na dnie.

Wówczas świetlny sufit salonu zagasł, odsunęły się zasłony i ujrzałem przez szyby morze oświetlone żywo na pół mili dokoła promieniami naszej latarni. Popatrzyłem z lewej strony, nie ujrzałem jednak nic więcej prócz niezmierzonej spokojnych wód.

Z prawego boku sterczała jakaś znaczna wypukłość, która zwróciła moją uwagę. Rzekłbyś, zwaliska przysłonięte warstwą białawych muszli jak płaszczem śniegu. Badając uważnie tę bryłowatość, zdawało mi się, że rozpoznaję zgrubiałe kształty pozbawionego masztów okrętu, który musiał zatonać przodem. Smutny ten wypadek sięgał zapewne odległej epoki. Te szczątki, tak oblepione dziś wapnistym osadem wód, musiały przez długie lata przebywać na dnie oceanu.

Co to był za okręt? Dlaczego „Nautilus” grób jego odwiedzał? Czyż to nie burza zanurzyła ów statek pod wodę?

Nie wiedziałem, co o tym myśleć, gdy naraz usłyszałem obok siebie kapitana Nemo, mówiącego powolnym głosem:

— Niegdyś okręt ten nazywał się „Marsylianin”. Miał siedemdziesiąt cztery działa i spuszczone był na morze w 1762 r. W roku 1778, 13 sierpnia, dowodzony przez La Poype-Vertrieux’go, walczył mężnie z „Prestonem”. W roku 1779, dnia 4 lipca, znajdował się w eskadrze admirała d’Estaing przy wzięciu Grenady. W roku 1781, 5 września, uczestniczył w bitwie hrabiego de Grasse w zatoce Chesapeake. W r. 1794 Rzeczpospolita francuska zmieniła mu nazwę. Szesnastego kwietnia tegoż roku połączył się w Brest z eskadrą Villaret Joyeuse, przeznaczoną do konwojowania zboża wiezionego z Ameryki pod dowództwem admirała Van Stabel. W dniach 11 i 12 prairiała II roku Rzeczypospolitej eskadra ta spotkała okręty angielskie. Panie, mamy dziś 13 prairiała, 1 czerwca 1868 r. Siedemdziesiąt cztery lata temu, w tym samym dniu, w tym samym miejscu, pod 47° 24’ szerokości i 17° 23’ długości okręt ten po bohaterskiej walce, straciwszy trzy maszty, zalany na spodzie wodą, gdy trzecia część załogi jego poległa lub stała się niezdolna do boju, wolał pograć się w morzu wraz z trzystu pięćdziesięciu sześcioma swymi marynarzami niż poddać się — i wywiesiwszy na rufie swą flagę, znikł pod falami przy okrzyku: „Niech żyje Rzeczpospolita”.

— To „Mściciel”? — zawołałem.

— Tak, panie! „Mściciel”? Piękne nazwisko! — wyszeptał kapitan Nemo, krzyżując ręce na piersiach.

## HEKATOMBA

Sposób zimny zrazu, a potem gorączkowy, w jaki kapitan opowiadał historię patriotycznego statku, niespodziewana scena, której byłem świadkiem, ta nazwa „Mściciel”, której znaczenia nie mogłem nie pojmować, wszystko to głęboko przeniknęło mój umysł. Nie spuszczałem oczu z kapitana. Wyciągnął ręce ku morzu i rozpromienionym wzrokiem przypatrywał się kadłubowi chwalebego okrętu. Być może, żem się nigdy dowiedzieć nie miał, kim jest ten kapitan Nemo, skąd pochodzi i do czego dąży — ale widziałem w nim coraz więcej człowieka obok uczonego. On i jego towarzysze zamknęli się w „Nautilusie” nie jako zwyczajne odludki, ale jako ludzie pielęgnujący uczucie potwornej, a jednak

podniosłej nienawiści, której czas nie mógł osłabić. Czy ta nienawiść czyhała jeszcze na sposobność wywarcia zemsty? Niedaleka przyszłość miała na to pytanie odpowiedzieć.

„Nautilus” uniósł się z wolna ku powierzchni morza; kształty „Mściciela” zacierały się coraz bardziej dla oka i wkrótce lekkie kołysanie się było znakiem, żeśmy wypłynęli już zupełnie na powierzchnię morza.

W tej chwili dał się słyszeć głuchy odgłos. Spojrzałem na kapitana — ani się ruszył.

— Kapitanie! — zawołałem.

Nie odpowiedział ani słówka.

Opuściłem go więc i wyszedłem na wierzch statku; Conseil i Kanadyjczyk już tam byli.

— Co to za łoskot? — zapytałem.

Spojrzałem w kierunku spostrzeżonego poprzednio statku. Zbliżył się już do „Nautilusa”, a widać było, że wzmacniał swoją parę. Sześć mil jeszcze oddzielało go od nas.

— To huk działa — odpowiedział Ned Land.

— Co to jest za okręt?

— Z układu żagli i wysokości masztów — odpowiedział Kanadyjczyk — na pewno wnoszę, że to okręt wojenny. Ach, żeby też uderzył na nas i zatopił, jeśli trzeba będzie, tego przeklętego „Nautilusa”.

— Co on zrobi „Nautilusowi”? — odrzekłem — przecież nie będzie go gonił pod powierzchnią fal! Czy ma do niego strzelać na dno morza?

Kanadyjczyk zmarszczył brwi, przymrużył oczy i zaostrzywszy w ten sposób bystry swój wzrok, wpatrywał się przez pewien czas w okręt.

— Nie mogę rozpoznać, do jakiego kraju ten statek należy; nie wywiesił swej flagi. Ale zaręczam, że to jest statek wojenny, bo widzę długi znak (wimpel) przy głównym maszcie.

Może przez kwadrans przypatrywaliśmy się temu okrętowi, płynącemu prosto na nas. Nie przypuszczałem jednak, żeby z tego okrętu i w takiej odległości dojrzano nasz statek — tym mniej, żeby wiadano o nim, że jest machiną podwodną.

Wkrótce Kanadyjczyk zapewnił mnie, że to jest wielki dwupokładowy pancernik wojenny z ostrogą. Gęsty dym wydobywał się z dwu jego kominów; na przodzie nie było flagi, a z powodu odległości nie można było dojrzeć, jakiego koloru jest jego znak, wąski jak wstążeczka.

Pancernik zbliżał się szybko. Jeśli kapitan Nemo przypuści go blisko, to może znajdziemy jaką sposobność do ujęcia z naszej niewoli.

— Panie — rzekł Ned Land — niech tylko ten okręt zbliży się na milę, a rzucę się w morze i radzę panu to samo zrobić.

Nie odpowiedziałem na tę propozycję Kanadyjczyka i spoglądałem wciąż na okręt coraz ogromniejszy dla nas w miarę, jak się zbliżał. Niech sobie będzie jaki chce: angielski, francuski, amerykański, rosyjski, turecki — przyjmie nas niezawodnie na pokład, byleśmy się ku niemu zbliżyli.

— Niech sobie pan przypomni — mówił Conseil — że umiemy przecież trochę pływać; niech się zdadzą na mnie, już ja im pomogę zbliżyć się do okrętu, jeśli się zgodzą na to, żeby płynąć za Nedom.

Miałem coś odpowiedzieć, gdy biały obłoczek wytrysnął z przodu okrętu, a w kilka sekund potem coś ciężkiego, spadającego blisko „Nautilusa”, obryzgało wodą tylny jego koniec. Za chwilę posłyszałem huk.

— Co to? Strzelają do nas! — zawołałem.

— To jacyś dzielni ludzie — szepnął Kanadyjczyk.

— Widać, że nas nie biorą za rozbitków, którzy się przyczepili do szczątka statku.

— A to wybornie! — krzyknął Conseil, strzepując z siebie wodę, która wskutek nowej kuli bryzgnęła aż na niego. — Widać, że poznali narwala i do narwala strzelają.

— Ależ pewnie niezadługo spostrzegą, że to nie narwał, tylko ludzie — rzekłem.

— Kto wie, czy oni już tego nie spostrzegli i czy właśnie nie dlatego strzelają — odparł Kanadyjczyk, spoglądając na mnie.

Na te wyrazy rozjaśniło mi się w głowie. Tak, niezawodnie domyślili się, co to za jeden ten potwór podmorski. Ani wątpić, że przy spotkaniu się „Nautilusa” z „Abrahamem Lincolnem”, kiedy to Kanadyjczyk cisnął w niego oszczepem, kapitan Farragut poznał,

że to nie narwał nadnaturalny, lecz daleko niebezpieczniejszy od niego statek podwodny. Niezawodnie więc szukano po wszystkich morzach straszliwego tego narzędzia zniszczenia.

Istotnie było ono straszliwe, jeśli, jak można było przypuszczać, kapitan Nemo używał „Nautilusa” do wywierania zemsty. I w ową noc, kiedy to uwięził nas w kajucie na Oceanie Indyjskim, musiał także uderzyć na jakiś statek. Ten człowiek, którego pochowano na cmentarzu koralowym na dnie morskim, był niezawodnie ofiarą uderzenia „Nautilusa” o tamten okręt. Tak, tak, niezawodnie — nie mogło to być nic innego! Wykryła się tedy część tajemniczego istnienia kapitana Nemo. Być może, że nie wiadano, kto on jest; ale rządy sprzymierzyły się, by go ścigać, nie jako człowieka ekscentrycznego, ale jako nieprzyjaciela, który im nieubłaganą zaprzysiął nienawiść.

Cała straszliwa przeszłość przedstawiła się memu umysłowi i zrozumiałem, że na zbliżającym się okręcie znajdują się nie przyjaciele nasi, ale wrogowie, którzy nie będą mieli dla nas miłosierdzia.

Tymczasem kule padały coraz gęściej dokoła. Niektóre uderzały prawie poziomo o powierzchnię wody i odbijając się od niej podskokiem, zapadały w morze w odległości znacznej od pierwszego zetknięcia się z morzem. Żadna jednak kula nie trafiła „Nautilusa”.

Okręt nie dalej już był od nas jak o trzy mile<sup>217</sup>; pomimo gęstych z niego strzałów, kapitan Nemo nie wyszedł na pokład. A przecież, gdyby która z rzucanych na nas ogromnych kul stożkowatych, przebijających najgrubsze pancernie okrętowe, uderzyła w „Nautilusa” i w punkt nieszczęśliwy dla niego, zraniłaby go śmiertelnie.

— Do tysiąca szatanów! — zawołał wówczas Kanadyjczyk — Spróbujmy się ratować! Dawajmy znaki, żeby wiedzieli przecie, że tu są ludzie.

I zaczął chustką machać w powietrzu. Ale ledwie zaczął, gdy go przygniotła ręka żelazna i Kanadyjczyk mimo swej ogromnej siły upadł na pomost.

— Nędzniku! — zawołał kapitan. — Chcesz, żebym cię nadział na ostrogę „Nautilusa” wprzód, nim ją w ten okręt zapuszczę?

Strach było słuchać głosu kapitana, straszniej jeszcze patrzeć na niego! Błady był, bo cała krew zbiegła mu do serca, którego bicie chyba musiało ustać na chwilę. Żrenice ściągnęły mu się okropnie; już nie mówił, ale ryczał. Podawszy ciało naprzód, dławił ręką ramię Kanadyjczyka. Puścił go na koniec i zwracając się do okrętu wojennego, z którego kule padały wokoło, zawołał potężnym swym głosem:

— Więc ty wiesz, sługo nienawistnej przemocy, kto ja jestem! I ja nie potrzebuję widzieć twej flagi, żeby cię poznać. Czeka! Pokażę ci moją!

I rozwinął na przodzie swego statku czarną banderę, taką samą, jaką zatknął na bieżącej południowym.

W tej chwili jedna z kul uderzyła ukośnie w „Nautilusa”, nie zrobiwszy mu żadnej szkody, odbiła się od niego i przelatując blisko kapitana, upadła w morze.

Kapitan Nemo wzruszył ramionami, a zwracając się do mnie — rzekł krótko:

— Zejdź pan i wy zejście.

— Panie — zawołałem — więc pan uderzysz na ten okręt?

— Panie! Zatopię go — była odpowiedź kapitana.

— Pan tego nie zechcesz zrobić! — odparłem.

— Zechcę zrobić i zrobić — rzekł kapitan zimno. — Nie waż się pan sądzić mego postępowania. Fatalność chce, byś pan zobaczył to, czego nie powinien byś widzieć. Zaczepiono mnie, moja odpowiedź będzie straszna. Zejdź pan.

— Co to jest za okręt?

— Pan nie wiesz! tym lepiej; przynajmniej to jedno tajemnicą będzie dla was. Schodźcie!

Trzeba było być posłusznym. Z piętnastu majtków otaczało kapitana i z nieubłaganą nienawiścią patrzyli na zbliżający się statek. Widać było, że jednakowa chęć zemsty wszystkich przejmowała. Schodziłem z pokładu w chwili, gdy nowa kula otarła się o kadłub „Nautilusa”, a kapitan zawołał:

<sup>217</sup>o trzy mile — widocznie jest tu ciągła mowa o milach morskich, których Francuzi i Anglicy liczą po 60 na jeden stopień geograficzny. Mila taka ma 1852 metry albo 6482 łokci polskich i jest cztery razy mniejsza od mili geograficznej, niemieckiej, która jest niewiele dłuższa od mili polskiej. [przypis redakcyjny]

— Strzelaj, głupcze! Ciskaj bezpożytecznie swe kule! Nie unikniesz ostrogi „Nautilusa”! Ale nie w tym miejscu masz zginąć; twój kadłub nie skala schronienia, w którym spoczywają chwalebne szczątki „Mściciela”.

Poszedłem do kajuty; kapitan i jego pomocnik zostali na pokładzie, ale śruba wprowadzona została w ruch pośpieszny. „Nautilus” szybko się oddalał i wkrótce już kule z okrętu nie mogły go dosięgnąć. Wciąż jednak nas ścigał. Kapitan Nemo trzymał się w jednakowej od niego odległości.

Około czwartej popołudniu nie mogłem dać sobie rady z niepokoju i niecierpliwości i poszedłem ku głównym schodom. Wyjście na pokład otwarte było, więc wyrzałem. Kapitan Nemo przechadzał się niespokojnie i patrzył niekiedy na okręt odległy o jakie sześć mil. W pośpiesznym swym biegu „Nautilus” wiodł za sobą okręt ku wschodowi. Czemuż go nie atakował? Może się wahał.

Chciałem jeszcze raz spróbować, czy mi się nie uda odwieść kapitana od jego zamiarów. Ale nakazał mi milczenie, mówiąc:

— Spełniam moje prawo, wykonywam sprawiedliwość. Jestem prześladowany, a tam jest prześladowca! Za jego to sprawą straciłem wszystko, com kochał i cenił: ojczyznę, żonę, dzieci, ojca i matkę, i braci — wszyscy zginęli! A tam jest wszystko, czego nienawidzę! Więc milcz!

Ostatni raz spojrziałem na okręt wojenny wzmagający swą parę — i poszedłem do Neda i Conseila.

— Trzeba uciekać — zawołałem.

— Dobrze — odparł Kandyjczyk. — Co to jest za okręt?

— Nie wiem — odpowiedziałem — w każdym razie lepiej zginąć z nim razem niż zostać współnikiem odwetu, którego słuszność nie jest nam wiadoma.

— I ja tak myślę — odparł zimno Ned Land. — Czekajmy, aż noc zapadnie.

Nadeszła wreszcie noc. Na naszym statku głębokie panowało milczenie. Z kompasu widziałem, że „Nautilus” nie zmienił swego kierunku; śruba jego tłukła o fale z jednakową zawsze szybkością. Płynął po powierzchni morza, kołysząc się lekko to w tę, to w ową stronę.

Postanowiliśmy, ja i moi towarzysze, uciec z „Nautilusa” wówczas, gdy okręt o tyle się do nas zbliży, że będą mogli znajdujący się na nim ludzie słyszeć nas lub widzieć — bo księżyc mający jeszcze trzy dni do pełni świecił wspaniale. Jeśli dostawszy się na pokład owego okrętu, nie zdołamy go uchronić od oczekującego go losu, przynajmniej uczynimy, co nam okoliczności będą nakazywały. Niejednokrotnie mi się zdawało, że „Nautilus” zabiera się do ataku; ale on tylko pozwalał przybliżyć się nieprzyjacielowi i znów śpiesznie uciekał.

Część już nocy przeszła bez żadnego wypadku. Szukaliśmy sposobności do wykonania naszego postanowienia, ale wobec wzruszenia, jakie nas przejmowało, bardzo mało mówiliśmy z sobą. Ned Land chciał się rzucić w morze, ałem go powściągnął. Zdawało mi się, że „Nautilus” zechce uderzyć na ścigający go okręt na powierzchni — a wówczas ucieczka nasza nie tylko możebna będzie, ale i łatwa.

Nad ranem około trzeciej, niespokojny o to, co zajdzie, wyszedłem na pokład.

Kapitan Nemo nie zeszedł z platformy; stał od przodu, przy swej fladze powiewającej nad głową tego człowieka wpatrującego się w okręt. Wzrok jego niesłychanie był natężony; wzrok ten zdawał się przyciągać okręt, obezwładniać go i prowadzić za „Nautilusem”, jakby ten ostatni był holownikiem.

Księżyc był wówczas na południku; Jowisz świecił na wschodzie. Wśród ciszy przyrody niebo i ocean zdawały się współubiegać o to, które z nich spokojniej się zachowa. Księżyc przeglądał się w morzu jak w najpiękniejszym zwierciadle. Patrząc na tę ciszę i na ten spokój głęboki żywiołów, porównywałem je w myśli z namiętnościami ożywiającymi ludzi płynących w owej chwili po gładkiej powierzchni morza i drzenie mnie przenikało.

Okręt znajdował się o dwie mile od „Nautilusa”. Zbliżył się, płynąc ciągle za światłością fosforyczną, bijącą z naszego statku. Widziałem na okręcie jego latarnię zieloną, czerwoną i trzecią białą, zawieszoną na przodowym maszcie. W chwiejnym odbłasku tych światła widać było umasztowanie okrętu i buchające potężne ogniska pod jego kotłami. Snopy iskier, kawałki węgla rozżarzonego wyskakiwały z kominów okrętu i rozświecały atmosferę nad nim.

Do szóstej rano pozostałem na pokładzie „Nautilusa”. Kapitan Nemo nie zdawał się mnie widzieć. Okręt był od nas już tylko o półtorej mili: ze światłem dziennym wznowił do nas strzelanie. Widocznie zbliżała się chwila, w której „Nautilus” uderzy na przeciwnika; a wówczas ja i moi towarzysze opuścimy na zawsze tego człowieka, na którego nie śmiałem wydać wyroku.

Miałem właśnie zejść do wnętrza statku, żeby podzielić się myślami mymi z Nedem i Conseilem, gdy porucznik wyszedł na pokład, a z nim wielu żeglarzy. Kapitan Nemo albo ich nie widział, albo nie chciał widzieć. Ludzie ci zaczęli niejako przygotowywać statek do walki; przygotowania te zaś były bardzo proste i nieliczne. Zdjęto balustradę drucianą, otaczającą platformę; klatki, w których się mieściła latarnia i sternik, zostały tak wsunięte w głąb statku, że prawie z niego nie wystawały. Powierzchnia tego długiego cygara żelaznego nie przedstawiała zatem nic, czym by się mógł o coś zaczepić.

Poszedłem do salonu. „Nautilus” trzymał się ciągle na powierzchni. Światło poranne wciskało się w płynne warstwy wód. Niekiedy, przy pewnym kołysaniu się fal, szyby zalewała czerwona jasność wschodzącego słońca.

To wstawał straszny ów dzień 2 czerwca.

O godzinie 5 log<sup>218</sup> wskazywał, że „Nautilus” płynie wolniej. Widocznie pozwalał okrętowi zbliżyć się do siebie; zresztą i huk strzałów coraz wydatniej słyszeć się dawał. Kule orały otaczającą nasz statek wodę, wciskając się w nią z dziwnym jakimś świstaniem!

— Moi przyjaciele — rzekłem — nadeszła chwila działania; uściśnijmy sobie ręce i oddajmy się boskiej opiece.

Ned Land był zdecydowany, Conseil spokojny, ja zaś podniecony nerwowo, zdolny zaledwie panować nad sobą.

Przeszliśmy do biblioteki. W chwili, gdym otwierał drzwi prowadzące ku głównym schodom, usłyszałem, że wyjście na zewnątrz zamykano nagle. Kanadyjczyk rzucił się ku schodom, ale go zatrzymał. Dobrze znany nam odgłos dał się słyszeć; to woda zapełniała zbiorniki statku. Toteż po chwili „Nautilus” zagłębił się na kilka metrów pod powierzchnię morza.

Za późno zatem było już brać się do tego, cośmy zamierzali. „Nautilus” nie myślał uderzyć na powierzchni, bo tam pancernik okryty był pancierzem nie do przebicia; chciał więc uderzyć na niego pod powierzchnią wody, gdzie skorupa żelazna nie osłaniała już ścian okrętu.

Byliśmy więc znów więźniami, świadkami z musu dramatu, który miał się rozegrać niezadługo. Zresztą nie stało czasu na rozważanie sytuacji. Zebrani w mojej kajucie spoglądaliśmy w milczeniu jeden na drugiego. Ogarnęło mnie oburzenie, myśl przestała działać. Znajdowałem się w stanie tak przykrym jak człowiek oczekujący na chwilę straszego wybuchu. Czekałem, nasłuchiwałem, żyłem tylko słuchem.

Szybkość „Nautilusa” wzmogła się widocznie. Nabierał rozpędu. Cały kadłub jego drżał jak żywy.

Nagle krzyknąłem; poczułem uderzenie, choć stosunkowo lekkie — taka była niezmierna siła, wciskająca w okręt ostrogę „Nautilusa”. Słyszałem tarcie się i trzeszczenie. „Nautilus”, uniesiony potęgą rozpędu, przeszył cały okręt w poprzek, jak igła płótno.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Zrozpaczony, rozszałaty, wybiegłem z mego pokoju i wpadłem do biblioteki. Był tam kapitan Nemo. Niemy, chmurny, nieubłagany, patrzył przez szybę odsłoniętą od strony okrętu.

Ogromna masa zagłębiała się pod wodę, a „Nautilus”, aby być świadkiem tego konania okrętu, razem z nim zstępował w głębiny. Widziałem o dziesięć kroków ode mnie otwarty kadłub okrętu, słyszałem, jak woda wpadała w ten otwór z łoskotem grzmotu; patrzyłem na zatapiającą się podwójną linię dział i parapetów. Pomost zapełniony był uwijającymi się czarnymi postaciami.

Woda coraz wyżej wznosiła się, zalewała już pokład. Nieszczęśliwi wdrapywali się na drabiny masztowe, czepiali się żagli, wili się pochłaniani wodą. Było to mrowisko ludzkie, zalewane znienacka napływającym na nie morzem.

Jak sparaliżowany, zeszytywniały z bólu, ze zjeżonymi włosami, z zapartym oddechem, oniemiały spoglądałem przez siebie. Nieprzewartna siła przykuwała mnie do szyby.

<sup>218</sup>log — przyrząd wskazujący szybkość ruchu okrętu. [przypis redakcyjny]

Ogromny okręt zagłębiał się z wolna, „Nautilus” z nim razem zapadał, jakby dla podpatrzenia wszystkich jego ruchów. Nagle nastąpił wybuch. Powietrze ścieśnione wysadziło pomost okrętu, jakby się ogień dostał do składu prochu. Wskutek tego wybuchu nastąpiło tak gwałtowne parcie wody, że odsunęło „Nautilusa”. Od tej chwili nieszczęsny okręt zagłębiał się już szybko. Zatapiały się jego drabiny, potem reje, obwieszone ratującymi się ludźmi, jak gronami, na koniec wierzchołek wielkiego masztu. Wreszcie ta czarna masa zniknęła w głębinach i cała osada<sup>219</sup> porwana została w otchłanie wirami tworzącym się wokoło tej czeluści wodnej.

Spojrzałem na kapitana. Straszny ten wykonawca sprawiedliwości patrzył ciągle jak prawdziwy archanioł nienawiści. Gdy się wszystko skończyło, zawrócił ku drzwiom swego pokoju i wszedł do niego. Patrzyłem za nim.

Na ścianie w głębi, pod portretami jego bohaterów, ujrzałem wizerunek kobiety młodej jeszcze i dwojga małych dzieci. Kapitan Nemo wpatrywał się w nie przez czas pewien, po czym wyciągnął ku nim ręce, ukląkł i wybuchnął łkaniem.

## OSTATNIE SŁOWA KAPITANA NEMO

Zasunięto szyby salonu, ale go nie oświetlono; w całym wnętrzu „Nautilusa” panowała ciemność i milczenie. Na głębokości stu stóp i z niesłychaną szybkością uciekał od tego miejsca zgrozy. Gdzie pędził ten człowiek po dokonaniu tej straszliwej zemsty? Na północ czy na południe?

Wszedłem do mego pokoiku, gdzie już Ned i Conseil siedzieli, milcząc. Czułem nieprzewyciężony wstręt do kapitana Nemo. Bez względu na krzywdy, których mógł doznać od ludzi, nie miał prawa karać ich w taki sposób. I mnie zrobił jeśli nie współnikiem, to świadkiem swej zemsty; darować mu tego nie mogłem.

O jedenastej światło elektryczne pokazało się znowu. Poszedłem do salonu; nie było tam nikogo. Narzędzia żeglarskie wskazywały, że „Nautilus” sunął z szybkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, to na powierzchni, to na trzydzieści stóp pod wodą. Płynęliśmy Kanałem Kaletańskim ku morzom północnym, a zawsze z równie gwałtownym pośpiechem.

Zaledwie można było dostrzec w przelocie długonose żarłaczki, młoty, psy morskie, wielkie orły morskie, tłumy koników morskich podobnych z kształtu do koników szachowych, węgorzy wijących się jak ogniste pręty w ogniach sztucznych, całe armie krabów płynących z założonymi na pancerz kleszczami, na koniec gromady delfinów płynących szybko, jakby chciały prześcignąć „Nautilusa”. Zaledwie to wszystko można było dostrzec; ale ani myśleć o przypatrywaniu się, o klasyfikowaniu.

Do wieczora jużśmy przelecieli dwieście mil Atlantyku. Mrok zapadał, a morze zatonało w ciemności, którą dopiero miał rozjaśnić księżyc. Powróciłem znów do mego pokoiku i położyłem się, ale zasnąć nie mogłem; prześladowała mnie zmora strasznej sceny zniszczenia.

Od tego dnia okropnego pędziliśmy ciągle, Bóg wie przez jakie okolice, a zawsze w mgłach podbiegunowych. Być może, że „Nautilus” zawitał w stronę Spitsbergenu lub Nowej Ziemi; że przebiegał mało znane okolice Morza Białego i mniej jeszcze znane wybrzeża na północy Azji, Zatokę Obską, Archipeląg Larrowa. Nie wiem, bo już nie obliczałem upływającego czasu. Pozatrzymywano zegary na statku. Zdawało się, że już noc i dzień nie następują po sobie, jak to bywa istotnie w okolicach podbiegunowych.

Czułem się wciągnięty w tę dziedzinę dziwną, w której obracała się z takim upodobaniem wyobraźnia Edgara Poe. Zdawało mi się, że lada chwila ujrzę owego bajecznego Gordona Pyma, „tę zakwefioną postać ludzką, potężniejszą niż którykolwiek z mieszkańców Ziemi, rzuconą w poprzek katarakty broniącej przystępu do bieguna”. Przypuszczam, ale może się mylę, żeśmy się tak awanturowali ze dwa tygodnie, a może i więcej — i nie wiem, jak długo byśmy i gdzie tak pędzili, gdyby nie katastrofa, która skończyła naszą podróż. O kapitanie Nemo ani o jego pomocniku nic nie było słyhać. Nawet żaden z ludzi należących do załogi nie pokazywał się ani na chwilę. „Nautilus” trzymał się prawie ciągle pod wodą, a gdy wypływał dla odświeżenia powietrza, otwory odmykały się i zamykały

<sup>219</sup>osada — tu: załoga. [przypis edytorski]

automatycznie, za pomocą odpowiedniego mechanizmu. Nikt nie myślał o oznaczeniu miejsca, w którym byliśmy; toteż i ja nie wiedziałem, gdzie jesteśmy.

I nasz Kanadyjczyk wyczerpał już swą cierpliwość i swoją energię; nie pokazywał się także. Conseil nie mógł z niego wydobyć ani jednego wyrazu i obawiał się, aby sobie Ned nie odebrał życia pod wpływem nostalgii, to jest tęsknoty do stron rodzinnych. Pilnował go więc z prawdziwym poświęceniem.

Naturalnie, że życie w takich warunkach było nie do zniesienia.

Wczesną godziną pewnego dnia, którego daty nie umiem powiedzieć, zasnąłem snem chorobliwym i męczącym. Obudził mnie Ned pochylony nade mną i szepczący mi do ucha:

— Uciekniemy, panie.

— Kiedy? — zapytałem.

— Przyszłej nocy. Zdaje się, że na statku nikt już nas nie pilnuje. Jakies odrętwienie ogarnęło wszystkich. Czy pan będzie gotów?

— Będę; ale gdzież my teraz jesteśmy?

— Dostrzegłem dziś z rana we mgle jakiś ląd, może o dwadzieścia mil od nas na zachód.

— Cóż to za ląd?

— Nie wiem, ale niech będzie, jaki chce, uciekniemy ku niemu.

— Dobrze, Ned; tak, umkniemy tej nocy jeszcze, choćbyśmy potonąć mieli.

— Morze jest niespokojne, wiatr mocny; ale nie przestrasza mnie przebycie dwudziestu mil w lekkim czółnie „Nautilusa”. Jużem tam poprzemógł tajemnie nieco żywności i kilka butelek wody. Zresztą, jeśli mi kto zechce przeszkadzać, będę z nim walczył; zabić się dam, a nie zostanę.

— Umrzemy razem, kochany Nedzie!

Zdecydowany byłem na wszystko. Gdy Kanadyjczyk odszedł, wyszedłem na platformę, mogąc się zaledwie na niej utrzymać z powodu gwałtownego uderzenia fal w statek. Niebo było zasłane ciężkimi chmurami; że jednak ziemia była w owej mgle, a my od niej byliśmy niedaleko, trzeba było uciekać. Należało nie tracić ani dnia, ani godziny.

Powróciłem do salonu, pragnąc i lękając się zarazem spotkania z kapitanem, chcąc i nie chcąc go widzieć. Cóż bym mu powiedział? A czy mogłem ukrywać przed nim mimowolny wstręt, jaki czułem do niego? Nie, lepiej już było nie spotkać się z nim, zapomnieć go! A jednak!...

Jakże mi długi zdawał się ten dzień, ten ostatni dzień, który miałem spędzić na „Nautilusie”! Byłem ciągle sam, bo Ned Land i Conseil nie mówili ze mną z obawy, żeby się nie zdradzić. O szóstej zjadłem obiad, choć nie byłem głodny. Przewyciężyłem wstręt do jedzenia, nie chcąc się osłabić. O wpół do siódmej przyszedł do mnie Ned i rzekł:

— Nie zobaczymy się już przed chwilą ucieczki. O dziesiątej księżyc jeszcze nie wzejdzie; skorzystamy z ciemności. Przyjdź pan do czółna; ja i Conseil już tam będziemy.

I wyszedł, nie czekając odpowiedzi.

Chciałem wiedzieć, w jakim kierunku płynął „Nautilus” i poszedłem do salonu. Płynęliśmy na północ, cokolwiek ku wschodowi, z przerażającą szybkością i w głębokości pięćdziesięciu metrów.

Po raz ostatni rzuciłem okiem na cuda przyrody, na bogactwa sztuki nagromadzone w tym muzeum; na ten zbiór niezrównany, a przeznaczony na to, żeby zginąć kiedyś w przepaściach morskich z tym, który go zgromadził. Usiłowałem sobie utrwalić w pamięci obraz tego wszystkiego; przesiadzałem więc tam z godzinę, przepatrując przy blasku światła elektrycznego skarby osłonięte szklami. Po skończeniu tego przeglądu, powróciłem do siebie.

Przywdziałem tam mocne odzienie marynarskie, pozbierałem swoje notatki i umieściłem je na sobie. Serce biło mi gwałtownie; zaledwie zdołałem uderzenia jego powściągnąć. Niezawodnie, gdyby kapitan Nemo zobaczył mnie w owej chwili, niepokój mój nie uszedłby jego oka.

Co on też teraz robi? Słuchałem pode drzwiami jego pokoju. Odgłos kroków doleciał mych uszu. Więc on tam był, nie położył się! Co chwila zdawało mi się, że wyjdzie do mnie i zapyta, dlaczego chcę uciekać. Ciągły niepokój mną miotał, a zwiększyła go jeszcze

moja wyobraźnia. Do tego doszło nareszcie, żem sobie powiedział, iż lepiej już wejść do niego, spojrzeć mu oko w oko i pokazać mu gestem i spojrzeniem, że się go nie obawiam.

Była to myśl szaleńca. Na szczęście powściągnąłem się i poszedłem położyć się na łóżku, aby się uspokoić. Jakoż drzenie ciała ustało, ale w podnieconym mózgu przesuwały się szybko jedne po drugich obrazy wrażeń doznanych podczas mego pobytu na „Nautilusie”. Przypomniałem sobie wszystkie moje miłe i niemiłe przygody od chwili, gdy spadł z „Abrahama Lincolna”: polowanie podmorskie, Cieśninę Torresę, ugrzęźnięcie na skałach, cmentarz koralowy, sueskie przejście podziemne, wyspę Santorin, nurka kreteńskiego, Zatokę Vigo, Atlantyde, ławicę lodową, biegun południowy, zamknięcie pod lodami, walkę z głowonogami, burzę na Golf-Streamie, „Mściciela” i tę straszną scenę z okrętem zatopionym wraz z jego załogą!... Wszystkie te wypadki przesuwały się w mej myśli jak tło dekoracyjne w teatrze. Na tym tle dziwnym wyrastał kapitan Nemo na olbrzymia; osobistość jego uwydatniała się i zdawała się nadludzką. To chyba nie był mój bliźni, jeno twór wód, geniusz morski!

Było już wpół do dziesiątej. Musiałem sobie głowę ścisnąć obiema rękami, żeby mi nie pękła; zamknąłem oczy; nie chciałem więcej myśleć o widziadłach. Jeszcze pół godziny trzeba było czekać! Pół godziny, przez które można było oszaleć.

W tej chwili posłyszałem odgłos organów, smutną i chwiejną harmonię, której wtórował śpiew nieopisany; istna skarga duszy, pragnącej się wyrwać ze swych śmiertelnych więzów. Słuchałem wszystkimi zmysłami, oddychając zaledwie, zatopiony również, jak kapitan Nemo, w ekstazie muzycznej, unoszącej umysł poza granice tego świata.

A tymczasem dziesiąta miała już wybić; trzeba było opuścić mój pokój i połączyć się z towarzyszami. Nie było co się ościagać, choćby kapitan Nemo miał mi drogę zastąpić.

Otworzyłem drzwi ostrożnie, a jednak zdawało mi się, że skrzypnęły okropnie, może tylko w mej wyobraźni. Posuwałem się, macając, po ciemnych korytarzach „Nautilusa”, zatrzymując się co chwila, żeby powściągnąć uderzenia serca.

Przybyłem do drzwi salonu i otworzyłem je jak mogłem najostrożniej. W salonie ciemno było najzupełniej. Akordy brzmiały z cicha. Kapitan Nemo był więc tam ciągle, ale mnie nie widział. Myślę, że nie byłby mnie zobaczył, nawet przy pełnym świetle, tak był zatopiony sam w sobie.

Poczołgałem się po kobiercu, zaścielałym podłogę, strzegąc się dotknąć czegokolwiek, żeby jaki odgłos nie zdradził mej obecności. Potrzebowałem całych pięciu minut do przebycia w ten sposób salonu i dostania się do drzwi prowadzących do biblioteki. Jużem je miał otworzyć, gdy westchnienie kapitana przybiło mnie do miejsca. Zrozumiałem, że się podnosi. Dojrzałem go nawet, bo cienki promyk światła z biblioteki przeciskał się do salonu. Kapitan zwrócił swe kroki w moją stronę; ręce miał skrzyżowane na piersiach, sunął raczej milcząco niż szedł — jak widziadło. Z piersi jego przytłumione dobywały się łkania. I słyszałem, jak wyszeptał kilka wyrazów, ostatnich, jakie z ust jego do moich uszu dojsć miały:

— Boże wszechmocny! Dosyć, dosyć...

Był to wyznanie zgryzoty trapiącej sumienie tego człowieka?

Prerażony, wsunąłem się pośpiesznie do biblioteki, a stamtąd pobiegłem ku głównym schodom i górnym korytarzem przeszedłem do czółna. Dostałem się do niego otworem w ścianie „Nautilusa”; moi towarzysze już tam byli.

— Prędziej, prędziej! — zawołałem.

— Zaraz — odpowiedział Kanadyjczyk.

Zamknęliśmy najpierw otwarty bok „Nautilusa” i przykręciliśmy śruby obcęgami, w które się Ned Land zaopatrzył. Dno czółna także zamknęliśmy starannie i zaczęliśmy odczepiać haki przytrzymujące je przy „Nautilusie”.

Nagle jakiś hałas dał się słyszeć wewnątrz statku. Głosy jakieś rozprawiły żywo. Co to mogło być! Czy spostrzeżono naszą ucieczkę? Poczulem, że mi Ned Land podsuwał do ręki sztylet.

— Tak — szepnąłem — będziemy umieli umrzeć!

Kanadyjczyk przestał odczepiać czółno, gdy wtem jeden jedyny wyraz, wyraz straszny, dwadzieścia razy powtarzany, wytłumaczył mi powód zamieszania wewnątrz statku. Nie o nas to załoga myślała w owej chwili.

— Maelstrom, Maelstrom!... — oto był ten wyraz.



Maelstrom! Nie było straszniejszego dla nas wyrazu; znaczył on bowiem, żeśmy się znajdowali z najniebezpieczniejszej okolicy Morza Norweskiego. Czyżby w chwili, gdyśmy mieli odpiąć nasze czółno, „Nautilus” wpadł w tę wirową czelusć?...

Wiadomo, że podczas przyprywu morza wody zaciśnięte między wyspami Ferraer i Loffoden parte są prądem, którego gwałtowności nic się oprzeć nie zdoła. Powstaje stąd wir, z którego żaden jeszcze okręt nie wyszedł. Fale olbrzymie walą się ze wszystkich stron do jednego punktu i wpadają w przepaść zwaną „pępkim oceanu”. Siła jego przyciągająca sięga na piętnaście kilometrów wokoło — a nie tylko wessane tam bywają okręty, ale i wieloryby, i białe niedźwiedzie północne.

W ten to odmęt wprowadził kapitan Nemo swój statek może przypadkiem, może umyślnie. „Nautilus” zaczął obiegać koło coraz mniejsze — a z nim i czółno nieodczepione jeszcze od jego boku. Czuję, że mnie napada chorobliwy zawrót głowy taki sam, jakiego się doznaje po długim obracaniu się w kółko. Straszne było nasze przerażenie; krew przestała w nas krążyć, czynność nerwów ustała, zlewały nas poty zimne, śmiertelne.

Ryk wód straszny rozlegał się na kilka mil wokoło! Wody rozbiły się o ostre skały z łoskotem przerażającym. Tam najtwardsze przedmioty muszą się skruszyć, a pnie drzew wychodzą z tego wiru tak podarte, że Norwegowie mówią o nich, iż się „w futra poubierały”.

Miotani niezmierną siłą, w okropnym byliśmy położeniu. „Nautilus” zdawał się bronić jak człowiek; mięśnie jego stalowe trzeszczały. Niekiedy stawał pionowo jak koń, co dęba staje — a my z nim razem.

— Trzymajmy się tęgo — rzekł Ned — i pozakręcajmy mutry przy śrubach; w połączeniu z „Nautilusem” możemy jeszcze być oca...

Nie skończył wyrazu, gdy coś trzasło okropnie; mutry puściły, a czółno wyrwane ze swego łożyska w boku „Nautilusa” jak kamień wyrzucony z procy wpadło w sam środek wiru. Ja uderzyłem głową o jakiś żelazny przedmiot i straciłem przytomność.

## ZAKOŃCZENIE

Tu był koniec naszej podróży podmorskiej. Co się działo z nami tej nocy, jakim sposobem czółno nasze wydobyło się ze straszego wiru Maelstromu, jak ja, Ned i Conseil wyszliśmy cało z tej otchłani, nie umiem opowiedzieć. Gdym odzyskał zmysły, leżałem w chacie rybaka na jednej z wysp Loffoden; moi dwaj towarzysze cali i zdrowi byli przy mnie i trzymali mnie za ręce. Uściskaliśmy się serdecznie.

Nie było co myśleć o natychmiastowym powrocie do Francji, bo komunikacje między północnymi stronami Norwegii a południem Europy bardzo były rzadkie. Trzeba było czekać na statek parowy, który co pół miesiąca nawiedza tamte strony.

Tam więc, pośród znacznych ludzi, którzy nas przygarnęli, przeglądałam moje notaty. Są one bardzo wiernie spisane; nie brakuje ani jednego faktu, ani jeden szczegół nie jest przesadzony. Jest to wierne opowiadanie tej nieprawdopodobnej wyprawy w głębię wód niedostępną człowiekowi, którą postępowi uprzystępni kiedyś dla wszystkich.

Czy mi kto uwierzy? Nie wiem — zresztą, mało mnie to obchodzi. Wystarczy mi, że mam prawo mówić o morzach, pod którymi w niespełna dziesięć miesięcy przepłynąłem dwadzieścia tysięcy mil, odbyłem podróż podmorską naokoło świata i obejrzałem podczas niej cuda oceanu Spokojnego, Indyjskiego, mórz: Czerwonego i Śródziemnego, Atlantyku oraz mórz podbiegunowych na południu i na północy.

Co się stało z „Nautilusem”? Czy oparł się gwałtownym uściskom Maelstromu? Czy kapitan Nemo żyje, czy dopełnia jeszcze po morzach straszliwego swego odwetu lub też poprzestał na ostatnich ofiarach? Być może, że fale morskie wyrzucą kiedyś rękopis, w którym złożył historię swego życia; może się świat dowie o prawdziwym nazwisku tego człowieka, a narodowość zaginionego statku może nam odkryje narodowość kapitana Nemo.

Spodziewam się, że tak będzie. Mam nadzieję, że potężny „Nautilus” zwyciężył morze w najstraszniejszej jego otchłani, że przetrwał to, czego żaden okręt przetrwać nie zdołał. Jeśli tak jest, jeśli kapitan Nemo żegluje jeszcze po morzach, które mu są przybraną ojczyzną, oby uczucie zemsty wygasło w dzikim jego sercu! Oby ją wygoniło z jego myśli

rozglądanie się w tyłu cudach! Wykonawca sprawiedliwości niech ustąpi miejsca uczonemu dokonywającemu spokojnych poszukiwań podmorskich. Jeśli los jego jest niezwykły, to i wspaniały zarazem. Sam to osobiście pojąłem podczas dziesięciomiesięcznego, nadnaturalnego prawie mego istnienia.

Tak więc, na pytanie zadane przed sześciu tysiącami lat przez eklezjastę Pańskiego: „Kto kiedy zbadał głębokości morza?” — dwaj spomiędzy wszystkich ludzi mają prawo odpowiedzieć: kapitan Nemo i ja.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z [Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur](#).

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na [Licencji Wolnej Sztuki 1.3](#). Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w [Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur](#). Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/20-000-mil-podmorskiej-zeglugi>

Tekst opracowany na podstawie: Juliusz Verne, 20 000 mil podmorskiej żeglugi z 19 ilustracjami i okładką de Neuveilla'a, wyd. czwarte, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1928

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Edyta Majchrzak, Justyna Lech, Karolina Gregorczyk, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-1005-1

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).